

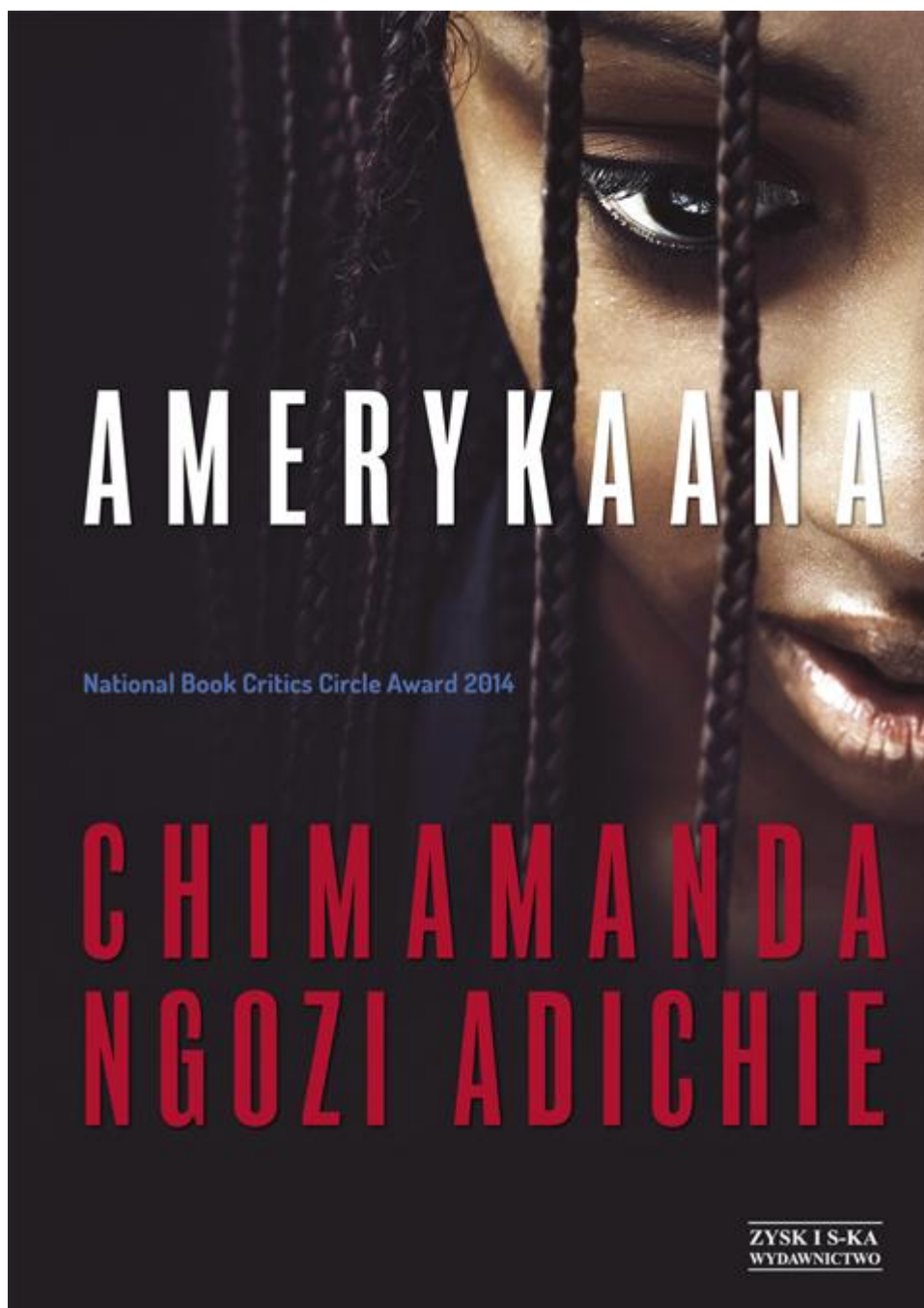
A close-up, high-contrast photograph of Chimamanda Ngozi Adichie's face. Her eyes are looking slightly to the right, and her lips are partially visible. She has dark braids that run vertically across her face, framing her eyes. The lighting is dramatic, with deep shadows and bright highlights on her skin.

AMERYKAANA

National Book Critics Circle Award 2014

CHIMAMANDA
NGOZI ADICHIE

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



*Dedykuje tę książkę naszemu następnemu pokoleniu, ndi na-
abia n'iru: Toks, Chisomowi, Amace, Chinedum, Kamsiyonnie
i Arinze.*

Memu ojcu w roku jego osiemdziesiątych urodzin.

I jak zawsze Ivarze.

CZEŚĆ 1

ROZDZIAŁ 1

Princeton latem nie pachniało niczym, i chociaż Ifemelu lubiła kojącą zieloność drzew, czyste ulice i okazałe domy, odrobinę zbyt drogie sklepy i zawsze tę samą, zakorzenioną od dawna atmosferę spokojnego uroku, właśnie ten brak zapachu podobał się jej najbardziej. Być może dlatego, że każde inne amerykańskie miasto, które dobrze знаła, miało własny charakterystyczny zapach. W Filadelfii unosiła się stęchła woń historii. New Haven pachniało zaniedbaniem. Baltimore przepełniał słony zapach morskiej wody, a Brooklyn cuchnął nagrzanymi słońcem śmieciami. Ale Princeton nie pachniało. Tutaj lubiła głęboko oddychać.

Lubiła obserwować mieszkańców, którzy jeździli swoimi pojazdami z wyszukaną uprzejmością i najnowszymi modelami samochodów parkowali przed sklepem ze zdrową żywnością przy Nassau Street, restauracjami z sushi czy przed lodziarnią, w której mieli pięćdziesiąt różnych smaków, nawet paprykowy, albo przed pocztą, której pracownicy byli tak wylewni, że klientów witali już przy drzwiach. Lubiła kampus przytłoczony powagą wiedzy, gotyckie budynki porośnięte koronką winorośli i sposób, w jaki wszystko w półświecie nocy zmieniało się w upiorną scenerię. Najbardziej zaś cieszyła ją to, że w tym miejscu, pełnym swobody i luzu, mogła udawać kogoś innego, kogoś celowo przyjętego do uświęconego amerykańskiego klubu, kogoś, kto jest pewny siebie.

Nie podobało się jej natomiast, że musi jechać aż do Trenton, żeby sobie zapleść włosy.

Głupotą było spodziewać się, że w Princeton znajdzie lokal świadczący tego rodzaju usługi —

nieliczni czarnoskórzy miejscowi, których parę razy widziała, mieli tak jasną karnację i tak proste włosy, że nie potrafiła ich sobie nawet wyobrazić z warkoczykami — a mimo to, kiedy na stacji Princeton Junction czekała na pociąg, skapaną w popołudniowym skwarze, zastanawiała się, czemu nie ma tu nigdzie miejsca, w którym mogłaby sobie zapleść włosy. Czekoladowy batonik w jej torebce rozpuścił się. Wraz z nią na peronie czekało jeszcze kilka osób — wszyscy byli biali i smukli, w krótkich, przewiewnych ubraniach. Mężczyzna,

stojący najbliżej niej, jadł loda w wafelkowym rożku; dorośli Amerykanie, którzy to robili publicznie, zachowywali się nieodpowiedzialnie. Kiedy pociąg w końcu z turkotem podjechał, mężczyzna zwrócił się do niej.

— Nareszcie — powiedział z poufałością typową dla obcych sobie ludzi, podobnie rozczarowanych publicznym transportem.

Uśmiechnęła się do niego. Siwiejące włosy z tyłu głowy miał zaczesane do przodu w komicznej próbie ukrycia łysiny. Musiał być naukowcem, ale nie nauk humanistycznych, bo wtedy byłby bardziej skrupowany. Zdecydowanie nauki ścisłe, może chemia. Dawniej odpowiadałaby: „Rzeczywiście”, używając tego dziwnego, amerykańskiego powiedzenia, które było bardziej przytaknięciem niż wyrazem zrozumienia, a potem wdałaby się ze znajomym w rozmowę, bo a nuż powiedziałby coś, co mogłaby wykorzystać w swoim blogu. Ludziom schlebiały pytania na ich temat, a jeśli milczała, gdy odpowiedzieli, zwykle zaczynali mówić dalej. Uważali, że ciszę trzeba czymś wypełnić. Kiedy pytali, czym ona się zajmuje, odpowiadała wymijająco: „Piszę bloga o stylu życia”, bo gdyby powiedziała, że prowadzi anonimowego bloga zatytułowanego „Raceteenth albo obserwacje na temat czarnych Amerykanów (wcześniej znanych jako Murzyni) czarnej nie-Amerykanki”, wprowadziłaby ich w zakłopotanie. Mimo to kilka razy tak właśnie odpowiedziała. Raz siedzącemu obok niej w pociągu białemu mężczyźnie, który miał włosy zaplecione w dredy, wyglądające jak stare sznury z jasnymi, postrzępionymi końcówkami, a zniszczoną koszulę nosił z takim nabożeństwem, że wzięła go za społecznego bojownika, świetnie nadającego się na gościa do jej bloga.

— W dzisiejszych czasach rasa jest totalnie przereklamowana, czarni muszą w końcu dać sobie z tym spokój, teraz liczy się wyłącznie klasa, to, co się ma i czego się nie ma —

odpowiedział bez emocji, a ona wykorzystała jego słowa jako pierwsze zdanie posta pod tytułem

„Nie wszyscy biali Amerykanie z dredami kumają, o co chodzi”.

Następny był facet z Ohio, który siedział wciśnięty obok niej w samolocie. Bez wątpienia menadżer średniego szczebla, sądząc po źle leżącym garniturze i kołnierzyku w kontrastowym kolorze. Pytał, co oznacza „blog o stylu życia”, więc mu powiedziała, przekonana, że poczuje się skrępowany albo zakończy rozmowę jakimś głupawym banałem w stylu: „Jedyna rasa, która ma znaczenie, to rasa ludzka”, ale on zapytał: „Pisałaś kiedyś o adopcjach? W tym kraju nikt nie chce czarnych dzieci, i nie chodzi mi o dwurasowe, tylko czarne. Nawet czarne rodziny ich nie chcą”.

Powiedział jej, że razem z żoną adoptowali czarne dziecko i sąsiedzi zaczęli na nich patrzeć jak na jakichś męczenników w wątpliwej sprawie. Jej wpis na blogu na jego temat —

„Źle ubrani biali menadżerowie średniego szczebla nie zawsze są tymi, na których wyglądają” —

miał w tym miesiącu najwięcej komentarzy. Wciąż się zastanawiała, czy on także to czytał.

Liczyła na to. Często, gdy przesiadywała w kawiarniach czy na lotniskach albo na dworcach kolejowych, przyglądała się nieznanym i, wyobrażając sobie ich życie, zastanawiała się, czy ktoś z nich czytał jej bloga. Teraz już jej byłego bloga. Zaledwie kilka dni temu zamieściła ostatni wpis, do którego jak dotąd pojawiły się dwieście siedemdziesiąt cztery komentarze.

Wszyscy ci czytelnicy, których liczba rosła z miesiąca na miesiąc, wszyscy o wiele od niej mądrzejsi, zawsze ją przerażali i wprawiali w radosny nastrój. SapphicDerrida, jedna z najczęściej komentujących, napisała: „Niesamowite, że potraktowałam to tak osobiście.

Powodzenia w poszukiwaniu tej nienazwanej »Zmiany w życiu«, ale proszę, wróć szybko do blogosfery. Twoje oburzające, napastliwe, zabawne i zmuszające do myślenia wypowiedzi dawały pole do dyskusji na ważne tematy”. Czytelnicy tacy jak SapphicDerrida, zwiększający statystyki i często używający w swoich komentarzach słów w rodzaju „urzeczawiać”, budzili w Ifemelu lęk, pragnienie, by jej posty były pełne świeżości i robiły wrażenie, aż z czasem zaczęła się

czuć jak sęp pastwiący się nad padliną ludzkich historii w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać. Czasem delikatnie nawiązywała do kwestii rasowych. Czasem nie wierzyła samej sobie. Im więcej pisała, tym mniej pewnie się czuła. Każdy kolejny wpis odzierał

ją z kolejnej warstwy jestestwa, aż wreszcie poczuła się naga i nieprawdziwa.

Facet jedzący loda usiadł w pociągu obok niej, więc żeby zniechęcić go do rozmowy, wbiła spojrzenie w brązową plamę u jej stóp, rozlane mrożone frapuccino, i tak dojechali aż do Trenton. Na peronie był tłum czarnych, wielu otyłych, w krótkich, lekkich ubraniach. Wciąż ją zaskakiwało, jak wiele może się zmienić po kilku minutach jazdy pociągiem. W pierwszym roku jej pobytu w Ameryce, kiedy odwiedzając ciotkę Uju we Flatlands jeździła New Jersey Transit do Penn Station, a potem metrem, zawsze uderzało ją, że większość szczupłych, białych ludzi wysiadała na Manhattanie, a w miarę jak pociąg zapuszczał się coraz bardziej w Brooklyn, zostawali w nim głównie czarni i otyli. Z tym że nie nazywała ich w myślach „otyłymi”. Myślała

„duzi”, ponieważ jedną z pierwszych rzeczy, którą powiedziała jej przyjaciółka Ginika, było, że w Ameryce „gruby” jest słowem obraźliwym, wyrażającym moralny osąd, jak: „głupi” albo

„drań”, a nie zwykłym opisowym, jak: „niski” czy „wysoki”. Wobec tego wykluczyła ze swojego słownika wyrażenie „gruby”. Ale pojawiło się znowu zeszłej zimy, po niemal trzynastu latach, kiedy w supermarkecie stojący za nią w kolejce mężczyzna mruknął: „Grubi ludzie nie powinni obżerać się tym gównem”, gdy ona płaciła za duże opakowanie tostitos. Zdumiona zerknęła na niego, lekko dotknięta, i pomyślała, że to, jak ten mężczyzna uznał ją za grubą, będzie doskonałym wpisem na bloga. Umieści go pod tagiem „Rasa, płeć i rozmiar ciała”. Ale po

powrocie do domu, kiedy przed lustrem zmierzyła się z prawdą, zrozumiała, iż zbyt długo ignorowała fakt, że ubrania cisną ją coraz bardziej, wewnętrzne strony ud coraz bardziej

się o siebie ocierają i że ma miększe, okrągłejsze części ciała, które trzęsą się przy każdym ruchu.

Była gruba.

Wypowiedziała słowo „gruba” powoli, smakując je na języku, i pomyślała o tych wszystkich innych rzeczach, których nauczyła się nie mówić głośno w Ameryce. Była gruba. Nie była kragła ani grubokoścista; była gruba. Tylko to słowo oddawało prawdę. To też ignorowała, ten kamień w swojej duszy. Jej blog miał się świetnie, co miesiąc odwiedzały go tysiące wyjątkowych gości, dostawała niezłe gąże za wykłady, miała stypendium w Princeton i była związana z Blaine’em — „Jesteś najprawdziwszą miłością mojego życia”, napisał jej w ostatniej kartce z życzeniami na urodziny — a mimo to miała w duszy kamień. Tkwił w niej już od jakiegoś czasu, w czasie porannego, chorobliwego znużenia, w poczuciu beznadziei, bezpaństwowości. Wraz z nim pojawiały się amorficzna tęsknota, bezkształtne pragnienia, przelotne wyobrażenia o życiu, jakie mogłaby mieć, które w miarę jak upływały kolejne miesiące, zlały się w przejmującą tęsknotę za domem.

Przeszukiwała nigeryjskie strony internetowe. Nigeryjskie profile na Facebooku. Nigeryjskie blogi. I z każdym kliknięciem odkrywała kolejną historię młodego człowieka, który właśnie wrócił do domu, przyodziały w amerykańskie bądź brytyjskie tytuły naukowe, żeby otworzyć firmę inwestycyjną, zająć się produkcją muzyczną, modą, wydawaniem czasopisma, założyć franszyzową restaurację z fast foodem. Patrzyła na zdjęcia wszystkich tych kobiet i mężczyzn i czuła tępy ból straty, jakby ktoś siłą rozwarł jej dłoń i coś z niej zabrał. Oni żyli jej życiem. Powinna była być w Nigerii, która stała się jedynym miejscem, w jakim mogła zapuścić korzenie, nie myśląc jednocześnie, żeby je wyrwać i otrząsnąć z ziemi. Oczywiście był też Obinze. Jej pierwsza miłość, jej pierwszy kochanek, jedyny człowiek, przy którym czuła, że nie musi się z niczego tłumaczyć. Teraz był

już mężem i ojcem; nie kontaktowali się od lat, a mimo to nie mogła udawać, że nie jest częścią jej tęsknoty za domem, ani że nie myślała o nim często, wspominając przeszłość i szukając znaków, których nie umiała nazwać.

Chamski facet z supermarketu — który wiedział, z czym sam się zmagają, wynędziały, o cienkich wargach — chciał ją obrazić, a zamiast tego sprawił, że się przebudziła.

Planowała i marzyła, że zacznie szukać pracy w Lagos. Z początku nie obwiniła Blaine'a, ponieważ chciała poczekać, aż skończy się jej stypendium w Princeton, a kiedy w końcu dobiegło końca, nie powiedziała mu, bo chciała dać sobie czas, żeby zyskać całkowitą pewność.

Ale tygodnie mijały, a ona wiedziała, że nigdy nie będzie do końca pewna. Wobec tego powiedziała mu, że wraca do siebie, i dodała: „Muszę”, wiedząc że usłyszysz w jej słowach zapowiedź końca.

— Dlaczego? — zapytał Blaine, niemal odruchowo, zaskoczony jej oświadczeniem.

Siedzieli w jego salonie w New Haven, zanurzeni w miękkim jazzie i skapani w świetle dnia, a ona popatrzyła na niego, swojego dobrego, zagubionego mężczyznę, i czuła, jak dzień nabrzmiewa epickim smutkiem. Mieszkali razem przez trzy lata, trzy gładkie lata, jak porządnie wyprasowane prześcieradło do czasu ich jedynej kłótni, kiedy oczy Blaine'a zamaryły w oskarżycielskim wyrazie i nie chciał z nią rozmawiać. Ale przetrwali tę kłótnię, głównie dzięki Barackowi Obamie, związani na nowo wspólną pasją. W wyborczy wieczór, zanim Blaine ją pocałował, z twarzą mokrą od łez, tulił ją mocno, jakby wygrana Obama była też ich zwycięstwem. A teraz mówiła mu, że to koniec.

— Dlaczego? — zapytał.

Na zajęciach uczył pojęcia niuansów i złożoności, a jednak teraz pytał o prosty powód, o przyczynę. Ale ona nie miała prostego wytłumaczenia i nie było żadnego powodu; po prostu warstwa po warstwie zagnieżdżało się w niej niezadowolenie, aż w końcu osiągnęło masę, która kazała jej działać. Nie powiedziała mu tego, ponieważ poczułby się zraniony, że czuła to już od jakiegoś czasu, iż jej związek z nim przypominał siedzenie w domu, ale bez przerwy przy oknie, przez które wyglądała.

— Zabierz roślinę — powiedział do niej w ostatni dzień, kiedy się widzieli, gdy pakowała swoje rzeczy, które trzymała w jego mieszkaniu.

Znekany, ze zgarbionymi ramionami stał w kuchni. To była jego roślina, radosne, zielone liście wyrastające z trzech bambusowych łodyg, i kiedy ją zabierała, przeszło ją nagle porażające uczucie osamotnienia i nie opuszczało przez wiele tygodni. Czasem wciąż jeszcze ją nawiedzało. Jak można tęsknić za czymś, czego się już nie chciało? Blaine potrzebował tego, czego nie mogła mu dać, i żałowała utraty czegoś, co mogło się wydarzyć.

I tak znalazła się tutaj, w tym dniu nabrzmiałym latem, żeby zapleść sobie włosy przed wyjazdem do domu. Wilgotne gorąco oblepiało jej skórę. Na peronie w Trenton byli ludzie trzykrotnie więksi od niej — z podziwem patrzyła na kobiety w bardzo krótkiej spódniczce. Nie imponowały jej smukłe nogi z dumą ukazywane w minispódnicy — w końcu cóż to za sztuka pokazywać nogi, które podziwia cały świat — ale zachowanie grubej kobiety było wyrazem cichego przekonania, które tylko ona posiadała; poczucie słuszności, którego inni nie widzieli.

Podobnie było z jej decyzją o powrocie: ilekroć dopadały ją wątpliwości, by się ich pozbyć, wyobrażała sobie siebie stojącą samotnie, z odwagą, niemal heroicznie. Gruba kobieta kierowała grupą nastolatków, szesnasto-, może siedemnastoletnich. Tłoczyli się wokół niej, z logo jakiejś letniej akcji z przodu i tyłu żółtych T-shirtów, roześmiani i rozgadani. Przypominali Ifemelu jej kuzyna Dike'a, zwłaszcza jeden z chłopców, o smukłej, muskularnej budowie sportowca, który wyglądał dokładnie jak Dike. Chociaż Dike nigdy nie założyłby takich butów, podobnych do espadryli. Mięczki, tak je nazywał. To było coś nowego; po raz pierwszy tak je nazwał kilka dni temu, kiedy opowiadał jej o zakupach z ciocią Uju.

— Mama chciała mi kupić te kretyńskie buty. Kuzyno, przecież wiesz, że nie mogę chodzić w takich mięczkach!

Ifemelu stanęła w kolejce do taksówek przed dworcem. Miała nadzieję, że jej taksówkarz nie okaże się Nigeryjczykiem, bo

jak tylko usłyszy jej akcent, natychmiast z agresywną natarczywością zapragnie jej opowiedzieć, że ma tytuł magistra, a na taksówce tylko dorabia, zaś jego córka jest na dziekańskiej liście w Rutgers, albo będzie jechał w ponurym milczeniu, wyda jej resztę i zignoruje jej „dziękuję”, przez cały czas głęboko upokorzony, że ta Nigeryjka, na dodatek jakaś dziewczucha, która na pewno była pielęgniarką, księgową, może nawet lekarzem, nim pogardza. Nigeryjscy taksówkarze w Ameryce wierzyli, że tak naprawdę wcale nimi nie są.

Stała w kolejce jako druga. Jej taksówkarz był czarny i w średnim wieku. Otworzyła drzwi i zerknęła na oparcie siedzenia kierowcy. „Mervin Smith”. Nazwisko nie nigeryjskie, ale nigdy nic nie wiadomo. Tutaj Nigeryjczycy przyjmowali najróżniejsze imiona i nazwiska. Nawet ona była swego czasu kimś innym.

— Co słyszać? — zagadnął mężczyzna.

Natychmiast z ulgą zorientowała się, że pochodził z Karaibów.

— W porządku. Dziękuję.

Podawała mu adres salonu Mariama African Hair Braiding. Wybierała się do tego salonu po raz pierwszy — ten, do którego zwykle chodziła, został zamknięty, ponieważ właścicielka wróciła na Wybrzeże Kości Słoniowej, żeby wyjść za mąż — ale na pewno nie będzie się różnił

od innych znanych jej salonów: wszystkie one mieściły się w częściach miasta, gdzie ściany pełnych wilgoci budynków pokrywały graffiti, nigdzie nie było widać białych ludzi, salony miały jaskrawe szyldy z nazwami Aisha albo Fatima African Hair Braiding, grzejniki, które zimą grzały

zbyt mocno, i klimatyzatory, które latem nie dawały ochłody. Wewnątrz było mnóstwo francuskojęzycznych fryzjerek z Afryki Zachodniej, wśród których jedna była właścicielką, najlepiej mówiła po angielsku i odbierała telefony, a reszta odnosiła się do niej z szacunkiem.

Często któraś nosiła na plecach dziecko przywiązane chustą. Albo jakiś malec spał na kocyku rozłożonym na zniszczonej kanapie. Czasami wpadały starsze dzieci. Fryzjerki

rozmawiały głośno i szybko, po francusku albo w języku wolof czy malinke, a kiedy zwracały się do klientek po angielsku, robiły to w dziwny, poszarpany sposób, jakby nie mogły swobodnie przejść na zamerykanizowany slang. Nie dopowiadały słów do końca. Kiedyś w Filadelfii fryzjerka z Gwinei powiedziała do Ifemelu: „Jezdem faka, o Baże, być faki fsiekła”. Musiała to powtórzyć wiele razy, zanim Ifemelu wreszcie pojęła, co kobieta chciała powiedzieć. „Jestem taka, o Boże, byłam taka wściekła”.

Mervin Smith był wesoły i gadatliwy. Prowadził taksówkę i opowiadał, jak to jest strasznie gorąco, i że na pewno będą musieli wyłączać prąd.

— Taki gorąc zabija staruszków. Jak nie mają klimatyzacji, muszą iść do centrum handlowego. Tam klima jest za darmo. Ale czasem nie ma ich kto zaprowadzić. Ludzie muszą się opiekować staruszkami — powiedział, wciąż radosny mimo milczenia Ifemelu. — No i jesteśmy!

— oznajmił, parkując przed odrapanym blokiem.

Salon mieścił się pośrodku, między chińską restauracją Happy Joy i sklepem spożywczym, w którym sprzedawali bilety na loterię. Wewnątrz salon był zaniedbany, farba odłaziła, ściany obwieszane były wielkimi plakatami z różnymi modelami warkoczykowych fryzur i mniejszymi z napisami „SZYBKI ZWROT PODATKU”. Trzy kobiety w T-shirtach i szortach do kolan zajmowały się klientkami. W telewizorze, wiszącym na ścianie w kącie, puszczonej odrobinę zbyt głośno, leciał nigeryjski film: mąż bił żonę, a ona kulila się i krzyczała; fatalna jakość dźwięku była dodatkowo drażniąca.

— Dzień dobry — powiedziała Ifemelu.

Wszystkie obróciły się, żeby na nią popatrzeć, ale tylko jedna, prawdopodobnie Mariama, wnioskując z nazwy zakładu, odpowiedziała.

— Dzień dobry. Zapraszam.

— Chciałabym sobie zapleść warkoczyki.

— A jakie mają być?

Ifemelu wyjaśniła, że chce średnio skręcone, i zapytała o cenę.

— Dwieście — odparła Mariama.

— W zeszłym miesiącu płaciłam sto sześćdziesiąt — powiedziała Ifemelu.

Ostatni raz robiła sobie warkoczyki trzy miesiące temu.

Mariama przez chwilę milczała, ze wzrokiem wbitym we włosy, które zaplatała.

— To jak? Może być sto sześćdziesiąt? — zapytała Ifemelu.

Mariama wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

— OK, ale musisz przyjść jeszcze raz. Siadaj. Zaczekasz na Aishę. Niedługo skończy.

Mariama pokazała na najmniejszą z fryzjerek, która miała jakieś problemy ze skórą, biało-różowe odbarwienia na rękach i szyi. Wyglądały trochę niepokojąco, jakby były zaraźliwe.

— Cześć, Aisha — powiedziała Ifemelu.

Aisha zerknęła na Ifemelu i ledwie zauważalnie skinęła głową, z twarzą tak pozbawioną wyrazu, że aż przerażającą. Była jakaś dziwna.

Ifemelu usiadła w pobliżu drzwi; wentylator na stoliku był ustawiony na pełną moc, ale i tak nie radził sobie z panującą duchotą. Obok wentylatora leżały grzebienie, paczki ze spinkami, wygniecione czasopisma z wypadającymi stronami, sterty kolorowych płyt DVD. W jednym kącie, obok automatu z cukierkami i zardzewiałej suszarki do włosów, nieużywanej chyba ze sto

lat, stała oparta miotła. W telewizorze ojciec bił dwójkę dzieci drewnianą linijką, którą wymachiwał im nad głowami.

— Nie! Zły ojciec! Zły człowiek! — powiedziała druga fryzjerka, patrząc ze skrzywioną miną na ekran.

— Jesteś z Nigerii? — zapytała Mariama.

— Tak — odparła Ifemelu. — A ty?

— Ja i moja siostra Halima jesteśmy z Mali. Aisha jest z Senegalu — powiedziała Mariama.

Aisha nie podniosła wzroku, ale Halima uśmiechnęła się ciepło do Ifemelu, porozumiewawczo, witając siostrę z Afryki; do Amerykanki tak by się nie uśmiechała. Miała potężnego zęza, każde oko patrzyło w inną stronę, więc Ifemelu poczuła się trochę zagubiona, nie wiedząc, czy Halima patrzy na pewno na nią.

Ifemelu powachlowała się czasopismem.

— Gorąco — powiedziała.

Przynajmniej te kobiety nie zareagowały w typowy sposób. „Gorąco? Tobie? Przecież jesteś z Afryki.”

— Strasznie źle te upały. Przepraszam, ale wczoraj akurat zepsuł się klimatyzator —

wyjaśniła Mariama.

Ifemelu wiedziała, że klimatyzator nie zepsuł się wczoraj, zepsuty był już od dawna, może nawet nigdy nie działał; mimo to skinęła głową i powiedziała, że pewnie się przegrzał.

Zadzwonił telefon. Mariama podniosła słuchawkę.

— Przyjdź teraz — powiedziała po chwili.

Użyła dokładnie tych słów, z powodu których Ifemelu już dawno przestała się umawiać do afrykańskich zakładów fryzjerskich. Zawsze słyszała: „Przyjdź od razu”, a kiedy się zjawiała, dwie osoby czekały na zaplecenie mikrowarkoczyków, a właścicielka i tak mówiła: „Zaczekaj, zaraz przyjdzie siostra, żeby nam pomóc”. Telefon znowu zadzwonił i Mariama zaczęła mówić po francusku, coraz bardziej podnosząc głos, aż wreszcie przestała zaplatać włosy, żeby móc wymachiwać ręką, kiedy darła się do słuchawki. Potem rozłożyła żółty formularz Western Union, który wyjęła z kieszeni, i zaczęła czytać numery.

— *Trois! Cinq! Non, non, cinq!*

Kobieta, której zaplatała włosy w ciasne warkoczyki tuż przy samej skórze, co chyba musiało porządnie boleć, odezwała się ostro:

— Bierz się do roboty! Nie będę tu siedzieć cały dzień!

— Przepraszam, przepraszam — powiedziała Mariama.

Ale i tak dopowiedziała do końca numer po francusku, zanim ze słuchawką między ramieniem i uchem zaczęła zaplatać warkoczyki od nowa.

Ifemelu otworzyła książkę pt. *Laska* Jean Toomer, i przerzuciła kilka kartek. Już od jakiegoś czasu chciała ją przeczytać i wyobrażała sobie, że przypadnie jej do gustu, bo Blaine'owi się nie podobała. Nazwał ją afektowanym wytworem, mówiąc to tym swoim łagodnie cierpliwym tonem, którego używał, kiedy rozmawiali o powieściach, jakby był pewny, że gdyby ona miała trochę więcej czasu i była odrobinę mądrzejsza, w końcu by się pogodziła z tym, że powieści, które podobały się jemu, były lepsze, powieści napisane przez młodych, młodzieńczych ludzi, pełne ważnych rzeczy — fascynujące, przyprawiające o zawrót głowy nagromadzenie marek, muzyki, komiksów oraz ikon, w których o emocjach mówiło się powierzchownie, zaś każde zdanie elegancko świadome było własnej elegancji. Wiele z nich przeczytała, ponieważ Blaine je polecił, ale były jak wata cukrowa, której smak jej język natychmiast zapominał.

Zamknęła książkę; przez gorąco nie mogła się skoncentrować. Zjadła trochę roztopionej

czekolady, wysłała esemes Dike'owi, żeby do niej zadzwonił, kiedy skończy trening koszykówki, i powachlowała się.

Przeczytała napis na ścianie naprzeciwko — „PO UPŁYWIE TYGODNIA ŻADNYCH POPRAWEK. ŻADNYCH OSOBISTYCH KONTROLI. KOSZTÓW NIE

ZWRACAMY” — ale celowo unikała rozglądania się po kątach, bo wiedziała, że zobaczy tam poupychane pod rurami kulki wilgotnych gazet, brud i różne dawno zgniłe rzeczy.

Wreszcie Aisha skończyła czesać swoją klientkę i zapytała, w jakim kolorze chce dopinki do swoich warkoczyków.

— Numer cztery.

— Kolor niedobry — powiedziała Aisha bez wahania.

— Takiego zawsze używam.

— Wygląda brudny. Nie chcesz jedyńki?

— Jedyńka jest za czarna, wygląda sztucznie — powiedziała Ifemelu, zdejmując gumkę.

— Czasem używam dwójki, ale czwórka jest najbardziej zbliżona do mojego naturalnego koloru.

Aisha pogardliwie wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że to w końcu nie jej problem, gdy klientka ma zły gust. Sięgnęła do szafki, wyjęła dwa opakowania dopinek i sprawdziła, że oba są tego samego koloru.

Dotknęła włosów Ifemelu.

— Czemu nie używasz zmiękczacza?

— Lubię moje włosy takie, jakimi stworzył je Bóg.

— Ale jak je czeszesz? Ciężko takie czesać — powiedziała Aisha.

Ifemelu przyniosła ze sobą własny grzebień. Delikatnie rozczesała sobie włosy, gęste, miękkie i lekko skręcone, aż utworzyły wokół jej głowy halo.

— Łatwo się je czesze, jeśli są dobrze nawilżone — powiedziała tonem łagodnej perswazji, jakiego używała, ilekroć próbowała wytłumaczyć innym czarnym kobietom, dlaczego powinny nosić swoje naturalne włosy. Aisha prychnęła, wyraźnie nie pojmując, jak można świadomie godzić się na katusze rozczesywania naturalnych włosów, zamiast zwyczajnie je prostować. Rozdzieliła włosy Ifemelu na pasma, z kupki na stoliku wybrała jedną dopinkę i z wprawą zabrała się do skręcania.

— Za ciasno — powiedziała Ifemelu. — Nie rób tak ciasno.

Ponieważ Aisha dalej skręcała koniec pasma, Ifemelu pomyślała, że może nie rozumie, wobec tego dotknęła warkoczyk i powiedziała:

— Ciasno, ciasno.

Aisha odepchnęła jej rękę.

— Nie. Nie. Zostaw. Jest dobrze.

— Za ciasno! — krzyknęła Ifemelu. — Rozluźnij, proszę.

Mariama je obserwowała. Wypowiedziała kilka słów po francusku. Aisha poluzowała warkoczyk.

— Przepraszam — rzekła Mariama. — Ona nie rozumie dobrze.

Ale Ifemelu widziała po minie Aishy, że ta rozumiała doskonale. Aisha była po prostu zwyczajną dziewczyną z targu, obojętną na salonowe uprzejmości, których oczekiwały amerykańskie klientki. Ifemelu wyobraziła ją sobie na targu w Dakarze, jak na wzór swoich koleżanek po fachu z Lagos wydmuchuje nos i wyciera rękę w ubranie, a potem bezpardonowo szarpie klientkę za głowę, żeby ją ustawić w wygodniejszej dla siebie pozycji, cały czas narzeka, że włosy są za sztywne albo za krótkie, nawołuje do przechodzących kobiet, cały czas mówiąc za głośno i plotąc za ciasno.

— Znasz ją? — zapytała Aisha, zerkając na ekran telewizora.

— Słucham?

Aisha powtórzyła pytanie i pokazała na aktorkę w telewizji.

— Nie — powiedziała Ifemelu.

— Ale jesteś Nigeryjką.

— Tak, ale jej nie znam.

Aisha wskazała na stos płyt DVD na stoliku.

— Wcześniej za dużo voodoo. Bardzo źle. Teraz nigeryjskie filmy bardzo dobre. Duży, ładny dom.

Ifemelu nie miała najlepszego zdania o filmach z Nollywood, z ich przesadną aktorską grą i nieprawdopodobną fabułą, ale przytaknęła, bo rzadko się słyszało „Nigeria” i „dobre”

w jednym zdaniu, nawet jeżeli wypowiadała je obca senegalska kobieta, i postanowiła potraktować to jako dobrą wróżbę na jej powrót do domu.

Wszyscy, którym mówiła, że wraca, byli zdumieni, domagali się wyjaśnień, a kiedy tłumaczyła, że robi to, bo chce, na ich czołach pojawiały się zmarszczki niezrozumienia.

— Zamykasz swojego bloga i sprzedajesz mieszkanie, żeby wrócić do Lagos i pracować w jakiejś gazecie za marne grosze

— powiedziała ciocia Uju, a potem to powtórzyła, jakby chciała, żeby Ifemelu w pełni zrozumiała ogrom swej głupoty.

Tylko stara przyjaciółka z Lagos, Ranyinudo, przyjęła jej powrót jak coś normalnego.

— W Lagos jest teraz pełno tych, co wracają z Ameryki, więc ty też wracaj i dołącz do nich. Codziennie się ich widzi, jak chodzą z butelkami wody. Pewnie się boją, że umrą z gorąca, jeśli co minutę się nie napiją — powiedziała Ranyinudo.

Przez lata ona i Ranyinudo utrzymywały kontakt. Z początku rzadko do siebie pisywały, ale kiedy zaczęły pojawiać się kafejki internetowe, telefony komórkowe robiły się coraz bardziej powszechne, aż wreszcie rozkwitł Facebook, ich kontakty się zacieśniały. To właśnie od Ranyinudo kilka lat temu dowiedziała się, że Obinze się żeni.

— A tymczasem, o, teraz ma poważne pieniądze. Widzisz, co straciłaś! — powiedziała Ranyinudo.

Ifemelu udawała, że jej to wcale nie obeszło. W końcu przestała się kontaktować z Obinze, minęło tyle czasu, właśnie związała się z Blaine'em i radośnie przyzwyczajała do nowego wspólnego życia. Ale kiedy się rozłączyła, wciąż myślała o Obinze. Kiedy wyobrażała go sobie biorącego ślub, ogarniało ją poczucie stłumionego smutku. Ale cieszyła się jego szczęściem, powtarzała to sobie, i żeby samej sobie to udowodnić, postanowiła do niego napisać.

Nie była pewna, czy wciąż ma ten sam adres, wysłała mu więc mail, w zasadzie nie spodziewając się, że odpowie, ale jednak odpisał. Ona się już nie odezwała, ponieważ wtedy się z tym pogodziła. Najlepiej dać sobie spokój. W grudniu ubiegłego roku, kiedy Ranyinudo powiedziała jej, że w centrum handlowym Palms spotkała Obinze z córeczką (Ifemelu wciąż nie umiała sobie wyobrazić tych rozległych, nowoczesnych centrów handlowych w Lagos; kiedy próbowała, na myśl przychodziła jej tylko ciasna Mega Plaza, którą pamiętała) — „Wyglądał bardzo czysto, a jego córeczka jest taka śliczna”, powiedziała Ranyinudo — Ifemelu uświadomiła sobie nagle, jak wiele się w jej życiu zmieniło.

— Nigeryjskie filmy teraz bardzo dobre — powtórzyła Aisha.

— Tak — przytaknęła Ifemelu z entuzjazmem.

Oto czym się stała, poszukiwaczką znaków. Nigeryjskie filmy są dobre, wobec tego jej powrót do domu też będzie dobry.

— Jesteś z Yoruba w Nigerii — powiedziała Aisha.

— Nie, jestem Igbo.

— Ty Igbo? — Po raz pierwszy na twarzy Aishy pojawił się uśmiech, który odsłonił nie tylko jej małe zęby, ale też ciemne dziąsła. — Myślałam, że jesteś Yoruba, bo jesteś ciemna,

a Igbo są jasne. Mam dwóch mężczyzn Igbo. Bardzo dobrzy. Mężczyźni Igbo umieją zadbać o kobiety.

Aisha prawie szeptała, a jej ton sugerował seksualny podtekst; w lustrze odbarwienia na jej ramionach i szyi wyglądały jak obrzydliwe rany. Ifemelu wyobraziła sobie, jak niektóre się otwierają i coś z nich zaczyna wyciekać, a z innych złazi skóra. Odwróciła wzrok.

— Mężczyźni Igbo naprawdę dobrze troszczą się o kobiety — powtórzyła Aisha. — Chcę się żenić. Oni mnie kochać, ale mówią, że rodzina chce kobiety Igbo. Bo Igbo zawsze się żenią z Igbo.

Ifemelu przełknęła ślinę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Chcesz wyjść za obu?

— Nie. — Aisha machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. — Chcę się ożenić z jednym. Ale czy to prawda, że zawsze Igbo żenią się z Igbo?

— Igbo pobierają się z różnymi ludźmi. Mąż mojej kuzynki jest Yoruba. A żona mojego wuja jest ze Szkocji.

Aisha przerwała skręcanie i patrzyła na Ifemelu w lustrze, jakby zastanawiała się, czy ma jej uwierzyć.

— Moja siostra mówi, że to prawda. Że Igbo żenią się tylko z Igbo, zawsze —

powiedziała.

— A skąd twoja siostra to wie?

— Zna dużo Igbo w Afryce. Sprzedaje ubrania.

— Gdzie jest?

— W Afryce.

— Gdzie? W Senegal?

— Beninie.

— Czemu mówisz w Afryce, a nie w kraju, o który ci chodzi?

— zapytała Ifemelu.

Aisha cmoknęła.

— Nie znasz Ameryki. Mówisz Senegal, a Amerykanie pytają, gdzie to jest? Koleżanka jest z Burkina Faso, a oni ją pytają,

gdzie twój kraj, w Ameryce Łacińskiej? — Aisha zaczęła skręcać dalej, ze złośliwym uśmiechem na twarzy, a potem zapytała, jakby Ifemelu nie miała prawa rozumieć, jak tu jest:

— A ty długo w Ameryce?

Ifemelu doszła do wniosku, że Aisha w ogóle się jej nie podoba. Chciała zakończyć tę rozmowę, żeby odtąd mówiły tylko to, co trzeba powiedzieć w ciągu sześciu godzin zaplatania warkoczyków, wobec tego udała, że nie słyszała pytania, i wyjęła telefon. Dike wciąż nie odpowiedział na jej esemes. Zwykle robił to po kilku minutach, ale może wciąż jeszcze miał

trening koszykówki albo oglądał z kolegami jakieś głupie filmiki na YouTube. Zadzwoiła do niego i, mówiąc podniesionym głosem, nagrała mu długą wiadomość, gadając bez końca o jego treningu, pytając, czy w Massachusetts też jest tak gorąco i czy w dalszym ciągu wybiera się z Page do kina. Potem, podenerwowana, napisała mail do Obinze i bez czytania go wysłała.

Napisała, że wraca do Nigerii, i chociaż czekała tam już na nią praca, i chociaż jej samochód był

już na statku płynącym do Lagos, nagle po raz pierwszy poczuła, że to się dzieje naprawdę.

„Niedawno postanowiłam, że wracam do Nigerii”.

Aisha nie odpuściła. Ledwie Ifemelu oderwała wzrok od telefonu, zapytała znowu:

— Ty długo w Ameryce?

Ifemelu niespiesznie schowała telefon do torebki. Dawno temu zadano jej podobne pytanie na ślubie jednej z przyjaciółek cioci Uju, a ona odpowiedziała, że dwa lata, co było prawdą, ale szydercza mina Nigeryjki uświadomiła jej, że aby zasłużyć sobie na poważne traktowanie przez Nigeryjczyków w Ameryce, przez Afrykanów w Ameryce, w ogóle przez imigrantów w Ameryce, musi upłynąć więcej lat. Po trzech i pół roku zaczęła mówić, że przyjechała sześć lat temu. Po pięciu twierdziła, że osiem. Teraz, po trzynastu, kiedy kłamstwo chyba nie było już konieczne, i tak skłamała.

— Piętnaście lat — powiedziała.

— Piętnaście? Tak długo? — W oczach Aishy pojawiło się uznanie. — Mieszkasz tu, w Trenton?

— Mieszkam w Princeton.

— Princeton. — Aisha umilkła na chwilę. — Ty studentka?

— Właśnie skończyłam stypendium — powiedziała wiedząc, że Aisha nie zrozumie, co to takiego stypendium, i przez tę krótką chwilę, kiedy Aisha wydawała się spłoszona, Ifemelu odczuwała perwersyjną radość. Właśnie, w Princeton.

Właśnie, w miejscu, o którym Aisha mogła tylko pomarzyć, w miejscu, w którym nigdzie nie ma napisu „SZYBKI ZWROT PODATKU”; ludzie w Princeton nie potrzebowali szybkiego zwrotu podatku.

— Ale wracam do domu, do Nigerii — dodała Ifemelu nagle, z żalem. — Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu.

— Odwiedzić rodzinę.

— Nie. Wracam. Będę mieszkać w Nigerii.

— Dlaczego?

— Co to znaczy dlaczego? A dlaczego nie?

— Lepiej ty wysyłać pieniądze. Chyba że twój ojciec wielki człowiek. Masz znajomości?

— Znalazłam tam pracę — powiedziała.

— Zostajesz w Ameryce piętnaście lat i tak po prostu wracasz, żeby pracować? — Aisha uśmiechnęła się złośliwie. — Dasz tam radę?

Aisha przypomniała jej słowa cioci Uju, gdy ta wreszcie przyjęła do wiadomości, że Ifemelu naprawdę chce wrócić — „Poradzisz sobie?” — i sugestię, że w pewnym sensie Ameryka zmieniła ją w nieodwracalny sposób, że na skórze wyrosły jej kolce. Jej rodzice także chyba uważali, że sobie nie „poradzi” z Nigerią. „Teraz przynajmniej masz amerykańskie obywatelstwo, więc zawsze będziesz mogła wrócić do Ameryki”, powiedział jej ojciec. Oboje rodzice pytali, czy Blaine wybiera się z nią, nie kryjąc nadziei w głosie. Bawiło ją, że teraz tak często pytają o Blaine’a, tym bardziej że nie od razu pogodzili się z tym, iż jej chłopak jest czarnym Amerykaninem. Wyobrażała sobie, jak po cichu pielęgnują marzenia o jej ślubie; matka obmyśla catering i kolory, ojciec zastanawia się, do którego ze swoich wysoko postawionych przyjaciół mógłby się zwrócić z prośbą o sponsoring. Nie chciała rozwiewać ich nadziei, bo tak niewiele trzeba było, żeby ją podtrzymać, co z kolei sprawiało im radość, powiedziała więc ojcu:

„Postanowiliśmy, że ja przyjadę pierwsza, a po kilku tygodniach Blaine do mnie dołączy”.

— Wspaniale — ucieszył się ojciec, a ona nic nie dodała, bo najlepiej było zostać na etapie wspaniałości.

Aisha trochę za mocno pociągnęła ją za włosy.

— Piętnaście lat w Ameryce to bardzo długo — powiedziała, jakby przez cały czas się nad tym zastanawiała. — Masz chłopaka? Męża?

— Jadę do Nigerii, żeby zobaczyć się z moim mężczyzną — powiedziała Ifemelu, zaskakując samą siebie.

„Mój mężczyzna”. Jakże łatwo kłamać przed obcymi, wraz z nimi tworzyć wersję takiego życia, o jakim się marzy.

— Och! OK! — powiedziała Aisha uradowana; Ifemelu podała jej w końcu zrozumiały powód, dla którego chce wracać. — Wyjdiesz za niego?

— Może. Zobaczymy.

— Och! — Aisha przerwała skręcanie i wpatrywała się w Ifemelu w lustrze nieruchomym wzrokiem, aż Ifemelu przez chwilę lękała się, że może kobieta jest jasnowidzem i odkryje kłamstwo.

— Chcę, żeby ty spotkać moich mężczyzn. Zadzwoń do nich. Przyjdą i ich zobaczysz.

Pierwszy nazywam Chijioke. Pracuje na taryfie. Potem Emeka. Ochroniarz. Ty ich zobaczysz.

— Nie musisz do nich dzwonić tylko po to, żebym mogła ich poznać.

— Nie, ja zadzwonić. Ty im mów, że Igbo mogą się żenić nie tylko z Igbo. Ciebie posłuchać.

— Nie, naprawdę. Nie mogę tego zrobić.

Aisha mówiła dalej, jakby nie słyszała.

— Powiedzieć im. Oni cię posłuchać, bo ty ich siostra Igbo. Każdy jest dobry. Ja chcę ślubu.

Ifemelu patrzyła na Aiszę, niedużą senegalską kobietę ze zwyczajną twarzą i skórą jak patchwork, która miała dwóch narzeczonych Igbo, choć wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, i która teraz upierała się, żeby Ifemelu się z nimi spotkała i namówiła ich na ślub z Aiszą. To byłby wspaniały wpis do bloga: „Dziwaczny przypadek czarnej nie-Amerykanki albo jak trudy życia na emigracji mogą przyprawić o szaleństwo”.

ROZDZIAŁ 2

Obinze zobaczył mail od niej, kiedy na tylnym siedzeniu w swoim range roverze tkwił

w korku ulicznym w Lagos, marynarkę miał powieszoną na oparciu przedniego siedzenia, do okna z jego strony przykleiło się rudowłose zebrzące dziecko, do drugiego uliczny handlarz przyciskał kolorowe płyty CD, radio cicho grało, nastawione na nadającą wiadomości w pidgin english stację Wazobia FM, a spowijająca wszystko ponura szarość zwiastowała rychły deszcz.

Obinze wpatrywał się w swojego BlackBerry, nagle spięty. Najpierw przebiegł wiadomość wzrokiem, instynktownie licząc, że będzie dłuższa. „Suficie, *kedu?* Mam nadzieję, że w pracy i z twoją rodziną w porządku. Ranyinudo mówiła, że spotkała cię niedawno i że masz dziecko!

Dumny tatuś. Gratulacje. Ostatnio postanowiłam wrócić do Nigerii. Powinnam być w Lagos za tydzień. Chętnie się spotkam. Trzymaj się. Ifemelu.”

Znowu przeczytał wiadomość, tym razem powoli, i nagle poczuł gwałtowną potrzebę wygładzenia czegoś, spodni, gładko wygolonej głowy. Nazwała go Sufit. W ostatniej wiadomości, wysłanej tuż przed jego ślubem, zwróciła się do niego Obinze, przeprosiła, że od lat się nie odzywała, radośnie życzyła mu szczęścia i wspomniała o czarnym Amerykaninie, z którym mieszkała. Elegancki mail. Obinze był tak wściekły, że wyszukał w Google czarnego Amerykanina — czy podawałaby jego pełne imię i nazwisko, gdyby nie chciała, żeby go sprawdził w internecie? — wykładowcę w Yale, i wkurzyło go, że mieszkała z facetem, który w swoim blogu zwracał się do przyjaciół „kociaki”, ale tak naprawdę dobiło go zdjęcie czarnego Amerykanina, ociekającego intelektem, w niepomiętych džinsach i okularach w czarnych oprawkach. Dlatego odpowiedź, którą jej wysłał, była celowo chłodna. „Dziękuję za życzenia, to najszcześniejsze chwile w moim życiu”, napisał. Miał nadzieję, że przyśle jakąś kpiącą odpowiedź — ten pierwszy mail, pozbawiony choćby cienia złośliwości, był tak bardzo nie w jej stylu — ale ona nie odpisała w ogóle, a kiedy on znowu, po miesiącu miodowym w Maroku, wysłał jej mail, w którym pisał, że chciałby być z nią w kontakcie i czasem porozmawiać, również nie odpowiedziała.

Samochody ruszyły. Padał lekki deszcz. Żebrzące dziecko biegło obok, wybałuszając oczy jeszcze bardziej teatralnie i jeszcze bardziej gorączkowo gestykulując: raz za razem podnosiło do ust rękę ze złożonymi razem koniuszkami palców. Obinze opuścił okno i wyciągnął

stunairowy banknot. Jego kierowca, Gabriel, przyglądał się temu we wstecznym lusterku z ponurą dezaprobatą.

— Niech Bóg cię błogosławi, oga! — powiedział mały żebrak.

— Niech pan nie daje tym żebrakom pieniędzy, sir — odezwał się Gabriel. — Oni są wszyscy bogaci. Na zebraniu zarabiają wielkie pieniądze. Taki jeden to podobno wybudował

sobie dom z sześcioma mieszkaniami w Ikeja!

— To czemu ty pracujesz jako szofer, zamiast być żebrakiem, Gabrielu? — zapytał

Obinze i roześmiał się, nieco zbyt serdecznie.

Chciał powiedzieć Gabrielowi, że właśnie dostał mail od swojej dziewczyny ze studiów, a tak naprawdę dziewczyny ze studiów i z liceum. Kiedy po raz pierwszy pozwoliła, żeby zdjął

jej stanik, leżała na plecach, pojękując cicho, szeroko rozstawionymi palcami obejmując jego głowę, a potem powiedziała:

— Miałam otwarte oczy, ale nie widziałam sufitu. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Inne dziewczyny udawały, że wcześniej nie pozwoliły się dotknąć chłopakowi, ale nie ona, nigdy. Była zażarcie uczciwa. Zaczęła nazywać „sufitem” to, co razem robili, kiedy tulili się

z czułością na jego łóżku pod nieobecność matki, w samej tylko bieliźnie, dotykając się, całując, ssąc, poruszając biodrami w udawanym stosunku. „Tęsknię za sufitem”, napisała raz na tylnej okładce jego zeszytu do geografii i później przez długi czas nie potrafił patrzeć na ten zeszyt, bo czuł, jak narasta w nim podniecenie, skrywana ekscytacja. Na studiach, kiedy już przestali symulować, zaczęła nazywać go Sufit, żartobliwie, ale z podtekstem — jednak kiedy się kłócili albo ona wpadała w ponury nastrój, mówiła do niego Obinze. Nigdy nie zwracała się do niego Zed, jak to robili jego przyjaciele.

— A tak w ogóle, czemu mówisz do niego Sufit? — zapytał ją raz jego przyjaciel Okwudiba w jeden z tych leniwych dni po pierwszych semestralnych egzaminach.

Przyłączyła się do jego przyjaciół, kiedy siedzieli przy brudnym plastikowym stoliku w piwiarni niedaleko kampusu. Napiła się maltyny z butelki, przelknęła, zerknęła na Obinze i powiedziała:

— Bo jest taki wysoki, że głową dotyka sufitu, nie zauważyłeś?

Powiedziała to celowo powoli, z uśmiechem na ustach, dając im wszystkim do zrozumienia, że wcale nie dlatego tak go nazywa. Zresztą wcale nie był wysoki. Kopnęła go pod stołem, a on jej oddał, obserwując kolegów, którzy zaczęli się śmiać. Wszyscy troszkę się jej bali i troszkę się w niej podkochiwali. Czy widziała sufit, kiedy ten czarny Amerykanin ją dotykał?

Czy z innymi mężczyznami też używała słowa „sufit”? Złościł się na myśl, że tak może być.

Zadzwoił jego telefon i przez krótką chwilę dezorientacji myślał, że to może Ifemelu dzwoni do niego z Ameryki.

— Kochanie, *kedu ebe I no?*

Jego żona, Kosi, zawsze zaczynała w ten sposób, kiedy do niego dzwoniła: „Gdzie jesteś?” On, dzwoniąc do niej, nigdy tego nie robił, ale ona i tak mu mówiła: „Właśnie wchodzę do salonu. Jestem na Trzecim Moście Mainland”. Zupełnie jakby musiała się upewnić, że istnieją naprawdę, kiedy nie mogli być razem. Miała wysoki, dziewczęcy głos. O wpół do ósmej mieli być na przyjęciu u Szefa, a już minęła szósta.

Powiedział jej, że utkwiał w korku.

— Ale już się ruszyło, właśnie skręciliśmy w Ozumba Mbadiwe. Zaraz będę.

Na autostradzie Lekki był płynny ruch, deszcz przestawał padać i wkrótce Gabriel naciskał klakson przed wysoką czarną bramą jego domu. Mohammed, żyłasty stróż w brudnym, białym kaftanie, otworzył bramę i uniósł rękę w powitalnym geście. Obinze popatrzył na brązowy dom z kolumnadą. Wewnątrz były jego meble importowane z Włoch, jego żona, jego dwuletnia córeczka Buchi, niania Christiana, siostra żony Chioma, która przyjechała na przymusowe wakacje, ponieważ

wykładowcy na uniwersytecie znowu strajkowali, i nowa pomoc domowa, Marie, sprowadzona z Republiki Beninu, ponieważ jego żona uznała, że Nigeryjki są nieodpowiednie. Pokoje były chłodne, klimatyzacja cicho pracowała, kuchnia pachniała curry i tymiankiem, telewizor na dole był ustawiony na CNN, na górze na Cartoon Network, a wszystko to przesycone atmosferą niezakłóconego niczym dostatku. W ostatnich miesiącach czuł, że puchnie od tego wszystkiego, co zdobył — rodziny, domów, samochodów, kont w banku

— i od czasu do czasu nachodziła go ochota, żeby to nakłuć szpilką, spuścić z tego powietrze, uwolnić się. Nie był już pewny, chyba ni gdy nie był, czy lubił swoje życie, bo lubił je naprawdę, czy lubił, bo powinien był lubić.

— Kochanie — powitała go Kosi, otwierając drzwi, jeszcze zanim do nich doszedł.

Jej cera promieniała, a on pomyślał, co często mu się zdarzało, jaką piękną była kobieta, o oczach w kształcie idealnych migdałów i rysach o idealnej symetrii. Suknię z gnieczonego jedwabiu miała ciasno zebraną w talii, dzięki czemu jej figura przypominała klepsydrę. Objął ją, uważając, żeby nie dotknąć jej ust, pomalowanych na różowo i obwiedzionych ciemniejszą

konturówką.

— Słońce w nocy! *Asa! Ugo!* — powiedział. — Szef nie musi zapalać żadnych świateł na przyjęciu, wystarczy, że ty tam będziesz.

Roześmiała się. Tak samo śmiała się, otwarcie uradowana swoim wyglądem, kiedy ludzie ją pytali: „Czy twoja matka była biała? Jesteś półkrwi?”, ponieważ miała tak jasną skórę. Czuł się skonsternowany, że taką sprawia jej przyjemność, kiedy ktoś błędnie bierze ją za mieszańca.

— Tatusz, tatusz! — krzyknęła Buchi, biegnąc do niego chwiejnym kroczeniem, typowym dla małych dzieci. Była świeżo wykąpana, w piżamce w kwiatki i pachniała balsamem dla dzieci.

— Bum-bum! Tatusz bum!

Podniósł ją, pocałował, wtulił twarz w jej szyjkę i —
ponieważ zawsze ją to bawiło —

udał, że upuszcza na podłogę.

— Weźmiesz kąpiel czy tylko się przebierzesz? — zapytała Kosi, idąc za nim na górę, gdzie na łóżku rozłożyła dla niego niebieski kaftan. Wolałby koszulę albo mniej ozdobny kaftan zamiast tego, z przesadnie dekoracyjnym haftem, który Kosi kupiła za astronomiczną kwotę od jednego z tych nowych, pretensjonalnych projektantów mody na Wyspie. Ale założyła właśnie ten, żeby sprawić jej przyjemność.

— Tylko się przebiorę — powiedział.

— Jak było w pracy? — spytała w swój zwykły, wymijający, uprzejmy sposób.

Powiedział jej, że myślał o nowym bloku mieszkalnym, który właśnie wybudował

w Parkview. Miał nadzieję wynająć go Shellowi, bo firmy naftowe należały do najlepszych najemców, nigdy się nie uskarżały na niespodziewane podwyżki i bez protestów płaciły w amerykańskich dolarach, dzięki czemu nie trzeba było mieć do czynienia z wiecznie zmieniającymi wartościami nairami.

— Nie martw się — powiedziała, dotykając jego ramienia. — Bóg ześle nam Shella.

Poradzimy sobie, kochanie.

W rzeczywistości wszystkie mieszkania były już wynajęte przez firmę naftową, ale czasem opowiadał jej takie bzdury, ponieważ po części miał nadzieję, że zada mu jakieś trudne pytanie, chociaż wiedział, że tego nie zrobi, bo chciała jedynie mieć pewność, że warunki ich życia się nie zmienią, ale troskę o to pozostawiała wyłącznie jemu.

Na przyjęciu u Szefa będzie się jak zwykle nudził, ale pójdzie, bo chodził na wszystkie przyjęcia, które Szef wydawał, i za każdym razem, gdy parkował przed ogromnym domem Szefa, przypominał sobie, jak znalazł się tu po raz pierwszy, ze swoją kuzynką Nneomą. Wrócił świeżo z Anglii, w Lagos był

zaledwie od tygodnia, ale Nneoma już marudziła, że mógłby przestać wylegiwać się w jej mieszkaniu i tylko czytać i sprzątać.

— Aj-aj! *O gini?* Czy ty pierwszy masz taki problem? Musisz ruszyć się i zacząć kombinować. Wszyscy kombinują. Lagos to jedno wielkie kombinowanie — powiedziała Nneoma.

Miała zręczne ręce o grubych dłoniach i prowadziła wiele interesów; jeździła do Dubaju kupować złoto, do Chin po damskie ubrania, a ostatnio została dystrybutorem firmy handlującej mrożonymi kurczakami.

— Mógłbyś mi pomagać w interesach, ale nie, ty jesteś za miękki, mówisz za dobrze po angielsku. Mnie jest potrzebny ktoś z *gra-gra* — powiedziała.

Obinze wciąż nie mógł się otrząsnąć po tym, co go spotkało w Anglii, wciąż krył się w kokonie żalu nad samym sobą i kiedy Nneoma zadawała mu to pytanie — „Czy ty pierwszy masz taki problem?” — denerwował się. Nic nie rozumiała ta jego kuzynka, z którą dorastał

w rodzinnej wiosce, która patrzyła na świat zimnymi, obojętnymi oczami. Ale powoli zaczynał

rozumieć, że ona ma rację, nie był pierwszy ani ostatni. Zaczął się starać o pracę z ogłoszeń w gazetach, ale nikt go nie zaprosił na rozmowę, a jego koledzy ze szkoły, którzy teraz pracowali w bankach albo firmach telefonii komórkowej, zaczęli go unikać, przestraszeni, że wciśnie im swoje kolejne CV.

Któregoś dnia Nneoma oznajmiła:

— Znam jednego bardzo bogatego człowieka, Szefa. Ciągłe się za mną ugania, ech, ale ja mu odmawiam. Ma poważny problem z kobietami i może kogoś zarazić AIDS. Ale ja znam tych mężczyzn, zapamiętują tylko tę kobietę, która im odmówi. Więc od czasu do czasu on do mnie dzwoni, czasem idę go pozdrowić. Nawet pomógł mi z pieniędzmi, żebym mogła zacząć własny biznes, po tym jak w zeszłym roku te dzieci szatana ukradły moje oszczędności. Wciąż myśli, że któregoś dnia się zgodzę. Ha, *o di egwu*, na kogo? Zaprowadzę

cię do niego. Jak jest w dobrym humorze, potrafi być bardzo hojny. Zna w tym kraju wszystkich. Może da nam list do jakiegoś dyrektora.

Drzwi otworzył im steward. Szef siedział na pozłacanym krześle, które wyglądało jak tron, popijał koniak, a zewsząd otaczali go goście. Zerwał się, niewysoki, uradowany i pełen werwy.

— Nneoma! To ty? Więc pamiętałaś o mnie dzisiaj! — powiedział.

Objął Nneomę, cofnął się i bezczelnie otaksował wzrokiem jej biodra podkreślone dopasowaną spódnicą i włosy opadające długą falą na ramiona.

— Chcesz żebym dostał zawału, co?

— Ależ proszę cię. Co ja bym bez ciebie zrobiła? — odparła Nneoma żartobliwie.

— Dobrze wiesz, co zrobić — powiedział Szef, a jego goście, trzech mężczyźni, zarechotali znacząco.

— Szefie, to mój kuzyn Obinze. Jego matka jest siostrą mojego ojca, panią profesor —

rzekła Nneoma. — To ona płaciła za moje studia, od początku do końca. Gdyby nie ona, nie wiem, gdzie bym dzisiaj była.

— Cudownie, cudownie! — powiedział Szef, patrząc na Obinze, jakby on też miał swój udział w tej hojności.

— Dobry wieczór panu — rzekł Obinze.

Zaskoczyło go, że Szef wyglądał trochę fircykowato, zadbany aż do przesady: paznokcie po manikiurze i błyszczące, czarne aksamitne pantofle, brylantowy krzyżyk na szyi. Spodziewał się kogoś bardziej postawnego i nie tak wymuskanego.

— Siadajcie. Co wam podać?

Jak z czasem Obinze się przekonał, Ważni Mężczyźni i Ważne Kobiety nie rozmawiali z ludźmi, oni do nich przemawiali, i tamtego wieczoru Szef mówił i mówił, perorował o polityce, a goście piali z zachwytem: „W rzeczy samej! Ma pan absolutną rację, Szefie! Dziękujemy!”.

Wszyscy ubrani byli w sposób typowy dla młodych, zamożnych mieszkańców Lagos — skórzane pantofle, jeansy i rozpięte pod szyją dopasowane koszule, wszystkie z logo znanych projektantów

— ale z ich zachowania przebijała uniżona gorliwość ludzi w potrzebie.

Kiedy goście wyszli, Szeff zwrócił się do Nneomy:

— Znasz tę piosenkę *Nikt nie wie, co będzie jutro?* — i zaczął śpiewać z dziecinnym zapalem. — Nikt nie wie, co będzie jutro! Ju-u-tro! Nikt nie wie! — po raz kolejny nalał sobie szczerze koniaku do kieliszka. — To jedna z zasad, na której opiera się ten kraj. Główna zasada.

Nikt nie wie, co będzie jutro. Pamiętacie tych wielkich bankierów za rządów Abacha? Wydawało im się, że mają ten kraj na własność, i ani się obejrżeli, jak wylądowali w więzieniu. Albo ten żebrak, który nie miał na czynsz, a potem Babangida dał mu szyb naftowy i teraz lata prywatnym

odrzutowcem! — Szeff mówił triumfalnym tonem, zwykle obserwacje wygłaszając jak epokowe odkrycia, a Nneoma słuchała, uśmiechała się i przytakiwała. Była przesadnie ożywiona, jakby szerszy uśmiech, głośniejszy śmiech, z coraz większym zapalem podbechtywane ego miały im zapewnić pomoc Szefa. Obinze bawiło, że robi to w tak oczywisty sposób, tak otwarcie flirtuje.

Ale Szeff dał im tylko w prezencie skrzynkę czerwonego wina, po czym rzekł niezobowiązująco do Obinze:

— Wpadnij do mnie w przyszłym tygodniu.

Obinze odwiedził Szefa w następnym tygodniu, i w następnym; Nneoma powiedziała, żeby kręcił się w pobliżu, aż Szeff w końcu coś mu zaproponuje. Kucharz Szefa zawsze podawał

zupę ze świeżej papryki, mocno przyprawione kawałki ryby w rosole, po której Obinze ciekło z nosa, w głowie mu się przejaśniało, przyszłość rysowała się mniej mgliście i napawała nadzieją, siedział więc zadowolony, przysłuchując się Szefowi i jego gościom. Fascynowali go, ich mało subtelne

zachwyty prawie bogatych nad bogatymi, bogatych nad bardzo bogatymi; wydawało się, że aby mieć pieniądze, trzeba się było dać pieniądzom pożreć. Obinze czuł odrazę i pragnienie; było mu tych ludzi żal, ale też wyobrażał sobie, że jest taki jak oni. Któregoś dnia SzeF wypił

więcej koniaku niż zwykle i zaczął mówić chaotycznie o ludziach, którzy wbijają innym nóż w plecy, chłopczykach, którzy pokazywali pazury, i niewdzięcznych głupcach, którym się wydawało, że są bardzo sprytni. Obinze nie do końca rozumiał, co się stało, ale ktoś zdenerwował SzeFa, powstała luka, i kiedy tylko zostali sami, zwrócił się do niego:

— SzeFie, czy mógłbym jakoś pomóc? Proszę mi tylko powiedzieć. Może pan na mnie polegać.

Zdumiały go własne słowa. Przeszedł samego siebie. Zupa z papryki w ten sposób na niego podziałała. Tak właśnie wyglądało zabieganie. Był w Lagos i musiał zabiegać.

SzeF popatrzył na niego, długo i chytrze.

— W tym kraju potrzebujemy takich ludzi jak ty. Ludzi z dobrych rodzin, dobrze wychowanych. Jesteś dżentelmenem, widzę to w twoich oczach. A twoja matka jest profesorem.

To niełatwe.

Obinze uśmiechnął się lekko, by pokazać, że z pokorą przyjmuje tę dziwną pochwałę.

— Jesteś głodny i szczery, a to w tym kraju rzadkość. Prawda?
— zapytał SzeF.

— Tak — powiedział Obinze, chociaż nie wiedział, czemu przytakuje: że taki jest, czy że to rzadko spotykana cecha. Ale to nie miało znaczenia, bo SzeF najwyraźniej wiedział.

— Wszyscy w tym kraju są głodni, nawet bogaci są głodni, ale nikt nie jest uczciwy.

Obinze przytaknął, a SzeF znowu popatrzył na niego przeciągle, po czym bez słowa zajął

się na powrót swoim koniakiem. Podczas następnej wizyty SzeF był gadatliwy jak zwykle.

— Byłem przyjacielem Babangidy. Byłem przyjacielem Abachy. Teraz wojskowych nie ma, a moim przyjacielem jest Obasanjo — powiedział. — Wiesz dlaczego? Bo jestem głupi?

— Oczywiście, że nie, Szefie — zapewnił go Obinze.

— Mówią, że National Farm Support Corporation zbankrutowała i będą ją prywatyzować.

Wiedziałaś o tym? Nie. A skąd ja wiem? Bo mam przyjaciół. A zanim ty się o tym dowiesz, ja już zajmę stanowisko i będę czerpał korzyści z arbitrażu. To jest nasz wolny rynek! — Szef się roześmiał. — Korporacja powstała w latach sześćdziesiątych i teraz ma wszędzie nieruchomości.

Domy są przegniłe, a termity zżerają dachy. Ale je sprzedają. Kupię siedem nieruchomości po pięć milionów za każdą. Wiesz, na ile są wycenione w księgach? Na milion. A wiesz, ile są naprawdę warte? Pięćdziesiąt milionów. — Szef przerwał, żeby popatrzeć na jeden z dzwoniących telefonów (obok niego na stole leżały cztery), ale zignorował go i znowu rozsiadł

się na kanapie. — Potrzebuję kogoś jako przykrywkę.

— Oczywiście, proszę pana, mogę to zrobić — powiedział Obinze.

Później Nneoma siedziała na łóżku i uszczęśliwiona dawała mu rady, jednocześnie co chwilę bijąc się po głowie; skóra pod elegancką fryzurą ją swędziała, ale nie odważyła się drapać, więc musiała sobie radzić w ten sposób.

— To twoja szansa! Zed, uśmiechnij się! Mówią, że to naprawdę wielka sprawa, takie wyceny, ale to nic trudnego. Zaniżasz wartość nieruchomości i pilnujesz, aby wyglądało, że przestrzegasz procedur. Kupujesz nieruchomość, sprzedajesz połowę, żeby pokryć cenę zakupu, i wchodzisz do interesu! Zarejestrujesz własną firmę. Potem kupisz dom w Lekki, kilka samochodów, poprosisz swoje miasto, żeby ci nadało kilka tytułów, przyjaciół, żeby zamieścili ogłoszenia z gratulacjami w gazecie, i zanim się obejrzyysz, każdy bank, do którego wejdiesz, będzie ci proponował natychmiastową pożyczkę, bo będą myśleć, że już nie potrzebujesz pieniędzy! A jak

zarejestrujesz firmę, musisz poszukać jakiegoś białego. Poszukaj jakiegoś białego kolegi w Anglii. Powiedz wszystkim, że jest u ciebie dyrektorem. Zobaczysz, jak wszystkie drzwi się przed tobą otworzą, bo masz dyrektora *oiynbo*. Nawet Szef ma swoich białych, których przyprowadza i pokazuje, kiedy mu to jest potrzebne. Tak to się robi w Nigerii.

Mówię ci.

I rzeczywiście, Obinze tak zrobił i robi dalej. Był zszokowany, jak proste się to okazało.

Kiedy po raz pierwszy poszedł do banku z listem ofertowym, czuł się surrealistycznie, mówiąc

„pięćdziesiąt” albo „pięćdziesiąt pięć”, nie dodając „milionów”, ponieważ nie było potrzeby dodawać tego, co oczywiste. Zaskoczeniem była też dla niego łatwość, z jaką przychodziły mu inne rzeczy, jak sam pozór bogactwa sprawiał, że wszystko odbywało się gładko. Wystarczyło, że podjechał przed bramę w swoim bmw, i portier salutował, otwierając ją przed nim, bez zadawania zbędnych pytań. Nawet w ambasadzie amerykańskiej było inaczej. Przed laty, kiedy był świeżo po studiach i pijany od amerykańskich ambicji, odmówiono mu wizy, ale gdy teraz przedstawił nowe wyciągi z banku, dostał wizę bez problemu. Podczas pierwszej podróży, na lotnisku w Atlancie urzędnik imigracyjny był uprzejmy i rozmowny.

— Ile ma pan gotówki? — zapytał.

Kiedy Obinze odparł, że niewiele, mężczyzna był zaskoczony.

— Nigeryjczycy tacy jak pan bez przerwy deklarują całe tysiące dolarów.

Oto kim się stał, Nigeryjczykiem, który na lotnisku powinien deklarować mnóstwo pieniędzy w gotówce. Wpędzało go to w dziwną dezorientację, ponieważ jego umysł nie zmieniał

się w tym samym tempie, co jego życie, i pomiędzy sobą a tym, kim powinien być, wyczuwał

pustkę.

Wciąż nie pojmował, czemu Szef postanowił mu pomóc, wykorzystać go, przymykając oczy, a wręcz zachęcając go do czerpania własnych korzyści. W końcu dom Szefa odwiedzał niekończący się sznur płaszczących się gości, krewnych i przyjaciół, którzy przyprawiali własnych krewnych i przyjaciół, z kieszeniami pełnymi próśb i odwołań. Czasem się zastanawiał, czy któregoś dnia Szef go o coś poprosi, głodnego i uczciwego chłopca, którego uczynił wielkim, a w bardziej melodramatycznych momentach wyobrażał sobie, jak Szef prosi go o dokonanie zabójstwa.

Kiedy zjawili się na przyjęciu u Szefa, Kosi zaczęła krążyć wśród gości, obejmując w uścisku mężczyzn i kobiety, których ledwo знаła. Do starszych zwracała się „ma” albo „sir”

z przesadnym szacunkiem, pławiąc się w zachwycie, jaki wzbudzała jej twarz, ale na tyle skromnie, by jej uroda nie stanowiła dla nikogo zagrożenia. Chwaliła włosy jakiejś kobiety, sukienkę innej, krawat jednego z mężczyzn. Często powtarzała „Bogu dzięki”. Kiedy jakaś kobieta zwróciła się do niej oskarżycielskim tonem, mówiąc: „Jakiego kremu do twarzy

używasz? Jak można mieć taką cerę?”, Kosi roześmiała się z wdzięcznością i obiecała wysłać kobiecie esemes z opisem pielęgnacji, jaką stosuje.

Obinze zawsze się dziwił, jak za wszelką cenę starała się być lubiana przez wszystkich bez wyjątku, z nikim nie zadzierać. W niedziele zapraszała jego krewnych na tłuczone jamy i zupę onugbu, a potem pilnowała, żeby każdy się najadł do syta. „Wujku, musisz jeść, o!

W kuchni jest jeszcze mięso! Przyniosę ci następnego guinnessa!” Kiedy pierwszy raz zabrał ją do domu swojej matki w Nnsukka, natychmiast rzuciła się, żeby pomóc w podawaniu do stołu, a kiedy po posiłku matka zabrała się do sprzątnięcia, Kosi zerwała się oburzona.

— Mamusiu, jak możesz sprzątać, kiedy ja tu jestem?

Każde zdanie, które wypowiadała do któregoś z jego wujków, kończyła „sir”. Córkom jego kuzynek wplatała we włosy wstążki. W jej skromności było coś nieskromnego: za bardzo się z nią obnosiła.

W tej chwili dygała i witała się z panią Akin-Cole, legendarnie starszą kobietą z równie legendarnie starej rodziny, której wyniosła mina i wiecznie uniesione brwi zdradzały osobę przywykłą do przyjmowania hołdów. Obinze często sobie ją wyobrażał, jak odbija się jej bąbelkami szampana.

— Jak się miewa twoja córeczka? Chodzi już do szkoły? — zapytała pani Akin-Cole. —

Musisz ją posłać do francuskiej szkoły. Są bardzo dobre, pilnują w nich dyscypliny. Oczywiście uczą francuskiego, ale dziecku tylko wyjdzie na dobre, jak pozna inny cywilizowany język, tym bardziej że angielskiego uczy się już w domu.

— OK, *ma*. Zastanowię się nad francuską szkołą — powiedziała Kosi.

— Francuska szkoła nie jest zła, ale ja osobiście wolę Sidcot Hall. Mają tam kompletny angielski program — odezwała się inna kobieta, której imienia Obinze nie pamiętał.

Wiedział, że zarobiła dużo pieniędzy w czasie rządów generała Abachy. Wieść niosła, że zajmowała się stręczycielstwem, podsuwała młode dziewczyny oficerom armii, którzy w zamian załatwiali jej zawyżone kontrakty na dostawy. Teraz, w obcisłej sukience z cekinami, podkreślającej obwisły brzuch, była w Lagos jedną z tych kobiet w średnim wieku, którą rozczarowania pozbyły złudzeń, gorycz przeżarła jak rdza, a pryszcze na czole musiała ukrywać pod grubą warstwą podkładu.

— Ach tak, Sidcot Hall — powiedziała Kosi. — Jest już na szczycie mojej listy, bo właśnie wiem, że tam uczą według brytyjskiego programu.

Normalnie Obinze w ogóle by się nie odzywał, tylko patrzył i słuchał, dzisiaj jednak z jakiegoś powodu było inaczej.

— Przecież my wszyscy chodziliśmy do podstawówek, które miały program nigeryjski, prawda?

Kobiety popatrzyły na niego; ich zaskoczone miny sugerowały, że nie może mówić poważnie. I w pewnym sensie tak było. Oczywiście on także chciał dla swojej córki wszystkiego, co najlepsze. Czasami, jak w tej chwili, czuł się intruzem w tych nowych kręgach ludzi, którzy wierzyli, że tylko najnowsze szkoły, najnowsze programy nauczania zapewnią ich dzieciom wszystko. Nie podzielał tej pewności. Zbyt wiele czasu spędził, żałując tego, co mogło być, i kwestionując to, co powinno być.

Kiedy był młodszy, podziwiał ludzi, których dzieciństwo upływało w dostatku i którzy mówili z obcym akcentem, ale z czasem zaczął wyczuwać w nich jakąś tęsknotę, przepełnione smutkiem poszukiwanie czegoś, czego nie potrafili nigdy znaleźć. Nie chciał, żeby jego dziecko, choć wykształcone, żyło w sieci poczucia braku bezpieczeństwa. Buchi nie pójdzie do francuskiej szkoły, tego był pewny.

— Jeśli chcecie unieszczęśliwić własne dziecko, posyłając je do jednej z tych szkół

z niedouczonej nigeryjskimi nauczycielami, to wasza sprawa — powiedziała pani Akin-Cole.

Mówiła z trudnym do zlokalizowania obcym akcentem, brytyjskim, amerykańskim i jeszcze jakimś innym, typowym dla bogatych Nigeryjczyków, którzy za nic nie chcieli pozwolić, żeby świat zapomniał, jacy są światowi, jak ich vipowska karta British Airways dusi się od ilości wylatanych mil.

— Mam koleżankę, jej syn chodzi do szkoły na lądzie i wyobraźcie sobie, że w całej szkole mają tylko pięć komputerów. Tylko pięć! — powiedziała jedna z kobiet.

Obinze przypomniał sobie wreszcie jej imię. Adamma.

— Świat się zmienia — powiedziała pani Akin-Cole.

— To prawda — rzekła Kosi. — Ale rozumiem też, co Obinze chce powiedzieć.

Stawała po obu stronach jednocześnie, żeby zadowolić każdego; zawsze od prawdy wolała pokój, zawsze była skłonna do konformizmu. Obinze patrząc, jak rozmawia z

panią Akin-Cole, ze złocistym cieniem połyskującym na powiekach, zawstydził się swoich myśli. Była oddaną kobietą; pełną dobrych chęci, oddaną kobietą. Ujął jej dłoń.

— Pójdziemy do Sidcot Hall i do francuskiej szkoły, obejrzymy też niektóre nigeryjskie placów ki, na przykład Crown Day — powiedziała Kosi i popatrzyła na niego błagalnie.

— Tak — rzekł, ściskając jej rękę.

Wiedziała, że w ten sposób ją przeprosza, a później zrobi to jeszcze raz, jak należy.

Powinien był siedzieć cicho, nie wtrącać się do jej rozmowy. Nieraz mówiła mu, że koleżanki jej zazdroszczą, bo Obinze zachowuje się jak zagraniczny mąż, robi jej śniadanie w niedzielę i wieczorami nie wychodzi z domu. Duma w jej oczach pozwalała mu dostrzegać piękniejszą, lepszą wersję samego siebie. Już miał powiedzieć coś do pani Akin-Cole, kiedy zza pleców dobiegł go podniesiony głos Szefa.

— Wiecie przecież, że kiedy my tu sobie rozmawiamy, ropa wypływa z nielegalnych rurociągów i w butelkach sprzedają ją w Cotonou! Tak! Tak!

Szef podszedł do nich.

— Moja piękna księżniczka! — powiedział do Kosi i objął ją, mocno przyciskając do siebie.

Obinze zastanawiał się, czy Szef złożył jej kiedyś propozycję. Nie zdziwiłoby go to.

Kiedy pewnego razu był u Szefa, jakiś mężczyzna przyszedł złożyć mu wizytę razem ze swoją dziewczyną, a kiedy wyszła do toalety, Obinze słyszał, jak Szef mówi do niego: „Podoba mi się ta dziewczyna. Daj mi ją, a ja dam ci ładny kawałek ziemi w Ikeja”.

— Świetnie pan wygląda, Szefie — powiedziała Kosi. — Zawsze taki młody!

— Och, moja kochana, staram się, staram.

Szef żartobliwie pociągnął za satynowe klapy swojego smokingu. Rzeczywiście prezentował się dobrze, szczupły i

wyprostowany, przeciwnie niż jego kumple, którzy wyglądali jak mężczyźni w ciąży.

— Mój chłopcze! — zwrócił się do Obinze.

— Dobry wieczór, Szefie.

Obinze obydwoma rękami uściśnął dłoń Szefa, kłaniając się lekko. Widział, jak inni mężczyźni obecni na przyjęciu również się kłaniali i, zgromadzeni wokół Szefa, tłoczyli się, by jak najgłośniej śmiać się z opowiadanych przez niego dowcipów.

Na przyjęciu było tłoczno. Obinze zauważył Ferdinanda, krępego znajomego Szefa, który w ostatnich wyborach startował na stanowisko gubernatora, przegrał i, jak wszyscy przegrywający politycy, poszedł do sądu, żeby zaskarżyć wynik. Miał kamienną, amoralną twarz; gdyby ktoś zechciał obejrzeć jego ręce, mógłby znaleźć krew jego nieprzyjaciół zaschniętą pod paznokciami. Ferdinand zauważył, że na niego patrzy, i Obinze odwrócił wzrok. Przestraszył się,

że Ferdinand podejdzie, żeby porozmawiać o szemranym interesie, o którym wspomniał, kiedy ostatnio się spotkali, bąknął więc, że idzie do toalety, i chyłkiem oddalił się od towarzystwa.

Przy bufecie zauważył młodego człowieka, który ze smutnym rozczarowaniem przyglądał

się zimnym zakąskom i makaronom. Obinze ujęło jego nieobycie; w ubiorze młodzieńca i w postawie było wyobcowanie, którego nie zdołałby ukryć, nawet gdyby chciał.

— Tam jest drugi stół, z nigeryjskim jedzeniem — powiedział do niego Obinze, a młody człowiek popatrzył na niego i roześmiał się z wdzięcznością. Miał na imię Yemi i był dziennikarzem z gazety. Nic dziwnego; zdjęcia z przyjęć u Szefa zawsze pojawiały się w weekendowej prasie.

Yemi studiował angielski na uniwersytecie i Obinze zapytał go, jakie książki lubi, ucieszony, że w końcu porozmawia o czymś interesującym, ale szybko okazało się, że dla Yemiego

książka nie była literaturą, jeżeli nie zawierała wielosylabowych słów i niezrozumiałych fragmentów.

— Problem w tym, że powieść jest zbyt prosta, człowiek nie używa żadnych wielkich słów — powiedział Yemi.

Obinze zrobiło się smutno, że Yemi jest tak kiepsko wykształcony i nawet o tym nie wie.

Zapraagnął być nauczycielem. Wyobraził sobie, że stoi przed klasą pełną Yemich i uczy.

Odpowiadałoby mu życie nauczyciela, jak odpowiadało jego matce. Często wyobrażał sobie inne rzeczy, które mógł robić albo wciąż mógł zrobić: wyklądać na uniwersytecie, wydawać gazetę, trenować zawodowych tenisistów stołowych.

— Nie wiem, czym się pan zajmuje, sir, ale zawsze szukam lepszej pracy. Właśnie kończę studia magisterskie — powiedział Yemi, jak prawdziwy mieszkaniec Lagos, zawsze zabiegający, wiecznie wypatrujący czegoś lepszego, bardziej atrakcyjnego. Obinze dał mu swoją wizytówkę, po czym wrócił znaleźć Kosi.

— Zastanawiałam się, gdzie jesteś — powiedziała.

— Przepraszam, spotkałem kogoś — odparł Obinze.

Włożył rękę do kieszeni i dotknął swojego blackberry. Kosi pytała, czy chce jeszcze coś zjeść. Nie chciał. Chciał wrócić do domu. Nagle ogarnęła go gwałtowna chęć, by zamknąć się w swoim gabinecie i odpowiedzieć na mail Ifemelu, napisać coś, co podświadomie układał sobie w głowie. Skoro planowała powrót do Nigerii, oznaczało to, że nie była już z czarnym Amerykaninem. Ale może miał przyjechać z nią; w końcu była kobietą, dla której mężczyźni łatwo byłoby zmienić swoje życie, kobietą, która nigdy nie oczekiwała ani nie domagała się zapewnień, więc sprawiała, że swego rodzaju pewność stawała się możliwa. Kiedy w uniwersyteckich czasach trzymali się za ręce, robiła to tak mocno, że ich obie dłonie stawały się śliskie od potu, a ona mówiła kpiąco: „Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy się trzymali za ręce po raz ostatni, trzymajmy się za nie naprawdę. Bo zaraz może nas zabić jakiś motocykl albo samochód, albo zobaczę na ulicy

prawdziwego mężczyznę moich marzeń i cię zostawię, albo ty zobaczysz prawdziwą kobietę swoich marzeń i zostawisz mnie”. Może czarny Amerykanin też przyjedzie do Nigerii, nie mogąc się z nią rozstać. Mimo to z jej maila wyczuł, że była wolna.

Wyjął swój telefon, żeby obliczyć, o której godzinie amerykańskiego czasu napisała do niego.

Wczesnym popołudniem. Zdania były pisane w pośpiechu; zastanawiał się, co wtedy robiła.

I zastanawiał się, co jeszcze Ranyinudo jej o nim powiedziała.

W grudniową sobotę, kiedy spotkał Ranyinudo w centrum handlowym Palms, na jednej ręce niósł Buchi, czekając przy wejściu, żeby Gabriel podjechał samochodem, w drugiej trzymał

opakowanie herbatników Buchi.

— Zed! — wykrzyknęła Ranyinudo.

W liceum była pełną energii chłopczycą, bardzo wysoką, chudą i bezpośrednią, zupełnie

pozbawioną zwykłej dziewczęcej tajemniczości. Wszyscy chłopcy ją lubili, ale nigdy o nią nie zabiegali, z sympatią przezywając „Daj mi spokój”, bo to mówiła zawsze, ilekroć ktoś pytał ją o jej niezwykle imię.

— Tak, to imię Igbo i znaczy „dajcie nam spokój”, więc dajcie mi spokój!

Zdumiał się widząc, jak elegancko teraz wyglądała, jak inaczej, z krótkimi, nastroszonymi włosami, w obcisłych jeansach, o pełnych, zgrabnych kształtach.

— Zed! Zed! Kopę lat! Już o nas zapomniałeś. To twoja córka? Och, cudownie!

Niedawno spotkałam się z jednym kolegą, Dele. Znasz Dele z Hale Bank? Mówił, że ten budynek koło biura Ace na Banana Island jest twój. Gratuluję. Naprawdę ci się udało. A Dele mówił, że jesteś bardzo skromny.

Czuł się skrepowany jej przesadnym zachwytem, szacunkiem, który sączył się z każdego pora jej skóry. W jej oczach nie był już dawnym Zedem z liceum, a opowieści o jego bogactwie kazały jej przypuszczać, że musiał się bardzo zmienić. Często słyszał od różnych ludzi, że jest taki skromny, jednak nie mieli na myśli prawdziwej skromności, chodziło im po prostu, że nie obnosił się ze swoim członkostwem w klubie bogatych, nie korzystał z praw, które mu ono dawało — mógł zachowywać się po chamsku, nie liczyć z innymi, nie witać, lecz być witanym

— a ponieważ tylu innych te prawa egzekwowało, jego wybór uznawano za skromność. Nie przechwalał się, ani nie opowiadał o tym, co ma, dlatego też wielu zakładało, że ma znacznie więcej niż w rzeczywistości. Nawet jego najbliższy przyjaciel, Okwudiba, często mu powtarzał, że jest skromny, co go lekko drażniło, ponieważ wolałby, żeby Okwudiba rozumiał, iż nazywając go skromnym, z chamstwa robi się coś normalnego. Poza tym w skromności widział coś pokrętnego, wymyślnego dla wygody innych; ludzie wychwalali czyjąś skromność, ponieważ dzięki niej nie odczuwali aż tak bardzo, że czegoś im brakuje. Obinze cenił przede wszystkim szczerość; zawsze pragnął być prawdziwie szczery i żył w nieustannym lęku, że nie jest.

— Kochanie, musisz być głodny — powiedziała Kosi, kiedy samochodem wracali z przyjęcia do domu. — Zjadłeś tylko sajgonkę.

— I suję.

— Musisz coś zjeść. Dzięki Bogu poprosiłam Marie, żeby coś ugotowała — powiedziała, po czym dodała chichocząc: — A ja powinnam była się bardziej szanować i dać sobie spokój z tymi ślimakami! Zjadłam ich chyba z dziesięć. Ale były takie dobre i pikantne.

Obinze zaśmiał się odrobinę znudzony, ale uradowany, że ona jest zadowolona.

Marie była drobna, a Obinze nie wiedział, czy była nieśmiała, czy też kulawy angielski sprawiał, że taka się wydawała. Była

u nich dopiero od miesiąca. Poprzednia dziewczyna, sprowadzona przez krewnego Gabriela, była przysadzista i pojawiła się w ich domu z torbą podróżną. Obinze nie widział, jak Kosi sprawdziła zawartość torby — zawsze to robiła, kiedy przyjmowała pomoc domową, bo chciała wiedzieć, co jej sprowadzają do domu — ale wszedł, akurat kiedy Kosi krzyczała zniecierpliwionym, przenikliwym głosem, którym zawsze zwracała się do służby, żeby podtrzymać swój autorytet i wzbudzić respekt. Torba dziewczyny leżała na podłodze, otwarta, i wysypywały się z niej ubrania. Obok stała Kosi i koniuszkami palców trzymała paczkę kondomów.

— A to po co? He? Przychodzisz do mojego domu, żeby być prostytutką?

W pierwszej chwili dziewczyna spuściła wzrok i milczała, ale po chwili spojrzała Kosi prosto w oczy.

— W ostatniej pracy mąż pani zawsze mnie zmuszał — powiedziała.

Oczy Kosi mało nie wyskoczyły z orbit. Nachyliła się, jakby chciała się rzucić na

dziewczyne, ale się powstrzymała.

— Zabierz swoją torbę i idź sobie, idź — powiedziała.

Dziewczyna poruszyła się, trochę zaskoczona, po czym wzięła torbę i obróciła się do drzwi.

— Wierzysz w te bzdury, kochanie? — odezwała się do niego Kosi, kiedy dziewczyna wyszła. — Zjawia się tu z prezerwatywami i ma czelność otworzyć gębę, żeby opowiadać takie androny. Nie do wiary, prawda?

— Poprzedni pracodawca ją zgwałcił, więc tym razem postanowiła się zabezpieczyć —

powiedział Obinze.

Kosi popatrzyła na niego.

— Jest ci jej żal. Nie znasz tych dziewczuch. Jak możesz się nad nią litować?

Chciał zapytać: „Jak ty możesz się nie litować?”, ale jej niepewne, lękliwe spojrzenie zamknęło mu usta. Jej brak poczucia bezpieczeństwa, tak ogromny i tak powszechny, zamknął

mu usta. Bała się dziewczyny do pomocy, choć jemu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby ją uwieść. Lagos tak właśnie działało na żony młodych i bogatych mężczyzn; wiedział, że łatwo można popaść w paranoję na punkcie dziewczyn do pomocy, sekretarek, „dziewczyn z Lagos”, tych wyrafinowanych, eleganckich potworów, które swoimi przystrojonymi w klejnoty gardłami połykały mężów w całości. Mimo to wolałby, żeby Kosi nie żyła w takim strachu, nie ulegała tak bardzo powszechnej psychozie.

Kilka lat temu opowiedział jej o atrakcyjnej pracownicy banku, która zjawiła się w jego biurze, żeby porozmawiać o otwarciu konta, młodej kobiecie w dopasowanej bluzce, z rozpiętym jednym guzikiem za dużo, która próbowała ukryć desperację w swoich oczach.

— Kochanie, sekretarka nie powinna wpuszczać do twojego gabinetu tych różnych przedstawicielek banków! — powiedziała wtedy Kosi, a on miał wrażenie, że w tym momencie nie widziała jego, Obinze, tylko niewyraźne klasyczne typy: bogatego mężczyznę i przedstawicielkę banku, której udało się załatwić pokaźny depozyt, prostą wymianę. Kosi spodziewała się, że będzie ją zdradzał, i za wszelką cenę starała się zminimalizować okazje, w których mogłoby do tego dojść.

— Kosi, do niczego nie dojdzie, jeżeli ja tego nie będę chciał. A nigdy nie będę —

powiedział, jednocześnie uspokajając ją i upominając.

Przez te wszystkie lata ich małżeństwa Kosi zaczęła pałać gwałtowną nienawiścią do samotnych kobiet i równie gwałtowną miłością do Boga. Zanim się pobrali, raz w tygodniu chodziła na mszę do anglikańskiego kościoła w Marina, co niedzielę odbijając kartę, bo tak została wychowana, ale po ślubie przeszła do Domu Dawida, ponieważ, jak mu powiedziała, w tym kościele wierzone w

Biblię. Później, kiedy dowiedział się, że w Domu Dawida odbywają się specjalne spotkania modlitewne w intencji „zatrzymania przy sobie męża”, zaniepokoił się.

Podobnie gdy zapytał Kosi, czemu przestała ich odwiedzać jej najlepsza przyjaciółka, Elohor, a ona odpowiedziała: „Wciąż jest wolna”, jakby to był oczywisty powód.

Marie zapukała do drzwi jego gabinetu i weszła, niosąc na tacy ryż i smażone banany.

Obinze jadł wolno. Włączył CD Fela’ego i na komputerze zaczął pisać mail; gdyby robił to w telefonie, od pisania na klawiaturze blackberry ścierpłyby mu palce i umysł. Po raz pierwszy puścił Ifemelu Fela’ego na uniwersytecie. Wcześniej uważała Fela’ego za szalonego palacza trawy, który na koncertach występował w bieliźnie, ale pokochała rytmy afro beatu i leżeli na materacach u Obinze w Nsukka, słuchając muzyki, a kiedy zaczynał śpiewać chórek, Ifemelu zrywała się i zaczynała wulgarnie kręcić biodrami. Był ciekaw, czy jeszcze to pamięta. Był

ciekaw, czy pamięta, jak jego kuzyn przysyłał z zagranicy składanki, a on robił dla niej kopie w słynnym sklepie elektronicznym na targu, gdzie przez cały dzień ryczała muzyka, jeszcze po wyjściu dzwoniąc w uszach. Chciał, żeby miała tę samą muzykę, co on. Nigdy specjalnie nie interesowali jej Biggie i Warren G ani Dr. Dre i Snoop Dogg, ale Fela to było co innego. Co do Fela’ego byli zgodni.

Napisał mail, potem napisał go jeszcze raz, nie wspominając o żonie, ani nie używając pierwszej osoby w liczbie mnogiej, starając się, by treść była równie szczerą, jak zabawna. Nie chciał jej zrazić. Chciał zrobić wszystko, żeby tym razem odpisała. Nacisnął „Wyślij” i już po kilku minutach sprawdził, czy przyszła odpowiedź. Czuł się zmęczony. Nie fizycznie —

przepelniała go wyczerpująca ospałość, otepiająca obrzeża umysłu. Wstał i wyszedł na werandę; od nagłego uderzenia gorącego powietrza, ryku generatora u sąsiada i smrodu spalin zakręciło mu się w głowie. Owady jak oszalałe fruwały wokół żarówki. Zapatrzony w parną ciemność rozciągającą się w

oddali czuł, że mógłby w niej pływać, wystarczy tylko, żeby spróbował.

CZEŚĆ 2

ROZDZIAŁ 3

Mariama skończyła czesać klientkę i spryskała jej włosy nabłyszczaczem.

— Idę po chińszczyznę — powiedziała, kiedy klientka wyszła.

Aisha i Halima powiedziały jej, co ma dla nich kupić — bardzo pikantnego kurczaka generała Tso, skrzydełka, kurczaka w pomarańczach — szybko i bez zastanowienia, jak ktoś, kto robi to codziennie.

— Chcesz coś? — zapytała Mariama Ifemelu.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała Ifemelu.

— Dużo czasu na twoje włosy. Musisz jeść — rzekła Aisha.

— Nie trzeba. Mam batonik z granoli — powiedziała Ifemelu.

Miała też małe marcheweczki w foliowej torebce, chociaż jak dotąd przekąsiła tylko roztopioną czekoladę.

— Jaki batonik? — zapytała Aisha.

Ifemelu pokazała jej batonik, organiczny, w stu procentach z pełnego ziarna, z owocami.

— To nie jest jedzenie! — prychnęła Halima, odrywając wzrok od telewizora.

— Jest tutaj piętnaście lat, Halimo — powiedziała Aisha, jakby tak długi pobyt tłumaczył, czemu Ifemelu je batonik z granoli.

— Piętnaście? Długo — powiedziała Halima.

Aisha zaczekała, aż Mariama wyjdzie, i wyciągnęła z kieszeni komórkę.

— Przepraszam, tylko zadzwonię — powiedziała i wyszła na zewnątrz.

Wróciła rozpromieniona; rozmowa przez telefon sprawiła, że jej uśmiechnięta twarz nagle okazała się ładna, o regularnych

rysach. Ifemelu nie zauważyła tego wcześniej.

— Emeka dzisiaj pracuje długo. Więc tylko Chijioke przyjdzie, żeby z tobą porozmawiać, zanim skończymy — powiedziała, jakby zaplanowały wszystko razem z Ifemelu.

— Niepotrzebnie ich o to prosisz. Nawet nie wiem, co im powiedzieć — rzekła Ifemelu.

— Powiedz Chijioke, że Igbo może się ożenić z nie-Igbo.

— Aisha, nie mogę mu kazać się z tobą ożenić. Ożeni się, jeśli będzie chciał.

— Chcą się ze mną ożenić. Ale nie jestem Igbo!

W oczach Aishy pojawił się błysk; kobieta musiała być lekko nienormalna.

— Tak ci powiedzieli? — zapytała Ifemelu.

— Emeka powiedział, że jego matka powiedziała, że jak się ożeni z Amerykanką, to się zabije — rzekła Aisha.

— To niedobrze.

— Ale ja, ja jestem Afrykanką.

— Więc może się nie zabije, jeśli on się z tobą ożeni.

Aisha popatrzyła na nią bez wyrazu.

— Matka twój chłopak chce, żeby on się z tobą ożenił?

Ifemelu w pierwszej chwili pomyślała o Blainie, ale zrozumiała, że Aisha pyta o jej zmyślonego chłopaka.

— Tak. Wciąż nas pyta, kiedy się pobierzemy.

Była zaskoczona, że tak łatwo skłamała, zupełnie jakby przekonała samą siebie, że nie żyje wspomnieniami pokrytymi trzynastoletnią pleśnią. Zresztą mogła to być prawda; w końcu matka Obinze ją lubiła.

— Ach! — westchnęła Aisha z życzliwą zawiścią.

Mężczyzna z wysuszoną, poszarzałą twarzą i strzechą siwych włosów wszedł do Salonu, niosąc plastikową tacę z ziołowymi miksturami na sprzedaż.

— Nie, nie, nie — powiedziała do niego Aisha, unosząc dłoń, jakby się przed nim broniła.

Mężczyzna się wycofał. Ifemelu zrobiło się go żal. W znoszonej tunice wyglądał na zagłodzonego. Na pewno ciężko mu było wyżyć z handlu swoimi miksturami. Powinna była coś od niego kupić.

— Rozmawiaj z Chijioke w igbo. On cię posłucha — powiedziała Aisha. — Mówisz w igbo?

— Oczywiście, że mówię w igbo — oburzyła się Ifemelu, zastanawiając się, czy Aisha znowu nie chce powiedzieć, że Ameryka ją zmieniła. — Spokojnie — dodała, kiedy Aisha szarpnęła jej włosy grzebieniem z małymi ząbkami.

— Twoje włosy twarde — powiedziała Aisha.

— Wcale nie twarde — rzekła zdecydowanie Ifemelu. — Używasz złego grzebienia.

Wyrwała Aishy grzebień i położyła go na stoliku.

Ifemelu dorastała w cieniu włosów swojej matki. Były czarne — czarne i tak gęste, że kiedy szła do salonu, trzeba było zużyć dwie butelki zmiękczacza i musiała spędzić wiele godzin pod suszarką, ale kiedy wreszcie uwalniano jej włosy z różowych plastikowych wałków, opadały swobodnie i gęste, spływając jej po plecach wspaniałą kaskadą. Ojciec nazywał je koroną chwały.

„To twoje prawdziwe włosy?”, pytali ją znajomi, a potem dotykali ich z czią. Inni mówili:

„Jesteś z Jamajki?”, jakby tylko domieszka obcej krwi mogła zapewnić tak obfite włosy, które nie rzedły na skroniach. Przez całe dzieciństwo Ifemelu często spoglądała w lustro i ciągnęła się za włosy, rozdzielając pasma, marząc, żeby stały się takie jak włosy matki, ale one wciąż były sztywne i nie chciały rosnąć, a fryzjerki mówiły, że ranią im palce jak nóż.

Któregoś dnia, kiedy Ifemelu skończyła dziesięć lat, jej matka wróciła z pracy odmieniona. Ubrana była tak samo, w brązową

sukienkę zawiązaną w pasie, ale twarz miała zarumienioną i błędne spojrzenie.

— Gdzie są duże nożyczki? — zapytała, a kiedy Ifemelu je przyniosła, podniosła je i garść po garści obcięła sobie wszystkie włosy. Ifemelu patrzyła oniemiała. Włosy leżały na podłodze jak martwa trawa.

— Przynieś mi duży worek — powiedziała matka.

Ifemelu posłusznie wykonała polecenie, poruszając się jak w transie, bo działy się rzeczy, których nie rozumiała. Patrzyła, jak matka krąży po mieszkaniu i zbiera wszystkie katolickie przedmioty, krucyfiksy zawieszane na ścianach, różańce pochowane w szufladach, mszały poustawiane na półkach. Zebrała to wszystko do foliowego worka, który wyniosła na podwórko.

Szła szybkim krokiem, ze wzrokiem nieobecny, ale pewnym. Obok śmietnika rozpałała ognisko, w tym samym miejscu, w którym paliła swoje podpaski higieniczne, i najpierw wrzuciła do niego włosy, zawinięte w starą gazetę, a potem jeden po drugim wszystkie przedmioty wiary.

Szary dym wijąc się, unosił się w powietrze. Ifemelu zaczęła płakać, bo wyczuwała, że stało się coś złego, a stojąca przy ognisku kobieta, która dolewała benzyny, kiedy przygasało, i cofała się, gdy płomienie wybuchały, łysa i blada, nie była jej matką, nie mogła być jej matką.

Kiedy matka wróciła do domu, Ifemelu cofnęła się, ale matka przytuliła ją mocno.

— Jestem zbawiona — powiedziała. — Pani Ojo zajęła się mną w czasie przerwy i przyszedł do mnie Chrystus. Stare odeszło i wszystko stało się nowe. Chwała Panu. W niedzielę pójdziemy do Odrodzonych Świętych. To Kościół, w którym wierzy się w Biblię i który jest

żywy, nie jak u Świętego Dominika.

To nie były słowa matki. Wymawiała je zbyt zdecydowanie, zachowywała się też inaczej.

Nawet jej głos, normalnie wysoki i kobiecy, stał się głębszy i bardziej gardłowy. Tego popołudnia Ifemelu widziała, jak

znika jej dawna matka. Wcześniej raz na jakiś czas odmawiała różaniec, żegnała się przy jedzeniu, nosiła na szyi śliczne podobizny świętych, śpiewała łacińskie pieśni i śmiała się, kiedy ojciec Ifemelu kpił z jej okropnej wymowy. Śmiała się też, kiedy mówił: „Szanuję religię agnostycznie”, i mówiła mu, że na szczęście ona jest jego żoną, bo chociaż chodzi do kościoła tylko na śluby i pogrzeby, i tak trafi do nieba na skrzydłach jej wiary.

Ale w tamto popołudnie jej Bóg się zmienił. Stał się bardzo akuraty. Wyprostowane włosy były dla niego obrazą. Obrazą był taniec. Targowała się z Nim: w zamian za dobrobyt, za awans oferowała mu głodówkę. Przez ciągły post zrobiła się chuda jak szczapa: w weekendy nie jadła, ani nie piła, w ciągu tygodnia do wieczora piła tylko wodę. Ojciec Ifemelu wodził za nią zmartwionym wzrokiem i namawiał, żeby jadła więcej, zawsze przy tym bardzo ważąc słowa z obawy, że nazwie go wysłannikiem diabła i zignoruje jak kuzyna, który z nimi mieszkał.

„Poszczę, żeby twój ojciec się nawrócił”, mówiła często do Ifemelu. Przez wiele miesięcy powietrze w ich mieszkaniu było jak popękane szkło. Wszyscy chodzili na paluszkach wokół

matki, która stała się obca, chuda, zagorzała i surowa. Ifemelu bała się, że któregoś dnia pęknie na dwoje i umrze.

Potem, w wielkanocną sobotę, pierwszą cichą wielkanocną sobotę w życiu Ifemelu, matka wybiegła z kuchni.

— Widziałam anioła! — zawołała.

Wcześniej było gotowanie i krzątanie, mnóstwo garnków w kuchni i mnóstwo krewnych w mieszkaniu, a Ifemelu i matka szły na wieczorną mszę, trzymały zapalone świece, śpiewały w morzu migoczących płomyków, a potem wracały do domu i gotowały dalej, przygotowując wielki wielkanocny lunch. Ale teraz w mieszkaniu panowała cisza. Krewni trzymali się z daleka, a na lunch miał być jak zwykle ryż i gulasz. Ifemelu siedziała z ojcem w salonie, a kiedy matka powiedziała: „Widziałam anioła!”, Ifemelu dojrzała w oczach ojca znużenie, przelotny błysk, który natychmiast zniknął.

— Co się stało? — zapytał dobrodusznym tonem, jakiego używa się wobec dzieci, może w nadziei, że traktując szaleństwo żony żartobliwie, zdoła ją z niego wyleczyć.

Matka powiedziała im, że właśnie jej się ukazał nad kuchenką świetlisty anioł, który trzymał księgę wykończoną czerwoną nicią i nakazał jej opuścić Kościół Odrodzonych Świętych, ponieważ pastor był czarownikiem i brał udział w nocnych, szatańskich spotkaniach pod powierzchnią morza.

— Powinnaś posłuchać tego anioła — rzekł ojciec.

I tak matka odeszła z Kościoła, zapuściła znowu włosy, ale przestała nosić naszyjniki i kolczyki, ponieważ według pastora z Cudownego Źródła biżuteria jest bezbożna i nie przystoi kobiecie cnotliwej. Niedługo później, w dniu, w którym nie powiódł się przewrót, jaki miał

ocalić Nigerię i dać kobietom stanowiska w rządzie, matka miała kolejną wizję. Tym razem anioł

pojawił się w jej sypialni, nad szafą, nakazując jej opuścić Cudowne Źródło i przystąpić do Zgromadzenia Wskazującego Drogę. W połowie pierwszej mszy, na którą Ifemelu poszła z matką, w wyłożonej marmurem sali zgromadzeń, pośród wyperfumowanych ludzi i niosących się echem głębokich głosów, Ifemelu popatrzyła na matkę, która śmiała się i płakała jednocześnie. W tym kościele przepełnionym nadzieją, pośród tupania i klaskania, gdzie Ifemelu wydawało się, że pod dachem fruwały wspaniałe anioły, dusza jej matki odnalazła dom. To był

kościół pełen nowobogackich; na parkingu mały samochód jej matki, ze zmatowiałym lakierem i porysowany, był najstarszy. Matka powiedziała, że jeżeli będzie się modlić z bogaczami, Bóg

pobłogosławi jej tak samo, jak pobłogosławił im. Znowu zaczęła nosić biżuterię, pić guinnessa; pościła tylko raz w tygodniu i wciąż mówiła: „Bóg mi powiedział” albo: „W mojej Biblii jest napisane”, jakby reszta była nie tylko inna, ale błędna. Na „dzień dobry” albo „dobry wieczór”

odpowiadała radośnie: „Niech ci Bóg błogosławi!”. Jej Bóg stał się nie tylko sympatyczny, ale też pozwalał sobie rozkazywać. Każdego ranka matka budziła wszystkich w domu na modlitwę, klękali na szorstkim dywanie w salonie, śpiewając, klaszcząc i zlewając rozpoczynający się dzień krwią Jezusa, a słowa jej matki przeszywały ciszę poranka: „Boże, Ojczy Niebieski, nakazuję Ci wypełnić ten dzień błogosławieństwem i dowieść, że jesteś naszym Bogiem! Panie, służę Ci, abyś zesłał mi dobrobyt! Nie pozwól, by zło zwyciężyło, nie pozwól, by moi wrogowie triumfowali nade mną!”. Pewnego razu ojciec Ifemelu powiedział, że modlitwy były urojonymi bitwami ze zmyślonymi oszczercami, lecz mimo to nalegał, żeby Ifemelu zawsze wstawała wcześniej na modlitwę. „To uszczęśliwia twoją matkę”, mówił.

Kiedy w kościele przychodził czas dawania świadectwa, matka zawsze pierwsza biegła do ołtarza.

— Dzisiaj rano miałam katar — zaczynała. — Ale jak tylko pastor Gideon rozpoczął

modlitwę, przeszedł mi. Teraz już nie mam kataru. Chwalmy Pana!

— Alleluja! — wołała kongregacja, po czym następowały dalsze świadectwa.

„Nie uczyłem się, bo byłem chory, ale i tak zdałem śpiewająco!” „Miałem malarię, modliłem się i zostałem uzdrowiony!” „Kaszleł mi przeszedł, kiedy pastor zaczął się modlić!”.

Ale matka zawsze była pierwsza, uskrzydłona i uśmiechnięta, skąpana w blasku zbawienia.

Potem, w czasie mszy, kiedy pastor Gideon podskakiwał w swoim garniturze z wywatowanymi ramionami i w szpiczastych butach, wykrzykując: „Nasz Bóg nie jest biednym Bogiem, amen?

Jest częścią naszego dobrobytu, amen?”, matka Ifemelu wznosiła rękę i mówiła: „Amen, Boże Ojczy, amen”.

Ifemelu nie wierzyła, że Bóg dał pastrowi Gideonowi wielki dom i te wszystkie samochody. Pastor po prostu je kupił za

pieniądze z trzech zbiórek organizowanych podczas każdej mszy, i nie wierzyła, że Bóg dla wszystkich zrobi to samo co dla pastora Gideona, bo to było niemożliwe, ale cieszyła się, że matka jadła teraz regularnie. W jej oczach znowu pojawiło się ciepło, nowa radość w zachowaniu, i znowu przesiadywała z ojcem przy stole po posiłku, i biorąc kąpiel, śpiewała głośno. Jej nowy Kościół ją absorbował, ale nie niszczył. Dzięki niemu stała się przewidywalna i łatwo było ją okłamać. „Idę studiować Biblię” i „Idę na spotkanie Społeczności” były najlepszymi wymówkami, jeśli Ifemelu chciała gdzieś wyjść bez tłumaczenia się. Ifemelu nie interesował Kościół, nie czuła też potrzeby jakiegokolwiek angażowania się w religię, być może dlatego, że matka angażowała się zbyt mocno. Mimo to wiara matki dodawała jej otuchy; była niczym niegroźna chmura, która poruszała się wraz z nią. Do czasu aż w ich życiu pojawił się Generał.

Co rano matka Ifemelu modliła się za Generała.

— Ojczy w niebiosach, rozkazuję Ci, byś błogosławił opiekunowi Uju! — mówiła. Albo:

— Wylewamy cudowną krew Chrystusa na opiekuna Uju!

A Ifemelu, zamiast powiedzieć „Amen”, bąkała coś pozbawionego sensu. Matka zadziornie wymawiała słowo „opiekun”, z naciskiem, jakby siła jej modlitwy miała sprawić, że Generał rzeczywiście stanie się opiekunem i uczyni świat miejscem, w którym młodych lekarzy będzie stać na nową mazdę cici Uju, ten zielony, błyszczący, o niepokojąco nowoczesnej linii samochód.

Chetachi, która mieszkała na górze, zagadnęła Ifemelu:

— Mama mówi, że opiekun Uju dał jej też pożyczkę na samochód?

— Tak.

— Ech! Szczęściara z tej cici Uju, o! — powiedziała Chetachi.

Ifemelu nie umknął złośliwy uśmiezek na jej twarzy. Chetachi musiała już plotkować z matką o samochodzie; to

byli zawistni, rozplotkowani ludzie, którzy przychodzili z wizytą tylko po to, żeby zobaczyć, co inni mają, ocenić nowe meble czy sprzęt elektroniczny.

— Niech Bóg błogosławi tego człowieka, o. Ja też mam nadzieję, że jak skończę studia, znajdę sobie opiekuna — powiedziała Chetachi.

Ifemelu zjeżyła się na tę jawną prowokację. Ale winna była jej matka, że tak chętnie rozpowiadała wszem i wobec historię o opiece. Nie powinna była; nikogo nie powinno obchodzić, co robi ciocia Uju. Podśluchała kiedyś, jak na podwórku ciocia mówiła do kogoś: „Bo widzisz, w młodości Generał chciał być lekarzem, więc teraz pomaga młodym lekarzom. To Bóg każe mu odgrywać taką rolę w życiu innych ludzi”. I mówiła to szczerze, radośnie, z pełnym przekonaniem. Wierzyła w prawdziwość swoich słów. Ifemelu nie była w stanie pojąć, jak matka może opowiadać niby-prawdziwe historie, które z prawdą nie miały nic wspólnego. Kiedy ciocia Uju pierwszy raz powiedziała im o swojej nowej pracy — „W szpitalu nie ma wolnych etatów, ale Generał kazał stworzyć jeden dla mnie”; to były jej słowa — matka natychmiast wykrzyknęła: „To cud!”.

Ciocia Uju uśmiechnęła się skrycie; oczywiście nie uważała tego za żaden cud, ale nie powiedziała tego głośno. A może było coś cudownego w jej nowej pracy na stanowisku konsultantki w wojskowym szpitalu na Victoria Island i w domu w Dolphin Estate, osiedlu nowych bliźniaków, obcych w swojej świeżości, różowych albo błękitnych jak niebo, otoczonych parkiem z trawą bujną jak nowy dywan i ławkami, na których można było przysiąść — rzadkość nawet na Wyspie. Ledwie kilka tygodni wcześniej skończyła studia i jej koledzy z roku mówili o wyjeździe za granicę, żeby zdać amerykańskie albo brytyjskie egzaminy medyczne, bo zostając, mieli do wyboru jedynie upadek na wysuszonym ągorze bezrobocia. Kraj przymierał

głodem nadziei, samochody całymi dniami tkwiły w kilometrowych, dusznych kolejkach po paliwo, emeryci nadaremno wymachiwali plakatami, na których domagali się swoich pieniędzy, wykładowcy zbierali się, żeby ogłosić

kolejny strajk. Ale ciocia Uju nie chciała wyjeżdżać; odkąd Ifemelu pamiętała, marzyła o własnej prywatnej klinice i mocno się tego marzenia trzymała.

— Nigeria nie będzie taka zawsze, na pewno znajdę jakąś pracę na niepełny etat i będzie ciężko, ale któregoś dnia założę klinikę, i to na Wyspie! — powiedziała ciocia Uju do Ifemelu.

I wtedy poszła na wesele koleżanki. Ojciec panny młodej był wicemarszałkiem lotnictwa i krążyły plotki, że może się pojawić sama Głowa Państwa, a ciocia Uju żartowała, że poprosi go, aby mianował ją oficerem medycznym w Aso Rock. Nie przyszedł, ale zjawili się wielu jego generałów i jeden z nich kazał swojemu adiutantowi zaprosić ciocię Uju do jego samochodu, poszła więc do ciemnego peugeota z małą flagą powiewającą na masce.

— Dobry wieczór, sir — powiedziała do siedzącego z tyłu mężczyzny.

— Podobasz mi się — odpowiedział. — Chcę się tobą zaopiekować.

Może w tych słowach: „Podobasz mi się. Chcę się tobą zaopiekować” był jakiś cud, myślała Ifemelu, ale nie taki, o jakim myślała jej matka.

— Cud! Bóg jest wierny! — powiedziała tamtego dnia matka, a w jej oczach lśniła wiara.

— Diabeł jest kłamcą — powiedziała tym samym tonem. — Chce nam odebrać nasze błogosławieństwa, ale mu się nie uda.

Było to w dniu, w którym ojciec Ifemelu stracił pracę w agencji federalnej. Został

zwolniony, bo nie nazywał swojej nowej szefowej Mamuską. Wrócił do domu wcześniej niż zwykle, złamany gorzkim niedowierzaniem, z wypowiedzeniem w ręce, mówiąc, że absurdem jest zwracać się do dorosłej kobiety „Mamusko”, ponieważ uznawała to za najlepszy wyraz szacunku.

— Dwanaście lat oddanej pracy. To skandal — powiedział.

Matka poklepała go po plecach, powiedziała, że Bóg zapewni mu nową pracę, a do tego czasu poradzą sobie z jej pensją wicedyrektorki szkoły. Co rano ojciec wychodził szukać pracy, z zaciśniętymi zębami i mocno zawiązanym krawatem, a Ifemelu zastanawiała się, czy tak po prostu wchodzi do pierwszej lepszej firmy i liczy na łut szczęścia, ale niedługo zaczął zostawać w domu w długiej do kostek wiązanej opasce i podkoszulku, przesiadując na zniszczonej kanapie obok wieży stereo.

— Nie kąpałeś się rano? — zapytała go matka któregoś popołudnia, kiedy wróciła z pracy, zmęczona, z dokumentami przyciśniętymi do piersi i plamami potu pod pachami.

Zirytowana dodała: — Jeśli miałeś mówić do kogoś „Mamuško”, żeby dostawać pensję, trzeba było tak robić!

Nie odpowiedział; przez chwilę wydawał się zagubiony — skurczony i zagubiony.

Ifemelu zrobiło się go żal. Zapytała o książkę, którą trzymał rozłożoną grzbietem do góry na kolanach, wyglądającą znajomo, o której wiedziała, że czytał ją wcześniej. Miała nadzieję, że wygłosi jeden ze swoich długich wykładów, na przykład o historii Chin, a ona jak zawsze będzie słuchać, sprawiając mu tym radość. Ale był zbyt ponury, żeby mówić. Wzruszył ramionami, jakby mówił, że jeśli chce, może sama obejrzieć książkę. Słowa matki zbyt łatwo go dotknęły; za bardzo się nią przejmował, wiecznie czujnie nasłuchujący jej głosu, wiecznie wodzący za nią oczami. Niedawno, jeszcze zanim go zwolnili, powiedział do Ifemelu:

— Jak dostanę awans, kupię twojej matce coś naprawdę pięknego.

Zapytała go, co to będzie, a on uśmiechnął się tajemniczo.

— To się okaże — powiedział.

Patrzyła na niego, jak w milczeniu siedzi na kanapie, i myślała, że wygląda dokładnie na kogoś, kim jest w istocie: człowieka pełnego wyblakłych tęsknot, urzędnika średniego szczebla, który pragnął innego życia niż to, które dostał w udziale, marzącego o wykształceniu, jakiego nie było mu dane

zdobyć. Często mówił o tym, że nie mógł iść na studia, bo musiał znaleźć pracę, żeby utrzymać rodzinę, że ludzie, od których był mądrzejszy w szkole średniej, teraz byli po doktoratach. Jego angielski był sztywny i wyniosły. W ich domu ledwo go rozumiano, ale na pewno wszyscy byli pod wrażeniem. Kiedyś ich dawna pomoc, Jecinta, weszła do kuchni i zaczęła cicho klaskać.

— Powinnaś była słyszeć wielkie słowo twojego ojca, *o! O di egwu!* — powiedziała do Ifemelu.

Czasem Ifemelu wyobrażała go sobie w klasie w latach pięćdziesiątych, jako nadgorliwego kolonialnego ucznia w źle dopasowanym mundurku z taniej bawełny, starającego się za wszelką cenę zrobić wrażenie na misyjnych nauczycielach. Nawet charakter jego pisma był

z manierowany, okrągły i pełen zawijasów, tak elegancki, że przypominał druk. Kiedy Ifemelu była mała, często ją łajał, że jest krnąbrna, zbuntowana, nieustępliwa, które to słowa zamieniały jej drobne uczynki w coś epickiego, niemal godnego pochwały. Lecz w miarę jak dorastała, jego uprzejmy angielski przeszkadzał jej coraz bardziej, ponieważ był przebraniem, tarczą, za którą skrywał swoją niepewność. Prześladowało go to, czego nie miał — stopień doktora, życie wyższej klasy średniej — i dlatego afektowane słowa były jego zbroją. Ifemelu wołała, kiedy mówił w igbo; tylko w takich chwilach zdawał się zapominać o własnych zmartwieniach.

Po utracie pracy stał się cichszy i między nim a światem wyrósł cienki mur. Nie mamrotał

już „naród czołobitnych łatwowierców”, kiedy zaczynały się wieczorne wiadomości w NTA, przestał wygłaszać przydługie monologi o tym, jak rząd Babagindy uczynił z Nigeryjczyków nierozważnych idiotów, nie żartował już z matki. I przede wszystkim razem z nią zaczął

odprawiać poranne modły. Wcześniej nigdy tego nie robił; raz, przed wyjazdem do ich rodzinnego miasta, matka próbowała go nakłonić.

— Pomódlmy się i zlejmy naszą drogą krwią Jezusa — powiedziała, a on odparł, że drogi będą bezpieczniejsze, mniej śliskie, jeśli nie będą zlane krwią.

Przynajmniej, jak dotąd, wciąż nie chodził do kościoła. Ifemelu wracała z matką z kościoła, a on siedział na podłodze w salonie, przeglądał swoje płyty, stereo było włączone, a on śpiewał głośno do wtóru. Zawsze wyglądał świeżo i był wypoczęty, jakby przebywanie z muzyką dodawało mu sił. Ale kiedy stracił pracę, prawie w ogóle nie słuchał już muzyki. Po powrocie do domu zastawała go przy stole, nachylonego nad luźnymi kartkami papieru, piszącego listy do gazet i czasopism. Ifemelu wiedziała, że gdyby miał jeszcze szansę zwrócić się do swojej szefowej „Mamuško”, zrobiłby to.

Była niedziela wczesnie rano i ktoś walił do drzwi. Ifemelu lubiła niedzielne poranki, płynący wolno czas, kiedy ubrana już do kościoła siedziała z ojcem w salonie, podczas gdy jej matka się szykowała. Czasem rozmawiali, ona i ojciec, a czasem milczeli, ciesząc się wspólną, miłą ciszą, tak jak tamtego ranka. Jedynym dźwiękiem był szum lodówki dobiegający z kuchni, i wtedy rozległo się walenie. Obrzydliwe zakłócenie. Ifemelu otworzyła drzwi i zobaczyła właściciela domu, okrągłego mężczyznę z wyłupiastymi oczami, który podobno zaczynał każdy dzień od szklaneczki czystego ginu. Minał wzrokiem Ifemelu i popatrzył na ojca. — Minęły już trzy miesiące! — krzyknął. — Ciągle czekam na moje pieniądze!

Ifemelu знаła jego głos, wyzywające krzyki dobiegające sprzed mieszkań sąsiadów, z innych miejsc. A teraz przyszedł do nich. Cała ta scena, krzyki właściciela przed ich drzwiami wstrząsnęły nią, a ojciec zwrócił tylko ku niemu kamienną, milczącą twarz. Nigdy wcześniej nie zalegali z czynszem. Mieszkali w tym mieszkaniu przez całe jej życie; było ciasne, z kuchnią poczerniałą od dymu z nafty, tak że Ifemelu czuła się skrepowana, kiedy odwiedzały ją koleżanki ze szkoły, ale z czynszem nie zalegali nigdy.

— Co za bufon — powiedział ojciec, kiedy właściciel sobie poszedł, a potem już milczał.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Zalegali z czynszem.

Pojawiła się matka, rozśpiewana i zlana perfumami, z twarzą suchą i lśniącą od pudru o odcień zbyt jasnego. Wyciągnęła w stronę ojca nadgarstek, na którym wisiała niezapięta, cienka, złota bransoletka.

— Po kościele przychodzi Uju, żeby zabrać nas do Dolphin Estate — powiedziała matka.

— Pojedziesz z nami?

— Nie — odparł krótko, jakby ciocia Uju była tematem, którego wolał raczej unikać.

— Powinieneś — powiedziała, ale on nie odpowiedział, skupiony na uważnym zapinaniu jej bransoletki, a potem powiedział, że sprawdził wodę w samochodzie.

— Bóg jest wierny. Popatrz na Uju, stać ją na dom na Wyspie!
— powiedziała matka radośnie.

— Mamo, ale przecież wiesz, że ciocia Uju nie płaci ani jednego kobo za to, że tam mieszka — odezwała się Ifemelu.

Matka spojrzała na nią.

— Wyprasowałaś tę sukienkę?

— Nie trzeba jej prasować.

— Jest pognieciona. *Ngwa*, idź ją wyprasuj. Przynajmniej mamy prąd. Albo się przebierz.

Ifemelu wstała niechętnie.

— Nie jest pognieciona.

— Idź i wyprasuj. Świat nie musi wiedzieć, że źle się nam powodzi. I tak nie mamy najgorzej. Dzisiaj jest niedzielna praca z siostrą Ibinabo, więc lepiej się pośpiesz.

Siostra Ibinabo była potężna, a ponieważ udawała, że nie przywiązuje wagi do swojej władzy, tym potężniejsza się

wydawała. Mówiło się, że pastor robi wszystko, o co go poprosi.

Nie było wiadomo dlaczego; niektórzy powiadali, że razem z nim założyła Kościół, inni że zna straszliwy sekret z jego przeszłości, a jeszcze inni, że posiada większą duchową moc, ale nie może być pastorem, ponieważ nie jest mężczyzną. Kiedy chciała, mogła przekonać pastora, żeby nie pozwolił na małżeństwo. Znała wszystkich i wszystko wiedziała, i wydawało się, że jest wszędzie, twarda i zahartowana, jakby życie nie obchodziło się z nią łagodnie. Trudno było określić, ile miała lat. Była żylasta i zamknięta jak ostryga. Nie śmiała się nigdy, ale uśmiechała, cienkim, świątobliwym uśmieszkiem. Matki żyły w nabożnym lęku przed nią; przynosiły jej drobne podarki i skwapliwie posyłały córki na jej niedzielne prace. Siostra Ibinabo, zbawczyni młodych kobiet. Proszono ją, by porozmawiała z dziewczętami, które mają kłopoty albo je sprawiają. Niektóre matki pytały, czy ich córki mogą z nią zamieszkać, w mieszkaniu za kościołem. Ale Ifemelu zawsze wyczuwała w siostrze Ibinabo głęboko ukrytą, zapiekłą wrogość wobec młodych dziewcząt. Siostra Ibinabo ich nie lubiła, obserwowała je tylko i ostrzegała, jakby obrażała ją świeżość, którą wciąż miały w sobie, a która w niej dawno już wyschła.

— Widziałam, jak w zeszłą sobotę nosiłaś obcisłe jeansy — powiedziała siostra Ibinabo do jednej z dziewcząt, Christie, przesadnym szeptem, na tyle cichym, by brzmiał jak szept, ale wystarczająco głośnym, by usłyszeli wszyscy. — Wszystko jest dozwolone, ale nie wszystko dobre. Każda dziewczyna, która nosi obcisłe spodnie, chce popełnić grzech kuszenia. Lepiej tego unikać.

Christie skinęła głową, pokorna, wdzięczna, zawstydzona.

W pokoju z tyłu kościoła, z dwoma małymi okienkami, przez które wpadało niewiele światła, przez cały czas musiała się palić żarówka. Na stole leżały koperty na datki, a obok stos kolorowych bibułek, jak cieniutki materiał. Dziewczęta zaczęły się przygotowywać. Po chwili niektóre pisały na kopertach, inne cięły i zwijały kawałki bibuły, sklejjąc z nich kwiaty i naciągając na sznurek, żeby powstała puszysta

girlanda. W następną niedzielę, na specjalnej mszy dziękczynnej, girlandy zawisną na tłustej szyi Szefa Omenki i mniejszych szyjach członków jego rodziny. Podarował kościołowi dwie nowe furgonetki.

— Dołącz do grupy, Ifemelu — powiedziała siostra Ibinabo.

Ifemelu skrzyżowała ramiona, jak często robiła, kiedy miała powiedzieć coś, o czym wiedziała, że lepiej przemilczeć, i słowa same wyrwały się jej z gardła.

— Dlaczego mam robić ozdoby dla złodzieja?

Siostra Ibinabo patrzyła na nią zdumiona. Zapadła cisza. Pozostałe dziewczęta patrzyły wyczekująco.

— Co powiedziałaś? — zapytała cicho siostra Ibinabo, dając Ifemelu szansę, by przeprosiła, cofnęła swoje słowa.

Ale Ifemelu czuła, że nie może się powstrzymać, i z walącym sercem rzuciła się na niebezpieczną ścieżkę.

— Szef Omenka to oszust i wszyscy o tym wiedzą — powiedziała. — W tym kościele

pełno jest takich oszustów jak on. Dlaczego mamy udawać, że ten budynek nie został

wybudowany za brudne pieniądze?

— To Boża praca — powiedziała cicho siostra Ibinabo. — Skoro nie możesz wykonywać Bożej pracy, lepiej sobie idź. Odejdź.

Ifemelu wybiegła z salki, minęła bramę i skierowała się na przystanek autobusowy, wiedząc że za chwilę informacja dotrze do jej matki, która była w głównym budynku kościoła.

Zniszczyła jej dzień. Pojechałyby do domu cioci Uju, zjadłyby smaczny lunch. Teraz jej matka będzie zła i naburmuszona. Żałowała, że się odezwała. W końcu dawniej brała udział w robieniu girland dla innych oszustów, którzy zajmowali specjalne miejsca w pierwszym rzędzie, mężczyzn, którzy darowywali samochody z łatwością, z jaką inni dzielili się gumą do żucia.

Z przyjemnością chodziła na ich przyjęcia, jadła ryż, mięso i sałatkę, jedzenie skażone oszustwem, jadła je, wiedząc o tym, i nie udławiła się, nawet o tym nie pomyślała. Tak, dzisiaj coś się stało. Kiedy siostra Ibinabo rozmawiała z Christie, z tą pełną jadu pogardą, którą nazywała religijną wskazówką, Ifemelu spojrzała na nią i nagle ujrzała w niej coś ze swojej matki. Jej matka była łagodniejszą i prostsza osobą, ale jak siostra Ibinabo zaprzeczała, że rzeczy są tym, czym są. Osobą, która pod płaszczykiem religii kryła swoje własne, nędzne pragnienia.

Nagle ostatnią rzeczą, jakiej Ifemelu pragnęła, było przebywanie w tej małej, pełnej cieni salce.

Wcześniej wszystko wydawało się nieszkodliwe, wiara jej matki, cała skapana w łasce, i nagle stało się inaczej. Przez chwilę żałowała, że matka jest jej matką, przepelniało ją jedno uczucie, mieszanina winy i smutku.

Przystanek autobusowy był przerażająco pusty i Ifemelu wyobraziła sobie ludzi, którzy normalnie by się tu tłoczyli, teraz zebranych w kościołach, modlących się i śpiewających.

Czekała na autobus, zastanawiając się, czy wracać do domu, czy też pojechać gdzieś indziej, żeby trochę odczekać. Najlepiej będzie wrócić do domu, stawić czoło temu, co i tak jest nieuniknione.

Matka pociągnęła ją za ucho, niemal delikatnie, jakby nie chciała sprawić jej bólu. Robiła tak, odkąd Ifemelu była dzieckiem. „Zbiję cię!”, mówiła, kiedy Ifemelu zrobiła coś złego, ale nigdy jej nie uderzyła, tylko ciągnęła lekko za ucho. Teraz pociągnęła dwa razy, dla wzmocnienia swoich słów.

— Diabeł przez ciebie przemawia. Musisz się pomodlić. Nie osądzaj. Osądzanie zostaw Bogu!

— Musisz zrezygnować ze swojej wrodzonej skłonności do prowokacji, Ifemelu —

powiedział ojciec. — I tak wyróżniasz się już w szkole, gdzie znana jesteś z niesubordynacji, i mówiłem ci, że to skalało

twoje wyniki w nauce. Po cóż powiełać ten wzorzec w kościele?

— Tak, tato.

Kiedy przyjechała ciocia Uju, matka Ifemelu opowiedziała jej, co się stało.

— Idź, przemów Ifemelu do rozsądku. Jesteś jedyną osobą, której posłucha. Zapytaj ją, co ja takiego zrobiłam, że przynosi mi taki wstyd w kościele. Obraziła siostrę Ibinabo! To jakby obraziła pastora! Czemu ta dziewczucha zawsze sprawia kłopoty? Wciąż powtarzam, że powinna była być chłopcem, skoro się tak zachowuje.

— Siostró, wiesz, że ma problem i nie zawsze wie, kiedy trzymać buzię na kłódkę. Nie martw się, porozmawiam z nią — powiedziała ciocia Uju, grając rolę rozjemcy, uspokajając żonę swojego kuzyna.

Zawsze dogadywała się z matką Ifemelu, łączyła je nieskomplikowana zażyłość ludzi, którzy unikają trudniejszych rozmów. Może ciocia Uju czuła wdzięczność, że matka Ifemelu ją

przyjęła, zaakceptowała jej status krewnej mieszkającej na specjalnych prawach. Dorastając, Ifemelu nigdy nie czuła się jak jedynaczka dzięki kuzynom, wujkom i ciotkom, którzy u nich mieszkali. W domu zawsze były walizki i torby, czasem jakiś krewny albo dwóch całymi tygodniami spało na podłodze w salonie. Większość należała do rodziny ojca; przyjeżdżali do Lagos, żeby uczyć się handlu, chodzić do szkoły albo szukać pracy, i chodziło o to, żeby ludzie w rodzinnej wiosce ojca nie mruczełi o swoim bracie z jednym dzieckiem, który nie chciał

pomóc innym. Jej ojciec czuł się wobec nich zobowiązany, nalegał, żeby wracali do domu przed ósmą, pilnował, żeby było dość jedzenia, i zamykał swoją sypialnię na klucz, nawet kiedy szedł

do łazienki, bo ktoś z nich mógł wejść i coś ukraść. Ale ciocia Uju była inna. Za mądra, żeby się zmarnować, mówił. Nazywał ją swoją najmłodszą siostrą, chociaż była córką jego

brata, i o nią troszczył się bardziej, bardziej się do niej zbliżył. Ilekroć zastał ciocię Uju i Ifemelu, jak gadały, leżąc zwinięte na łóżku, mówił z czułością: „Wy dwie”. Kiedy ciocia Uju pojechała na studia do Ibadan, niemal z żalem powiedział do Ifemelu: „Uju miała na ciebie kojący wpływ”. Fakt, że były sobie bliskie, traktował jako dowód słuszności swojego wyboru, jakby celowo sprowadził

do rodziny Uju, która odgrywała rolę bufora między żoną i córką.

I dlatego ciocia Uju powiedziała do Ifemelu w sypialni:

— Powinnaś była zrobić te girlandy. Ostrzegałam cię, że nie wszystko można powiedzieć.

Musisz się tego nauczyć. Nie musisz mówić wszystkiego.

— Dlaczego mama musi się zachwycać tym, co dostajesz od Generała, udając, że to pochodzi od Boga?

— A kto powiedział, że nie od Boga? — zapytała ciocia Uju i zrobiła minę, z obu stron ściągając usta w dół. Ifemelu się roześmiała.

Legenda rodzinna głosiła, że Ifemelu była niegrzeczną trzylatką, która wrzeszczała, kiedy zbliżył się do niej ktoś obcy, ale kiedy ujrzała po raz pierwszy ciocię Uju, trzynastoletnią i pryszczatą, podeszła do niej, wdrapała się jej na kolana i już tam została. Ifemelu nie wiedziała, czy tak było naprawdę, czy też stało się prawdą, bo wciąż się o tym opowiadało, uroczą historyjkę o początkach ich przyjaźni. To ciocia Uju szła dla Ifemelu sukieneczki, a kiedy Ifemelu była starsza, obie śleczyły nad magazynami z modą i razem wybierały style. Ciocia Uju nauczyła ją rozgniatać awokado i nakładać sobie na twarz, rozpuszczać w gorącej wodzie zioła i robić sobie parówkę, osuszać pryszczę pastą do zębów. Ciocia Uju przynosiła jej powieści Jamesa Hadleya Chase’a zawinięte w gazetę, żeby ukryć prawie nagie kobiety na okładce, prostowała na gorąco jej włosy, kiedy Ifemelu zaraziła się od sąsiadów wszami, rozmawiała z nią, kiedy dostała pierwszej miesiączki, uzupełniając wyjaśnienia matki, w których było mnóstwo biblijnych cytatów o cnocie, lecz ani słowa o skurczach i podpaskach. Kiedy Ifemelu poznała Obinze,

powiedziała cioci Uju, że spotkała miłość swojego życia, a ciocia Uju powiedziała jej, że może dać mu się pocałować, nawet dotknąć, ale nie może mu pozwolić, żeby jej włożył do środka.

ROZDZIAŁ 4

Bogowie, ulotne bóstwa, które władają miłością nastolatków, postanowiły, że Obinze będzie chodził z Giniką. Obinze był nowy i ładny, chociaż niski. Przeniósł się z uniwersyteckiego liceum w Nsukka i już po kilku dniach wszyscy znali plotki krążące o jego matce. Pokłóciła się z mężczyzną, innym profesorem z Nsukka, i była to nie tylko kłótnia, ale prawdziwa bójka, z przepychankami i ciosami, którą ona wygrała, podarła mu nawet ubranie i została zawieszona na dwa lata, więc na ten czas przeniosła się do Lagos. Historia była nieprawdopodobna; biją się przekupki na targu, biją się kobiety szalone, ale nie te, które są profesorami. Obinze, spokojny i zamknięty w sobie, sprawiał, że wszystko było tym bardziej intrygujące. Szybko został przyjęty do klanu zadzierających nosa, wyluzowanych młodych ludzi, Waźniaków; wałęsał się z nimi na korytarzach i stał z nimi z tyłu podczas apeli. Żaden nie nosił koszuli wpuszczonej w spodnie i mieli przez to wieczne kłopoty z nauczycielami, kłopoty, których im wszyscy zazdrościli, ale Obinze przychodził codziennie do szkoły z koszulą po rządnie wpuszczoną w spodnie i wkrótce wszyscy Waźniacy też swoje wpuszczali, nawet Kayode DaSilva, największy szpaner z nich wszystkich.

Kayode spędzał wszystkie wakacje w domu rodziców w Anglii, w domu, który na zdjęciach wyglądał na ogromny i nieprzystępny. Dziewczyna Kayode, Yinka, była taka sama jak on — ona także często jeździła do Anglii, mieszkała w Ikoyi i mówiła z brytyjskim akcentem.

Była najpopularniejszą dziewczyną w szkole, miała torbę z grubej, grawerowanej skóry i nosiła sandały zawsze inne niż reszta. Drugą najpopularniejszą dziewczyną była Ginika, najlepsza przyjaciółka Ifemelu. Ginika niezbyt często jeździła za granicę, więc nie była aż tak *away* jak Yinka, ale miała karmelową skórę i falujące włosy, które niezaplecione opadały

jej na kark, zamiast sterczeń w stylu afro. Co roku zostawała Najpiękniejszą Dziewczyną w klasie, co kwitowała cierpko: „To dlatego, że jestem półkrwi. Czy mogę być ładniejsza od Zainab?”.

Naturalną więc kolejną rzeczą było, że bogowie połączą Obinze i Ginikę. Kayode urządził

nieplanowaną imprezę w domu dla gości, wykorzystując moment, kiedy jego rodzice wyjechali do Londynu.

— Na imprezie przedstawię cię mojemu kumplowi, Zedowi — powiedział Ginice.

— Jest niezły — odparła Ginika z uśmiechem.

— Mam nadzieję, że nie odziedziczył bojowych genów po matce, o — zażartowała Ifemelu.

Cieszyła się, że Ginika zainteresowała się jakimś chłopakiem; prawie wszyscy Ważniacy ze szkoły startowali do niej, ale żaden długo nie wytrwał; Obinze wydawał się spokojny, idealny dla niej.

Ifemelu i Ginika przyszły razem, impreza dopiero się rozkręcała, na parkiecie było pusto, chłopcy biegali z kasetami, wszyscy wciąż jeszcze byli nieśmiali i skępowani. Zawsze kiedy Ifemelu przychodziła do domu Kayode, wyobrażała sobie, jak się tutaj mieszka, w Ikoyi, w pięknej, wysypanej żwirem posiadłości, z ubraną na biało służbą.

— Widzę Kayode z tym nowym — powiedziała Ifemelu.

— Nie chcę patrzeć — rzekła Ginika. — Idą tu?

— Tak.

— Zaszło mi w gardle.

— Nawet w ciasnych butach można zatańczyć — powiedziała Ifemelu.

Chłopcy podeszli do nich. Obinze był przesadnie wystrojony, w grubej sztruksowej

marynarce, podczas gdy Kayode miał na sobie tylko T-shirt i jeansy.

— Cześć, dziewczyny! — powiedział Kayode. Był wysoki i smukły, z typową dla uprzywilejowanych swobodą w zachowaniu. — Giniko, przedstawiam ci mojego przyjaciela Obinze. Zed, to jest Ginika, królowa, którą Bóg stworzył dla ciebie, jeśli jesteś gotowy spróbować.

Uśmiechał się łobuzersko, lekko wstawiony, złoty chłopiec przedstawiający sobie złotą parę.

— Cześć — powiedział Obinze do Giniki.

— To jest Ifemelu — rzekł Kayode. — Znana też jako Ifemsko. To prawa ręka Giniki.

Jak będziesz się źle zachowywał, przyłoży ci.

Wszyscy się roześmiali z aluzji.

— Cześć — powiedział Obinze.

Spojrzeni sobie z Ifemelu w oczy i nie mogli oderwać od siebie wzroku. Kayode podtrzymywał rozmowę, opowiadając Obinze, że rodzice Giniki też są profesorami na uniwersytecie.

— Więc oboje jesteście ludźmi nauki — powiedział Kayode.

Obinze powinien był przejąć pałeczkę i zacząć rozmawiać z Giniką, Kayode by odszedł, Ifemelu poszłaby za nim i wola bogów by się dopełniła. Ale Obinze mówił niewiele, więc Kayode musiał prowadzić rozmowę coraz głośniej, od czasu do czasu zerkając na Obinze, jakby go ponaglał. Ifemelu nie była pewna, kiedy to nastąpiło, ale wtedy, gdy Kayode mówił, stała się dziwna rzecz. Coś w niej drgnęło, zaświtało. Nagle zrozumiała, że chce oddychać tym samym powietrzem co Obinze. Zaczęła też niezwykle świadomie odbierać wszystko, co działo się tu i teraz. Głos Toni Braxton płynący z magnetofonu, *be it fast or slow, it doesn't let go, or shake me*, zapach brandy, którą Kayode zwędził ojcu z głównego domu, i obcisła biała koszula, która wpijała się jej w pachy. Ciocia Uju namówiła Ifemelu, żeby zawiązała koszulę na brzuchu w luźną kokardę, więc Ifemelu zastanawiała się teraz, czy naprawdę wygląda modnie, czy po prostu głupio.

Muzyka umilkła nagle.

— Pójdę sprawdzić — powiedział Kayode i odszedł zobaczyć, co się stało.

W zapadłej nagle ciszy Ginika zaczęła się bawić metalową bransoletką na ręce.

Obinze znowu spojrzał Ifemelu w oczy.

— Nie jest ci gorąco w tej marynarce? — zapytała Ifemelu.

Pytanie padło, zanim zdążyła się powstrzymać, tak była przyzwyczajona do wygłaszania kąśliwych uwag, do przerażenia w oczach chłopców. Ale on się uśmiechał. Rozbawiła go. Nie bał się jej.

— Bardzo gorąco — powiedział. — Ale jestem prostym wsiakiem i to moja pierwsza impreza w mieście, więc musisz mi wybaczyć. — Powoli zdjął marynarkę, zieloną, z łatami na łokciach, pod którą miał koszulę z długimi rękawami. — Teraz będę ją musiał wszędzie ze sobą nosić.

— Potrzymam ci — zaofiarowała się Ginika. — A na Ifemnie zwracaj uwagi. Marynarka jest w porządku.

— Dzięki, ale nie trzeba. Powinienem się z nią męczyć, niech to będzie kara, że w ogóle ją założyłem. — Popatrzył na Ifemelu z błyskiem w oczach.

— Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało — powiedziała Ifemelu. — Po prostu tu jest bardzo gorąco, a marynarka wygląda na grubą.

— Podoba mi się twój głos — rzekł, niemal wchodząc jej w słowo.

A ona, która nigdy nie czuła się speszona, nagle ochrypła.

— Mój głos?

— Tak.

Zagrała muzyka.

— Zatańczymy? — zapytał.

Kiwnęła głową.

Wziął ją za rękę, a potem uśmiechnął się do Giniki jak do milej przyzwoitki, która wywiązała się ze swoich

obowiązków. Ifemelu uważała romanse Millsa i Boon za głupie, czasem z koleżankami odgrywała z nich scenki, jej albo Ranyinudo przypadała rola mężczyzny, a Ginice albo Priye kobiety — mężczyzna chwycił kobietę, kobieta broniła się słabo, po czym osuwała się w objęcia mężczyzny z przenikliwym jękiem — i wszystkie wybuchały śmiechem. Ale na coraz bardziej tłoczonym parkiecie na imprezie u Kayode z zaskoczeniem odkryła, że w tych romantycznych bajkach jest odrobina prawdy. Faktycznie prawdą było, że przez mężczyznę można poczuć skurcz w żołądku, który nie chce ustąpić, stawy mogą wypaść z zawiasów, ręce i nogi nie poruszać w rytm muzyki, a to, co dotąd przychodziło bez wysiłku, nagle stawało się przeszkodą nie do pokonania. Poruszając się sztywno, kątem oka widziała Ginę, która na nich patrzyła z zaskoczoną miną i lekko opadłą szczęką, jakby nie była w stanie pojąć, co się właśnie stało.

— Naprawdę powiedziałaś „wsiok” — rzekła Ifemelu, przekrzykując muzykę.

— Co?

— Nikt już nie mówi „wsiok”. Tak się już pisze tylko w książkach.

— Ciekaw jestem, jakie książki czytasz — powiedział.

Pokpiwał sobie z niej i nie całkiem zrozumiała żart, ale i tak się roześmiała. Później żałowała, że nie zapamiętała każdego słowa, jakie do siebie wypowiedzieli, tańcząc. Pamiętała za to, że czuła się, jakby dryfowała. Kiedy zgasły światła i zaczęły się wolne kawałki, chciała, żeby w ciemnym kącie tulił ją w ramionach, ale on powiedział:

— Porozmawiajmy na zewnątrz.

Siedzieli na betonowych słupach za domkiem dla gości, obok czegoś, co było chyba łazienką dozorca, wąskiego budynekczku, skąd powiewy wiatru przynosiły zapach stęchlizny.

Rozmawiali i rozmawiali, pragnąc dowiedzieć się jak najwięcej o sobie nawzajem. Powiedział

jej, że kiedy miał siedem lat, zmarł jego ojciec, i teraz doskonale pamięta, jak ten uczył go jeździć na trzykołowym rowerku na zadrzewionej ulicy w pobliżu ich domu w kampusie, ale czasem z przerażeniem odkrywa, że nie pamięta twarzy swojego ojca, i ogarnia go przemożne poczucie zdrady, więc biegnie, żeby popatrzeć na oprawione zdjęcie, które wisi na ścianie w ich salonie.

— Twoja matka nigdy nie chciała powtórnie wyjść za mąż?

— Nawet gdyby chciała, wątpię, żeby to zrobiła, ze względu na mnie. Chcę, żeby była szczęśliwa, ale nie chcę, żeby znowu wychodziła za mąż.

— Ze mną byłoby chyba tak samo. Naprawdę pobiła się z innym profesorem?

— Więc już słyszałaś?

— Mówią, że dlatego musiała wyjechać z uniwersytetu w Nsukka.

— Nie, nie pobiła się. Była w komitecie i odkryli, że ten profesor zdefraudował pieniądze i matka oskarżyła go publicznie, a on się wściekł, uderzył ją i powiedział, że nie zniesie, by kobieta w ten sposób się do niego odzywała. Więc moja matka wstała, zamknęła drzwi do sali konferencyjnej i schowała klucz w staniku. Powiedziała temu profesorowi, że nie może go uderzyć, bo jest od niej silniejszy, ale będzie musiał ją publicznie przeprosić, przed tymi wszystkimi ludźmi, którzy widzieli, jak ją uderzył. Więc ją przeprosił. Ale ona wiedziała, że wcale tak nie myślał. Powiedziała, że to było w rodzaju: „OK, przepraszam, skoro tego chcesz,

a teraz oddawaj klucz”. Tamtego dnia wróciła do domu naprawdę wściekła i wciąż mówiła, jak to zmieniły się czasy, i co to znaczy, że teraz ktoś może tak po prostu uderzyć drugiego człowieka.

Pisała na ten temat okólniki i artykuły, a do wszystkiego włączył się związek studentów. Ludzie mówili: „Och, jak on ją mógł uderzyć, przecież to wdowa”, a to ją jeszcze bardziej rozzłościło.

Powiedziała, że nikt nie powinien jej uderzyć, ponieważ jest pełnoprawnym człowiekiem, a nie dlatego, że nie ma męża, który stanąłby w jej obronie. Wobec tego niektóre z jej studentek zrobiły podkoszulki z napisem „Pełnoprawny człowiek”. Przez to chyba matka stała się sławna.

Normalnie jest cicha i nie ma zbyt wielu przyjaciół.

— Dlatego przyjechaliście do Lagos?

— Nie. Już od jakiegoś czasu miała zaplanowany urlop naukowy. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy powiedziała mi, że bierze dwuletni urlop naukowy, ucieszyłem się, bo myślałem, że pojedziemy do Ameryki, ale ona powiedziała, że do Lagos, więc zapytałem ją po co? Równie dobrze mogliśmy zostać w Nsukka.

Ifemelu roześmiała się.

— Przynajmniej mogłeś polecieć samolotem.

— Owszem, ale przyjechaliśmy samochodem — odpowiedział ze śmiechem Obinze. —

Ale teraz cieszę się, że przyjechaliśmy do Lagos, bo inaczej nie spotkałbym ciebie.

— Albo Giniki — podpuściła go.

— Przestań.

— Koledzy cię zabijają. Miałeś latać za nią.

— Latam za tobą.

Zawsze będzie pamiętać tamtą chwilę i jego słowa. „Latam za tobą”.

— Widziałem cię wcześniej w szkole. Nawet pytałem o ciebie Kaya — powiedział.

— Serio?

— Widziałem, jak trzymasz książkę Jamesa Hadleya Chase’a. I powiedziałem: no proszę, jest nadzieja. Ona czyta.

— Chyba przeczytałam wszystkie jego książki.

— Ja też. Którą lubisz najbardziej?

— *Miss Shumway Waves a Wand.*

— Ja *Want to Stay Alive*? Nie spałem całą noc, żeby ją przeczytać.

— Tak, ta też mi się podobała.

— A inne książki? Co lubisz z klasyki?

— Klasyki, *kwa*? Lubię kryminały i sensację. Sheldona, Ludluma, Archera.

— Ale trzeba też czytać prawdziwe książki.

Popatrzyła na niego, zaskoczona jego powagą.

— Nie wytrzymam! Uniwersytecki chłopczyk! Tego musiała cię nauczyć mamusia profesor.

— Nie, mówię poważnie. — Umilkł na chwilę. — Dam ci kilka na próbę. Osobiście uwielbiam amerykańskie.

— Trzeba czytać prawdziwe książki — przedrzeźniła go.

— A poezja?

— No, ostatnio coś czytaliśmy na lekcji. *Sędziwy marynarz*. Co za nudy.

Obinze się zaśmiał, a Ifemelu, niezainteresowana dalszą rozmową o poezji, zapytała:

— I co Kayode powiedział o mnie?

— Nic złego. Lubi cię.

— Nie chcesz mi powiedzieć, co mówił.

— Powiedział: „Ifemelu to fajna lala, ale za bardzo pyskata. Lubi się kłócić. Wygadana.

Zawsze się stawia. Ale Ginika to słodka dziewczyna”. — Przerwał, a po chwili dodał: — Nie wiedział, że to właśnie chciałem usłyszeć. Nie interesują mnie dziewczyny, które są zbyt miłe.

— Aj-aj! Czyżbyś mnie obrażał? — Szturchnęła go z udawanym gniewem.

Lubiła, kiedy mówili o niej, że jest pyskata, inna, i czasem myślała, że to pancierz, który ją chroni.

— Wiesz, że cię nie obrazam. — Objął ją ramieniem i delikatnie przytulił; ich ciała dotknęły się po raz pierwszy i Ifemelu poczuła, że sztywnieje. — Bardzo mi się spodobałaś, ale nie tylko o to chodziło. Wyglądałaś jak ktoś, kto coś robi, bo chce, a nie dlatego, że robią to wszyscy.

Oparła o jego głowę swoją głowę i poczuła po raz pierwszy to, co później często przy nim czuła: sympatię do samej siebie. Sprawiał, że czuła się sobą. Odprężała się przy nim; czuła, że jej skóra jest w odpowiednim rozmiarze. Powiedziała mu, jak bardzo chce, żeby Bóg istniał, ale boi się, że tak nie jest, jak się martwi, że powinna wiedzieć, co chce robić w życiu, a nawet nie wie, co chce studiować. To było takie naturalne, że rozmawiają o różnych dziwnych rzeczach. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Przerazało ją to zaufanie, takie nagłe, a przy tym tak całkowite, i ta bliskość. Zaledwie kilka godzin wcześniej nic o sobie nawzajem nie wiedzieli, a mimo to zanim jeszcze zaczęli tańczyć, łączyła ich jakaś wspólna wiedza, a teraz Ifemelu potrafiła myśleć wyłącznie o rzeczach, które chciała mu powiedzieć i które chciała z nim robić. Tyle było podobieństw w ich życiu, i uznali je za dobre omeny: oboje byli jedynakami, ich urodziny dzieliły tylko dwa dni, pochodzili z miast w stanie Anambra. On był z Abby, ona z Umunnachi, a miasta były od siebie oddalone o kilkanaście minut.

— Aj-aj! Jeden z moich wujków ciągle jeździ do waszej wioski! — powiedział jej Obinze. — Kilka razy byłem z nim. Macie tam okropne drogi.

— Znam Abbę. Wasze drogi są gorsze.

— Jak często jeździsz do swojej wioski?

— W każde Boże Narodzenie.

— Tylko raz w roku! Ja jeżdżę z matką bardzo często, przynajmniej pięć razy w roku.

— Ale ja mówię w igbo lepiej od ciebie.

— Niemożliwe. Podstawy wszyscy znają. *Ama matu inu*. Nie na darmo żaba ucieka po południu.

— Nie, ja znam porządne przysłowia. *Akota ifeadi ako n'akpa dibia*. Znachor ma w torbie niejeden lek.

— Nieźle — powiedział. — *E gbuo dike n'oguuno, e luo na ogu agu, e lote ya*. Jeśli zabijesz wojownika w bójce, będziesz o nim pamiętać, walcząc z wrogiem.

Przerzucali się przysłowiami. Ifemelu wymyśliła jeszcze tylko dwa, zanim musiała się poddać, podczas kiedy on wciąż miał następne w zanadrzu.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała z podziwem. — Większość facetów nawet nie mówi w igbo, o przysłowiach nie wspominając.

— Przysłuchuję się, jak rozmawiają moi wujkowie. Myślę, że tacie by się to podobało.

Umilkli. Znad drzwi domku dla gości, gdzie zebrała się grupka chłopaków, unosił się dym z papierosów. Powietrze pulsowało odgłosami imprezy: głośną muzyką, uniesionymi głosami i piskliwym śmiechem chłopców i dziewcząt, bardziej wyluzowanych i swobodnych, niż będą już następnego dnia.

— Nie pocałujemy się? — zapytała.

Zaskoczyła go.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Tak tylko pytam. Siedzimy tu już tak długo.

— Nie chcę, byś sobie pomyślała, że tylko tego chcę.

— A co z tym, czego ja chcę?

— Czego chcesz?

— A jak myślisz?

— Moją marynarkę?

Roześmiała się.

— Jasne, twoja słynna marynarka.

— Zawstydzasz mnie — powiedział.

— Poważnie? Bo to ty zawstydzasz mnie.

— Nie wierzę, że coś może cię zawstydząć — powiedział.

Pocałowali się, przywarli do siebie czołami, trzymali się za ręce. Jego pocałunek był

przyjemny, niemal podniecający; w niczym nie przypominał pocałunków jej byłego chłopaka Mofe, który według niej za bardzo się ślinił.

Kilka tygodni później powiedziała do Obinze:

— Gdzie się tak nauczyłeś całować? Zupełnie inaczej niż mój były chłopak, w którego wykonaniu to było oślinione partactwo!

Roześmiał się i powtórzył „oślinione partactwo!”, a potem jej wyjaśnił, że ważna jest nie technika, tylko uczucie. Robił to samo, co jej były chłopak, ale w tym przypadku różnica leżała w miłości.

— Przecież wiesz, że w naszym przypadku to była miłość od pierwszego wejrzenia —

powiedział.

— W przypadku nas obojga? Czemu mówisz w moim imieniu?

— Stwierdzam tylko fakt. Przestań się wysilać.

Siedzieli obok siebie na ławce z tyłu prawie pustej klasy. Zaczął dzwonić dzwonek na lekcję, brzękliwy i nieharmonijny.

— Tak, to fakt — powiedziała.

— Co?

— Kocham cię.

Z jaką łatwością wypowiedziała te słowa, jak głośno. Chciała, żeby je usłyszał, i chciała, żeby usłyszał je siedzący z przodu pilny chłopak w okularach, i dziewczyny przed drzwiami na korytarzu.

— Fakt — powiedział Obinze z uśmiechem.

Dla niej wstąpił do klubu dyskusyjnego, a kiedy przemawiała, najgłośniej i najdłużej klaskał, aż jej koleżanki musiały interweniować.

— Skończ już, Obinze, wystarczy.

Dla niego ona zapisała się do klubu sportowego i, siedząc przy bocznej linii z jego butelką wody, patrzyła, jak gra. Ale on kochał nade wszystko tenis stołowy. Zlany potem grał

i wydzierał się, z niesamowitą energią waląc w małą, białą piłeczkę, a ona zachwycona podziwiała jego talent, kiedy stał na pozór za daleko od stołu, a mimo to udawało mu się sięgnąć piłki. Już był niepokonanym mistrzem ich liceum, tak samo jak w poprzedniej szkole, o czym jej powiedział. Kiedy z nim grała, śmiał się.

— Jeśli chcesz wygrać, nie wystarczy tylko walić wściekle w piłkę, o! — mówił.

Przez nią koledzy nazywali go „pantoflarzem”. Kiedyś umawiał się z kolegami na piłkę po szkole, i jeden z nich zapytał:

— Ifemelu ci pozwoliła iść z nami?

— Tak, ale powiedziała, że mam tylko godzinę — odpowiedział bez wahania.

Podobało się jej, że tak odważnie obnosił się z ich związkiem, jakby był jaskrawą,

kolorową koszulą. Czasem bała się, że jest za bardzo szczęśliwa. Wpadała w zły humor, warczała na Obinze albo zamykała się w sobie. A jej radość była jak niespokojna istota, trzepocząca w jej wnętrzu skrzydłami, jakby tylko czekała na okazję, żeby się wyrwać i odfrunąć.

ROZDZIAŁ 5

Po imprezie u Kayode Ginika jakby połknęła kij; w swoim towarzystwie zaczęły się czuć dziwnie niezręcznie.

— Nigdy bym nawet nie pomyślała, że to się tak skończy, przecież wiesz — powiedziała jej Ifemelu.

— Ifem, on od początku się na ciebie gapił — odparła Ginika, a potem na dowód, że nic się nie stało, żartowała, że Ifemelu ukradła jej chłopaka, chociaż nawet nie próbowała. Jej dobry humor był wymuszony, szyty grubymi nićmi i Ifemelu ciążyło poczucie winy i pragnienie zadośćuczynienia. Nie mogła się pogodzić, że jej bliska przyjaciółka Ginika, śliczna, miła, popularna Ginika, z którą nigdy się nie kłóciły, musiała się tak poniżyć i udawać, że jej to nie obeszło, chociaż w jej głosie słychać było smutek za każdym razem, kiedy mówiła o Obinze.

— Ifem, będziesz dzisiaj miała dla nas czas, czy jak zwykle liczy się tylko Obinze? —

pytała.

Aż któregoś dnia Ginika przyszła do szkoły i kiedy z zaczerwienionymi i podkrążonymi oczami powiedziała Ifemelu: „Starzy mi powiedzieli, że w przyszłym miesiącu wyjeżdżamy do Ameryki”, Ifemelu niemal poczuła ulgę. Będzie jej brakowało przyjaciółki, ale wyjazd Giniki zmusił je obie, żeby wycisnąć ich przyjaźń i odświeżoną zostawić, aż wyschnie i wróci do punktu, w którym kiedyś się znajdowała. Rodzice Giniki już od jakiegoś czasu mówili o odejściu z uniwersytetu i rozpoczęciu wszystkiego od nowa w Ameryce. Kiedyś Ifemelu była w domu Giniki i usłyszała, jak jej ojciec mówi:

— Nie jesteśmy stadem baranów. Ten reżim traktuje nas jak stado baranów, a my zaczynamy się tak zachowywać. Od lat nie mogę prowadzić żadnych badań, bo codziennie organizuję strajki, dyskutuję o niewypłaconych pensjach, a w salach nie ma nawet kredy.

Był drobnym, ciemnym mężczyzną, który przy matce Giniki, wielkiej, z popielatymi włosami, wydawał się jeszcze mniejszy i ciemniejszy, i który zawsze był jakby niepewny, czy podjąć decyzję, a jeśli tak, to jaką. Kiedy Ifemelu powiedziała swoim rodzicom, że rodzina Giniki wyjeżdża, jej ojciec westchnął.

— Przynajmniej los się na tyle do nich uśmiechnął, że mają jakąś opcję — powiedział.

— Bóg ich pobłogosławił — dodała matka.

Ale Ginika żaliła się i płakała, roztaczając wizję smutnego, pozbawionego przyjaciół

życia w obcej Ameryce.

— Szkoda, że nie mogę zamieszkać z wami, kiedy oni już wyjadą — powiedziała do Ifemelu.

Siedziały wszystkie u Giniki w domu, Ifemelu, Ranyinudo, Priye i Tochi, i w jej pokoju grzebały w ubraniach, których nie zabierała ze sobą.

— Giniko, tylko pamiętaj, żebyś nie zapomniała, jak z nami rozmawiać, kiedy wrócisz —

powiedziała Priye.

— Wróci i będzie prawdziwą Amerykaaną, jak Bisi — odezwała się Ranyinudo.

Ryknęły śmiechem, ubawione słowem „Amerykaana”, chętnym, z przeciągniętą czwartą sylabą, i wzmianką o Bisi, dziewczynie z klasy o rok niżej, która po powrocie z krótkiej podróży do Ameryki zrobiła się dziwnie afektowana i udawała, że przestała rozumieć język yoruba, a do każdego wypowiedzanego słowa po angielsku dodawała bełkotliwe „r”.

— Ale poważnie, Giniko. Wszystko bym oddała, żeby znaleźć się na twoim miejscu —

powiedziała Priye. — Nie rozumiem, czemu nie chcesz jechać. Przecież zawsze możesz wrócić.

W szkole wokół Giniki gromadzili się przyjaciele. Wszyscy zapraszali ją do sklepiku szkolnego, chcieli się z nią spotykać po szkole, jakby jej rychły wyjazd robił z niej osobę tym bardziej pożądaną towarzysko. Na krótkiej przerwie Ifemelu i Giniko stały na korytarzu, kiedy podeszli do nich Waźniacy: Kayode, Obinze, Achmed, Emenike i Osahon.

— Giniko, gdzie będziecie mieszkać w Ameryce? — zapytał Emenike.

Darzył respektem ludzi wyjeżdżających za granicę. Kiedy Kayode wrócił z podróży do Szwajcarii, dokąd pojechał z

rodzicami, Emenike nachylił się, żeby pogłaskać jego buty.

— Muszę ich dotknąć, bo chodziły po śniegu — powiedział.

— W Missouri — odparła Ginika. — Mój tato dostał tam pracę nauczyciela.

— Twoja matka jest Amerykanką, *abi*? To znaczy, że masz amerykański paszport? —

zapytał Emenike.

— Tak. Ale od trzeciej klasy podstawówki nigdzie nie wyjeżdżałam.

— Amerykański paszport to najlepsza rzecz pod słońcem — powiedział Kayode. — Od razu wymieniłbym na niego swój brytyjski.

— Ja też — powiedziała Yinka.

— A ja prawie taki dostałem, *o* — rzekł Obinze. — Miałem osiem miesięcy, kiedy rodzice zabrali mnie do Ameryki. Wciąż powtarzam mojej mamie, że mogła pojechać wcześniej i tam mnie urodzić!

— Miałeś pecha, stary — powiedział Kayode.

— Ja nie mam paszportu. Kiedy ostatnio wyjeżdżałem, byłem w paszporcie mamy —

powiedział Osahon.

— A ja nigdy nie byłem za granicą, ale tato mi obiecał, że pojedę na studia. Chciałbym się już starać o wizę, zamiast czekać, aż skończę szkołę — powiedział Emenike.

Po jego słowach zapadła cisza.

— Nie opuszczaj nas jeszcze, zaczekaj, aż skończysz szkołę — odezwała się w końcu Yinka i razem z Kayode wybuchli śmiechem.

Inni też się roześmiali, nawet sam Emenike, ale ich śmiech był dwuznaczny. Wiedzieli, że Emenike kłamie, bo ciągle zmyślał historie o bogatych rodzicach, chociaż było wiadomo, że ich nie ma. Miał nieprzewartą potrzebę wymyślenia życia, które nie było jego. Rozmowa zmieniła tor, zeszła na nauczyciela

matematyki, który nie umiał rozwiązywać układów równań. Obinze wziął Ifemelu za rękę i odłączyli się od reszty. Często tak robili, powoli odsuwając się od przyjaciół, żeby usiąść w kącie biblioteki albo przejść się po trawniku za laboratoriami. Kiedy szli, chciała powiedzieć, że nie wie, co to znaczy „być w paszporcie mamy”, i że jej matka nawet nie miała paszportu. Ale nie odezwała się, tylko szła obok niego w milczeniu. On tu pasował, do tej szkoły, o wiele bardziej niż ona. Była popularna, znajdowała się na każdej liście zaproszonych na imprezę, na wszystkich apelach wyczytywano ją jako jedną z „pierwszej trójki” w ich klasie, a mimo to czuła się skryta przezroczywą mgiełką inności. Nie byłoby jej tutaj, gdyby nie zdała tak dobrze egzaminów wstępnych i gdyby jej ojciec nie był zdeterminowany, żeby posłać ją do

„szkoły, w której buduje się nie tylko charakter, ale i karierę”. Jej podstawówka była inna, pełna takich samych jak ona dzieci, których rodzice pracowali jako nauczyciele albo urzędnicy, które jeździły autobusami, a nie miały swoich szoferów. Pamiętała zdumienie na twarzy Obinze, które natychmiast ukrył, kiedy zapytał ją o numer telefonu.

— Nie mamy telefonu — odpowiedziała.

Teraz trzymał ją za rękę, ściskając delikatnie. Podziwiał ją za to, że mówiła wszystko bez ogródek i była inna, ale poza tym zdawał się niczego więcej nie dostrzegać. Dla niego przebywanie tutaj, wśród ludzi jeżdżących za granicę, było czymś naturalnym. Doskonale orientował się we wszystkim, co zagraniczne, zwłaszcza amerykańskie. Wszyscy oglądali amerykańskie filmy i wymieniali się słowiałymi amerykańskimi czasopismami, ale on znał

szczegóły dotyczące amerykańskich prezydentów sprzed stu lat. Wszyscy oglądali amerykańskie seriale, ale on wiedział, że Lisa Bonet odchodzi z *Bing Crosby Show*, żeby zagrać w *Harry Angelu*, i wiedział o ogromnych długach Willa Smitha, zanim jeszcze zaczął występować w *Bajer Bel-Air*.

„Wyglądasz jak czarna Amerykanka” było w jego ustach największym z możliwych komplementem, który prawił jej, kiedy założyła ładną sukienkę albo włosy zaplotła w grube

warkocze. Manhattan był dla niego szczytem marzeń. Często powtarzał: „Nie tak jak na Manhattanie” albo: „Trzeba pojechać na Manhattan i zobaczyć”. Dał jej *Huckleberry'ego Finna*, z kartkami tłustymi od jego palców, i zaczęła go czytać w autobusie, ale po kilku rozdziałach zrezygnowała. Następnego dnia rano zdecydowanie rzuciła mu książkę na ławkę.

— Tych bzdur nie da się czytać — powiedziała.

— Jest napisana w różnych amerykańskich dialektach — wyjaśnił Obinze.

— I co z tego? I tak nic nie rozumiem.

— Musisz być cierpliwa, Ifem. Jak się zagłębisz, wciągnie cię i nie będziesz się mogła oderwać.

— Już się oderwałam. Zatrzymaj sobie swoje prawdziwe książki, a mnie pozwól czytać takie, jak lubię. A tak przy okazji, i tak zawsze wygrywam w scrabble, panie Prawdziwa Książko.

Teraz, kiedy wracali do klasy, puściła jego rękę. Ilekroć tak się czuła, wystarczyła najmniejsza rzecz, żeby ogarnęła ją panika, a zwykle wydarzenia zapowiadały katastrofę. Tym razem winna temu była Ginika; stała obok schodów, z plecakiem na ramieniu, z twarzą połyskującą złotem w słońcu, i nagle Ifemelu pomyślała, jak wiele Ginika i Obinze mają wspólnego. Dom Giniki na uniwersytecie w Lagos, spokojny bungalow z podwórkiem otoczonym gęstym żywopłotem z bugenwilli, zapewne był bardzo podobny do tego, w którym Obinze mieszkał w Nsukka, i nagle Ifemelu wyobraziła sobie, jak Obinze dostrzega, że Ginika o wiele lepiej do niego pasuje, i wtedy jej radość, ta krucha, świetlista rzecz, która ich łączy, znika.

Rano po apelu Obinze powiedział jej, że jego matka zaprasza Ifemelu.

— Twoja matka? — zapytała, otwierając usta ze zdumienia.

— Myślę, że chce poznać przyszłą synową.

— Obinze, nie żartuj!

— Pamiętam, jak w szóstej klasie podstawówki zabrałem jedną dziewczynę na imprezę pożegnalną i moja matka nas podwoziła, i dała tej dziewczynie chusteczkę. Powiedziała: „Dama zawsze musi mieć pod ręką chusteczkę”. Moja matka potrafi być dziwna, *sha*. Może chce ci dać chusteczkę.

— Obinze Maduewesi!

— Nigdy wcześniej tak nie było, ale też nigdy wcześniej nie miałem na poważnie żadnej dziewczyny. Chyba po prostu chce cię poznać. Powiedziała, żebyś przyszła na lunch.

Ifemelu gapiła się na niego. Jaka normalna matka zaprasza dziewczynę swojego syna na lunch? To było dziwne. Przecież tylko w książkach ludzie mówili: „przyjdź na lunch”. Jak się jest Chłopakiem i Dziewczyną, nie składa się sobie nawzajem wizyt w domach; zapisuje się na zajęcia pozalekcyjne, do kółka francuskiego, na cokolwiek, gdzie można się spotykać po szkole.

Rzecz jasna jej rodzice nie mieli pojęcia o Obinze. Zaproszenie przez jego matkę przerażało ją i podniecało: przez wiele dni zastanawiała się, co na siebie włożyć.

— Po prostu bądź sobą — powiedziała jej ciocia Uju.

— Jak mogę być sobą? — odpowiedziała Ifemelu. — Co to w ogóle znaczy?

Kiedy nadeszła pora wizyty, Ifemelu chwilę stała przed drzwiami do ich mieszkania, zanim nacisnęła dzwonek, nagle gwałtownie pragnąc, żeby ich nie było w domu. Obinze otworzył drzwi.

— Cześć. Mama właśnie wróciła z pracy.

Salon był przestronny, na ścianach nie wisały fotografie, z wyjątkiem jednego turkusowego portretu kobiety o długiej szyi, w turbanie.

— To jedyna rzecz, która należy do nas. Poza tym wszystko było już w mieszkaniu —

powiedział Obinze.

— Bardzo ładny — bąknęła.

— Nie denerwuj się. Pamiętaj, to ona cię tu zaprosiła — szepnął Obinze i zaraz potem pojawiła się jego matka.

Wyglądała jak Onyeka Onwenu, podobieństwo było zaskakujące: piękność z dużym nosem, pełnymi wargami, okrągłą twarzą otoczoną niskim afro, idealnie gładką skórą w kolorze ciemnego kakao. Muzyka Onyeki Onwenu była jedną z promiennych radości z dzieciństwa Ifemelu; później też nic nie straciła ze swojego blasku. Nigdy nie zapomni dnia, w którym jej ojciec wrócił z nowym albumem *In the Morning Light*. Twarz Onyeki Onwenu była dla niej objawieniem i przez długi czas wodziła palcem po zdjęciu. Kiedy ojciec puszczał jej piosenki, w mieszkaniu robiło się radośnie, a jej ojciec rozluźniał się, śpiewając piosenki przesycone kobiecością. Ifemelu zaś czując się winna, marzyła, że żoną ojca zamiast matki jest Onyeka Onwenu. Kiedy przywitała się mówiąc: „Dzień dobry, ma”, była niemal pewna, że matka Obinze zacznie śpiewać równie niesamowitym głosem, jak Onyeka Onwenu. Ale jej głos był niski i mrukliwy.

— Masz przepiękne imię, Ifemelunamma — powiedziała.

Ifemelu na sekundę zapomniała języka w ustach.

— Dziękuję, ma.

— Przetłumacz je — powiedziała matka Obinze.

— Przetłumaczyć?

— Tak, co znaczy twoje imię? Obinze nie mówił ci, że zajmuję się trochę tłumaczeniami?

Z francuskiego. Wykładam literaturę, nie angielską, ale po angielsku, i tłumaczenie traktuję jako hobby. Po angielsku twoje imię mogłoby znaczyć: Zrobiona w samą porę, albo Pięknie zrobiona.

A ty jak uważasz?

Ifemelu nie była w stanie myśleć. Było w tej kobiecie coś, co sprawiało, że chciała mówić inteligentne rzeczy, ale w głowie miała pustkę.

— Mamo, ona przyszła, żeby cię poznać, a nie tłumaczyć swoje imię — powiedział

Obinze z żartobliwym zniecierpliwieniem.

— Czy możemy naszemu gościowi zaproponować coś do picia? Wyjąłeś zupę z zamrażarki? Chodźmy do kuchni — powiedziała jego matka.

Zdjęła mu z włosów jakiś kłaczek i lekko pacnęła go w głowę. Ich bezpośrednia, żartobliwa relacja krępowała Ifemelu. Nie było w niej napięcia, strachu przed konsekwencjami; w niczym nie przypominała znajomego stosunku dzieci do rodziców. Gotowali razem, matka mieszała zupę, Obinze przygotowywał garbi, a Ifemelu stała obok i popijała coca-cole.

Zaproponowała, że pomoże.

— Nie, kochana, może następnym razem — powiedziała matka Obinze, jakby nie każdego dopuszczała do swojej kuchni. Była miła i bezpośrednia, nawet serdeczna, ale też trochę zamknięta, niezbyt chętna do obnażania się całkowicie przed światem, podobnie jak Obinze.

Nauczyła swojego syna, jak nawet w tłumie nie tracić wewnętrznego poczucia pewności siebie.

— Jakie są twoje ulubione powieści, Ifemelunamma? — zapytała matka Obinze. —

Wiedziałaś, że Obinze czyta tylko amerykańskie książki? Mam nadzieję, że nie jesteś równie głupia.

— Mamo, chcesz mnie zmusić, żeby ta książka mi się spodobała. — Gestem wskazał na leżącą na kuchennym stole powieść Grahama Greene'a *Sedno sprawy*. — Mama czyta ją dwa razy w roku. Nie rozumiem dlaczego — zwrócił się do Ifemelu.

— To mądra książka. Ważne książki o ludziach to te, do których się wraca. Te amerykańskie, które ty czytasz, są lekkiej kategorii. — Obróciła się do Ifemelu. — Ten chłopak jest otumaniony Ameryką.

— Czytam amerykańskie książki, bo Ameryka to przyszłość, mamusiu. I nie zapominaj, że twój mąż się tam kształcił.

— To było wtedy, kiedy tylko bęcwały jeździły studiować do Ameryki. W tamtych czasach panowało przekonanie, że amerykańskie uniwersytety są na poziomie brytyjskich liceów.

Po ślubie musiałam się sporo nad nim napracować.

— Nawet wtedy, kiedy zostawiłaś swoje rzeczy w jego mieszkaniu, żeby odstraszyć jego drugą dziewczynę?

— Mówiłam ci, żebyś nie zwracał uwagi na nieprawdziwe opowieści twojego wuja.

Ifemelu była zafascynowana. Matka Obinze, ze swoją piękną twarzą, inteligencją, krzątająca się w białym fartuchu po kuchni w niczym nie przypominała żadnej ze znanych Ifemelu matek. Tutaj jej ojciec, ze swoimi bezsensownie górnolotnymi słowami, wydawałby się prostacki, a matka prowincjonalna i nieważna.

— Możesz umyć ręce w zlewie — powiedziała do niej matka Obinze. — Mam nadzieję, że woda wciąż jest.

Usiedli przy stole i jedli garbi i zupę. Ifemelu bardzo się starała, jak poradziła jej ciocia Uju, „być sobą”, chociaż nie miała już pewności, jaką „sobą” jest. Czuła się niegodna, niezdolna wraz z Obinze i jego matką poddać się atmosferze, jaką stwarzali.

— Zupa jest bardzo słodka, ma — odezwała się grzecznie.

— Och, to Obinze ją gotował — powiedziała jego matka. — Nie mówił ci, że gotuje?

— Mówił, ale nie sądziłam, że potrafi też ugotować zupę, ma — rzekła Ifemelu.

Obinze uśmiechał się złośliwie.

— A ty gotujesz w domu? — zapytała jego matka.

Ifemelu chciała skłamać, powiedzieć, że gotuje i to uwielbia, ale przypomniała sobie słowa cioci Uju.

— Nie, ma — powiedziała. — Nie lubię gotować. W kółko mogłabym jeść kluski indosie.

Matka Obinze roześmiała się, jakby ta szczerość ją ujęła, a kiedy się śmiała, jej twarz wyglądała jak twarz Obinze, tylko że z łagodniejszymi rysami. Ifemelu jadła wolno, myśląc, jak bardzo chciałaby tu z nimi zostać, w tym ich uniesieniu, na zawsze.

W weekendy, kiedy matka Obinze piekła, ich mieszkanie pachniało wanilią. Na placku połyskiwały plasterki mango, małe brązowe ciasteczka pęczniały od rodzynek. Ifemelu mieszała ciasto i obierała owoce; jej własna matka nie piekła; ich piekarnik był domem dla karaluchów.

— Obinze właśnie użył słowa „kufer”, ma. Powiedział, że to jest w kufrze twojego samochodu — rzekła.

W ich amerykańsko-brytyjskich potyczkach zawsze trzymała stronę matki Obinze.

— Kufer to skrzynia, a nie część samochodu, mój drogi synu — powiedziała jego matka.

— Ifemelunamma, powiedz, proszę, mojemu synowi, że nie mówię po amerykańsku. Czy

mógłby to powiedzieć po brytyjsku?

W weekendy oglądali filmy na wideo. Siedzieli na kanapie w salonie ze wzrokiem wbitym w ekran.

— Mamusiu, *chelu*, słuchamy — mówił, kiedy jego matka od czasu do czasu komentowała wiarygodność jakiejś sceny albo przepowiadała, co będzie dalej, lub stwierdzała, że aktor nosi perukę.

Którejś niedzieli, w środku filmu, matka Obinze wyszła do apteki po lekarstwo na alergię.

— Zapomniałam, że dzisiaj zamykają wcześniej — powiedziała.

Jak tylko usłyszeli silnik jej samochodu i głuchy pomruk, kiedy ruszył na wstecznym biegu, Obinze i Ifemelu pognali do jego sypialni i padli na łóżko. Całowali się, dotykali, ubrania mieli zadarte, przekrzywione, na wpół wyciągnięte. Ich ciepłe skóry ocierały się o siebie.

Zostawili drzwi i żaluzje w oknach otwarte, oboje czujni na dźwięk samochodu matki.

W sekundzie byli ubrani i siedzieli z powrotem w salonie. Włączyli odtwarzanie na magnetowidzie.

Matka Obinze weszła i zerknęła na telewizor.

— Kiedy wychodziłam, oglądaliście tę samą scenę — powiedziała cicho.

Zapadła martwa cisza, nawet z telewizora nie dochodził żaden głos. A potem przez okno napłynęło śpiewne nawoływanie sprzedawcy fasoli.

— Ifemelunamma, chodź proszę — powiedziała matka Obinze, obracając się do wyjścia.

Obinze wstał, lecz Ifemelu go powstrzymała.

— Nie, prosiła mnie.

Matka poprosiła, żeby Ifemelu weszła z nią do jej sypialni i usiadła na łóżku.

— Jeżeli dojdzie do czegoś między tobą i Obinze, oboje będziecie odpowiedzialni. Ale natura jest dla kobiet niesprawiedliwa. Aktu dokonuje dwoje ludzi, ale konsekwencje ponosi tylko jedna osoba. Rozumiesz mnie?

— Tak.

Ifemelu nie patrzyła na matkę Obinze, tylko siedziała ze wzrokiem wbitym w czarno-białe linoleum na podłodze.

— Robiliście z Obinze coś poważnego?

— Nie.

— Ja też byłam kiedyś młoda. Wiem, co to znaczy być zakochanym w młodości. Chcę ci dać dobrą radę. Zdaję sobie sprawę, że ostatecznie i tak zrobisz to, co zechcesz. Ale radzę ci, żebyś zaczekała. Można kochać bez uprawiania miłości. Pięknie jest dać dowód swoich uczuć, ale to pociąga za sobą odpowiedzialność, wielką odpowiedzialność, poza tym nie ma po co się śpieszyć. Radziłabym ci, żebyś zaczekała z tym przynajmniej do studiów, do czasu aż bardziej będziesz świadoma siebie. Rozumiesz?

— Tak — powiedziała Ifemelu.

Nie miała pojęcia, co to znaczy „być bardziej świadomą siebie”.

— Wiem, że jesteś mądrą dziewczyną. Kobiety są rozsądniejsze od mężczyzn i to ty będziesz musiała być tą rozsądną. Przekonaj go. Oboje powinniście się zgodzić, żeby poczekać, nie robić niczego pod presją.

Matka Obinze umilkła i Ifemelu nie wiedziała, czy już skończyła. Cisza dzwoniła jej w uszach.

— Dziękuję, ma — powiedziała.

— A kiedy postanowisz to zrobić, chcę, żebyś do mnie przyszła. Chcę wiedzieć, że jesteś odpowiedzialna.

Ifemelu skinęła głową. Siedziała na łóżku matki Obinze, w jej sypialni, przytakując

i obiecując jej powiedzieć, kiedy zacznie uprawiać seks z jej synem. A mimo to nie czuła wstydu.

Może przez ton, z jakim matka Obinze do niej mówiła, ze spokojem, jak o czymś całkowicie naturalnym.

— Dziękuję, ma — powtórzyła Ifemelu, patrząc w końcu w twarz matki Obinze, otwartej, takiej samej jak zawsze. — Tak zrobię.

Wróciła do salonu. Obinze był zdenerwowany, siedział przycupnięty na brzegu stolika.

— Przepraszam, pomówię z nią o tym, kiedy wyjdiesz. Jeśli chce z kimś porozmawiać, powinna to zrobić ze mną.

— Powiedziała, że mam się tu więcej nie pokazywać. Że sprowadzam jej syna na złą drogę.

Obinze zamrugnął oczami.

— Co?

Ifemelu się roześmiała. Kiedy później powtarzała mu, co powiedziała jej jego matka, kręcił głową.

— Mamy jej powiedzieć, kiedy zaczniemy? Co to za bzdury? Chce nam kupić kondomy?

Co jest nie tak z tą kobietą?

— A kto powiedział, że w ogóle kiedyś coś zaczniemy?

ROZDZIAŁ 6

W tygodniu ciocia Uju pędziła do domu, żeby wziąć prysznic i czekać na Generała, natomiast w weekendy leniuchowała w nocnej koszuli, czytała, gotowała i oglądała telewizję, bo Generał był w Abuja z żoną i dziećmi. Unikała słońca i używała kremów w eleganckich flakonach, żeby jej cera, z natury jasna, stała się jeszcze jaśniejsza, bardziej promienna i lśniąca.

Czasem, kiedy wydawała polecenia swojemu kierowcy, Soli, albo ogrodnikowi, Babie Kwiatkowi, czy dwóm domowym pomocom, Inyang, która sprzątała, i Chikodili, która gotowała, Ifemelu przypominała sobie, jak jej matka bez gniewu narzekała na ciocię Uju, wiejską dziewczynę sprowadzoną wiele lat temu do Lagos, która jest tak okropnie zacofana, że wciąż dotyka ścian, i w ogóle co jest z tymi ludźmi ze wsi, że nie mogą ustać na nogach bez ciągłego smarowania ścian dłońmi? Ifemelu zastanawiała się, czy ciocia Uju patrzy czasem na siebie oczami tamtej wiejskiej dziewczyny, którą była? Może nie. Ciocia Uju weszła w swoje nowe życie gładko, bardziej zafascynowana samym Generałem niż nowym bogactwem.

Kiedy Ifemelu ujrzała dom cioci Uju w Dolphin Estate, nie chciała z niego wyjść.

Zafascynowała ją łazienka, z kranem gorącej wody, prysznicem, z którego woda aż chlustała, różowymi kafelkami. W sypialni były zasłony z surowego jedwabiu.

— Aj-aj, co za marnotrawstwo robić z czegoś takiego zasłony. Bardziej się nadaje na sukienkę.

W salonie były szklane drzwi, które bezszelestnie się otwierały i tak samo bezszelestnie zamykały. Nawet kuchnia była klimatyzowana. Ifemelu chciała tu mieszkać. Zrobiłaby wrażenie na kolegach; wyobrażała sobie, jak siedzą w małym pokoju obok salonu, który ciocia Uju nazywała telewizyjnym,

i oglądają programy z satelity. Zapytała więc rodziców, czy mogłaby mieszkać u cioci Uju w ciągu tygodnia.

— Jest bliżej do szkoły, nie musiałabym jeździć dwoma autobusami. Jechałabym do niej w poniedziałek i wracała w piątek — powiedziała. — Mogłabym pomagać cioci Uju w domu.

— Z tego co wiem, ciocia Uju ma dość pomocników — powiedział ojciec Ifemelu.

— To dobry pomysł — odezwała się matka do ojca. — Miałaby tam dobre warunki do nauki, przynajmniej codziennie jest światło. Nie musiałaby się uczyć przy lampie naftowej.

— Może odwiedzać ciocię Uju po szkole i w weekendy. Ale nie zamieszka tam —

powiedział ojciec.

Matka umilkła, zaskoczona jego stanowczością.

— Dobrze — rzekła, posyłając Ifemelu bezradne spojrzenie.

Przez wiele dni Ifemelu była zła. Ojciec często jej ustępował, zgadzał się na wszystko, ale tym razem nie zwracał uwagi na jej dąsy i ostentacyjne milczenie przy stole. Udawał, że nie zauważył, kiedy ciocia Uju przyniosła im nowy telewizor. Siedział na swojej mocno zniszczonej kanapie i czytał swoją mocną zniszczoną książkę, podczas gdy kierowca cioci Uju stawiał

brązowy karton Sony. Matka Ifemelu zaczęła śpiewać kościelną pieśń — *Pan dał mi dziś zwycięstwo, wynieśmy Go wyżej* — którą często śpiewała podczas zbiórki na tacę.

— Generał kupił mi więcej, niż potrzebuję. Nie mam go gdzie postawić — powiedziała ciocia Uju, nie zwracając się do nikogo w szczególności, jakby bagatelizowała podziękowania.

Matka Ifemelu otworzyła pudło, ostrożnie usuwając styropianowe opakowanie.

— Na naszym starym już nic nie widać — powiedziała, chociaż wszyscy wiedzieli, że to nieprawda.

— Ale jest cienki! — dodała. — Popatrzcie tylko!

Ojciec podniósł wzrok znad książki.

— Rzeczywiście — powiedział i wrócił do czytania.

Znowu zjawił się właściciel domu. Minał Ifemelu i wpadł do mieszkania, do kuchni i chwycił licznik prądu, wrywając bezpiecznik i odcinając ostatni dostęp do prądu, jaki jeszcze mieli.

— Co za haniebny czyn — powiedział ojciec, gdy właściciel wyszedł. — Domagać się czynszu za dwa lata. Płacimy przecież za rok.

— Ale nawet za rok nie zapłaciliśmy — stwierdziła matka, a w jej tonie była lekka przygana.

— Rozmawiałem z Akunne o pożyczce — powiedział ojciec.

Nie lubił Akunne, swojego prawie kuzyna, zamożnego człowieka z ich rodzinnego miasta, do którego wszyscy się zwracali z problemami. Nazywał Akunne ciemnym analfabetą, który nie ma pojęcia o pieniądzach.

— Co powiedział?

— Żeby przyszedł do niego w przyszły piątek.

Palce mu drżały, jakby starał się zapanować nad emocjami. Ifemelu pospiesznie odwróciła wzrok w nadziei, że nie zauważył, iż na niego patrzy, i poprosiła o pomoc w jakimś trudnym zadaniu. Żeby odwrócić jego uwagę, pokazać, że życie może toczyć się dalej.

Ojciec nie poprosiłby cioci Uju o pomoc, ale gdyby ciocia Uju zaproponowała mu pieniądze, przyjąłby je. To lepsze od długu u Akunne. Ifemelu powiedziała cioci Uju, jak właściciel domu dobija się do ich drzwi, waląc w nie głośno i niepotrzebnie, wyłącznie na użytek sąsiadów, jednocześnie obrzucając ojca wyzwiskami. „Co z ciebie za mężczyzna? Zapłać mi moje pieniądze! Wyrzucę was z tego mieszkania, jeśli do przyszłego tygodnia mi nie zapłacicie!”

Kiedy Ifemelu przedrzeźniała właściciela, twarz cioci Uju posmutniała lekko.

— Jak ten beznadziejny człowiek może tak zawstydząć Brata? Poproszę Oge, żeby dał mi pieniądze.

Ifemelu zatrzymała się.

— Nie masz pieniędzy?

— Mam prawie puste konto. Ale Oga mi da pieniądze. Wiesz, że nie płacą mi pensji, odkąd zaczęłam pracę? Codziennie księgowi opowiadają mi jakąś nową bajeczkę. Kłopoty się zaczęły, bo moje stanowisko oficjalnie nie istnieje, chociaż codziennie przyjmuję pacjentów.

— Ale lekarze strajkują — powiedziała Ifemelu.

— W wojskowych szpitalach wciąż płacą. Ale moja pensja i tak nie wystarczy na opłacenie czynszu, *sha*.

— Nie masz pieniędzy? — powtórzyła Ifemelu, dla jasności, żeby się upewnić. — Aj-aj, ciociu, jak to możliwe, że nie masz pieniędzy?

— Oga nigdy nie daje mi dużych sum. Płaci wszystkie moje rachunki i chce, żebym go prosiła o wszystko, czego potrzebuję. Niektórzy mężczyźni tacy są.

Ifemelu wybałuszyła oczy. Ciocia Uju, w swoim wielkim różowym domu, z ogromną anteną satelitarną na dachu, generatorem po brzegi wypełnionym ropą, zamrażarką zapakowaną mięsem, która nie miała pieniędzy na koncie w banku.

— Ifem, nie patrz, jakby ktoś umarł! — roześmiała się ciocia Uju, tym swoim kpiarskim śmiechem.

Nagle, wśród tych wszystkich śmieci swojego nowego życia — brązowej szkatułki na biżuterię na toalecie, jedwabnego szlafroka rzuconego na łóżko — wydała się mała i zagubiona; Ifemelu poczuła, że się o nią lęka.

— Dał mi nawet trochę więcej, niż go prosiłam — powiedziała ciocia Uju do Ifemelu w następny weekend z uśmiechem, jakby ubawiona tym, co zrobił Generał. — Z salonu pójdziemy do domu i dam pieniądze Bratu.

Ifemelu była zaskoczona, ile w salonie cioci Uju kosztowało nałożenie odżywki; wyniosłe fryzjerki każdą klientkę taksowały wzrokiem od stóp do głów, oceniając, jak troskliwie trzeba się nią zająć. Wokół cioci Uju tańczyły, płaszczyły się przed nią, dygały na powitanie, rozplływały się w zachwytach nad jej torebką i butami. Ifemelu patrzyła na to zafascynowana. Właśnie tutaj, w tym fryzjerskim salonie w Lagos, ranga imperialnej kobiecości rozumiana była najlepiej.

— Tylko czekałam, kiedy te dziewczyny wyciągną ręce i będą cię błagać, żebyś im w nie nasrała, aby mogły się też modlić do twojego gówna — powiedziała Ifemelu, kiedy wyszły z salonu.

Ciocia Uju roześmiała się i pogładziła jedwabiste dopinki, które opadały jej na ramiona: w najnowszej wersji chińskich fal, lśniących i prostych jak tylko możliwe włosy nigdy się nie plątały.

— Wiesz, żyjemy w kraju lizydupów. Najgorsza nie jest wcale korupcja. Najgorsze jest to, że mamy mnóstwo wykwalifikowanych ludzi, którzy są nie tam, gdzie powinni, bo nie chcą nikomu lizać dupy, albo nie wiedzą komu, albo po prostu tego nie umieją. Ja mam to szczęście, że liżę właściwą dupę. — Uśmiechnęła się. — Po prostu szczęście. Oga powiedział, że jestem dobrze wychowana, nie taka jak inne dziewczyny z Lagos, które szły z nim do łóżka od razu pierwszej nocy, a rano wręczały mu listę rzeczy, które ma im kupić. Ja też się z nim przespałam pierwszej nocy, ale o nic go nie prosiłam, co było głupotą, teraz to wiem, ale nie przespałam się z nim dlatego, że czegoś chciałam. Ach, to, co się nazywa władzą. Podobał mi się, chociaż miał zęby jak Drakula. Podobała mi się jego władza.

Ciocia Uju lubiła opowiadać o Generale, powtarzając i rozkoszując się coraz to nowymi wersjami tych samych historyjek. Jej szofer powiedział jej — zaskarbiła sobie jego

lojalność, robiąc jego żonie badania prenatalne i szczepiąc jego dziecko — że Generał chciał wiedzieć, dokąd ona chodzi i jak długo tam zostaje, i za każdym razem, opowiadając Ifemelu tę historię, ciocia Uju na koniec wzdychała.

— Czy on myśli, że gdybym chciała, nie mogłabym się spotykać z innymi tak, żeby on się o tym nie dowiedział? Ale ja nie chcę.

Siedziały w chłodnym wnętrzu mazdy. Kiedy szofer odjeżdżał przed salonu, przy bramie ciocia Uju skinęła na dozorcę i opuściła szybę, żeby dać mu napiwek.

— Dziękuję pani — powiedział i zasalutował.

Dała banknoty naira wszystkim pracownikom w salonie, ochroniarzom na zewnątrz, policjantowi na skrzyżowaniu.

— Ich pensja nie wystarcza im nawet na chesne jednego dziecka — powiedziała ciocia Uju.

— Ale te grosze, które im dajesz, nie pomogą im w opłaceniu żadnego chesnego —

zauważyła Ifemelu.

— Ale mogą sobie kupić jakiś drobiazg ekstra, będą w lepszym humorze i wieczorem nie spiorą żony — powiedziała ciocia Uju. Wyjrzała przez okno i odezwała się do szofera: —

Zwolnij, Sola — bo chciała dokładnie zobaczyć wypadek na Osborne Road: autobus uderzył

w auto osobowe i teraz przód autobusu i tył auta były jedną wielką, splątaną masą metalu, obaj kierowcy wrzeszczeli na siebie nawzajem, podbechtywani przez tłum gapiów. — Skąd oni się wzięli? Ci ludzie, którzy zjawiają się natychmiast, jak tylko zdarzy się jakiś wypadek? — Ciocia Uju opadła na oparcie siedzenia. — Wiesz, że nie pamiętam już, jak się jeździ autobusem? Tak łatwo do tego wszystkiego przywyknąć.

— Możesz iść teraz do Falomo i wsiąść do autobusu — powiedziała Ifemelu.

— Ale to by nie było to samo. Nigdy nie jest, jeśli się ma wybór. — Ciocia Uju popatrzyła na nią. — Ifem, przestań się

o mnie martwić.

— Nie martwię się.

— Martwisz się, odkąd ci powiedziałam o koncju w banku.

— Gdyby robił tak ktoś inny, powiedziałabyś, że jest głupi.

— W życiu nikomu bym nie radziła, żeby robił to co ja. —
Ciocia Uju obróciła się do okna. — On się zmieni. Sprawię, że
się zmieni. Tylko muszę działać powoli.

W mieszkaniu ciocia Uju wręczyła ojcu plastikową torebkę
wypchaną gotówką.

— To czynsz za dwa lata, Bracie — powiedziała, niby
swobodnie, ale wyraźnie skrepowana. Potem zażartowała, że
ma dziurawy podkoszulek. Mówiąc, nie patrzyła mu w twarz,
a on dziękując jej, również na nią nie spojrział.

Generał miał pozółkłe oczy, co według Ifemelu świadczyło, że
w dzieciństwie był

niedożywiony. Jego mocne, krępe ciało zdradzało bójki, które
wszczynał i wygrywał, a sterczące górne zęby widoczne
między wargami nadawały mu trochę niebezpieczny wygląd.
Ifemelu zdumiewała jego radosna gburowatość.

— Jestem człowiekiem ze wsi! — mówił wesoło, jakby to
miało tłumaczyć krople zupy lądujące na jego koszuli i stole,
kiedy jadł, albo głośne bekanie na koniec posiłku.

Zjawiał się wieczorem, w zielonym mundurze, z jednym albo
dwoma czasopismami plotkarskimi, a jego adiutant w
służalczej odległości niósł za nim jego teczkę i stawiał ją na
stole jadalnym. Generał rzadko zabierał ze sobą czasopisma;
egzemplarze „Vintage People”, „Prime People” i „Lagos Life”
ze swoimi zamazanymi zdjęciami i krzykliwymi tytułami
zaśmiecały dom ciocia Uju.

— Gdybym ci powiedziała, co ci ludzie wyprawiają, ech —
mówiła ciocia Uju do Ifemelu, pukając w jakieś zdjęcie swoim
pokrytym francuskim manikiurem paznokciem. —

O tych prawdziwych historiach nie piszą w gazetach. Oga wie, co naprawdę wyrabiają.

A potem zaczynała opowiadać o mężczyźnie, który uprawiał seks z ważnym generałem, żeby dostać szyb naftowy, zarządcy wojskowym, którego dzieci spłodził ktoś inny, zagranicznych prostytutkach co tydzień sprowadzanych samolotem dla głowy państwa.

Powtarzała te historie z czułym rozbawieniem, jakby upodobanie Generała do wulgarnych plotek było czarującym i wybaczalnym kaprysem.

— A wiesz, że on się boi zastrzyków? Wielki Generał, a na widok igły umiera ze strachu!

— powiedziała ciocia Uju tym samym tonem.

Dla niej to był uroczy szczegół. Dla Ifemelu Generał, który zachowywał się głośno i po chamsku i klepał ciocię Uju po tyłku, kiedy szli na górę po schodach, mówiąc przy tym: „To wszystko dla mnie? Wszystko dla mnie?”, wcale nie był uroczy. Potrafił gadać i gadać, nigdy nie zwracając uwagi, kiedy ktoś chciał mu przerwać, bo musiał skończyć swoją opowieść.

Najbardziej lubił opowiadać Ifemelu, kiedy po obiedzie popijał piwo staro o tym, że ciocia Uju jest inna. Mówił to tak, jakby gratulował sam sobie, że ta inność cioci Uju świadczyła o jego

dobrym guście.

— Kiedy pierwszy raz powiedziałem jej, że jadę do Londynu, i zapytałem, co mam jej przywieźć, dała mi listę. Jeszcze zanim na nią popatrzyłem, powiedziałem, że i tak wiem, co by chciała. Na pewno perfumy, buty, torebkę, zegarek i ubrania. Wiesz, co było na liście? Jedne perfumy i cztery książki. Byłem w szoku. *Chai*. Siedziałem w księgarni na Piccadilly dobrą godzinę. Kupiłem jej dwadzieścia książek! Znasz jakąś panienkę z Lagos, która chciałaby książki?

Ciocia Uju śmiała się, nagle dziewczęca i uległa. Ifemelu uśmiechała się posłusznie.

Uważała, że kiedy ten stary, żonaty mężczyzna opowiada jej historyjki, zachowuje się nieelegancko i nieodpowiedzialnie; jakby pokazywał jej brudną bieliznę. Próbowwała patrzeć na niego oczami cioci Uju, widzieć w nim cudownego człowieka, światowego, ale nie potrafiła.

Znała tę lekkość i radość, jaką promieniowała ciocia Uju w dni powszednie; ona podobnie się czuła, kiedy po szkole miała się spotkać z Obinze. Ale uważała, że tak nie powinno być, że to marnotrawstwo i wstyd, żeby ciocia Uju takimi uczuciami obdarzała Generała. Dawny chłopak cioci Uju, Olujimi, był zupełnie inny, przystojny i o miłym głosie — elegancki w nienachalny sposób. Byli razem przez większą część studiów i było oczywiste dlaczego.

— Wyrosłam z niego — powiedziała ciocia Uju.

— Myślałam, że jak się z czegoś wyrasta, to mierzy się wyżej i lepiej — powiedziała Ifemelu.

A ciocia Uju roześmiała się, jakby to był świetny dowcip.

W dniu zamachu zadzwonił do cioci Uju bliski przyjaciel Generała, pytając, czy Generał

jest u niej. Sytuacja była napięta, aresztowano już niektórych oficerów armii. Ciocia Uju nie była z Generałem i krążyła po domu, wchodziła na górę i schodziła, martwiła się, na próżno dzwoniła w różne miejsca. Szybko zaczęła dyszeć, oddychać z trudem. Jej panika zmieniła się w atak astmy. Łapała spazmatycznie powietrze, dygotała, chciała sobie zrobić zastrzyk, ale nie umiała wbić igły. Krew kapała na pościel, aż w końcu Ifemelu wybiegła i zaczęła łomotać w drzwi sąsiada, którego siostra też była lekarką. W końcu zadzwonił Generał i powiedział, że już wszystko jest w porządku, przewrót się nie udał i Głowa Państwa jest bezpieczna. Dopiero wtedy ciocia Uju przestała się trząść.

W muzulmańskie święto, jedno z tych trwających dwa dni, kiedy to niemuzulmańscy mieszkańcy Lagos mówili „Wesołego Sallah” do każdego, kto według nich mógł być muzulmaninem, często dozorców z północy, a nigeryjska

telewizja pokazywała materiał za materiałem, w których zabijane były barany, Generał obiecał, że przyjdzie; po raz pierwszy miał

spędzić państwowe święto z ciocią Uju. Cały rano krzątała się po kuchni, nadzorując Chikodili, od czasu do czasu podśpiewując sobie na głos, odrobinę zbyt poufale odnosząc się do Chikodili, odrobinę zbyt chętnie z nią żartując. W końcu wszystkie dania były gotowe, w domu pachniało przyprawami i sosami, a ciocia Uju poszła na górę, żeby się przygotować.

— Ifem, chodź, proszę, ze mną i pomóż mi się tam ogolić. Oga mówi, że mu to przeszkadza! — powiedziała ciocia Uju ze śmiechem.

Położyła się na plecach, z rozłożonymi nogami i plotkarską gazetą pod pośladkami, a Ifemelu goliła ją maszynką. Skończyła i ciocia Uju nałożyła sobie maseczkę nawilżającą na twarz, kiedy zadzwonił Generał mówiąc, że jednak nie przyjdzie. Ciocia Uju, z makabryczną twarzą, całą pokrytą kredowobiałą pastą z wyjątkiem skóry wokół oczu, odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni, gdzie zaczęła przekładać całe jedzenie do plastikowych pojemników, żeby schować je do zamrażarki. Chikodili przyglądała się temu zdezorientowana. Ciocia Uju

pracowała gorączkowo, szarpiąc szufladę zamrażarki, trzaskając drzwiczkami szafek, a kiedy odepchnęła garnek z ryżem jollof, z kuchenki spadł garnek z zupą egusi. Ciocia Uju patrzyła na żółtawo-zielony płyn rozlewający się po kuchennej podłodze, jakby nie wiedziała, co się stało.

Obróciła się do Chikodili.

— Co tak stoisz jak krowa?! — wrzasnęła. — Dalej, posprzątaj to!

Ifemelu przyglądała się temu, stojąc w drzwiach do kuchni.

— Ciociu, to na Generała powinnaś się wydzierać.

Ciocia Uju znieruchomiała, z wybałuszonymi, wściekłymi oczami,

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? Czy ja jestem twoją koleżanką?

Rzuciła się na Ifemelu, która nie spodziewała się, że ciocia Uju ją uderzy, ale nie była zaskoczona, kiedy dostała cios w twarz, a jego odgłos jakby doszedł ją z daleka i na policzku wykwitł pięciopalczasty ślad. Patrzyły obie na siebie. Ciocia Uju otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamknęła je i poszła na górę. Czuły, że coś się między nimi zmieniło. Ciocia Uju zeszła dopiero wieczorem, kiedy z wizytą przyszły Adesuwa i Uche. Ciocia Uju nazywała je

„przyjaciółkami w cudzysłowie”. „Idę do salonu z moimi przyjaciółkami w cudzysłowie”, mówiła z nikłym uśmiechem w oczach. Wiedziała, że przyjaźnią się z nią tylko dlatego, że była kochanką Generała. Ale bawiły ją. Bez przerwy ją odwiedzały, porównywały notatki z zakupów i podróży, namawiały, żeby chodziła z nimi na przyjęcia. Raz powiedziała Ifemelu, że dziwne jest, co o nich wie, a o czym nie ma pojęcia. Wiedziała, że Adesuwa ma ziemię w Abuja, którą dostała, spotykając się z Głową Państwa, oraz że okropnie bogaty mężczyzna z plemienia Hausa kupił Uche butik w Surulere, ale nie wiedziała, ile mają rodzeństwa ani czy żyją ich rodzice albo czy studiowały na uniwersytecie.

Chikodili je wpuściła. Nosiły haftowane kaftany i rozsiewały zapach perfum, włosy ułożone w chińskie fale opadały im na plecy, ich rozmowa była światowa, śmiech krótki i pogardliwy. „Powiedziałam mu, że ma to kupić na moje nazwisko, o. Aj, wiedziałam, że nie da mi pieniędzy, dopiero jak mu powiem, że ktoś zachorował. Nie, nie ma pojęcia, że otworzyłam konto”. Wybierały się na przyjęcie z okazji Sallah na Victoria Island i przyszły po ciocię Uju.

— Nie mam ochoty iść — powiedziała im ciocia Uju, kiedy Chikodili przyniosła na tacy sok pomarańczowy w kartonie i dwie szklanki.

— Aj-aj. Czemu nie? — zapytała Uche.

— Przyjdą naprawdę ważni mężczyźni — powiedziała Adesuwa. — Nigdy nie wiadomo, kogo możesz poznać.

— Nie chcę nikogo poznawać — powiedziała ciocia Uju i zapadła cisza, jakby wszystkie wstrzymały oddech, a słowa cioci Uju niczym wichura zmiotły to, o czym były przekonane.

Uważały, że powinna chcieć poznawać nowych mężczyzn, mieć oczy otwarte; miała traktować Generała jako opcję, którą zawsze można zastąpić czymś lepszym. W końcu jedna z nich, Adesuwa, a może Uche, odezwała się:

— Ten sok pomarańczowy to straszna taniocha, *o!* Nie kupujesz już Just Juice?

Kiepski dowcip, ale roześmiały się, żeby rozładować sytuację.

Kiedy wyszły, ciocia Uju podeszła do stołu, przy którym Ifemelu czytała książkę.

— Ifem, nie wiem, co we mnie wstąpiło. *Ndo.* — Złapała Ifemelu za nadgarstek, a potem jakby w zamyśleniu przesunęła ręką po wypukłym tytule po wieści Sidneya Sheldona, którą Ifemelu czytała. — Chyba oszalałam. On ma piwny brzuch, zęby jak Drakula, żonę i dzieci, i jest stary.

Po raz pierwszy Ifemelu czuła się starsza od cioci Uju, mądrzejsza i silniejsza od cioci Uju, i żałowała, że nie może uwolnić cioci Uju, potrząsnąć nią, żeby stała się na powrót dawną sobą, myślącą trzeźwo kobietą, która nie będzie pokładała nadziei w Generale,

podporządkowywała się mu, goliła dla niego, zawsze gotowa umniejszać jego wady. Tak nie powinno być. I czuła niewielką satysfakcję, kiedy słyszała, jak później ciocia Uju krzyczy do telefonu:

— Bzdura! Od początku wiedziałeś, że pojedziesz do Abuja, więc czemu pozwoliłeś, żebym traciła czas i przygotowywała się dla ciebie?!

Z przywiezionego przez szofera następnego dnia rano tortu z niebieskim lukrem i napisem „Wybacz, moja kochana” ciocia Uju nie ucieszyła się tak jak zwykle, ale i tak trzymała go w zamrażarce jeszcze przez wiele miesięcy.

Ciąża cioci Uju spadła jak grom z jasnego nieba. Ciocia Uju przyszła w wyszywanej cekinami bou-bou, która odbijała światło, połyskując jak promienista niebiańska zjawa, i oznajmiła, że chce, aby rodzice Ifemelu dowiedzieli się, zanim zaczną krążyć plotki.

— *Adi m ime* — powiedziała po prostu.

Matka Ifemelu zalała się łzami i zaniósła głośnym, dramatycznym szlochem. Rozglądała się wokół, jakby widziała leżące wszędzie wióry pozostałe z jej własnej historii.

— Boże mój, czemuś mnie opuścił?

— Nie planowałam tego, stało się i tyle — powiedziała ciocia Uju. — Zaszłam w ciążę z Olujimem na studiach. Miałam skrobankę, ale więcej tego nie zrobię.

Słowo „skrobanka”, samo w sobie okropne, zasiało grozę w pokoju, ponieważ wszyscy wiedzieli, a czego matka Ifemelu nie powiedziała na głos, że przecież są sposoby, aby temu zaradzić. Ojciec Ifemelu odłożył książkę, po czym wziął ją z powrotem. Chrząknął. Uspokoił żonę.

— Nie będę pytał, jakie ten człowiek ma zamiary — odezwał się w końcu do cioci Uju.

— Zapytam więc, jakie ty masz.

— Urodzę to dziecko.

Czekał na więcej, ale ciocia Uju nic nie dodała, wobec tego obruszył się.

— Jesteś dorosła. Nie tego dla ciebie chciałem, Obianuju, ale jesteś dorosła.

Ciocia Uju podeszła i usiadła na oparciu kanapy. Przemówiła cichym, uspokajającym głosem, dziwnie oficjalnie, ale malująca się na jej twarzy powaga sprawiała, że jej słowa brzmiały szczerze.

— Bracie, ja też nie tego dla siebie chciałam, ale stało się. Wybacz, że cię rozczarowałam, po tym wszystkim, co dla mnie uczyniłeś, i błagam cię o wybaczenie. Ale postaram się

zrobić wszystko naj lepiej, jak się w tej sytuacji da. Generał jest odpowiedzialnym człowiekiem. Zatrzeszczy się o dziecko.

Ojciec Ifemelu bez słowa wzruszył ramionami. Ciocia Uju objęła go ramieniem, jakby to on potrzebował pocieszenia.

Później Ifemelu myślała, że ciąża miała w sobie jakąś symbolikę. Oznaczała początek końca i sprawiła, że wszystko potoczyło się błyskawicznie. Miesiące mijały jak z bicza trzaśł, czas pędził jak oszalały. Do tego ciocia Uju, coraz pulchniejsza, z promieniejącą twarzą i głową pełną planów na przyszłość, z coraz bardziej sterczącym brzuchem. Co kilka dni wymyślała nowe imię dla dziewczynki, którą miała urodzić.

— Oga jest szczęśliwy — powiedziała. — Szczęśliwy, że w tym wieku udało mu się jeszcze strzelić gola, takiemu starcowi!

Generał przychodził częściej, nawet w niektóre weekendy, przynosił jej termofory,

tabletki ziołowe, rzeczy, które, jak słyszał, służą ciąży.

— Oczywiście będziesz rodzić za granicą — powiedział cici Uju, pytając, czy bardziej jej odpowiada Ameryka, czy Anglia. Chciał, żeby to była Anglia, bo mógłby pojechać z nią; Amerykanie zabronili wjazdu wysokim rangą członkom wojskowego rządu. Ale ciocia Uju zdecydowała się na Amerykę, ponieważ tam jej dziecko automatycznie dostanie obywatelstwo.

Wszystko zostało zaplanowane, szpital wybrany, umeblowany apartament wynajęty w Atlancie.

— Co to takiego ten apartament? — zapytała ciocię Uju Ifemelu.

Ciocia Uju wzruszyła ramionami.

— A kto tam wie, o co tym Amerykanom chodzi. Zapytaj Obinze, on będzie wiedział. Na pewno coś, gdzie można mieszkać. A Oga ma tam ludzi, którzy mi pomogą.

Ciocia Uju zmartwiła się tylko, kiedy szofer jej powiedział, że o ciąży dowiedziała się żona Generała i wpadła we wściekłość; odbyło się nawet niemiłe rodzinne spotkanie z jego i jej krewnymi. Generał prawie nigdy nie wspominał o żonie, ale ciocia Uju i tak wiedziała o niej dość: była prawniczką, która zrezygnowała z pracy, żeby wychowywać czwórkę dzieci w Abuja, korpulentną kobietą, która na zdjęciach w gazetach wyglądała sympatycznie.

— Ciekawe, co sobie myśli — powiedziała ze smutkiem ciocia Uju, zamyślona.

Kiedy była w Ameryce, Generał kazał odmalować jedną z sypialni na lśniący, biały kolor.

Kupił łóżeczko z nogami jak delikatne świeczki. Kupił pluszowe zabawki, misiów zdecydowanie za dużo. Inyang ułożyła je w łóżeczku, część ustawiła na półce i, zapewne myśląc, że nikt nie zauważy, jednego misia wzięła do swojego pokoju na tyłach domu. Ciocia Uju urodziła chłopca.

Była uradowana i zachwycona, kiedy rozmawiała z Ifemelu przez telefon.

— Ifem, on ma tyle włosków! Wyobrażasz sobie? Co za szkoda!

Nazwała go Dike, po swoim ojcu, i dała mu swoje nazwisko, co zdenerwowało i rozgniewało matkę Ifemelu.

— Dziecko powinno nosić nazwisko ojca, a może ten człowiek chce się go wyprzeć? —

pytała, kiedy siedziały z Ifemelu w pokoju, wciąż poruszone wieścią o jego narodzinach.

— Ciocia Uju mówi, że łatwiej mu dać jej nazwisko — powiedziała Ifemelu. — A poza tym, czy on się zachowuje tak, jakby nie chciał dziecka uznać? Ciocia mówiła mi, że chce jej nawet zapłacić wiano.

— Boże broń — powiedziała matka Ifemelu, niemal wypluwając te słowa, a Ifemelu pomyślała o tych wszystkich modłach, jakie jej matka zanosila w intencji opiekuna cioci Uju.

Kiedy ciocia Uju wróciła, matka Ifemelu na jakiś czas zamieszkała w Dolphin Estate, kąpiąc i karmiąc gaworzące dzieciątko o gładkiej skórze, ale Generała traktowała zimno i oficjalnie. Odpowiadała mu monosylabami, jakby zdradził ją, łamiąc pozory. Związek z ciocią Uju był do przyjęcia, ale taki jawny dowód na jego istnienie już nie. Dom pachniał zasypką dla dzieci. Ciocia Uju była szczęśliwa. Generał często brał Dike'a na ręce, podpowiadając, że może trzeba go znowu nakarmić albo że doktor powinien obejrzeć tę wysypkę na szyjce.

Na pierwsze urodziny Dike'a Generał zamówił prawdziwy zespół. Zajęli miejsce w ogrodzie przed domem, obok szopy z generatorem i zostali, aż wyszli ostatni goście, ocieźiali i syci, z jedzeniem zawiniętym w aluminiową folię. Przyszli znajomi cioci Uju i znajomi Generała również, bez wahania, jakby chcieli powiedzieć, że bez względu na okoliczności dziecko przyjaciela jest dzieckiem przyjaciela. Dike, który dopiero co nauczył się chodzić, dreptał wokół w garniturku i czerwonej muszce, a ciocia Uju wędrowała za nim, usiłując utrzymać go przez chwilę w miejscu, żeby można mu było zrobić zdjęcie. W końcu malec zmęczony zaczął płakać i szarpać za swoją muszkę, więc Generał wziął go na ręce i zaczął nosić.

Ten obraz Generała utkwiał Ifemelu w pamięci: Dike obejmujący go rączkami za szyję, Generał rozpromieniony, szczerzący w uśmiechu swoje wystające zęby.

— Wygląda jak ja, o, ale na szczęście zęby odziedziczył po matce — mówił.

Generał umarł tydzień później, w katastrofie wojskowego samolotu.

— Tego samego dnia, dokładnie tego samego, fotograf przyniósł zdjęcia z urodzin Dike'a

— powtarzała często ciocia Uju, opowiadając tę historię, jakby ten fakt miał szczególne znaczenie.

Kiedy zadzwonił telefon, było sobotnie popołudnie, Obinze i Ifemelu siedzieli w pokoju telewizyjnym, Inyang była na górze z Dike'em, ciocia Uju w kuchni z Chikodili. Odebrała Ifemelu. Głos po drugiej stronie, należący do adiutanta Generała, trzeszczał, bo połączenie było kiepskie, jednak zdołał przekazać szczegóły: do katastrofy doszło kilka kilometrów od Jos, ciała były zwięzłe, już krążyły plotki, że wszystko zaaranżowała Głowa Państwa ze strachu przed zamachem stanu. Oniemiała Ifemelu ścisnęła słuchawkę zbyt mocno. Obinze poszedł z nią do kuchni i stał obok cioci Uju, kiedy Ifemelu powtarzała jej słowa adiutanta.

— Kłamiesz — powiedziała ciocia Uju. — To kłamstwo.

Ruszyła w stronę telefonu, jakby jemu także chciała zarzucić nieprawdę, ale nagle osunęła się na podłogę, bezwładnie i bezwolnie, i zaczęła płakać. Ifemelu ją trzymała i tuliła; nikt nie wiedział, co robić, a cisza, jaka zapadała między jej szlochami, wydawała się zbyt cicha.

Inyang przyprowadziła Dike'a na dół.

— Mama? — powiedział Dike zdziwiony.

— Zabierz go na górę — polecił Inyang Obinze.

Rozległo się walenie w bramę. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety, krewni Generała, zastraszyli Adamu i zmusili go, żeby im otworzył. Teraz stali w drzwiach i wrzeszczeli.

— Uju! Pakuj swoje rzeczy i wynoś się! Oddaj nam kluczyki do auta!

Jedna z kobiet — chuda jak szkielet, z przekrwionymi oczami — miotała się.

— Zwykła szmata! — wydzieriała się. — Nie daj Bóg, żebyś dostała w swoje łapy rzeczy naszego brata! prostytutka! Nigdy nie zaznasz spokoju w Lagos!

Kiedy tak wrzeszczała, zerwała z głowy chustkę i przewiązała ją sobie w pasie, szykując się do bójki. W pierwszej chwili ciocia Uju nic nie mówiła, tylko patrzyła na nich, wciąż stojących w drzwiach. Potem głosem ochrypłym od płaczu poprosiła, żeby sobie poszli, ale wrzaski krewnych tylko przybrały na sile, więc ciocia Uju odwróciła się.

— W porządku, zostańcie — powiedziała. — Stójcie tam, a ja wezwę chłopaków z koszar.

Dopiero wtedy odeszli.

— Wrócimy z własnymi chłopakami — zagrozili.

I wtedy ciocia Uju znowu zaczęła płakać.

— Nie mam nic. Wszystko jest na jego nazwisko. Gdzie się teraz podzieję z moim synem?

Zdjęła słuchawkę z widełek i wpatrywała się w nią, nie wiedząc, do kogo zadzwonić.

— Zadzwoń do Uche i Adesuwy — powiedziała Ifemelu. — Będą wiedziały, co robić.

Ciocia Uju posłuchała jej i wybrała numer, a potem stała oparta o ścianę.

— Musisz natychmiast wyjechać. Wyczyść cały dom, zabierz wszystko — powiedziała Uche. — I zrób to szybko... szybko, zanim ci ludzie wrócą. Załatw przyczepę i zabierz generator. Koniecznie musisz zabrać generator.

— Nie wiem, skąd wziąć ciężarówkę — wymamrotała ciocia Uju, nagle całkowicie bezradna.

— Zorganizujemy ci, szybko-szybko. Musisz zabrać ten generator. Dzięki niemu się

utrzymasz, zanim się nie pozbierasz. Na jakiś czas musisz gdzieś wyjechać, żeby ci nie robili kłopotów. Jedź do Londynu albo Ameryki. Masz amerykańską wizę?

— Tak.

Ifemelu pamiętała te ostatnie chwile jak przez mgłę, Adamu mówił, że przy bramie jest dziennikarz z „City People”, Ifemelu i Chikodili wpychały ubrania do walizek, Obinze wynosił

rzeczy do furgonetki. Dike kręcił się pod nogami i chichotał. W pokojach na górze zrobiło się gorąco, nie do wytrzymania; klimatyzatory nagle przestały działać, jakby na trzy cztery postanowiły złożyć hołd końcowi, który nastał.

ROZDZIAŁ 7

Obinze chciał iść na uniwersytet w Ibadanie z powodu wiersza.

Przeczytał jej wiersz *Ibadan* napisany przez J.P. Clarka i zatrzymał się przy słowach:

„chlustający rdzą i złotem”.

— Mówisz poważnie? — zapytała go. — Z powodu wiersza?

— Jest bardzo piękny.

Ifemelu pokręciła tylko głową z udawanym, przesadnym niedowierzaniem. Ale ona też chciała jechać do Ibadanu, bo tam studiowała ciocia Uju. Razem wypełniali formularze, siedząc przy stole jadalnym, a jego matka krążyła wokół.

— Używacie odpowiedniego długopisu? Sprawdźcie wszystko po dwa razy. Słyszałam o tak nieprawdopodobnych błędach, że sami byście nie uwierzyli.

— Mamusiu, jest bardziej prawdopodobne, że wypełnimy wszystko dobrze, kiedy przestaniesz do nas mówić — powiedziała Obinze.

— Nsukka powinna być waszym drugim wyborem — powiedziała jego matka.

Ale Obinze nie chciał jechać do Nsukka, chciał uciec od swojego dotychczasowego życia, a Ifemelu Nsukka wydawała się odległa i zakurzona. Wobec tego oboje zgodzili się na uniwersytet w Lagos jako ich drugi wybór.

Następnego dnia matka Obinze zasłała w bibliotece. Studenci znaleźli ją leżącą na podłodze, z małym guzem na czole.

— Dzięki Bogu, że nie złożyli jeszcze naszych podań — powiedział Obinze do Ifemelu.

— Co to znaczy?

— Moja mama wraca do Nsukka pod koniec tego semestru. Muszę być przy niej. Lekarz powiedział, że te rzeczy będą się powtarzać. — Przerwał. — Będziemy się widywać w czasie długich weekendów. Ja będę przyjeżdżał do Ibadanu, ty do Nsukka.

— Żartujesz sobie — odparła. — *Biko*, ja też jadę do Nsukka.

Jej ojciec ucieszył się z tej zmiany. To pocieszające, rzekł, że pójdzie na uniwersytet w Igboland, ponieważ przez całe życie mieszkała na północy. Matka była przygnębiona, do Ibadanu była tylko godzina drogi, do Nsukka trzeba było jechać cały dzień autobusem.

— Nie cały dzień, mamusiu, tylko siedem godzin — odparła Ifemelu.

— A co to za różnica, siedem godzin czy cały dzień? — zapytała matka.

Ifemelu nie mogła się doczekać wyjazdu z domu, niezależności, swobody dysponowania własnym czasem i dodawało jej otuchy, że do Nsukka jadą też Ranyinudo i Tochi. Emenike też jechał i zapytał Obinze, czy nie mogliby zostać współlokatorami w kwaterach dla chłopców w jego domu. Obinze się zgodził. Ifemelu wolałaby, żeby tego nie zrobił.

— W tym Emenike coś mi się nie podoba — powiedziała. — No ale zresztą nieważne, byle tylko wychodził, kiedy będziemy zajęci sufitowaniem.

Później Obinze zapytał na wpół serio, czy według Ifemelu jego matka nie zrobiła tego specjalnie, nie zaplanowała wszystkiego, żeby zatrzymać go przy sobie. Przez długi czas mówił

tęsknie o Ibadanie, dopóki nie pojechał tam na turniej tenisowy i przy okazji zobaczył kampus.

— Ibadan przypomina mi Nsukka — po powrocie powiedział do niej zmieszany.

Wyjazd do Nsukka oznaczał, że Ifemelu zobaczy w końcu dom Obinze, bungalow na tonącym w kwiatach osiedlu. Wyobrażała sobie dorastającego tutaj Obinze, jeżdżącego na rowerze po pochyłych ulicach, w podstawówce wracającego do domu z torbą i butelką wody.

Mimo to Nsukka ją zaskoczyło. Było dla niej zbyt powolne, pył był zbyt czerwony, ludzie zbyt zadowoleni z życia, które

według niej było zbyt zwyczajne. Ale w końcu pokochała to miejsce, choć z początku była to miłość niepewna. Z okna swojego pokoju w akademiku, gdzie cztery łóżka stały upchnięte na powierzchni przeznaczonej dla dwóch, mogła widzieć wejście do Bello Hall. Buki kołysały się na wietrze, a pod nimi sprzedawcy pilnowali swoich tac z bananami i orzeszkami ziemnymi, motocykle *okada* stały zaparkowane blisko siebie, a kierowcy rozmawiali i śmiali się, ale każdy bacznie wypatrywał ewentualnych klientów. W swoim kącie ozdobiła ścianę jasnoniebieską tapetą, a ponieważ słyszała opowieści o kłótniach między współlokatorami — raz studentka ostatniego roku wlała naftę do szuflady pierwszoroczniczki za to, że ta ostatnia była „seksowna” — uważała więc, że ze swoimi współlokatorkami jej się poszczęściło. Były zgodne i szybko zaczęły się dzielić rzeczami, które prędko się kończyły, pastą do zębów, mlekiem w proszku i kluskami indomie, pomadą do włosów. Rano przeważnie budził

ją szmer głosów na korytarzu, katolickich studentów, którzy odmawiali różaniec, i szybko biegła do łazienki, żeby napełnić wiadro, zanim zabraknie wody, i kucnąć nad ubikacją, zanim stanie się tak pełna, że nie da się wytrzymać. Czasem, kiedy się spóźniła i w ubikacjach już roiło się od larw, szła do domu Obinze, nawet jeśli go nie było. Raz drzwi jej otworzyła pomoc domowa Augustyna.

— Tina-Tina, jak tam? Przyszłam skorzystać z toalety — powiedziała do niej Ifemelu.

Często jadła lunch w domu Obinze albo szli do miasta, do Onyekaozulu, gdzie, siedząc na ławkach w najciemniejszych restauracjach, jedli z emaliowanych talerzy najdelikatniejsze z mięs i najsmaczniejsze steki. Ifemelu nocowała czasem u Obinze w jego męskiej kwaterze, wylegując się na materacu rozłożonym na podłodze i słuchając muzyki. Czasem tańczyła w bieliźnie, potrząsając biodrami, a on śmiał się z niej, że ma mały tyłek.

— Powiedziałbym, żebyś nim zatrzęśła, ale nie masz czym trząść.

Uniwersytet był większy, bardziej rozległy, było mnóstwo miejsca, żeby się ukryć, całe mnóstwo; nie miała poczucia, że nie przynależy, ponieważ opcji przynależenia było wiele.

Obinze śmiał się, że od razu stała się popularna, jej pokój w czasie otrzęsin tętnił życiem, zaglądali do niego chłopcy z ostatniego roku, gotowi spróbować szczęścia, mimo że wielkie zdjęcie Obinze wisiało nad jej poduszką. Chłopcy ją śmieszyli. Zjawiali się, siadali na jej łóżku i uroczyście proponowali, „że oprowadzą ją po kampusie”, a ona wyobrażała sobie, jak tym samym tonem mówią dokładnie to samo innej dziewczynie z pierwszego roku w sąsiednim pokoju. Ale jeden z nich był inny. Miał na imię Odein. Przyszedł do jej pokoju nie przy okazji pierwszorocznej gorączki, ale żeby porozmawiać z jej współlokatorkami o związku studentów, a potem wpadał do niej, żeby się przywitać, czasem przynosząc suya, gorące i pikantne, zawinięte w przetłuszczoną gazetę. Jego aktywizm zdumiewał Ifemelu — wydawał się trochę zbyt dobrze wychowany, zbyt opanowany, żeby należeć do zarządu związku studentów — ale też robił na niej wrażenie. Miał pełne, idealne w kształcie usta, dolną wargę dokładnie tej samej wielkości co górną, usta, które były jednocześnie zamyślane i namiętne, a kiedy coś mówił —

„Jeżeli studenci się nie zjednoczą, nikt nie będzie nas słuchał” — Ifemelu wyobrażała sobie, że go całuje. Zawsze w ten sposób wyobrażała sobie coś, czego i tak nigdy by nie zrobiła. Przez niego wzięła udział w demonstracji i namówiła też Obinze, żeby się dołączył. Skandowali „Nie ma światła! Nie ma wody!” i „Wice to cap!” i nagle niesieni tłumem znaleźli się przed domem wicekanclerza. Tłukły się butelki, ktoś podpalił samochód i wreszcie wicekanclerz wyszedł, mały i drobny, w otoczeniu ochroniarzy, i zaczął przemawiać w gładkich słówkach.

Jakiś czas później rozmawiali z matką Obinze.

— Rozumiem zarzuty studentów, ale to nie my jesteśmy wrogami — powiedziała. —

Wojskowy rząd jest wrogiem. Od miesiący nie płacą nam pensji. Jak mamy uczyć na głodniaka?

A potem po kampusie rozeszła się wieść o strajku wykładowców i studenci zebrali się w holu akademika, przerzucając się tym, co wiedzieli i czego nie. Była to prawda, potwierdził ją przewodniczący akademika, i wszyscy westchnęli na myśl o niechcianej przerwie i wrócili do swoich pokoi, żeby się spakować; następnego dnia mieli zamknąć akademik. Ifemelu słyszała, jak jakaś dziewczyna obok mówiła:

— Nie mam dziesięciu kobo na powrót do domu.

Strajk trwał zbyt długo. Tygodnie się wlokły. Ifemelu była niespokojna, zdenerwowana; codziennie słuchała wiadomości w nadziei, że usłyszy o zakończeniu strajku. Obinze dzwonił do niej do domu Ranyinudo; zjawiała się tuż przed godziną, na którą się umówili, i siedząc przy szarym telefonie z tarczą, czekała, aż zadzwoni. Czowała się odcięta od Obinze, każde mieszkało w innym świecie i oddychało innym powietrzem, on znudzony i przybity w Nsukka, ona znudzona i przybita w Lagos, a wszystko pogrążało się w letargu. Życie stało się nabrzmałym, zatrzymanym filmem. Matka zapytała, czy nie przyłączyłaby się do zajęć z szycia w kościele, żeby mieć jakieś zajęcie, a jej ojciec stwierdził, że to przez te niekończące się strajki na uniwersytetach młodzi ludzie zaczynali rabować. Strajk był ogólnokrajowy i wszyscy jej przyjaciele przyjechali, nawet Kayode był w domu, bo w jego amerykańskiej uczelni były ferie.

Ifemelu odwiedzała przyjaciół, żałując że Obinze nie mieszka w Lagos. Czasem Odein, który miał samochód, przyjeżdżał po nią i zawoził tam, gdzie się akurat wybierała.

— Ten twój chłopak to farciarz — mówił jej, a ona się śmiała, flirtując z nim.

Wciąż sobie wyobrażała, jak się z nim całuje, ciemnookim Odeinem o pełnych ustach.

W któryś weekend przyjechał Obinze i zatrzymał się u Kayode.

— O co chodzi z tym Odeinem? — zapytał ją.

— Czemu?

— Kayode mówił, że odwiózł cię do domu po imprezie u Osahon. Nie powiedziałaś mi.

— Zapomniałam.

— Zapomniałaś.

— Przecież ci mówiłam, że kiedyś mnie podwiózł, no nie?

— Ifem, co się dzieje?

Westchnęła.

— Sufit, naprawdę nie ma o czym mówić. On mnie tylko ciekawi. Nigdy do niczego nie dojdzie. Ale jestem ciekawa. Przecież ciebie też ciekawią inne dziewczyny, prawda?

Patrzył na nią z lękiem w oczach.

— Nie — powiedział. — Nie ciekawią mnie.

— Bądź szczery.

— Jestem. Problem w tym, że według ciebie wszyscy są tacy jak ty. Myślisz, że twoje zachowanie jest normą, ale nie jest.

— O co ci chodzi?

— O nic. Skończmy już z tym.

Nie chciał o tym więcej rozmawiać, ale powietrze między nimi zgęstniało i zostało takie, nawet gdy już pojechał do domu, więc kiedy strajk się skończył („Wykładowcy odwołali strajk!

Bogu niech będą dzięki!”), któregoś ranka zawołała ze swojego mieszkania Chetachi) i Ifemelu wróciła do Nsukka, przez pierwszych kilka dni zachowywali się wobec siebie niepewnie, rozmawiali ostrożnie, obejmowali z rezerwą.

Ifemelu zdziwiła się, jak bardzo stęskniła się za samym Nsukka, nieśpieszną rutyną,

powtarzanymi w kółko plotkami bez znaczenia, schodami, po których wchodziło się i schodziło wolno, jakby budząc się stopniowo, za rankami, z których każdy był biały od harmatanu.

W Lagos harmatan był tylko lekką mgiełką, ale w Nsukka był groźny i metaliczny; poranki były rześkie, popołudnia szare od upału, a noce niewiadome. Wiry pyłu pojawiały się w oddali i wyglądały bardzo pięknie, dopóki były daleko i wirowały, póki wszystkiego nie pokryły brązowym kurzem. Nawet rzęsy. Pył wysysał wilgoć ze wszystkiego, laminowane blaty stołów zaczynały odłazić i się zwijać, kartki w zeszytach szeleściły, powieszzone pranie było suche po minucie, usta pękały i krwawiły, wszyscy trzymali pod ręką maść miętową, w kieszeniach i torebkach. Skóra lśniła wysmarowana wazeliną, a te jej części, o których się zapomniało —

między palcami albo na łokciach — wysychały na proch. Gałęzie drzew były nagie, a bezlistne drzewa stały w dumnym przygnębieniu. Powietrze na przykościelnych bazarach przesyciło zapachy i było gęste od dymu znad palenisk, na których trwało masowe gotowanie. W niektóre noce upał przygniatał wszystko jak gruby ręcznik. W inne zrywał się ostry, zimny wiatr i Ifemelu czuła się opuszczona w swoim pokoju w akademiku, więc szła do Obinze i wtulona w niego na jego materacu słuchała zawodzenia sosen za oknem, w świecie nagle kruchym i podatnym na zniszczenie.

Obinze bolały mięśnie. Leżał na brzuchu, a Ifemelu siedziała na nim okrakiem i masowała jego plecy, kark i uda palcami, kłykciami, łokciami. Był cały napięty. Stała na nim, stawiając ostrożnie jedną stopę na tylnej stronie jego uda, a potem drugą.

— Może być?

— Tak — jęknął z bólem przesiąkniętym rozkoszą.

Uciskała powoli, czując pod stopami ciepło jego skóry, rozluźniające się z wolna spięte mięśnie. Podpierała się jedną ręką o ścianę i coraz mocniej wbijała pięty, posuwając się cal po calu.

— Ach! — jęczał. — Ifem, tak, tam, właśnie tam. Ach!

— Powinieneś się rozciągnąć po grze w piłkę, mój panie — powiedziała, a potem położyła się na nim i łaskotała go pod

pachami i całowała w kark.

— Proponuję lepszy rodzaj masażu — powiedział.

Kiedy ją rozbierał, nie zatrzymał się jak zwykle na jej bieliźnie. Zdjął z niej majtki, a ona uniosła nogi, żeby mu pomóc.

— Sufit — powiedziała na wpół przekonana.

Nie chciała, żeby przestał, ale inaczej to sobie wyobrażała, że zrobią z tego dokładnie zaplanowaną ceremonię.

— Wyjdę — powiedział.

— Wiesz, że to nie zawsze działa.

— Jeśli nie zadziała, wtedy powitamy Juniora.

— Przestań.

Popatrzył na nią.

— Ale Ifem, przecież i tak się pobierzemy.

— Popatrz na siebie. Mogę spotkać bogatego i przystojnego, i cię zostawię.

— Niemożliwe. Pojedziemy do Ameryki po skończeniu studiów i wychowamy tam piękne dzieci.

— Teraz powiesz wszystko, bo twój mózg jest między nogami.

— Ale mój mózg jest tam zawsze!

Oboje się śmiali, a kiedy przestali, miejsce wesołości zajęła nieznana im dotąd, dziwna

powaga, śliskie poczucie więzi. Ifemelu miała wrażenie, że to słaba kopia, nieudolna imitacja tego, co sobie wyobrażała.

Kiedy się odsunął, drżący i zasapany, poczuła się niezręcznie.

Przez cały czas była spięta, nie potrafiła się odprężyć.

Wyobrażała sobie, że jego matka na nich patrzy; jej obraz stanął jej przed oczami i co dziwniejsze, był podwójny, jego matki i Onyeki Onwenu.

Obie przyglądały się im nieruchomym wzrokiem. Wiedziała, że nie może powiedzieć matce Obinze, co się stało, mimo że jej to obiecała i była przekonana, że dotrzyma słowa. Ale teraz

nie wiedziała, jak mogłaby to zrobić. Co by powiedziała? Jakich użyła słów? Powinni byli z Obinze lepiej to zaplanować; wtedy wiedziałyby, jak powiedzieć o tym jego matce. Była lekko wstrząśnięta tym brakiem planu i rozczarowana. Czuła, jakby nie było warto tego robić.

Kiedy jakiś tydzień później obudziła się z bólem w boku, ostrym i przeszywającym, z mdłościami, wpadła w panikę. A potem zwymiotowała i przerażenie wzrosło.

— Stało się — powiedziała Obinze. — Jestem w ciąży.

Jak zwykle spotkali się przed stołówką Ekpo po porannych wykładach. Wokół kręcili się studenci. Grupka chłopców paliła i śmiała się i przez chwilę Ifemelu myślała, że z niej.

Obinze zmarszczył brwi. Zdawał się nie rozumieć, co do niego mówi.

— Ale, Ifem, to niemożliwe. Jeszcze za wcześnie. Poza tym wyszedłem.

— Mówiłam ci, że to nic nie daje! — powiedziała.

Nagle wydał się jej małym, zagubionym chłopczykiem, który patrzył na nią bezradnie. Jej panika wzrosła. Pod wpływem impulsu zatrzymała przejeżdżający okada, wskoczyła i powiedziała kierowcy, że chce jechać do miasta.

— Ifem, co robisz? — zapytał Obinze. — Dokąd jedziesz?

— Zadzwoń do cioci Uju.

Obinze wsiadł na drugiego okada i po chwili pędził za nią. Za bramą uczelni skręciła i pojechała do biura NITEL, podała siedzącemu za obłażącym kontuarem mężczyźnie kawałek papieru z amerykańskim numerem cioci Uju. Przez telefon mówiła szyfrem, na oczekaniu wymyślając, co mówić, bo wszędzie wokół byli ludzie, niektórzy sami chcieli zadzwonić, inni po prostu się pałętali i z nieskrywanym zainteresowaniem podsłuchiwali rozmowy innych.

— Ciociu, myślę, że stało mi się to co tobie przed Dike'em — powiedziała Ifemelu. —

Tydzień temu jedliśmy.

— Zaledwie tydzień temu? Ile razy?

— Raz.

— Ifem, uspokój się. Myślę, że nie jesteś w ciąży. Ale musisz zrobić test. Nie idź do ośrodka zdrowia w kampusie. Idź do miasta, gdzie nikt cię nie zna. Ale najpierw się uspokój.

Wszystko będzie OK, *inugo*?

Jakiś czas później Ifemelu siedziała na chwiejnym krześle w poczekalni laboratorium, nieruchoma jak głaz i milcząca, nie zwracając uwagi na Obinze. Była na niego zła; wiedziała, że nie powinna, ale i tak była. Kiedy weszła do brudnej toalety z małym pojemniczkiem, który dostała od laborantki, zapytał, zawczasu wstając:

— Iść z tobą?

— Iść ze mną po co? — odwarknęła.

I miała ochotę przyłożyć tej dziewczynie. Pożółklej na twarzy, tyczkowatej dziewczynie, która pokręciła głową, kiedy Ifemelu poprosiła ją o test ciążowy, jakby nie mogła uwierzyć, że oto ma do czynienia z kolejnym przypadkiem niemoralnego zachowania. Teraz przyglądała się im ze złośliwym uśmiechem, nuąc beztrosko pod nosem.

— Mam wyniki — powiedziała po chwili, trzymając niezapieczerowaną kartkę, bardzo niezadowolona, bo wynik był negatywny.

W pierwszej chwili Ifemelu była tak zaskoczona, że nawet nie czuła ulgi, a chwilę potem

zachciało się jej znowu sikać.

— Ludzie powinni się szanować i żyć jak chrześcijanie, żeby nie mieć kłopotów —

powiedziała dziewczyna, kiedy wychodzili.

Wieczorem Ifemelu znowu wymiotowała. Leżała i czytała w pokoju Obinze, wciąż traktując go lodowato, kiedy nagle do ust napłynęła jej słona ślina i musiała się zerwać, żeby pobiec do łazienki.

— Musiałam coś zjeść — powiedziała. — To na pewno ta zupa z jamów, którą kupiłam u Mama Owerre.

Obinze poszedł do głównego domu i zaraz wrócił, mówiąc, że matka zabiera ją do lekarza. Był późny wieczór, matka Obinze nie lubiła młodego lekarza, który miał dyżur w przychodni, więc pojechały do domu doktora Achufusi. Kiedy mijaly szkołę podstawową, okoloną żywopłotem z szumiących sosen, Ifemelu wyobraziła sobie nagle, że rzeczywiście jest w ciąży, a dziewczyna w tym obskurnym laboratorium użyła przedatowanych odczynników.

Wypaliła bez namysłu:

— Uprawialiśmy seks, ciociu. Raz. — Poczula, jak Obinze się spina. Matka spojrzała na nią we wstecznym lusterku.

— Najpierw zobaczymy, co powie lekarz — rzekła.

Doktor Achufusi, dobroduszny, uprzejmy człowiek, ucisnął bok Ifemelu i oznajmił:

— To twój wyrostek robaczkowy, masz poważne zapalenie. Powinniśmy go szybko wyciąć. — Zwrócił się do matki Obinze. — Umówię was na jutro po południu.

— Bardzo dziękujemy, panie doktorze — powiedziała matka Obinze.

— Nigdy nie miałam operacji, ciociu — powiedziała Ifemelu w samochodzie.

— To nic takiego — odpowiedziała szybko matka Obinze. — Mamy tu bardzo dobrych lekarzy. Zawiadam swoich rodziców i powiedz im, żeby się nie martwili. Zaopiekujemy się tobą.

Kiedy cię wypiszą, możesz mieszkać u nas, aż dojdiesz do siebie.

Ifemelu zadzwoniła do koleżanki matki z pracy, cioci Bunmi, przekazała jej wiadomość i podała domowy numer Obinze z prośbą, żeby podała go jej matce.

— Bóg ma nad wszystkim kontrolę, skarbie — powiedziała jej matka. — Dziękuj Bogu za tę twoją przyjaciółkę. Niech Bóg pobłogosławi ją i jej matkę.

— To on. Chłopak.

— Och. — Matka umilkła. — Podziękuj im, proszę. Niech ich Bóg błogosławi.

Przyjedziemy do Nsukka jutro pierwszym autobusem.

Ifemelu pamiętała, jak pielęgniarzka wesoło goliła jej włosy łonowe: szorstki dźwięk golarki, zapach środka dezynfekującego. Potem była ciemność, jej mózg się wyłączył, a kiedy się z niej wynurzyła, otumaniona i wciąż balansująca na granicy pamięci, usłyszała, jak jej rodzice rozmawiają z matką Obinze. Matka trzymała ją za rękę. Później matka Obinze zaprosiła ich do siebie do domu. Po co bez potrzeby wydawać pieniądze na hotel.

— Ifemelu jest dla mnie jak córka — powiedziała.

Przed powrotem do Lagos ojciec powiedział z lękiem, jaki odczuwał wobec wszystkich wykształconych ludzi:

— Ona zrobiła w Londynie BA z wyróżnieniem.

— Bardzo elegancki chłopak, ten Obinze — dodała matka. — Dobrze wychowany. I jego rodzinne miasto jest niedaleko naszego.

Matka Obinze odczekała kilka dni, może by Ifemelu nabrała sił, a potem wezwała ich, poprosiła, żeby usiedli, i wyłączyła telewizor.

— Obinze i Ifemelu, ludzie popełniają błędy, ale niektórych można uniknąć.

Obinze milczał.

— Tak, ciociu — odezwała się Ifemelu.

— Zawsze musicie używać prezerwatyw. Jeśli chcecie zachowywać się nieodpowiedzialnie, musicie z tym poczekać, aż nie będziecie już pod moją opieką. — Jej głos stwardniał, brzmiała w nim teraz przygana. — Skoro postanowiliście być seksualnie aktywni, musicie zdecydować, jak się zabezpieczać. Obinze, z kieszonkowego powinieneś kupować prezerwatywy. Ifemelu, ty też. Nie obchodzi mnie, że możecie

czuć się niezręcznie. Macie iść do apteki i je kupić. Nigdy nie powinnaś powierzać chłopakowi własnego bezpieczeństwa. Jeśli nie chce się zabezpieczać, w takim razie nie zależy mu na tobie i nie powinno cię tam być. Obinze, ty może w ciążę nie zajdziesz, ale jeśli przez ciebie komuś się ona przydarzy, zmieni całe twoje życie, i to nieodwracalnie. I proszę was oboje, bądźcie sobie wierni. Choroby są wszędzie. AIDS istnieje naprawdę.

Milczeli.

— Słyszeliście, co powiedziałam? — zapytała matka Obinze.

— Tak, ciociu — powiedziała Ifemelu.

— Obinze? — matka zwróciła się do niego.

— Mamo, słyszałem — powiedział Obinze ostro. — Nie jestem małym chłopcem.

Potem wstał i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 8

Strajki stały się codziennością. Wykładowcy uniwersyteccy zamieszczali w gazetach swoje skargi, argumenty mieszane z błotem przez ludzi z rządu, których własne dzieci chodziły do szkół za granicą. Kampusy opustoszały, w klasach zamarło życie. Studenci liczyli, że strajki będą krótkie, bo na to, że nie będzie ich w ogóle, nie mieli co liczyć. Wszyscy mówili o wyjeździe. Nawet Emenike wyjechał do Anglii. Nikt nie miał pojęcia, jak udało mu się dostać wizę.

— Nawet ci nie powiedział? — zapytała Ifemelu Obinze.

— Wiesz, jaki jest Emenike — odparł Obinze.

Ranyinudo, która miała kuzynkę w Ameryce, złożyła podanie o wizę, ale w ambasadzie odrzuciła ją czarna Amerykanka mówiąc, że jest przeziębiona i od przeglądania dokumentów wolała wycieranie nosa. Siostra Ibinado zaczęła w piątki organizować Studenckie Czuwanie w intencji Wizowego Cudu. Zbierali się na nim studenci, każdy z kopertą, w której było podanie o wizę i na którą siostra Ibinabo kładła dłoń w błogosławieństwie. Jedna dziewczyna, już na ostatnim roku na

uniwersytecie Ife, dostała wizę przy pierwszej próbie i w kościele ze łzami dała temu świadectwo.

— Nawet gdybym miała zacząć od początku, to wiem, że w Ameryce przynajmniej uda mi się zrobić dyplom — powiedziała.

Któregoś dnia zadzwoniła ciocia Uju. Nie dzwoniła już tak często; przedtem, kiedy Ifemelu była w Lagos, dzwoniła do Ranyinudo albo do domu Obinze, jeśli Ifemelu była akurat w szkole. Ale jej telefony stały się rzadsze. Ciocia Uju pracowała na trzech etatach i wciąż jeszcze nie nostryfikowała swojego dyplomu. Mówiła o egzaminach, które musiała zdawać, różnych etapach oznaczających różne rzeczy, których Ifemelu nie rozumiała. Ilekroć matka Ifemelu namawiała ją, żeby poprosiła ciocię Uju o przysłanie czegoś z Ameryki — multiwitamin, butów — ojciec Ifemelu się sprzeciwiał. „Najpierw Uju musi stanąć na nogi” — mówił, a matka odpowiadała z lekko zawstydzonym uśmiechem, że cztery lata powinno wystarczyć, żeby się odnaleźć.

— Ifeme, *kedu?* — zapytała ciocia Uju. — Myślałam, że będziesz w Nsukka. Właśnie dzwoniłam do domu Obinze.

— Mamy strajk.

— Aj-aj! Jeszcze się nie skończył?

— Nie, ten ostatni się skończył, wróciliśmy do szkoły, a potem zaczęli kolejny.

— Co to za jakieś bzdury? — powiedziała ciocia Uju. — Słowo daję, powinnaś przyjechać na studia tutaj. Na pewno dostałabyś stypendium. I pomogła byś mi zająć się Dike'em. Nie uwierzysz, ale te grosze, które tu zarabiam, idą w całości na opiekunkę. Poza tym, jeśli Bóg pozwoli, do czasu aż przyjedziesz, pozdamę już wszystkie egzaminy i będę mogła zacząć rezydenturę.

Ciocia Uju była pełna entuzjazmu, ale wszystko to było trochę niejasne; wcześniej, zanim o tym nie wspomniała, Ifemelu nawet nie zastanawiała się nad wyjazdem.

I byłaby to tak zostawiła, pozwoliła bezkształtnej myśli, która na chwilę wypłynęła na powierzchnię, zatonać z powrotem,

gdyby nie Obinze.

— Powinnaś to zrobić, Ifemelu — powiedział. — Nie masz nic do stracenia. Zdaj testy SAT i staraj się o stypendium. Ginika pomoże ci złożyć podania do szkół. W Ameryce jest ciocia Uju, więc przynajmniej masz się gdzie na początek zaczepić. Chciałbym zrobić to samo, ale nie

mogę tak po prostu wstać i wyjechać. Powinienem zrobić tu studia pierwszego stopnia, a do Ameryki pojechać zrobić magistra. Zagraniczni studenci na studiach magisterskich dostają pieniądze i finansowe wsparcie.

Ifemelu nie do końca pojmowała, co to wszystko oznacza, ale chyba było prawdą, bo w końcu mówił to on, ekspert od Ameryki, który tak po prostu używał określenia „studia magisterskie” zamiast „podyplomowe”. I tak Ifemelu zaczęła marzyć. Widziała siebie w domu z *Bing Cosby Show*, w szkole, w której studenci trzymali zeszyty w cudowny sposób niezniszczone ani pomięte. Zdała testy SAT w ośrodku w Lagos razem z tysiącami ludzi, z których każdy miał głowę pełną amerykańskich ambicji. Ginika, która właśnie skończyła studia, w jej imieniu złożyła podania do szkół.

— Chciałam ci powiedzieć, że skupiałam się na Filadelfii i okolicach, bo sama tam studiowałam — powiedziała przez telefon, jakby Ifemelu miała pojęcie, gdzie jest Filadelfia. Dla niej Ameryka to była Ameryka.

Strajk się skończył. Ifemelu wróciła do Nsukka i kampusowego życia i od czasu do czasu marzyła o Ameryce. Kiedy zadzwoniła ciocia Uju z informacją, że przyszły listy ze szkół, do których została przyjęta, i oferta stypendium, przestała marzyć. Bała się mieć nadzieję teraz, kiedy wszystko stało się możliwe.

— Zaplec sobie małe-małe warkoczyki, które długo wytrzymają, bo tutaj to jest bardzo drogie — powiedziała jej ciocia Uju.

— Ciociu, najpierw muszę dostać wizę! — odparła Ifemelu.

Złożyła podanie wizowe pewna, że jakiś chamski Amerykanin je odrzuci, jak to się często zdarzało, ale siwowłosa kobieta ze

znaczkim St. Vincent de Paul w klapie uśmiechnęła się do niej.

— Za dwa dni proszę przyjść po odbiór wizy — powiedziała.
— Powodzenia na studiach.

Po południu, kiedy odebrała swój paszport z wizą w bladym kolorze wbitą na drugiej stronie, zorganizowała triumfalny rytuał oznaczający początek nowego życia za granicą: podział jej rzeczy między przyjaciółki. Ranyinudo, Priye i Tochi siedziały w jej sypialni, piły colę, a na łóżku leżały stopy ubrań Ifemelu. Pierwszą rzeczą, po którą sięgnęły, była pomarańczowa sukienka, jej ulubiona, prezent od cioci Uju: o fasonie litery A, z zamkiem od szyi do samego dołu, w której zawsze czuła się wystrzałowio i niebezpiecznie. To mi ułatwia sprawę, mówił

Obinze, po czym wolno zaczynał rozpinąć zamek. Chciała zatrzymać sukienkę, ale odezwała się Ranyinuda:

— Ifem, przecież wiesz, że w Ameryce będziesz miała sukienek do wyboru, do koloru i kiedy się następnym razem zobaczymy, będziesz już jak prawdziwa Amerykaana.

Matka powiedziała, że we śnie objawił się jej Jezus i stwierdziła, że w Ameryce Ifemelu będzie się świetnie powodzić, a ojciec wcisnął jej w rękę cieką kopertę.

— Chciałbym, żeby było tego więcej — powiedział, a ona ze smutkiem sobie uświadomiła, że musiał te pieniądze pożyczyć.

Kiedy wszyscy tak się cieszyli, ona nagle stała się przygaszona i zaczęła odczuwać lęk.

— Może powinnam zostać i skończyć studia tutaj — powiedziała do Obinze.

— Ifem, nie, musisz jechać. Poza tym przecież geologia wcale cię nie interesuje.

W Ameryce będziesz mogła studiować coś innego.

— Ale stypendium jest tylko częściowe. Skąd wezmę pieniądze, żeby opłacić resztę? Ze studencką wizą nie mogę pracować.

— Możesz studiować i pracować na uczelni. Po radzisz sobie. Siedemdziesiąt pięć procent chesnego to nie byle co.

Skinęła głową, porwana falą nadziei. Poszła pożegnać się z jego matką.

— Nigeria pozbywa się swoich największych skarbów — ściskając ją, powiedziała ze smutkiem matka Obinze.

— Ciociu, będę za tobą tęsknić. Dziękuję bardzo za wszystko.

— Dbaj o siebie, moja kochana. Pisz do nas. Koniecznie musisz się odzywać.

Zapłakana Ifemelu kiwnęła głową. Wyszła, rozsuwając kotarę przy drzwiach, kiedy dobiegł ją głos matki Obinze:

— I pamiętaj, musicie sobie z Obinze wszystko zaplanować. Musicie mieć plan.

Jej słowa, tak nieoczekiwane i tak prawdziwe, podniosły Ifemelu na duchu. Plan mieli następujący: on przyjedzie do Ameryki natychmiast po skończeniu studiów. Jakoś zdobędzie wizę. Może do tego czasu ona będzie mogła mu w tym pomóc.

W kolejnych latach, nawet kiedy już nie utrzymywała z nim kontaktu, wspominała czasem słowa jego matki — musicie z Obinze wszystko zaplanować — i czuła się lepiej.

ROZDZIAŁ 9

Mariama wróciła z chińskiej restauracji z poplamioną tłuszczem brązową, papierową torbą, wnosząc do dusznego salonu zapach oleju i przypraw.

— Film się skończył?

Zerknęła na pusty ekran telewizora i ze stosu płyt DVD wybrała kolejną.

— Przepraszam, ale muszę zjeść — powiedziała Aisha do Ifemelu.

Przycupnęła na krześle z tyłu i ze wzrokiem wbitym w telewizor jadła palcami skrzydełka kurczaka. Nowy film zaczął się od zapowiedzi, pucinaných scen przedzielonych błyskami światła. Na końcu każdego z nich rozlegał się głos

Nigeryjczyka, teatralnie i głośno namawiający: „Kup teraz!”. Mariama jadła na stojąco. Powiedziała coś do Halimy.

— Najpierw skończę i dopiero zjem — odpowiedziała Halima po angielsku.

— Jeśli chcesz, możesz zjeść — odezwała się klientka Halimy, młoda kobieta o wysokim głosie i miłym obejściu.

— Nie. Skończę. Już tylko mało — powiedziała Halima.

Na głowie jej klientki został jeszcze ostatni kosmyk z przodu, sterczący jak zwierzęce futro, podczas gdy reszta włosów opadała jej na kark równymi mikrowarkoczykami.

— Córki muszę odebrać dopiero za godzinę — powiedziała klientka.

— Ile masz? — zapytała Halima.

— Dwie — odparła klientka. Wyglądała na siedemnaście lat.

— Dwie piękne dziewczynki.

Zaczął się nowy film. Ekran wypełniła uśmiechnięta twarz aktorki w średnim wieku.

— Och-och, tak! Ją lubię! — powiedziała Halima. — Cierpliwość! Nie daję sobie wciskać kitu!

— Znasz ją? — Mariama zwróciła się z pytaniem do Ifemelu, wskazując na ekran.

— Nie — powiedziała Ifemelu.

Dlaczego wciąż ją pytały, czy zna aktorki z Nollywood? W całym pomieszczeniu zdecydowanie za bardzo pachniało jedzeniem. Duszne powietrze cuchnęło oleściami, o dziwo jednak budziło to w niej poczucie głodu. Zjadła trochę swoich marchewczek. Klientka Halimy przed lustrem przekrzywiła głowę na wszystkie strony.

— Naprawdę bardzo dziękuję, jest cudownie.

Po jej wyjściu odezwała się Mariama:

— Taka malutka dziewczuszka, a już ma dwoje dzieci.

— Och-och-och, co za ludzie — powiedziała Halima. — Jak dziewczyna kończy trzynaście lat, już zna wszystkie pozycje.

W Afryce nigdy!

— Nigdy! — zgodziła się Mariama.

Popatrzyły na Ifemelu, żeby przytaknęła, potwierdziła. Oczekiwały tego w tej dzielonej wspólnie przestrzeni afrykańskości, ale Ifemelu nie odezwała się, tylko przewróciła stronę w książce. Była pewna, że kiedy wyjdzie, obgadają ją. Ta nigeryjska dziewczucha, taka ważna, bo jest z Princeton. Widziałyście ten jej baton, przestała już nawet jeść normalne rzeczy. Będą się śmiać kpiąco, ale nie za bardzo, bo w końcu była ich afrykańską siostrą, która tylko na chwilę się zagubiła. Kiedy Halima otworzyła swój pojemnik z jedzeniem, w pomieszczeniu na nowo rozszedł się oleisty smród. Halima jadła i mówiła do telewizora:

— Och, głupi człowieku! Ona ci zabierze pieniądze!

Ifemelu odgarnęła z karku lepki kosmyk włosów. W salonie gotowało się z gorąca.

— Czy możemy otworzyć drzwi? — zapytała.

Mariama otworzyła drzwi i podparła je krzesłem.

— Rzeczywiście okropnie gorąco.

Każda fala upałów przypominała Ifemelu jej początki w Ameryce. Kiedy tu przyjechała, było lato. Wiedziała, że w Ameryce jest lato, ale przez całe jej życie „zagranica” była zimnym miejscem wełnianych płaszczy i śniegu, a ponieważ Ameryka była „zagranicą”, a jej złudzenie tak silnie zakorzenione, na podróż kupiła najgrubszy sweter, jaki udało się jej znaleźć na targu w Tejuosho. Założyła go na wyjazd i siedziała w nim, zapiętym pod szyję, w mruczącym wnętrzu samolotu, a rozpięła dopiero, kiedy razem z ciocią Uju wychodziły z terminalu lotniska.

Parne gorąco ją zaniepokoiło, podobnie jak stara toyota cioci Uju z łatą rdzy na boku i podartym obiciem na siedzeniach. Patrzyła na budynki, samochody i znaki przy drodze, wszystkie pozbawione blasku, matowe, i poczuła się rozczarowana. Ona wyobrażała sobie, że amerykański krajobraz cały lśni i błyszczący. Najbardziej zaskoczył ją widok

kilkunastolatka w baseballowej czapeczce, który stał przy ceglanej ścianie, ze spuszczoną głową, pochylony lekko do przodu, z rękami w kroku. Obróciła się, żeby popatrzeć jeszcze raz.

— Widziałaś tego chłopaka? — zapytała. — Nie wiedziałam, że w Ameryce ludzie to robią.

— Nie wiedziałaś, że w Ameryce ludzie sikają? — zapytała ciocia Uju i zanim zawróciła na światłach, przelotnie spojrzała na chłopaka.

— Aj-aj, ciociu! Chodzi mi o to, że robią to na zewnątrz. Właśnie tak.

— Nie robią. Tu nie jest jak w domu, gdzie wszyscy się tak załatwiają. Tutaj można za to iść do więzienia, ale to nie jest najlepsza okolica — powiedziała ciocia Uju krótko.

Była jakaś inna. Ifemelu zauważyła to już na lotnisku, jej byle jak zaplecione włosy, uszy pozbawione kolczyków, szybki, zdawkowy uścisk, jakby od ich ostatniego spotkania upłynęły zaledwie tygodnie, a nie całe lata.

— Powinnam teraz siedzieć nad książkami — powiedziała ciocia Uju, bacznie wpatrując się w drogę przed sobą. — Wiesz, że niedługo mam egzamin.

Ifemelu nie miała pojęcia, że jest jeszcze jakiś egzamin, sądziła, że ciocia Uju czeka już na wyniki. Ale odpowiedziała:

— Tak, wiem.

Ich milczenie było ciężkie jak kamienie. Ifemelu miała ochotę przeprosić, tylko nie wiedziała, za co miałyby to zrobić. Może teraz, kiedy przyjechała, ciocia Uju zaczęła żałować, że tu jest, że siedzi w jej świszczącym aucie.

Zadzwoiła komórka cioci Uju.

— Słucham, mówi Uju.

Zamiast U-ju, wymawiała swoje imię Ju-ju.

— Tak teraz wymawiasz swoje imię? — zapytała później Ifemelu.

— Oni tak do mnie mówią.

Ifemelu połknęła słowa, które jej się cisnęły: „Przecież to nie jest twoje imię”. Zamiast tego odezwała się w igbo:

— Nie wiedziałam, że tu jest tak gorąco.

— Mamy falę upałów, pierwszą tego lata — powiedziała ciocia Uju, jakby Ifemelu powinna wiedzieć, co to jest „fala upałów”.

Nigdy dotąd nie czuła, że gorąco może być takie gorące. Wszechobecne, bezlitosne gorąco. Kiedy dotarły do mieszkanek cioci Uju, z jedną sypialnią, klamka u drzwi była ciepła

w dotyku. Z pokrytej dywanem podłogi w salonie zerwał się Dike, rozrzucając samochodziki i figurki, i objął ją, jakby ją pamiętał.

— Almo, to jest moja kuzynka! — powiedział do swojej opiekunki, kobiety o jasnej skórze i zmęczonej twarzy, z czarnymi włosami związanymi w tłusty kucyk.

Gdyby Ifemelu spotkała Almę w Lagos, pomyślałaby, że jest biała, ale teraz dowiedziała się, że Alma jest Latynoską, co ku jej zdumieniu w Ameryce oznaczało jednocześnie grupę etniczną i rasę; po latach przypomniała sobie o tym, kiedy pisała post do swojego bloga zatytułowany: „Ameryka dla nieamerykańskich czarnych: co oznacza Latynos”.

Latynosi to często współtowarzysze amerykańskich czarnych w biedzie, Latynosi stoją o szczebel wyżej od amerykańskich czarnych na amerykańskiej drabinie rasowej. Latynoski to kobiety o czekoladowej skórze z Peru, Latynosi to autochtoni z Meksyku. Latynosi to wyglądający na mieszańców goście z Republiki Dominikany, Latynosi to Portorykańczycy o jaśniejszej skórze, Latynos to też niebieskooki blondyn z Argentyny. Wystarczy, że mówisz po hiszpańsku, ale nie pochodzisz z Hiszpanii, i voila, należysz do rasy nazywanej latynoską.

Ale tamtego popołudnia ledwo zwróciła uwagę na Almę, salon, w którym była tylko kanapa i telewizor, czy na upchnięty w kącie rower, ponieważ bez reszty zaabsorbował ją Dike.

Ostatnio widziała go w dniu pospiesznego wyjazdu cioci Uju z Lagos, miał wtedy roczek i na lotnisku płakał bez końca, jakby rozumiał, że jego życie wywróciło się właśnie do góry nogami.

Teraz miała go przed sobą, pierwszoklasistę z nienagannym amerykańskim akcentem, tryskającego radością, który nie umiał ani chwili usiedzieć na miejscu i który chyba nigdy nie był

smutny.

— Dlaczego masz sweter? Jest za gorąco na sweter! — powiedział chichocząc, wciąż obejmując ją z całej siły. Był taki mały, taki niewinny, a przy tym jakby przedwcześnie dojrzały, ale w radosny sposób, nieżywiący żadnych mrocznych intencji jak dorośli w jego świecie.

Wieczorem, kiedy on i ciocia Uju położyli się już do łóżka, a Ifemelu siedziała na kocu na podłodze, zapytał:

— Mamo, dlaczego ona musi spać na podłodze? Przecież wszyscy się zmieścimy.

Zupełnie jakby wyczuwał, co myśli Ifemelu. Nie było w tym nic złego — przecież zawsze spała na macie, kiedy odwiedzała we wsi babcię — ale była w końcu w Ameryce, w końcu w tej wspaniałej Ameryce, i nie spodziewała się, że jej łóżkiem będzie podłoga.

— Tu mi będzie dobrze, Dike — powiedziała.

Dike wstał i przyniósł jej swoją poduszkę.

— Proszę. Jest miękka i wygodna.

— Dike, wracaj i połóż się. Daj cioci spać — powiedziała ciocia Uju.

Ifemelu nie mogła zasnąć, zbyt podekscytowana wszystkimi nowymi rzeczami, i kiedy rozległo się chrapanie cioci Uju, wymknęła się z pokoju i zapaliła w kuchni światło. Na ścianie obok szafek przycupnął karaluch, poruszając się lekko w górę i w dół, jakby ciężko dyszał.

Gdyby to było w ich kuchni w Lagos, wzięłaby miotłę i zabiła go, ale amerykańskiego karalucha zostawiła w spokoju i

podeszła do okna w salonie. Ciocia Uju powiedziała jej, że ta część Brooklynu nazywa się Flatlands. Ulica na dole była słabo oświetlona, a wzdłuż niej nie rosły bujne drzewa, lecz stały ciasno zaparkowane samochody. W niczym nie przypominała ślicznej ulicy z *Bing Cosby Show*. Ifemelu stała tam przez długi czas, przytłoczona uczuciem nowości.

Ale drżało w niej też oczekiwanie, chęć odkrywania Ameryki.

— Myślę, że w lecie powinnaś zająć się Dike'em, żebyś mogła oszczędzić pieniądze, które wydaję na opiekunkę. Potem, kiedy pojedziesz do Filadelfii, zaczniesz szukać pracy —

powiedziała następnego ranka ciocia Uju.

Obudziła Ifemelu, szybko powiedziała jej, jak ma się opiekować Dike'em, dodając, że po pracy idzie się uczyć do biblioteki. Wypowiadała słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Ifemelu chciałyby, żeby trochę zwolniła.

— Ze studencką wizą nie możesz pracować, a praca studencka jest do niczego. Musisz zarobić tyle, żeby opłacić resztę czesnego. Ja pracuję na trzech etatach, a i tak nie jest mi łatwo.

Rozmawiałam z koleżanką, może pamiętasz Ngozi Okonkwo? Teraz ma amerykańskie obywatelstwo i na jakiś czas pojechała do Nigerii, żeby założyć firmę. Ubłagałam ją i zgodziła się, żebyś pracowała na jej kartę ubezpieczenia społecznego.

— Jak? Mam używać jej nazwiska? — zapytała Ifemelu.

— Oczywiście, że masz używać jej nazwiska — powiedziała ciocia Uju, unosząc brwi, jakby ledwo zdołała się powstrzymać, żeby nie zapytać, czy Ifemelu jest jakaś głupia.

We włosach miała odrobinę kremu do twarzy, tuż przy nasadzie warkoczyka, i Ifemelu chciała jej powiedzieć, żeby go starła, ale zmieniła zdanie i nie odezwała się, tylko patrzyła, jak ciocia Uju biegnie do drzwi. Zapiekle ją pogarda cioci Uju. Ich dawna zażyłość całkiem niespodziewanie znikła. Zniecierpliwienie cioci Uju, jej drażliwość sprawiały,

że Ifemelu miała wrażenie, iż powinna była wiedzieć różne rzeczy, ale z własnej winy nie miała o nich pojęcia.

— Jest solona wołowina, żebyś mogła zrobić kanapki na lunch — powiedziała ciocia Uju, jakby to było zupełnie normalne i nie trzeba było się śmiać, że Amerykanie jedzą na lunch chleb.

Ale Dike nie chciał kanapki. Kiedy już pokazał jej wszystkie zabawki, kiedy obejrzelili kilka odcinków kreskówki *Tom i Jerry*, a on zaśmiewał się zachwycony, bo Ifemelu widziała je już wszystkie w Nigerii i mówiła mu, co się zaraz stanie, otworzył lodówkę i pokazał jej, co chce, żeby mu przygotowała.

— Hot dogi.

Ifemelu przyjrzała się dziwnie długim kiełbaskom, po czym zaczęła otwierać szafki, szukając oleju.

— Mama mówi, że mam do ciebie mówić ciocia Ifem. Ale ty nie jesteś moją ciocią.

Jesteś moją kuzynką.

— Więc mów do mnie kuzynko.

— Dobra, kuzynko — powiedział Dike i roześmiał się.

Miał taki ciepły, szczery śmiech. Znalazła olej roślinny.

— Nie trzeba oleju — powiedział Dike. — Hot dogi gotuje się w wodzie.

— W wodzie? Jak można gotować kiełbasę w wodzie?

— To jest hot dog, nie kiełbasa.

Oczywiście, że to była kiełbasa, nawet jeśli nazywali ją idiotycznie „hot dogiem”, i usmażyła dwie na odrobinie oleju, tak samo, jak smażyła kiełbaski *satis*. Dike przyglądał się temu z przerażeniem. Wyłączyła kuchenkę. Dike się odsunął.

— Fuj — powiedział.

Stali i patrzyli na siebie, między sobą mając talerz z bułką i dwoma skurczonymi hot dogami. Wiedziała, że powinna go była posłuchać.

— Mogę zjeść kanapkę z masłem orzechowym i galaretką? — zapytał Dike.

Zrobiła kanapkę tak, jak jej powiedział. Odkroiła skórę chleba i najpierw rozsmarowała masło orzechowe, pilnując się, żeby nie parsknąć śmiechem, kiedy przyglądał się wszystkiemu bacznie, jakby w obawie, że postanowi kanapkę usmażyć.

Kiedy wieczorem Ifemelu opowiadała cioci Uju przygodę z hot dogami, ciocia Uju wcale nie była rozbawiona, jak Ifemelu się spodziewała.

— To nie są kiełbaski, to są hot dogi.

— To tak, jakbyś mówiła, że bikini to nie to samo co bielizna. Czy przybysz z kosmosu widziałby różnicę?

Ciocia Uju wzruszyła ramionami; siedziała przy kuchennym stole z otwartą książką medyczną i z pomiętej, papierowej torebki jada hamburgera. Skórę miała suchą, oczy podkrążone, nastrój ponury. Wydawało się, że zamiast czytać, tylko gapiła się na książkę.

W sklepie spożywczym ciocia Uju nigdy nie kupowała tego, co było jej potrzebne; wybierała to, co było akurat na wyprzedaży, i wmawiała sobie, że właśnie tego potrzebuje. Przy wejściu do Key Ford brała kolorową ulotkę i zaczynała szukać przecenionych towarów; alejka za alejką, Ifemelu pchała wózek, a Dike szedł obok.

— Mamo, nie lubię tego. Weź niebieskie — powiedział Dike, kiedy ciocia Uju wkładała do wózka opakowania płatków śniadaniowych.

— Jak się kupi jedno, drugie jest gratis — odparła ciocia Uju.

— Są niedobre.

— Są takie same jak płatki, które jesz zwykle, Dike.

— Nie.

Dike wziął z półki niebieski karton i pobiegł do kasy.

— Cześć, mały! — Kasjerka była wielka i wesoła, miała czerwone policzki i schodziła jej skóra po opalaniu. — Pomagasz mamusi?

— Dike, odłóż to — powiedziała ciocia Uju, z nosowym, rozwlekłym akcentem, którego używała mówiąc do białych Amerykanów, w obecności białych Amerykanów, kiedy biali Amerykanie mogli ją usłyszeć. A razem z akcentem pojawiała się nowa osoba, pokorna i przeproszająca. Płaszczyła się przed kasjerką.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — mówiła, wygrzebując kartę płatniczą z portfela.

Ponieważ kasjerka patrzyła, ciocia Uju pozwoliła Dike'owi zatrzymać płatki, ale w samochodzie chwyciła go za ucho i, szarpiąc, wykręciła mu je.

— Mówiłam ci, nigdy nie bierz niczego sam w sklepie! Słyszysz? A może chcesz, żebym ci przyłożyła i wtedy usłyszysz?

Dike przycisnął rękę do ucha.

Ciocia Uju zwróciła się do Ifemelu.

— Tak się właśnie dzieci zachowują w tym kraju. Jane mówiła mi, że jej córka zagroziła, że zadzwoni na policję, kiedy spuszczała jej lanie. Wyobraź sobie. Nie mam do niej pretensji, musiała przyjechać do Ameryki i dowiedziała się, że można dzwonić na policję.

Ifemelu pogłaskała Dike'a po kolanie. Nie patrzył na nią. Ciocia Uju prowadziła odrobinę zbyt szybko.

Dike zawołał z łazienki, dokąd został wysłany, żeby umyć zęby przed spaniem.

— Dike, *I mechago?* — zapytała Ifemelu.

— Proszę, nie mów do niego w igbo — powiedziała ciocia Uju. — Dwa języki mu się pomieszają.

— Co ty mówisz, ciociu? Przecież kiedy my dorastaliśmy, mówiliśmy dwoma językami.

— To jest Ameryka. Tutaj jest inaczej.

Ifemelu ugryzła się w język. Ciocia Uju zamknęła książkę i zapatrzyła się przed siebie.

Telewizor był wyłączony, z łazienki dobiegał szum lejącej się wody.

— Ciociu, o co chodzi? — zapytała Ifemelu. — Co się dzieje?

— Nie rozumiem. Nic się nie dzieje. — Ciocia Uju westchnęła. — Nie zdałam ostatniego egzaminu. Dostałam wyniki tuż przed twoim przyjazdem.

— Och. — Ifemelu patrzyła na nią.

— Nigdy w życiu nie oblałam żadnego egzaminu. Ale tutaj nie sprawdzali faktycznej wiedzy, sprawdzali, czy umiemy odpowiedzieć na podchwytliwe pytania wielokrotnego wyboru, które nie mają nic wspólnego z prawdziwą wiedzą medyczną. — Wstała i poszła do kuchni. —

Jestem zmęczona. Tak strasznie zmęczona. Myślałam, że Dike'owi i mnie będzie się żyło lepiej.

Miałam pomoc, ale po prostu nie mogłam uwierzyć, że pieniądze tak szybko się kończą.

Studiowałam i pracowałam na trzech etatach. Sprzedawałam w supermarkecie, byłam asystentką, pracowałam nawet w Burger Kingu.

— Będzie lepiej — powiedziała Ifemelu, bez nadziei.

Wiedziała, jak pusto to zabrzmiało. Wszystko było obce. Nie potrafiła pocieszyć cioci Uju, bo nie wiedziała jak. Kiedy ciocia Uju opowiadała o swoich koleżankach, które przyjechały do Ameryki przed nią i zdały egzaminy — Nkechi z Marylandu przysłała jej serwis obiadowy, Kemi z Indiany kupiła jej łóżko, Ozavisa przysłała sztucce i ubrania z Hartford — Ifemelu powiedziała: „Niech je Bóg błogosławi”, a słowa w jej ustach brzmiały patetycznie i bezużytecznie.

Kiedy ciocia Uju dzwoniła do Nigerii, Ifemelu myślała, że nie jest tak źle, chociaż teraz uświadomiła sobie, że ciocia Uju zawsze mówiła wymijająco, wspominała o „pracy”

i „egzaminach”, ale bez żadnych szczegółów. A może dlatego, że Ifemelu nigdy nie dopytywała się o szczegóły, nie próbowała ich zrozumieć. I patrząc teraz na nią, myślała, że dawna ciocia Uju nigdy by nie dopuściła, żeby miała tak niechlujnie zaplecione włosy. Nie zniosłaby włosków, które teraz jak rodziniki pokrywały jej brodę, ani nie nosiłaby starych spodni, które wybrzuszały się jej między nogami. Ameryka ją pokonała.

ROZDZIAŁ 10

To pierwsze lato było latem oczekiwania; Ifemelu czuła, że prawdziwa Ameryka jest tuż za rogiem, wystarczy tylko skręcić. Nawet dni, zlewające się jeden w drugi, senne i jasne, ze słońcem świecącym do późna, zdawały się czekać. Jej życie stało się nagie, suche i iskrzące, bez rodziców, przyjaciół i domu, znajomych punktów, które czyniły ją tym, kim była. Czekala więc, pisząc do Obinze długie, szczegółowe listy, dzwoniąc do niego od czasu do czasu — rozmowy były krótkie, bo ciocia Uju mówiła, że nie wolno marnować karty telefonicznej — i spędzając czas z Dike'em. Był tylko dzieckiem, ale czuła, że łączące ich pokrewieństwo jest bardziej przyjaźnią; razem oglądali jego ulubione kreskówki, *Pelzaki* i *Franklina*, czytali razem książki i wychodzili na zewnątrz, żeby pobawił się z dziećmi Jane. Jane mieszkała obok. Ona i jej mąż Marlon pochodzili z Grenady i mówili z lirycznym akcentem, brzmiącym niemal jak śpiew.

— Są jak my; on ma dobrą pracę, ma ambicje i biją swoje dzieci — powiedziała ciocia Uju z uznaniem.

Ifemelu i Jane śmiały się, kiedy odkryły, jak podobne były ich dzieciństwa na Grenadzie i w Nigerii, z książkami Enid Blyton, nauczycielami, którzy byli anglofilami, i ojcami wielbiącymi BBC World Service. Jane była tylko kilka lat starsza od Ifemelu.

— Wyszłam za mąż bardzo młodo. Wszystkie chciały Marlona, więc jak mogłam odmówić? — powiedziała na wpół kpiąco.

Siedziały razem na schodkach przed domem i patrzyły jak Dike i dzieci Jane, Elizabeth i Junior, jeżdżą na rowerkach do

końca ulicy i z powrotem. Ifemelu często wołała do Dike'a, żeby nie odjeżdżał zbyt daleko, dzieci krzyczały, betonowe chodniki lśniły w palącym słońcu, a letnią senność zakłócała od czasu do czasu dudniąca muzyka, najpierw coraz głośniejsza, potem stopniowo cichnąca, dobiegająca z przejeżdżających samochodów.

— To wszystko musi być dla ciebie bardzo dziwne — powiedziała Jane.

Ifemelu kiwnęła głową.

— Tak.

Na ulicę wjechało auto z lodami, ze swoją śpiewną melodyjką.

— Wiesz, jestem tu już dziesiąty rok, a wciąż mam uczucie, jakbym się przyzwyczajała

— powiedziała Jane. — Najtrudniej jest wychowywać dzieci. Popatrz na Elizabeth. Muszę z nią bardzo uważać. Jak się w tym kraju nie uważa, dzieci stają się kimś obcym. W domu jest inaczej, bo tam można je kontrolować. Tutaj nie.

Jane, ze swoją brzydką twarzą i galaretowymi ramionami, wyglądała na nieszkodliwą, ale za jej wiecznym uśmiechem ukrywała się lodowata czujność.

— Ile ma lat? Dziesięć? — zapytała Ifemelu.

— Dziewięć i już próbuje dramatyzować. Płacimy spore pieniądze za prywatną szkołę dla niej, bo państwowe są do niczego. Marlon mówi, że niedługo przeprowadzimy się na przedmieścia, żeby mogła chodzić do lepszych szkół. Inaczej zacznie się zachowywać jak ci czarni Amerykanie.

— To znaczy?

— Nie bój się, z czasem zrozumiesz — powiedziała Jane i wstała, żeby pójść po pieniądze na lody dla dzieci.

Ifemelu bardzo lubiła siedzieć z Jane przed domem, aż któregoś wieczora Marlon wrócił

z pracy i odezwał się do Ifemelu pośpiesznym szeptem, kiedy Jane poszła po lemoniadę dla dzieci.

— Myślę o tobie. Chcę z tobą porozmawiać — powiedział.

Ifemelu nie powtórzyła tego Jane. Nigdy nie obwiniłaby Marlona za nic, jej jasnoskórego, o migdałowych oczach Marlona, którego każda chciała, wobec tego Ifemelu zaczęła unikać obojga i wymyślać skomplikowane gry planszowe, w które ona i Dike mogli grać w domu.

Kiedys zapytała Dike'a, co przed wakacjami robili w szkole.

— Kółka.

Siedzieli na podłodze w kółku i dzielili się swoimi ulubionymi rzeczami.

Ifemelu była przerażona.

— Umiesz dzielić?

Popatrzył na nią dziwnie.

— Jestem dopiero w pierwszej klasie, kuzyna.

— Ja w twoim wieku umiałam już robić proste dzielenie.

W jej głowie zakiełkowało przekonanie, że amerykańskie dzieci w podstawówce niczego się nie uczą, a zakorzeniło na dobre, kiedy Dike powiedział jej, że ich nauczyciel czasami rozdaje kupony na zadanie domowe; jak się taki dostanie, można w jednym dniu nie odrabiać zadania.

Kółka, kupony na zadanie domowe, jakie jeszcze bzdury usłyszysz? I tak zaczęła uczyć go matematyki — ona mówiła „matmy”, on „maty”, wobec czego uzgodnili, że będą używać pełnej nazwy. Kiedy teraz wspomina tamto lato, to zawsze przypominają się jej długie dzielenia i zmarszczone brwi Dike'a, kiedy z mętlikiem w głowie siedział obok niej przy stole jadalnym, o tym jak od przekupstwa przechodziła do krzyku. „W porządku, spróbuj jeszcze raz i dostaniesz lody.” „Nie będziesz się mógł pobawić, dopóki tego nie rozwiążesz.” Później, kiedy był już starszy, często powtarzał, że nie ma problemów z matematyką dzięki tamtym letnim lekcjom, podczas których go torturowała. „Masz na myśli lato, kiedy cię uczyłam”, odpowiadała i stało się to tematem ich żartów, po które jak po smakowitą przekąskę, sięgali od czasu do czasu.

To było też lato jedzenia. Uwielbiała wszystko, co nieznane — hamburgery z McDonalda, z ich cierpkimi, chrupiącymi przez chwilę piklami, nowy smak, za którym jednego dnia przepadała, a następnego nienawidziła, wrapy, które ciocia Uju przynosiła do domu, mokre od pikantnych sosów, spaghetti bolognese i pizzę pepperoni, które zostawiały w jej ustach słony posmak. Nie wiedziała, co myśleć o pozbawionych smaku owocach, jakby natura zapomniała doprawić pomarańcze i banany, ale lubiła na nie patrzeć, lubiła dotykać; banany były takie duże, tak doskonale żółte, że wybaczła im ich brak smaku.

— Czemu to robisz? Jesz banany z orzeszkami ziemnymi? — zapytał ją kiedyś Dike.

— Bo tak się robi w Nigerii. Chcesz spróbować?

— Nie — odpowiedział zdecydowanie. — Chyba mi się nie podoba Nigeria, kuchnia.

Na szczęście lody smakowały tak samo. Jadła je prosto z wielkich wiaderek kup-jedno-drugie-dostaniesz-za-darmo, wielkie gały waniliowych i czekoladowych, siedząc przed telewizorem. Oglądała dalsze odcinki seriali, które знаła z Nigerii — *Bajer z Bel-Air*, *Inny świat* — i odkryła nowe, wcześniej nieoglądane — *Przyjaciół* i *Simpsonów* — ale najbardziej wciągały ją reklamy. Tęskniła do życia, które pokazywały, życia pełnego blasku, w którym wszystkie problemy znajdowały lśniące rozwiązanie dzięki szamponom, samochodom, gotowemu jedzeniu, i w jej umyśle stały się prawdziwą Ameryką, Ameryką, którą zobaczy dopiero, kiedy jesienią wyjedzie do szkoły. Z początku wieczorne wiadomości ją zaskakiwały, litania pożarów i strzelanin, ponieważ przywykła do wiadomości NTA, gdzie bardzo ważni oficerowie armii przecinali wstęgi albo wygłaszali mowy. Ale kiedy dzień po dniu oglądała zdjęcia ludzi wleczonych w kajdankach, zrozpaczonych rodzin przed zwęglonymi, dymiącymi domami, wraki samochodów zniszczonych podczas policyjnych pościgów, jej zdumienie przerodziło się w lęk. Wpadała w panikę, kiedy zza okna dobiegał jakiś hałas, kiedy Dike

odjechał za daleko na swoim rowerku. Przestała wynosić śmieci po zmroku, bo gdzieś tam mógł się czaić uzbrojony mężczyzna.

— Jak będziesz dalej oglądać telewizję, dojdiesz do wniosku, że takie rzeczy dzieją się bez przerwy — powiedziała ciocia Uju, parszając krótkim śmiechem. — Nie wiesz, ile zbrodni popełnia się w Nigerii. Myślisz, że skoro się o nich nie mówi, to ich nie ma?

ROZDZIAŁ 11

Ciocia Uju wróciła do domu zdenerwowana, ze znużoną twarzą. Na ulicach było ciemno, Dike leżał już w łóżku.

— Przyszła jakaś poczta? Czy przyszła do mnie jakaś poczta? — zapytała.

Wciąż to pytanie powtarzała, cała niebezpiecznie spięta, na krawędzi, z której lada chwila mogła spaść. Czasem wieczorami długo rozmawiała przez telefon, przyciszonym głosem, jakby chciała coś ukryć przed wścibskim wzrokiem świata. W końcu powiedziała Ifemelu o Bartholomew.

— Jest księgowym, rozwiedziony i chce się ustatkować. Jest z Eziowelle, bardzo niedaleko od nas.

Ifemelu, którą słowa cioci Uju zamurowały, zdołała tylko powiedzieć:

— Och, OK — i nic ponadto.

„Co robi?” i „Skąd pochodzi?” to były pytania, które zadałaby jej matka, ale od kiedy dla cioci Uju stało się ważne, że ten człowiek jest z miasta położonego niedaleko ich?

Pewnej soboty Bartholomew przyjechał z Massachusetts. Ciocia Uju ugotowała żołądki z papryką, upudrowała twarz i stała przy oknie w salonie, czekając, kiedy zobaczy jego samochód wjeżdżający na ulicę. Dike spoglądał na nią, bawiąc się bez zapału swoimi figurkami, zdezorientowany, ale także podekscytowany, bo wyczuwał jej nadzieję.

— Zachowuj się! — powiedziała przejęta do Dike’a, kiedy rozległ się dzwonek.

Bartholomew nosił spodnie khaki podciągnięte wysoko na brzuchu i mówił

z amerykańskim akcentem, przeciągając i zniekształcając słowa, aż nie można ich było zrozumieć. Z jego zachowania Ifemelu wyczuwała, że dorastał w biedzie na wsi i teraz starał się to sobie wynagrodzić amerykańską afektacją, tymi wszystkimi spoko i kapujesz.

Rzucił okiem na Dike'a i odezwał się, niemal obojętnie:

— O, twój chłopak. Co słychać?

— W porządku — bąknął Dike.

Zaniepokoiło Ifemelu, że Bartholomew nie zainteresował się synem kobiety, o którą zabiegał, i nawet nie próbował udawać, że jest inaczej. Był denerwująco nieodpowiedni dla cioci Uju, nie zasługiwał na nią. Bardziej inteligentny mężczyzna zdałby sobie z tego sprawę i zapanował nad sobą, ale nie Bartholomew. Zachowywał się wyniośle, jakby był czymś wyjątkowo cennym, co szczęśliwie przytrafiło się cioci Uju, a ciocia Uju mu nadskakiwała.

— Zobaczmy, co to warte — powiedział, zanim skosztował żołądków.

Ciocia Uju się zaśmiała, a jej śmiech brzmiał łagodnie, bo jego słowa: „Zobaczmy, co to warte” świadczyły, że jest dobrą kucharką i tym samym będzie dobrą żoną. Rozpoczęła rytuał, posyłając mu uśmiechy obiecujące skromność wobec niego, ale nie wobec świata, podając mu widelec, jeśli mu wypadł z ręki, dolewając piwa. Dike cichutko przyglądał się temu ponad stołem, zapomniawszy o swoich zabawkach. Bartholomew jadł żołądki i pił piwo. Mówił

o polityce Nigerii z żarliwym entuzjazmem kogoś, kto przygląda się z daleka, kto wciąż od nowa czytał i czytał artykuły w internecie.

— Kudirat nie umarła na próżno, jej śmierć tylko ożywi demokratyczny ruch w sposób, w jaki jej życie nigdy nie zdołało! Właśnie napisałem o tym artykuł do najnowszego wydania online „Nigeryjskiej Wioski”.

Kiedy mówił, ciocia Uju cały czas mu przytakiwała, zgadzając się z każdym jego słowem. Często zapadało między nimi milczenie. Oglądali telewizję, jakiś film, przewidywalny,

pełen jaskrawych scen, w którym występowała młoda dziewczyna w krótkiej sukience.

— W Nigerii dziewczyna nigdy nie założyłaby takiej sukienki
— powiedział

Bartholomew. — Tylko popatrz. Ten kraj nie ma moralnego kompasu.

Ifemelu powinna się była nie odzywać, ale było coś w Bartholomew, co nie pozwalało jej siedzieć cicho, ta przesadna karykatura, jaką był, ta jego fryzura, której nie zmienił przez trzydzieści lat, odkąd przyjechał do Ameryki, i to jego fałszywe, przesadne moralizowanie. Był

człowiekiem, o którym — gdyby wrócił do swojej rodzinnej wioski — ludzie mówiliby, że się

„zgubił”. „Pojechał do Ameryki i zgubił się”, mówiliby jego rodacy. „Pojechał do Ameryki i nie chce wrócić.”

— Dziewczyny w Nigerii noszą znacznie krótsze sukienki, o
— powiedziała Ifemelu. —

W liceum niektóre z nas przebierały się u koleżanek, żeby ich matki nie widziały.

Ciocia Uju odwróciła się do niej ze zmrużonymi ostrzegawczo oczami. Bartholomew popatrzył na nią i wzruszył ramionami, jakby nie zasługiwała na odpowiedź. Niechęć zabulgotała między nimi. Do końca wizyty ignorował ją. Później, w przyszłości, też często ją ignorował.

Potem czytywała jego wpisy w „Nigeryjskiej Wiosce”, wszystkie zgorzkniałe w tonie i natarczywe, pisane pod przezwiskiem „Księgowy Igbo z Massachusetts”, i zdumiewała ją jego pisarska płodność, aktywność, z jaką poszukiwał pustych argumentów.

Od lat nie był w Nigerii i być może chciał znaleźć pociechę w tych wirtualnych grupach, gdzie najdrobniejsza uwaga stawała się iskrą zapalną wywołującą atak, a od osobistych złośliwych przytyków było aż gęsto. Ifemelu wyobrażała sobie piszących, Nigeryjczyków w smutnych amerykańskich domach, życiach uśmierconych pracą, którzy przez cały rok pielęgnują swoje pracowicie odłożone pieniądze, by w grudniu móc na tydzień

pojechać do domu z walizami pełnymi butów, ubrań i tanich zegarków, i zobaczyć w oczach krewniaków połyskujące jaskrawo obrazy samych siebie. Później wracają do Ameryki, by w internecie toczyć wojnę o swoją mitologię domu, ponieważ teraz dom staje się niewyraźnym miejscem między tutaj i tam, i przynajmniej online mogą zapomnieć, jak niekonsekwentni się stali.

Nigeryjskie kobiety przyjeżdżały do Ameryki i dostawały szału, pisał w jednym poście Księgowy Igbo z Massachusetts; była to niemiała prawda, którą jednak trzeba było powiedzieć na głos. Jakże bowiem inaczej da się wytłumaczyć wysoki odsetek rozwodów pośród Nigeryjczyków żyjących w Ameryce w porównaniu z niskim wśród Nigeryjczyków w Nigerii?

Syrena z Delt odpisała, że w Ameryce zwyczajnie jest prawo chroniące kobiety, i gdyby w Nigerii było podobnie, odsetek byłby równie wysoki. Odpowiedź Księgowego Igbo z Massachusetts: „Zachód zrobił ci pranie mózgu. Powinnaś się wstydić, nazywając się Nigeryjką”. W odpowiedzi Eze Houston, która napisała, że nigeryjscy mężczyźni postępują cynicznie, jadąc do Nigerii poszukać pielęgniarek i lekarek, z którymi mogliby się ożenić, a potem nowe żony zarabiają dla nich pieniądze w Ameryce, Księgowy Igbo z Massachusetts napisał: „Co w tym złego, że mężczyzna pragnie, aby żona zapewniła mu finansowe bezpieczeństwo? Czy kobiety nie robią tak samo?”.

Kiedy tamtej soboty wyszedł, ciocia Uju zapytała Ifemelu:

— Co myślisz?

— Używa kremów wybielających.

— Co?

— Nie widziałaś? Jego twarz ma dziwny kolor.

Musi używać jakichś tanich, bez filtrów. Jaki facet wybiela sobie skórę, *biko*?

Ciocia Uju wzruszyła ramionami, jakby nie zauważyła zielono-żółtawego odcienia skóry na twarzy Bartholomew, na skroniach jeszcze gorszego.

— Nie jest zły. Ma dobrą pracę. — Umilkła na chwilę. — Nie robię się młodsza. Chcę,

żeby Dike miał brata albo siostrę.

— W Nigerii taki jak on nie miałby nawet odwagi, żeby się do ciebie odezwać.

— Nie jesteśmy w Nigerii, Ifem.

Jeszcze zanim wróciła do kuchni, krokiem chwiejnym od gnębiących ją trosk, dodała:

— Proszę, pomódl się, żeby się udało.

Ifemelu się nie modliła, ale nawet gdyby tak było, nie dałaby rady zanosić modłów, żeby ciocia Uju związała się z Bartholomew. Zasmucało ją, że ciocia Uju godziła się na coś tylko dlatego, że było znajome.

Obinze sprawił, że Manhattan przerażał Ifemelu. Kiedy po raz pierwszy pojechała metrem z Brooklynu na Manhattan, ze spoconymi dłońmi wędrowała ulicami, przyglądając się, absorbując. Zwiewna kobieta biegnąca w szpilkach i krótkiej sukience frunącej za nią, dopóki się nie potknęła i omal nie przewróciła, pyzaty mężczyzna, kaszlący i spluwający na krawężnik, dziewczyna ubrana na czarno, uniesioną ręką zatrzymująca taksówki przemykające obok.

Niekończące się wieżowce podgryzały niebo, ale okna budynków pokryte były brudem.

Oszłamiająca niedoskonałość wszystkiego działała na nią kojąco. „Jest cudownie, ale to nie raj”, powiedziała Obinze. Nie mogła się doczekać, żeby on też wreszcie zobaczył Manhattan.

Wyobrażała sobie, jak idą, trzymając się za ręce, tak samo jak amerykańskie pary, zatrzymują się przy wystawach, przystają, by przeczytać kartę dań przyczepioną do drzwi restauracji, potem kupują od ulicznego sprzedawcy butelki mrożonej herbaty. „Niedługo”, pisał w swoich listach.

Często powtarzali sobie „niedługo”; „niedługo” sprawiało, że ich plany stawały się choć po części realne.

W końcu nadeszły wyniki egzaminów cioci Uju. Ifemelu przyniosła ze skrzynki kopertę, taką cienką, zwyczajną. Na kopercie były równo wydrukowane słowa „United States Medical Licensing Examination” i Ifemelu długo trzymała ją w ręce, modląc się, żeby zawierała dobre wieści. Podniosła ją, jak tylko ciocia Uju przekroczyła próg. Ciocia Uju zachłysnęła się.

— Jest gruba? Czy jest gruba? — zapytała.

— Co? *Gini*? — powiedziała Ifemelu.

— Czy jest gruba? — powtórzyła ciocia Uju, opuszczając torbę na podłogę i rzucając się przed siebie z wyciągniętymi rękami, z twarzą oszalałą z nadziei. Potrząsnęła kopertą.

— Udało mi się! — krzyknęła. A potem rozerwała kopertę i żeby się upewnić, przerzuciła wzrokiem pismo. — Jak się nie zda, przysyłają grubą kopertę, żeby się na nowo zarejestrować.

— Ciociu! Wiedziałam! Gratuluję! — powiedziała Ifemelu.

Ciocia Uju uściskała ją i stały wsparte o siebie nawzajem, słysząc swoje oddechy, a Ifemelu nawiedziły ciepłe wspomnienia z Lagos.

— Gdzie jest Dike? — zapytała ciocia Uju, jakby nie leżał już w łóżku, kiedy ona wracała do domu ze swojej drugiej pracy. Poszła do kuchni, stanęła w jaskrawym świetle rzucanym przez lampę u sufitu i znowu popatrzyła na wyniki, ze łzami w oczach.

— Więc będę lekarzem rodzinnym w tej całej Ameryce — odezwała się, niemal szeptem.

Otworzyła puszkę coca-coli i zostawiła niewypitą.

— Będę musiała pozbyć się warkoczyków, zanim zacznę rozmowy o pracę.

I rozprostować włosy. Kemi powiedziała mi, że nie powinnam mieć warkoczyków, kiedy idę na rozmowę. Jak się ma warkoczyki, uważają, że się jest nieprofesjonalnym.

— To znaczy, że w Ameryce nie ma lekarek z warkoczykami?
— zapytała Ifemelu.

— Powtarzam ci, co mi powiedzieli. Jesteś w nie swoim kraju. Żeby odnieść sukces, trzeba postępować właściwie.

Znowu się pojawiła ta nieznana naiwność, którą ciocia Uju otulała się jak kocem. Kiedy czasem rozmawiały, Ifemelu dochodziła do wniosku, że ciocia Uju celowo zostawiła jakąś część siebie, istotną w odległym i nieznanym miejscu. Obinze twierdził, że to przesadna wdzięczność, która pojawia się wraz z imigranckim brakiem poczucia bezpieczeństwa. Jak to Obinze, miał na wszystko wytłumaczenie. Obinze, który był dla niej ostoją przez całe tamto lato wyczekiwania —

jego spokojny głos przez telefon, jego długie listy w kopertach poczty lotniczej — i który rozumiał, kiedy lato dobiegało końca, jej nowe gniecenie w żołądku. Chciała zacząć studia, odnaleźć prawdziwą Amerykę, a mimo to gniotło ją w żołądku, czuła niepokój i bolesną nostalgię za brooklyńskim latem, które było już znajome: dzieci na rowerkach, żyłaści, czarni mężczyźni w obcisłych, białych podkoszulkach, wygrywające melodyjkę furgonetki z lodami, głośna muzyka z samochodów z odkrytym dachem, słońce świecące do późnego wieczora, rzeczy gnijące i cuchnące w wilgotnym gorącu. Nie chciała zostawiać Dike'a — sama myśl o tym sprawiała, że czuła się, jakby utraciła skarb — a mimo to chciała opuścić mieszkanie cioci Uju i rozpocząć życie, w którym ona sama będzie sobie wszystko ustalała.

Kiedyś Dike ze smutkiem opowiedział jej o koledze, który pojechał na Coney Island i wrócił ze zdjęciem zrobionym na stromej zjeżdżalni, więc w któryś weekend przed wyjazdem zrobiła mu niespodziankę.

— Jedziemy na Coney Island! — powiedziała.

Jane wytłumaczyła jej, jakim pociągiem trzeba jechać, co zrobić, ile to będzie kosztowało. Ciocia Uju uznała, że to dobry pomysł, ale nie dała jej żadnych dodatkowych pieniędzy. Kiedy patrzyła na Dike'a na zjeżdżalniach, małego chłopca całkowicie otwartego na świat, nie żałowała ani

jednego wydanego centa. Jedli hot dogi, milkshaki i wate cukrową.

— Już nie mogę się doczekać, kiedy nie będę musiał chodzić z tobą do dziewczynskiej toalety — powiedział jej, a ona śmiała się i śmiała.

W pociągu, kiedy wracali do domu, był zmęczony i śpiący.

— Kuzyna, to był najlepszy dzień w moim życiu — powiedział i oparł się o nią.

Słodko-gorzka aura ostatecznego zawieszenia ogarnęła ją kilka dni później, kiedy całowała Dike'a na pożegnanie — najpierw raz, potem drugi i jeszcze trzeci, a on, dziecko niezwykle płakać, płakał. Ona powstrzymywała własne łzy, zaś ciocia Uju powtarzała w kółko, że Filadelfia nie jest tak daleko. Ifemelu zaciągnęła swoją walizkę na kółkach do metra, zaniósła ją do terminalu przy Czterdziestej Drugiej ulicy i wsiadła do autobusu do Filadelfii. Usiadła przy oknie — do szyby ktoś przykleił grudkę gumy do żucia — i przez długi czas wpatrywała się znowu w kartę ubezpieczenia społecznego i prawo jazdy należące do Ngozi Okonkwo. Była dziesięć lat starsza od niej, miała wąską twarz, brwi, które najpierw wyglądały jak małe kulki, dopiero potem przechodząc w łuk, i szczękę w kształcie litery V.

— Nawet nie wyglądam jak ona — powiedziała Ifemelu, kiedy ciocia Uju dała jej kartę.

— Dla białych wszyscy wyglądamy tak samo — odparła ciocia Uju.

— Aj-aj, ciociu!

— Nie żartuję. W zeszłym roku przyjechała kuzynka Amary i wciąż jeszcze nie ma papierów, więc pracuje na dokumenty Amary. Pamiętasz Amare? Jej kuzynka jest bardzo jasna i szczupła. W ogóle nie są do siebie podobne. Pracuje jako domowa opiekunka społeczna w Wirginii. Musisz tylko uważać, żeby nigdy nie zapomnieć nowego imienia. Mam przyjaciółkę, która zapomniała i jakaś koleżanka z pracy ją zawołała, a ona nie zareagowała. Więc nabrali podejrzeń i donieśli na nią do urzędu imigracyjnego.

ROZDZIAŁ 12

Była Ginika, która stała w niewielkim, zatłoczonym terminalu autobusowym, ubrana w minispódniczkę i top, zakrywający jej piersi, ale nie przeponeę, i czekała, żeby porwać Ifemelu i pchnąć w prawdziwą Amerykę. Ginika była znacznie szczuplejsza, o połowę mniejsza niż dawniej, a jej głowa wydawała się większa, wsparta na długiej szyi, przez co przypominała jakieś bliżej nieokreślone, egzotyczne zwierzę. Wyciągnęła rękę, jakby zachęcając dziecko, żeby dało się uściskać, i śmiejąc się, wołała: „Ifemesco! Ifemesco!”, a Ifemelu na chwilę cofnęła się do liceum: wyobraziła sobie plotkujące dziewczyny w niebiesko-białych mundurkach, filcowych beretach na głowach, stłoczone na szkolnym korytarzu. Uścisnęła Ginikę. Ich teatralny uścisk, w którym najpierw obejmowały się z całej siły, potem odsuwały od siebie i znowu obejmowały, sprawił, że ku lekkiemu zaskoczeniu łzy napłynęły jej do oczu.

— Patrzcie, patrzcie! — powiedziała Ginika gestykulując, a srebrne bransoletki na jej nadgarstku dzwoniły. — To naprawdę ty?

— A ty kiedy przestałaś jeść i zaczęłaś wyglądać jak suszony sztokfisz? — zapytała Ifemelu.

Ginika roześmiała się, chwyciła walizkę i ruszyła ku drzwiom.

— Chodź, musimy iść. Zaparkowałam w niedozwolonym miejscu.

Zielone volvo stało na rogu wąskiej uliczki. Ponura kobieta w mundurze, z bloczkiem mandatowym w ręce kroczyła właśnie ku nim, kiedy Ginika wskoczyła do auta i zapaliła silnik.

— O mały włos! — powiedziała ze śmiechem.

Bezdomny mężczyzna w brudnym podkoszulku, pchający wózek pełen tłumoków, stanął

tuż przy ich samochodzie, jakby chciał chwilkę odpocząć, a Ginika zerknęła na niego i wyjechała na ulicę. Jechały z opuszczonymi szybami. Filadelfia była zapachem letniego słońca, rozgrzanego asfaltu, skwierczącego mięsa w obwoźnych jadłodajniach upchniętych na rogach ulic i

brązowych, zagranicznych mężczyzn i kobiet skulonych wewnątrz. Ifemelu z czasem polubiła gyroso sprzedawane w tych jadłodajniach, placki i baraninę, i ociekające sosy, miała też polubić samą Filadelfię. Nie wywoływała w niej takiego przerażenia jak Manhattan; była bardziej kameralna, ale nie prowincjonalna, to miasto mogło być dla człowieka dobre. Ifemelu widziała na chodnikach kobiety, które szły na lunch w trampkach, co świadczyło, że od elegancji wolą wygodę, i widziała młode pary, które kurczowo się trzymały, od czasu do czasu całowały, jakby ze strachu, że kiedy tylko puszczą swoje dłonie, ich miłość stopnieje, zamieni się w nicłość.

— Pożyczyłam samochód od właściciela mieszkania. Nie chciałam przyjeżdżać po ciebie swoim gównianym. Nie mogę uwierzyć, Ifemesco. Jesteś w Ameryce! — powiedziała Ginika.

Jej wychudzenie, oliwkowa skóra, jej krótka spódniczka, która uniosła się, ledwo zakrywając jej krocze, jej proste do przesady włosy, które co chwila wsuwała za ucho, blond pasemka połyskujące w słońcu miały w sobie metaliczny, nieznaną urok.

— Wjeżdżamy do University City, gdzie jest kampus Wellsona, wiedziałaś? Możemy pojechać, żebyś najpierw zobaczyła uczelnię, potem możemy pojechać do mnie, na przedmieścia, a wieczorem do mojej koleżanki. Robi imprezę.

Ginika przeszła na nigeryjski angielski, przestarzałą, śmieszoną wersję, za wszelką cenę pragnąc dowieść, że wciąż jest taka sama jak dawniej. Przez te wszystkie lata z niestrudzoną lojalnością utrzymywała kontakt: dzwoniła i pisała listy, przysyłała książki i bezkształtne spodnie, które nazywała luźnymi. I teraz Ifemelu nie miała serca jej powiedzieć, że w Nigerii nikt już w ten sposób nie mówi.

Ginika opowiadała anegdoty o swoich pierwszych doświadczeniach w Ameryce, jakby zawierały jakąś subtelną mądrość, która mogła się Ifemelu przydać.

— Gdybyś widziała, jak się ze mnie śmiali w liceum, kiedy powiedziałam, że ktoś się do mnie pieprzy. Bo tutaj pieprzyć znaczy uprawiać seks! I mu siałam im w kółko tłumaczyć, że

w Nigerii to znaczy dostawiać się. A wyobrażasz sobie, że tutaj „mieszaniec” to jest obraźliwe słowo? Na pierwszym roku opowiadałam koleżankom, że w domu zawsze wybierali mnie najpiękniejszą dziewczyną w szkole. Pamiętasz? Nigdy nie powinnam była wygrać. Zainab powinna była wygrać. Wygrywałam, bo byłam mieszańcem. Ale tutaj to coś o wiele więcej.

W tym kraju biali ludzie dają zdrowo popalić, nie tak jak u nas. Ale nieważne. Opowiadałam im, jak w domu chłopcy się za mną uganiaли, bo byłam mieszańcem, a oni mówili, że sobie ubliżam.

Więc teraz mówię, że jestem dwurasowa, i powinnam się obrazić, jeśli ktoś mnie nazwie mieszańcem. Znam tu mnóstwo ludzi, którzy mają białe matki i mają tyle problemów, ech. Nie wiedziałam, że powinnam w ogóle mieć problemy, zanim przyjechałam do Ameryki. Słowo daję, jeśli ktoś chce wychowywać dwurasowe dzieci, niech jedzie do Nigerii.

— Jasne. Gdzie wszyscy chłopcy uganiają się za dziewczynami mieszańcami.

— Nie wszyscy chłopcy. — Ginika zrobiła minę. — Obinze niech się lepiej pospieszy i przyjedzie do Stanów, zanim ktoś cię porwie. Masz ciało, które tutaj wszystkim się podoba.

— Co?

— Jesteś chuda i masz duże piersi.

— Przepraszam, ale nie jestem chuda, tylko szczupła.

— Amerykanie mówią „chuda”. Tutaj „chuda” to dobre słowo.

— Dlatego przestałaś jeść? Nie masz zupełnie tyłka. Zawsze chciałam mieć taki tyłek jak ty — powiedziała Ifemelu.

— Wiesz, że zaczęłam chudnąć, jak tylko przyjechałam? Byłam nawet bliska anoreksji.

Dzieciaki w liceum przezywały mnie „Wieprzowina”. Wiesz, że jak w domu ci mówią, że schudłaś, znaczy to coś złego. Ale tutaj mówią ci, że schudłaś, a ty mówisz dziękuję. Tutaj jest po

prostu inaczej — powiedziała Ginika, trochę smutno, jakby ona też była nowa w Ameryce.

Później Ifemelu przyglądała się Ginice w mieszkaniu jej przyjaciółki Stephanie, z butelką piwa przytkniętą do warg, z wymawianymi po amerykańsku słowami płynącymi z jej ust, i ze zdumieniem odkrywała, jak bardzo Ginika stała się podobna do swoich amerykańskich przyjaciółek. Jessiki, Amerykanki japońskiego pochodzenia, pięknej i żywiołowej, która bawiła się kluczykami z emblematem mercedesa. Teresy o bladej skórze, która głośno się śmiała, nosiła diamentowe kolczyki i brudne, znoszone buty. Stephanie, chińskiej Amerykanki, z włosami obciętymi na idealnego boba, którego końce podwijały się jej przy brodzie, która od czasu do czasu sięgała do swojej torebki z logo, wyjmowała papierosa i wychodziła, żeby zapalić. Hari, o skórze w kolorze kawy, czarnowłosej, w obcisłym T-shircie, która powiedziała: „Jestem Induską, nie amerykańską Indianką”, kiedy Ginika przedstawiła jej Ifemelu. Wszystkie śmiały się z tych samych rzeczy i mówiły „Ohyda!” o tych samych rzeczach; były idealnie zgrane.

Stephanie oznajmiła, że ma w lodówce piwo domowej roboty i wszystkie wykrzyknęły: „Super!”.

Potem Teresa cichym głosem zapytała: „Steph, mogę dostać zwyczajne piwo?”, jakby bała się kogoś obrazić. Ifemelu siedziała na samotnym fotelu w końcu pokoju, piła sok pomarańczowy i słuchała, jak rozmawiają. „Ta firma jest taka podła. O mój Boże, nie wierzę, że w tym jest tyle cukru. Internet kompletnie zmieni świat”. Słyszała, jak Ginika pyta: „Wiecie, że do produkcji odświeżacza do ust używają czegoś ze zwierzęcych kości?”, a cała reszta jęknęła. Obowiązywał szyfr, który Ginika знаła, sposób bycia, który opanowała do perfekcji. Inaczej niż ciocia Uju, Ginika przyjechała do Ameryki z całą elastycznością i gotowością do zmian, jaką ma w sobie młodość; kulturowe odmienności wsiąkły w nią przez skórę i teraz jeździła na kręgle, wiedziała,

kim jest Tobey Maguire, i uważała za ohydne, kiedy ktoś dwa razy zanurzył w sosie ten sam kawałek. Rosła ilość butelek i puszek po piwie. Wszystkie dziewczyny siedziały elegancko

ospałe na kanapie albo na dywanie, a przez cały czas ciężki rock, który według Ifemelu był tylko pozbawionym rytmu harmidrem, grał z odtwarzacza CD. Teresa piła najszybciej, każdą opróżnioną puszkę turlając po podłodze, co reszta przyjmowała z rozentuzjasmowanym śmiechem, który dziwił Ifemelu, bo tak naprawdę nie było w tym nic zabawnego. Skąd one wiedziały, kiedy się śmiać, z czego się śmiać?

Ginika kupowała sukienkę na przyjęcie wydawane przez prawników, u których była na stażu.

— Też powinnaś coś kupić, Ifem.

— Nie wydam nawet dziesięciu kobo, jeśli nie będę musiała.

— Dziesięciu centów.

— Dziesięciu centów.

— Dam ci kurtkę i pościel, ale musisz kupić przynajmniej rajstopy. Niedługo robi się zimno.

— Poradzę sobie — powiedziała Ifemelu.

I poradzi. Jak trzeba będzie, będzie nosić naraz wszystkie ubrania, które ma, warstwami, dopóki nie znajdzie pracy. Myśl o wydawaniu pieniędzy ją przerażała.

— Ifem, zapłacę ci.

— Jakbyś zarabiała nie wiadomo ile.

— Ale przynajmniej coś zarabiam — zażartowała Ginika.

— Naprawdę mam nadzieję, że szybko znajdę pracę.

— Znajdziesz, nie martw się.

— Nie mam pojęcia, jak ktoś uwierzy, że jestem Ngozi Okonkwo.

— Jak pójdziesz na rozmowę, nie pokazuj im prawa jazdy. Tylko kartę ubezpieczenia.

Może nawet nie poproszą. Czasami, przy jakiejś małej pracy nie chcą prawa jazdy.

Ginika chodziła po sklepie z ubraniami, ale jak dla Ifemelu, było w nim zbyt dużo zamieszania; przypominał jej klub nocny, z głośno grającą muzyką dyskotekową i sprzedawczyniami, dwoma młodymi kobietami o szczupłych ramionach, ubranymi kompletnie na czarno, które zbyt szybko chodziły tam i z powrotem. Jedna miała czekoladową skórę i długie, czarne włosy z rudymi pasemkami, druga była biała i miała atramentowe włosy, które frunęły za nią, kiedy podchodziła do Giniki i do niej.

— Witam panie, co słyszać? Czy mogę w czymś pomóc? — zapytała dźwięcznym, śpiewnym głosem.

Zdejmowała ubrania z wieszaków i rozwijała te, które ściągała z półek, żeby pokazać Ginice. Ifemelu patrzyła na ceny i przeliczała na naira.

— Aj-aj! Jak to może aż tyle kosztować! — wykrzykiwała.

Dokładnie oglądała niektóre ubrania, żeby sprawdzić, czym są, bielizną, a może bluzką, koszulą czy sukienką, a czasem i tak nie była do końca pewna.

— To przyszło dosłownie przed chwilą — powiedziała ekspedientka o błyszczącej sukience, jakby zdradzała wielki sekret.

— O mój Boże, naprawdę? — odparła Ginika z wielkim podnieceniem.

W zbyt jaskrawym świetle w przebieralni Ginika przymierzyła sukienkę, stając na palcach.

— Jest piękna.

— Ale bezkształtna — powiedziała Ifemelu.

Dla niej wyglądała jak kwadratowy worek, na którym ktoś bez ładu i składu poprzyszywał cekiny.

— Jest postmodernistyczna — rzekła Ginika.

Patrząc, jak Ginika wygina się przed lustrem, Ifemelu zastanawiała się, czy ona też zacznie kiedyś jak przyjaciółka gustować w bezkształtnych sukienkach, czy tak właśnie Ameryka działa na człowieka.

— Czy ktoś pani pomógł? — zapytała blond kasjerka, kiedy Ginika poszła zapłacić.

— Tak — odparła Ginika.

— Chelcy czy Jennifer?

— Przepraszam, ale nie pamiętam imienia.

Ginika rozejrzała się, żeby wskazać pomocnicę, ale obie młode kobiety znikły w przymierzalniach na tyłach sklepu.

— Czy miała długie włosy? — zapytała kasjerka.

— Cóż, obie miały długie włosy.

— To była ta z ciemnymi włosami?

Obie miały ciemne włosy.

Ginika uśmiechnęła się i popatrzyła na kasjerkę, a kasjerka odwzajemniła uśmiech i spojrzała na ekran monitora; upłynęły dwie ciężkie, trwające wieczność sekundy, zanim odezwała się radośnie:

— Nic nie szkodzi. Później to sprawdzę i dopilnuję, żeby dostała prowizję.

— Czekałam, aż zapyta: „Czy to była ta z dwójgiem oczu, czy z dwiema nogami?” —

powiedziała Ifemelu, kiedy wyszły ze sklepu. — Czemu po prostu nie zapytała: „Czy to była czarna dziewczyna, czy biała?”.

Ginika się roześmiała.

— Bo to jest Ameryka. Należy udawać, że pewnych rzeczy się nie zauważa.

Ginika zaproponowała Ifemelu, żeby zamieszkała u niej i oszczędziła na czynszu, ale jej mieszkanie było zbyt daleko, na końcu Main Line, a jeżdżenie codziennie pociągiem do Filadelfii kosztowałoby zbyt dużo. Razem szukały mieszkania w zachodniej Filadelfii. Ifemelu ze zdziwieniem patrzyła na przegniłe szafki w kuchni, mysz, która przemykała przez pusty pokój.

— Mój akademik w Nsukka był brudny, ale nie było szcurów, o.

— To była mysz — odparła Ginika.

Ifemelu już miała podpisać umowę najmu — jeżeli ceną oszczędzania było mieszkanie z myszą, proszę bardzo — kiedy koleżanka Giniki powiedziała im o pokoju do wynajęcia, superokazji, jeśli chodzi o życie studenckie. Był w czteropokojowym mieszkaniu z zapleśniałym dywanem, nad pizzerią przy Powelton Avenue, na rogu, gdzie narkomani porzucali czasem fajki do kraku, nędzne kawałki powykęcane metalu, które połyskiwały w słońcu. Pokój Ifemelu był

najtańszy, najmniejszy i wychodził na niechlujne ściany z cegły następnego budynku. Wszędzie unosiły się psie kłaki. Jej współlokatorki, Jackie, Elena i Allison, były niemal identyczne, wszystkie drobne, wąskie w biodrach, z rozprostowanymi, brązowymi włosami i kijami do lacrosse'a rzuconymi na kupę w wąskim przedpokoju. Pies Eleny, wielki i czarny, kłusował

wszędzie jak rozczochrany osioł i u stóp schodów pojawiła się psia kupa.

— No, teraz to sobie napytałeś biedy, kolego! — darła się Elena, jakby odgrywając przed koleżankami rolę z kwestiami, które wszyscy znają na pamięć.

Ifemelu wolałaby, żeby pies mieszkał na zewnątrz, tam gdzie jego miejsce. Elena zapytała

ją, czemu przez cały tydzień, odkąd się wprowadziła, ani razu nie pogłaskała, ani nie poczochrąla psa po łbie.

— Nie lubię psów — odpowiedziała Ifemelu.

— To ma związek z twoją kulturą?

— Nie rozumiem?

— No, bo w Chinach jedzą mięso z psów i kotów.

— Mój chłopak w kraju uwielbia psy. A ja nie.

— Och — powiedziała Elena i popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, jak wcześniej patrzyły Jackie i Allison, kiedy powiedziała im, że nigdy nie grała w kręgle. Zupełnie jakby zastanawiały się, jak wyrosła na normalnego człowieka, skoro nigdy w życiu nie grała w kręgle.

Ifemelu stała na obrzeżach własnego życia, korzystała ze wspólnej toalety i lodówki, nie mając prawie żadnej prywatności, z osobami, których w ogóle nie знаła. Osobami, które żyły w świecie wykrzykników. „Super!”, mówiły często. „Wspaniale!”. Osobami, które nie szorowały się pod prysznicem; łazienka pełna była ich szamponów, odżywek i żeli, ale nie było w niej ani jednej gąbki i ta właśnie nieobecność gąbki czyniła je dla niej nieosiągalnie obcymi. (Jednym z najwcześniejszych wspomnień, jakie miała, był widok matki i stojącego między nimi w łazience wiadra z wodą. „*Ngwa* — mówiła matka — dobrze, bardzo dobrze wyszoruj się między nogami...”, a Ifemelu z nieco zbyt dużym zapalem używała myjki i potem przez kilka dni kuśtykała na szeroko rozstawionych nogach). Życie jej współlokatorek było w pewnym sensie pozbawione wszelkich wątpliwości, wiodły je z pewnością, która Ifemelu fascynowała, i wobec tego często mówiły: „Skołujmy sobie trochę”, mając na myśli cokolwiek, czego akurat potrzebowały — więcej piwa, pizzy, skrzydełek kurczaka, alkoholu — jakby nie był to akt wymagający pieniędzy. W domu przywykła, że ludzie najpierw pytali: „Masz pieniądze?”, a dopiero potem coś planowali. One zostawiały na kuchennym stole opakowania po pizzy, a samą kuchnię w stanie kompletnego bałaganu przez wiele dni, a w weekendy ich znajomi zbierali się w salonie, w lodówce piętrzyły się opakowania piwa, a na sedesie były ślady zaschniętej uryny.

— Idziemy na imprezę. Chodź z nami, będzie fajnie! — powiedziała Jackie, a Ifemelu nałożyła obcisłe jeansy rurki i pożyczoną od Giniki bluzkę wiązaną na szyi.

— Nie ubieracie się? — zapytała swoje współlokatorki przed wyjściem, bo wszystkie miały na sobie obwisłe jeansy.

— Jesteśmy ubrane — powiedziała Jackie. — O co ci chodzi? — I śmiała się, jakby właśnie pojawiła się kolejna zagraniczna

patologia.

Poszły do domu bractwa przy Chestnut Street, w którym wszyscy stali i z plastikowych kubków pili mocno zakrapiany wódką poncz; Ifemelu wreszcie musiała się pogodzić, że nie będzie żadnych tańców; tutaj impreza oznaczała picie na stojąco. Wszyscy oni, studenci na imprezie, mieli coś postrzępione, luźne kołnierzyki, a ich ubrania wyglądały na ewidentnie znoszone. (Po latach napisała w blogu: „W kwestii porządnego ubioru Ameryka jest tak spełniona, że nie tylko przestała uważać, że elegancki ubiór świadczy o wychowaniu, ale wręcz uczyniła z tego cnotę. »Jesteśmy zbyt ważni/zajęci/cool/wyluzowani, żeby zawracać sobie głowę, jak nas widzą inni, więc do szkoły chodzimy w piżamach, a na zakupy w bieliźnie«”). W miarę jak stawali się coraz bardziej pijani, niektórzy osuwali się na podłogę, a inni chwyтали mazaki i pisali na obnażonych częściach ciała tych leżących. „Obciągnij mi.” „Do boju, Sixers.”

— Jackie mówiła, że jesteś z Afryki — zaczepił ją chłopak w baseballowej czapce.

— Tak.

— To super! — odparł, a Ifemelu wyobraziła sobie, jak opowiada o tym Obinze, jak

będzie tego chłopaka przedrzeźniać. Obinze wyciągał z niej każdy szczegół, dociekał, zadawał

pytania, a czasem się śmiał, a jego śmiech niósł się echem po linii. Opowiedziała mu, jak Allison raz zaproponowała: „Hej, idziemy coś wrzucić na ruszt. Chodź z nami!”, a ona myślała, że to zaproszenie, tak samo jak było w kraju. Allison albo ktoś inny postawi jej posiłek. Ale kiedy kelnerka przyniosła rachunek, Allison dokładnie zaczęła obliczać, kto ile drinków zamówił, kto jadł przystawkę z kalmarów, żeby przypadkiem ktoś nie zapłacił za kogoś innego. Obinze uznał

to za bardzo zabawne.

— To twoja Ameryka! — powiedział na koniec.

Dla niej było to zabawne, ale dopiero z perspektywy czasu. Usiłowała ukryć swoją niepewność wobec granic gościnności,

a także wobec napiwków — płacenie piętnaście albo dwadzieścia procent ekstra kelnerce — które jej podejrzenie przypominało przekupstwo, wymuszony i skuteczny system łapówkarski.

ROZDZIAŁ 13

Z początku Ifemelu zapomniała, że jest kimś innym. W mieszkaniu w południowej Filadelfii otworzyła jej drzwi kobieta o zmęczonej twarzy i zaprowadziła do wnętrza cuchnącego moczem. Salon był ciemny, niewywietrzony, a ona wyobraziła sobie, jak całymi miesiącami, latami nawet budynek nasiąka moczem, a ona dzień po dniu pracuje w moczowej chmurze.

W głębi mieszkania jęczał mężczyzna, wydając głębokie i przerażające dźwięki; były to jęki kogoś, komu zostało już tylko jęczenie, i to ją przerażało.

— To mój tato — powiedziała kobieta, mierząc ją uważnym, szacującym spojrzeniem. —

Jesteś silna?

W ogłoszeniu w „City Paper” nacisk był położony na „silna”. „Silna pomoc domowa do opieki nad chorym. Płatne gotówką”.

— Jestem dość silna, żeby pracować — powiedziała Ifemelu i zdusiła chęć, by wybiec z mieszkania i uciekać, uciekać jak najdalej.

— Ładny akcent. Skąd jesteś?

— Z Nigerii.

— Z Nigerii. Tam jest wojna?

— Nie.

— Mogę zobaczyć dowód? — zapytała kobieta, a potem zerkając na prawo jazdy, dodała:

— Powtórz, jak wymawia się twoje imię?

— Ifemelu.

— Słucham?

Ifemelu omal się nie zakrztusiła.

— Ngozi. N jest nieme.

— Coś takiego. — Kobieta, sprawiająca wrażenie wiecznie wyczerpanej, była zbyt znużona, żeby dopytywać się o dwie różne wymowy. — Możesz tu mieszkać?

— Mieszkać?

— Tak. Mieszkać tutaj, z moim tatą. Jest dodatkowy pokój. Pracowałabyś trzy noce w tygodniu. Musiałabyś go myć rano.

— Kobieta umilkła. — Jesteś dość drobna. No dobrze, jestem umówiona na jeszcze dwie rozmowy, więc odezwę się do ciebie.

— OK. Dziękuję.

Ifemelu wiedziała, że nie dostanie tej pracy, i była za to wdzięczna.

Przed kolejną rozmową w restauracji „Seaview” powtarzała przed lustrem: „Jestem Ngozi Okongwo”.

— Mogę cię nazywać Goz? — zapytał kierownik, kiedy uścisnęli sobie ręce na przywitanie, a ona się zgodziła, lecz przez ułamek sekundy się zawahała, co trwało nawet nie przez mgnienie oka, ale mimo wszystko. Zastanawiała się, czy właśnie przez to nie dostała pracy.

— Możesz po prostu mówić, że Ngozi to twoje imię plemienne, a Ifemelu to imię z dżungli, i dorzucić jeszcze jedno, jako twoje imię duchowe — powiedziała jej później Ginika.

— Oni uwierzą w każdą bzdurę o Afryce.

Ginika roześmiała się pewnym siebie, gardłowym śmiechem; Ifemelu roześmiała się także, chociaż nie do końca zrozumiała żart. I nagle poczuła się jak spowita we mgle, mlecznej sieci, przez którą próbuje się przebić. Zaczęła się jej jesień częściowej ślepoty, jesień wiecznego zdziwienia, doświadczeń, o których wiedziała, że mają jakieś znaczenie, lecz jego śliskie warstwy jej się wymykają.

Świat był spowity gazą, widziała kształty, ale nie dość wyraźnie, nigdy wystarczająco.

Powiedziała Obinze, że są rzeczy, które powinna wiedzieć, jak zrobić, ale nie wie, szczegóły, które powinna już ogarnąć, ale wciąż jej się nie udaje. A on przypominał jej, jak szybko się adaptuje, mówił to zawsze spokojnie, zawsze uspokajająco. Starła się o pracę kelnerki, hostessy, barmanki, kasjerki, a potem czekała na propozycje pracy, które nigdy nie nadchodziły, i za to winiła siebie. Tak się dzieje, bo ona robi coś nie tak, a mimo to nie wiedziała, co to może być.

Nadeszła jesień, mokra, z szarym niebem. Z jej mikroskopijnego konta w banku wyciekały pieniądze. Najtańsze swetry w Rossie szokowały wysokością ceny, biletów na autobus i pociąg było coraz więcej, a zakupy robiły dziury w jej saldzie na rachunku bankowym, chociaż uważała pilnie przy kasie, obserwując elektroniczny wyświetlacz, i kiedy kwota dochodziła do trzydziestu dolarów, mówiła: „Wystarczy. Reszty nie wezmę”. Miała wrażenie, że codziennie na stole kuchennym czeka na nią list z rachunkiem za chesne i słowami wydrukowanymi wielkimi literami: TWOJE KONTO ZOSTANIE ZABLOKOWANE, JEŻELI PŁATNOŚĆ NIE

ZOSTANIE UISZCZONA DO DATY WYMIENIONEJ NA KOŃCU NINIJSZEGO PISMA.

Bardziej przerażała ją grubość wielkich liter niż treść, na jaką się składały. Bała się możliwych konsekwencji, prześladował ją niesprecyzowany, ale stały lęk. Nie wyobrażała sobie, że aresztuje ją policja, jeśli nie zapłaci chesnego, ale co dzieje się w Ameryce, jeżeli ktoś tego nie zrobi? Obinze powiedział jej, że nic się nie stanie, zaproponował, żeby porozmawiała z kwestorem na temat planu spłat, bo w ten sposób przynajmniej zacznie coś robić. Dzwoniła do Obinze często, korzystając z tanich kart telefonicznych, które kupowała w zatłoczonym sklepie na stacji benzynowej przy Lancaster Avenue i natychmiast zdrapywała metalowy proszek, żeby zobaczyć ukryty pod spodem numer i jak najszybciej usłyszeć głos Obinze. Uspokajał ją. Przy nim mogła czuć wszystko, co akurat czuła, nie musiała silić się na radosny głos, jak wtedy,

kiedy rozmawiała z rodzicami, mówiąc im, że ma się świetnie, prawie na pewno dostanie pracę kelnerki, doskonale radzi sobie na zajęciach.

Największą radość sprawiały jej rozmowy z Dike'em. Kiedy słyszała jego głos, przez telefon dziwnie wysoki, gdy opowiadał jej, co było w jego ulubionym serialu czy jak właśnie wszedł na kolejny poziom w swoim game boyu robiło się jej ciepło na sercu.

— Kiedy do nas przyjedziesz, kuzyna? — pytał często. — Chciałbym, żebyś się mną zajmowała. Nie lubię chodzić do pani Brown. Jej łazienka śmierdzi.

Tęskniła za nim. Czasem mówiła mu coś, choć wiedziała, że tego nie zrozumie, ale i tak mu mówiła. Opowiadała mu o profesorze, który w czasie lunchu siadał na trawie, żeby zjeść kanapkę, tym samym, który poprosił, żeby zwracała się do niego po imieniu, Al, który nosił

wysadzaną ćwiekami, skórzaną kurtkę i miał motocykl. Kiedy po raz pierwszy dostała śmieciową pocztę, powiedziała do Dike'a:

— Nie zgadniesz. Dostałam dzisiaj list.

Była to wstępna zgoda na przyznanie karty kredytowej, z jej nazwiskiem napisanym poprawnie, ładnym, ukośnym drukiem, i kiedy ją dostała, poczuła się podniesiona na duchu, uczyniło ją to mniej niewidzialną, odrobinę bardziej obecną. Ktoś o niej wiedział.

ROZDZIAŁ 14

A potem pojawiła się Cristina Tomas. Cristina Tomas ze swoim bezbarwnym wyglądem, wodnistymi oczami, matowymi włosami i bladą skórą. Cristina Tomas z uśmiechem siedząca za biurkiem, Cristina Tomas w białawych rajstopach, które sprawiały, że jej nogi wyglądały jak śmierć. Był ciepły dzień. Ifemelu minęła studentów wylegających się na zielonych trawnikach; pod napisem WITAMY STUDENTÓW PIERWSZEGO ROKU wisały kolorowe balony.

— Dzień dobry. Chciałam się zarejestrować. Czy dobrze trafiłam? — zapytała Ifemelu Cristinę Tomas, której imienia i nazwiska wtedy jeszcze nie знаła.

— Tak. Dobrze. Jesteś. Zagraniczną. Studentką?

— Tak.

— Najpierw. Będzie. Ci. Potrzebne. Pismo. Z. Międzynarodowego. Biura. Studentów.

Ifemelu uśmiechnęła się na wpół współczująco, ponieważ Cristina Tomas musiała cierpieć na jakąś chorobę spowalniającą jej mowę, przez którą jej usta zaciskały się i wydymały, kiedy tłumaczyła Ifemelu, jak dojść do biura. Ale kiedy wróciła z pismem, Cristina Tomas powiedziała:

— Będiesz. Musiała. Wypełnić. Kilka. Formularzy. Czy wiesz. Jak. Je. Trzeba.

Wypełnić?

Wtedy Ifemelu zrozumiała, że Christina Tomas mówi tak z jej powodu, jej obcego akcentu, i przez chwilę poczuła się jak małe dziecko, nieruchawe i śliniace się.

— Mówię po angielsku — powiedziała.

— Na pewno — odparła Cristina Tomas. — Nie wiem tylko, na ile dobrze.

Ifemelu się skurczyła. W jednej, pełnej napięcia, nieruchomej sekundzie, zanim wzięła od Cristiny Tomas formularze, Ifemelu się skurczyła. Skurczyła się jak uschły liść. Przez całe życie mówiła po angielsku, była przewodniczącą towarzystwa dyskusyjnego w liceum i zawsze uważała amerykański sposób mówienia przez nos za niesprecyzowany; nie powinna była kulić się ze strachu i kurczyć, ale tak zrobiła. I w następnych tygodniach, kiedy nastawały jesienne chłody, zaczęła ćwiczyć amerykański akcent.

Szkoła w Ameryce była łatwa, zadania przesyłane pocztą mailową, klasy klimatyzowane, profesorowie chętni do przeprowadzania testów poprawkowych. Ale nie potrafiła przywyknąć do tego, co profesorowie nazywali

„aktywnością”, i nie rozumiała, dlaczego ma się to składać na ocenę końcową; studenci zwyczajnie mówili i mówili, czas na zajęciach marnowany był na rzeczy oczywiste, puste słowa, czasem nawet pozbawione znaczenia. Zapewne wynikało to z tego, że Amerykanie od najmłodszych klas byli uczeni, żeby zawsze coś powiedzieć na zajęciach, wszystko jedno co. Siedziała więc z językiem jak kołek w otoczeniu studentów swobodnie porozwalanych na krzesłach, wszyscy skapani w wiedzy, nie tej będącej przedmiotem zajęć, tylko tej, jak być na zajęciach. Nigdy nie mówili: „Nie wiem”. Zamiast tego mówili: „Nie jestem pewien”, co nie było żadną informacją, lecz mimo wszystko sugerowało, że być może coś wiedzą. I przechadzali się, ci Amerykanie, nie szli miarowo. Unikali dawania wskazówek wprost: nie mówili „Zapytaj kogoś na górze”; mówili: „Może zechciałabyś zapytać kogoś na górze”.

Kiedy człowiek się potykał i przewracał, kiedy zakrztusił, spotkało go jakieś nieszczęście, nie mówili „Przykro mi”. Mówili: „Nic ci się nie stało?”, kiedy było oczywiste, że się stało. A kiedy oni się zakrztusili, potknęli albo się im nie powiodło i ktoś im powiedział „Przykro mi”,

odpowiadali, z oczami okrągłymi ze zdziwienia: „Och, to nie twoja wina”. I nadużywali słowa

„ekscytować się”, profesor ekscytował się nową książką, student ekscytował się zajęciami, polityk w TV ekscytował się prawem; zdecydowanie za dużo było tej ekscytacji. Niektóre ze zwrotów, jakie słyszała codziennie, zdumiewały ją, zgrzytały jej w uszach i zastanawiała się, co powiedziała by o nich matka Obinze. „Nie trza było tego robić.” „Są trzy rzeczy.” „Mam jabłko.”

„Kilka dni.” „Chcę się położyć.” „Ci Amerykanie nie umieją mówić po angielsku”, opowiedziała Obinze. Pierwszego dnia w szkole poszła do centrum zdrowia i trochę zbyt długo wpatrywała się w kontener w rogu, wypełniony darmowymi kondomami. Po badaniu recepcjonistka powiedziała: „Jesteś załatwiona”, a ona, kompletnie bez pojęcia, zastanawiała się, co oznacza

„Jesteś załatwiona”, aż w końcu doszła do wniosku, że to zapewne oznacza, iż zrobiła wszystko, co należy.

Codziennie rano budziła się i martwiła o pieniądze. Gdyby kupiła wszystkie potrzebne jej książki, nie miałyby dość pieniędzy na opłacenie czynszu, wobec tego pożyczła podręczniki w czasie zajęć i gorączkowo robiła notatki, które, kiedy je później czytała, nie do końca były dla niej zrozumiałe. Jej nowa koleżanka z grupy, Samantha, szczupła kobieta, która unikała słońca (powtarzała często, że „łatwo się spała”) od czasu do czasu pożyczła Ifemelu książkę do domu.

— Zatrzymaj ją do jutra i zrób sobie notatki — mówiła. — Wiem, jak może być trudno, dlatego kilka lat temu rzuciłam studia, żeby iść do pracy.

Samanta była starsza i Ifemelu z ulgą się z nią zakolegowała, ponieważ nie była jedną z tych mówiących rozwlekle osiemnastolatek, jak większość z jej grupy na kierunku komunikacja. Mimo to Ifemelu nigdy nie przetrzymywała książek dłużej niż jeden dzień, a czasem wręcz nie zgadzała się zabierać ich do domu. Bolało ją, że musi się prosić. Czasami po zajęciach siedziała na ławce na dziedzińcu i przyglądała się studentom przechodzącym obok wielkiej, szarej rzeźby na środku; wszyscy wyglądali, jakby życie układało im się tak, jak sobie życzyli, jeśli chcieli, mogli mieć pracę, a ponad nimi na latarniach powiewały łagodnie małe chorągiewki.

Pragnęła wiedzieć o Ameryce wszystko, natychmiast założyć nową skórę całkowitej wiedzy; kibicować drużynie podczas Super Bowl, rozumieć, co to takiego Twinkie i co w sporcie znaczy „lokaut”, zamawiać „muffinkę” i nie myśleć, że tak naprawdę to zwykłe ciastko, i mówić

„zrobiłam interes”, nie czując się przy tym głupio.

Obinze proponował, żeby czytała amerykańskie książki, powieści historyczne, biografie.

W jego pierwszym mailu do niej — w Nsukka otworzyli właśnie kafejkę internetową — przysłał

jej listę książek. *Następnym razem pożar* była na pierwszym miejscu. Stała przy półce w bibliotece i przerzucała pierwszy

rozdział, szykując się na nudę, ale krok po kroku podeszła do kanapy, usiadła i czytała, aż przeczytała trzy czwarte książki, potem przestała i wzięła z półki wszystkie tytuły Jamesa Baldwina. Wolne godziny spędzała w bibliotece, tak cudownie oświetlonej; mnóstwo komputerów, wielkie, czyste, widne przestrzenie, cała ta przyjazna jasność była jak grzeszna dekadencja. W końcu przywykła do czytania książek z brakującymi kartkami, które wypadły w trakcie przechodzenia z rąk do rąk. A teraz miała do dyspozycji kawalkadę książek z nieuszkodzonymi grzbietami. Pisała do Obinze o książkach, które czyta, dopracowane, obszerne listy, które otwierały między nimi nowy rodzaj intymności; w końcu Ifemelu zaczęła pojmować, jaką władzę miały nad nią książki. Kiedyś jego marzenie o Ibadanie wywołane *Ibadanem* było dla niej niepojęte; jak ciąg słów może sprawić, że człowiek marzy o miejscu, którego nie zna? Ale podczas tych tygodni, kiedy odkrywała całe rzędy, jeden za drugim, książek z zapachem skóry i obietnicą nieznanych rozkoszy, kiedy siedziała z podkulonymi kolanami

w fotelu w niższej części albo przy stole na górze, gdzie fluorescencyjne światło odbijało się od stron książek, w końcu zrozumiała. Czytała książki z listy Obinze, ale też na chybił trafił

zdejmowała jedną książkę po drugiej, czytała jakiś rozdział i dopiero potem decydowała, którą z nich przeczyta na szybko w bibliotece, a którą wypożyczy. W miarę jak czytała, zaczynała rozumieć amerykańskie mitologie. Kultura plemienna — rasa, ideologia i regiony — stała się jasna. A ta nowa wiedza była dla Ifemelu pocieszeniem.

— Wiesz, że powiedziałaś „podekscytowana”? — zapytał ją któregoś dnia Obinze rozbawionym głosem. — Powiedziałaś, że jesteś podekscytowana zajęciami z mediów.

— Naprawdę?

Z jej ust płynęły nowe słowa. Rozpraszały się pokłady mgły. W domu co wieczór prała bieliznę i rozwieszała w dyskretnym kącie w łazience. Teraz wrzucała wszystko do

kosza i w piątek wieczorem wkładała do pralki; zaczęła uważać ten rosnący z dnia na dzień stos brudnej bielizny za coś normalnego. Odzywała się na zajęciach, bo przeczytane książki dawały jej pewność siebie, zachwycona, że może nie zgadzać się z wykładowcami i spotykać się nie z gniewem za brak szacunku, ale zachęcającym skinieniem głowy.

— Na zajęciach oglądamy filmy — powiedziała do Obinze. — Tutaj rozmawiają o filmach, jakby były tak samo ważne jak książki. Więc oglądamy filmy, a potem piszemy rozprawkę i prawie wszyscy dostają A. Wyobrazasz sobie? Ci Amerykanie są niepoważni, o.

Na seminarium z historii profesor Moore, drobna, nieśmiała kobieta o emocjonalnie zagłodzonym wyglądzie kogoś, kto nie ma przyjaciół, pokazała im kilka scen z *Korzeni*, jasnych obrazów na tablicy w zaciemnionej klasie. Kiedy wyłączyła projektor, na krótką chwilę, zanim zgasł, na ścianie pojawiła się upiornie biała plama. Ifemelu pierwszy raz oglądała *Korzenie* na wideo z Obinze i jego matką, wygodnie usadowiona na kanapie w ich salonie w Nsukka. Kiedy Kunta Kinte razami został zmuszony do przyjęcia niewolniczego imienia, matka Obinze gwałtownie wstała, tak gwałtownie, że prawie przewróciła się o skórzany puf, i wyszła z pokoju, ale Ifemelu i tak zdążyła zobaczyć, że ma zaczerwienione oczy. Zaskoczyło ją, że matka Obinze, tak opanowana, zamknięta w sobie, potrafiła płakać, oglądając film. Teraz, kiedy żaluzje w oknach zostały podniesione i klasę ponownie zalało światło, Ifemelu przypomniała sobie tamto sobotnie popołudnie i jak czuła się nie dość rozgarnięta, kiedy patrzyła na matkę Obinze i żałowała, że ona też nie może płakać.

— Porozmawiajmy o historycznym aspekcie filmu — powiedziała profesor Moore.

Z tyłu klasy rozległ się zdecydowany damski głos, z nieamerykańskim akcentem:

— Dlaczego „czarnuch” było zagłuszane?

Przez klasę jak wietrzyk przemknęło zbiorowe westchnienie.

— Cóż, to było nagranie z telewizji i między innymi chciałam z wami porozmawiać o tym, jak masowa kultura traktuje

historię, a słowo na C jest niewątpliwie istotnym tego elementem — rzekła profesor Moore.

— Dla mnie to bez sensu — odezwał się zdecydowany głos.

Ifemelu odwróciła się. Mówiąca miała naturalne włosy, obcięte króciutko jak u chłopaka, a jej śliczna, szczupła twarz o szerokim czole przypominała Ifemelu kobiety ze Wschodniej Afryki, które zawsze wygrywały długodystansowe biegi w telewizji.

— Chodzi mi o to, że słowo „czarnuch” istnieje. Jest używane. To część Ameryki.

Sprawiło ludziom wiele bólu i uważam, że zagłuszanie go jest obraźliwe.

— Tak — powiedziała profesor Moore i rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu pomocy.

Nadeszła w postaci ponurego głosu dobiegającego ze środka klasy.

— Cóż, właśnie z powodu tego bólu nie powinno się go używać.

„Nie powinno” pozęgłowało zajadle w powietrzu, a wypowiedziała je afroamerykańska dziewczyna z bambusowymi kólkami w uszach.

— Chodzi o to, że ilekroć ktoś je wypowiada, sprawia ból Afroamerykanom — odezwał

się blady chłopak o potarganych włosach.

Ifemelu podniosła rękę; myślała o *Światłości w sierpniu* Faulknera, którą właśnie przeczytała.

— Chyba nie zawsze tak jest. Wydaje mi się, że to zależy od intencji, a także od tego, kto je wypowiedział.

Dziewczyna obok niej z poczerwieniałą gwałtownie twarzą nie wytrzymała.

— Nie! Obojętnie, kto je wypowiada, słowo zawsze jest takie samo.

— To bzdura. — Znowu zdecydowany głos. Głos, który się niczego nie boi.

— Gdyby moja matka uderzyła mnie kijem i obcy uderzył mnie kijem, to byłyby dwie różne rzeczy.

Ifemelu popatrzyła na profesor Moore, żeby zobaczyć, jak zareaguje na słowo „bzdura”.

Profesor nie zwróciła na nie uwagi; na jej twarzy natomiast zamarł lekki wyraz przerażenia, który zmienił się w uśmiezek.

— Zgadzam się, że co innego, kiedy wypowiada je Afroamerykanin, nie uważam jednak, że nie powinno być używane w filmach, ponieważ w ten sposób ludzie, którzy nie powinni go używać, mogą to robić i ranić uczucia innych — odezwała się jasnoskóra, afroamerykańska dziewczyna, ostatnia z czwórki czarnych w grupie, ubrana w sweter w niepokojącym kolorze fuksji.

— Ale to jak życie w zaprzeczeniu. Skoro było w ten sposób używane, powinno być tak przedstawiane. Ukrywanie go nie sprawi, że zniknie. — Zdecydowany głos.

— Cóż, gdybyście wszyscy nas nie sprzedali, nie musielibyśmy o tym rozmawiać —

powiedziała Afroamerykanka o ponurym głosie, cicho, lecz mimo to słyhać ją było wyraźnie.

Grupę spowiała cisza. Wtedy rozległ się ten sam głos:

— Przepraszam, ale nawet gdyby żadni Afrykańczycy nie zostali sprzedani przez innych Afrykańczyków, transatlantycki handel niewolnikami i tak by się odbywał. To było europejskie przedsięwzięcie. Chodziło o to, że Europejczycy szukali siły roboczej do swoich plantacji.

Profesor Moore przerwała cichym głosem:

— OK, porozmawiajmy teraz o sposobach, w których historię można poświęcić dla rozrywki.

Po zajęciach Ifemelu i zdecydowany głos podeszły do siebie.

— Cześć, jestem Wambui. Pochodzę z Kenii. Ty jesteś Nigeryjką, prawda?

Była onieśmielająca; na pewno zawsze każdego i wszystko umieszczała we właściwym miejscu.

— Tak, jestem Ifemelu.

Uścisnęły sobie ręce. W kolejnych tygodniach nawiązała się między nimi trwała przyjaźń.

Wambui była przewodniczącą Związku Studentów Afrykańskich.

— Nie słyszałaś o ZSA? Musisz przyjść na następne spotkanie w czwartek —

powiedziała.

Spotkania odbywały się w podziemiach Wharton Hall, w skąpo oświetlonym, pozbawionym okien pomieszczeniu, gdzie na metalowym stole piętrzyły się papierowe talerze, kartony z pizzą i butelki z napojami gazowanymi, a składane krzesła stały ustawione w luźnym półkolu. Nigeryjczycy, Ugandyjczycy, Kenijczycy, Ghańczycy, Południowoafrykańczycy, Tanzańczycy, Zimbabwejczycy, Kongijczycy i jeden student z Gwinei siedzieli, jedli,

rozmawiali, podnosili się na duchu, a ich różnorodne akcenty tworzyły mieszaninę kojących dźwięków. Przedrzeźniali Amerykanów, którzy do nich mówili: „Świetnie mówisz po angielsku.

Dużo macie chorych na AIDS w twoim kraju? To takie smutne, że w Afryce ludzie muszą żyć za mniej niż dolara dziennie”. Sami też naśmiewali się z Afryki, dzielili się opowieściami o absurdach, głupocie i mieli przekonanie, że mogą to robić bezkarnie, bo ich żarty były zrodzone z tęsknoty i łamiącego serce pragnienia, aby ujrzeć to miejsce stworzone od nowa.

Tutaj Ifemelu miała łagodne, chwiejne poczucie, że odżywa. Tutaj nie musiała się przed nikim tłumaczyć.

Wambui powiedziała wszystkim, że Ifemelu szuka pracy. Dorothy, Ugandyjka z długimi warkoczykami, która pracowała jako kelnerka w Center City, powiedziała, że jej restauracja szuka pracowników. Ale najpierw Mwombeki, studiujący na dwóch kierunkach, inżynierii i naukach politycznych, Tanzańczyk przejrzał CV Ifemelu i doradził, żeby usunęła z niego trzyletnie studia w Nigerii: amerykańscy pracodawcy nie lubią, żeby pracownicy niższego szczebla byli zbyt wykształceni. Mwombeki przypominał jej Obinze, miał podobną swobodę w obejściu, emanował cichą siłą. Na spotkaniach wszystkich rozśmieszał.

— Otrzymałem dobre wykształcenie podstawowe dzięki socjalizmowi Nyerere — mówił

często Mwombeki. — Inaczej byłbym teraz w Dar i rzeźbił obrzydliwe żyrafy dla turystów.

Kiedy zjawiała się dwójka nowych studentów z Ghany i Nigerii, Mwombeki uraczył ich, jak to nazywał, przemówieniem powitalnym.

— Nie idźcie, proszę, do Kmartu i nie kupujcie dwudziestu par jeansów tylko dlatego, że kosztują pięć dolarów. Jeansy nigdzie nie uciekną. Będą tam jutro, i to po jeszcze niższej cenie.

Teraz jesteście w Ameryce i nie spodziewajcie się, że na lunch będziecie jedli gorące jedzenie.

Zapomnijcie o tych afrykańskich upodobaniach. Kiedy odwiedzicie dom trochę zamożniejszego Amerykanina, zaprosi was na zwiedzanie. Zapomnijcie, że u was w kraju wasz ojciec dostałby zawału, gdyby ktoś choć odrobinę zbliżył się do jego sypialni. Wszyscy wiemy, że gościnność kończy się na salonie, i tylko jeśli to absolutnie konieczne, obejmuje też toaletę. Ale uśmiechajcie się, proszę, i idźcie za Amerykaninem, oglądajcie dom i pamiętajcie, że wszystko się wam podoba. I niech was nie przeraża, że amerykańskie pary dotykają się bez skrępowania. W kolejce po kawę dziewczyna dotyka ramienia chłopaka, chłopak ją obejmuje, ocierają się o siebie, ocierają i ocierają, ale błagam, nie naśladujcie ich.

Wszyscy się śmiali. Wambui krzyknęła coś w suahili.

— Bardzo szybko zaczniecie mówić z amerykańskim akcentem, bo nie będziecie chcieli, żeby ludzie z obsługi klienta pytali was przez telefon: „Co? Co?”. Zaczniecie podziwiać Afrykańczyków, którzy mówią z idealnym amerykańskim akcentem, jak nasz brat Kofi. Rodzice Kofiego przyjechali z Ghany, kiedy miał dwanaście lat, ale niech was nie zmyli to, jak mówi.

W jego domu codziennie je się kenkej. Jego tato zbił go, kiedy dostał C z klasówki. W tym domu nie ma żadnych amerykańskich bzdur. Kofi co roku jeździ do Ghany. Ludzi takich jak Kofi nazywamy amerykańskimi Afrykańczykami, nie Afroamerykanami, jak mówi się o naszych braciach i siostrach, których przodkowie byli niewolnikami.

— To było minus B, nie C — zażartował Kofi.

— Spróbujcie zaprzyjaźnić się z naszymi afroamerykańskimi braćmi w prawdziwym panafrykańskim duchu. Ale przyjaźnijcie się też z rodakami z Afryki, bo dzięki temu zachowacie właściwą perspektywę. Zawsze przychodźcie na spotkania Związku Studentów Afrykańskich, ale jeśli musicie, spróbujcie też pójść do Związku Czarnych Studentów. Zwróćcie, proszę, uwagę, że ogólnie rzecz biorąc, Afroamerykanie należą do Związku Czarnych Studentów, natomiast

Afrykańczycy należą do Związku Studentów Afrykańskich. Czasami to się nakłada, ale nie zawsze. Afrykańczycy, którzy należą do ZCS, to ci niepewni siebie, którzy od razu mówią: „Ja tylko pochodzę z Kenii”, chociaż ta Kenia się pojawia, jak tylko otworzą usta. Afroamerykanie, którzy przychodzą na nasze spotkania, to ci, co piszą wiersze o Matce Afryce i uważają, że każda Afrykanka jest nubijską królową. Jeśli jakiś Afroamerykanin nazwie was Mandingo albo czyścicielem butów, obraża was za to, że jesteście Afrykańczykami. Niektórzy będą wam zadawać denerwujące pytania o Afrykę, ale inni będą się z wami przyjaźnić. Przekonacie się też, że o wiele łatwiej jest zaprzyjaźnić się z innymi nacjami, Koreańczykami, Hindusami, Brazylijczykami, obojętnie, niż z białymi i czarnymi Amerykanami. Ci pierwsi rozumieją

traumę, jaką jest zdobycie amerykańskiej wizy, a to dobry początek przyjaźni.

Znowu rozległy się śmiechy. Mwombeki sam też śmiał się głośno, jakby nigdy wcześniej nie słyszał własnych żartów.

Później, już po wyjściu ze spotkania, Ifemelu pomyślała o Dike'u i gdzie powinien się zapisać w college'u, do ZCS czy ZSA, i za kogo będzie uważany, za amerykańskiego Afrykańczyka czy Afroamerykanina. Będzie musiał zdecydować, kim jest lub raczej decyzja o tym, kim jest, zostanie podjęta za niego.

Ifemelu była pewna, że rozmowa o pracę w restauracji, w której była zatrudniona Dorothy, poszła nieźle. Starła się o posadę hostessy i założyła swoją ładną koszulę, uśmiechała się ciepło, ścisnęła dłonie zdecydowanie. Menadżerka, rozchichotana kobieta pełna szczęśliwości, nad którą jakby nie do końca panowała, powiedziała na zakończenie:

— Wspaniale. Cudownie się z tobą rozmawiało. Niedługo się do ciebie odezwę.

Kiedy więc wieczorem zadzwonił telefon, chwyciła go w nadziei, że to w sprawie pracy.

— Ifem, *kedu*? — zapytała ciocia Uju.

Ciocia Uju dzwoniła zbyt często, żeby zapytać, czy znalazła pracę.

— Ciociu, do ciebie pierwszej zadzwonię, kiedy to się stanie — powiedziała jej Ifemelu podczas ich ostatniej rozmowy, a teraz ciocia Uju znowu dzwoniła.

— Świetnie — powiedziała Ifemelu i już miała dodać: „Jeszcze niczego nie znalazłam”, kiedy odezwała się ciocia Uju:

— Coś się stało z Dike'em.

— Co? — zapytała Ifemelu.

— Pani Brown powiedziała mi, że znalazła go w garderobie z dziewczynką. Ta dziewczynka jest w trzeciej klasie. Chyba

pokazywali sobie nawzajem intymne części ciała.

Nastąpiła pauza.

— I to wszystko? — zapytała Ifemelu.

— Co to znaczy „czy to wszystko”? On jeszcze nie ma siedmiu lat! Co to ma być? Czy po to przyjechałam do Ameryki?

— Na jednych zajęciach właśnie o tym niedawno czytaliśmy. To normalne. We wczesnym wieku dzieci są ciekawe takich rzeczy, ale tak naprawdę jeszcze tego nie rozumieją.

— Normalne *kwa*?

— Ciociu, wszyscy byliśmy ciekawi jako dzieci.

— Ale nie w wieku siedmiu lat! *Tufiakwa!* Gdzie on się tego nauczył? To przez to przedszkole, do którego chodzi. Odkąd odeszła Alma i zaczął chodzić do pani Brown, zmienił

się. Wszystkie te rozwydrzone dzieci bez żadnego wychowania z domu, uczy się od nich samych bzdur. Postanowiłam, że pod koniec semestru przeniesiemy się do Massachusetts.

— Zostawisz Nowy Jork, żeby pojechać na jakąś wieś w Massachusetts? Może tak po

prostu zrezygnować z rezydentury?

— Oczywiście. Jak moja koleżanka Olga, ta z Rosji... Ona też odchodzi, ale w nowym programie będzie musiała powtórzyć rok. Chce być dermatologiem, a tutaj większość naszych pacjentów jest czarna, a ona mówi, że choroby skóry u czarnych wyglądają inaczej, a wie, że nie będzie praktykować w dzielnicy czarnych, więc chce iść tam, gdzie pacjenci są biali. Trudno mieć do niej pretensje. To prawda, że mój program ma wyższe notowania w rankingach, ale czasem w małych miejscowościach jest łatwiej o pracę. Nie chcę, żeby Bartholo mew myślał, że nie traktuję go poważnie. Nie robię się coraz młodsza. Na początek chcę spróbować.

— Naprawdę za niego wyjdiesz.

Ciocia Uju udała zniecierpliwienie.

— Ifem, myślałam, że ten etap mamy za sobą. Kiedy się przeprowadzę, pójdziemy do sądu i pobierzemy się, żebyśmy mogli oficjalnie występować jako rodzice Dike’a.

Ifemelu usłyszała bip-bip nadchodzącej rozmowy.

— Ciociu, oddzwonię do ciebie — powiedziała i rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź cioci Uju. Dzwoniła menadżerka z restauracji.

— Przepraszam, Ngozi — powiedziała. — Ale postanowiłam zatrudnić bardziej wykwalifikowaną osobę. Powodzenia!

Ifemelu odłożyła słuchawkę i pomyślała o swojej matce, o tym, jak często obwiniła szatana. „Szatan to kłamca. Szatan chce nas powstrzymać”. Wpatrywała się w telefon, potem rachunki na stole, a w jej piersi narastał potężny, duszący ucisk.

ROZDZIAŁ 15

Mężczyzna był niski, ciało miał jak jeden wielki mięsień, rzędzące i rozjaśnione włosy.

Kiedy otworzył drzwi, zmierzył ją wzrokiem, bezwzględnie od góry do dołu, a potem się uśmiechnął.

— Wejdz. Biuro mam w piwnicy.

Poczuła mrowienie na skórze i ogarniający ją niepokój. W tej twarzy o cienkich wargach było coś sprzedajnego; sprawiał wrażenie człowieka, dla którego korupcja nie jest niczym niezwykłym.

— Jestem dość zajęтым człowiekiem — powiedział, gestem wskazując krzesło w zagraconym domowym biurze, zalatującym nieco stęchlizną.

— Tak wynikało z ogłoszenia — odparła Ifemelu.

„Osobista asystentka dla zajętego trenera sportowego w Ardmore, wymagane umiejętności komunikacyjne i interpersonalne.” Siedziała na krześle, właściwie tylko przycupnęła, nagle przytłoczona myślą, że jest teraz sama z obcym człowiekiem, w piwnicy obcego domu w Ameryce. Z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie jeansów chodził tam i z powrotem krótkimi, szybkimi kroczkami i mówił, jak

wymagająca jest praca trenera tenisa, a Ifemelu bała się, że potknie się o jedną ze stert sportowych czasopism leżących na podłodze.

Mówił równie szybko, jak się poruszał, z miną niezwykle czujną; oczy miał wciąż szeroko otwarte i zbyt długo nimi nie mrugał.

— Sprawa wygląda tak: są dwie posady, jedna to praca w biurze, druga pomoc w relaksowaniu się. Stanowisko biurowe już jest zajęte. Zaczęła wczoraj, pojechała do Bryn Mawr i będzie tam przez cały tydzień, doprowadzając do porządku zaległości w pracy, jakie tam mam. Założę się, że gdzieś tam mam nawet niepotwierzone czeki. — Wyciągnął rękę i machnął

nią w stronę zabałaganionego biurka. — Teraz potrzebuję kogoś, kto pomoże mi się zrelaksować.

Jeśli chcesz tę pracę, masz ją. Zapłacę ci sto dolarów z możliwością podwyżki, a pracowałabyś, kiedy będzie trzeba, bez stałego harmonogramu.

Sto dolarów dziennie wystarczyłoby prawie na miesięczny czynsz. Poruszyła się na krześle.

— Co dokładnie pan rozumie przez „pomoc w zrelaksowaniu się”?

Patrzyła na niego, czekała na wyjaśnienie. Zaczęła się martwić, że tak dużo wydała na bilet podmiejskiej kolejki.

— Słuchaj, nie jesteś dzieckiem — powiedział. — Pracuję tak ciężko, że nie mogę spać.

Nie mogę się rozluźnić. Nie biorę narkotyków, więc pomyślałem, że ktoś musi mi pomóc, żebyśmy się rozluźnił. Mogłabyś robić mi masaż, pomóc się rozluźnić, no wiesz. Wcześniej już ktoś to dla mnie robił, ale przeprowadziła się do Pittsburgha. To naprawdę świetna fucha, przynajmniej ona tak uważała. Pomogłem jej z wieloma długami za studia. — Domyślała się, że mówił to już wielu kobietom, sądząc po sposobie, w jaki padały wypowiedziane przez niego słowa. Nie był dobrym człowiekiem. Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi, ale i tak żałowała, że przyszła.

Wstała.

— Czy mogę się zastanowić i oddzwonić do pana?

— Jasne.

Wzruszył ramionami, nagle zirytowany, jakby nie mógł uwierzyć, że nie widzi, jak się jej poszczęściło. Kiedy ją wypuszczał, szybko zamknął za nią drzwi, nie odpowiadając na jej pożegnalne „dziękuję”. Wracała na stację, rozpaczając nad wydanymi na pociąg pieniędzmi.

Drzewa były skapane w kolorach, czerwone i żółte liście nadawały powietrzu złotą poświatę, a ona myślała o przeczytanych gdzieś niedawno słowach: „Główną zielenią przyrody jest złoto”.

Świeże powietrze, pachnące i suche, przypominało jej Nsukka w porze harmatanu i nagle przeszła ją bolesna tęsknota za domem, tak mocna i gwałtowna, że do oczu napłynęły jej łzy.

Za każdym razem, kiedy szła na rozmowę albo dzwoniła w sprawie pracy, mówiła sobie, że to będzie w końcu jej dzień; tym razem dostanie posadę kelnerki, hostessy, opiekunki do dzieci, ale nawet gdy życzyła sobie jak najlepiej, gdzieś w głębi duszy czaiła się ponura wątpliwość. „Co robię nie tak?”, zapytała Giniki, a ona powiedziała, że musi być cierpliwa i nie tracić nadziei. Pisała i przepisywała od nowa swoje CV, wymyślała, że ma doświadczenie z pracy kelnerki w Lagos, wpisywała nazwisko Giniki jako osoby, u której opiekowała się dziećmi, po referencji kierowała do właścicielki domu Wambui, a podczas każdej rozmowy uśmiechała się serdecznie, wymieniała zdecydowany uścisk dłoni, robiła wszystko, co polecali w książce o rozmowach w sprawie amerykańskiej pracy. Ale pracy nie było. Czy chodziło o jej zagraniczny akcent? Brak doświadczenia? Ale wszyscy jej afrykańscy znajomi mieli pracę, wszyscy studenci dostawali pracę mimo braku doświadczenia. Raz poszła na stację benzynową w pobliżu Chestnut Street i wielki Meksykanin, nie odrywając wzroku od jej biustu, powiedział: „Chcesz być u nas pracownikiem? Możesz pracować dla mnie w inny sposób”. A potem z uśmiechem, z pożądaniem w oczach,

które ani na chwilę nie znikło, powiedział jej, że pracy już nie ma. Coraz częściej myślała o szatanie matki, wyobrażała sobie, że jakoś przykłada do tego rękę. Bez końca dodawała i odejmowała, zastanawiała się, co jest jej potrzebne, a co nie, co tydzień gotowała ryż i fasolę, a na lunch i obiad podgrzewała małe porcje w kuchence mikrofalowej. Obinze zaproponował, że przyśle jej pieniądze. Kuzyn przyjechał z Londynu i dał mu trochę funtów.

Zamieni je na dolary w Enugu.

— Przecież nie możesz mi przysyłać pieniędzy z Nigerii. Powinno być dokładnie na odwrót — powiedziała.

Ale on przysłał jej pieniądze, odrobinę ponad sto dolarów, starannie zaklejone w kartce.

Ginika była zajęta, pracowała dużo na stażu i uczyła się do egzaminów prawniczych, ale często dzwoniła, żeby sprawdzić, jak Ifemelu idzie szukanie pracy, i zawsze miała radosny głos, jakby chciała ją przekonać, żeby nie traciła nadziei.

— Kimberly... robiłam staż w jej organizacji dobroczynnej, zadzwoniła do mnie i powiedziała, że odchodzi jej opiekunka do dzieci i szuka nowej. Mówiłam jej o tobie i chciałaby cię poznać. Jeśli cię zatrudni, będzie ci płacić na czarno, więc nie będziesz musiała używać cudzego nazwiska. Kiedy jutro kończysz? Mogę przyjechać i zabrać cię do niej na rozmowę.

— Jak dostanę tę pracę, oddam ci pierwszą wypłatę — powiedziała Ifemelu, a Ginika się roześmiała.

Ginika zaparkowała na okrągłym podjeździe przed domem, który świadczył o bogactwie, z kamienia i z czterema białymi kolumnami wznoszącymi się dostojnie przed wejściem.

Kimberly otworzyła drzwi. Była szczupła i wyprostowana; uniosła obie ręce, żeby odsunąć z twarzy gęste, złote włosy, jakby jedną ręką nie była w stanie nad nimi zapanować.

— Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać — powiedziała do Ifemelu i z uśmiechem podała jej rękę, małą, kościstą, kruchą. W złotym sweterku, ściągniętym paskiem w niewyobrażalnie

wąskiej talii, ze złotymi włosami i w złotych butach na płaskim obcasie

wyglądała nieprawdopodobnie, jak słoneczny blask.

— To jest moja siostra Laura, przyszła z wizytą. Odwiedzamy się prawie codziennie!

Laura mieszka praktycznie obok. Dzieci są do jutra w Poconos, z moją matką. Pomyślałam, że będzie najlepiej, jeśli porozmawiamy, kiedy ich tutaj nie ma.

— Cześć — powiedziała Laura.

Tak samo jak Kimberly była chuda, wyprostowana i miała blond włosy. Ifemelu, opisując je Obinze, powiedziała, że Kimberly przypominała małego ptaszka o drobnych, kruchych kosteczkach, Laura natomiast przywodziła na myśl jastrzębia, o ostrym dziobie i ponurego.

— Dzień dobry, jestem Ifemelu.

— Jakie piękne imię — powiedziała Kimberly. — Czy coś znaczy? Uwielbiam wielokulturowe imiona, bo mają takie wspaniałe znaczenia, pochodzą z cudownych, bogatych kultur.

Kimberly miała łagodny uśmiech osoby, dla której „kultura” oznaczała zbiór obcych, kolorowych ludzi, była słowem, jakie zawsze kojarzyło się z „bogata”. Mówiąc o Norwegii, nigdy nie powiedziałaby „bogata kultura”.

— Nie wiem, co oznacza — powiedziała Ifemelu i raczej wyczuła, niż zauważyła cień rozbawienia na twarzy Giniki.

— Napijcie się herbaty? — zapytała Kimberly, idąc do kuchni, w której dominował

chrom, granit i mnóstwo pustej przestrzeni.

— Z przyjemnością — powiedziała Ginika.

— A ty, Ifemelu? — zapytała Kimberly. — Wiem, że znęcam się nad twoim imieniem, ale to takie piękne imię. Naprawdę piękne.

— Nie, wymawiasz je prawidłowo. Poproszę wodę albo sok pomarańczowy.

Później Ifemelu przekonała się, że Kimberly używa słowa „piękny” w szczególny sposób.

„Spotykam się z moją piękną koleżanką ze studiów”, mówiła Kimberly, albo: „Pracujemy z tą piękną kobietą z miejskiego projektu”, a potem zawsze kobiety, o których mówiła, okazywały się zupełnie przeciętne, ale zawsze czarne. Któregoś dnia, zimą, kiedy siedziała z Kimberly przy ogromnym, kuchennym stole, pijąc herbatę i czekając, aż babcia przyprowadzi dzieci, Kimberly powiedziała:

— Och, popatrz na tę piękną kobietę — i pokazała na brzydką modelkę w czasopiśmie, której jedyną cechą szczególną była jej bardzo czarna skóra. — Czy nie jest oszalamiająca?

— Nie, nie jest. — Ifemelu umilkła na chwilę. — Wiesz co, możesz zwyczajnie powiedzieć „czarna”. Nie każdy czarny człowiek jest piękny.

Kimberly była zaskoczona, zrobiła minę, jakby chciała coś powiedzieć, a potem się uśmiechnęła i Ifemelu myślała, że była to chwila, kiedy stały się naprawdę przyjaciółkami. Ale tego pierwszego dnia polubiła Kimberly, jej kruche piękno, jej fioletowawe oczy wyrażające to, co Obinze często mówił o ludziach, których lubił: „*obi ocha*” — „czyste serce”. Kimberly pytała Ifemelu, jakie ma doświadczenie z dziećmi, i słuchała uważnie, jakby chciała usłyszeć to, co niewypowiedziane.

— Nie ma certyfikatu udzielania pierwszej pomocy, Kim — powiedziała Laura. Zwróciła się do Ifemelu. — Jesteś gotowa ukończyć kurs? To bardzo ważne, jeśli masz się opiekować dziećmi.

— Bardzo chętnie.

— Ginika mówiła, że wyjechałaś z Nigerii, bo tamtejsi wykładowcy ciągle strajkują —

powiedziała Kimberly.

— Tak.

Laura pokiwała głową porozumiewawczo.

— Okropne, co się dzieje w afrykańskich krajach.

— Jak ci się podobają Stany? — zapytała Kimberly.

Ifemelu wspomniała jej o zawrocie głowy, jakiego doznała, kiedy pierwszy raz poszła do supermarketu; w dziale z płatkami śniadaniowymi chciała kupić płatki kukurydziane, które zwykle jadła w domu, ale nagle miała przed sobą setki opakowań różnych płatków, w setkach kolorów, z różnymi obrazkami, i poczuła, że kręci się jej w głowie. Opowiadała tę historię, bo uważała, że jest zabawna; nie raniła amerykańskiego ego.

Laura się roześmiała.

— Wyobrażam sobie, jak ci się musiało kręcić!

— To prawda, w tym kraju mamy nadmiar wszystkiego — powiedziała Kimberly. —

U was na pewno jecie mnóstwo cudownego, organicznego jedzenia i warzyw, ale przekonasz się, że tutaj jest inaczej.

— Kim, jeśli w Nigerii jadła to cudowne, organiczne jedzenie, to po co przyjeżdżała do Stanów? — zapytała Laura.

Kiedy były dziećmi, Laura na pewno grała rolę starszej siostry, która wytykała głupotę młodszej, zawsze życzliwie i na wesoło, i najlepiej w towarzystwie dorosłych krewnych.

— Cóż, nawet jeżeli mieli bardzo mało jedzenia, to prawdopodobnie same organiczne warzywa, a nie to frankensteinowe jedzenie, które mamy tutaj — powiedziała Kimberly.

Ifemelu wyczuwała między nimi obecność fruujących w powietrzu ostrych kolców.

— Nie powiedziałaś jej o telewizji — odezwała się Laura. Zwróciła się do Ifemelu. —

Dzieci Kim oglądają w telewizji tylko to, co im wolno. Więc jeśli cię zatrudni, będziesz musiała być cały czas obecna i monitorować, co się dzieje, zwłaszcza z Morgan.

— OK.

— Ja nie mam opiekunki — powiedziała Laura, a jej „ja” promieniowało pełną przekonania o słuszności emfazą. —

Jestem pełnoetatową, praktyczną matką. Myślałam, że wrócę do pracy, kiedy Athena skończy dwa lata, ale nie mogłam się z nią rozstać. Kim też jest naprawdę praktyczna, ale zdarza się, że jest zajęta, jej działalność dobroczynna jest naprawdę wspaniała, więc zawsze martwię się o jej opiekunki. Ostatnia, Martha, była cudowna, ale ta poprzednia, jak ona się nazywała, chyba pozwalała Morgan oglądać niewłaściwe programy.

Mojej córce w ogóle nie pozwalałam oglądać telewizji. Uważam, że za dużo jest w niej przemocy.

Jak będzie trochę starsza, może pozwolę jej oglądać niektóre kreskówki.

— Ale w kreskówkach też jest przemoc — powiedziała Ifemelu.

Laura wyraźnie się zdenerwowała.

— To są kreskówki. Traumę u dzieci wywołują prawdziwe rzeczy.

Ginika zerknęła na Ifemelu, marszcząc brwi, z miną, która mówiła: „Odpuść sobie”.

W podstawówce Ifemelu widziała, jak pluton egzekucyjny zabił Lawrence’a Aniniego. Była zafascynowana legendami o jego zbrojnych napadach, ostrzegawczymi listami, które pisał do gazet, tym, jak to, co ukradł, rozdawał biednym i przepadał jak kamień w wodę, kiedy zjawiała się policja. „Wejdz do środka, to nie dla dzieci”, powiedziała jej matka, ale bez przekonania, skoro Ifemelu i tak widziała prawie całą egzekucję, ciało Aniniego przywiązane brutalnie do pala, podskakujące konwulsyjnie, kiedy uderzyły w nie kule, i wreszcie osunięte bezwładnie na podtrzymujących je skrzyżowanych linach. Myślała o tym teraz, jakie przerażające, a jednocześnie zwyczajne jej się to wydawało.

— Ifemelu, pokażę ci dom — powiedziała Kimberly. — Dobrze wymówiłam twoje imię?

Szły od pokoju do pokoju — pokój córki z różowymi ścianami i narzutą na łóżko z falbankami, pokój syna z perkusją, gabinet

z pianinem, z wypolerowanym na wysoki połysk pianinem, na którym stało mnóstwo rodzinnych fotografii.

— To zrobiliśmy w Indiach — powiedziała Kimberly. Stali przy pustej rikszy, wszyscy w T-shirtach, Kimberly ze związanymi z tyłu złocistymi włosami, jej wysoki i smukły mąż, mały, jasnowłosy synek i starsza, ruda córeczka, wszyscy uśmiechnięci, z butelkami wody.

Uśmiechali się na każdym zrobionym zdjęciu, czy to kiedy żeglowali, czy wędrowali i odwiedzali atrakcje turystyczne, obejmowali się, smukli, z białymi zębami. Przypominali Ifemelu ludzi z telewizyjnych reklam, których życie zawsze toczyło się w korzystnym świetle, których bałagan był estetycznie przyjemny.

— Spotkaliśmy ludzi, którzy nie mieli praktycznie nic, absolutnie nic, ale byli szczęśliwi

— powiedziała Kimberly. Z tłumu na pianinie wybrała jedno zdjęcie, córki z dwiema Hinduskami o ciemnych, pomarszczonych skórkach, o uśmiechach ukazujących brakujące zęby.

— Te kobiety były cudowne — powiedziała.

Ifemelu miała się też z czasem dowiedzieć, że biednych nie wolno było obwiniać. Bieda była jak aureola: Kimberly nie mogła sobie wyobrazić, że biedni ludzie mogliby być źli albo podli, ponieważ ubóstwo ich kanonizowało, zaś największymi świętymi byli biedni z innych krajów.

— Morgan to uwielbia, to rdzennie amerykańskie. Ale Taylor mówi, że się tego boi!

Kimberly pokazała na niewielką rzeźbę pomiędzy zdjęciami.

— Och.

Ifemelu nagle zapomniała, które było chłopcem, a które dziewczynką; oba imiona, Morgan i Taylor, brzmiały dla niej jak nazwiska.

Tuż zanim Ifemelu wyszła do domu, wrócił mąż Kimberly.

— Witam! Witam! — powiedział, wchodząc do kuchni, wysoki, opalony i przebiegły.

Patrząc na jego nieco przydługie, niemal idealnymi falami opadające na kołnierz włosy, Ifemelu domyśliła się, że przykłada drobiazgową wagę do ich pielęgnacji.

— Musisz być tą koleżanką Giniki z Nigerii — powiedział i uśmiechnął się, całkowicie świadomy własnego uroku. Patrzył ludziom w oczy nie dlatego, że go interesowali, ale ponieważ wiedział, że w ten sposób mają poczucie, iż go interesują.

Kiedy się pojawił, Kimberly jakby odrobinę zaparło dech. Jej głos się zmienił; mówiła teraz wysokim głosem nieśmiałej kobietki.

— Don, kochanie, wcześniej wróciłeś — powiedziała, kiedy się pocałowali.

Don spojrział Ifemelu w oczy i powiedział jej, że o mały włos nie odwiedził Nigerii, tuż po wyborze Shagari, kiedy pracował jako konsultant w międzynarodowej agencji rozwoju, ale podróż w ostatniej chwili nie wypaliła i bardzo tego żałował, bo miał nadzieję, że odwiedzi sanktuarium i zobaczy występ Feli. Wspomnił o Feli mimochodem, jakby było to coś, co ich łączy, jakiś wspólny sekret. W jego opowieści czaiło się przekonanie o udanym uwiedzeniu.

Ifemelu patrzyła na niego, mówiąc niewiele, nie ulegając jego staraniom, w duchu współczując Kimberly. Żeby mieć taką siostrę jak Laura i na dodatek takiego męża.

— Don i ja bierzemy udział w naprawdę porządnej akcji dobroczynnej w Malawi, prawdę mówiąc Don jest jeszcze bardziej zaangażowany niż ja. — Kimberly popatrzyła na Dona, który skrzywił się cierpko.

— Cóż, robimy, co w naszej mocy, ale dobrze wiemy, że nie jesteśmy mesjaszami.

— Naprawdę powinniśmy tam pojechać. To sierociniec. Nigdy nie byliśmy w Afryce.

Bardzo chciałabym, żeby moja organizacja zaangażowała się w Afryce.

Twarz Kimberly zmiękła, oczy zaszyły jej mgłą i przez chwilę Ifemelu żałowała, że pochodzi z Afryki i jest powodem, dla którego ta piękna kobieta, z wybielonymi zębami i gęstymi

włosami, musi sięgać tak głęboko, żeby czuć taki smutek, taką beznadzieję.

Uśmiechnęła się radośnie w nadziei, że poprawi Kimberly humor.

— Jestem umówiona z jeszcze jedną kandydatką i potem dam ci znać, ale naprawdę uważam, że bardzo nam odpowiadasz — powiedziała Kimberly, odprowadzając Ifemelu i Ginikę do drzwi.

— Dziękuję — powiedziała Ifemelu. — Bardzo chciałabym u ciebie pracować.

Następnego dnia zadzwoniła Ginika i zostawiła nagrany cichym głosem wiadomość:

„Ifem, tak mi przykro. Kimberly zatrudniła kogoś innego, ale po wiedziała, że będzie o tobie pamiętać. Coś się wkrótce trafi, nie martw się za bardzo. Zadzwoń później”.

Ifemelu chciała cisnąć telefonem. „Będzie pamiętać.” Po co Ginika powtarza takie puste slogany, „pamiętać”?

Była późna jesień, drzewa wyglądały jak jelenie poroża, ktoś czasem wnosił uschłe liście do mieszkania, i nadeszła pora płacenia czynszu. Czeki jej współlokatorek leżały na kuchennym stole, jeden na drugim, każdy z obwódką w kwiatki. Według niej te amerykańskie czeki w kwiatki były niepotrzebnie dekoracyjne; pozbawiało to czeki całej ich powagi. Obok czeków leżał liścik: „Ifemelu, zalegamy z czynszem prawie tydzień”. Jeśli wypisze czek, jej konto będzie niemal puste. Na dzień przed wyjazdem z Lagos matka dała jej mały słoiczek maści Mentholanum i powiedziała: „Włóż to do torby, na wypadek jakbyś zmarzła”. Teraz wygrzebała go z torby, otworzyła i powąchała, wcierając odrobinę maści pod nos. Zapach sprawił, że zebrało się jej na płacz. Migąła automatyczna sekretarka, ale nie odsłuchiwała wiadomości, bo na pewno była to jedna z wielu wersji, jakie zostawiała ciocia Uju. „Czy ktoś do ciebie oddzwonił?”

Próbowałaś w pobliskim McDonalddie albo Burger Kingu? Nie zawsze się ogłaszają, ale mogą kogoś szukać. Będę ci

mogła coś przysłać dopiero w następnym miesiącu. Mam puste konto, słowo daję, rezydentura to niewolnicza praca.”

Na podłodze leżały rozrzucone gazety, ogłoszenia o pracy zakreślone długopisem.

Podniosła jedną i zaczęła przeglądać ogłoszenia, które już widziała. Znowu zwróciła uwagę na OSOBY DO TOWARZYSTWA. Ginika powiedziała jej: „Daj sobie spokój z osobami do towarzystwa. Mówią, że to wcale nie jest prostytutka, ale jest, a najgorsze, że dostajesz może jedną czwartą tego, co zarobisz, bo agencja zabiera resztę. Znam jedną dziewczynę, która to robiła na pierwszym roku”.

Ifemelu przeczytała ogłoszenie i znowu pomyślała, że jednak zadzwoni, ale nie zrobiła tego, bo miała nadzieję, że dostanie pracę, o którą się ostatnio starała, kelnerki małej restauracji, gdzie nie płacili pensji, zostawiali tylko napiwki. Powiedzieli, że jeśli dostanie pracę, zadzwonią do niej pod koniec dnia; czekała do późna, ale się nie odezwali.

A potem pies Eleny zjadł jej bekon. Podgrzała sobie plasterk bekonu na papierowym ręczniku, położyła go na stole i odwróciła się, żeby otworzyć lodówkę. Pies połknął bekon i papierowy ręcznik. Patrzyła na puste miejsce, na którym jeszcze przed chwilą był bekon, a potem na psa z jego złośliwą miną, i wszystkie życiowe frustracje zawrzały w jej głowie. Pies zjada jej bekon, pies zjada jej bekon, kiedy ona nie ma pracy.

— Twój pies właśnie zjadł mi bekon — powiedziała do Eleny, która po drugiej stronie kuchni kroił banan, pokrojone plasterki wpadały do miski z płatkami.

— Po prostu nienawidzisz mojego psa.

— Powinnaś go lepiej wychować. Nie powinien zjadać ludziom jedzenia ze stołu w kuchni.

— Tylko nie zabij mojego psa voodoo.

— Słucham?

— Żartowałam! — powiedziała Elena.

Elena uśmiechała się złośliwie, jej pies machał ogonem, a Ifemelu czuła, że krew się w niej gotuje; ruszyła w stronę Eleny, z uniesioną pięścią, gotowa walnąć ją w twarz, ale nagle się opanowała, zatrzymała, odwróciła i poszła na górę. Usiadła na łóżku i obejmowała przyciągnięte do piersi kolana, wstrząśnięta swoją reakcją, wściekłością, która tak nagle w niej wezbrała. Na dole Elena wrzeszczała do telefonu:

— Przysięgam na Boga, suka chciała mnie uderzyć!

Ifemelu chciała przyłożyć współlokatorce nie dlatego, że śliniący się pies zeżarł jej bekon, ale dlatego, że była w stanie wojny ze światem i każdego ranka budziła się obolała, wyobrażając sobie hordy ludzi, wszyscy przeciwko niej. Przerazało ją, że nie jest w stanie wyobrazić sobie jutra. Kiedy dzwoniли jej rodzice i zostawiali nagrany wiadomość, nie kasowała jej, bo nie była pewna, czy nie słyszy ich głosów po raz ostatni. Ponieważ była tu, mieszkała za granicą, nie wiedziała, kiedy znowu wróci do domu, jej miłość zamieniała się w niepokój. Kiedy dzwoniła do przyjaciółki mamy, cioci Bunmi, i nikt nie odbierał, wpadała w panikę, przerażona, że może umarł jej ojciec, a ciocia Bunmi nie wie, jak jej o tym powiedzieć.

Jakiś czas później do jej drzwi zapukała Allison.

— Ifemelu? Chciałam ci tylko przypomnieć, że twojego czeku nie ma na stole. Naprawdę termin dawno już minął.

— Wiem, właśnie go wypisuję.

Leżała na plecach na łóżku. Nie chciała być tą współlokatorką, która nie mogła opłacić czynszu. Była wściekła, że w zeszłym tygodniu Ginika zrobiła jej zakupy. Z dołu słyszała podniesiony głos Jackie:

— Co mamy zrobić? Nie jesteśmy, kurwa, jej rodzicami.

Wyjęła książeczkę czekową. Zanim wypisała czek, zadzwoniła do cioci Uju, żeby porozmawiać z Dike'em. Potem, pocieszona jego niewinnością, zadzwoniła do trenera tenisa w Ardmore.

— Kiedy mogę zacząć pracę? — zapytała.

— Chcesz przyjść od razu?

— OK — powiedziała.

Ogoliła sobie pachy, wyciągnęła szminkę, nieużywaną od dnia wyjazdu z Lagos, której większość i tak zostawiła rozsmarowaną na szyi Obinze na lotnisku. Do czego dojdzie z trenerem tenisa? Powie dział „masaż”, ale jego zachowanie, jego ton były ciężkie od sugestii. Może był

jednym z tych białych mężczyzn, o których czytała, z dziwnymi upodobaniami, którzy chcieli, żeby kobieta smyrała ich po plecach piórkiem albo oddawała na nich mocz. To mogła zrobić bez problemu, za sto dolarów oddać mocz na mężczyznę. Myśl ją ubawiła i uśmiechnęła się cierpko.

Cokolwiek się stanie, postara się wyglądać jak najlepiej i da mu jasno do zrozumienia, że są granice, których nie przekroczy. Powie od razu na samym początku: „Jeśli oczekuje pan seksu, nie mogę panu pomóc”. Albo może powie to w bardziej delikatny sposób, bardziej wymownie:

„Nie chciałabym posuwać się za daleko”. A może za dużo sobie wyobraża; może rzeczywiście chodzi mu tylko o masaż.

Kiedy przyszła do jego domu, zachowywał się opryskliwie.

— Chodź na górę — powiedział i zaprowadził ją do sypialni, w której poza łóżkiem i wielkim obrazem puszki z zupą pomidorową na ścianie nie było nic. zaproponował jej coś do picia, zdawkowo, jakby oczekiwał, że odmówi, a potem zdjął koszulę i położył się na łóżku. Tak bez żadnych wstępów? Wolałaby, żeby robił wszystko wolniej. Nie umiała wykrztusić słowa.

— Chodź tutaj — powiedział. — Musisz mnie ogrzać.

Powinna już wyjść. Przewaga była po jego stronie, znalazła się tam z chwilą, kiedy przekroczyła próg jego domu. Wstała.

— Nie mogę uprawiać seksu — powiedziała. Głos miała piskliwy, niepewny. — Nie mogę uprawiać z panem seksu — powtórzyła.

— Och, nie, wcale tego nie oczekuję — odparł zbyt szybko.

Podeszła wolno do drzwi, zastanawiając się, czy były zamknięte, czy on je zamknął, a potem zaczęła myśleć, że może ma broń.

— Po prostu chodź tutaj i połóż się — powiedział. — Ogrzej mnie. Muszę cię trochę podotykać, ale nie takiego, co by ci się nie podobało. Po prostu potrzebny mi jest kontakt z drugim człowiekiem, żebym się zrelaksował.

Zachowywał się i mówił tak, że nie mogła mu nie wierzyć; czuła się pokonana. Jakież to paskudne, że jest tutaj, z obcym człowiekiem, który już wiedział, że zostanie. Wiedział, że zostanie, bo przyszła. Była tu, już zbrukana. Zdjęła buty i położyła się na jego łóżku. Nie chciała tu być, nie chciała mieć jego ruchliwych palców między nogami, nie chciała, żeby jej jęczał

i dyszał do ucha, a mimo to czuła, jak jej ciało się podnieca, a między nogami zbiera się jej obrzydliwa wilgoć. Po wszystkim leżała nieruchomo, skulona i zmartwiała. Nie zmusił jej.

Przyszła tu z własnej woli. Położyła się na jego łóżku, a kiedy włożył jej rękę między nogi, zacisnęła palce i poruszała nimi. Teraz, nawet kiedy już umyła ręce, trzymając szeleszczący, cieniutki studolarowy banknot, który jej dał, jej palce wciąż były lepkie; już do niej nie należały.

— Dasz radę dwa razy w tygodniu? Zapłacę ci za przejazd — powiedział, rozciągając się, z lekceważeniem; chciał, żeby już poszła.

Nie odpowiedziała.

— Zamknij drzwi — powiedział i odwrócił się do niej plecami.

Poszła na pociąg, ociężała i otumaniona, w mózgu miała błoto, a kiedy usiadła przy oknie, zaczęła płakać. Czuła się jak mała piłeczka, zagubiona i samotna. Świat był wielkim, ogromnym miejscem, a ona była taka maciupeńka, taka nieważna, objijająca się tu i tam bez celu.

W mieszkaniu umyła ręce w wodzie tak gorącej, że poparzyła sobie palce, a na kciuku pojawiła się miękka opuchlizna.

Zdjęła wszystkie ubrania, zgmiotła je w zmiętą kulę i cisnęła w kąt, patrząc na nie przez chwilę. Już nigdy więcej nie założy tych ubrań, nawet ich nie dotknie.

Siedziała naga na łóżku i patrzyła na swoje życie, w tym malutkim pokoiku z zapleśniałym dywanem, studolarowym banknotem na stole, a jej ciało nabrzmięwało obrzydzeniem. Nigdy już tam nie pójdzie. Powinna była wyjść. Chciała wziąć prysznic, wyszorować się, ale nie mogła znieść myśli, że musiałaby dotykać własne ciało, wobec tego założyła nocną koszulę, ostrożnie, żeby jak najmniej się dotykać. Wyobrażała sobie, że pakuje swoje rzeczy, kupuje bilet i wraca do Lagos. Zwinęła się na łóżku i płakała, żalując, że nie może sięgnąć w głąb siebie i wyszarpać wspomnienia tego, co się właśnie wydarzyło. Mrugała lampka na automatycznej sekretarce. To był prawdopodobnie Obinze. Teraz nie mogła o nim myśleć. Pomyślała, że może zadzwoni do Giniki. W końcu zadzwoniła do cioci Uju.

— Poszłam do jednego mężczyzny na przedmieściach. Zapłacił mi sto dolarów.

— He? To bardzo dobrze. Ale musisz poszukać czegoś na stałe. Właśnie się dowiedziałam, że muszę wykupić ubezpieczenia dla Dike'a, bo to, które daje szpital tutaj w Massachusetts, jest do niczego, nie obejmuje go. Wciąż jestem w szoku, że muszę aż tyle zapłacić.

— Nie zapytasz mnie, co zrobiłam, ciociu? Nie zapytasz, co zrobiłam, zanim ten człowiek zapłacił mi sto dolarów? — dopytywała się Ifemelu, czując, jak ogarnia ją złość, przenika po koniuszki palców, aż zaczęły drżeć.

— Co zrobiłaś? — zapytała obojętnie ciocia Uju.

Ifemelu odłożyła słuchawkę. Wybrała przycisk „Nowe” na automatycznej sekretarce.

Pierwszą wiadomość zostawiła matka, mówiąc szybko, żeby zredukować koszty połączenia.

„Ifem, co u ciebie? Dzwonimy, żeby zapytać, jak się miewasz. Dawno się nie odzywałaś. Proszę, wyślij wiadomość. U nas wszystko dobrze. Niech cię Bóg błogosławi.”

Potem głos Obinze, jego słowa płynące w powietrzu, do jej głowy. „Kocham cię, Ifem”

powiedział na końcu, głosem, który nagle wydał się taki odległy, przynależny do innego czasu i miejsca. Leżała sztywno na łóżku. Nie mogła spać, nie mogła na niczym innym skupić uwagi.

Zaczęła myśleć, że zabije trenera tenisa. Walnie go w głowę siekierą. Wbije nóż w jego tłustą pierś. Mieszkał sam, prawdopodobnie przychodziły do niego inne kobiety, żeby rozkładać nogi przed jego grubymi paluchami z obgryzionymi paznokciami. Nikt nie będzie wiedział, która z nich to zrobiła. Zostawi nóż wbity w jego pierś, a potem poszuka w jego szufladach zwitka studolarowych banknotów, żeby mogła zapłacić chesne i czynsz.

Tej nocy spadł śnieg, jej pierwszy śnieg w życiu i rano patrzyła przez okno na świat, na guzowate, zniekształcone przez warstwy śniegu samochody. Była bezkrwista, oderwana, unosila się w świetle, gdzie ciemność zapadała zbyt szybko i wszyscy chodzili okutani płaszczami, zmiażdżeni brakiem światła. Dni przechodziły jeden w drugi, rześkie powietrze zrobiło się mroźne, przy oddychaniu sprawiało ból. Obinze dzwonił wiele razy, ale ona nie podnosiła słuchawki. Usuwała jego wiadomości nieodsłuchane, jego maile nieodczytane i czuła, że tonie, tonie bardzo szybko, nie mogąc wypłynąć na powierzchnię.

Każdego ranka budziła się odrętwiała, spowolniona przez smutek, przerażona czekającym ją dniem bez końca. Wszystko zgęstniało. Została połknięta, zagubiona w kleistej mgle, spowita w zupie nicości. Pomiedzy nią a tym, co powinna czuć, ziała przepaść. Nic ją nie interesowało.

Chciała się czymś zainteresować, przejąc, ale nie wiedziała już jak; za pomniała, jak to jest coś czuć. Czasem budziła się, miotając bezsilnie i przed sobą, z tyłu, wokół widziała tylko całkowitą beznadzieję. Wiedziała, że bez sensu jest być tutaj, żyć, ale brakowało jej energii, żeby obmyślić konkretnie, jak mogłaby się zabić. Czasami zapominała o jedzeniu, kiedy

indziej czekała do północy, gdy współlokatorki były już w swoich pokojach, i dopiero wtedy podgrzewała sobie coś i zostawiała pod łóżkiem brudne talerze, aż zielona pleśń porastała tłuste pozostałości po ryżu i fasoli. Często, kiedy coś jadła albo czytała, ogarniała ją przemożna chęć płaczu i pojawiały się łzy, szloch rozrywał jej gardło. Wyłączyła dzwonek telefonu. Przestała chodzić na zajęcia. Jej dni zamarły otulone ciszą i śniegiem.

Allison znowu waliła w jej drzwi.

— Jesteś tam? Telefon do ciebie! Mówi, że to pilne, na miłość boską! Wiem, że tam jesteś, przed chwilą słyszałam, jak spuszczasz wodę!

Płaskie, głuche walenie, jakby Allison uderzała otwartą dłonią zamiast kłykciami zdenerwowało Ifemelu.

— Nie otwiera — usłyszała, jak Allison mówi, a potem, kiedy już myślała, że Allison sobie poszła, walenie rozległo się od nowa. Wstała z łóżka, na którym leżała, czytając na zmianę po rozdziale dwie powieści, i na ołowianych nogach podeszła do drzwi. Chciała iść szybko, normalnie, ale nie mogła. Jej stopy zamieniły się w ślimaki. Otworzyła drzwi. Z wściekłą miną Allison wcisnęła jej telefon do ręki.

— Dzięki — powiedziała i dodała, mamrocząc cicho: — Przepraszam.

Nawet mówienie, wypychanie słów przez gardło, a potem przez usta, wyczerpywało ją.

— Słucham? — powiedziała do telefonu.

— Ifem! O co chodzi? Co się z tobą dzieje? — zapytała Ginika.

— Nic — odpowiedziała.

— Tak się o ciebie martwiłam. Dzięki Bogu, że znalazłam numer twojej współlokatorki!

Obinze do mnie wydzwania. Wariuje ze zdenerwowania — powiedziała Ginika. — Nawet ciocia Uju pytała, czy cię widziałam.

— Jestem zajęta — powiedziała wymijająco Ifemelu.

Nastąpiła chwila ciszy. Głos Giniki złagodniał.

— Ifem, jestem tutaj, wiesz o tym, prawda?

Ifemelu chciała się rozłączyć i wrócić do łóżka.

— Tak.

— Mam dobre wieści. Dzwoniła Kimberly i prosiła o twój numer telefonu. Ta opiekunka, którą zatrudniła, właśnie odeszła. Chce, żebyś u niej pracowała. Miałabyś zacząć w poniedziałek.

Powiedziała, że od początku cię chciała, ale Laura ja przekonała, żeby zatrudniła kogoś innego.

Ifem, masz pracę! Gotówkę! Na czarno! Ifemesco, to wspaniale. Będzie ci płacić dwieście pięćdziesiąt tygodniowo, więcej niż poprzedniej opiekunce. I to żywą gotówką, pod stołem!

Kimberly jest naprawdę świetna. Jutro po ciebie przyjeżdżam i pojedziemy do niej.

Ifemelu nic nie mówiła, z trudem rozumiejąc. Słowa bardzo długo nabierały znaczenia.

Następnego dnia Ginika pukała i pukała do drzwi, aż Ifemelu w końcu otworzyła, i zobaczyła Allison, która stała na podeście i przyglądała się ciekawsko.

— Jesteśmy już spóźnione, ubieraj się — powiedziała Ginika zdecydowanie, rozkazująco, nie dopuszczając sprzeciwu. Ifemelu naciągnęła jeansy. Czowała na sobie wzrok Giniki.

W samochodzie rockowa muzyka Giniki wypełniała panującą między nimi ciszę. Były na Lancaster Avenue, prawie wyjeżdżając z zachodniej Filadelfii, z pozabijanymi deskami domami i wałającymi się wszędzie opakowaniami po hamburgerach, za którą zaczynały się nieskazitelne, pełne drzew przedmieścia Main Line, kiedy Ginika się odezwała:

— Myślę, że masz depresję.

Ifemelu potrząsnęła głową i obróciła się do okna. Na depresję chorowali Amerykanie, z ich samorozgrzeszającą się potrzebą

zamieniania wszystkiego w chorobę. Ona nie miała depresji; ona była tylko trochę zmęczona i robiła wszystko odrobinę wolniej.

— Nie mam depresji — powiedziała.

Po latach napisała o tym w blogu: „O czarnych nie-Amerykanach cierpiących na choroby, których nazw nie chcą znać”. Pewna Kongijka napisała długą odpowiedź: Przeniosła się do Wirginii z Kinszasy i po kilku miesiącach pierwszego semestru na studiach zaczęła mieć rano zawroty głowy, serce jej waliło, jakby chciało uciec z piersi, żołądkiem szarpały mdłości, czuła mrowienie w palcach. Poszła do lekarza. I chociaż w kwestionariuszu, który dał jej lekarz, wszystkie symptomy zaznaczyła na „Tak”, nie przyjęła do wiadomości, że ma ataki paniki, bo ataki paniki mają tylko Amerykanie. W Kinszasie nikt nie miał ataków paniki. Nie występowały nawet pod inną nazwą, w ogóle jej nie miały. Czy rzeczy zaczynają istnieć dopiero, kiedy się je nazwie?

— Ifem, mnóstwo ludzi przez to przechodzi, i wiem, że nie jest łatwo przystosować się do nowego miejsca, na dodatek nie mieć pracy. W Nigerii nie mówimy o depresji, ale ona istnieje.

Powinnaś porozmawiać z kimś w ośrodku zdrowia. Zawsze mają terapeutów.

Ifemelu wciąż siedziała z twarzą zwróconą do okna. Znowu poczuła miażdżącą chęć, by się rozplakać, i wzięła głęboki oddech w nadziei, że minie. Bardzo chciała opowiedzieć Ginice o trenerze tenisa, tamtego dnia pojechać pociągiem do jej mieszkania, ale teraz było za późno, jej

obrzydzenie do samej siebie zasklepiło się w niej. Nigdy nie zdoła złożyć zdania, by opowiedzieć o tym przyjaciółce.

— Giniko — powiedziała — dziękuję.

Głos miała ochryply. Popłynęły łzy, nie mogła nad nimi zapanować. Ginika zatrzymała się na stacji benzynowej i czekała, aż szloch Ifemelu ustanie, i dopiero wtedy uruchomiła silnik i pojechała do domu Kimberly.

ROZDZIAŁ 16

Kimberly nazwała to premią za podpisanie.

— Ginika mówiła mi, że miałaś trochę problemów — powiedziała. — Nie odmawiaj, proszę.

Ifemelu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby nie przyjąć czeku; teraz mogła popłacić część rachunków, wysłać coś rodzicom. Matce podobały się buty, które jej posłała, z frędzelkami i w szpic, w których mogła chodzić do kościoła. „Dziękuję — powiedziała matka, a potem wzdychając ciężko do słuchawki, dodała: — Był u mnie Obinze”.

Ifemelu milczała.

— Bez względu na to, jaki masz problem, porozmawiaj z nim — powiedziała jej matka.

— OK — odparła Ifemelu i zmieniła temat.

Kiedy matka powiedziała, że przez dwa tygodnie nie było prądu, nagle wydało się jej to obce, a sam dom stał się odległym miejscem. Już nie pamiętała, jak spędza się wieczór przy świeczce. Nie czytała już wiadomości na Nigeria.com, bo każdy nagłówek, nawet najbardziej nieprawdopodobny, przypominał jej o Obinze.

Najpierw dała sobie miesiąc. Miesiąc, żeby wstręt do samej siebie minął, i wtedy zadzwoni do Obinze. Ale miesiąc minął, a ona wciąż nie złamała pieczęci milczenia, zablokowała własny umysł, żeby jak najmniej o nim myśleć. Wciąż usuwała jego maile, nie czytając ich. Wiele razy zaczynała do niego pisać, układała maile, ale po chwili przestawała i usuwała wszystko. Musiałaby mu powiedzieć, co się stało, a nie mogła znieść myśli, że mu o tym mówi. Ginika wciąż pytała, co się stało, dlaczego odcięła się od Obinze, a ona odpowiadała, że to nic takiego, że potrzebuje trochę przestrzeni, a Ginika gapiła się na nią z niedowierzaniem. „Po prostu potrzebujesz przestrzeni?”

Wczesną wiosną dostała list od Obinze. Żeby pozbyć się jego maili, wystarczyło kliknąć, a po pierwszym kliknięciu, następne przychodziło łatwiej, ponieważ nie wyobrażała sobie, że mogłaby przeczytać drugiego maila, nie czytając pierwszego. Ale list to co innego. Poczowała się przez niego tak ogromnie smutna, jak nigdy wcześniej. Osunęła się na łóżko, z kopertą w rękę; wahała ją, patrzyła na znajomy charakter

pisma. Wyobrażała sobie, jak Obinze siedzi przy biurku w akademiku dla chłopców, obok swojej małej, pomrukującej lodówki i pisze ze zwykłym sobie spokojem. Chciała przeczytać list, ale nie mogła się zmusić, żeby go otworzyć. Położyła go na stole. Przeczyta go za tydzień; potrzebowała tygodnia, żeby zebrać siły. I odpisze mu, mówiła sobie. Opowie mu o wszystkim. Ale tydzień minął, a list wciąż tam leżał. Położyła na nim książkę, potem kolejną, aż któregoś dnia pochłonął go stos dokumentów i książek. Nigdy go nie przeczytała.

Taylor nie sprawiał kłopotów, był rozbrykanym i tak naiwnym dzieckiem, że Ifemelu myślała czasem, że jest głupi, co wzbudzało w niej poczucie winy. Ale Morgan, zaledwie trzy lata starsza, już była ponura jak nastolatka. Czytała książki znacznie powyżej swojego poziomu, chodziła na mnóstwo zajęć dodatkowych i patrzyła na dorosłych spod przymkniętych powiek, jakby wiedziała o mrocznych rzeczach, które czały się w ich życiach. Z początku Ifemelu nie lubiła Morgan, odwzajemniając, jak sądziła, całkowitą awersję Morgan wobec siebie. Przez pierwsze tygodnie była dla Morgan chłodna, czasem wręcz zimna, zdecydowana nie ustępować temu rozpuszczonemu, rozkapryszonemu dziecku, ale w miarę jak upływały miesiące, zaczęło jej na Morgan zależeć, co bardzo skrzętnie przed nią ukrywała. W zamian była zdecydowana i neutralna, na każde bezczelne spojrzenie dziewczynki, odpowiadając tym samym. Być może dlatego Morgan robiła to, o co Ifemelu prosiła. Robiła to zimno, obojętnie, ponuro, ale robiła.

Matkę ignorowała rutynowo. Ojcu zaś przyglądała się smętnie, czasem wręcz zjadliwie. Don wracał do domu i brał w posiadanie swój salon, całkowicie przekonany, że z jego powodu cały świat się zatrzyma. I zatrzymywał się, tylko Morgan dalej robiła swoje. Kimberly, gorliwa i zdenerwowana, wypytywała go, jak mu minął dzień, niemal błagalnie, jakby nie do końca mogła uwierzyć, że po raz kolejny do niej wrócił. Taylor rzucał się Donowi w ramiona.

A Morgan odrywała wzrok od telewizora, książki czy gry i obserwowała go, jakby patrzyła przez niego, a Don udawał, że nie kuli się pod jej przeszywającym wzrokiem. Ifemelu czasami się zastanawiała. Czy to Don? Czy zdradzał, a Morgan się dowiedziała? Patrząc na Dona, pierwszą myślą, na widok takiego mężczyzny emanującego lubieżnością, było, że zdradza. Ale jemu być może wystarczało, że wzbudza takie podejrzenia; flirtuje jak oszalały, ale nic poza tym, ponieważ romans wymaga pewnego wysiłku, a on nie był mężczyzną, który daje, lecz wyłącznie bierze.

Ifemelu często wspominała, jak na początku jej pracy pewnego popołudnia Taylor się bawił, a Morgan czytała w gabinecie. Nagle Morgan odłożyła książkę, spokojnie poszła na górę i zerwała całą tapetę w swoim pokoju, przewróciła toaletkę, zrzuciła pościel z łóżka, zdarła zasłony, a potem na kolanach szarpała, szarpała i szarpała mocno przyklejoną wykładzinę, aż przybiegła Ifemelu i ją powstrzymała. Morgan była jak mały, stalowy robot, usiłujący się wyswobodzić z siłą, która przeraziła Ifemelu. Może dziewczynka skończy jako seryjny morderca, jak jedna z tych kobiet z telewizyjnych programów dokumentalnych, które na pół nagie stoją na ciemnych drogach, żeby wabić kierowców ciężarówek, a potem ich udusić. Kiedy w końcu Ifemelu puściła Morgan, powoli rozluźniając uścisk, w którym trzymała spokojną już dziewczynkę, Morgan zeszła na dół i wróciła do swojej książki.

Później zapłakana Kimberly próbowała ją wypytać.

— Kochanie, błagam, powiedz mi, co się stało.

— Jestem zdecydowanie za dorosła na ten cały róż w moim pokoju — powiedziała Morgan.

Teraz Kimberly dwa razy w tygodniu zabiera Morgan do terapeuty w Bala Cynwyd.

Oboje z Donem traktują ją niepewnie, kuląc się ze strachu przed jej potępiającym spojrzeniem.

Kiedy Morgan wygrała w szkole konkurs na wypracowanie, Don wrócił do domu z prezentem dla niej. Kimberly zdenerwowana stała u stóp schodów, gdy Don poszedł

wręczyć córce prezent, owinięty w błyszczący papier. Chwilę później wrócił na dół.

— Nawet na niego nie spojrzała. Po prostu wstała, poszła do łazienki i siedziała tam —

powiedział. — Zostawiłem prezent na łóżku.

— Nic nie szkodzi, kochanie, dojdzie do siebie — powiedziała Kimberly i objęła go, masując po plecach.

Później, *sotto voce*, Kimberly zwierzyła się Ifemelu:

— Morgan naprawdę jest dla niego niedobra. On się tak bardzo stara, ale ona nie dopuszcza go do siebie. Za żadne skarby.

— Morgan nikogo do siebie nie dopuszcza — powiedziała Ifemelu.

Don musi pamiętać, że to ona jest dzieckiem, nie on.

— Ciebie słucha — rzekła Kimberly, odrobinę smutno.

Ifemelu miała ochotę powiedzieć: „Nie daję jej wielkiego wyboru”, ponieważ chciała, żeby Kimberly przestała w tak oczywisty sposób pokazywać swoją spolegliwość; być może Morgan musiała poczuć, że matka potrafi się jej przeciwstawić. Ale powiedziała co innego.

— To dlatego, że nie jestem jej rodziną. Nie kocha mnie i nie żywi wobec mnie tych

wszystkich skomplikowanych uczuć. Ja w najlepszym wypadku jestem tylko zawadą.

— Nie wiem, co robię źle — powiedziała Kimberly.

— To taki etap. Minie, zobaczysz.

Żywiła wobec Kimberly opiekuńcze uczucia, chciała Kimberly chronić.

— Jediną osobą, na której jej naprawdę zależy, jest mój kuzyn Curt. Uwielbia go. Jak mamy rodzinne spotkania, boczy się, chyba że jest też Curt. Zapytam, czy nie mógłby wpaść i z nią porozmawiać.

Laura kupiła czasopismo.

— Popatrz na to, Ifemelu — powiedziała. — To nie Nigeria, ale blisko. Co prawda celebryci bywają lekkomyślni, ale ona robi chyba coś dobrego.

Ifemelu i Kimberly razem spojrzały na stronę: chuda, biała kobieta, uśmiechająca się do kamery, trzymała w ramionach ciemnoskóre, afrykańskie dziecko, a wokół niej małe, ciemnoskóre afrykańskie dzieci stały, tworząc jakby dywan. Kimberly mruknęła, hmmm, jakby nie była pewna, co powinna czuć.

— Na dodatek jest bardzo piękna — powiedziała Laura.

— To prawda — rzekła Ifemelu. — I tak samo chuda jak te dzieci, tylko że ona jest chuda z wyboru, a one go nie mają.

Laura parsknęła śmiechem.

— Naprawdę jesteś zabawna! Uwielbiam tę twoją hardość!

Kimberly się nie śmiała.

— Przepraszam, że Laura to powiedziała — zwróciła się do Ifemelu, kiedy później były już same. — Nigdy nie lubiłam słowa „hardy”. Tego słowa używa się wobec niektórych ludzi, wobec innych nie.

Ifemelu wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, po czym zmieniła temat. Nie mogła zrozumieć, czemu Laura wciąż szuka informacji na temat Nigerii, wypytuje ją o nigeryjski szwindel, opowiada, ile pieniędzy wysyłają Nigeryjczycy z Ameryki z powrotem do swojego kraju. Było to agresywne, pełne nieżyczliwości zainteresowanie; doprawdy dziwne, że aż tak interesowała się czymś, co tak bardzo się jej nie podobało. Być może w rzeczywistości chodziło o Kimberly, a Laura w ten pokrętny sposób atakowała siostrę, mówiąc rzeczy, które zmuszały Kimberly do przeprosin. Ale i tak cała sprawa wydawała się bezsensowna; po co wkładać tyle wysiłku w coś, co daje niewielkie korzyści. Z początku Ifemelu uważała, że przeprosiny Kimberly są urocze, ale z czasem zaczęła się niecierpliwić, ponieważ Kimberly robiła to przesadnie często, jakby w przekonaniu, że przepraszając, wygładzi wszystkie nierówności świata.

— Może byś się do nas wprowadziła? — powiedziała Kimberly po kilku miesiącach. —

Piwnica to w zasadzie jednopokojowe mieszkanie z oddzielnym wejściem. Oczywiście mieszkałabyś za darmo.

Ifemelu już rozglądała się za jakąś kawalerką, teraz, kiedy było ją na to stać, marząc, żeby rozstać się ze swoimi współlokatorkami, ale nie chciała jeszcze bardziej angażować się w prywatne życie Turnerów. Mimo to zastanawiała się, czy nie przyjąć propozycji, ponieważ wyczuła w głosie Kimberly błaganie. Koniec końców jednak zdecydowała, że nie zamieszka z nimi. Kiedy odmówiła, Kimberly zaproponowała, żeby korzystała z jednego z ich samochodów.

— Łatwiej ci będzie tu dojechać po zajęciach. To gruchot. I tak mieliśmy go sprzedać.

Mam nadzieję, że nie zepsuje ci się na drodze — powiedziała, jakby zaledwie kilkuletnia honda bez jednej rysy mogła się zepsuć w czasie jazdy.

— Nie powinnaś dawać mi samochodu. A jeśli któregoś dnia nie wrócę? — zapytała Ifemelu.

Kimberly się roześmiała.

— Nie jest wiele wart.

— Masz amerykańskie prawo jazdy? — zapytała Laura. — To znaczy, czy możesz legalnie prowadzić samochód w tym kraju?

— Oczywiście, że może, Lauro — powiedziała Kimberly. — Dlaczego zgodziłaby się wziąć samochód, gdyby nie mogła?

— Tylko sprawdzałam — odparła Laura, jakby nie można było zaufać Kimberly, że potrafi zadać trudne pytania nieamerykańskim obywatelom.

Ifemelu patrzyła na nie, tak do siebie niepodobne z wyglądu i jednakowo nieszczęśliwe.

Ale Kimberly była nieszczęśliwa wewnętrznie, nie zdawała sobie z tego sprawy, uzbrojona w pancierz pragnienia, aby

wszystko było tak, jak powinno, i nadziei: wierzyła, że inni są szczęśliwi, bo wówczas ona także któregoś dnia może zaznać tego uczucia. Brak szczęścia u Laury był inny, kąśliwy; chciała, żeby wszyscy wokół też byli nieszczęśliwi, bo sama tkwiła w przekonaniu, że ona zawsze będzie.

— Tak, mam amerykańskie prawo jazdy — powiedziała Ifemelu i zaczęła opowiadać, jak to zanim dostała prawo jazdy, robiła w Brooklynie kurs bezpiecznej jazdy, a instruktor, chudy, biały mężczyzna z matowymi włosami w kolorze słomy, oszukiwał. W ciemnym, piwnicznym pokoju pełnym obcokrajowców, do którego wchodziło się po jeszcze ciemniejszych, wąskich schodach, instruktor zebrał od wszystkich gotówkę, a potem wyświetlił z projektora film instruktażowy. Od czasu do czasu rzucał jakiś żart, którego nikt nie rozumiał, i śmiał się sam do siebie. Ifemelu miała pewne podejrzenia co do filmu: jak to możliwe, że w jadącym tak wolno samochodzie może dojść do takich szkód w czasie wypadku, że kierowca może mieć złamany kark? Później instruktor rozdał pytania testowe. Dla Ifemelu były proste i szybko zaznaczyła odpowiedzi ołówkiem. Siedzący obok niej drobny Azjata, może pięćdziesięcioletni, ciągle zerkał na nią, z błaganiem w oczach, ale ona udawała, że nie rozumie, iż pragnie, żeby mu pomogła.

Instruktor zebrał testy, wziął brązową gumkę i zaczął wymazywać niektóre odpowiedzi, zakreślając inne. Wszyscy zdali. Wielu ścisnęło mu rękę i mówili: „Dziękuję, dziękuję” z najróżniejszymi akcentami, a potem wychodzili. Teraz mogli starać się o amerykańskie prawo jazdy. Ifemelu opowiadała tę historię z udawaną szczerością, jakby była dla niej wyłącznie ciekawostką, a nie czymś, czym chciała dopieć Laurze.

— Dla mnie to była dziwna chwila, bo do tej pory uważałam, że w Ameryce nikt nie oszukuje — powiedziała Ifemelu.

— O mój Boże — westchnęła Kimberly.

— To było na Brooklynie? — zapytała Laura.

— Tak.

Laura wzruszyła ramionami, jakby mówiła: oczywiście, na Brooklynie się zdarza, ale nie w tej Ameryce, w której ona mieszka.

Punktem spornym okazała się pomarańcza. Okrągła, czerwono-pomarańczowa, którą Ifemelu przy niosła sobie na lunch, obraną, podzieloną na części i schowaną do zamykanej foliowej torebki. Jadła ją w kuchni, a Taylor siedział obok i odrabiał zadanie domowe.

— Chcesz kawałek, Taylor? — zapytała, podsuwając mu część.

— Dzięki — odpowiedział. Włożył część do ust. Buzia mu się skrzywiła. — Jest zepsuta! Ma coś w środku!

— To są pestki — powiedziała, widząc, co wypluł na rękę.

— Pestki?

— Tak, pomarańcze mają pestki.

— Pomarańcze nie mają w środku żadnych rzeczy.

— Owszem, mają. Po prostu wyrzucić je do śmieci, Taylor. Puszczę ci wideo.

— Pomarańcze nie mają niczego w środku — powtórzył.

Przez całe swoje życie jadł pomarańcze bez pestek, pomarańcze hodowane tak, żeby były doskonale pomarańczowe, miały nieskazitelnie gładką skórę i żadnych pestek, więc w wieku ośmiu lat nie miał pojęcia, że istnieje coś takiego jak pomarańcze z pestkami. Pobiegnął do gabinetu powiedzieć o tym Morgan. Spojrzała na niego znad książki i wsunęła rude włosy za uszy.

— Oczywiście, że pomarańcze mają pestki. Mama po prostu kupuje odmianę bezpestkową. Ifemelu kupiła niewłaściwą.

Rzuciła Ifemelu jedno ze swoich oskarżycielskich spojrzeń.

— Mnie taka pomarańcza odpowiada, Morgan. Wychowałam się na pomarańczach z pestkami — powiedziała Ifemelu i włączyła wideo.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. To musiał być czyściciel dywanów. Następnego dnia Kimberly i Don wydawali prośbę przyjęcie ze zbiórką funduszy dla jednego z ich przyjaciół, o którym Don powiedział: „Startuje do Kongresu, żeby podbudować sobie ego, ale nie ma żadnych szans”, a Ifemelu zdumiała się, że potrafi rozpoznać ego u innych, o swoim zapominając. W drzwiach stał przysadzisty mężczyzna z czerwoną twarzą, objuczony sprzętem do czyszczenia, z czymś przewieszonym przez ramię i czymś innym u stóp, co wyglądało jak kosiarka do trawy. Na widok Ifemelu zeszywniał. Najpierw na jego twarzy odmalowało się zdumienie, ale bardzo szybko przeszło we wrogość.

— Pani chciała wyczyścić dywan? — zapytał, jakby mu nie zależało, a ona zdążyła już zmienić zdanie, jakby wręcz sobie tego życzył.

Popatrzyła na niego szyderczo, wydłużając chwilę ciężką od założeń: wzięła ją za właścicielkę, a nie kogoś takiego spodziewała w tym wielkim domu z białymi kolumnami.

— Tak — powiedziała wreszcie, nagle znużona. — Pani Turner mówiła, że pan przyjdzie.

To była iście prestidigitatorska sztuczka, szybkość, z jaką jego wrogość znikła. Twarz rozpromieniła mu się w uśmiechu. Ona też była pracownikiem. Wszechświat odzyskał ustalony porządek.

— Jak leci? Wiesz, gdzie mam zacząć? — zapytał.

— Na górze — odpowiedziała i wpuściła go, zastanawiając się, gdzie wcześniej schowała się w nim cała ta wesołość.

Nigdy go nie zapomniała, jego popękanych ust ze strzępkami zaschniętych skórek, i zaczęła wpis do bloga „Czasem w Ameryce rasa jest klasą społeczną” od historii jego dramatycznej przemiany, a zakończyła słowami: „Dla niego się nie liczyło, ile mam pieniędzy.

W jego przekonaniu nie nadawałam się na właścicielkę tego okazałego domu wyłącznie przez mój wygląd. W rozmowach Amerykanie często »czarnych« jako ogół wrzucają do jego

worka z »białą biedotą«. Nie ma biednych czarnych i biednych białych. Są czarni i biała biedota.

Doprawdy przedziwne”.

Taylor był podekscytowany.

— Mogę pomóc? Mogę pomóc? — wypytywał czyściciela.

— Nie, dzięki, kolego — powiedział mężczyzna. — Poradzę sobie.

— Mam nadzieję, że nie zaczniesz od mojego pokoju — powiedziała Morgan.

— Dlaczego? — zapytała Ifemelu.

— Bo nie chcę.

Ifemelu chciała opowiedzieć Kimberly o czyścicielu dywanów, ale Kimberly mogła poczuć się zakłopotana i przeprosić ją za coś, co nie było jej winą, tak samo jak często, zbyt często, przepraszała za Laurę.

Przykro było patrzeć, jak Kimberly się miota, za wszelką cenę pragnąc postępować właściwie, jednocześnie nie wiedząc, co jest właściwe. Gdyby opowiedziała Kimberly o czyścicielu dywanów, nie wiadomo, jak by zareagowała — śmiechem, przeprosinami, może chwyciłaby za telefon i zadzwoniła do firmy ze skargą.

Wobec tego opowiedziała jej o Taylorze i pomarańczy.

— Naprawdę myślał, że pestki to coś złego? Zabawne.

— Morgan oczywiście natychmiast mu wytłumaczyła.

— Na pewno.

— Kiedy byłam małą, mama mówiła mi, że jeśli połknę pestkę, w głowie wyrośnie mi pomarańcza. Ile razy przerażona biegłam rano do lustra, żeby sprawdzić. Taylor przynajmniej nie będzie miał z tego powodu traumy.

Kimberly się roześmiała.

— Cześć!

To była Laura, która weszła tylnymi drzwiami z Atheną, chudziutką jak przecinek dziewczyneczką z tak cienkimi włoskami, że prześwitywała między nimi blada skóra na jej główce. Wyglądała jak bezdomne dziecko. Może miksowane warzywa Laury i ściśle przestrzegana dieta sprawiały, że dziewczynka była niedożywiona.

Laura postawiła na stole wazon.

— Jutro będzie wyglądał wspaniale.

— Jest śliczny — powiedziała Kimberly, nachylając się, żeby pocałować Athenę w główkę. — To jest menu firmy cateringowej. Don uważa, że przystawki są za mało wyszukane. Sama nie wiem.

— Chce, żebyś coś dodała? — zapytała Laura, przeglądając menu.

— Tylko powiedział, że jest niezbyt wyszukane, ale był bardzo miły.

W gabinecie Athena zaczęła płakać. Laura poszła do niej i już po chwili nastąpiły negocjacje.

— Chcesz to, kochanie? Żółte, niebieskie czy czerwone? Które chcesz?

Po prostu daj jej jedno, pomyślała Ifemelu. Przytłaczając dziecko czterema rzeczami do wyboru, obciążać je koniecznością podjęcia decyzji, było pozbawianiem go rozkoszy dzieciństwa. W końcu czyhała już na nią dorosłość i coraz bardziej ponure decyzje, jakie będzie musiała podejmować.

— Dzisiaj jest marudna. — Laura poskromiła płacz Atheny i wróciła do kuchni. —

Byłam z nią na kontroli po zapaleniu ucha i przez cały dzień jakoś się trzymała. Och, i spotkałam dzisiaj czarującego Nigeryjczyka. Poszliśmy do przychodni i okazało się, że właśnie zaczął

u nich pracować nowy lekarz, ten Nigeryjczyk, i akurat przechodził, i przywitał się z nami.

Przypominał mi ciebie, Ifemelu. Czytałam w internecie, że Nigeryjczycy są najbardziej wykształconą grupą imigrantów w tym kraju. Oczywiście, to nic nie znaczy w porównaniu z milionami, którzy muszą w twoim kraju żyć za mniej niż dolara dziennie, ale kiedy spotkałam

tego lekarza, pomyślałam o tym artykule, o tobie i innych uprzywilejowanych Afrykańczykach, którzy są tutaj. — Laura przerwała; Ifemelu czuła, jak to często bywało, że Laura chciałaby powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymuje.

Dziwne, że nazwała ją uprzywilejowaną. Uprzywilejowani byli tacy, jak Kayode DaSilva, których paszporty pękały od powbijanych wiz, którzy na lato jeździli do Londynu, popływać do Ikoyi Club, którzy jak gdyby nigdy nic wstawali i mówili: „Jedziemy do Francuzów na lody”.

— Nigdy w życiu nikt nie powiedział o mnie, że jestem uprzywilejowana! — odezwała się Ifemelu. — To miłe.

— Chyba teraz będę chodziła z Atheną do niego. Był cudowny, taki dobrze wychowany i tak poprawnie się wyrażał. Zresztą i tak nie byłam zbyt zadowolona z doktora Bingham, odkąd odszedł doktor Hoffman. — Laura znowu wzięła menu. — Na studiach magisterskich znałam kobietę z Afryki, która była dokładnie taka sama jak ten doktor. Chyba pochodziła z Ugandy.

Była cudowna, ale nie dogadywała się najlepiej z Afroamerykanką z naszej grupy. Nie miała tych wszystkich problemów.

— Może kiedy ojciec Afroamerykanki nie miał prawa głosować, ponieważ był czarny, ojciec Ugandyjki kandydował do parlamentu albo studiował w Oksfordzie — powiedziała Ifemelu.

Laura popatrzyła na nią z udającą zdziwienie miną.

— Chwileczkę, czyżby mi coś umknęło?

— Uważam tylko, że to zbyt uproszczone porównanie. Trzeba trochę rozumieć historię

— powiedziała Ifemelu.

Laurze opadła szczeka. Osłupiała, ale zaraz się pozbierała.

— Cóż, idę po moją córkę, a potem poszukam w bibliotece jakichś historycznych książek, pod warunkiem że je rozpoznam! — oświadczyła Laura i wymaszerowała.

Ifemelu niemal słyszała, jak Kimberly dziko wali serce.

— Przepraszam — powiedziała.

Kimberly pokręciła głową.

— Wiem, że Laura potrafi prowokować — mruknęła Kimberly ze wzrokiem wbitym w sałatkę, którą właśnie mieszała.

Ifemelu pobiegła na górę do Laury.

— Przepraszam. Zachowałam się nieuprzejmie i chciałam przeprosić.

Ale było jej przykro wyłącznie z powodu Kimberly, ponieważ tak mieszała sałatkę, jakby chciała zrobić z niej miazgę.

— Nic się nie stało — prychnęła Laura, wygładzając córce włosy, a Ifemelu wiedziała, że jeszcze długo będzie jej dawała do zrozumienia, jak bardzo poczuła się dotknięta.

Następnego dnia na przyjęciu poza sztywnym „Cześć” Laura nie odezwała się do Ifemelu słowem. W całym domu rozbrzmiewał łagodny pomruk rozmów gości sącących wino z kieliszków. Wszyscy byli do siebie podobni, porządnie, konserwatywnie ubrani, z porządnym i niegroźnym poczuciem humoru i jak wszyscy Amerykanie ze średniej klasy wyższej nadużywali słowa „cudownie”.

— Przyjdiesz pomóc przy przyjęciu, prawda? — Kimberly zapytała Ifemelu, jak zawsze przy okazji spotkań towarzyskich.

Ifemelu nie bardzo rozumiała, na czym ma polegać jej pomoc, ponieważ zawsze był

catering, a dzieci wcześniej kładły się do łóżek, ale pod niefrasobliwym zaproszeniem Kimberly wyczuwała coś na

kształt potrzeby. W jakimś sensie, nie do końca zrozumiiałym dla Ifemelu, jej

obecność wpływała na Kimberly kojąco. Skoro Kimberly chciała, żeby przyszła, to przyjdzie.

— To jest Ifemelu, nasza opiekunka do dzieci i moja przyjaciółka — przedstawiała ją Kimberly gościom.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział do niej mężczyzna z uśmiechem, odsłaniając uderzająco białe zęby. — Afrykańskie kobiety są przepiękne, zwłaszcza Etiopki.

Jakaś para opowiadała jej o swoim safari w Tanzanii.

— Mieliśmy cudownego przewodnika, a teraz płacimy za edukację jego córki.

Dwie kobiety mówiły o datkach dla cudownej organizacji charytatywnej w Malawi, która budowała studnie, cudownym sierocińcu w Botswanie, cudownej spółdzielczości mikrofinansowej w Kenii. Ifemelu gapiała się na nie.

Dobroczynność miała w sobie jakiś luksus, z którym nie umiała się utożsamić i którego nie miała. Uważać dobroczynność za coś oczywistego, upajać się dobroczynnością na rzecz ludzi, których się nie zna — może brało się to z tego, że miało się wczoraj, ma się dzisiaj i jest się przekonanym, że będzie się miało jutro. Tego im zazdrościła.

Zagadnęła ją drobna kobietka w ostro różowym zakiecie.

— Jestem prezesem rady organizacji dobroczynnej w Ghanie. Pracujemy z kobietami ze wsi. Zależy nam na afrykańskim personelu, nie chcemy być organizacją pozarządową, która nie korzysta z miejscowej siły roboczej. Więc gdybyś po studiach szukała pracy i chciała wrócić do Afryki, zadzwoń do mnie.

— Dziękuję.

Ifemelu zapragnęła nagle i rozpaczliwie pochodzić z kraju ludzi, którzy dają, a nie dostają, należeć do tych, którzy mają i dlatego mogą pławić się w łasce dawania, być między tymi, którzy mogą sobie pozwolić na bezgraniczne współczucie i empatię. Wyszła na taras, żeby zaczerpnąć powietrza. Za żywoplotem zauważyła jamajską nianię dzieci sąsiadów, idącą

podjazdem, tę samą, która zawsze unikała wzroku Ifemelu i niechętnie mówiła dzień dobry.

Potem zauważyła jakiś ruch na drugim końcu tarasu. To był Don. W jego zachowaniu było coś podejrzanego i raczej wyczuła, niż zauważyła, że właśnie skończył rozmawiać przez telefon.

— Świetne przyjęcie — powiedział do niej. — Wymówka, żebyśmy mogli z Kim zaprosić przyjaciół. Roger mierzy zdecydowanie za wysoko i powiedziałem mu, że ni cholery nie ma szans...

Don wciąż mówił, głosem kapiącym od serdeczności, a jej robiło się niedobrze. Ona i Don nigdy tak nie rozmawiali. Za dużo informacji, za dużo gadania. Chciała mu powiedzieć, że nie słyszała ani słowa z jego rozmowy przez telefon, nawet jeśli było co usłyszeć, że nic nie wiedziała i nie chciała wiedzieć.

— Wszyscy na pewno się zastanawiają, gdzie się podziewasz — powiedziała.

— Tak, musimy wracać — odparł, jakby wyszli na taras razem.

Kiedy weszli, Ifemelu zobaczyła Kimberly stojącą na środku pokoju, nieco oddaloną od kółka znajomych; szukała wzrokiem Dona i kiedy go dostrzegła, nie oderwała od niego oczu, ze złagodniałą twarzą, w której nie było nawet cienia niepokoju.

Ifemelu wyszła z przyjęcia wcześniej, chciała jeszcze porozmawiać z Dike'em, zanim pójdzie spać. Telefon odebrała ciocia Uju.

— Czy Dike już śpi? — zapytała Ifemelu.

— Myje zęby — odparła ciocia Uju, a potem cichszym głosem dodała: — Dzisiaj znowu wypytywał mnie o swoje nazwisko.

— Co mu powiedziałaś?

— To samo. Wiesz, nigdy mnie o takie rzeczy nie pytał, dopiero teraz, gdy się tutaj przeprowadziliśmy.

— Może dlatego, że teraz pojawił się w jego życiu Bartholomew i jest w nowym środowisku. Wcześniej miał cię dla siebie.

— Tym razem nie zapytał, dlaczego nosi moje nazwisko, zapytał, czy nosi moje nazwisko, bo jego tato go nie kochał.

— Ciociu, może już czas mu powiedzieć, że byłaś drugą żoną — powiedziała Ifemelu.

— Praktycznie byłam drugą żoną.

Ciocia Uju mówiła to wyzywająco, wręcz z pretensją, zaciskając mocno pięść wokół

swojej historii. Powiedziała Dike'owi, że jego ojciec był w wojskowym rządzie, że ona była jego drugą żoną i że dali mu jej nazwisko ze względów bezpieczeństwa, ponieważ pewni ludzie w rządzie, nie jego ojciec, robili złe rzeczy.

— OK, jest już Dike — powiedziała ciocia Uju normalnym głosem.

— Cześć, kuzyna! Szkoda, że nie widziałaś, jak dzisiaj grałem w nogę! — powiedział

Dike.

— Dlaczego strzelasz te wszystkie wspaniałe bramki, kiedy mnie nie ma? A może te bramki ci się śnią? — zapytała Ifemelu.

Roześmiał się. Wciąż łatwo się śmiał, dalej miał to samo poczucie humoru, ale odkąd zamieszkał w Massachusetts przestał być przejrzysty. Otaczała go jakaś powłoka i już nie było tak łatwo go przejrzeć. Wiecznie siedział z głową pochyloną nad game boyem, co jakiś czas ją podnosił, by

popatrzeć na matkę i na świat, ze znużeniem zbyt wielkim jak na dziecko. Stopnie miał coraz gorsze. Ciocia Uju groziła mu coraz częściej.

— Odeślę cię do Nigerii, jeśli jeszcze raz tak zrobisz — powiedziała mu, kiedy Ifemelu była u nich z ostatnią wizytą.

Powiedziała to w igbo, co robiła tylko wtedy, kiedy była zła, a Ifemelu zaczęła się obawiać, że igbo stanie się dla niego językiem kłótni.

Ciocia Uju też się zmieniła. Z początku była ciekawa swojego nowego życia, miała wobec niego oczekiwania.

— To miejsce jest takie białe — powiedziała. — Wyobraź sobie, że wyskoczyłam do apteki, żeby na szybko kupić sobie szminkę, bo do centrum handlowego trzeba jechać pół

godziny, i wszystkie odcienie były za blade! Ale nie mogą zamawiać czegoś, czego nie sprzedają. Przynajmniej tutaj jest cicho i spokojnie i można bezpiecznie pić wodę z kranu, czego bym nigdy nie zrobiła na Brooklynie.

W miarę jak upływały kolejne miesiące, jej ton powoli się zmieniał.

— Nauczyciel powiedział, że Dike jest agresywny — któregoś dnia oznajmiła Ifemelu po rozmowie z dyrektorką szkoły, która ją do siebie wezwała. — Agresywny, też coś. Chce, żebym posłała go do, jak to tutaj nazywają, szkoły specjalnej, gdzie będzie sam w klasie i przydzielą mu do nauki kogoś wyszkolonego do pracy z psychicznymi dziećmi.

Powiedziałam, że to nie mój syn, tylko jej ojciec jest agresywny. Niech pani na niego popatrzy, tylko dlatego, że wygląda inaczej, kiedy robi to samo, co robią inni chłopcy, nagle to jest agresja. A dyrektorka na to: „

Dike jest jednym z nas, wcale nie traktujemy go inaczej”. Co to za udawanie? Niech sobie popatrzy na mojego syna. Jest ich tylko dwóch w całej szkole. Drugie dziecko jest półkrwi i takie jasne, że z daleka nawet nie widać, że jest czarne. Mój syn się wyróżnia, więc jak możecie mówić, że nie widzicie różnicy? Jest bardziej bystry od nich wszystkich razem wziętych. Teraz

chęć go oceniać. Kemi mnie przed tym ostrzegła. Mówiła mi, że to samo próbowali zrobić z jej synem w Indianie.

Później ciocia Uju zaczęła narzekać na swój program na stażu, że jest powolny i ograniczony, dokumenty medyczne wciąż się wypisuje ręcznie i trzyma w zakurzonych

teczkach, a kiedy skończyła rezydenturę, skarżyła się na pacjentów, którzy uważali, że robią jej przysługę, przychodząc do niej. Prawie nigdy nie wspominała o Bartholomeu; zupełnie jakby w domu nad jeziorem w Massachusetts mieszkali tylko ona i Dike.

ROZDZIAŁ 17

W pewien słoneczny, lipcowy dzień Ifemelu postanowiła, że przestanie naśladować amerykański akcent. Tego samego dnia poznała Blaine'a. Jej akcent był bardzo przekonujący.

Opanowała go do perfekcji, obserwując znajomych i dziennikarzy w telewizji, ich niewyraźne „t”

i gardłowe, bulgoczące „r”, zdania zaczynające się od „więc” i gładkie „doprawdy”

w odpowiedzi, ale był to akcent wymuszany świadomie, był aktem woli. Wymagał wysiłku, musiała pamiętać o wykrzywianiu ust, zwijaniu języka. Gdyby wpadła w panikę, przerażenie, obudziła się zniemacka w środku pożaru, nie pamiętałaby, jak wydawać z siebie te amerykańskie dźwięki. Wobec tego postanowiła z tym skończyć w słoneczny dzień, w weekend, kiedy Dike miał urodziny. Na jej decyzję wpłynął telemarketer, który do niej zadzwonił. Była w swoim mieszkaniu przy Spring Garden Street, pierwszym, które było naprawdę jej w Ameryce, tylko jej, kawalerce z ciekącym kranem i hałaśliwym grzejnikiem. Odkąd się wprowadziła, czuła się lekko na duszy, spowita dobrobytem, ponieważ otwierała lodówkę i wiedziała, że wszystko tam było jej, i myła wannę wiedząc, że nie znajdzie w odpływie denerwująco obcych kępek włosów którejs z współlokatorek. „Oficjalnie dwie przecznice od porządnej dzielnicy”, jak ujął to dozorca, Jama, kiedy ostrzegał ją, że od czasu do czasu może usłyszeć strzały, ale chociaż co wieczór otwierała okno i wyteżala słuch, docierały do niej tylko odgłosy późnego lata, muzyka z

przejeżdżających samochodów, radosny śmiech bawiących się dzieci, pokrzykiwania ich matek.

W ten lipcowy ranek, kiedy miała już spakowaną torbę na weekendowy wyjazd do Massachusetts i robiła sobie jajecznicę, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawił się napis

„numer nieznany” i pomyślała, że to może dzwonią jej rodzice z Nigerii. Okazało się jednak, że telemarketer, młody Amerykanin, który polecał jej lepsze stawki za zamiejscowe i międzynarodowe połączenia. Kiedy dzwoniли telemarketerzy, zawsze się rozłączała, ale ten miał

coś w głosie, co kazało jej wyłączyć kuchenkę i nie odłożyć słuchawki, coś wzruszająco młodego, niedoświadczonego, niewypróbowanego, jakieś leciutkie drżenie, agresywną serdeczność typową dla pracowników obsługi klienta, lecz w jego wykonaniu tej agresji nie było; zdawał się mówić to, czego go nauczono na szkoleniu, ale umierał z przerażenia, że może ją obrazić.

Zapytał, jak się miewa, jaka jest pogoda w jej mieście, i powiedział, że w Phoenix jest dość gorąco. Może to był jego pierwszy dzień w pracy, słuchawka w uchu mu przeszkadzała, a on sam miał po części nadzieję, że ludzi, do których dzwoni, nie będzie w domu. Ponieważ było jej go dziwnie żal, zapytała, czy ma do zaproponowania lepsze stawki niż pięćdziesiąt siedem centów za minutę do Nigerii.

— Proszę chwileczkę poczekać. Sprawdzę Nigerię — powiedział, a ona wróciła do mieszania jajecznicy.

Odezwał się ponownie i powiedział, że ma takie same stawki, ale może są jakieś inne kraje, do których dzwoni? Meksyk? Kanada?

— Cóż, czasem dzwonię do Londynu — powiedziała.

Ginika wyjechała tam na lato.

— OK, proszę zaczekać, a ja sprawdzę Francję — odparł.

Wybuchła śmiechem.

— Coś tam panią rozśmieszyło? — zapytał.

Śmiała się jeszcze bardziej. Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć bez ogródek, jakie to

zabawne, że sprzedaje stawki za połączenia międzynarodowe, a nie wie, gdzie jest Londyn, ale powstrzymała się, wyobraziła sobie, jak chłopak może wyglądać, ma osiemnaście, dziewiętnaście lat, nadwagę, różową twarz, dziewczyny go krępują, uwielbia gry komputerowe i nie ma pojęcia o denerwujących sprzecznościach, z których składa się świat. Wobec tego powiedziała:

— W telewizji jest prześmieszna, stara komedia.

— Och, naprawdę? — odparł i także się roześmiał.

Wzruszało ją jego niedoświadczenie, a kiedy odezwał się znowu, żeby podać jej stawki do Francji, podziękowała mu, mówiąc, że są lepsze od tych, z których korzysta, i zastanowi się nad zmianą operatora.

— Kiedy mogę do pani zadzwonić? Jeśli nie ma pani nic przeciwko... — powiedział.

Zastanawiała się, czy dostaje prowizję. Czy dostanie większą wypłatę, jeśli ona zmieni operatora? Ponieważ jeśli jej nie będzie to nic kosztowało, chętnie to zrobi.

— Wieczorem — powiedziała.

— Mogę spytać, z kim rozmawiam?

— Mam na imię Ifemelu.

Powtórzył jej imię z przesadną starannością.

— Czy to francuskie imię?

— Nie. Nigeryjskie.

— Stamtąd pochodzi pani rodzina?

— Tak. — Przełożyła jajka na talerz. — Tam dorastałam.

— Och, naprawdę? Od jak dawna jest pani w Stanach?

— Trzy lata.

— Wow. Super. Mówi pani zupełnie jak Amerykanka.

— Dziękuję.

Dopiero kiedy się rozłączyła, poczuła ogarniające ją coraz większe poczucie wstydu, że mu podziękowała, że z jego słów: „Mówi pani jak Amerykanka” zrobiła sobie girlandę i zawiesiła ją na szyi. Dlaczego to był komplement, osiągnięcie, że mówi jak Amerykanka?

Wygrała; Cristina Tomas, bladolica Cristina Tomas, pod której spojrzeniem kuliła się jak małe, pokonane zwierzątko, teraz mówiłaby do niej normalnie. Jej przelotne zwycięstwo zostawiło po sobie ogromną, niosącą się echem przestrzeń, ponieważ na zbyt długo przybrała ton i zachowanie, które nie były jej. Zjadła więc jajecznicę i postanowiła, że przestanie udawać amerykański akcent. Po raz pierwszy odezwała się bez amerykańskiego akcentu tego popołudnia, na Thirtieth Street Station, nachylając się do kobiety w kasie Amtrak.

— Mogę prosić powrotny do Haverhill? Powrót w niedzielę po południu. Mam studencką zniżkę — powiedziała i poczuła radość, kiedy wyraźnie wymówiła „t” w „studencka”

i niegardłowo „r” w „Haverhill”. To była naprawdę ona; to był głos, którym by się odezwała, gdyby ze snu wyrwało ją trzęsienie ziemi. Mimo to postanowiła, że gdyby kasjerka zareagowała na jej akcent, mówiąc zbyt wolno jak do jakiejś idiotki, wtedy użyłaby swojego Głosu Pana Agbo, zmanierowanej, przesadnej wymowy, której nauczyła się podczas dyskusji w liceum, kiedy to brodaty pan Agbo, szarpiąc za swój postrzępiony krawat, puszczał na magnetofonie nagrania z BBC, a potem kazał wszystkim uczniom powtarzać słowa, aż rozpromieniony wykrzykiwał „Poprawnie!”. Jako dodatek do Głosu Pana Agbo uniosłaby lekko brwi, co w jej mniemaniu byłoby wyniosłą pozą obcokrajowca. Ale nie musiała tego robić, ponieważ pani kasjerka z Amtrak odezwała się normalnie.

— Mogę zobaczyć pani dowód?

Nie musiała więc używać Głosu Pana Agbo aż do spotkania z Blaine’em.

W pociągu panował tłok. Chyba tylko miejsce obok Blaine’a było jedynym wolnym

w całym wagonie, a na nim leżała butelka soku i gazeta, może jego. Zatrzymała się, gestem wskazując na miejsce, ale on siedział ze wzrokiem wbitym przed siebie. Za nią kobieta ciągnęła ciężką walizkę, a konduktor ogłaszał, że wszystkie osobiste rzeczy mają zostać zabrane z wolnych siedzeń, i Blaine zauważył ją stojącą obok — jak mógł nie zauważyć? — i wciąż nie zareagował. Pojawił się więc jej Głos Pana Agbo:

— Proszę wybaczyć. Czy to pańskie? Czy byłby pan uprzejmy to zabrać?

Położyła swoją torbę na górnej półce i usadowiła się na siedzeniu, sztywno, z czasopismem w rękę, odchyłona w stronę przejścia, jak najdalej od niego.

— Naprawdę bardzo przepraszam, nie zauważyłem, że pani stoi.

Jego przeprosiny ją zaskoczyły, a zrobił to tak gorliwie i szczerze, jakby naprawdę bardzo ją uraził.

— Nie ma sprawy — powiedziała i uśmiechnęła się.

— Jak się pani miewa? — zapytał.

Umiała odpowiedzieć śpiewnie, w amerykańskim stylu „świetnie-a-pan?”, lecz teraz odpowiedziała zwyczajnie:

— Dobrze, dziękuję.

— Jestem Blaine — powiedział i wyciągnął rękę.

Wydawał się wysoki. Był mężczyzną o skórze w kolorze imbiru i smukłym, proporcjonalnym ciele, na którym mundur leżałby idealnie, każdy mundur. Natychmiast się domyśliła, że jest amerykańskim Afrykańczykiem, nie z Karaibów, nie Afrykańczykiem ani dzieckiem imigrantów z jednego z tych miejsc. Nie zawsze umiała to ocenić. Kiedyś zapytała taksówkarza: „Skąd pan jest?” wymownym, porozumiewawczym tonem, pewna, że pochodzi z Ghany, a on ze wzruszeniem ramion odparł: „Detroit”. Ale im dłużej była w Ameryce, tym lepiej szło jej rozpoznawanie, czasem po wyglądzie i sposobie chodzenia, ale głównie z postawy i zachowania, tego delikatnego śladu, jakim człowieka naznacza

kultura. Co do Blaine'a była pewna: był potomkiem czarnych mężczyzn i kobiet, którzy przebywali w Ameryce od setek lat.

— A ja Ifemelu, miło mi — powiedziała.

— Jesteś Nigeryjką?

— Owszem, tak.

— Burżujka z Nigerii — powiedział i uśmiechnął się.

Zdumiewające, ale jego kpiarska uwaga, zakwalifikowanie jej do uprzywilejowanej grupy sprawiło, że natychmiast zapanowała między nimi atmosfera intymności.

— Taka sama burżujka jak ty — powiedziała.

Teraz już flirtowali otwarcie. Przyjrzała mu się dyskretnie, jasnym spodniom khaki i marynarskiej koszulce, ubraniu wybranym z odpowiednim namysłem: mężczyzna, który patrzy na siebie w lustrze, ale nie podziwia się zbyt długo. Powiedział jej, że znał się na Nigeryjczykach, był adiunktem w Yale, i chociaż interesował się głównie południową Afryką, jak mógł się na nich nie znać, skoro byli wszędzie?

— Ilu was jest, jeden na pięciu Afrykańczyków to Nigeryjczyk? — zapytał, wciąż z uśmiechem.

Zachowywał się ironicznie, ale jednocześnie był serdeczny, jakby przekonany, że łączy ich wrodzona żartobliwość, której nie trzeba werbalizować.

— Tak, my Nigeryjczycy dużo się przemieszczamy. Musimy. Jest nas zbyt wielu, a miejsca mamy mało — powiedziała i nagle uświadomiła sobie, jak blisko siebie siedzą, rozdzieleni tylko jednym podłokietnikiem. Posługiwał się amerykańskim angielskim, który ona właśnie zarzuciła, który kazał wierzyć ankieterom wpytującym przez telefon o rasę, że jest się białym i wykształconym.

— Jak rozumiem, zajmujesz się południową Afryką? — zapytała.

— Nie. Polityką porównawczą. Tutaj na studiach podyplomowych nie można studiować tylko Afryki. Można porównywać Afrykę do Polski albo do Izraela, ale żeby skupiać się tylko na Afryce? Na to się nie zgadzają.

Mówiąc „oni” sugerował, że są też „my”, co oznaczałoby ich dwoje. Nie nosił obrączki.

Zaczęła sobie wyobrażać, że są w związku, oboje budzą się w zimie, tulą w przejrzystej bieli porannego światła, piją herbatę English Breakfast; miała nadzieję, że jest jednym z tych Amerykanów, którzy lubią herbatę.

Jego sok w butelce upchniętej w kieszeni na oparciu siedzenia z przodu był

z organicznych granatów. Prosta, brązowa butelka z prostą, brązową etykietką, elegancka i ekologiczna. Żadnych chemikaliów w soku, żadnego atramentu zmarnowanego na dekoracyjną etykietkę. Gdzie to kupił? Takich rzeczy nie sprzedają na dworcach kolejowych. Może był

weganinem, nie ufał wielkim korporacjom i robił zakupy tylko na targowiskach rolnych, a z domu brał ze sobą organiczny sok. Denerwowały ją koleżanki Giniki, z których większość właśnie tak się zachowywała, ich przekonanie, że mają rację, sprawiało, że czuła się zirytowana i nie dość dobra, ale Blaine’owi była gotowa wybaczyć jego zaangażowanie. Trzymał książkę z biblioteki, w twardej oprawie, której tytułu nie widziała, a obok butelki z sokiem wcisnęła „New York Timesa”. Kiedy zerknął na jej czasopismo, pożalowała, że nie wyjęła tomiku poezji Esiaby Irobi, który chciała przeczytać w drodze powrotnej. Może sobie pomyśleć, że czyta tylko płytkie magazyny o modzie. Nagle zapragnęła się zrehabilitować i kompletnie bez sensu powiedzieć mu, jak uwielbia poezję Yusufa Komunyakaa’i. Najpierw ręką zasłoniła jaskrawo czerwoną szminkę na twarzy modelki na okładce. Potem nachyliła się i wepchnęła pismo do kieszeni przed sobą i nieco sztywno zauważyła, jakim absurdem jest umieszczanie na okładkach magazynów dla kobiet drobnych, białych modelek o niedużych piersiach i wymuszać, żeby reszta grubokościstego, wieloetnicznego świata kobiet dążyła do takiego wizerunku. — Ale mimo to wciąż je czytam — powiedziała.

— To jak palenie, wiadomo, że nam szkodzi, ale i tak to robimy.

— Grubokościste i wieloetniczne — powtórzył z rozbawieniem, ze wzrokiem przepelnionym życzliwym zainteresowaniem; urzekło ją, że nie należał do mężczyzn, którzy przybierali chłodną, pełną udawanej obojętności postawę, gdy jakaś kobieta im się podobała.

— Jesteś na studiach magisterskich? — zapytał.

— Studiuję w college'u w Wellson.

Wydawało się jej, czy rzeczywiście dojrzała na jego twarzy rozczarowanie, zdumienie?

— Naprawdę? Wyglądasz na starszą.

— Bo jestem. Zanim tu przyjechałam, studiowałam w Nigerii.

— Poprawiła się na siedzeniu, zdecydowana wrócić do flirtowania. — Ty z kolei jesteś zbyt młody jak na profesora.

Twoi studenci chyba nie są pewni, kto ich uczy.

— Obawiam się, że nie tylko tego nie są pewni. Wykładam dopiero drugi rok. —

Przerwał. — Myślałaś o studiach magisterskich?

— Tak, ale obawiam się, że skończę college i nie będę już umiała mówić po angielsku.

Znam jedną dziewczynę, koleżankę koleżanki, i słucham jej z przerażeniem. Semiotyczna dialektyka w intertekstualnej nowoczesności. Przecież to kompletnie bez sensu. Czasem mam wrażenie, że oni żyją w równoległym, akademickim świecie, w który zamiast po angielsku mówi się po akademicku i tak naprawdę nie mają pojęcia, co dzieje się w prawdziwym świecie.

— To bardzo ostra opinia.

— Nie wiem, czy można mieć inną.

Roześmiał się, a ona ucieszyła się, że go rozbawiła.

— Rozumiem, o co ci chodzi — powiedział. — W swoich badaniach zajmuję się ruchami społecznymi, polityczną ekonomią dyktatury, amerykańskimi prawami wyborczymi i przedstawicielstwami, rasą i etnicznością w polityce i finansowaniem kampanii. To moja zwykła gadka. Z czego

większość to bzdury. Uczę tego na zajęciach i zastanawiam się, czy to ma w ogóle jakieś znaczenie dla tych dzieciaków.

— Och, na pewno. Bardzo bym chciała chodzić na któreś z twoich zajęć. — Powiedziała to zbyt ochoczo.

Wyszło nie tak, jak chciała. Nie mając takiego zamiaru, sama sprowadziła się do roli jego potencjalnej studentki. On wyraźnie chciał zmienić bieg rozmowy. Może też nie chciał być jej wykładowcą. Powiedział, że był u przyjaciela w Waszyngtonie, a teraz wraca do New Haven.

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytał.

— Warrington. Niedaleko Bostonu. Moja ciotka tam mieszka.

— Przyjeżdżasz czasem do Connecticut?

— Rzadko. Nigdy nie byłam w New Haven. Ale byłam w centrach handlowych w Stamford i Clinton.

— Rozumiem, w centrach handlowych.

Kąciki ust odrobinę mu opadły.

— Nie lubisz centrów handlowych?

— Poza tym, że są bezduszne i nijakie?

Nigdy nie rozumiała kłótni o centra handlowe i gadania, że w każdym są takie same sklepy; jej podobało się w nich właśnie to, że niczym się od siebie nie różniły. A on przecież musiał gdzieś kupować te swoje starannie dobrane ubrania.

— Jak rozumiem, sam sobie hodujesz bawełnę i robisz ubrania? — zapytała.

Roześmiał się, ona roześmiała się również. Wyobrażała sobie ich oboje, jak trzymając się za ręce idą do centrum handlowego w Stamford, a ona przypomina mu tę rozmowę z dnia, w którym się poznali, i podnosi twarz, żeby go pocałować. Na ogół nie miała zwyczaju rozmawiać z obcymi w środkach transportu publicznego — kiedy kilka lat później zaczęła pisać swojego bloga, robiła to znacznie częściej — ale teraz mówiła i mówiła, może dlatego, że posługiwała się nowym głosem. Im więcej rozmawiali, tym bardziej wmawiała

sobie, że to nie przypadek; spotkanie go w dniu, w którym zwróciła sobie swój głos, musiało coś oznaczać.

Powiedziała mu, z tłumionym śmiechem kogoś, kto nie może się doczekać puenty swojego dowcipu, o telemarketerze, który myślał, że Londyn jest we Francji. Blaine się nie zaśmiał, tylko potrząsnął głową.

— Nie szkolą ich jak należy. Założę się, że pracuje tam tymczasowo, bez ubezpieczenia, bez żadnych świadczeń.

— Tak — powiedziała speszona. — Było mi go w sumie żal.

— Kilka tygodni temu mój wydział przenosił się do innego budynku. Uniwersytet wynajął firmę i kazał im w nowych gabinetach poustawiać wszystko dokładnie tak samo, jak w starych. I tak zrobili. Wszystkie moje książki stały tam, gdzie trzeba. Ale wiesz, co zauważyłem później? Wiele książek stało do góry nogami. — Patrzył na nią, jakby oboje doznali wspólnego objawienia, a ona przez chwilę nie wiedziała, po co jej to opowiada.

— Och. Pracownicy firmy nie umieli czytać — odezwała się w końcu.

Kiwnął głową.

— To mnie prawie zabiło... — Jego głos ucichł.

Zaczęła sobie wyobrażać, jaki byłby w łóżku: delikatny, uważny kochanek, dla którego emocjonalne spełnienie było równie ważne jak wytrysk, nie osądzałby jej obwisłego ciała, każdego ranka budziłby się pogodny. Szybko odwróciła wzrok, przestraszona, że mógłby

odgadnąć jej myśli, bo tak dokładnie i wyraźnie sobie wszystko wyobraziła.

— Napiałabyś się piwa? — zapytał.

— Piwa?

— Tak, w wagonie restauracyjnym podają piwo. Masz ochotę? Ja idę sobie kupić.

— Tak. Dziękuję.

Wstała z zażenowaniem, żeby go przepuścić, i miała nadzieję, że poczuje jego zapach.

Ale nie poczuła. Nie używał wody kolońskiej. Może ją bojkotował, bo producenci nie traktowali swoich pracowników jak należy. Patrzyła, jak idzie przejściem, wiedząc, że on wie, że na niego patrzy. Było jej miło, kiedy zaproponował jej piwo. Martwiła się, że pije tylko sok z organicznych granatów; uznała za miłe, że poza sokiem z organicznych granatów pije również piwo. Kiedy wrócił z piwem i rozlał je zamazyście do dwóch plastikowych kubków, uznała to za bardzo romantyczne. Nigdy nie przepadała za piwem. W dzieciństwie nauczyła się, że to męski alkohol, ordynarny i nieelegancki. Teraz, siedząc obok Blaine'a i śmiejąc się z jego opowieści, jak to po raz pierwszy naprawdę się upił na pierwszym roku studiów, doszła do wniosku, że mogłaby polubić piwo.

Opowiadał jej o swoich latach w college'u: idiotycznym pomysłem, żeby w czasie inicjacji do bractwa zjeść kanapkę ze spermą; jak latem w czasie wakacji po drugim roku wędrował po Azji i Chinach, gdzie wciąż wołali na niego Michael Jordan; jak tydzień po ukończeniu studiów jego matka zmarła na raka.

— Kanapkę ze spermą?

— Spuścili się do chlebka pita i trzeba było ugryźć kęs, ale nie trzeba było połykać.

— O Boże.

— Cóż, na szczęście w młodości robi się różne głupoty, żeby potem w starszym wieku ich unikać.

Kiedy konduktor oznajmił, że następną stacją jest New Haven, Ifemelu przeszył ból utraty. Wyrwała kartkę z magazynu i napisała na niej swój numer telefonu.

— Masz wizytówkę? — zapytała.

Pomacał się po kieszeniach.

— Przy sobie nie mam żadnych.

Milczeli, kiedy zbierał swoje rzeczy. Potem zaczęły piszczeć hamulce. Odnosiła wrażenie, choć miała nadzieję, że się myli,

iż nie chce dać jej swojego numeru telefonu.

— Może zapiszesz mi swój numer, oczywiście jeśli go pamiętasz — zaproponowała.

Kiepski żart. To z powodu piwa wyrwały się jej te słowa.

Napisał numer na jej czasopiśmie.

— Uważaj na siebie — powiedziała.

Wychodząc, dotknął ją lekko w ramię, a w jego oczach malowała się czułość połączona ze smutkiem, i powiedziała sobie, że nie miała racji, podejrzewając go o niechęć. Już za nią tęsknił. Przesiadła się na jego miejsce, rozkoszując się ciepłem pozostawionym przez jego ciało, i przez okno patrzyła, jak idzie peronem.

Natychmiast po przyjeździe do domu cioci Uju chciała do niego zadzwonić. Ale uznała, że lepiej poczekać kilka godzin. Po godzinie powiedziała pieprzyć to i zadzwoniła. Nie odebrał.

Zostawiła wiadomość. Później znowu zadzwoniła. Bez skutku. Dzwoniła i dzwoniła, i dzwoniła.

Żadnej odpowiedzi. Zadzwoniła o północy. Nie zostawiła wiadomości. Przez cały weekend dzwoniła i dzwoniła, ale on ani razu nie podniósł słuchawki.

Warrington było sennym, zadowolonym z siebie miastem; kręte drogi przecinały gęste

lasy — nawet główna ulica, której mieszkańcy nie chcieli poszerzać z obawy, że to zachęciłoby obcych, była kręta i wąska — senne domki kryły się za drzewami, a w weekendy błękitne jezioro oznaczone było łodziami. Za oknem jadalni cioci Uju jezioro połyskiwało, a jego błękit był tak kojący, że przyciągał wzrok. Ifemelu stała przy oknie, a ciocia Uju siedziała przy stole, pijąc sok pomarańczowy, i jak klejnoty wyrzucała z siebie żale. Stało się to już zwyczajem podczas wizyt Ifemelu — ciocia Uju zbierała swoje niezadowolenie i żale do jedwabnej torebki, troszczyła się o nie, polerowała, a potem w sobotę, kiedy przyjeżdżała Ifemelu, Bartholomew

gdzieś wychodził, a Dike siedział na górze, ona rozrzuciła je na stole, obracała na wszystkie strony, szukając dla nich najlepszego światła.

Czasem tę samą historię opowiadała dwa razy. Jak na przykład któregoś dnia poszła do publicznej biblioteki, zapomniała wyjąć z torebki książkę, której nie zwróciła, a strażnik powiedział do niej: „Wy nigdy nie robicie niczego jak należy”. Albo jak weszła do gabinetu lekarskiego, a pacjent zapytał ją: „Lekarz przyjdzie?”, a kiedy odparła, że ona jest lekarzem, pacjent zrobił się purpurowy na twarzy.

— I wyobraź sobie, po południu zadzwonił, że chce zmienić lekarza! Coś takiego!

— A co o tym wszystkim myśli Bartholomew? — Ifemelu gestem ręki ogarnęła pokój, jezioro, całe miasto.

— Ten to wciąż goni za interesami. Codziennie wychodzi wcześniej i wraca późno. Dike nie widzi go czasem przez cały tydzień.

— Naprawdę dziwię się, ciociu, że wciąż tu jeszcze siedzisz — powiedziała Ifemelu cicho, a mówiąc „tu”, nie tylko Warrington miała na myśli.

— Chcę mieć jeszcze jedno dziecko. Staramy się — powiedziała ciocia Uju i stanęła obok Ifemelu przy oknie.

Na drewnianych schodach rozległ się tupot kroków i Dike wszedł do kuchni, w wypłowiałym T-shircie i z game boyem w ręce. Za każdym razem, kiedy Ifemelu go widziała, wydawało się jej, że urósł i stał się bardziej zamknięty w sobie.

— W tej koszulce jedziesz na wycieczkę? — zapytała go ciocia Uju.

— Tak, mam — powiedział, nie odrywając wzroku od migającego ekranika, który miał przed sobą.

Ciocia Uju poszła sprawdzić piekarnik. Obiecała mu, że z powodu jego pierwszej wycieczki zrobi mu na śniadanie nuggetsy z kurczaka.

— Kuzyna, ale później gramy w nogę, tak? — zapytał Dike.

— Tak — powiedziała Ifemelu. Wzięła z jego talerza jednego nuggetsu i włożyła do ust.

— Nuggetsy z kurczaka na śniadanie są już wystarczająco dziwne, ale czy to jest kurczak, czy jakiś plastik?

— Przyprawiony plastik — powiedział.

Odprowadziła go do autobusu i patrzyła, jak wsiada; w oknach same blade twarze innych dzieci; kierowca autobusu, który pomachał jej zbyt radośnie. Czekala na niego w tym samym miejscu, kiedy autobus wrócił po południu. Na jego twarzy malowała się jakaś powściągliwość, niemal smutek.

— Co się stało? — zapytała, obejmując go ramieniem.

— Nic — odpowiedział. — Zagramy teraz w nogę?

— Najpierw mi powiesz, co się stało.

— Nic się nie stało.

— Uważam, że przyda ci się trochę cukru. Jutro i tak pewnie zjesz go za dużo, w torcie urodzinowym. Ale teraz zjemy coś słodkiego.

— Przekupujesz cukrem te dzieci, którymi się opiekujesz?
Rany, mają fart.

Roześmiała się. Wyjęła z lodówki opakowanie oreos.

— Grasz w nogę z dziećmi, którymi się opiekujesz? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała, chociaż od czasu do czasu grała z Taylorem, kopiąc z nim piłkę w ich ogromnym, zadrzewionym ogrodzie. Czasem, kiedy Dike wypytywał ją o dzieci, którymi się opiekowała, zaspokajała jego dzieciinną ciekawość, opowiadała mu o ich zabawkach, życiu, ale pilnowała się, aby nigdy nie pomyślał, że są dla niej ważni.

— Jak było na wycieczce?

— Dobrze. — Chwila ciszy. — Opiekunka mojej grupy, Haley, dała krem z filtrem wszystkim dzieciom, ale mnie nie. Powiedziała, że mnie nie jest potrzebny.

Popatrzyła na jego buzię. Była prawie bez wyrazu i to ją przeraziło. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Pomyślała, że skoro jesteś ciemny, nie potrzebujesz kremu z filtrem. Ale to nieprawda.

Mało kto wie, że ciemnoskórzy ludzie, też potrzebują kremów z filtrem. Kupię ci, nie martw się.

Mówiła zbyt szybko, niepewna, czy mówi to, co powinna, ani w ogóle co powinna powiedzieć, i martwiła się, że zajście sprawiło mu dużą przykrość, co zdradzała jego mina.

— Nic się nie stało — powiedział. — To było nawet zabawne. Mój kolega Danny się śmiał.

— A czemu ten kolega uważał, że to śmieszne?

— Bo tak było!

— Chciałeś, żeby tobie też dała krem z filtrem, prawda?

— Chyba tak — powiedział ze wzruszeniem ramion. — Chciałem być taki sam jak wszyscy.

Objęła go. Później poszła do sklepu i kupiła mu wielką butlę kremu z filtrem i przy następnych odwiedzinach widziała, że leży na jego toalecie, zapomniany i nieużywany.

Żeby czarni nie-Amerykanie mogli zrozumieć Amerykę:
amerykańska plemienność

W Ameryce plemienność ma się bardzo dobrze i kwitnie.
Dzieli się na cztery rodzaje —

klasa, ideologia, region i rasa. Najpierw klasa. Bardzo proste.
Bogaci i biedni.

Następnie ideologia. Liberałowie i konserwatyści. Nie tylko nie zgadzają się w kwestiach politycznych, ale jedni uważają drugich za wcielenie zła. Odradza się mieszane małżeństwa, a w rzadkich sytuacjach, kiedy do nich dochodzi, uważa się je za coś niezwykłego. Po trzecie, region.

Północ i Południe. Obie strony toczyły ze sobą wojnę i jej ślady wciąż są widoczne. Północ patrzy na Południe z góry, a Południe nie lubi Północy. Wreszcie rasa. W Ameryce jest

drabina hierarchii rasowej. Biali są zawsze na szczycie, zwłaszcza biali anglosascy protestanci, znani też jako WASP, a amerykańscy czarni zawsze są na samym dole, natomiast to, co jest pomiędzy, zależy od czasu i miejsca. (Albo jak mówi wspaniały wierszyk: *Biały zawsze doskonały, brązowy niech będzie gotowy; czarny do brytfanny!*) Amerykanie zakładają, że każdy tę plemienność rozumie. Ale trzeba czasu, żeby się w niej połapać. Na przykład do college'u przyjechał uczony z gościnnym wykładem i jedna studentka szepnęła do drugiej: „O mój Boże, straszny Żyd”

i zadrzała, dosłownie zadrzała. Jakby Żyd to było coś złego. Nie mogłam tego zrozumieć. Dla mnie ten człowiek był biały, niczym się od tej studentki nie różnił. Dla mnie Żydzi byli czymś niepojętym, biblijnym. Ale szybko się nauczyłam. Widzicie, na amerykańskiej drabinie rasowej Żydzi należą do białych, ale jednak stoją kilka szczebli niżej od białych. Trochę to było niejasne, ponieważ znałam jasnowłosą, piegowatą dziewczynę, która powiedziała mi, że jest Żydówką.

Skąd Amerykanie wiedzą, kto jest Żydem? Skąd ta studentka wiedziała, że ten facet był Żydem?

Przeczytałam gdzieś, że w amerykańskich college'ach pytali dawniej kandydatów o nazwisko

panieńskie matki, żeby się upewnić, że nie są Żydami, bo Żydów nie przyjmują. Więc może w ten sposób można ich rozpoznać? Po nazwiskach? Im dłużej się tu jest, tym więcej się rozumie.

ROZDZIAŁ 18

Nowa klientka Mariamy nosiła jeansowe, opięte na tyłku szorty i sportowe buty w takim samym jaskraworóżowym kolorze jak jej bluzka. Z uszu zwisały jej wielkie koła. Stała przed lustrem i zaczęła opisywać, jakie chce mieć warkoczyki.

— Jak zygzak z przedziałkiem tutaj z boku, ale nie dodawaj włosów na początku, tylko dopiero przy kocyku — powiedziała wolno, przesadnie artykułując. — Rozumiesz? — dodała, najwyraźniej już przekonana, że Mariama nie rozumiała.

— Rozumiem — odpowiedziała cicho Mariama. — Chce pani zobaczyć zdjęcie? Mam taką fryzurę w albumie.

Przejrzały album i w końcu klientka, zadowolona, usiadła, z zawiązaną na szyi postrzępioną, plastikową pelerynką, na ustawionym odpowiednio krześle, a Mariama przez cały ten czas uśmiechała się uśmiechem, za którym skrywała wiele niewypowiedzianych słów.

— Poszłam kiedyś do innej fryzjerki — powiedziała klientka. — Też była Afrykanką i chciała mi spalić te cholerne włosy! Przyniosła ten rozjaśniacz, a ja mówię, Shontay White, niech ta kobieta nawet się z tym nie zbliża do moich włosów. Pytam ją, po co to? A ona mówi, że chce umyć warkoczyki, a ja na to, co? A potem ona chce mi pokazać, próbuje zmoczyć jeden warkoczek tym rozjaśniaczem, a ja się na nią wściekłam.

Mariama pokręciła głową.

— Och, to niedobrze. Nie wolno spalić. My tego nie robimy.

Weszła klientka, z głową owiniętą jaskrawożółtą chustką.

— Dzień dobry — powiedziała. — Chciałabym sobie zrobić warkoczyki.

— A jakie pani sobie życzy? — zapytała Mariama.

— Zwykle kwadratowe, średnie.

— Chce pani długie? — zapytała Mariama.

— Nie za długie, może do ramion?

— OK. Proszę usiąść. Ona pani robi — powiedziała Mariama, pokazując na Halimę, która siedziała z tyłu wgapiona w telewizor. Halima wstała i przeciągnęła się odrobinę za długo, jakby pokazując swoją niechęć.

Kobieta usiadła i pokazała na stos DVD.

— Sprzedajecie nigeryjskie filmy? — zapytała Mariamy.

— Nie. Po prostu dużo ich mamy.

— Niektóre są naprawdę fajne — powiedziała Mariama.

— Nie mogę ich oglądać. Chyba jestem uprzedzona. W moim kraju, Afryce Południowej, Nigeryjczycy znani są z tego, że

kradną karty kredytowe, biorą narkotyki i robią różne inne okropne rzeczy. Te filmy chyba też są o tym.

— Jest pani z Afryki Południowej? W ogóle nie ma pani akcentu! — wykrzyknęła Mariama.

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Jestem tu od dawna. Ale to nie robi żadnej różnicy.

— Nie — powiedziała Halima, ożywiając się nagle i stając za kobietą. — Kiedy tu przyjechałam, mojego syna bili w szkole, bo miał afrykański akcent. To było w Newark.

Jakbyście widziały jego twarz. Fioletowa jak cebula. Oni go bili, bili i bili. Czarni chłopcy tak go bili. Teraz akcentu nie ma i problemy się skończyły.

— To przykre — powiedziała kobieta.

— Dziękuję. — Halima uśmiechnęła się, już zachwycona kobietą, przez jej niesamowity wyczyn, amerykański akcent.

— Tak, Nigeria bardzo skorumpowana. Ja oglądałam filmy, ale nie, nie pojedę do Nigerii! — Pomachała dłonią w powietrzu.

— Ja nie mogę wyjść za Nigeryjczyka i nikomu w rodzinie nie pozwolę na ślub z kimś z Nigerii — powiedziała Mariama i posłała Ifemelu przepaszający uśmiech. — Nie wszyscy, ale dużo z nich robi złe rzeczy. Nawet zabijają dla pieniędzy.

— Cóż, tego nie wiem — powiedziała klientka, bez przekonania łagodząc trochę swój ton.

Aisha popatrzyła na nią, chytrze i bez słowa. Później szepnęła do Ifemelu z podejrzliwą miną:

— Jesteś tu piętnaście lat, ale nie masz amerykańskiego akcentu. Dlaczego?

Ifemelu ją zignorowała i po raz kolejny otworzyła powieść Jean Toomer *Laska*.

Wpatrywała się w litery i nagle zapragnęła, żeby mogła cofnąć czas i odłożyć powrót do domu.

Może zbyt szybko się pośpieszyła. Nie powinna była sprzedawać mieszkania. Powinna była przyjąć ofertę magazynu „Letterly”, który chciał kupić jej bloga, a ją samą zatrudnić jako blogerkę

na etacie. A jeśli przyjedzie do Lagos i zorientuje się, że to był błąd? Nawet myśl, że zawsze może wrócić do Ameryki, nie była takim pocieszeniem, jakby sobie tego życzyła.

Film się skończył i w nagle cichym pomieszczeniu odezwała się klientka Mariamy:

— Ten jest szorstki.

Dotknęła cienkiego warkoczyka, który zygzakiem biegł wzdłuż jej czaszki, i mówiła głośniejszym głosem, niż to było konieczne.

— Żaden problem, zrobię go jeszcze raz — powiedziała Mariama.

Zgadzała się na wszystko, odzywała uprzejmie, ale Ifemelu czuła, że uważa swoją klientkę za awanturnicę, a warkoczyk jest w porządku, lecz to gorączkowe schlebianie klientce, ten błyszczący fałsz był częścią jej nowego amerykańskiego „ja”, na które się godziła i które akceptowała. Kiedy klientka wyjdzie, zrzuci z siebie to obce „ja” i powie coś do Halimy i Aishy o Amerykankach, jakie są zepsute i dziecinne, przekonane, że wszystko im się należy, kiedy jednak zjawi się następna klientka, znowu stanie się nienaganną wersją swojego amerykańskiego

„ja”.

— Ślicznie — powiedziała klientka i zapłaciła Mariamie, a krótko po jej wyjściu zjawiała się biała kobieta, pulchna i opalona, z włosami związanymi w luźny kucyk.

— Dzień dobry! — powiedziała.

— Dzień dobry — odparła Mariama, wciąż wycierając ręce w przód swoich szortów.

— Chciałam sobie zrobić warkoczyki. Możecie mi je zapleść, prawda?

Mariama uśmiechnęła się przesadnie ochoczo.

— Tak. Robimy wszystkie rodzaje włosów. Chce pani zwykłe czy w rządki? —

Energicznie czyściła krzesło. — Proszę usiąść.

Kobieta usiadła i powiedziała, że chce rządki.

— Jak Bo Derek w tym filmie? Zna pani film *10*?

— Tak, znam — powiedziała Mariama.

Ifemelu szczerze w to wątpiła.

— Jestem Kelsey — oznajmiła kobieta, zwracając się jakby do wszystkich.

Była nachalnie przyjacielska. Zapytała, skąd pochodzi Mariama, od kiedy jest w Ameryce, jak jej idą interesy.

— Raz lepiej, raz gorzej, ale staramy się.

— Ale w swoim kraju nie mogłabyś mieć nawet takiego zakładu, prawda? Czy to nie cudowne, że mogłaś przyjechać do Stanów i teraz twoje dzieci mają lepsze życie?

Mariama była zaskoczona.

— Tak.

— Czy w twoim kraju kobiety mają prawo głosować? — zapytała Kelsey.

Kolejna dłuższa przerwa.

— Tak.

— Co pani czyta? — Kelsey zwróciła się do Ifemelu.

Ifemelu pokazała jej okładkę książki. Nie chciała zaczynać rozmowy. Zwłaszcza nie z Kelsey. Rozpoznała w niej nacjonalizm liberalnych Amerykanów, którzy nagminnie krytykowali Amerykę, ale nie lubili, kiedy robił to ktoś inny; oczekują od przyjezdnych, że nie będą się odzywali, ale będą wdzięczni, zaś na wszelki wypadek trzeba im na każdym kroku przypominać, że obojętnie skąd są, w Ameryce zawsze jest lepiej.

— Dobra?

— Tak.

— To powieść, prawda? O czym?

Czemu ludzie pytają: „O czym jest?”, jakby powieść była tylko o jednej rzeczy. Ifemelu nie znosiła tego pytania; nie znosiłaby go nawet, gdyby poza przygnębiającą niepewnością nie czuła narastającego bólu głowy.

— Mogłaby się pani nie spodobać; zależy, co pani lubi. Autor miesza prozę z poezją.

— Ma pani wspaniały akcent. Skąd pani jest?

— Z Nigerii.

— Och. Wspaniale. — Kelsey miała smukłe palce; nadawałaby się idealnie do reklamy pierścionków. — Jesienią jadę do Afryki. Kongo i Kenia, być może też wyskoczę do Tanzanii.

— To miło.

— Czytam książki, żeby się przygotować. Wszyscy mi polecają *Świat się rozpada*, którą czytałam w liceum. Jest bardzo dobra, ale trochę jakby staroświecka, prawda? To znaczy, nie pomoże mi zrozumieć współczesnej Afryki. Czytałam tę świetną książkę *Zakręt rzeki*. Dzięki niej naprawdę zrozumiałam, jak funkcjonuje współczesna Afryka.

Ifemelu wydała dźwięk, coś między prychnięciem a mruknięciem, ale się nie odezwała.

— Jest taka szczerą, to chyba najbardziej szczerą powieść o Afryce, jaką czytałam —

powiedziała Kelsey.

Ifemelu się poruszyła. Drażnił ją znaczący ton Kelsey. Ból głowy narastał. Według niej powieść w ogóle nie była o Afryce. Była o Europie albo raczej o tęsknocie za Europą, o tym, jak urodzony w Afryce Hindus postrzega siebie w zmaltretowany sposób, należąc do rasy, którą tak wysoko cenił za zdolność tworzenia, aż jego wyimaginowane osobiste niedoskonałości zamieniają się w zniecierpliwioną pogardę dla Afryki; dzięki swojej wyższości wobec Afrykańczyków może, choćby tylko przelotnie, stać się Europejczykiem. Oparła się na krzesło i powiedziała to wyważonym tonem. Kelsey była zaskoczona; nie spodziewała się miniwykładu.

— Och, rozumiem, czemu pani czyta takie powieści — powiedziała po chwili uprzejmie.

— A ja rozumiem, czemu pani czyta takie, a nie inne powieści — powiedziała Ifemelu.

Kelsey uniosła brwi, jakby Ifemelu była jedną z tych lekko nieźrównoważonych osób, których najlepiej unikać. Ifemelu zamknęła oczy. Miała wrażenie, że nad jej głową zbierają się chmury. Było jej słabo. Może z powodu gorąca. Skończyła związek, w którym nie była nieszczęśliwa, zamknęła bloga, którego pisanie sprawiało jej przyjemność, a teraz goni za czymś, czego nie umiała nazwać, nawet sama przed sobą. Mogła napisać w blogu o Kelsey, dziewczynie, która nie wiedzieć czemu, wierzyła, że w cudowny sposób do czytanych książek podchodzi neutralnie, podczas kiedy inni robią to emocjonalnie.

— Chce pani, żebym dodała włosy? — zapytała Mariama Kelsey.

— Włosy?

Mariama pokazała jej doczepki w przezroczystym opakowaniu. Kelsey zrobiła wielkie oczy i rozejrzała się szybko wokół, popatrzyła na opakowanie, z którego Aisha dobierała odrobinę włosów do każdego warkoczyka, na opakowanie, które Halima właśnie otwierała.

— O mój Boże. Więc tak to się robi. A ja myślałam, że Afroamerykanki z warkoczami mają takie bujne włosy!

— Nie, używamy dopinek — powiedziała z uśmiechem Mariama.

— Może następnym razem. Dzisiaj poproszę tylko z moich włosów — rzekła Kelsey.

Na jej włosy nie trzeba było dużo czasu: siedem warkoczków, z włosów tak cienkich, że od razu zaczęły się wyrywać ze splotów.

— Jest ślicznie! — powiedziała na koniec.

— Dziękuję — odpowiedziała Mariama. — Niech pani jeszcze do nas wróci. Następnym razem zrobimy w innym stylu.

— Wspaniale!

Ifemelu przyglądała się Mariamie w lustrze i myślała o swoich nowych amerykańskich

„ja”. Kogoś innego, z nagłym poczuciem, że coś udało się jej osiągnąć po raz pierwszy, ujrzała w lustrze, kiedy była z Curtem.

Curt lubił powtarzać, że to była miłość od pierwszego śmiechu. Ilekroć ktoś pytał, jak się poznali, nawet ludzie, których w zasadzie nie znali, on opowiadał historię o tym, jak Kimberly ich sobie przedstawiła — kuzyna, który przyjechał w odwiedziny z Maryland, i nigeryjską opiekunkę do dzieci, o której Kimberly tyle opowiadała, o tym, jak go urzekł jej głęboki głos, o warkoczu, który wymknął się jej spod gumki. Ale dopiero kiedy Taylor wpadł do salonu w niebieskiej pelerynce i majtkach, krzycząc: „Jestem kapitan Majtki!”, a ona odrzuciła głowę w tył i roześmiała się, on się zakochał. Śmiech miała wibrujący, ramiona jej drżały, pierś wznosiła się i opadała: to był śmiech kobiety, która kiedy się śmiała, śmiała się naprawdę.

Czasem, kiedy byli sami, a ona się z czegoś śmiała, on mówił żartobliwie: „To mnie właśnie wzięło. Wiesz, co sobie pomyślałem? Jeśli ona się tak śmieje, ciekawe, jak robi inne rzeczy”.

Mówił jej też, że wiedziała, że się zadurzył — jak mogła nie wiedzieć? — ale udawała, że nie wie, bo nie chciała białego mężczyzny. Prawdę mówiąc, nie zauważyła, że jest nią zainteresowany. Zawsze wyczuwała męskie pożądanie, ale nie u Curta, nie od razu. Wciąż myślała o Blainie, widziała go, jak idzie peronem w New Haven, zjawa, która wypełniała ją z góry skazaną na niespełnienie tęsknotą. Blaine nie tylko się jej spodobał, on ją wziął w niewolę i w jej wyobraźni stał się idealnym amerykańskim partnerem, którego nigdy nie będzie miała.

Mimo to od tamtego czasu zakochiwała się, ale było to nic w porównaniu z tym, co przeżyła w pociągu i czego doświadczyła, kiedy zakochała się w Abe’u z zajęć z etyki, Abe’u, który był

biały, Abe’u, którą ją lubił, który uważał, że jest bystra i zabawna, nawet ładna, ale który nie widział w niej kobiety.

Abe ją ciekawił, była nim zainteresowana, ale on uważał, że to, jak z nim flirtuje, jest tylko miłe. Abe widziałby ją ze swoim czarnym przyjacielem, gdyby miał czarnego przyjaciela. Dla Abe'a była niewidzialna. To zniszczyło jej zauroczenie i być może dlatego przeoczyła Curta. Aż do popołudnia, kiedy grała z Taylorem, który rzucił piłkę wysoko, za wysoko, tak że wpadła w gęstwinę obok czereśni sąsiadów.

— Chyba ją zgubiliśmy — powiedziała Ifemelu.

Tydzień temu w tym samym miejscu zginęło im frisbee. Curt wstał z leżaka (obserwował

każdy jej ruch, powiedział później) i wpadł w krzaki, niemal w nie zanurkował jak do basenu i wyłonił się z żółtą piłką.

— Jaj! Wujku! — powiedział Taylor.

Ale Curt nie oddał piłki Taylorowi: podał ją Ifemelu. W jego oczach zobaczyła to, co chciał, żeby zobaczyła. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Dziękuję.

Później włączyła Taylorowi wideo, a sama w kuchni piła wodę.

— Teraz powinienem zaprosić cię na kolację, ale w tym momencie zgodzę się na wszystko. Czy mogę postawić ci drinka, lody, coś do jedzenia, bilet do kina? Dzisiaj wieczorem?

W ten weekend, zanim wrócę do Marylandu?

Patrzył na nią z zachwytem, z lekko opuszczoną głową, a ona poczuła, jak coś się w niej budzi. Jakie to cudowne, że tak bardzo pożąda jej mężczyzna, i to mężczyzna z metalową bransoletką na przegubie, z dołeczkiem w brodzie, przystojny jak modele z katalogów domów wysyłkowych. Zaczął się jej podobać, ponieważ podobała się jemu. „Jesz tak delikatnie”, powiedział jej na ich pierwszej randce, we włoskiej restauracji na Starym Mieście. Nie było nic delikatnego w sposobie, w jaki unosiła widelec do ust, ale podobało się jej, że on uważa inaczej.

— Tak, więc jestem bogatym, białym facetem z Potomaku, ale nie jestem aż takim dupkiem, jakim powinienem być — powiedział w sposób, który sprawił, że poczuła, jakby mówił to już wcześniej, a jej się to spodobało. — Laura zawsze powtarza, że moja mama jest bogatsza od samego Boga, ale ja nie jestem taki pewny.

Mówił o sobie z takim entuzjazmem, jakby postanowił powiedzieć jej wszystko, co mogłaby o nim wiedzieć, i to za jednym zamachem. Pochodził z rodziny hotelarzy z wielowiekową tradycją. Uciekł przed nimi na studia do Kalifornii. Skończył je i podróżował po Ameryce Południowej i Azji. Coś zaczęło go ciągnąć do domu, może śmierć jego ojca, może niepowodzenie w związkach. Więc w ubiegłym roku przeniósł się do Marylandu, założył firmę komputerową, tylko po to, żeby nie pracować w rodzinnym biznesie, kupił mieszkanie w Baltimore i w każdą niedzielę jeździł do Potomaku, żeby zjeść brunch z matką. Mówił o sobie z prostotą, zakładając, że Ifemelu podobają się jego opowieści zwyczajnie dlatego, że podobają się jemu. Jego chłopięcy entuzjazm ją fascynował. Kiedy na do widzenia objęli się przed jej mieszkaniem, poczuła jego wysportowane ciało.

— Za dokładnie trzy sekundy pocałuję cię — powiedział. — To będzie prawdziwy pocałunek, który może nas gdzieś zaprowadzić, więc jeśli nie chcesz, żeby to się stało, może lepiej wycofaj się od razu.

Nie wycofała się. Pocałunek był podniecający, jak podniecające są wszystkie nieznanne rzeczy. Później powiedział, z niecierpliwością:

— Musimy powiedzieć Kimberly.

— Powiedzieć Kimberly co?

— Że się spotykamy.

— Spotykamy się?

Roześmiał się, a ona też się roześmiała, chociaż wcale nie żartowała. Był otwarty i spontaniczny, cynizm nie przyszedł mu nawet do głowy. Była oczarowana i niemal przez to bezradna, i dlatego mu uległa; może rzeczywiście po tym

jednym pocałunku już się spotykali, skoro on był tego taki pewny.

Następnego dnia Kimberly ją powitała:

— Witaj, zakochana.

— Więc wybaczasz kuzynowi, że umówił się z pracownicą?

— zapytała Ifemelu.

Kimberly się roześmiała, a potem, jednocześnie zaskakując i wzruszając Ifemelu, uściśnęła ją. Odsunęły się od siebie skrępowane. W telewizorze w salonie był program Ophry i Ifemelu usłyszała, jak widownia wiwatuje.

— Cóż — powiedziała Kimberly, sama nieco przestraszona swoim zachowaniem. —

Chciałam tylko powiedzieć, że naprawdę... bardzo się cieszę waszym szczęściem.

— Dziękuję. Ale to była dopiero jedna randka i nie doszło do konsumpcji.

Kimberly zachichotała i przez chwilę były jak koleżanki w liceum, które plotkują o chłopakach. Czasem pod warstwą idealnie ułożonego życia Kimberly Ifemelu wyczuwała żal za rzeczami, których brakowało jej obecnie, ale też za tymi, których brakowało jej w przeszłości.

— Szkoda, że nie widziałas Curta rano — powiedziała Kimberly. — Nigdy się tak nie zachowywał! Jest naprawdę podekscytowany.

— Czym? — zapytała Morgan.

Stała w wejściu do kuchni, a jej niedojrzałe jeszcze ciało emanowało wrogością. Taylor próbował wyprostować nogi małego robota z plastiku.

Curt wszedł do kuchni, nieśmiało uśmiechnięty, z wilgotnymi włosami, rozsiewając delikatny, świeży zapach wody kolońskiej.

— Cześć — powiedział.

Zadzwoił do niej w nocy, by powiedzieć, że nie może spać. „To naprawdę sprosne, ale jestem taki pełen ciebie, jakbym

tobą oddychał, wiesz?” powiedział, a ona pomyślała, że autorzy romansów nie mają racji, bo to mężczyźni, a nie kobiety są prawdziwymi romantykami.

— Morgan pyta, czym jesteś taki podekscytowany — powiedziała Kimberly.

— Cóż, Morg, jestem podekscytowany, bo mam nową dziewczynę, bardzo wyjątkową, którą być może znasz.

Ifemelu wolałaby, żeby Curt przestał ją obejmować, nie ogłaszali przecież swoich zaręczyn, na miłość boską. Morgan gapiała się na nich. Ifemelu ujrzała Curta jej oczami: cudowny wujek, który podróżował po świecie i przy obiedzie w Święto Dziękczynienia opowiadał

wszystkie te zabawne dowcipy, na tyle fajne i młodzieżowe, żeby je mogła zrozumieć, ale też na tyle dorosłe, żeby trafiły do jej matki.

— Ifemelu jest twoją dziewczyną? — zapytała Morgan.

— Tak — powiedział Curt.

— To obrzydliwe! — rzekła Morgan, naprawdę zniesmaczona.

— Morgan! — wykrzyknęła jej matka.

Morgan odwróciła się i pomaszerowała na górę.

— Podkochuje się w wujku Curcie, a teraz opiekunka wchodzi na jej terytorium. To dla niej trudne — powiedziała Ifemelu.

Taylor, uszczęśliwiony nowiną i tym, że w końcu poradził sobie z robotem, powiedział:

— Czy ty i Ifemelu weźmiecie ślub i będziecie mieli dzieci, wujku?

— Cóż, kolego, na razie będziemy tylko spędzać mnóstwo czasu razem, żeby się poznać.

— Och, OK — powiedział Taylor trochę zawiedziony, ale kiedy Don wrócił do domu, Taylor rzucił mu się w ramiona i oznajmił:

— Ifemelu i wujek Curt wezmą ślub i będą mieli dziecko!

— Och — rzekł Don.

Jego zaskoczenie przypomniało Ifemelu Abe'a z zajęć z etyki: Don uważał ją za ładną i interesującą, Curta też za przystojnego i interesującego, ale nigdy nie wyobrażał ich sobie spowitych delikatną siecią romansu.

Curt nigdy nie był z czarną kobietą; powiedział jej to po ich pierwszym razie w jego penthousie w Baltimore, potrząsając głową z lekką samoironią, zupełnie jakby powinien był to zrobić już dawno temu, ale jakoś mu się nie udało.

— W takim razie to kamień milowy — powiedziała, udając, że wznosi kieliszek.

Pewnego razu, kiedy na spotkaniu ZSA Dorothy przedstawiła im swojego nowego chłopaka, Holendra, Wambui powiedziała: „Nie mogę tego robić z białymi. Bałabym się zobaczyć go nago, takiego bladego. Chyba że byłby Włochem, mocno opalonym. Albo Żydem, ciemnym Żydem”. Ifemelu patrzyła na jasne włosy Curta i jego bladą skórę, rdzawe pieprzyki na plecach, delikatne złociste włoski na piersi i myślała, jak bardzo się w tym momencie nie zgadza z Wambui.

— Jesteś taki seksowny — powiedziała.

— Ty jesteś seksowniejsza.

Powiedział jej, że nigdy wcześniej żadna kobieta tak mu się nie podobała, nigdy nie widział ciała tak pięknego, tak idealnych piersi, doskonałych pośladków. Śmieszyło ją, że uważał

za doskonałe coś, co Obinze nazywał płaską dupą, a piersi miała zwyczajnie duże, już trochę obwisłe. Ale jego słowa sprawiły jej przyjemność, jak niepotrzebny, hojny prezent. Curt chciał

ssać jej palec, zlizywać miód z jej sutka, rozsmarowywać lody na jej brzuchu, jakby nie wystarczała mu jego naga skóra obok jej.

Później, kiedy chciał bawić się w udawanie — „Może będziesz teraz Foxy Brown”, mówił — uważała, że to urocze, ta jego umiejętność grania, zatraćcia się całkowicie w

postaci, i bawiła się razem z nim, sprawiając mu przyjemność, ucieszona jego radością, chociaż nie rozumiała, czemu go to tak ekscytuje. Często, leżąc nago obok niego, myślała o Obinze. Za wszelką cenę starała się nie porównywać jego dotyku z dotykiem Curta. Opowiedziała Curtowi o chłopaku z liceum, Mofe, ale nie wspomniała o Obinze. Popęłiłaby świętokradztwo, gdyby o nim mówiła, nazywając go swoim „byłym”, tym nonszalanckim słowem, które nic nie mówiło i nic nie znaczyło. Z każdym kolejnym miesiącem ciszy między nimi czuła, jak ta cisza kamienieje, zamienia się w twarde, niezgrabny posąg, niemożliwy do zburzenia. Wciąż często zaczynała do niego pisać, ale zawsze przerywała, zawsze postanawiała, że wyśle maila.

Przy Curcie zaczęła myśleć o sobie jako o kobiecie, która uwolniła się od wszystkich zahamowań i trosk, kobiecie, która biegnie w deszczu, a w ustach ma smak truskawek. „Drink” stał się częścią architektury jej życia, mojito i martini, białe wytrawne i czerwone owocowe.

Jeździła z Curtem na wycieczki, pływała kajakiem, biwakowała w pobliżu wakacyjnego domu jego rodziny, robiła rzeczy, których wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, że mogłaby robić.

Była lżejsza i smuklejsza; była Dziewczyną Curta, grała rolę, w którą wsunęła się jak w ulubioną sukienkę, w której było jej do twarzy. Śmiała się więcej, bo on tyle się śmiał. Jego optymizm ją oślepił. Wciąż coś planował. „Mam pomysł!”, mówił często. Wyobrażała go sobie jako dziecko otoczone zbyt wieloma kolorowymi zabawkami, zawsze zachęcane do realizacji nowych

„projektów”, któremu zawsze mówiono, że jego zwyczajne pomysły są cudowne.

— Pojedźmy jutro do Paryża! — powiedział w któryś weekend. — Wiem, że to kompletnie nieoryginalne, ale nigdy tam nie byłaś, a ja bardzo chcę ci pokazać Paryż!

— Nie mogę tak po prostu wstać i pojechać do Paryża. Mam nigeryjski paszport. Muszę wystąpić o wizę, pokazać wyciągi z banku, ubezpieczenie zdrowotne i wszystkie inne dowody, że nie zostanę i nie będę dla Europy ciężarem.

— Tak, zapomniałem o tym. Dobra, pojedziemy w przyszłym tygodniu. W tym tygodniu załatwimy wizę. Jutro wezmę wyciąg z mojego banku.

— Curtis — powiedziała, trochę ostro, żeby przywrócić mu zdrowy rozsądek, ale kiedy tak stała i patrzyła na miasto z wysoka, już dawała się wciągnąć w wir jego entuzjazmu. Był pełen optymizmu, bez przerwy, jak może być tylko Amerykanin taki jak on, i było w tym coś

infantylnego, co ją urzekało i brzydziło. Któregoś dnia poszli na spacer South Street, bo nigdy nie widziała tej części Filadelfii, która, jak powiedział, była najlepsza. Wsunął jej rękę w swoją, kiedy mijali salony tatuażu i grupki chłopców z różowymi włosami. Niedaleko Condom Kingdom zanurkował do małego salonu z tarotem, pociągając ją za sobą. Kobieta w czarnej woalce powiedziała im: „Widzę przed wami światło i długotrwałe szczęście”, a Curt odpowiedział: „My też!” i dał jej dziesięć dolarów ekstra. Później, kiedy jego żywiołowość zaczęła kusić Ifemelu, ta nieustanna pogoda, która sprawiała, że chciała ją uderzyć, zmiażdżyć, będzie to jej najlepsze wspomnienie o Curcie, kiedy siedział w salonie tarota na South Street, w dniu będącym obietnicą lata: taki przystojny, taki szczęśliwy, ufny bez zastrzeżeń. Wierzył

w dobre znaki, pozytywne myśli i szczęśliwe zakończenia filmów, wiarą wolną od kłopotów, ponieważ nie zastanawiał się nad nimi. Kiedy zaczynał wierzyć; po prostu wierzył.

ROZDZIAŁ 19

Matka Curta odznaczała się bezkrwistą elegancją, miała lśniąco włosy, doskonale utrzymaną cerę, gustowne i drogie ubrania miały wyglądać na gustowne i drogie; sprawiała wrażenie bogatej osoby, która daje skąpe napiwki. Curt zwracał się do niej „Matko”, co brzmiało nieco formalnie, miało archaiczny wydźwięk. W niedzielę jadali z nią brunch. Ifemelu lubiła niedzielny rytuał tych posiłków w ozdobnej,

hotelowej sali jadalnej, pełnej ładnie ubranych ludzi, srebrnowłosych par z wnukami, kobiet w średnim wieku z broszkami w klapach zakietów.

Jedyną czarną osobą był sztywno wystrojony kelner. Jadła puszyste jajka, cienko pokrojonego łososia i półksiężycze ze świeżego melona; przyglądała się Curtowi i jego matce, obojgu z oślepiająco złocistymi włosami. Curt mówił, a jego matka słuchała jak urzeczona. Uwielbiała swojego syna — dziecko, które urodziła późno, kiedy nie była pewna, czy jeszcze może mieć dzieci, czarusia, którego manipulacjom zawsze ulegała. Był jej awanturnikiem, który przywoził

egzotyczne przyprawy — spotykał się z Japonką, z Wenezuelką — ale kiedy przyjdzie czas, ustatkujecie się należycie. Tolerowała wszystkich, których lubił, ale nie czuła się zobowiązana do okazywania sympatii.

— Jestem republikanką, jak cała moja rodzina. Jesteśmy przeciwni opiece społecznej, ale zdecydowanie popieramy prawa obywatelskie. Chcę, żebyś wiedziała, jakiego rodzaju republikanami jesteśmy — powiedziała Ifemelu, kiedy się poznały, jakby to była najważniejsza rzecz, którą miała o sobie do powiedzenia.

— Chciałaby pani wiedzieć, jakiego rodzaju republikanką ja jestem? — zapytała Ifemelu.

Matka Curta najpierw była zaskoczona, ale już po chwili jej twarz rozciągnęła się w sztywnym uśmiechu.

— Zabawna jesteś — powiedziała.

Kiedyś zwróciła się do Ifemelu:

— Masz piękne rzęsy.

Raptowne, nieoczekiwane słowa, po wypowiedzeniu których napiła się swojego bellini, jakby nie usłyszała zaskoczonego „dziękuję” Ifemelu.

Kiedy jechali z powrotem do Baltimore, Ifemelu się odezwała:

— Rzęsy? Musiała bardzo się starać, żeby powiedzieć mi coś miłego.

Curt się roześmiał.

— Laura mówi, że moja matka nie lubi pięknych kobiet.

W któryś weekend odwiedziła ich Morgan. Kimberly i Don chcieli zabrać dzieci na Florydę, ale Morgan odmówiła wyjazdu z nimi. Wobec tego Curt zaprosił ją, żeby spędziła weekend w Baltimore. Zaplanował wycieczkę łodzią i Ifemelu uznała, że powinien spędzić trochę czasu sam na sam z Morgan.

— Nie jedziesz, Ifemelu? — zapytała Morgan, zasmucona. — Myślałam, że wybieramy się razem.

„Razem” powiedziała z ożywieniem, jakiego Ifemelu nigdy u niej nie słyszała.

— Oczywiście, że jadę — powiedziała.

Kiedy malowała rzęsy i nakładała błyszczyk na usta, Morgan się jej przyglądała.

— Chodź tu, Morg — powiedziała Ifemelu i pomalowała usta Morgan błyszczkiem. —

Zaciśnij usta. Dobrze. Ależ jesteś śliczna, panno Morgan — roześmiała się Ifemelu.

Na kei Curt i Ifemelu szli trzymając Morgan za ręce, Morgan była szczęśliwa, że tak ją trzymają, a Ifemelu wyobraziła sobie, jak czasem jej się przelotnie zdarzało, że jest żoną Curta, żyją w luksusie, on przyjaźni się z jej rodziną i przyjaciółmi, ona z jego, z wyjątkiem jego matki.

Żartowali o małżeństwie. Odkąd opowiedziała mu o ceremonii wykupu panny młodej, którą ludzie z plemienia Igbo organizowali, zanim zostało przyniesione wino i odbyły się właściwe zaślubiny w kościele, żartował, że pojedzie do Nigerii, żeby za nią zapłacić, przyjedzie do domu jej przodków, zasiądzie z ojcem i wujami i będzie się upierał, że ma ją dostać za darmo. Ona w zamian żartowała, że będą szli nawą kościoła w Wirginii, w takt melodii *Oto idzie panna młoda*, a krewni będą patrzeć z przerażeniem i szeptem wypytywać się nawzajem, czemu służąca jest ubrana w suknię panny młodej.

Leżeli zwinięci na kanapie, ona czytała książkę, on oglądał program sportowy. Uważała, że to urocze, jak pochłonięty ogląda mecze, skupiony, ze zmrużonymi, nieruchomymi oczami.

W czasie przerw na reklamy kpiała z niego: „Dlaczego futbol amerykański nie ma żadnej logiki, tylko otyli faceci wskakują jeden na drugiego? I czemu baseballiści tyle czasu poświęcają na spluwanie, a potem nagle i bez sensu zrywają się do biegu?” Śmiał się i próbował jej tłumaczyć po raz kolejny, o co chodzi w *home runs* i przyłożeniach, ale jej to nie interesowało, bo kiedy zrozumie, nie będzie mogła się z niego naigrywać, więc wracała do swojej książki, gotowa stroić sobie z niego żarty w następnej przerwie.

Kanapa była miękka. Skóra Ifemelu promieniała. W szkole odnosiła sukcesy i podnosiła swoją średnią. Za wysokimi oknami salonu rozciągała się Inner Harbor, z błyszczącą wodą i połyskującymi światłami. Ogarniało ją poczucie zadowolenia. To dał jej Curt, dar zadowolenia, spokoju. Jak szybko przywykła do ich życia, do paszportu pełnego wbitych wiz, troskliwości stewardess w kabinach pierwszej klasy, puchowych łóżek w hotelach, w których się zatrzymywali, i wszystkich drobiazgów, które gromadziła: słoiczków z marynatami ze śniadaniowych tac, małych buteleczek z odżywkami, wełnianych kapci, nawet ręczników do twarzy, jeśli były wyjątkowo miękkie. Zrzuciła swoją starą skórę. Niemal polubiła zimę, lśniąca, lodową powłokę na samochodach, puszyste ciepło kaszmirowych swetrów, które Curt jej kupował. W sklepach nie patrzyła najpierw na cenę. Kupował jej jedzenie i podręczniki, wysyłał

bony podarunkowe do domów handlowych, nosił jej zakupy. Prosił, żeby zrezygnowała z pracy opiekunki; mogliby spędzać ze sobą więcej czasu, gdyby nie musiała codziennie pracować. Ale odmówiła.

— Muszę mieć pracę — powiedziała.

Odkładała pieniądze, posyłała więcej do domu. Chciała, żeby rodzice przenieśli się do nowego mieszkania. W bloku obok

był napad z bronią w rękę.

— Coś większego, w lepszej okolicy — powiedziała.

— Dobrze nam tutaj — odparła matka. — Nie jest najgorzej. Na ulicy budują nową bramę i po szóstej jest zakaz jeżdżenia na motorach, więc jest bezpiecznie.

— Bramę?

— Tak, obok kiosku.

— Jakiego kiosku?

— Nie pamiętasz kiosku? — zapytała matka.

Jej wspomnienia zachodziły sepią. Nie pamiętała kiosku.

Ojciec w końcu znalazł pracę jako zastępca dyrektora kadr w jednym z nowych banków.

Kupił sobie telefon komórkowy. Kupił nowe opony do samochodu matki. Powoli zaczynał

wracać do swoich monologów o Nigerii.

— Nie można powiedzieć o Obasanjo, że jest dobrym człowiekiem, ale trzeba przyznać, że trochę dobrego robi dla tego kraju; kwitnie duch przedsiębiorczości — powiedział.

Dziwnie się czuła, dzwoniąc bezpośrednio do rodziców, po kilku sygnałach słysząc

„Halo?” jej ojca, który na dźwięk jej głosu natychmiast zaczął krzyczeć, co zawsze robił

w czasie rozmowy międzynarodowej. Matka lubiła odbierać telefon na werandzie, żeby wszyscy sąsiedzi na pewno mogli ją podsłuchać: „Ifem, jak pogoda w Ameryce?”.

Matka zadawała radosne pytania i oczekiwała radosnych odpowiedzi. „U ciebie wszystko dobrze?”, a Ifemelu nie miała wyboru, jak tylko odpowiedzieć „Tak”. Ojciec pamiętał

o zajęciach, o których wspominała, i wypytywał o szczegóły. Dobierała słowa, pilnując się, żeby nie powiedzieć nic o Curcie.

— Jakie są twoje perspektywy na zatrudnienie? — spytał ojciec.

Jej studia zbliżały się do końca, studencka wiza wygasła.

— Przydzielili mi doradcę zawodowego i spotykam się z nim w przyszłym tygodniu.

— Wszyscy studenci ostatniego roku ich dostają?

— Tak.

Ojciec mruknął z pełnym podziwu respektem.

— Ameryka to zorganizowane miejsce i aż kipi od możliwości zawodowych.

— Tak. Wielu studentów znalazło dzięki nim dobrą pracę — powiedziała Ifemelu.

Skłamała, ale ojciec to chciał usłyszeć. Biuro planowania kariery, duszne pomieszczenie, ze stosami zakurzonych akt smutno porzuconymi na biurkach, znane było z mnóstwa doradców, którzy oglądali CV, prosili o zmianę czcionki albo formatu i dawali nieaktualne kontakty do ludzi, którzy nigdy nie oddzwaniali. Kiedy Ifemelu poszła tam po raz pierwszy, jej doradczyni, Ruth, Afroamerykanka o karmelowej skórze, zapytała ją:

— Co chcesz naprawdę robić?

— Chcę dostać pracę?

— Tak, ale jakiego rodzaju? — zapytała Ruth, z lekkim niedowierzaniem.

Ifemelu spojrzała na swoje, leżące na stole, CV.

— Studiuję komunikację, więc cokolwiek w tej dziedzinie, w mediach.

— Masz jakąś pasję, wymarzoną pracę?

Ifemelu potrząsnęła głową. Czuła się gorsza, że nie ma pasji, nie jest pewna, co chciałaby robić. Zainteresowania miała nieokreślone i różne, praca w czasopiśmie, moda, polityka, telewizja; nic nie było konkretne. Chodziła na uczelniane targi kariery, na które studenci ubierali się w krępujące ich garnitury, przybierali poważne miny i starali się wyglądać jak dorośli wariaci prawdziwej pracy. Rekrutujący, sami świeżo po studiach, młodzi wysłani do polowania na innych młodych,

opowiadali jej o „możliwościach rozwoju”, „dopasowaniu” i „korzyściach”, ale wszyscy zaczęli mówić wymijająco, kiedy zorientowali się, że nie jest obywatelką amerykańską, że musieliby, gdyby ją zatrudnili, pogrążyć się w ciemnym tunelu imigracyjnej pracy papierkowej.

— Powinnam była studiować inżynierię czy coś — powiedziała Curtowi. — Studentów komunikacji jest na pęczki.

— Znam ludzi, z którymi mój tata robił interesy, może oni mogliby pomóc — powiedział.

I niedługo później powiedział jej, że ma rozmowę w biurze w centrum Baltimore na stanowisko w public relations.

— Musisz tylko świetnie wypaść na rozmowie i masz tę pracę — powiedział. — Znam też ludzi w większej firmie, ale ta jest dobra, i załatwią ci w niej wizę pozwalającą na pracę, i zaczną proces o przyznanie zielonej karty.

— Co? Jak ci się to udało?

Wzruszył ramionami.

— Zadzwoń tu i tam.

— Curt. Słowo daję. Nie wiem, jak ci dziękować.

— Mam kilka pomysłów — powiedział uradowany jak chłopak.

To była dobra wiadomość, ale zaczęła się zastanawiać. Wambui pracowała na trzech etatach na czarno, zbierając pięć tysięcy dolarów, żeby zapłacić Afroamerykaninowi za małżeństwo, które da jej zieloną kartę. Mwombeki rozpaczliwie szukał firmy, która zatrudni go na tymczasowej wizie, a tutaj ona, różowy balonik, lekki jak piórko, wznosi się na szczyt, napędzana czymś poza nią. Przy całej wdzięczności odczuwała lekką niechęć, że Curt mógł po kilku telefonach zmienić świat, sprawić, że wszystko ułożyło się tak, jak sobie tego życzyła.

Kiedy powiedziała Ruth o rozmowie w Baltimore, Ruth odparła:

— Moja jedyna rada? Pozbądź się tych warkoczyków i rozprostuj włosy. Nikt nie mówi o takich rzeczach, ale to ważne. Chcemy, żebyś dostała tę pracę.

Kiedyś ciocia Uju powiedziała coś podobnego, a ona się wtedy roześmiała. Teraz wiedziała dość, żeby się już nie śmiać.

— Dziękuję — powiedziała do Ruth.

Odkąd przyjechała do Ameryki, zawsze zaplatała włosy z długimi dopinkami, zawsze przerażona, że tyle to kosztowało. Każdą fryzurę nosiła trzy, nawet cztery miesiące, aż głowa swędziała ją nie do wytrzymania, a warkoczyki sterczały skołtunione spod odrostów. Więc rozprostowanie włosów było nową przygodą. Usunęła warkoczyki, uważając, żeby nie zadrapać skóry głowy, nie naruszyć warstwy brudu, która ją chroniła. Środków do rozprostowywania włosów było coraz więcej: rzędy opakowań w dziale „etniczne włosy” w drogeriach, z uśmiechniętymi twarzami czarnych kobiet o niemożliwie prostych i lśniących włosach, obok których widniały słowa „roślinny” i „z aloesem”, obiecujące łagodność działania. Kupiła jeden w zielonym opakowaniu. W łazience ostrożnie wsmarowała ochronny żel wzdłuż linii włosów, a potem zaczęła nakładać kremowy środek po kolei, pasmo po paśmie, palcami w foliowych rękawiczkach. Zapach przypominał jej laboratorium chemiczne w liceum, więc siłą otworzyła okno w łazience, które często się zacinało. Pilnowała czasu, zmywając środek dokładnie po dwudziestu minutach, ale jej włosy dalej były skręcone i tak samo gęste. Środek nie chwycił.

Dokładnie tego słowa — „chwycił” — użyła fryzjerka w zachodniej Filadelfii.

— Dziewczyno, potrzebujesz profesjonalnych środków — powiedziała fryzjerka, nakładając inny płyn. — Ludziom się wydaje, że oszczędzają pieniądze, kiedy to robią w domu, ale to nieprawda.

Ifemelu z początku czuła tylko lekkie pieczenie, ale kiedy fryzjerka zmyła płyn z głowy Ifemelu odchylonej w tył nad plastikowym zlewem, w różnych miejscach na głowie Ifemelu

poczuła igielki kłującego bólu, które powędrowały w dół do różnych części ciała, a potem z powrotem do głowy.

— Trochę popiecze — powiedziała fryzjerka. — Ale proszę zobaczyć, jak jest ślicznie.

Wow, dziewczyno, masz fale jak biała!

Jej włosy zwisały, zamiast stać, proste i gładkie, z przedziałkiem z boku, układając się w lekkiego boba przy brodzie. Cała ich werwa zniknęła. Nie poznawała siebie.

Wyszła z salonu niemal w żałobie; kiedy fryzjerka prostowała jej końcówki, zapach spalenizny, czegoś żywego, co umarło, a nie powinno było umrzeć, przepełnił ją uczuciem straty. Curt popatrzył na nią niepewnie.

— Podoba ci się, kotku? — zapytał.

— Tobie, jak widzę, nie — powiedziała.

Milczał. Pogłaskał ją po włosach, jakby w ten sposób miały mu się zacząć podobać.

Odepchnęła go.

— Auć. Uważaj. Jestem trochę poparzona.

— Co?

— To nic groźnego. W Nigerii cały czas tak miałam. Popatrz.

Pokazała mu bliznę za uchem, niewielkie czerwone wybrzuszenie na skórze, które się jej zrobiło, kiedy w liceum ciocia Uju rozprostowywała jej włosy gorącym grzebieniem. „Odsuń ucho”, mówiła ciocia Uju, a Ifemelu przytrzymała ucho, spięta, wstrzymując oddech, przerażona, że rozpalony do czerwoności w piecyku grzebień ją poparzy, ale też szczęśliwa na myśl o prostych, falujących włosach. Któregoś dnia rzeczywiście ją poparzył, kiedy poruszyła się lekko, ręka ciociu Uju ciut drgnęła i gorący metal wżarł się w jej skórę za uchem.

— O mój Boże — powiedział Curt, otwierając szeroko oczy. Uparł się, żeby delikatnie sprawdzić, czy ma bardzo poparzoną głowę. — O mój Boże.

Jego przerażenie zaniepokoiło ją bardziej niż zwykle. Nigdy nie czuła, że są tak sobie bliscy jak wtedy, kiedy siedziała na łóżku, z twarzą wtuloną w jego koszulę, czując w nosie zapach płynu do zmiękczenia, a on gładził ją delikatnie po rozprostowanych włosach.

— Dlaczego musisz to robić? Miałaś takie piękne warkoczyki. A kiedy ostatnio je zdjęłaś i zostawiłaś włosy takie, jakie masz? Były nawet jeszcze piękniejsze, takie puszyste i świetne.

— Moje puszyste, świetne włosy byłyby idealne, gdybym starała się o pracę w chóрку, ale na tę rozmowę muszę wyglądać profesjonalnie, a profesjonalnie znaczy najlepiej z prostymi, a jeśli z kręconymi, to kręconymi jak u białych, w luźne skręty, ewentualnie w spiralki, ale nigdy afro.

— To tak kurewsko niesprawiedliwe, że musisz to robić.

W nocy wierciła się, żeby w miarę wygodnie ułożyć się na poduszce. Dwa dni później miała na głowie strupy. Trzy dni później zaczęła się z nich sączyć ropa. Curt chciał, żeby poszła do lekarza, a ona go wyśmiała. Zagoi się, powiedziała mu, i tak było. Później, kiedy jak burza przeszła przez rozmowę kwalifikacyjną, a kobieta uścisnęła jej rękę mówiąc, że „nadaje się idealnie” do ich firmy, zastanawiała się, czy kobieta byłaby o tym tak samo przekonana, gdyby Ifemelu zjawiała się w jej biurze ze swoim gęstym, skręconym, danym od Boga halo z włosów, w afro.

Nie powiedziała rodzicom, jak dostała pracę.

— Nie mam wątpliwości, że poradzisz sobie doskonale — powiedział jej ojciec. —

Ameryka daje ludziom możliwości rozkwitu. Nigeria w rzeczy samej może się dużo od niej nauczyć.

Kiedy Ifemelu powiedziała, że za kilka lat być może dostanie amerykańskie obywatelstwo, jej matka zaczęła śpiewać.

Jak nieamerykański czarny widzi Amerykę:

Jakie aspiracje mają biali, anglosaksońscy protestanci znani jako WASP?

Profesor Hunk zaprosił kolegę — profesora, Żyda z mocnym akcentem, z jednego z tych europejskich krajów, w którym większość ludzi wypija szklanę antysemityzmu na śniadanie.

Profesor Hunk opowiadał o prawach obywatelskich, na co żydowski profesor powiedział:

„Czarni nie cierpieli tak jak Żydzi”. Profesor Hunk odpowiedział: „Daj spokój, przecież to nie olimpiada prześladowań”.

Żyd o tym nie wiedział, ale o „olimpiadzie prześladowań” mówią mądrzy amerykańscy liberałowie, kiedy chcą, żeby człowiekowi zrobiło się głupio i żeby się zamknął. Ale olimpiada prześladowań TRWA. Amerykańskim mniejszościom rasowym — czarnym, Latynosom, Azjatom i Żydom — wszystkim biali dosrywają, na wszelkie możliwe sposoby, ale dosrywają.

Każdy w skrytości ducha wierzy, że jemu dostaje się najwięcej. Nie, nie ma Ligi Prześladowanych. Mimo to wszyscy inni uważają, że mają się lepiej od czarnych, bo, cóż, nie są czarni. Na przykład taka Lili, mówiąca po hiszpańsku kobieta o czekoladowej skórze i czarnych włosach, która sprzątała dom mojej ciotki w mieście w Nowej Anglii. Była arogancka.

Zachowywała się pogardliwie, sprzątała kiepsko, stawiała żądania. Ciotka była przekonana, że Lili nie podoba się praca u czarnych ludzi. Zanim ją w końcu zwolniła, powiedziała: „Głupia kobieta, uważa się za białą”. Więc białość to coś, do czego się aspiruje. Oczywiście, nie każdy to robi (błagam was, komentatorzy, nie piszcie tego, co się rozumie samo przez się), ale w wielu mniejszościach panuje pragnienie przynależności do białych anglosaksońskich protestantów, a przynajmniej do posiadania przywilejów, jakie daje ich białość.

Prawdopodobnie blada skóra im się nie podoba, ale na pewno chcieliby móc wejść do sklepu i nie mieć natychmiast towarzystwa gościa z ochrony. Zjeść ciastko i mieć ciastko, jak powiedział wielki Philip Roth.

Skoro więc wszyscy w Ameryce marzą, żeby być jak biali anglosascy protestanci, o czym marzą biali anglosascy

protestanci? Czy ktoś wie?

ROZDZIAŁ 20

Ifemelu pokochała Baltimore — za jego zadziorny urok, ulice o przebrzmiałej świetności, targ rolny, który w weekendy pojawiał się pod mostem, pełen zielonych warzyw, dojrzałych owoców i cnotliwych dusz — chociaż nigdy tak bardzo, jak swoją pierwszą miłość, Filadelfię, miasto, które trzymało historię w delikatnym uścisku. Ale kiedy przyjechała do Baltimore, wiedząc, że będzie w nim mieszkać, a nie tylko od czasu do czasu odwiedzać Curta, miała je za smutne i antypatyczne. Budynki stały w wyblakłych, koślawych szeregach, na brudnych rogach wystawiali zgarbieni ludzie w puchowych kurtkach, czarni i smętni, czekający na autobus, a powietrze wokół nich było ponure i mgliste. Wielu kierowców przed dworcem pochodziło z Etiopii albo Pakistanu.

Wiozący ją Etiopczyk powiedział:

— Nie rozpoznaję pani akcentu. Skąd pani jest?

— Z Nigerii.

— Nigerii? Nie wygląda pani jak Afrykanka.

— Czemu nie?

— Bo ma pani za ciasną bluzkę.

— Nie jest za ciasna.

— Myślałem, że jest pani z Trynidadu albo któregoś z tych miejsc. — Patrzył we wsteczne lusterko z przyganą i troską.

— Musi pani bardzo uważać, bo Ameryka panią zepsuje.

Kiedy po latach pisała w swoim blogu „O podziale w szeregach członkowskich nieamerykańskich czarnych w Ameryce”, napisała o taksówkarzu, ale opisała to jako nieswoje przeżycie, uważając, żeby nie zdradzić, czy pisze to Afrykanka czy Karaibka, ponieważ jej czytelnicy nie wiedzieli, kim jest.

Opowiedziała Curtowi o taksówkarzu, którego szczerą ją rozwścieczyła, i poszła do łazienki sprawdzić, czy jej różowa bluzka z długimi rękawami jest za ciasna. Curt śmiał się bez końca. Była to jedna z historyjek, które lubił opowiadać

przyjaciołom. „Naprawdę poszła do łazienki, żeby sprawdzić, jak wygląda jej bluzka!” Jego przyjaciele byli podobni do niego, złościści, bogaci ludzie, którzy unosili się na błyszczącej powierzchni wszystkiego. Lubiła ich i wyczuwała, że oni lubią ją. Była dla nich interesująca, niezwykła, bo mówiła bez ogródek, co myśli. Spodziewali się po niej pewnych rzeczy i pewne rzeczy jej wybaczała, ponieważ była obca. Kiedyś siedziała z nimi w barze i słyszała, jak w rozmowie z Bradem Curt powiedział

„samochwała”. Zaskoczyło ją to słowo, jego zatwardziała amerykańskość. Samochwała. Nie wpadłaby, żeby go użyć. Kiedy to zrozumiała, zdała sobie sprawę, że na pewnym poziomie nigdy nie zdoła poznać Curta i jego przyjaciół.

Znalazła mieszkanie w Charles Village, jednopokojowe ze starymi, drewnianymi podłogami, chociaż mogła zamieszkać u Curta; większość ubrań trzymała w jego garderobie pełnej luster. Teraz, kiedy widywała go codziennie, a nie już tylko w weekendy, dostrzegała w nim nowe cechy: jak trudno było mu usiedzieć na miejscu, bez wymyślania, co by tu za chwilę zrobić, jak wychodził ze spodni, które potem całymi dniami leżały na podłodze, aż do przyjścia sprzątaczk. Ich życie wypełniały jego plany — jednego dnia Cozumel, kiedy indziej długi weekend w Londynie — i czasem w piątek wieczorem po pracy wsiadała do taksówki i jechała spotkać się z nim na lotnisku.

— Czy nie jest wspaniale? — pytał ją, a ona przytakiwała, tak, jest wspaniale. Zawsze myślał, co jeszcze zrobić, a ona mu tłumaczyła, że to dla niej nowe, bo dorastała nie robiąc, ale

będąc. Ale zaraz szybko dodawała, że bardzo się jej to wszystko podoba, bo naprawdę się jej podobało, i wiedziała, że on koniecznie musi to usłyszeć. W łóżku był pełen niepokoju.

— Lubisz to? Dobrze ci ze mną? — pytał często.

A ona odpowiadała, że tak, co było prawdą, ale wyczuwała, że nie zawsze jej wierzył, albo że ta wiara trwała tylko do czasu, kiedy znowu musiał uzyskać od niej potwierdzenie. Miał

w sobie coś — jaśniejszego od ego, ale ciemniejszego od braku pewności siebie — co wymagało nieustannego polerowania, czyszczenia, woskowania.

A potem włosy zaczęły jej wypadać na skroniach. Nakładała na nie gęste, kremowe odżywki, siedziała pod nawilżaczem, aż woda ściekała jej po szyi. Mimo to każdego dnia łysiała coraz bardziej.

— To przez chemikalia — powiedziała jej Wambui. — Wiesz, co jest w płynach do prostowania włosów? To cię może zabić. Musisz obciąć włosy i dać im spokój, żeby znowu rosły naturalnie.

Wambui miała teraz krótkie loki, które Ifemelu się nie podobały; uważała, że są rzadkie i matowe, nie pasują do ślicznej buzi Wambui.

— Nie chcę dredów — powiedziała.

— To nie muszą być dredy. Możesz mieć afro albo warkoczyki, jak kiedyś. Mnóstwo rzeczy można zrobić z naturalnymi włosami.

— Nie mogę obciąć włosów — powiedziała.

— Prostowanie włosów to jak więzienie. Jesteś zamknięta w klatce. Twoje włosy tobą rządzą. Nie poszłaś dzisiaj biegać z Curtem, bo nie chciałaś, żeby przez pot przestały być proste.

To zdjęcie, które mi przysłałaś, na łódce, masz na nim zasłonięte włosy. Ciągłe walczysz ze swoimi włosami, chcesz z nich zrobić coś, czym nie są. Jak będziesz je nosić naturalnie i porządnie o nie dbać, nie będą ci tak wypadać jak teraz. Od razu możemy je obciąć. Bez zbędnego zastanawiania się.

Wambui była taka pewna, taka przekonująca. Ifemelu znalazła nożyczki. Wambui obcięła jej włosy, zostawiając tylko pięć centymetrów, to co odrosło od ostatniego prostowania. Ifemelu popatrzyła w lustro. Zostały tylko wielkie oczy i wielka głowa. W najlepszym razie wyglądała jak chłopak, w najgorszym jak insekt.

— Wyglądam tak brzydko, że aż się siebie boję.

— Wyglądasz pięknie. Teraz widać, jakie masz piękne kości. Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do takiego wyglądu. Ale się przyzwyczaisz — powiedziała Wambui.

Ifemelu dalej wpatrywała się w swoje włosy. Co ona zrobiła? Wyglądała na niedokończoną, jakby włosy, krótkie i sterczące, same prosiły się o uwagę, o to, żeby coś z nimi zrobić, o coś więcej. Kiedy Wambui wyszła, Ifemelu poszła do drogerii, z czapczką baseballową Curta na głowie. Kupiła olejki i pomady, nakładała najpierw jedno, potem drugie, na mokre włosy, potem na suche, licząc, że zdarzy się niewiadomo jaki cud. Coś, cokolwiek, co sprawi, że spodobają się jej własne włosy. Zastanawiała się, czy nie kupić peruki, ale peruki były niepewne, w każdej chwili mogły sfrunąć z głowy. Myślała o odżywce, po której świderkowate skręty stałyby się miększe, rozluźniłyby się jej skręcone jak u barana włosy. Ale taka odżywka była w zasadzie płynem do rozprostowywania, tylko nieco łagodniejszym, i dalej musiałyby unikać deszczu.

— Przestań się stresować, kotku — powiedział jej Curt. — Włosy masz super, takie dzielne.

— Nie chcę, żeby moje włosy były dzielne.

— Chciałem powiedzieć, że są bardzo stylowe, eleganckie. — Umilkł na chwilę. —

Wyglądasz pięknie.

— Wyglądam jak chłopiec.

Curt nie odpowiedział. Jego mina zdradzała zawoalowane rozbawienie, jakby nie rozumiał, czemu jest taka zła, ale wiedział, że lepiej siedzieć cicho.

Następnego dnia zadzwoniła do pracy, że jest chora, i wróciła do łóżka.

— Nie zadzwoniłaś, że jesteś chora, żeby zostać dzień dłużej na Bermudach, ale zrobiłaś to z powodu włosów? — zapytał Curt, oparty o poduszkę, z trudem tłumiąc śmiech.

— Nie mogę tak wyjść.

Zakopała się pod kołdrę, jakby próbowała się schować.

— Nie jest tak źle, jak ci się wydaje — powiedział.

— Przynajmniej w końcu przyznałeś, że jest źle.

Curt się roześmiał.

— Nie to miałem na myśli. Chodź do mnie.

Objął ją, całował, a potem zsunął się i zaczął masować jej stopy; lubiła ciepły ucisk, dotyk jego palców. Mimo to nie mogła się rozluźnić. W lustrze w łazience jej włosy ją przeraziły, matowe i skurczone po spaniu, jakby miała na głowie wełniany mop. Sięgnęła po telefon i wysłała do Wambui esemesa: „Mam ohydne włosy. Nie mogłam dzisiaj pójść do pracy”.

Odpowiedź Wambui nadeszła po kilku minutach. „Wejdz do internetu.

HappilyKinkyNappy.com. Społeczność naturalnych włosów. Coś ci podpowiedzą”.

Pokazała esemesa Curtowi.

— Co za idiotyczna nazwa strony internetowej.

— Wiem, ale to chyba dobry pomysł. Powinnaś kiedyś sprawdzić.

— Na przykład teraz — powiedziała Ifemelu i wstała.

Laptop Curta stał otwarty na biurku. Kiedy do niego podeszła, zauważyła, że w Curcie zaszła zmiana. Nagle spięty, poruszył się. Z pobladałą twarzą rzucił się w panice do laptopa.

— Co się stało? — zapytała.

— To nic takiego. Te maile nic nie znaczą.

Wpatrywała się w niego, zmuszając mózg do pracy. Nie spodziewała się, że zechce użyć jego laptopa, bo rzadko kiedy to robiła. Zdradzał ją. Dziwne, że nigdy nawet o tym nie pomyślała. Wzięła laptop i trzymała go mocno, ale on nawet nie próbował po niego sięgnąć. Stał

tylko i patrzył. Pomniejszona skrzynka mailowa z Yahoo, obok strona o koszykówce w college’u.

Przeczytała kilka maili. Obejrzała załączone zdjęcia. Maile od kobiety — jej adres brzmiał

CudownaPaola123 — były bardzo wymowne, Curta natomiast wymowne na tyle, żeby ją zachęcić do dalszego pisania.

„Ugotuję ci kolację w obcisłej, czerwonej sukience i niebotycznych szpilkach — pisała — a ty tylko przynieś siebie i butelkę wina”. Curt odpisał: „W czerwonym będziesz wyglądać świetnie”. Kobieta była mniej więcej w jego wieku, ale w zdjęciach, które przysyłała, była ciężka desperacja: włosy ufarbowane na miedziany blond, oczy zbyt mocno pomalowane niebieskim cieniem, zbyt głęboki dekolt. Ifmelu była zdziwiona, że podobała się Curtowi. Jego była biała dziewczyna miała świeżą twarz i wyglądała jak licealistka.

— Poznałem ją w Delaware — powiedział Curt.

— Pamiętasz tę konferencję, na którą chciałem, żebyś ze mną pojechała? Od razu zaczęła się do mnie przystawiać. Od tamtego czasu ciągle mnie prześladowuje. Nie chce się odczepić. Wie, że mam dziewczynę.

Ifemelu wpatrywała się w jedno ze zdjęć, z profilu, czarno-białe, na którym kobieta stała z głową odrzuconą do tyłu, a jej długie włosy opadały za nią. Kobieta, której podobały się jej włosy, i myślała, że Curtowi też się podobają.

— Do niczego nie doszło — powiedział. — W ogóle. To tylko maile. Naprawdę na mnie leci. Mówiłem jej o tobie, ale ona wciąż pisze.

Ifemelu popatrzyła na niego, w szortach i T-shircie, absolutnie przekonanego, że jego tłumaczenia wystarczą. Jak dziecko wierzył, że ma do nich prawo: ślepo.

— Ty też do niej pisałeś — powiedziała.

— Ale tylko dlatego, że nie chciała przestać.

— Nie, dlatego, że chciałeś do niej pisać.

— Do niczego nie doszło.

— Nie o to chodzi.

— Przepraszam, wiem, że już jesteś zła, i nie chciałem tego pogarszać.

— Wszystkie twoje dziewczyny miały długie, opadające włosy — powiedziała głosem pełnym wyrzutu.

— Słucham?

Zachowywała się absurdalnie, ale chociaż zdawała sobie z tego sprawę, nie mogła przestać. Jej zachowanie potęgowało wspomnienie zdjęć byłych dziewczyn Curta, które widziała, smukłej Japonki z prostymi włosami pofarbowanymi na rudo, Wenezuelki o oliwkowej skórze, z loczkami sięgającymi ramion, białej dziewczyny z masą rdzawych fal. A teraz ta kobieta, której wygląd jej nie interesował, ale która miała długie, proste włosy. Zamknęła laptop. Czuła się mała i brzydka. Curt mówił.

— Powiem jej, żeby więcej się ze mną nie kontaktowała. To się już nie powtórzy.

Obiecuję, kotku — powiedział i brzmiało to tak, jakby uważał, że za wszystko odpowiedzialna jest tamta kobieta, nie on.

Założyła na głowę czapkę baseballową Curta, wrzuciła rzeczy do torby i wyszła.

Curt przyszedł później, z taką masą kwiatów, że prawie nie widziała jego twarzy, kiedy otworzyła drzwi. Wiedziała, że mu wybaczy, bo mu wierzyła. Cudowna Paola była jak te srebrne gwiazdki, które w podstawówce nauczyciele przyklejali mu pod odrobionymi zadaniami domowymi, sprawiając płytką i przelotną radość.

Nie chciała wychodzić, ale też nie chciała być z nim sam na sam w mieszkaniu; wciąż czuła się za bardzo zraniona. Wobec tego obwiązała głowę chustką i poszli na spacer. Curt, przejęty i pełen obietnic, szedł obok niej, ale się nie dotykali, aż doszli do rogu Charles i University Parkway, a potem z powrotem do jej mieszkania.

Przez trzy dni dzwoniła, że jest chora. W końcu poszła do pracy z bardzo krótkim, przesadnie wyczesanym i natłuszczonym oliwką afro.

— Wyglądasz inaczej — mówili współpracownicy, wszyscy odrobinę niepewni.

— Czy to coś znaczy? Ma jakiś polityczny podtekst? — zapytała Amy; Amy, która na ścianie swojego boksu powiesiła zdjęcie Che Guevary.

— Nie — powiedziała Ifemelu.

W kafeterii panna Margaret, biuściasta Afroamerykanka, która prezydowała w recepcji —

i poza dwoma strażnikami była obok Ifemelu jedyną czarnoskórą osobą w firmie — zapytała:

— Czemu obcięłaś włosy, złotko? Jesteś lesbijką?

Kilka lat później, kiedy Ifemelu odchodziła z pracy, poszła do kafeterii na ostatni lunch.

Panna Margaret ją zagadnęła.

— Odchodzisz? — zapytała z żalem. — Przykro mi, kotku. Powinni tutaj lepiej traktować

ludzi. Myślisz, że to po części przez twoje włosy?

Strona HappilyKinkyNappy.com miała żółte tło i mnóstwo wpisów na forum, każdy opatrzony maciupkim zdjęciem czarnoskórej kobiety. Miały długie, opadające dredy, małe afro, wielkie afro, warkoczyki, ogromne loki. Płyny do prostowania nazywały „kremowym crackiem”.

Miały dość udawania, że ich włosy są czymś, czym nie są, dość chowania się przed deszczem i strachu przed potem. Chwałyły nawzajem swoje fryzury i każdy wpis kończyły słowem

„uściski”. Skarżyły się, że w czasopismach dla czarnych nigdy nie ma zdjęć kobiet z naturalnymi włosami; na produkty z drogerii tak zatrute olejami mineralnymi, że nie natłuszczały naturalnych włosów. Wymieniały się przepisami. Tworzyły dla siebie wirtualny świat, gdzie ich skręcone, napuszone, szorstkie, wełniste włosy były czymś normalnym. Ifemelu z wdzięcznością do niego wkroczyła. Kobiety z włosami tak samo krótkimi jak jej miały dla nich nazwę: TTA, tydzie tydzie afro. Od kobiet, które wysyłały długie opisy, nauczyła się unikać szamponów i silikonu, nakładać na mokre włosy

odżywkę, której się nie splukiwało, spać w satynowej chustce na głowie.

Zamawiała produkty od kobiet, które przygotowywały je we własnych kuchniach i wysyłały z jasną instrukcją: **NAJLEPIEJ OD RAZU SCHŁODZIĆ W LODÓWCE, NIE ZAWIERA KONSERWANTÓW**. Curt otwierał lodówkę, wyjmował opakowanie z napisem „masło do włosów” i pytał: „Mogę tym posmarować tost?”. Był tym wszystkim zafascynowany. Czytał

posty na HappilyKinkyNappy.com.

— To świetne! — mówił. — Podoba mi się ten ruch czarnych kobiet.

Któregoś dnia na targu stali z Curtem, trzymając się za ręce, przed stoiskiem z jabłkami, kiedy minął ich czarny mężczyzna i mruknął:

— Zastanawiałaś się kiedyś, czemu mu się podobasz, chociaż wyglądasz, jakbyś uciekła z dżungli?

Znieruchomiała, przez chwilę niepewna, czy jej się to tylko wydawało, ale potem obejrzała się za mężczyzną. Szedł zbyt rytmicznym krokiem, co sugerowało zmienność charakteru. Nie był wart jej uwagi. A mimo to jego słowa ją prześladowały, sprowokowały nowe wątpliwości.

— Słyszałeś, co powiedział tamten facet? — zapytała Curta.

— Nie, a co powiedział?

Potrząsnęła głową.

— Nic.

Czuła się przybita i kiedy Curt oglądał wieczorem mecz, pojechała do drogerii i muskała palcami małe kępki jedwabistych, prostych włosów. Potem przypomniał się jej wpis Jamilah1977

— „Uwielbiam siostry z prostymi włosami, ale sama już nigdy nie zrobię sobie końskiej grzywy”

— i wyszła ze sklepu, żeby jak najszybciej wrócić, zalogować się i wysłać na forum post.

Napisała: „Słowa Jamilah przypomniały mi, że nie ma nic piękniejszego od tego, co dał mi Bóg”.

Inne odpisały, wysyłając znaczki z uniesionymi kciukami i mówiąc, że są zachwycone zdjęciem, które dołączyła. Nigdy tyle nie rozmawiała o Bogu. Pisanie na forum było jak spowiedź

w kościele; echo chóralnego poparcia przeppełniało ją nową energią.

W pewien nieodznaczający się niczym specjalnym dzień, wczesną wiosną — nie był

skapany w niezwykłym świetle, nic szczególnego się nie wydarzyło i być może, jak to często bywa, czas zmienił jej wątpliwości — spojrzała w lustro, zanurzyła palce we włosy, gęste, sprężyste i piękne, i nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby mieć inne. Tak po prostu zakochała się w swoich włosach.

Czemu ciemnoskóre czarne kobiety — Amerykanki i nie-Amerykanki — kochają

Baracka Obamę

Wielu czarnych Amerykanów mówi z dumą, że mają w sobie odrobinę „Hindusa”. Co oznacza: Dzięki Bogu Nie Jesteśmy Pełnokrwistymi Czarnuchami. Co oznacza, że nie są zbyt ciemni. (Dla jasności, kiedy biali mówią ciemny, mają na myśli Greków albo Włochów, ale kiedy czarni mówią ciemny, mają na myśli Grace Jones). Czarni amerykańscy mężczyźni lubią, kiedy ich czarne kobiety mają domieszkę egzotyki, są na wpół Chinkami albo mają kroplę indiańskiej krwi. Lubią, kiedy ich kobiety mają jasną skórę. Ale trzeba uważać, co amerykańscy czarni uważają za jasne. Niektórzy z tych „jasnych”, w krajach nieamerykańskich czarnych, byłiby po prostu nazywani białymi. (Och, a ciemni amerykańscy czarni mężczyźni nienawidzą jasnych mężczyzn, bo zbyt łatwo zdobywają kobiety).

Nie uśmiechajcie się złośliwie, moi nieamerykańscy czarni bracia. Ponieważ te bzdury są wyznawane też w naszych karaibskich i afrykańskich krajach. Powiecie, że nie aż tak, jak

pośród amerykańskich czarnych? Ale mimo to są. Tak przy okazji, co jest z tymi Etiopczykami, którzy uważają, że nie są aż tacy czarni? A ci z wysp Pacyfiku, którzy tak ochoczo twierdzą, że mają

„mieszane” pochodzenie? Ale dość tych dygresji. W społeczności amerykańskich czarnych jasna skóra jest w cenie. Ale wszyscy udają, że to się już skończyło. Powiadają, że czasy testów papierowej torby (sprawdźcie to sobie) już się skończyły i pora iść naprzód. Ale dzisiaj większość amerykańskich czarnych, którzy odnieśli sukces w biznesie czy polityce, ma jasną skórę. Zwłaszcza kobiety. Wielu amerykańskich czarnych mężczyzn, którym się w życiu powiodło, ma białe żony. Ci, którzy raczą wziąć sobie czarne żony, mają jasne (inaczej znane jako mocno żółte) żony. I z tego właśnie powodu ciemne kobiety uwielbiają Baracka Obamę.

Przełamał schemat. Ożenił się z jedną z nich. Wie to, czego świat zdaje się nie wiedzieć: że ciemne czarne kobiety mają w sobie ogień. Chcą, żeby Obama wygrał, bo może wreszcie ktoś obsadzi piękną, czekoladową lalunię w wysokobudżetowej komedii romantycznej, którą będą wyświetlać w kinach w całym kraju, nie tylko w tych z artystycznym zacięciem w Nowym Jorku.

Widzicie, w amerykańskiej popkulturze piękne, ciemne kobiety są niewidzialne. (Inną równie niewidzialną grupą są Azjaci. Ale oni przynajmniej są superbystrzaki). W filmach ciemne czarne kobiety zostają miłymi, grubymi mamuškami albo silnymi, hardymi, przerażającymi pomagierami, które stoją z boku gotowe wesprzeć szefa, kiedy trzeba. Okazują się mądre i mają odpowiednie nastawienie, gdy tymczasem białe kobiety znajdują miłość. Ale czarne nigdy nie są seksowne, piękne, pożądane i w ogóle. Więc ciemne czarne kobiety mają nadzieję, że Obama to zmieni. Och, i ciemne czarne kobiety służą też do sprzątnięcia Waszyngtonu, wyciągnięcia z Iraku i Bóg wie czego jeszcze.

ROZDZIAŁ 21

Była niedziela rano i ciocia Uju zadzwoniła, zdenerwowana i spięta.

— Ten chłopak! Posłuchaj tylko, w co się chce ubrać do kościoła. Powiedział, że nie założy tego, co mu kupiłam. Przecież wiesz, że jak się nie ubierze porządnie, zaraz nas obgadają.

Oni mogą być niechlujni, ale my to co innego. Tak samo mu mówiłam, żeby się uspokoił

w szkole. Niedawno powiedzieli, że gadał na lekcjach, a on odparł, że gadał, bo skończył robić zadanie. Musi siedzieć cicho, bo zawsze będą mówili, że jest inny, ale ten chłopak tego nie rozumie. Proszę, porozmawiaj ze swoim kuzynem!

Ifemelu poprosiła, żeby Dike odebrał telefon w swoim pokoju.

— Mama chce, żebym założył tę paskudną koszulę. — Mówił obojętnym, wyzbytym z emocji głosem.

— Wiem, że ta koszula jest beznadziejna, Dike, ale załóż ją przez wzgląd na nią, OK?

Tylko do kościoła. Tylko dzisiaj.

Wiedziała, o którą koszulę chodzi, w nudne paski, którą kupił Dike'owi Bartholomew.

Koszula, jaką kupiłby tylko Bartholomew; przypominała jego znajomych, których poznała w któryś weekend, nigeryjską parę z Marylandu i dwóch chłopców, którzy siedzieli na kanapie obok rodziców, obaj zapięci pod szyję i sztywni, zamknięci w klatce dusznych, imigranckich aspiracji rodziców. Nie chciała, żeby Dike był taki jak oni, ale rozumiała zmartwienie cioci Uju, która usiłowała odnaleźć się na obcym sobie terytorium.

— W kościele raczej nie spotkasz żadnych znajomych — powiedziała Ifemelu. — A ja porozmawiam z twoją mamą, żeby ci nie kazała więcej zakładać tej koszuli.

Przymilała mu się, aż w końcu Dike się zgodził, ale pod warunkiem, że będzie mógł

założyć adidasy, a nie sznurowane buty, jak chciała jego matka.

— Przyjeżdżam w najbliższy weekend — powiedziała mu Ifemelu. — Przyjedzie ze mną mój chłopak, Curt. W końcu go

poznasz.

Wobec cioci Uju Curt był uprzejmy i czarujący w ten przypoehlebny sposób, który zawsze krępował Ifemelu. Kiedyś podczas kolacji z Wambui i kilkoma przyjaciółmi Curt jednemu dolewał wina, innemu wodę. Czarujący, później powiedziała o nim jedna z dziewcząt: twój chłopak jest czarujący. A Ifemelu nagle zaświtało, że nie lubi, kiedy ktoś jest czarujący. Nie tak jak Curt, z jego potrzebą olśniewania, robienia wszystkiego na pokaz. Wołałaby, żeby Curt zachowywał się spokojniej, był bardziej zamknięty. Kiedy zaczynał z kimś rozmowę w windzie albo szczerze komplementował obcych, wstrzymywała oddech, przekonana, że domyślą się, jak uwielbia skupiać na sobie uwagę. Ale wszyscy zawsze się uśmiechali i dawali się zwieść. Jak ciocia Uju.

— Curt, może skosztujesz zupy? Ifemelu nigdy ci takiej nie ugotowała? A jadłeś kiedyś smażone banany?

Dike przyglądał się, mówił niewiele, odzywał się grzecznie i z szacunkiem, mimo że Curt żartował z nim, rozmawiał o sporcie i tak usilnie starał się zaskarbić sobie jego sympatię, aż Ifemelu zaczęła się bać, że jeszcze chwila, a zrobi salto.

— Chcesz porzucać do kosza? — zapytał Curt.

Dike wzruszył ramionami.

— OK.

Ciocia Uju patrzyła za nimi, kiedy wychodzili.

— Patrzy na ciebie, jakby wszystko, czego dotkniesz, zaczynało pachnieć perfumami.

Naprawdę mu się podobasz — powiedziała ciocia Uju, a potem dodała, krzywiąc się na twarzy:

— Nawet z takimi włosami.

— Ciociu, *biko*, odczep się od moich włosów — odparła Ifemelu.

— Są jak z juty.

Ciocia Uju wsadziła rękę w afro Ifemelu.

Ifemelu odepchnęła jej rękę.

— A gdybyś w każdym czasopiśmie, jakie otworzysz, albo w każdym filmie, jaki oglądasz, widziała piękne kobiety z włosami jak z juty? Podziwiałabyś teraz moje włosy.

Ciocia Uju zadrwiła.

— OK, możesz sobie mówić o tym po angielsku, ale ja tylko stwierdzam fakt. Naturalne włosy są jakieś takie potargane i nieporządne. — Ciocia Uju umilkła. — Czytałaś wypracowanie, które napisał twój kuzyn?

— Tak.

— Jak mógł napisać, że nie wie, czym jest? Od kiedy ma taki problem? Że nawet nazwisko ma trudne?

— Powinnaś z nim porozmawiać, ciociu. Skoro tak uważa, to znaczy, że jest o tym przekonany.

— Myślę, że napisał tak, bo tego ich uczą. Że każdy ma jakiś problem, tożsamość taka, tożsamość owaka. Ktoś popełni morderstwo i od razu mówią, że matka za mało go tuliła, kiedy miał trzy lata. Albo ktoś zrobi coś złego i mówi, że to przez chorobę, z którą się zmagają. — Ciocia Uju wyjrzała przez okno. Na podwórku Curt i Dike kozłowali piłkę, gdzieś dalej ktoś zaczął

rąbać drewno. W czasie swojej ostatniej wizyty Ifemelu obudziła się i przez okno w kuchni zobaczyła dwie galopujące z wdziękiem sarny.

— Jestem zmęczona — powiedziała ciocia Uju cicho.

— To znaczy? — Ale Ifemelu i tak wiedziała, że ciocia znowu zacznie uskarżać się na Bartholomew.

— Oboje pracujemy. Oboje wracamy do domu o tej samej porze i wiesz, co robi Bartholomew? Siada w salonie, włącza telewizor i pyta, co jest na obiad. — Ciocia Uju siedziała ze złą miną, a Ifemelu zauważyła, że bardzo przytyła, zrobił się jej podwójny podbródek, nos stał

się jakby grubszy. — Chce, żebym oddawała mu swoją pensję. Wyobrażasz sobie! Powiedział, że w małżeństwie tak jest, że on jest teraz głową rodziny, że nie powinnam bez jego pozwolenia posyłać pieniędzy bratu, że z mojej pensji powinniśmy płacić za jego samochód. Chcę poszukać prywatnej szkoły dla Dike'a, przez te wszystkie bzdury w publicznej szkole, ale Bartholomew powiedział, że to za drogo. Za drogo! A tymczasem jego dzieci chodziły do prywatnych szkół

w Kalifornii. W ogóle się nie przejmuję tym całym dziadostwem w szkole Dike'a. Poszłam tam kiedyś, a asystentka nauczycielki wrzeszczała do mnie przez cały korytarz. Wyobraź sobie. Była strasznie chamska. Zauważyłam, że do innych rodziców tak się nie wydziera. Więc podeszłam do niej i nagadałam jej. Przez tych ludzi człowiek staje się agresywny, żeby zachować trochę godności. — Ciocia Uju pokręciła głową. — Bartholomew nawet się nie przejmuję, że Dike wciąż mówi do niego wujku. Mówię mu, niech zachęca Dike'a, żeby mówił do niego tato, ale jego to nie obchodzi. Chce tylko, żebym mu oddawała pensję, w sobotę gotowała mu żołądki z papryką, a on w tym czasie ogląda sobie europejską ligę na satelicie. Dlaczego mam mu oddawać pensję? Czy płacił mi chesne za szkołę? Chce założyć własny interes, ale nie chcą mu dać pożyczki, więc mówi, że oskarży ich o dyskryminację, bo ma niezłe dochody i dowiedział

się, że jeden facet, który chodzi do naszego kościoła, dostał kredyt, chociaż mniej zarabia. Czy to

moja wina, że nie może dostać pożyczki? Czy ktoś go zmuszał, żeby tu przyjechał? Nie wie, że tutaj będzie tylko czarnym człowiekiem? Przyjechał tu, bo myślał, że mu się to opłaci? Ciągłe pieniądze, pieniądze, pieniądze. Chce, żebym sama decydowała o swojej pracy. Co księgowy wie o medycynie? Ja chcę tylko wygodnie żyć. Chcę mieć na studia swojego dziecka. Nie muszę pracować dłużej tylko po to, żeby gromadzić pieniądze. Przecież nie chcę sobie kupić jachtu jak Amerykanie. — Ciocia Uju odeszła od okna i usiadła przy kuchennym stole. — Nawet nie wiem, po co tu przyjechałam.

Kiedyś aptekarka powiedziała mi, że mam niezrozumiały akcent.

Wyobrażasz sobie, zadzwoniłam po lekarstwo, a ona mi mówi, że mam niezrozumiały akcent.

Tego samego dnia, jakby się zmówili, jeden pacjent, jakiś leń, cały wytatuowany, powiedział mi, żebym wracała gdzie moje miejsce. Tylko dlatego, że wiedziałam, że kłamie, że go boli, bo chciał dostać więcej środków przeciwbólowych. Czemu muszę to znosić? To wszystko wina Buhari, Babangidy i Abachy, bo oni zniszczyli Nigerię.

Dziwne, że ciocia Uju mówiła o dawnych przywódcach kraju, wymawiając ich nazwiska ze zjadliwą pretensją, ale ani razu nie wspomniała o Generale.

Curt i Dike wrócili do kuchni. Dike miał błysk w oku, był trochę spocony i gadał jak najęty; wreszcie pod koszem do koszykówki dał się złapać na urok Curta.

— Chcesz wody, Curt? — zapytał.

— Mów do niego wujku — powiedziała ciocia Uju.

Curt się roześmiał.

— A może kuzynie Curcie?

— Nie jesteś moim kuzynem — powiedział Dike z uśmiechem.

— Ale byłbym, gdybym ożenił się z twoją kuzynką.

— Zależy, ile byś nam zaproponował! — powiedział Dike.

Wszyscy się roześmiali. Ciocia Uju była zadowolona.

— Napijemy się na zewnątrz, Dike? — zapytał Curt. — Musimy jeszcze coś załatwić.

Curt delikatnie dotknął ramienia Ifemelu, jakby sprawdzał, czy nic jej nie jest, i wyszedł.

— *O na-eji gi ka akwa* — powiedziała ciocia Uju pełnym zachwytu głosem.

Ifemelu się uśmiechnęła. Curt rzeczywiście obchodził się z nią jak z jajkiem. Przy nim czuła się krucha, cenna. Później, kiedy

wyszli, wzięła go za rękę i lekko ją uścisnęła; była dumna — że jest z nim i z niego.

Któregoś ranka ciocia Uju obudziła się i poszła do łazienki. Bartholomew umył właśnie zęby. Ciocia Uju sięgnęła po swoją szczoteczkę i zobaczyła w umywalce grudkę pasty. Na tyle dużą, że wystarczyłaby na umycie zębów. Tkwiła daleko od odpływu, miękka, rozpływająca się.

Ciocia Uju poczuła obrzydzenie. Jak to możliwe, żeby ktoś umył zęby i zostawił w umywalce tyle pasty? Nie widział jej? A może, kiedy pasta spadła, wycisnął na szczoteczkę nową? Albo po prostu wyszorował zęby na wpół suchą szczoteczką? Co znaczyło, że jego zęby są dalej brudne.

Ale nie zęby obchodziły ciocię Uju. Obchodziła ją grudka pasty zostawiona w umywalce. Tyle razy wycierała jego pastę, splukiwała ją z umywalki. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jej cierpliwość się wyczerpała. Zawołała go — raz i jeszcze raz. Zapytał, co się stało. Powiedziała mu, że nie może tak zostawiać pasty w umywalce. Popatrzył na ciocię i burknął, że się śpieszy, że już jest spóźniony do pracy, a ona mu powiedziała, że też musi iść do pracy i że zarabia więcej od niego, na wypadek gdyby o tym zapomniał. W końcu płaci za jego samochód. Wpadł z łazienki i pognał na dół. W tym momencie ciocia Uju przerwała opowieść, a Ifemelu wyobraziła sobie Bartholomew w koszuli z kołnierzykiem innego koloru i w za wysoko podciągniętych spodniach, z zakładkami, w których okropnie wyglądał, jak wybiega z domu kaczym chodem. W telefonie

głos cioci Uju brzmiał niezwykle spokojnie.

— Znalazłam domek w mieście, które nazywa się Willow. Ładne, strzeżone osiedle niedaleko uniwersytetu. Dike i ja wyjeżdżamy w ten weekend — powiedziała ciocia Uju.

— Aj-aj! Ciociu, tak szybko?

— Próbowałam. Mam dość.

— Co Dike na to?

— Powiedział, że nigdy nie lubił mieszkać w lesie. O Bartholomew nie wspomniał nawet słowem. W Willow będzie mu znacznie lepiej.

Ifemelu podobała się nazwa miasta. Willow; brzmiało dla niej jak świeżo wyciśnięty początek.

Do moich nieamerykańskich czarnych braci:

W Ameryce, jesteś czarny, złotko

Kochani nieamerykańscy czarni, kiedy postanawiacie przyjechać do Ameryki, stajecie się czarni. Przestańcie się wyklócać. Przestańcie mówić: jestem Jamajczykiem albo jestem Ghańczykiem. Ameryki to nie obchodzi. Co z tego, że nie byliście „czarni” w swoim kraju?

Teraz jesteście w Ameryce. Wszyscy przeżyliśmy swoje w czasie inicjacji do Stowarzyszenia Dawnych Czarnuchów. Ja doświadczyłam tego na zajęciach w college’u, kiedy zostałam poproszona o przedstawienie punktu widzenia czarnych, tylko że nie miałam pojęcia, jaki on jest.

Więc coś naprędce zmyśliłam. Przyznaję — mówicie „nie jestem czarny” wyłącznie dlatego, że wiecie, że czarny znajduje się na najniższym szczeblu amerykańskiej drabiny rasowej. A tego nie chcecie. Nie zaprzeczajcie teraz. Co by było, gdyby czarni mieli takie same przywileje jak ci, którzy są biali? Wciąż mówilibyście: „Nie jestem czarny, jestem z Trynidadu”? Nie sądzę. Więc jesteś czarny, kotku. A oto na czym polega bycie czarnym: trzeba się obrazić, kiedy w żartach ktoś użyje słów „arbuzy” albo „smoluch”, nawet jeśli nie wiecie, o czym on, u licha, mówi —

a ponieważ jesteś nieamerykańskim czarnym, masz dużą szansę tego nie wiedzieć. (Na studiach jedna z koleżanek zapytała, czy lubię arbuzy, odpowiedziałam, że tak, na co inna powiedziała, o mój Boże, jakie to rasistowskie, a ja nie wiedziałam, o co chodzi. „Chwila, dlaczego?”).

Musisz skinąć głową, jeśli jakiś czarny skinie do ciebie w okolicy zamieszkaney głównie przez białych. To się nazywa czarne skinienie głowy. W ten sposób czarni ludzie mówią:

„nie jesteś sam, ja też tu jestem”. Kiedy opisujesz jakąś czarną kobietę w Ameryce, musisz użyć słowa

„SILNA”, bo takie właśnie powinny być czarne kobiety w Ameryce. Jeśli jesteś kobietą, proszę, nie mów, co myślisz, jak robiłaś to u siebie w kraju. Ponieważ w Ameryce czarne kobiety o wyrobionych poglądach są PRZERAŻAJĄCE. A jeśli jesteś mężczyzną, bądź

hiperwyluzowany, nie ekscytuj się z nadto, bo ktoś może pomyśleć, że zaraz sięgniesz po broń.

Kiedy oglądasz telewizję i słyszysz „rasistowskie oszczerstwa”, natychmiast musisz poczuć się obrażony. Nawet jeśli myślisz: „Ale czemu nie powiedzą mi tego, co naprawdę mają na myśli?”.

Nawet jeśli chciałbyś sam zdecydować, na ile jesteś obrażony, albo czy w ogóle jesteś, tak czy owak musisz być obrażony.

Kiedy usłyszysz, że została popełniona jakaś zbrodnia, módl się, żeby nie popełnił jej jakiś czarny, a jeśli się okaże, że jednak to był czarny, jak najdłużej trzymaj się z daleka od okolicy, w której do zbrodni doszło, bo możesz być zatrzymany, ponieważ pasujesz do profilu.

Jeśli w twojej obecności czarna kasjerka źle obsłuży kogoś nieczarnego, powiedz, że ten ktoś ma ładne buty, albo cokolwiek, byle wynagrodzić mu złe zachowanie kasjerki, bo jesteś tak samo winny popełnionej przez nią zbrodni. Jeżeli studiujesz na uniwersytecie Ligi Bluszczowej i młody republikanin mówi ci, że dostałeś się wyłącznie dzięki wyrównywaniu szans, nie opowiadaj mu, że w liceum miałeś wspaniałe stopnie. W zamian napomknij łagodnie, że na

wyrównywaniu szans najwięcej skorzystały białe kobiety.

Kiedy idziesz do restauracji, błagam, daj szczodry napiwek. Inaczej inny czarny, który przyjdzie po tobie, zostanie podle obsłużony, ponieważ kelnerzy narzekają, kiedy dostają czarny sto lik. Chodzi o to, że czarni mają gen, z powodu którego nie dają napiwków, proszę więc, żebyś starał się go przewyciężyć. Jeżeli opowiadasz komuś nieczarnemu o jakimś przejawie rasizmu, z którym się spotkałeś, niech nie przemawia przez ciebie gorycz. Nie narzekaj. Bądź

wyrozumiały. Jeśli to możliwe, obróć wszystko w żart. A przede wszystkim nie wpadaj w gniew. Inaczej nie spotkasz się ze współczuciem. Czarnych nie powinien złościć rasizm. Ale to dotyczy wyłącznie białych liberałów. Nawet nie wspominaj białemu konserwatyście o żadnych przejawach rasizmu, z którymi się spotkałeś ponieważ konserwatysta powie ci, że to TY jesteś prawdziwym rasistą, a tobie opadnie szczeka ze zdziwienia.

ROZDZIAŁ 22

W sobotę w centrum handlowym w White Marsh Ifemelu zobaczyła Kayode DaSilva.

Padał deszcz. Stała wewnątrz przy wejściu i czekała na Curta, który miał podjechać samochodem, a Kayode wpadł na nią.

— Ifemelu! — powiedział.

— O mój Boże! Kayode!

Uścisnęli się, patrzyli na siebie, mówili wszystkie te rzeczy, które mówią ludzie po wielu latach niewidzenia, oboje przybierając swoje nigeryjskie głosy i nigeryjskie ja, głośniej, mocniej, z „o” dodanym do każdego zdania. Kayode wyjechał zaraz po liceum, wstąpił na uniwersytet w Indianie i kilka lat temu go skończył.

— Pracowałem w Pittsburghu, ale właśnie przeprowadziłem się do Silver Spring, do nowej pracy. Uwielbiam Maryland. Wszędzie spotykam Nigeryjczyków, w sklepie, w centrum handlowym, wszędzie. Zupełnie jak w domu. Ale ty chyba już o tym wiesz.

— Tak — odpowiedziała, mimo że nie wiedziała.

Jej Maryland był małym, zamkniętym światkiem amerykańskich przyjaciół Curta.

— A tak w ogóle to chciałem cię odnaleźć.

Patrzył na nią, jakby chłonał szczegóły, ucząc się jej na pamięć, żeby potem mógł

o wszystkim dokładnie opowiadać.

— Serio?

— Mój kumpel Zed i ja rozmawialiśmy jakiś czas temu i zgadało się o tobie, i on powiedział, że z tego, co słyszał, mieszkasz w Baltimore, a ponieważ ja jestem niedaleko, mógłbym cię odszukać, sprawdzić, czy u ciebie wszystko OK, i opowiedzieć mu, jak teraz wyglądasz.

Poczuła, że cała drętwieje.

— Och, wciąż utrzymujecie kontakt? — wybąkała.

— Tak. Zgadaliśmy się, kiedy w zeszłym roku wyjechał do Anglii.

Do Anglii! Obinze był w Anglii. Odsunęła się od niego, ignorując go, zmieniając adres mailowy, numer telefonu, a mimo to czuła się głęboko zdradzona, kiedy to usłyszała. W jego życiu zaszły zmiany, o których nie wiedziała. Był w Anglii. Zaledwie kilka tygodni wcześniej ona i Curt pojechali do Anglii na festiwal w Glastonbury, a potem spędzili dwa dni w Londynie.

Obinze mógł tam być. Mogła natknąć się na niego, idąc Oxford Street.

— To co się stało? Słowo daję, nie mogłem uwierzyć, kiedy mi powiedział, że nie macie kontaktu. Aj-aj! Wszyscy czekaliśmy na zaproszenie na ślub, o! — powiedział Kayode.

Ifemelu wzruszyła ramionami. W środku miała porozrzucane rzeczy, które musiała zebrać razem.

— Co u ciebie? Jak żyjesz? — zapytał Kayode.

— Wszystko dobrze — odparła zimno. — Czekam na mojego chłopaka, ma tu po mnie podjechać. O, to właśnie on.

W zachowaniu Kayode zaszła zmiana, wycofał się, odwołał armię serdeczności, doskonale wyczuwając, że postanowiła go odepchnąć. Już odchodziła.

— Trzymaj się — rzuciła do niego przez ramię.

Powinna się była wymienić z nim numerami telefonów, porozmawiać dłużej, zachowywać się tak, jak w takich sytuacjach powinna. Ale miały ją emocje. Obwiniła Kayode, że wiedział o Obinze, że jej o nim przypomniał.

— Właśnie spotkałam starego kolegę z Nigerii. Nie widzieliśmy się od liceum —

powiedziała Curtowi.

— Naprawdę? To miłe. Mieszka tutaj?

— W Waszyngtonie.

Curt patrzył na nią, czekając na więcej. Zaprosiłby Kayode na drinka, chciał być przyjacielem jej przyjaciół, czarować, jak to miał w zwyczaju. I ta jego wyczekująca mina ją zezłościła. Pragnęła ciszy. Nawet radio jej przeszkadzało. Co Kayode powie Obinze? Że spotyka się z przystojnym białym w bmw coupe, nosi afro, za uchem ma wetknięty czerwony kwiat. Co Obinze sobie o tym pomyśli? Co robił w Anglii? Naszło ją wyraźne wspomnienie słonecznego dnia — kiedy jego przyjaciel Okwudiba przyniósł do jego domu kasetę wideo i Obinze powiedział:

— Brytyjski film? Strata czasu.

Według niego tylko amerykańskie filmy warto było oglądać. A teraz był w Anglii.

Curt patrzył na nią.

— Zdenerwował cię jego widok?

— Nie.

— Był twoim chłopakiem czy co?

— Nie — powiedziała, wyglądając przez okno.

Później wysłała maila do Obinze na Hotmail. „Sufit, nawet nie wiem, od czego zacząć.

Dzisiaj spotkałam w centrum handlowym Kayode. Chcę przeprosić, moje milczenie nawet mnie wydaje się głupie, ale bardzo przepraszam i jest mi okropnie głupio. Opowiem ci o wszystkim, co się stało. Tęskniłam i tęsknię za tobą”. Ale nie odpowiedział.

— Zamówiłem ci szwedzki masaż — powiedział Curt.

— Dziękuję — odparła. A potem dodała cichszym głosem, żeby zatuszować swoje rozdrażnienie. — Jesteś bardzo słodki.

— Nie chcę być słodki. Chcę być pieprzoną miłością twojego życia — powiedział Curt z takim zdecydowaniem, że się przestraszyła.

CZEŚĆ 3

ROZDZIAŁ 23

W Londynie ciemność zapadała zbyt szybko, w porannym powietrzu wisiała jak groźba, popołudnia spowijał niebieskoszary mrok, a wiktoriańskie budynki straszyły ponurością. W ciągu tych pierwszych tygodni zimno przerażało Obinze swoimi nieważkimi groźbami, wysuszając mu nos, pogłębiając jego niepokój, zmuszając do zbyt częstego sikania. Chodził szybko, mocno skulony, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie płaszcza, który pożyczył mu kuzyn, grubego, wełnianego płaszcza, w którego rękawach jego palce ginęły. Czasem zatrzymywał się przed stacją metra, często obok sprzedawcy kwiatów albo gazet, i patrzył na mijających go ludzi.

Wszyscy oni szli tak szybko, jakby pilnie musieli gdzieś dotrzeć, mieli jakiś cel w życiu, którego jemu brakowało. Śledził ich tęsknym wzrokiem i myślał sobie: „Możecie pracować, jesteście tu legalnie, jesteście widzialni i nawet nie wiecie, jakie macie szczęście”.

Na stacji metra spotkał Angolczyków, którzy zaaranżowali jego małżeństwo, dokładnie dwa lata i trzy dni po jego przyjeździe do Anglii; cały czas liczył.

— Porozmawiamy w samochodzie — jeden z nich powiedział wcześniej przez telefon.

Ich stary, czarny mercedes był starannie utrzymany, dywaniki pofalowane od odkurzania, skórzane siedzenia lśniące od pasty. Dwaj mężczyźni byli bardzo do siebie podobni, z grubymi brwiami, które niemal się stykały. Ale powiedzieli mu, że są tylko kolegami. Ubierali się też podobnie, w skórzane kurtki i długie, złote łańcuchy. Zaskoczyły go ich fryzury, włosy obcięte wysoko i płasko, tak że przypominały wysokie kapelusze, ale być może takie uczesanie retro było częścią ich wizerunku. Mówili do niego z autorytetem ludzi, którzy robili to już wcześniej, ale też lekko protekcyjnie; w końcu jego los był w ich rękach.

— Zdecydowaliśmy się na Newcastle, bo znamy tam ludzi, a w Londynie jest teraz zbyt gorąco, za dużo małżeństw w Londynie, tak, więc nie chcemy kłopotów — powiedział jeden. —

Wszystko pójdzie jak trzeba. Tylko pamiętaj, żeby się nie wychylać, tak? Nie zwracaj na siebie uwagi, dopóki się nie ożenisz. Nie wdawaj się w żadne bójki w pubie, tak?

— Nigdy się dobrze nie biłem — powiedział Obinze sucho, ale Angolczycy się nie uśmiechnęli.

— Masz pieniądze? — zapytał drugi.

Obinze dał im dwieście funtów, w samych dwudziestofuntowych banknotach, które przez dwa dni wypłacał z bankomatu. To była zaliczka, na dowód, że jego zamiary są poważne.

Później, kiedy już pozna dziewczynę, zapłaci dwa tysiące funtów.

— Reszta ma być z góry, tak? Część wykorzystamy na załatwienie spraw, resztę dostanie dziewczyna. Człowieku, wiesz, że my z tego nic nie mamy. Zwykle chcemy więcej, ale robimy to dla Iloby — powiedział pierwszy.

Obinze im nie wierzył, nawet wtedy. Kilka dni później poznał dziewczynę, Cleotilde, w centrum handlowym, w McDonalddie, którego okna wychodziły na wilgotne wejście do metra po drugiej stronie ulicy. Siedział przy stoliku z Angolczykami, patrzył na przechodzących ludzi i zastanawiał się, która z kobiet była nią, podczas gdy obaj Angolczycy szeptali coś do swoich telefonów; może załatwiali kolejne małżeństwa.

— Cześć — powiedziała.

Zaskoczyła go. Spodziewał się kogoś z dziobami po ospie ukrytymi pod grubą warstwą makijażu, kogoś twardego i pewnego siebie. Ale oto stała przed nim, przemoczona i świeża, w okularach, o oliwkowej skórze, prawie dziecinna, i uśmiechała się do niego, siorbiąc milkshake'a przez słomkę. Wyglądała na studentkę pierwszego roku, która była albo

głupia, albo jedno i drugie.

— Musisz mi powiedzieć, czy naprawdę tego chcesz — odezwał się do niej, a potem przestraszony, że ona się złęknie, dodał: — Jestem bardzo wdzięczny i nie będę niczego chciał

od ciebie. Za rok dam ci papiery i rozwiedziemy się. Ale najpierw chciałem cię poznać i upewnić się, że nie masz nic przeciwko.

— Nie mam — powiedziała.

Patrzył na nią, czekając na coś więcej. Nieśmiało bawiła się słomką, unikała jego wzroku i dopiero po chwili zrozumiał, że kępuje ją nie sytuacja, lecz on. Podobał się jej.

— Chcę pomóc mamie. W domu mamy ciężko — powiedziała z lekkim, niebrytyjskim akcentem.

— Jest z nami, tak — powiedział jeden z Angolczyków, zniecierpliwiony, jakby Obinze śmiał kwestionować to, co mu powiedzieli wcześniej.

— Pokaż mu dokumenty, Cleo — powiedział drugi.

Kiedy nazwał ją Cleo, zabrzmiało to fałszywie; Obinze wyczuł to ze sposobu, w jaki to powiedział i w jaki ona zareagowała, z lekkim zdziwieniem na twarzy. To była udawana zażyłość; Angolczycy nigdy wcześniej nie mówili do niej Cleo. Może w ogóle nie zwracali się do niej po imieniu. Obinze zastanawiał się, skąd Angolczycy ją znają. Mieli listę młodych kobiet z paszportami Unii Europejskiej, które potrzebowały pieniędzy? Cleotilde odsunęła włosy, gęste, mocno skręcone loczki i poprawiła okulary, jakby najpierw chciała się przygotować, i dopiero potem wyjęła swój paszport i prawo jazdy. Obinze przyjrzał się im. Nie wyglądała na dwadzieścia trzy lata.

— Dasz mi swój numer? — zapytał Obinze.

— Dzwoń do nas, jak czegoś chcesz — powiedzieli Angolczycy, niemal równocześnie.

Ale Obinze zapisał swój numer telefonu na serwetce i pchnął w jej stronę. Angolczycy spojrzeli na niego chytrze. Później powiedziała mu przez telefon, że mieszka w Londynie od sześciu lat i oszczędza, żeby iść do szkoły projektowania ubrań, chociaż od Angolczyków dowiedział się, że mieszkała w Portugalii.

— Może chcesz, żebyśmy się spotkali? — zapytał Obinze. — Będzie łatwiej, jeśli się trochę lepiej poznamy.

— Tak — odparła bez wahania.

Jedli rybę z frytkami w pubie, przy drewnianym stoliku z zaschniętą warstewką tłuszczu na brzegach, a ona opowiadała mu, że uwielbia modę, i wypytywała go o tradycyjny nigeryjski ubiór. Wydawała się trochę bardziej dojrzała; zauważył róż na jej policzkach, trochę mocniej podkrecone włosy i domyślił się, że zadbała o swój wygląd.

— Co będziesz robił, jak dostaniesz papiery? — zapytała go.
— Sprowadzisz swoją dziewczynę z Nigerii?

Ujęła go jej szczerość.

— Nie mam dziewczyny.

— Nigdy nie byłam w Afryce. Bardzo chciałabym pojechać.

Powiedziała „Afryka” tęsknie, jak zachwycony obcokrajowiec, wkładając w słowo podniecenie egzotyką. Jej czarny, angolski ojciec zostawił jej białą, portugalską matkę, kiedy ona miała zaledwie trzy latka, i od tamtego czasu go nie widziała, nie była też nigdy w Angoli.

Powiedziała to ze wzruszeniem ramion i cynicznie uniesionymi brwiami, jakby ją to nie obchodziło, co tak bardzo nie pasowało do jej charakteru, było tak rażące, że od razu się domyślił, jak bardzo ją obchodziło. Miała kłopoty w życiu, które chciał poznać, dotknąć miejsc na jej mocnym, kształtnym ciele, ale bał się komplikacji. Zaczeka, aż się pobiorą, aż załatwią biznesową stronę ich związku. Zdawała się to rozumieć bez potrzeby rozmawiania o tym. I tak

przez następne tygodnie spotykali się i rozmawiali, czasem ćwicząc, jak będą odpowiadać na pytania w czasie rozmowy imigracyjnej, kiedy indziej rozmawiając tylko o futbolu, a przez cały czas narastało między nimi powstrzymywane pożądanie. Czuli je, stojąc obok siebie, ale nie dotykając się, na peronie metra, żartując z jego kibicowania Arsenalowi, a jej Manchesterowi United, w ich tęsknych spojrzeniach. Kiedy zapłacił Angolczykowi dwa tysiące funtów gotówką, powiedziała mu, że jej dali tylko pięćset.

— Tylko ci mówię. Wiem, że nie masz więcej pieniędzy. Chcę to zrobić dla ciebie —

powiedziała.

Patrzyła na niego wzrokiem pełnym niewypowiedzianych rzeczy i sprawiła, że znowu się poczuł kompletny, przypomniała mu, jak bardzo głodny jest czegoś prostego i czystego. Chciał ją pocałować, górną wargę bardziej różową i błyszczącą od szminki niż dolną, przytulić ją, powiedzieć, jak głęboko, żywo jest jej wdzięczny. Nigdy nie zrobiła nic, żeby zamieszać w kotle jego zmartwień, nigdy nie pokazała mu swojej nad nim władzy. Iloba opowiedział mu, jak jedna kobieta z Europy Wschodniej na godzinę przed ślubem poprosiła Nigeryjczyka, żeby dał jej tysiąc funtów ekstra, albo sobie pójdzie. Mężczyzna spanikowany zaczął wydzwaniać po znajomych, żeby zdobyć pieniądze.

— Człowieku, dajemy ci świetny układ — po wiedział mu tylko jeden z Angolczyków, kiedy Obinze zapytał, ile dali Cleotilde, tym swoim tonem, tonem człowieka, który wie, jak bardzo jest potrzebny.

W końcu to oni zaprowadzili go do prawnika, Nigeryjczyka o cichym głosie, który siedział na obrotowym krześle, na którym podjechał do szafki z dokumentami.

— Może pan wziąć ślub, chociaż ma pan już nieważną wizę. W zasadzie małżeństwo to pana jedyna szansa.

To oni dostarczyli rachunki za wodę i gaz, za sześć miesięcy wstecz, z jego nazwiskiem i adresem w Newcastle, oni znaleźli człowieka, który „załatwi” mu prawo jazdy, mężczyznę o tajemniczym nazwisku Brown. Obinze spotkał się z Brownem na dworcu w Barking; jak było umówione, stał przy wejściu, w tłumie ludzi i, rozglądając się, czekał, aż zadzwoni jego telefon, bo Brown nie chciał mu dać swojego numeru.

— Czekasz na kogoś?

Przed nim stał Brown, drobny człowieczek w zimowej czapce naciągniętej głęboko na oczy.

— Tak. Jestem Obinze — powiedział, czując się jak postać ze szpiegowskiego filmu, która musi posługiwać się głupim szyfrem. Brown zaprowadził go do spokojnego kąta i podał

mu kopertę — było w niej jego prawo jazdy, z jego zdjęciem, wyglądające, jakby miało co najmniej z rok. Lekka plastikowa karta, ale czuł jej ciężar w kieszeni. Kilka dni później w Londynie wszedł z nim do budynku, który z zewnątrz wyglądał jak kościół, strzelisty i ponury, ale wewnątrz był zaniedbany, brudny, pełen ludzi. Na białych tablicach widniały napisy: NARODZINY I ZGODY TĘDY. REJESTRACJA MAŁŻEŃSTW TĘDY. Obinze z kamiennym wyrazem obojętności na twarzy podał swoje prawo jazdy urzędnicze za biurkiem.

W stronę drzwi szła kobieta i rozmawiała głośno z towarzyszącym jej mężczyzną.

— Zobacz, ile ludzi. Wszyscy chcą zawrzeć małżeństwa na papierze, teraz kiedy Blunkett się na nich uwziął.

Może przyszła zgłosić zgon i jej słowa spowodowane były zwyczajną żalobą, ale poczuł

znajomy ucisk paniki w piersi. Urzędniczka oglądała jego prawo jazdy zbyt długo. Sekundy przeciągały się i wlokły. „Małżeństwa na papierze, wszyscy”, dzwoniło Obinze w głowie.

W końcu urzędniczka podniosła wzrok i popchnęła w jego stronę formularz.

— Bierzemy ślub, tak? Gratulacje! — Radość w słowach była mechaniczna, wyćwiczona

przez częste powtarzanie.

— Dziękuję — powiedział Obinze i starał się rozluźnić twarz.

Za biurkiem stała oparta o ścianę biała tablica z wypisanymi na niebiesko datami i miejscami ślubów; nazwiska na dole przykuły jego uwagę: Okoli Okafor i Crystal Smith. Okoli Okafor chodził z nim do klasy w liceum i był w tej samej grupie na uniwersytecie, cichy chłopiec, z którego się naśmiewali, że jako imię ma nazwisko, który potem przyłączył się do groźnej sekty na uniwersytecie, i w czasie jednego z długich strajków wyjechał z Nigerii. A teraz był tutaj, nazwisko duch, i miał się w Anglii żenić. Może on też zawierał małżeństwo na papierze. Okoli Okafor. Na studiach

wszyscy nazywali go Okoli Paparazzi. W dniu śmierci księżnej Diany przed zajęciami zebrała się grupka studentów i rozmawiali o tym, co rano usłyszeli w radiu, w kółko powtarzając „paparazzi”, przemądrzale i zadziornie. „Ale kim w zasadzie są ci paparazzi? To motocykliści?”, zapytał Okoli cicho i z miejsca zyskał przydomek Okoli Paparazzi.

Wspomnienie wyraźne jak promień światła przeniosło Obinze do czasów, kiedy wciąż jeszcze myślał, że świat dostosuje się do jego woli. Gdy wychodził z budynku, ogarnęła go melancholia. Raz, na ostatnim roku studiów, kiedy ludzie tańczyli na ulicach, ponieważ umarł

generał Abacha, jego matka powiedziała: „Któregoś dnia spojrzę i wszyscy ludzie, których znam, nie będą już żyli albo wyjadą za granicę”. Powiedziała to ze znużeniem, kiedy siedzieli w salonie i jedli gotowaną kukurydzę z pochrzynem. W jej głosie wyczuł smutek przegranej, jakby jej przyjaciele, wyjeżdżający wykładać w Kanadzie i Ameryce, potwierdzali tylko jej własną, wielką, osobistą klęskę. Przez chwilę miał wrażenie, że on też ją zdradził, planując studia podyplomowe w Ameryce, pracę w Ameryce, życie w Ameryce. Planował to od dawna.

Oczywiście wiedział, jak bezsensownie mogą się zachować w amerykańskiej ambasadzie —

kiedyś odmówili wizy wicekanclerzowi, który wybierał się na konferencję — ale on nigdy nie zwątpił w swój plan. Później nieraz się zastanawiał, skąd brała się ta jego pewność. Może stąd, że nigdy nie chciał tak po prostu wyjechać „za granicę”, jak wielu innych; niektórzy wyjeżdżali teraz do Afryki Południowej, co go śmieszyło. Dla niego zawsze była Ameryka, wyłącznie Ameryka. Tęsknota, którą odczuwał i pielęgnował latami. Reklama w NTA „Andrew się wypisuje”, którą oglądał jako dziecko, nadała kształt jego tęsknocie. „Ludzie, wypisuję się —

mówił Andrew, patrząc zadziornie w kamerę. — Ani porządnych dróg, ani światła, ani wody.

Ludzie, nawet nie można dostać butelki z napojem!” Kiedy Andrew się wypisywał, żołnierze generała Buhari katowali

ludzi na ulicach, wykładowcy strajkowali o lepszą płacę, a jego matka stwierdziła, że nie może już pić fanty, kiedy zechce, ale tylko w niedzielę, za pozwoleniem. I tak Ameryka stała się miejscem, gdzie można było pić fantę butelkami, bez pozwolenia. Stawał

przed lustrem i powtarzał słowa Andrew: „Ludzie, wypisuję się!”. Później, kiedy wyszukiwał

czasopisma, książki, filmy i opowieści z drugiej ręki o Ameryce, jego tęsknota nabrała lekko mistycznego charakteru, a Ameryka stała się miejscem, które było mu przeznaczone. Widział

siebie, jak idzie ulicami Harlemu, rozmawia o wartościach Marka Twaina ze swoimi amerykańskimi przyjaciółmi, spogląda na Mount Rushmore. Kilka dni po ukończeniu studiów, napompowany wiedzą o Ameryce, wystąpił o amerykańską wizę w amerykańskiej ambasadzie w Lagos.

Już wiedział, że najlepiej rozmawiać z mężczyzną z jasną brodą, i kiedy przesuwiał się w kolejce, miał nadzieję, że nie trafi do koszmaru, drobnej kobietki, znanej z tego, że wrzeszczy do mikrofonu i obrzuca obelgami nawet starsze babcie. W końcu nadeszła jego kolej.

— Następny! — powiedział mężczyzna z jasną brodą.

Obinze podszedł i wsunął pod szklaną przegrodę swoje dokumenty. Mężczyzna popatrzył

na nie i powiedział łagodnie:

— Przykro mi. Nie kwalifikuje się pan. Następny!

Obinze oniemiał. W ciągu kilku następnych miesięcy poszedł jeszcze trzy razy. Za każdym razem nikt nawet nie patrzył na jego dokumenty, a odpowiedź była ta sama: „Przykro mi, nie kwalifikuje się pan”, i za każdym razem wychodził z klimatyzowanego chłodu ambasady na oślepiające słońce, oniemiały z niedowierzania.

— To ze strachu przed terrorystami — powiedziała jego matka. — Amerykanie są teraz źle nastawieni do młodych mężczyzn z zagranicy.

Poradziła mu, żeby poszukał pracy i spróbował znowu za rok. Jego podania o pracę zostawały bez odpowiedzi. Jeździł do Lagos i Port Harcourt, do Abudży na testy kwalifikacyjne, które rozwiązywał z łatwością, odbywał rozmowy kwalifikacyjne, gładko odpowiadając na pytania, ale potem następowała długa cisza. Niektórzy znajomi dostawali pracę, ludzie bez drugiego stopnia jak on, którzy nie wysławiali się równie płynnie. Zastanawiał się, czy pracodawcy wyczuwali w jego oddechu amerykańskie marzenie albo domyślali się, z jaką obsesją wciąż przegląda internetowe strony amerykańskich uniwersytetów. Mieszkał z matką, jeździł jej samochodem, sypiał z nijakimi, młodymi studentkami, nocami w kafejkach internetowych przeglądał nocne wydania specjalne, czasem spędzał dni w swoim pokoju, czytając i unikając matki. Drażnił go jej spokojny, dobry nastrój, to, jak bardzo starała się myśleć pozytywnie, jak mówiła mu, że teraz do władzy doszedł prezydent Obasanjo, zachodzą zmiany, firmy telefonii komórkowej i banki rozrastają się i przyjmują do pracy, nawet dają młodym pożyczki na samochód. Jednak przez większość czasu zostawiała go w spokoju. Nie pukała do jego drzwi. Prosiła tylko gosposię, Agnes, żeby zostawiała dla niego jedzenie w garnku i wносиła z jego pokoju brudne talerze. Któregoś dnia zostawiła mu liścik na umywalce w łazience: „Zostałam zaproszona na akademicką konferencję w Londynie. Powinniśmy porozmawiać”. Był zaskoczony. Kiedy wróciła do domu po wykładach, czekał na nią w salonie.

— Mamusiu, nno — powiedział.

Na jego powitanie odpowiedziała skinieniem głowy i położyła torbę na środku stołu.

— Wpiszę cię na listę do ambasady brytyjskiej, jako mojego asystenta — powiedziała cicho. — Powinieneś dostać wizę na pół roku. Możesz zamieszkać u Nicholasa w Londynie.

Zastanowisz się, co zrobić ze swoim życiem. Może stamtąd uda ci się wyjechać do Ameryki.

Wiem, że myślami jesteś już gdzie indziej.

Patrzył na nią.

— Rozumiem, że dzisiaj tak się to odbywa — powiedziała i usiadła obok niego na kanapie, starając się, żeby jej słowa brzmiały bezceremonialnie, ale w jej ożywieniu wyczuwał skrępowanie. Należała do pokolenia oszołomionych, którzy nie rozumieli, co dzieje się z Nigerią, ale dawali się nieść z prądem. Była kobietą zamkniętą w sobie, która o nic nie prosiła, nigdy nie kłamała, która nie przyjmowała od studentów nawet kartki na Boże Narodzenie, bo to by ją mogło skompromitować, która rozliczała się z każdego kobo wydanego na każdy komitet, do którego należała, a teraz nagle zachowywała się, jakby prawda była luksusem, na który nie mogli sobie już pozwolić. Było to wbrew wszystkiemu, czego go nauczyła, a mimo to wiedział, że w ich sytuacji prawda rzeczywiście stała się luksusem. Skłamała dla niego. Gdyby zrobił to ktoś inny, niewiele albo wręcz nic by to dla niego nie znaczyło, ale ona skłamała dla niego i dostał

wizę na sześć miesięcy do Zjednoczonego Królestwa, i czuł, zanim jeszcze to do niego dotarło, że poniósł klęskę. Nie kontaktował się z nią, bo nie miał jej nic do powiedzenia, i czekał, aż wreszcie będzie jej mógł coś powiedzieć. Był w Anglii od trzech lat i rozmawiał z nią tylko kilka razy, oboje skrępowani, a on wyobrażał sobie, że ona się zastanawia, dlaczego nic mu się nie udało. Ale nigdy nie pytała o szczegóły; czekała tylko na to, co sam chciał jej powiedzieć.

Później, kiedy już wrócił do domu, czuł do siebie obrzydzenie, że potraktował ją tak

bezwzględnie, ślepo, i spędzał z nią dużo czasu, za wszelką cenę pragnąc jej to wynagrodzić, odbudować to, co ich dawniej łączyło, ale najpierw starając się zrozumieć, czemu się od siebie oddalili.

ROZDZIAŁ 24

Wszyscy żartowali z ludzi, którzy jeździli za granicę, żeby czyścić klozety, wobec czego Obinze podszedł do swojej pierwszej pracy z ironią: w rzeczy samej był za granicą i czyścił

klozety, nosił grube, gumowe rękawice i dźwigał wiadro w biurze agenta nieruchomości na drugim piętrze londyńskiego

budynku. Za każdym razem, gdy otwierał wahadłowe drzwi do kabiny, miał wrażenie, jakby wzdychały. Piękna kobieta, która sprzątała damskie toalety, była z Ghany, mniej więcej w jego wieku i miała najbardziej lśniąca ciemną skórę, jaką kiedykolwiek widział. Ze sposobu, w jaki mówiła i zachowywała się, domyślał się, że ma pochodzenie podobne do jego, wygodne dzieciństwo w troskliwej rodzinie, regularne posiłki, marzenia, w których nie pojawiała się sprzątanie klozetów w Londynie. Ignorowała jego przyjazne gesty, mówiąc tylko „dobry wieczór” możliwie najbardziej oficjalnie, ale przyjaźniła się z białą kobietą, która sprzątała biura na górze, i raz widział je w opustoszałej kawiarni, jak piły herbatę i rozmawiały przyciszonymi głosami. Przez chwilę się im przyglądał i nagle w jego głowie eksplodował ogromny smutek. Nie odrzucała przyjaźni w ogóle, odrzucała przyjaźń oferowaną przez niego. Być może w obecnych okolicznościach przyjaźń między nimi była niemożliwa, ponieważ ona pochodziła z Ghany, on z Nigerii, więc tym samym był do niej za bardzo podobny; rozumiał wszystkie jej rozterki, za to przed Polką mogła wykreować siebie na nowo, być kimkolwiek chciała.

Toalety nie były najgorsze, trochę moczu na pisuarach, nie dość dobrze spłukane klozety; sprzątało się je o wiele łatwiej niż sprzątacjom w kampusie w Nsukka toalety ze smugami kału rozsmarowanymi na ścianach, które zawsze kazały mu się zastanawiać, po co ktoś zadawał sobie aż tyle kłopotu. Dlatego doznał szoku, kiedy jednego wieczoru wszedł do kabiny i znalazł na klapie klozetu kupę, zaschniętą, w kształcie stożka, na samym środku, jakby ktoś starannie wszystko zaplanował i dokładnie wymierzył środek. Kupa wyglądała jak zwinięty w kłębuszek szczeniak na wycieracze. To było przedstawienie. Pomyślał o słynnych prześladowaniach Anglików. Żona jego kuzyna, Ojiugo, powiedziała raz: „Anglicy mogą mieszkać obok kogoś latami, ale nigdy go nie pozdrowią. Zupełnie jakby połknęli kij”. Ta demonstracja była czymś na kształt buntu, pozbycia się kija. Kogoś, kto został zwolniony? Komu odmówili awansu? Obinze długo wpatrywał się w kupę, z każdą chwilą czując się coraz mniejszy i mniejszy, aż zaczął to odbierać jak osobisty afront, cios w szczękę. I wszystko to za trzy funciaki na godzinę. Zdjął

rękawice, położył je obok kupy i wyszedł z budynku. Wieczorem dostał mail od Ifemelu: „Sufit, nawet nie wiem, od czego zacząć. Spotkałam dzisiaj Kayode w centrum handlowym.

Przepraszanie za moje milczenie nawet mnie wydaje się głupie, ale tak bardzo cię przepraszam i jest mi strasznie głupio. Opowiem ci wszystko, co się wydarzyło. Tęskniłam za Tobą i tęsknię”.

Wpatrywał się w maila. Tego pragnął, pragnął od tak dawna. Żeby się do niego odezwała.

Kiedy przestała się z nim kontaktować, tygodniami ze zmartwienia cierpiał na bezsenność, w środku nocy miotał się po domu, zastanawiał, co się z nią dzieje. Nie pokłócili się, ich miłość kwitła jak zawsze, ich plan nie uległ zmianie i nagle to jej milczenie, tak brutalne i całkowite.

Wydzwaniał i wydzwaniał, aż zmieniła numer telefonu, wysyłał maile, kontaktował się z jej matką, ciocią Uju, Giniką. Ton Giniki, kiedy mu powiedziała: „Ifem potrzebuje trochę czasu, chyba ma depresję”, był jak kawał lodu uciskający mu pierś. Ifemelu nie okulała, nie oślepla, nie zapadła na nagłą amnezję. Utrzymywała kontakt z Giniką, z innymi, ale nie z nim. Nie chciała mieć kontaktu z nim. Pisał do niej maile z błaganiem, żeby przynajmniej powiedziała mu, o co chodzi. Wkrótce maile zaczęły do niego wracać jako niedostarczone; zamknęła swoje konto.

Tęsknił za nią, a tęsknota wżerała się w niego głęboko. Miał jej za złe. Bez końca zachodził

w głowę, co się mogło stać. Zmienił się, skulił wewnątrz w sobie. Raz rozpalał się w nim gniew, kiedy indziej skręcała go niepewność albo zżerał smutek.

I oto teraz patrzył na maila od niej. Napisanego w tym samym tonie, co zwykle, jakby to nie ona go zraniła, pozwoliła, żeby krwawił przez ponad pięć lat. Czemu napisała do niego teraz?

Co jej miał powiedzieć — że sprząta toalety i właśnie dzisiaj znalazł zwiniętą w stożek kupę?

Skąd wiedziała, że wciąż żyje? Mógł umrzeć przez ten czas ich milczenia, a ona nawet by o tym nie wiedziała. Ogarnęło go gniewne poczucie zdrady. Nacisnął „Usuń” i „Opróżnij kosz”.

Jego kuzyn Nicholas miał kwadratową szczękę jak buldog, a mimo to był bardzo przystojny, lecz może jednak to nie wygląd, a zachowanie się podobało, jego wysoka, barczysta, krocząca zamasyście męskość. W Nsukka był najbardziej popularnym studentem w kampusie; kiedy jego sponiewierany volkswagen garbus stał zaparkowany przed piwiarnią, prestiż wszystkich w niej pijących natychmiast wzrastał. Dwie superlaski pobiły się kiedyś o niego w Bello Hostel, rozrywając sobie nawzajem bluzki, ale on wciąż był szelmowsko obojętny, dopóki nie spotkał Ojiugo. Była ulubioną studentką matki Obinze, jedyną, która zasługiwała, żeby zostać jej asystentką, i w niedzielę przyszła do nich do domu porozmawiać o książce.

Nicholas przyszedł również, jak co tydzień, na niedzielny ryż. Ojiugo miała pomalowane na pomarańczowo usta i poszarpane jeansy, mówiła bez ogródek, paliła publicznie, prowokując złośliwe plotki i niechęć wśród dziewcząt, nie dlatego, że robiła te wszystkie rzeczy, ale dlatego, że się na to odważyła, chociaż nie mieszkała nigdy za granicą, żadne z jej rodziców nie było obcego pochodzenia, dzięki czemu mogłyby jej wybaczyć ten brak konformizmu. Obinze pamiętał, z jakim lekceważeniem odnosiła się z początku do Nicholasa, ignorowała go, a on nieprzyzwyczajony do obojętności dziewczyn, mówił coraz głośniej i głośniej. W końcu jednak odjechali razem jego volkswagenem. Jeździli jak szaleni tym volkswagenem po kampusie, Ojiungo za kierownicą, on z ręką wywieszoną przez okno. Jeździli z dudniącą muzyką, ostro biorąc zakręty, raz z kolegą upchniętym w otwartym bagażniku z przodu. Publicznie palili i pili razem. Stali się wspaniałą legendą. Kiedyś widziano ich w piwiarni, Ojiungo w wielkiej białej, koszuli Nicholasa i bez niczego od pasa w dół, Nicholas w jeansach i bez niczego od pasa w górę. „Czasy są ciężkie, więc musimy się dzielić ubraniami”, mówili nonszalancko znajomym.

Obinze nie był zdziwiony, że Nicholas stracił całą swoją młodzieńczą butę; dziwiło go, że kompletnie o niej zapomniał. Nicholas, mąż i ojciec, właściciel domu w Anglii, mówił z tak złowrogą powagą, że aż śmieszna. „Jeśli przyjedziesz do Anglii z wizą bez pozwolenia na pracę

— powiedział do Obinze — najpierw szukasz nie jedzenia i wody, ale numeru ubezpieczenia, żebyś mógł pracować. Bierz każdą pracę, jaka ci się trafi. Nic nie wydawaj. Ożeń się z obywatelką Unii i załatw sobie papiery. Wtedy możesz zacząć życie.” Nicholas chyba uznał, że zrobił, co do niego należało, podzielił się swoją mądrością i potem całymi miesiącami prawie w ogóle się do Obinze nie odzywał. Jakby przestał być starszym kuzynem, który dał Obinze, gdy ten miał piętnaście lat, do zapalenia pierwszego papierosa i rysował na papierze, co Obinze ma robić z palcami, gdy włoży je dziewczynie między nogi. W weekendy Nicholas chodził po domu w chmurze napiętego milczenia, pielęgnując swoje troski. Rozluźniał się nieco tylko, kiedy grał

Arsenal. Z puszką stella artois w ręce, razem z Ojiugo i dziećmi, Nna i Nne, wykrzykiwał

„Naprzód, Arsenal!”. Po meczu twarz mu znowu tężała. Po pracy wracał do domu, ścisnął dzieci i Ojiugo i pytał: „Jak się macie? Co dzisiaj robiliście?”. Ojiugo wymieniała wszystko, co danego dnia robili. Wiolonczela. Pianino. Skrzypce. Zadanie domowe. Zajęcia w ośrodku Kumon. „Nne coraz lepiej czyta”, dodawała. Albo: „Nna nie przyłożył się do zajęć z Kumon i dwa ćwiczenia

zrobił źle”. Nicholas chwalił albo ganił każde dziecko. Nna, który miał buldogowatą twarz po ojcu, i Nne z ciemną, szeroką, śliczną twarzą po matce. Mówił do nich wyłącznie po angielsku, starannie, jakby uważał, że igbo, w którym porozumiewa się z ich matką, mogłoby je skazić, upośledzić ich cenny, angielski akcent. Potem mówił: „Ojiugo, dobrze się spisałaś. Jestem głodny”.

— Tak, Nicholasi.

Podawała mu jedzenie, talerz na tacy, które zanosila mu do gabinetu albo do kuchni, przed telewizor. Obinze zastanawiał

się czasem, czy się przy tym kłaniała, czy po prostu poruszała się w ten sposób, pochylając ramiona i zginając szyję. Nicholas mówił do niej tym samym tonem, co do dzieci. Raz Obinze słyszał, jak powiedział do niej: „Zrobiliście mi bałagan w gabinecie. A teraz proszę wyjdźcie, wszyscy”.

— Tak, Nicholasiu — odpowiedziała i zabrała dzieci.

Prawie na wszystko, co mówił, odpowiadała: „Tak, Nicholasiu.” Czasem za jego plecami dostrzegała wzrok Obinze i krzywiła się, zabawnie wydymając policzki albo wysuwając język kątem ust. Przypominało to Obinze jarmarczne wygłupy w filmach Nollywood.

— Wciąż myślę o tym, jacy byliście z Nicholasem w Nsukka — powiedział do niej pewnego popołudnia, kiedy pomagał jej kroić kurczaka.

— Aj-aj! Wiesz, że pieprzyliśmy się publicznie? Robiliśmy to w Arts Theater. Raz nawet po południu w budynku inżynierii, w cichym kącie na korytarzu! — Roześmiała się. —

Małżeństwo wszystko zmienia. Ale w tym kraju nie jest łatwo. Dostałam papiery, bo zrobiłam tu studia podyplomowe, ale wiesz, że on dostał swoje dopiero dwa lata temu i tak długo żył

w strachu, pracował pod cudzymi nazwiskami. Takie rzeczy mogą zrobić cuda w czyjejs głowie, *eziokwu*. Naprawdę nie było mu łatwo. Teraz ma bardzo dobrą pracę i jest na kontrakcie. Ale nie wie, czy mu go przedłużą. Dostał dobrą propozycję w Irlandii, wiesz, że w Irlandii jest teraz boom i programiści komputerowi świetnie tam sobie radzą, ale on nie chce, żebyśmy się tam przeprowadzili. Tutaj edukacja dla dzieci jest o wiele lepsza.

Obinze wyjął z szafki trochę przypraw, posypał nimi kurczaka i wsunął garnek do piecyka.

— Dodajesz gałkę muszkatołową do kurczaka? — zapytała Ojiugo.

— Tak — odparł Obinze. — Ty nie?

— Ja, co ja tam wiem? Ta, która się z tobą ożeni, wygra los na loterii, słowo daję. A tak przy okazji, co się stało z tobą i

Ifemelu? Bardzo ją lubiłam.

— Pojechała do Ameryki, oczy się jej otworzyły i zapomniała o mnie.

Ojiugo się roześmiała.

Zadzwoił telefon. Ponieważ Obinze cały czas marzył, żeby zadzwonili do niego z agencji pracy, przy każdym dzwonku telefonu lekka panika ścisnęła mu gardło, a Ojiugo mówiła: „Nie martw się, Zed, wszystko się ułoży. Popatrz na moją przyjaciółkę Bose. Wiesz, że wystąpiła o azyl, odmówili jej i przeszła przez piekło, zanim dostała papiery? Teraz ma dwa przedszkola i wakacyjny dom w Hiszpanii. Tobie się też uda, nie martw się, *rapuba*“. Pocieszała go bez przekonania, automatycznie życząc mu dobrze, bo to nie wymagało żadnego wysiłku z jej strony, żeby mu jakoś pomóc. Czasem się zastanawiał, bez urazy, czy naprawdę życzy mu, żeby znalazł pracę, bo wtedy nie mógłby pilnować jej dzieci, kiedy chciała wyskoczyć do Tesco po mleko, nie będzie mógł szykować im śniadania, podczas kiedy ona pilnowała, jak ćwiczą przed szkołą, Nne na pianinie albo skrzypcach, Nna na wiolonczeli. Te dni miały w sobie coś, za czym później tęsknił, kiedy w mdłym świetle poranka smarował masłem tosty, a po domu niesły się dźwięki muzyki i czasem też głos Ojiugo, uniesiony w pochwałę albo zniecierpliwiony: „Dobrze!

Spróbuj jeszcze raz!” albo: „Co to za bzdury wyprawiasz?”.

Później, po południu, kiedy Ojiugo przyprowadziła dzieci ze szkoły, powiedziała do Nna:

— Wasz wujek Obinze przygotował kurczaka.

— Dziękuję ci, że pomogłeś mamie, wujku, ale ja chyba nie będę dzisiaj jadł kurczaka.

Lubił żartować, jak matka.

— Co za chłopak — powiedziała Ojiugo. — Wujek gotuje lepiej ode mnie.

Nna przewrócił oczami.

— OK, mamusiu, skoro tak mówisz. Czy mogę pooglądać telewizję? Tylko dziesięć minut?

— OK, dziesięć minut.

Między odrabianiem zadania a przyjściem korepetytora z francuskiego dzieci miały pół

godziny przerwy i Obinze szykował im kanapki z dżemem, starannie odcinając skórki. Nna włączył telewizję i pojawił się mężczyzna występujący w wielkich, lśniących łańcuchach na szyi.

— Mamusiu, tak sobie myślałem — powiedział Nna. — Chciałbym być raperem.

— Nie możesz być raperem, Nna.

— Ale ja chcę, mamusiu.

— Nie będziesz raperem, kochanie. Nie po to przyjechaliśmy do Londynu, żebyś był

raperem. — Obróciła się do Obinze, parszkając śmiechem. — Widziałeś go?

Nne przysłała do kuchni z capri-sun w ręce.

— Mamusiu? Mogę się napić?

— Tak, Nne — powiedziała Ojiugo i obróciła się do Obinze, przedrzeźniając przesadny brytyjski akcent córki. — „Mamusiu, mogę się napić?” Widzisz, jak wyniośle mówi? Moja córka będzie bywać. Po to wydajemy te wszystkie pieniądze na Brentwood School. — Ojiugo głośno cmoknęła córkę w czoło i patrząc na nią, jak odruchowo poprawia warkoczek na głowie dziewczynki, Obinze zrozumiał, że jest całkowicie ukontentowana. Jeszcze jeden całus w czoło Nne.

— Jak się czujesz, Oyinneya? — zapytała.

— Dobrze, mamusiu.

— Pamiętaj, żeby jutro przeczytać nie tylko jedną linijkę, którą ci zadadzą. Przeczytaj więcej, dobrze?

— Dobrze, mamusiu.

Nne zachowywała się z powagą dziecka, które za wszelką cenę pragnie zadowolić dorosłych.

— Jutro ma egzamin ze skrzypiec i wciąż trudno się jej czyta — powiedziała Ojiugo, jakby Obinze mógł o tym zapomnieć; jakby to w ogóle było możliwe, skoro Ojiugo mówi o tym od tak dawna.

W zeszły weekend poszedł z Ojiugo i dziećmi na przyjęcie urodzinowe do niosącej się echem wynajętej sali. Hinduskie i nigeryjskie dzieci biegały wszędzie wokół, a Ojiugo szeptem opowiadała mu o tych, które były dobre z matematyki, ale pisały z błędami, które były największymi rywalami Nne. Znała ostatnie wyniki testów wszystkich bystrych dzieci. Kiedy nie mogła sobie przypomnieć, ile mała Hinduska, najlepsza przyjaciółka jej córki, dostała z ostatniego testu, zawołała Nne, żeby ją o to zapytać.

— Aj-aj, Ojiugo, pozwól się jej bawić — powiedział Obinze.

Teraz Ojiugo po raz trzeci głośno pocałowała Nne w czoło.

— Mój skarbie. Musimy jeszcze kupić sukienkę na przyjęcie.

— Tak, mamusiu. Ale czerwoną, nie bordową.

— Jej koleżanka, Rosjanka, urządza przyjęcie. Zaprzyjaźniły się, bo mają tego samego nauczyciela skrzypiec. Kiedy poznałam jej matkę, chyba nosiła coś zakazanego, jak futro jakiegoś zagrożonego zwierzęcia, i tak bardzo się starała ukryć rosyjski akcent, że była bardziej

brytyjska od Brytyjczyków!

— Jest miła, mamusiu — powiedziała Nne.

— Nie mówiłam, że nie jest, skarbie — odparła Ojiugo.

Nna zwiększył dźwięk w telewizorze.

— Ścisz to, Nna — powiedziała Ojiugo.

— Mamusiu!

— Natychmiast to ścisz!

— Ale ja nic nie słyszę, mamusiu!

Nie ściszył, a ona nic nie zrobiła, żeby jej posłuchał, natomiast zwróciła się do Obinze i mówiła dalej.

— Skoro mowa o akcentach — rzekł Obinze. — Czy Nna musiałby cię posłuchać, gdyby miał obcy akcent?

— Nie rozumiem?

— W zeszłą sobotę, kiedy Chika i Bose przyszli ze swoimi dziećmi, myślałem, że Nigeryjczycy tutaj tak łatwo wybaczą wszystko swoim dzieciom, bo mają obcy akcent. Tutaj są inne zasady.

— *Mba*, nie chodzi o akcent. Chodzi o to, że w Nigerii ludzie uczą swoje dzieci strachu zamiast szacunku. Nie chcemy, żeby się nas bały, ale to nie znaczy, że pozwalamy im na wszystko. Karzemy je. Chłopak wie, że oberwie, jak zrobi coś głupiego. Poważnie oberwie.

— Coś panusia za bardzo się tłumaczy, jak na mnie.

— Och, ale słowa dotrzyma — uśmiechnęła się Ojiugo. — Wiesz, że nie czytałam chyba ze sto lat. Nie mam czasu.

— Moja matka mówiła, że zostaniesz czołowym krytykiem literackim.

— Tak. Zanim syn jej brata zrobił mi dziecko. — Ojiugo umilkła, wciąż się uśmiechając.

— Teraz liczą się tylko dzieci. Chcę, żeby Nna poszedł do City of London School. A potem, jak Bóg pozwoli, do Marlborough albo Eton. Nne już jest w szkole gwiazdą i wiem, że dostanie stypendium do każdej dobrej szkoły. Teraz wszystko kręci się wokół nich.

— Któregoś dnia dorosną, wyjdą z domu, a was będą się wstydzić, będziecie im przeszkadzać, nie będą odbierać od was telefonów albo całymi tygodniami nie będą dzwonić — powiedział Obinze, ale natychmiast tego pożałował.

To było podłe i zabrzmiało tak, jakby powiedział to celowo. Ale Ojiugo się nie obraziła.

Wzruszyła ramionami.

— Wtedy wezmę torebkę i stanę przed frontowymi drzwiami ich domu — powiedziała.

Dziwiło go, że nie żał jej tego wszystkiego, co mogło przypaść jej w udziale. Czy kobiety mają to wrodzone, czy po prostu uczą się odsuwać na bok osobiste żale, poświęcać się dla opieki nad dziećmi? Ojiugo przeglądała internetowe fora o korepetycjach, muzyce, szkołach i opowiadała mu, czego się dowiedziała, jakby naprawdę wierzyła, że cały świat powinien się interesować tak jak ona, w jakim stopniu muzyka poprawia matematyczne zdolności u dziewięciolatka. Albo godzinami rozmawiała przez telefon z przyjaciółkami, który nauczyciel skrzypiec jest dobry, a na które zajęcia szkoda wydawać pieniądze.

Któregoś dnia pognąła zawieźć Nna na lekcję pianina i zadzwoniła do Obinze.

— Uwierzysz, że zapomniałam umyć zęby? — powiedziała ze śmiechem.

Wracała ze spotkań Strażników Wagi i opowiadała mu, ile schudła albo ile przytyła, chowając w torebce batoniki twix, a potem ze śmiechem pytając go, czy nie zjadłby jednego.

Później zapisała się do innego programu odchudzającego, poszła na dwa poranne spotkania, po czym powiedziała do niego:

— Więcej tam nie pójdę. Traktują człowieka, jakby był chory psychicznie. Powiedziałam:

nie, nie mam żadnych problemów wewnętrznych, po prostu lubię smak jedzenia, a ta wredna kobieta powiedziała mi, że coś w sobie tłamszę. Bzdury. Ci biali myślą, że wszystko bierze się z jakichś problemów psychicznych.

Była dwa razy grubsza niż na studiach, i chociaż wtedy nie ubierała się elegancko, miała własny, wypracowany styl, jeansy zawinięte nad kostką, workowate bluzy opadające na jedno ramię. Teraz wyglądała po prostu niechlujnie. Nad paskiem jeansy wypychały jej wałek obwisłego tłuszczu, na którym brzydko opinały się jej T-shirty, jakby pod spodem rósł jej jakiś obcy.

Czasem odwiedzały ją przyjaciółki i siedziały, plotkując w kuchni, aż przyszła pora, żeby gnać i odebrać ze szkoły dzieci. W tamtych czasach, kiedy modlił się o telefon, Obinze nauczył się dobrze rozpoznawać ich głosy. Wszystko świetnie słyszał z pokoiku na górze, w którym leżał na łóżku i czytał.

— Niedawno spotkałam tego faceta — powiedziała Chika. — Jest miły, o, ale straszny wsiok. Dorastał w Onitsha, więc wyobrażacie sobie, jaki ma wsiowy akcent. Myli mu się „sz” z „cz”. „Poszekaj chwilę. Załóż szapkę.”

Wszystkie się roześmiały.

— W każdym razie powiedział mi, że chętnie się ze mną ożeni i adoptuje Charlesa.

Chętnie! Jakby działał w organizacji dobroczynnej. Chętnie! Wyobrażacie sobie? Ale to nie jego wina, to dlatego, że jesteśmy w Londynie. W Nigerii nawet bym na niego nie spojrziała, a już na pewno w życiu bym się z nim nie umówiła. Chodzi o to, że tutaj w Londynie nic nie może być tak, jak powinno.

— Londyn wszystko wyrównuje. Teraz jesteśmy w Londynie i wszyscy jesteśmy tacy sami. Co za bzdura — powiedziała Bose.

— Może powinien sobie poszukać jakiejś Jamajki — odezwała się Amara.

Mąż zostawił ją dla Jamajki, z którą, jak się okazało, miał potajemnie czteroletnie dziecko, i teraz Amara zawsze sprowadzała rozmowę na temat Jamajczyków.

— Te kobiety z Indii Zachodnich odbierają nam naszych mężczyzn, a oni są na tyle durni, że za nimi lecą. A potem rodzą ich dzieci, ale nie chcą za nich wychodzić, tylko chcą, żeby płacili na dziecko. I wydają wszystkie pieniądze na fryzjerów i paznokcie.

— Tak.

Wszystkie, Bose, Chika i Ojiugo, się z nią zgodziły. Rutynowo jej przytakiwały: dobre samopoczucie Amary było ważniejsze od tego, co same sądziły.

Zadzwoił telefon. Ojiugo odebrała i wróciła.

— Ta kobieta, która dzwoniła, jakieś dziwadło — powiedziała.
— Jej córka i Nne grają w tej samej orkiestrze. Poznałam ją, kiedy Nne zdawała pierwszy egzamin. Czarna, przyjechała bentleyem, z szoferem, i w ogóle. Zapytała mnie, gdzie mieszkam, a kiedy jej powiedziałam, od razu wiedziałam, co sobie myśli: jak ktoś z Essex może myśleć o Dziecięcej Orkiestrze Narodowej? Więc postanowiłam na pytać sobie biedy i powiedziałam jej, że moja córka chodzi do Brentwood. Mogłyście widzieć jej minę! Tacy jak my nie powinni mówić o prywatnych szkołach i muzyce. Co najwyżej możemy marzyć o dobrej szkole powszechnej. Patrzyłam na nią i chciało mi się śmiać. A potem zaczęła mi opowiadać, ile kosztują zajęcia z muzyki dla dzieci.

W kółko to powtarzała, jakby widziała moje puste konto w banku. Słowo daję, o! To jedna z tych czarnych, co to chcą być jedyną czarną w pokoju, a każdy inny czarny to dla niej bezpośrednio zagrożenie. A teraz zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że przeczytała w internecie o jedenastoletniej dziewczynce, która dostała wyróżnienie piątego stopnia, ale nie przyjęli jej do Dziecięcej Orkiestry Narodowej. Po to zadzwoniła, żeby przekazać mi złe wieści?

— Wróg atakuje! — powiedziała Bose.

— To Jamajka? — zapytała Amara.

— Czarna Brytyjka. Nie wiem, skąd oni są.

— Na pewno z Jamajki.

ROZDZIAŁ 25

Ostry, w ten sposób w liceum wszyscy mówili o Emenike. Ostry, pełen zjadliwego podziwu, jakim go obdarzali. Ostry facet. Ostry gość. Jeśli przeciekły pytania z testu, Emenike wiedział, jak je zdobyć. Wiedział też, która dziewczyna zrobiła sobie skrobankę, co mieli rodzice bogatego ucznia, którzy nauczyciele ze sobą sypiali. Zawsze mówił szybko,

zadziornie, jakby każda rozmowa była kłótnią, a szybkość i siła jego słów sugerowały, że wie, o czym mówi, i zniechęcały do sprzeciwów. Wiedział i zawsze bardzo chciał wiedzieć.

Kiedy Kayode wrócił

z wakacji w Londynie, bardzo ważny, Emenike wypytywał go o najnowszą muzykę i filmy, potem przyglądał się jego butom i ubraniu. „To designerskie? Jaka to marka?”, pytał Emenike, z oczami dzikimi z pożądania. Wszystkim opowiadał, że jego ojciec jest igwe w swoim mieście i wysłał go do Lagos, żeby zamieszkał z wujkiem, póki nie skończy dwudziestu jeden lat, żeby uchronić go przed trudami życia książątka. Ale któregoś dnia w szkole zjawił się stary mężczyzna, w spodniach połatanych na kolanie, z wychudłą twarzą, plecami zgarbionymi przez upokorzenia, których przysparzała mu bieda. Wszyscy chłopcy się śmiali, kiedy dowiedzieli się, że jest ojcem Emenike. Szybko jednak przestali, bo tak naprawdę nikt nie wierzył w historię o księciu — w końcu Kayode zawsze za plecami nazywał Emenike chłopakiem z buszu. A może dlatego, że potrzebowali Emenike, który posiadał informacje niedostępne dla innych. Właśnie ta jego zuchwałość pociągała w nim Obinze. Emenike był jednym z niewielu, dla którego „czytać”

nie oznaczało to samo, co „uczyć się”, dlatego wiele godzin przegadali o książkach, za wiedzę odpłacając wiedzą, grając w scrabble. Przyjaźnili się coraz bardziej. Na studiach, kiedy Emenike mieszkał z nim w akademiku dla chłopców w domu matki Obinze, ludzie czasem myśleli, że Emenike jest jego krewnym. „Co u twojego brata?”, pytali ludzie Obinze, a on odpowiadał:

„Dobrze”, nie trudząc się wyjaśnianiem, że on i Emenike nie są nawet spokrewnieni. Ale było wiele rzeczy, których o Emenike nie wiedział, ale wiedział, że nie należy pytać. Emenike często znikał ze szkoły na całe tygodnie, niejasno tłumacząc, że „był w domu”, i bez końca opowiadał

o ludziach, którzy „załatwiali sprawy” za granicą. Miał w sobie ukryty, nerwowy niepokój człowieka, który wierzył, że przez pomyłkę trafił do miejsca poniżej swojego prawdziwego przeznaczenia. Kiedy w czasie strajku na drugim roku

wyjechał do Anglii, Obinze nigdy się nie dowiedział, jak mu się udało dostać wizę. Mimo to cieszył się ze względu na Emenike. Był pełen ambicji, wręcz w nim kipiała, i Obinze uważał, że wiza była dla niego błogosławieństwem: ta ambicja znajdzie w końcu ujście. I tak chyba było, bo bardzo szybko Emenike zaczął przysyłać wieści o swoich postępach: skończył podyplomowe studia, znalazł pracę we władzach mieszkaniowych, ożenił się z Angielką, która była prawniczką w City.

Emenike był pierwszą osobą, do której Obinze zadzwonił po przyjeździe do Anglii.

— Zed! Miło, że dzwonisz. Oddzwonię do ciebie, właśnie idę na zebranie zarządu —

powiedział Emenike.

Kiedy Obinze zadzwonił następnym razem, Emenike był jakiś znękany.

— Jestem na Heathrow. Lecimy z Georginą na tydzień do Brukseli. Zadzwonię, jak wrócę. Już nie mogę się doczekać, kiedy pogadamy, stary!

Podobnie odpowiedział na maila: „Tak się cieszę, że przyjeżdżasz w te strony, stary, nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć!”. Obinze naiwnie sobie wyobrażał, że Emenike go przyjmie, pokaże mu co i jak. Wiele razy słyszał o krewnych i przyjaciółach, którzy w trudach życia za granicą stawali się niegodni zaufania, nawet wrodzy, stawali się nową wersją swojego dawnego ja. Ale człowiek żywi się upartą nadzieją, ma potrzebę wiary we własną wyjątkowość,

jest przekonany, że jego przyjaciele nie są tacy. Zadzwonił do Nosy, który wyjechał zaraz po skończeniu studiów i który przyjechał po niego na stację metra i zawiózł do pubu, gdzie szybko dołączyli do nich inni. Ściskali sobie dłonie, klepali się po plecach, pili piwo z kufła. Śmiali się ze szkolnych wspomnień. O swoim obecnym życiu mówili niewiele. Kiedy Obinze powiedział, że musi zdobyć numer ubezpieczenia i zapytał: „Chłopaki, jak to się załatwia?”, wszyscy wymijająco potrząsali głowami.

— Po prostu bądź czujny, stary — powiedział Chidi.

— Musisz mieszkać bliżej Londynu. Tam, w Essex, jesteś za daleko od wszystkiego —

powiedział Wale.

Kiedy później Nosa odwoził go na stację metra, Obinze go zapytał:

— To gdzie pracujesz, stary?

— Pod ziemią. Cholerna wyrypa, ale będzie lepiej — powiedział Nosa.

Co prawda Obinze wiedział, że mówi o metrze, ale słysząc „pod ziemią” wyobraził sobie straszliwe, ciemne tunele wgrzające się w głąb ziemi, ciągnące się kilometrami, kończące się nie wiadomo gdzie.

— A co u Pana Ostrego Emenike? — zapytał Nosa głosem pełnym złości. —

Świetnie sobie radzi, mieszka w Islington ze swoją *oyinbo* żoną, która mogłaby być jego matką.

Zrobił się okropnie wyniosły, *o*. Już nie rozmawia ze zwykłymi ludźmi. On mógłby ci pomóc.

— Dużo podróżuje, jeszcze się nie spotkaliśmy — powiedział Obinze, aż nazbyt świadomy, jak bardzo nieprzekonująco to brzmi.

— A twój kuzyn Iloba? — zapytał Nosa. — Widziałem go w zeszłym roku na ślubie brata Emenike.

Obinze nawet nie pamiętał, że Iloba mieszka teraz w Londynie, ostatnio widział go przed zakończeniem studiów. Iloba pochodził tylko z rodzinne go miasta matki Obinze, ale tyle mówił

o łączącym ich pokrewieństwie, że wszyscy w kampusie byli przekonani, że są kuzynami. Iloba często z uśmiechem i nieproszony przyciągał sobie krzesło i przysiadał się do Obinze i jego kolegów w przydrożnym barze albo w niedzielne popołudnie zjawiał się na progu. Kiedyś zatrzymał Obinze na dziedzińcu Nauk Ogólnych, radośnie wołając:

„Krewniaku!” i zdał mu relację z małżeństw i zgonów ludzi z miasta matki Obinze, których ten prawie wcale nie znał.

„Kilka tygodni temu umarł Udoakpuanyi. Nie znasz go? Mieszkają obok twojej matki”. Obinze kiwał głową i coś tam bąkał, żeby zrobić Ilobie przyjemność, bo zawsze był taki miły, niczego się nie domyślał, spodnie zawsze miał za ciasne i za krótkie, i wystawały mu spod nich chude kostki; przez nie dostał przydomek „Iloba Skoczek”, które szybko zmieniło się na „Joba Smoczek”.

Obinze dostał jego numer od Nicholasa i zadzwonił.

— Zed! Krewniak! Nie mówiłeś mi, że przyjeżdżasz do Londynu! — powiedział Iloba.

— Jak się czuje twoja matka? A twój wujek, ten który ożenił się w Abagana? Co u Nicholasa?

Iloba był zwyczajnie uszczęśliwiony. Byli ludzie, którzy rodzili się niezdolni do ponurych uczuć, komplikowania sobie życia, i Iloba był jednym z nich. Tacy jak on budzili w Obinze podziw, ale też go nudzili. Kiedy Obinze zapytał go, czy mógłby mu pomóc zdobyć numer ubezpieczenia, zrozumiałby rezerwę, nawet chamstwo — w końcu dzwonił do Iloby wyłącznie dlatego, że czegoś potrzebował — ale zdumiał się, jak szczerze i chętnie Iloba był mu gotów pomóc.

— Pożyczyłbym ci swój, ale pracuję i byłoby to trochę ryzykowne — powiedział Iloba.

— Gdzie pracujesz?

— W centralnym Londynie. W ochronie. Nie jest łatwo, ten kraj nie jest łatwy, ale jakoś dajemy radę. Lubię nocne zmiany, bo mogę się uczyć. Robię magisterkę z zarządzania w Birbeck College. — Iloba umilkł na chwilę. — Zed, nie martw się, razem coś wykombinujemy. Popytam i dam ci znać.

Iloba zadzwonił dwa tygodnie później i powiedział, że kogoś znalazł.

— Nazywa się Vincent Obi. Pochodzi z Abia State. Jeden mój kumpel go zna. Chce się z tobą spotkać jutro wieczorem.

Spotkali się u Iloby. Jego mieszkanie sprawiało klaustrofobiczne wrażenie, w betonowej okolicy bez ani jednego drzewa, z budynkami o odrapanych ścianach. Wszystko wydawało się za małe, za ciasne.

— Ładnie mieszkasz, Joba Smoczek — powiedział Obinze, nie dlatego, że mieszkanie było ładne, ale dlatego, że Iloba miał mieszkanie w Londynie.

— Zaprosiłbym cię, żebyś zamieszkał u mnie, Zed, ale mieszkam z dwoma kuzynami.

Iloba postawił na stole butelki z piwem i talerz ze smażonymi chin-chin. Jego zwyczajowa gościnność wywołała w Obinze silną tęsknotę za domem. Przypomniawszy sobie, jak w Boże Narodzenie jeździł z matką na wieś, a ciotki podsuwały mu talerze chin-chin.

Vincent Obi był małym, okrągłym człowieczkiem, który topił się w za wielkich jeansach i nietwarzowym płaszczu. Kiedy ściskali sobie z Obinze ręce, mierzyli się obaj wzrokiem. Po sposobie, w jaki trzymał ramiona, szorstkości w obyciu, Obinze domyślił się, że Vincent bardzo wcześnie, z konieczności nauczył się rozwiązywać własne problemy. Obinze wyobraził sobie jego życie w Nigerii: miejscowa szkoła średnia pełna bosych dzieciaków, politechnika opłacona przy pomocy wujków, wielodzietna rodzina i tabun potrzebujących krewnych i sąsiadów, którzy przy każdej jego wizycie oczekiwali wielkich bochnów chleba i kieszeni pełnych pieniędzy, starannie rozdzielanych między wszystkich. Obinze ujrzał siebie jego oczami: dziecko uczelnianych wykładowców, które dorastało, objadając się masłem i które teraz potrzebowało jego pomocy. Z początku Vincent mówił z brytyjskim akcentem, zbyt często wtrącając typowo angielskie powiedzonka.

— To jest interes, kapujesz, ale ci pomogę. Możesz używać mojego numeru ubezpieczenia, ale płacisz mi czterdzieści procent tego, co zarobisz — powiedział Vincent. — To biznes, kapujesz. Jak nie dostanę tego, na co się umawiamy, doniosę na ciebie.

— Bracie — powiedział Obinze. — To trochę za dużo. Znasz moją sytuację. Nie mam nic. Proszę, może mógłbyś nieco to obniżyć.

— Trzydzieści pięć procent, więcej nie mogę. To biznes. — Zapomniał o akcencie i przeszedł na nigeryjski angielski. — Coś ci powiem, w twojej sytuacji jest dużo ludzi.

Iloba odezwał się w igbo:

— Vincent, mój brat próbuje trochę przyoszczędzić i załatwić sobie papiery. Trzydzieści pięć to za dużo, *o rika, biko*. Proszę, postaraj się nam pomóc.

— Wiesz, że niektórzy biorą połowę. Tak, ma kłopot, ale wszyscy je mamy. Pomogę mu, ale to biznes. — Vincent mówił igbo z wiejskim akcentem.

Położył na stole swoją kartę ubezpieczenia i już pisał numer swojego konta na kawałku papieru. Zadzwoił telefon Iloby. Tego wieczora, kiedy zapadł zmrok i niebo przybierało odcień bladego fioletu, Obinze stał się Vincentem.

ROZDZIAŁ 26

Obinze — jako Vincent — poinformował swoją agencję po doświadczeniu z kupą na desce klozetu, że więcej do pracy nie wróci. Przeglądał w gazetach strony z ogłoszeniami, dzwonił i miał nadzieję, aż wreszcie przez agencję dostał pracę sprzątacza szerokich alejek w magazynie opakowań środków czyszczących. Brazylijczyk o ziemistej cerze i ciemnych włosach sprzątał budynek obok.

— Jestem Vincent — przedstawił się Obinze, kiedy spotkali się w pokoju na zapleczu.

— A ja Dee — umilkł na chwilę. — Nie, nie jesteś Anglikiem. Będziesz umiał wymówić moje imię. Naprawdę nazywam się Duerdinhito, ale Anglicy... oni nie umieją tego wymówić, więc nazywają mnie Dee.

— Duerdinhito — powtórzył Obinze.

— Tak!

Zachwycony uśmiech. Jakaś drobna więź między obcokrajowcami. Opróżniając odkurzacze, rozmawiali o

Olimpiadzie w 1996 roku, Obinze dumny, że Nigeria pokonała Brazylię, a potem Argentynę.

— Kanu był dobry, to mu trzeba przyznać — powiedział Duerdinhito. — Ale Nigeria miała szczęście.

Co wieczór Obinze cały był pokryty chemicznym pyłem. W uszach tkwiły mu jakieś grudki. Kiedy sprzątał, starał się nie oddychać zbyt głęboko, bo bał się szkodliwych rzeczy fruujących w powietrzu, aż wreszcie kierownik go zwolnił, bo nie wyrabiał normy. Następnie pracował w zastępstwie w firmie dostarczającej kuchnie, tydzień po tygodniu siedząc w szoferce obok kierowców, którzy nazywali go „robolem”, odwiedzając niekończące się place budowy pełne hałasu i kasków ochronnych, nosząc długie, drewniane deski po schodach, bez żadnej pomocy ani zachęty. W milczeniu, w jakim jeździli, i w sposobie, w jaki mówili „robot”, Obinze wyczuwał niechęć kierowców. Kiedyś się potknął i przewrócił na kolano z taką siłą, że zatoczył

się do tyłu na ciężarówkę, a później kierowca powiedział innym w magazynie:

— Boli go kolano, bo ma kolana jak czarnuch!

Roześmiali się. Ich wrogość go drażniła, ale tylko trochę; liczyło się dla niego, że zarabia cztery funty na godzinę, z nadgodzinami więcej, a kiedy go wysłali do nowego magazynu w West Thurrock, martwił się, że może stracić nadgodziny.

Szef w nowym magazynie wyglądał jak archetyp Anglika, który Obinze miał

zakorzeniony: wysoki i szczupły, jasnowłosy i niebieskooki. Ale był uśmiechnięty, a w wyobraźni Obinze Anglicy się nie uśmiechali. Nazywał się Roy Snell. Energicznie uściśnął Obinze rękę.

— No, Vincent, jesteś z Afryki? — zapytał i oprowadził Obinze po magazynie wielkości boiska do futbolu, znacznie większego od poprzedniego, pełnego załadowywanych ciężarówek, spłaszczonych kartonów upychanych w głębokiej wnęce, rozgadanych ludzi.

— Tak, urodziłem się w Birmingham i wróciłem do Nigerii, kiedy miałem sześć lat.

Uzgodnili z Ilobą, że to będzie najbardziej przekonująca historia.

— Czemu wróciłeś? W Nigerii źle się dzieje?

— Chciałem sprawdzić, czy tu nie żyłoby mi się lepiej.

Roy Snell kiwnął głową. Wyglądał na kogoś, do kogo zawsze pasuje określenie „wesoły”.

— Dzisiaj pracujesz z Nigelem. On jest tu najmłodszy — powiedział, pokazując na chłopaka z białym, gąbczastym ciałem, sterczącymi, ciemnymi włosami i twarzą niemal jak u cherubina. — Myślę, że dobrze ci się tu będzie pracowało, Vinny Boy!

W ciągu pięciu minut z Vincenta stał się Vinny Boyem i kiedy w kolejnych miesiącach w przerwie na lunch grali w ping-ponga, Roy mówił do swoich ludzi: „Musimy chociaż raz pokonać naszego Vinny Boya!”. A oni chichotali i powtarzali „Vinny Boy”.

Bawiło go, jak każdego ranka mężczyźni ochoczo przeglądali gazety, zatrzymując się na zdjęciach kobiet o wielkich piersiach, studiując je jakby to były wielce interesujące artykuły i różniły się czymkolwiek od zdjęcia na tej samej stronie wczoraj, tydzień temu. Ich rozmowy, kiedy czekali na załadunek swoich ciężarówek, dotyczyły zawsze samochodów, futbolu, a głównie kobiet. Opowiadali so bie historie zbyt apokryficzne i podobne do tych opowiadanych poprzedniego dnia i tydzień wcześniej; za każdym razem wspominali o majtkach — „panienka pokazała majtki” — a Obinze bawiło to tym bardziej, że w nigeryjskim angielskim majtki oznaczały raczej szorty niż bieliznę, i wyobrażał sobie te ponętne panie w źle dopasowanych szortach khaki, takich, jakie nosił w pierwszych klasach liceum.

Co rano Roy Snell witał go kuksańcem w brzuch.

— Vinny Boy! W porządku? W porządku? — pytał.

Zawsze umieszczał nazwisko Obinze na początku listy pracy poza magazynem, za którą lepiej płacili, zawsze pytał, czy chce pracować w weekend, za co była podwójna stawka, zawsze wypytywał o dziewczyny. Zupełnie jakby go wyjątkowo polubił, troszczył się o niego i był mu życzliwy.

— Nic nie przeleciałeś, odkąd przyjechałeś do Anglii, no nie, Vinny Boy? Dam ci numer do jednej laski — powiedział kiedyś.

— Mam w domu dziewczynę — odpowiedział Obinze.

— Co to przeszkadza w jednym szybkim numerku?

Kilku mężczyzn się roześmiało.

— Moja dziewczyna ma magiczną moc — powiedział Obinze.

Roya rozśmieszyło to bardziej, niż Obinze się spodziewał. Śmiał się i śmiał.

— Czarownica, co? Dobra, żadnych numerków. Wiesz, Vinny Boy, zawsze chciałem pojechać do Afryki. Jak wrócisz do Nigerii wybiorę się do ciebie z wizytą. Obwieziesz mnie, przedstawisz jakimś nigeryjskim laskom, ale żadnych czarów, Vinny Boy!

— Jasne, da się zrobić.

— No przecież! Wyglądasz na takiego, co to radzi sobie z laskami — powiedział Roy i znowu szturchnął Obinze w brzuch.

Roy często przydzielał Obinze do Nigela, może dlatego, że obaj byli najmłodszy w magazynie. Pierwszego dnia, kiedy inni pili rano kawę z papierowych kubków i sprawdzali, kto z kim będzie pracował, często naśmiewali się z Nigela. Ten nie miał brwi; plamy różowej skóry w miejscach, gdzie powinien był je mieć, nadawały jego twarzy niedokończony, upiorny wyraz.

— Urznąłem się w pubie i kumple zgolili mi brwi — powiedział Nigel Obinze, niemal przepaszając, kiedy ściskali sobie dłonie na powitanie.

— Żadnego ciupciana, stary, dopóki ci nie odrosną brwi — zawołał jeden z mężczyzn, kiedy Obinze i Nigel szli do ciężarówki.

Obinze zabezpieczył pralki na pace, dociągając pasy, aż były napięte, potem wsiadł

i zaczął na mapie sprawdzać, jak najkrótszą drogą dojechać pod adres dostawy. Nigel ostro brał

zakręty i mamrotał, jak okropnie ludzie jeżdżą w dzisiejszych czasach. Na światłach wyjął

z torby, którą trzymał pod nogami, butelkę wody kolońskiej, spryskał sobie szyję i podał ją Obinze.

— Nie, dzięki — powiedział Obinze.

Nigel wzruszył ramionami. Kilka dni później sytuacja się powtórzyła. Wnętrze ciężarówki było duszne od zapachu wody kolońskiej i Obinze od czasu do czasu wychylał się przez otwarte okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Dopiero co przyjechałeś z Afryki, no nie? Nie widziałeś jeszcze Londynu? — zapytał

Nigel.

— Nie — odpowiedział Obinze.

I tak, jeśli mieli wcześniej jakąś dostawę do centrum Londynu, Nigel zabierał go na przejażdżkę, żeby pokazać mu Buckingham Palace, Parlament, Tower Bridge, przez cały czas opowiadając o artretyzmie swojej matki i o cyckach swojej dziewczyny, Haley. Dopiero po jakimś czasie Obinze nauczył się rozumieć, co Nigel mówi, bo miał akcent trochę mocniejszy od akcentów ludzi, z jakimi Obinze pracował, którzy każde słowo tak przekręcali i przeciągali, że w ich ustach zmieniało się w coś całkiem innego. Raz Nigel powiedział „gość”, a Obinze myślał, że chodzi o „kość”, a kiedy wreszcie zrozumiał, Nigel się roześmiał.

— Wy gadacie wytwornie, no nie? Wytwornie po afrykańsku.

Po kilku miesiącach pracy, kiedy któregoś dnia dostarczyli lodówkę pod adres w Kensington, Nigel powiedział o starszym panu, który wszedł do kuchni.

— To prawdziwy dżentelmen, ten gość.

Powiedział to z prawdziwym podziwem, niemal z lękiem.
Mężczyzna wyglądał

niechlujnie, był zgarbiony, rozczochrany, w rozchełstany na piersiach szlafroku i odezwał się do nich gniewnie, mówiąc: „Mam nadzieję, że wiecie, jak to poskładać”, jakby sądził, że jest inaczej. Obinze był zdumiony, że mimo to Nigel uważał mężczyznę za „prawdziwego dżentelmena” i nie narzekał, jak zwykle, że w kuchni jest brudno. Ale gdyby mężczyzna mówił z innym akcentem, Nigel stwierdziłby, że jest strasznym dziadem, bo nie dał im napiwku.

Następną dostawę mieli w południowym Londynie i Obinze właśnie zadzwonił do właścicielki, że za chwilę będą na miejscu.

— Co mówisz dziewczynie, która ci się podoba? — zapytał niespodziewanie Nigel.

— To znaczy? — Obinze nie był pewny, o co mu chodzi.

— No bo tak po prawdzie, to się nie bzykam z Haley. Podoba mi się, ale nie wiem, jak jej to powiedzieć. Niedawno poszedłem do niej i był tam ten inny koleś. — Nigel umilkł. Obinze starał się zapanować nad miną. — Wyglądasz na takiego, co to umie gadać z laskami — dodał

Nigel.

— Po prostu powiedz jej, że ci się podoba — rzekł Obinze, myśląc, jak bez zmrużenia okiem Nigel w magazynie z innymi mężczyznami opowiada, jak to posuwa Haley, a raz nawet o tym, jak posuwał jej koleżankę, kiedy Haley wyjechała na wakacje.

— Nie baw się w żadne gierki, nie puszczaj żadnych tekstów. Po prostu powiedz: słuchaj, podobasz mi się i uważam, że jesteś piękna.

Nigel posłał mu pełne bólu spojrzenie. Zupełnie jakby sobie wmówił, że Obinze zna się na kobietach, i oczekiwał, że udzieli mu wnikliwej rady, a Obinze, ładując zmywarkę na wózek, żałował, że nie potrafi mu pomóc. Drzwi otworzyła im Hinduska, zażywna, życzliwa pani domu, która zaprosiła ich na herbatę. Często proponowano im herbatę albo wodę.

Pewnego razu kobieta o smutnym wyglądzie chciała podarować Obinze mały słoiczek dżemu domowej roboty, a Obinze się zawahał, ale wyczuł, że jeśli odmówi, jeszcze bardziej ją unieszczęśliwi, wobec tego wziął dżem do domu i wstawił do lodówki, gdzie stał do tej pory, wciąż jeszcze nieotwarty.

— Dziękuję, dziękuję — powiedziała Hinduska, kiedy Obinze i Nigel podłączyli nową zmywarkę i wywieźli starą.

W drzwiach wręczyła Nigelowi napiwek. Nigel był jedynym kierowcą, który dzielił się z Obinze napiwkami po połowie, inni udawali, że zapomnieli. Raz Obinze pracował z innym kierowcą i stara Jamajka wepchnęła mu do kieszeni dziesięć funtów, kiedy kierowca nie patrzył.

— Dziękuję ci, bracie — powiedziała, a on zapragnął zadzwonić do matki i opowiedzieć jej o tym.

ROZDZIAŁ 27

Nad Londynem zapadał ponury zmierzch, kiedy Obinze wszedł do kawiarni w księgarni i usiadł z kawą i babeczką jagodową. W stopach czuł miłe zmęczenie. Nie było zbyt zimno; pocił

się w grubym płaszczu Nicholasa, który teraz wisiał na oparciu jego krzesła. Co tydzień sprawiał

sobie taką przyjemność: przychodził do księgarni, kupował zbyt drogą prawdziwą kawę i za darmo czytał tyle, ile się dało, na powrót stając się Obinze. Czasem po dostawie prosił

o podwiezienie do centrum Londynu i spacerował jakiś czas, a potem szedł do księgarni, osuwał

się na podłogę w kącie, z dala od tłumu ludzi. Czytał współczesną prozę amerykańską, bo miał

nadzieję odnaleźć tam jakieś echo, nadać swoim tęsknotom kształt, poczucie, że jest częścią tej Ameryki, którą sobie wyobrażał. Chciał poznać codzienne życie w Ameryce, wiedzieć, co ludzie jedzą i co ich gnębi, czego się wstydzą, a co im się podoba, ale czytał jedną powieść po drugiej i ogarniało go rozczarowanie: nie znajdował niczego ponurego,

poważnego, palącego; prawie wszystko rozmyte było w ironicznej nicości. Czytał amerykańskie gazety i czasopisma, ale brytyjskie tylko przerzucał, ponieważ było w nich coraz więcej i więcej artykułów o imigrantach, a każdy tylko wzmacniał jego panikę. „Szkoly przepełnione starającymi się o azyl”. Wciąż nie znalazł żadnej kandydatki. Tydzień wcześniej spotkał dwóch Nigeryjczyków, dalekich znajomych znajomego, którzy powiedzieli mu, że znają kobietę z Europy Wschodniej, zapłacił

im sto funtów. Teraz nie odbierali od niego telefonów; kiedy dzwonił, zgłaszała się od razu poczta głosowa. Zjadł już połowę babeczki. Nie zauważył, jak szybko kawiarnia się zapełniała.

Było mu wygodnie, nawet przytulnie, i całkowicie pochłonął go jakiś artykuł, kiedy podeszła kobieta z małym chłopczykiem i zapytała, czy mogą przysiąść się do jego stolika. Oboje mieli orzechową skórę i ciemne włosy. Obinze wyobrażał sobie, że są z Bangladeszu albo Sri Lanki.

— Oczywiście — powiedział i przesunął swoją stertę czasopism, mimo że nie zajmowała nienależącej do niego połowy stolika. Chłopczyk wyglądał na osiem, może dziewięć lat, miał

sweter z Myszka Miki i kurczowo ścisnął game boya. Kobieta nosiła w nosie kolczyk, mały, podobny do szkła, który połyskiwał, kiedy poruszała głową. Zapytała, czy Obinze wystarczy miejsca i czy chce, żeby przesunęła nieco swoje krzesło. Potem zwróciła się do syna, ze śmiechem w głosie, który na pewno przeznaczony był dla Obinze, że nigdy nie jest pewna, czy wąskie, drewniane patyczki obok paczuszek z cukrem służą do mieszania.

— Nie jestem dzieckiem! — powiedział jej synek, kiedy chciała mu pokroić muffinę.

— Myślałam, że tak będzie ci łatwiej.

Obinze spojrział i zauważył, że mówi do syna, ale patrzy na niego — z jakąś tęsknotą w oczach. Przyszło mu na myśl, co mogłoby wynikać z tego spotkania z nieznajomą, wyobraził

sobie ścieżki, którymi mógłby podążać.

Chłopczyk miał cudownie ciekawą buzię.

— Mieszka pan w Londynie? — zwrócił się do Obinze.

— Tak — odparł Obinze, ale nie opowiedział mu swojej historii, że faktycznie mieszka w Londynie, ale jest niewidoczny, jak wymazany gumką szkic; za każdym razem, kiedy widział

policjanta, kogoś w mundurze, kogoś, kto w najmniejszym nawet stopniu sugerował, że ma władzę, musiał zwalczać w sobie chęć rzucenia się do ucieczki.

— Jego ojciec zmarł rok temu — powiedziała kobieta przyciszonym głosem. — To nasze pierwsze wakacje w Londynie bez niego. Przyjeżdżaliśmy tu przed świętami. — Mówiąc, kobieta cały czas kiwała głową.

Chłopczyk był zdenerwowany, jakby nie chciał, żeby Obinze się o tym dowiedział.

— Przykro mi — powiedział Obinze.

— Byliśmy w Tate — odezwał się chłopczyk.

— Podobało ci się? — zapytał Obinze.

Mały skrzywił buzię.

— Było nudno.

Jego matka wstała.

— Powinniśmy się zbierać. Idziemy na sztukę. — Zwróciła się do syna i dodała: —

Wiesz, że nie wejdiesz tam ze swoim game boyem.

Chłopczyk zignorował ją, powiedział „cześć” do Obinze i obrócił się w stronę drzwi. Jego matka posłała Obinze długie spojrzenie, jeszcze bardziej tęskne od poprzedniego. Może bardzo kochała swojego męża i kiedy po raz pierwszy od jego śmierci spodobał się jej ktoś inny, było to dla niej zaskakującym objawieniem. Patrzył, jak wychodzą, i zastanawiał się, czy nie wstać, nie poprosić jej o jakiś kontakt, chociaż i tak wiedział, że tego nie zrobi. Kobieta miała w

sobie coś, co kazało mu pomyśleć o miłości, i jak zawsze w takich chwilach natychmiast przypominał sobie o Ifemelu. Nagle, całkiem niespodziewanie ogarnęło go silne seksualne podniecenie. Zalała fala pożądania. Zapragnął się z kimś przespać. Napisze esemes do Tendai. Poznali się na imprezie, na którą poszedł z Nosą, i tamtej nocy wylądował w jej łóżku. Mądra, o szerokich biodrach Tendai z Zimbabwe, która miała zwyczaj zbyt długo brać kąpiel. Kiedy pierwszy raz wysprzątał jej mieszkanie i ugotował dla niej ryż jollof, patrzyła na niego zszokowana. Tak była nieprzywykła, że mężczyzna może być dla niej dobry, iż wpatrywała się w niego bez końca, ze łzami w oczach, niepewna, zamglonym wzrokiem, jakby wstrzymywała oddech i czekała na jakiś przejaw przemocy. Wiedziała, że Obinze nie ma papierów. „Albo mógłbyś być dobrym Nigeryjczykiem, który pracuje w IT i jeździ bmw”, powiedziała. Miała prawo pobytu i za rok powinna dostać paszport; przeszło mu przez myśl, że może byłaby gotowa mu pomóc. Ale nie chciał niczego komplikować, zeniąc się z nią dla papierów; któregoś dnia mogłaby się obudzić i wmówić sobie, że nie zrobił tego wyłącznie dla nich.

Zanim wyszedł z księgarni, napisał do Tendai esemes: „Jesteś w domu? Może bym wpadł”. Kiedy szedł do metra, padała lodowata mżawka, a kiedy doszedł do stacji, jego uwagę przyciągnęła liczba plam zaschniętej śliny na schodach. Czemu ludzie nie mogą poczekać z pluciem, póki nie wyjdą na ulicę? Usiadł na poplamionym siedzeniu w hałaśliwym pociągu, naprzeciwko kobiety, która czytała wieczorną gazetę. „Mówcie w domu po angielsku, radzi Blunkett imigrantom.” Wyobraził sobie, o czym jest artykuł, który kobieta czyta. Mnóstwo ich teraz pojawiało się w prasie, ich echa słyhać było w radiu i telewizji, nawet w rozmowach niektórych mężczyzn w magazynie. Wiatr wiejący nad Wyspami Brytyjskimi przesiąknięty był

odorem strachu proszących o azyl, zarażał wszystkich przerażeniem przed nadciągającą klęską, artykuły były pisane i czytane wprost, bez żadnych podtekstów, jakby piszący je żyli w świecie, w którym teraźniejszość była oderwana od przeszłości, jakby nigdy nie przyszło im do głowy, że taki jest

normalny bieg historii: napływ do Brytanii czarnych i brązowych ludzi z krajów stworzonych przez Brytyjczyków. A mimo to rozumiał. Wygodnie było zaprzeczać w ten sposób historii. Kobieta zamknęła gazetę i popatrzyła na niego. Miała brązowe oczy w kształcie strączków i twarde, podejrzliwe spojrzenie. Zastanawiał się, co sobie myśli. Czy ma go za jednego z tych nielegalnych imigrantów, którzy zapychają już i tak przeludnioną wyspę? Później, w pociągu do Essex zauważył, że wszyscy wokół są Nigeryjczykami, zewsząd dochodziły rozmowy w joruba i pidgin; przez chwilę patrzył na tę nieskrepowaną niczym niebiałą obcość tej sceny podejrzliwymi oczami białej kobiety z metra. Znowu pomyślał o kobiecie z Bangladeszu albo Sri Lanki i żałobie, z której dopiero się otrząsała, i pomyślał o swojej matce i Ifemelu, i o życiu, które sobie wyobrażał, że będzie jego, o życiu, które teraz miał, byle jak polakierowane

pracą i czytaniem, paniką i nadzieją. Nigdy nie czuł się równie samotny.

ROZDZIAŁ 28

Któregoś ranka na początku lata, kiedy zaczynało się już ocieplać, Obinze zjawił się w magazynie i od razu domyślił się, że coś jest nie tak. Mężczyźni unikali jego wzroku, sztywnieli, a Nigel na jego widok obrócił się szybko, zbyt szybko, w stronę toalety. Wiedzieli.

Musieli się w jakiś sposób dowiedzieć. Wiedzieli nagłówki o tym, jak domagający się azylu pustoszą środki Narodowej Opieki Zdrowotnej, wiedzieli o hordach wciąż zalewających i tak już zatłoczoną wyspę, a teraz wiedzieli, że on jest jednym z wyklętych, pracującym pod nazwiskiem, które nie jest jego. Gdzie był Roy Snell? Poszedł zawiadomić policję? Czy to właśnie na policję ktoś zadzwonił? Obinze usiłował przypomnieć sobie opowieści o złapanych i deportowanych ludziach, ale w głowie miał pustkę. Czuł się obnażony. Chciał się odwrócić i uciec, ale jego ciało poruszało się wbrew jego woli w stronę strefy załadunku. Nagle wyczuł za sobą ruch, szybki, gwałtowny, zbyt blisko, i zanim zdążył się obrócić, ktoś wepchnął mu na głowę papierową czapkę. To był Nigel, a z nim grupka uśmiechniętych mężczyzn.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Vinny Boy! — wszyscy wykrzyknęli.

Obinze zamarł, przerażony kompletną pustką w głowie. Wreszcie zrozumiał, co się stało.

Urodziny Vincenta. Roy musiał im powiedzieć. On sam nawet nie pomyślał, żeby zapamiętać datę urodzin Vincenta.

— Och! — zdołał wydusić, z ulgi, czując, jak zbiera mu się na mdłości.

Nigel zaprosił go do pokoju socjalnego, do którego weszli wszyscy inni i Obinze siedział

z nimi, samymi białymi poza Patrickiem z Jamajki, częstując się muffinkami i colą, które kupili za własne pieniądze, żeby uczcić urodziny, które według nich miał, a on wiedząc o tym, czuł

w oczach łzy: miał poczucie bezpieczeństwa.

Wieczorem zadzwonił do niego Vincent i Obinze był lekko zaskoczony, ponieważ Vincent zadzwonił do niego tylko raz, wiele miesięcy temu, kiedy zmienił konto w banku i chciał mu podać nowy numer. Zastanawiał się, czy nie złożyć Vincentowi życzeń z okazji urodzin, bo może rzeczywiście Vincent dzwonił z tego powodu.

— Vincent, *kedu?*

— Chcę podwyżki.

Czy Vincent nauczył się tego z filmów? Jego słowa: „chcę podwyżki” brzmiały nienaturalnie i komicznie.

— Będziesz mi płacił czterdzieści pięć procent. Wiem, że teraz więcej pracujesz.

— Vincent, aj-aj. Ile ja zarabiam? Przecież wiesz, że oszczędzam na tę sprawę z małżeństwem.

— Czterdzieści pięć procent — powiedział Vincent i rozłączył się.

Obinze postanowił, że go zignoruje. Znał takich jak Vincent; będą naciskali, żeby sprawdzić, na ile sobie mogą pozwolić, a

potem ustąpią. Gdyby zadzwonił i próbował negocjować, mogłoby to dodać Vincentowi odwagi i zażądałby więcej. Przecież Vincent nie zaryzykuje, że Obinze przestanie chodzić co tydzień do banku i wpłacać mu pieniądze na konto.

I tak, kiedy tydzień później w porannym rozgardiaszu ludzi i ciężarówek Roy odezwał się:

„Vinny Boy, chodź do mojego biura na chwilę”, Obinze w ogóle się nie przejął. Na biurku Roya leżała gazeta złożona na stronie ze zdjęciem kobiety z wielkim biustem. Roy wolno postawił na niej kubek z kawą. Był skrepowany, unikał wzroku Obinze.

— Wczoraj ktoś zadzwonił. Powiedział, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, że jesteś tu nielegalnie i pracujesz pod nazwiskiem Brytola. — Chwila przerwy. Obinze nie posiadał się ze

zdumienia. Roy wziął kubek z kawą. — Przynies może jutro paszport i wszystko się wyjaśni, dobra?

Obinze wymamrotał pierwsze, co mu przyszło do głowy:

— OK, jutro przyniosę paszport.

Wyszedł z biura wiedząc, że nigdy już sobie nie przypomni, jak się czuł zaledwie kilka chwil wcześniej. Czy Roy prosił go o paszport tylko po to, żeby łatwiej było mu go zwolnić, dać mu pole manewru, czy Roy rzeczywiście wierzył, że ten, kto dzwonił, się mylił? Ale po co ktoś miałby dzwonić, gdyby to nie była prawda? Obinze nigdy tak bardzo się nie starał zachowywać normalnie, jak do końca tamtego dnia, żeby zapanować nad ogarniającą go wściekłością. Nie na myśl o władzy, jaką miał nad nim Vincent, ale na bezwzględność, z jaką ją wykorzystał.

Wieczorem po raz ostatni wyszedł z magazynu, bardziej niż czegokolwiek żałując, że nie powiedział Nigelowi i Royowi, jak się naprawdę nazywa.

Kilka lat później w Lagos Szef kazał mu znaleźć białego, który mógłby zostać u niego naczelnym dyrektorem. Obinze

zadzwoił do Nigela. Nigel wciąż miał ten sam numer telefonu.

— Mówi Vinny Boy.

— Vincent! U ciebie wszystko w porządku, prawda?

— Tak, a co u ciebie? — powiedział Obinze. Potem dodał: — Nigelu, nie nazywam się naprawdę Vincent. Jestem Obinze. Mam dla ciebie propozycję pracy w Nigerii.

ROZDZIAŁ 29

Angolczycy mówili mu, jak „iść” sprawy, ale że robi się „ciężko”, w mętnych słowach tłumacząc każde nowe żądanie o pieniądze.

— Nie tak się umawialiśmy — odpowiadał Obinze. Albo: — W tej chwili nie mam dodatkowej gotówki.

— Taa, cena wzrosła — odpowiadali tonem, jakiemu zapewne towarzyszyło wzruszenie ramionami.

Potem zapadała cisza, nie padały żadne słowa, a on rozumiał, że to jego problem, nie ich.

— Zapłacę w piątek — mówił w końcu i rozłączał się.

Łagodne współczucie Cleotilde dawało mu ukojenie.

— Mają mój paszport — powiedziała mu, a on uznał to za podłe, zupełnie jakby była ich zakładniczką.

— Inaczej moglibyśmy to zrobić sami — dodała.

Ale on nie chciał tego robić sam, z Cleotilde. To było zbyt ważne, potrzebował

doświadczenia Angolczyków, ich wiedzy, bo chciał mieć pewność, że wszystko pójdzie jak należy. Nicholas już pożyczył mu pieniądze, wystarczająco czuł się upokorzony, że w ogóle go to o poprosił, widząc pogardę w ponurym spojrzeniu Nicholasa, który zdawał się mieć Obinze za miękkiego i zepsutego, a wielu było takich, co nie mieli kuzynów, których mogliby prosić o pieniądze. Kiedy ostatnio się widzieli, Emenike powiedział mu:

— Nie wiem, czy widziałeś tę sztukę na West Endzie, ale właśnie byliśmy na niej z Georginą i bardzo się nam podobała.

Zupełnie jakby Obinze, pracujący jako dostawca, oszczędzający jak szalony, zżerany przez imigranckie niepokoje, mógł choć przez sekundę myśleć o sztuce na West Endzie.

Bezmyślność Emenike go złościła, bo sugerowała brak szacunku, a nawet gorzej, obojętność wobec niego i jego obecnego życia. Zadzwoił do Emenike i zaczął mówić szybko, wyrzucając z siebie słowa, że potrzebuje pięciuset funtów, które zwróci natychmiast, jak tylko znajdzie nową pracę, a potem, już wolniej, opowiedział mu o Angolczykach, o tym, że niedługo zawrze małżeństwo, ale pojawiły się nowe koszty, których nie wziął pod uwagę.

— Żaden problem. Spotkamy się w piątek — powiedział Emenike.

Teraz Emenike siedział naprzeciwko Obinze w mrocznej restauracji, bez marynarki, którą zdjął, ukazując brązowy, kaszmirowy sweter, chyba nowiuteńki. Nie przytył jak większość znajomych mieszkających teraz za granicą, nie zmienił się od czasów, kiedy Obinze widział go w Nsukka.

— Stary, Zed, dobrze wyglądasz! — powiedział, a jego słowa aż kapały nieszczerością.

Jasne, że Obinze nie wyglądał dobrze, zgarbiony przez stres, w ubraniach pożyczonych od kuzyna. — Sorry, że nie miałem czasu, by się z tobą spotkać. W pracy mam istne wariactwo, a poza tym dużo podróżujemy. Zaprosiłbym cię, żebyś zamieszkał u nas, ale nie mogę sam podjąć takiej decyzji. Georgina by nie zrozumiała. Wiesz, że ci *oyinbo* ludzie nie zachowują się tak jak my.

Poruszył ustami, które ułożyły się w coś przypominającego złośliwy uśmiezek. Żartował

sobie z własnej żony, ale stłumiony lęk w jego głosie zdradził Obinze, że to kpina, za którą kryje się szacunek, kpina z wrodzonej wyższości, w którą wbrew sobie samemu wierzył. Obinze pamiętał, co w liceum Kayode często mówił o

Emenike: „Może sobie czytać co chce, ale słoma i tak zawsze mu wyjdzie z butów”.

— Właśnie wróciliśmy z Ameryki. Stary, musisz tam pojechać. Nie ma drugiego takiego kraju na świecie. Poleciliśmy do Denver, potem pojechaliśmy do Wyoming. Georgina właśnie skończyła naprawdę trudną sprawę, mówiłem ci o tym, kiedy jechałem do Hongkongu?

Pojechała tam do pracy, a ja doleciałem na długi weekend. I pomyślałem sobie, że skoczmy do Ameryki, potrzebowała odpoczynku. — Zapisał telefon Emenike. Wyjął go z kieszeni, zerknął

i skrzywił się, jakby chciał, żeby Obinze zapytał, co za wiadomość dostał, ale Obinze nie zapytał.

Był zmęczony; Iloba dał mu swoją kartę ubezpieczenia, chociaż wiele ryzykowali, pracując jednocześnie, ale we wszystkich agencjach, w których Obinze był do tej pory, chcieli też zobaczyć paszport, sama karta im nie wystarczała. Piwo nie miało smaku, i marzył tylko o tym, żeby Emenike dał mu pieniądze. Ale Emenike mówił dalej, gestykulował, ruchy miał płynne i pewne siebie, zachowywał się jak ktoś, kto wie rzeczy, o których inni nigdy się nie dowiedzą.

A mimo to było w nim coś innego, czego Obinze nie potrafił nazwać. Emenike mówił długo, często zaczynając od: „Musisz zrozumieć, że w tym kraju...”. Obinze wciąż myślał o Cleotilde.

Angolczycy powiedzieli, że co najmniej dwie osoby z jej strony muszą przyjechać do Newcastle, żeby uniknąć podejrzeń, ale wczoraj zadzwoniła z propozycją, że weźmie tylko jedną koleżankę, bo nie chce go narażać na dodatkowe koszty za pociąg i hotel. Bardzo to było miłe z jej strony, ale poprosił, żeby mimo wszystko wzięła dwie koleżanki; wolał nie ryzykować.

Emenike opowiadał o czymś, co przydarzyło mu się w pracy.

— Naprawdę przyjechałem na spotkanie pierwszy, z dokumentami, ale potem poszedłem do klopa i zaraz wróciłem, a ten głupi *oyinbo* mówi mi: „Och, widzę, że u

ciebie czas jest afrykański”. I wiesz co? Powiedziałem mu, żeby spadał. Odtąd przysyła mi maile i zaprasza na drinka. Pytam się, z jakiej okazji?

Emenike napił się piwa. To było już trzecie, mówił coraz głośniej i zaczynał lekko bełkotać. Wszystkie jego opowieści z pracy wyglądały tak samo: najpierw ktoś go nie docenił albo upokorzył, a potem i tak on był górą, zawsze na koniec powiedział albo zrobił coś mądrego.

— Tęsknię za Naija. Uplęnęło dużo czasu, ale nie mam kiedy pojechać do domu. Zresztą Georgina nie przeżyłaby wizyty w Nigerii! — powiedział Emenike i zaśmiał się.

Mówił o domu jak o dżungli, o sobie jako o kimś, kto ją interpretował.

— Jeszcze jedno piwko? — zapytał Emenike.

Obinze potrząsnął głową. Jakiś mężczyzna, który chciał usiąść przy stoliku obok, zrzucił z krzesła kurtkę Emenike.

— Patrz na niego. Chce mi zniszczyć moją *aquascutum*. Dostałem od Georginy w prezencie na ostatnie urodziny — powiedział Emenike, wieszając kurtkę z powrotem na oparciu.

Obinze nie znał tej marki, ale uśmiezek na twarzy Emenike powiedział mu, że powinien być pod wrażeniem.

— Na pewno nie chcesz piwa? — zapytał Emenike, rozglądając się za kelnerką. —

Ignoruje mnie. Zauważyłeś, jaka była wcześniej chamska? Ci z Europy Wschodniej nie lubią obsługiwać czarnych.

Kiedy kelnerka przyjęła jego zamówienie, Emenike wyjął z kieszeni kopertę.

— Masz, stary. Wiem, że chciałeś pięćset, ale tu jest tysiąc. Może przeliczysz?

Przeliczysz? Obinze niemal powtórzył, ale słowa nie wyszły z jego ust. Nigeryjczycy wciskali sobie pieniądze w garść, w zaciśniętej pięści, z odwróconym wzrokiem, machnięciem ręki ucinając wylewne — koniecznie wylewne — podziękowania i

nigdy ich nie liczyli, czasem nawet na nie nie patrzyli, dopiero kiedy zostawali sami. A teraz Emenike każe mu przeliczyć.

Więc przeliczył, powoli, w skupieniu, przekładając każdy banknot z jednej ręki do drugiej i zastanawiając się, czy Emenike go nienawidził przez te wszystkie lata w liceum i na studiach.

Nie wyśmiewał się z Emenike jak Kayode i reszta chłopaków, ale też nie stawał w jego obronie.

Może Emenike nie znosił jego neutralności.

— Dzięki, stary — powiedział Obinze.

Oczywiście było tysiąc funtów. Czy Emenike się bał, że któryś z pięćdziesięciofuntowych banknotów wypadł, kiedy szedł do restauracji?

— To nie jest pożyczka — powiedział Emenike, odchylając się na krześle ze słabym uśmiechem.

— Dzięki, stary — powtórzył Obinze i wbrew wszystkiemu odczuwał wdzięczność i ulgę.

Martwił się, że musi przed ślubem zapłacić jeszcze za tyle rzeczy i jeśli wystarczyło tylko przeliczyć prezent od Emenike pod jego pełnym wyższości i poczucia władzy spojrzeniem, to niech tak będzie.

Zadzwonił telefon Emenike.

— Georgina — powiedział uszczęśliwiony, zanim odebrał. Mówił odrobinę podniesionym głosem, na użytek Obinze. — Fantastycznie, że spotkaliśmy się po tak długim czasie. — I po chwili: — Jasne, kochanie, powinniśmy.

Odłożył telefon.

— Georgina chce się z nami spotkać za pół godziny, żebyśmy mogli pójść razem na kolację. Pasuje ci?

Obinze wzruszył ramionami.

— Nigdy nie odmawiam jedzenia.

Tuż przed przyjściem Georginy Emenike zwrócił się do niego przyciszonym tonem:

— Nie wspominaj przy niej o tym całym ślubie.

Z opowieści Emenike wyobrażał sobie Georginę jako drobną, niewinną prawniczkę, która odniosła sukces, lecz mimo to nie miała pojęcia, jaki zły jest naprawdę świat. Kiedy jednak przyszła, z kwadratową twarzą i wielkim, kwadratowym ciałem, krótko obciętymi, brązowymi włosami, które sprawiały, że wyglądała bardzo kompetentnie, od razu się zorientował, że jest szczerą, pozbawioną złudzeń, nawet zmęczoną życiem. Klienci na pewno z miejsca nabierali zaufania do jej kompetencji. Była kobietą, która sprawdzała finanse organizacji dobroczynnych, jakim dawała pieniądze. Była kobietą, która z pewnością przeżyłaby wyjazd do Nigerii. Czemu Emenike opisywał ją jak nieszczęsną, angielską różę? Pocałowała Emenike w usta, potem obróciła się, żeby ucisnąć Obinze rękę.

— Masz ochotę na coś szczególnego? — zapytała Obinze, rozpinając brązowy, zamszowy płaszcz. — Niedaleko jest miła hinduska knajpka.

— Och, tam jest trochę niechlujnie — powiedział Emenike. Zmienił się. W jego głosie pojawiła się nowa modulacja, mówił wolniej, stał się dużo spokojniejszy. — Moglibyśmy pójść do tej nowej w Kensington, jest niedaleko.

— Kochanie, nie jestem pewna, czy Obinze uzna ją za interesującą — odparła Georgina.

— Na pewno mu się spodoba — powiedział Emenike.

Samozadowolenie. To się w nim pojawiło. Ożenił się z Brytyjką, mieszkał w brytyjskim domu, miał brytyjską pracę, podróżował na brytyjski paszport, mówił „ćwiczyć”, mając na myśli raczej mentalną, a nie fizyczną aktywność. Jego kręgosłup był teraz sztywny z samozadowolenia.

Był zaspokojony. W restauracji w Kensington na stoliku paliła się świeczka, a wysoki, jasnowłosy kelner, za przystojny jak na kelnera, podał maleńkie miseczki czegoś, co przypominało zieloną galaretkę.

— Nasz nowy aperitif z cytryną i tymiankiem, z wyrazami szacunku od szefa —

powiedział.

— Fantastycznie — powiedział Emenike, z miejsca poddając się rytuałowi swojego nowego życia: ze zmarszczonymi brwiami, w pełni skoncentrowany, popijając wodę mineralną, studiował menu. Zastanawiali się z Georginą nad przystawkami. Został wezwany kelner, żeby odpowiedzieć na pytanie. Obinze był zaskoczony, z jaką powagą Emenike traktując tę inicjację do voodoo eleganckiego spożywania posiłków, ponieważ kiedy kelner przyniósł mu coś, co wyglądało jak trzy eleganckie kawałki zielonych chwastów, za które miał zapłacić trzynaście funtów, Emenike z zadowoleniem zatarł ręce. Burger Obinze podany był w czterech kawałkach, ułożonych w wielkim kieliszku do martini. Kiedy zjawiło się zamówienie Georginy, kopczyk czerwonego, surowego mięsa ze słonecznym jajkiem rozbitym na czubku, Obinze, jedząc, starał

się na nie nie patrzeć, bo bał się, że mógłby zymiotować.

Przeważnie mówił Emenike, opowiadał Georginie o wspólnych latach w szkole, prawie nie dopuszczając Obinze do głosu. W jego opowieściach on i Obinze byli popularnymi łobuziakami, wiecznie pakującymi się w fantastyczne kłopoty. Obinze przyglądał się Georginie, dopiero teraz widząc, o ile była starsza od Emenike. Co najmniej osiem lat. Główne kontury jej twarzy łagodziły częste przelotne uśmiechy, ale były to raczej uśmiechy zamyślane, uśmiechy urodzonej sceptyczki, i Obinze zastanawiał się, na ile wierzy w prawdziwość opowieści Emenike, a na ile miłość tłumiała jej rozsądek.

— Jutro wydajemy kolację, Obinze — powiedziała Georgina.

— Koniecznie musisz przyjść.

— No właśnie, zapomniałem o tym wspomnieć — powiedział Emenike.

— Naprawdę musisz przyjść. Będzie kilku znajomych i myślę, że miło będzie ci ich poznać — rzekła Georgina.

— Z przyjemnością — odparł Obinze.

Kiedy Obinze przybył, z ich szeregowego domu, z kilkoma dobrze utrzymanymi schodkami wiodącymi do zielonych drzwi, rozchodził się zapach pieczonego mięsa. Drzwi otworzył mu Emenike.

— Zed! Jesteś wcześnie, właśnie kończymy w kuchni. Chodź, poczekasz na resztę w moim gabinecie.

Emenike powiódł go na górę do gabinetu, czystego, jasnego pomieszczenia, któremu jasności dodawały jeszcze białe półki na książki i białe zasłony. Okna zajmowały większą część ścian i Obinze wyobraził sobie pokój po południu, cudownie skąpany w świetle, a siebie zagłębionego w fotelu, zaczytanego w jakiejś książce.

— Przyjdę po ciebie za chwilę — powiedział Emenike.

Na parapecie okna stały zdjęcia Emenike mrużącego oczy przed Kaplicą Sykstyńską, robiącego znak pokoju przed Akroplem, stojącego obok Koloseum, w koszuli w tym samym kolorze gałki muszkatołowej, co ściany ruin. Obinze wyobrażał go sobie, jak przepelniony poczuciem obowiązku i determinacji, zwiedza te wszystkie miejsca, myśląc przy tym nie o tym, co ogląda, ale o zdjęciach, które zrobi, i o ludziach, którzy je później zobaczą. Ludziach, którzy będą widzieli, że wszystkie te zwycięstwa są jego udziałem. Na półce uwagę Obinze zwrócił

Graham Greene. Zdjął *Sedno sprawy* i zaczął czytać pierwszy rozdział, nagle z nostalgią myśląc o swoich nastoletnich latach, kiedy to jego matka co kilka miesięcy czytała książkę na nowo.

Wszedł Emenike.

— To Waugh?

— Nie. — Obinze pokazał mu okładkę. — Moja matka uwielbia tę książkę. Zawsze próbowała mnie przekonać do angielskich powieści.

— Waugh jest najlepszy. *Powrót do Brideshead* to jedna z najlepszych powieści, jakie czytałem.

— Według mnie Waugh jest zbyt karykaturalny. Nie rozumiem tych tak zwanych komicznych angielskich powieści. Jakby nie

umieli pisać o prawdziwej, głębokiej złożoności ludzkiego życia, wobec tego uciekają się do komizmu. Green z kolei jest zupełnym przeciwieństwem, zbyt posępny.

— Nie, stary, musisz jeszcze raz przeczytać Waugha. Za Greenem specjalnie nie przepadam, ale pierwsza część *Końca romansu* jest wspaniała.

— Ten gabinet to marzenie — powiedział Obinze.

Emenike wzruszył ramionami.

— Chcesz jakieś książki? Bierz, na co masz ochotę.

— Dzięki, stary — powiedział Obinze wiedząc, że żadnej nie weźmie.

Emenike rozejrzał się, jakby patrzył na gabinet nowymi oczami.

— Znaleźliśmy to biurko w Edynburgu. Georgina już miała kilka dobrych mebli, ale razem znaleźliśmy nowe.

Obinze był ciekawy, czy Emenike tak kompletnie przywykł do swojego obrzydzenia, że nawet kiedy byli sami, mówił o „dobrych meblach”, jakby w ich nigeryjskim świecie pojęcie „dobrych mebli” nie istniało, bo to, co było nowe, miało na nowe wyglądać. Obinze mógłby mu coś na ten temat powiedzieć, ale nie teraz; zbyt wiele zmian zaszło w ich wzajemnych stosunkach. Obinze poszedł za Emenike na dół. W jadalni panowała kakofonia kolorów, jaskrawe, ceramiczne talerze, każdy z innej parafii, niektóre wyszczerbione na brzegach, czerwone kieliszki do wina, ciemnoniebieskie serwetki. W srebrnej misie na środku stołu pływały w wodzie delikatne kwiaty w mlecznym kolorze. Emenike dokonał prezentacji.

— To stary przyjaciel Georginy, Mark, a to jego żona, Hannah, która tak przy okazji kończy doktorat o kobiecym orgazmie, a dokładnie o orgazmie kobiety z Izraela.

— Cóż, nie skupiam się wyłącznie na tej kwestii — powiedziała Hannah, wzbudzając powszechną wesołość, i serdecznie uściśnęła Obinze rękę.

Miała opaloną, szeroką twarz o życzliwym wyrazie, twarz kogoś, kto nie znosi konfliktów. Mark, o bladej skórze, rozczochrany, ścisnął ją za ramię, ale nie roześmiał się z innymi.

— Witam — powiedział do Obinze, niemal oficjalnie.

— To nasz drogi przyjaciel Phillip, najlepszy prawnik w Londynie, oczywiście poza Georginą — powiedział Emenike.

— Wszyscy mężczyźni w Nigerii są tacy wspaniali jak ty i twój przyjaciel? — zapytał

Phillip i uściśnął Obinze rękę, udając, że omdlewa.

— Przyjedź do Nigerii, to się przekonasz — odpowiedział Emenike i puścił oczko w sposób sugerujący, że nieustannie z Phillipem flirtuje.

Phillip był smukły i elegancki, w czerwonej, jedwabnej koszuli rozpiętej pod szyją. Jego maniery, delikatne ruchy nadgarstków, przebieranie palcami w powietrzu, przypominały Obinze chłopaka z liceum — miał na imię Hadome — który podobno płacił młodszym uczniom, żeby mu obciągli fiuta. Kiedyś Emenike i dwóch innych chłopaków zwabili Hadoma do ubikacji i go pobili. Oczy Hadome spuchły tak szybko, że jeszcze przed końcem lekcji wyglądał groteskowo, jak wielki, fioletowy bakłażan. Obinze stał przed ubikacją z innymi chłopakami, którzy nie uczestniczyli w biciu, ale śmiali się głośno, którzy szydzili i wygłupiali się, i krzyczeli „Pedzio! Pedzio!”.

— To nasza przyjaciółka Alexa. Zamieszkała właśnie w Holland Park, po latach spędzonych we Francji, więc mamy szczęście widywać ją teraz częściej. Pracuje

w wydawnictwie muzycznym. I jest wspaniałą poetką — powiedział Emenike.

— Och, daj spokój — rzekła Alexa i zwróciła się do Obinze:

— To skąd jesteś, kochanie?

— Z Nigerii.

— Nie, kochanie, chodzi mi tutaj, w Londynie.

— W zasadzie mieszkam w Essex — powiedział.

— Rozumiem. — Chyba ją rozczarował. Była drobną kobietą o bardzo bladej twarzy i włosach czerwonych jak pomidor. — Może coś zjemy, chłopcy i dziewczynki?

Wzięła jeden z talerzy i przyjrzała mu się.

— Uwielbiam te talerze. U Georginy i Emenike nigdy nie jest nudno, prawda? —

powiedziała Hannah.

— Kupiliśmy je na bazarze w Indiach — powiedział Emenike.

— Ręcznie robione przez kobiety ze wsi, po prostu piękne. Widzicie te detale na brzegach? — Uniósł jeden z talerzy.

— Niezrównane — rzekła Hannah i spojrzała na Obinze.

— Rzeczywiście, bardzo ładne — bąknął Obinze.

Te talerze, amatorsko wykończone, nierówne na brzegach, w Nigerii nigdy nie zostałyby pokazane gościom. Obinze wciąż nie był pewny, czy Emenike stał się kimś, kto wierzył, że coś jest piękne, bo zostało ręcznie zrobione przez biednych ludzi w obcym kraju, czy też nauczył się takiego kogoś udawać. Georgina naląła drinki. Emenike podał przystawki, kraby z jajkami na twardo. Zachowywał się z wyważonym, ostrożnym urokiem. „Ojej”, powtarzał często. Kiedy Phillip użalał się na dwójkę Francuzów, którzy budują obok niego dom w Kornwalii, Emenike zapytał:

— Zasłaniają ci zachód słońca?

„Zasłaniają ci zachód słońca”? Obinze ani nikomu, z kim dorastał, nie przyszłoby nigdy do głowy o coś podobnego zapytać.

— Jak było w Ameryce? — zaciekał się Phillip.

— Naprawdę fascynujące miejsce. Spędziliśmy kilka dni z Hugo w Jackson, w Wyoming.

Mark, poznałeś Hugo w ubiegłe Boże Narodzenie, prawda?

— Tak. I co tam porabia? — Na Marku talerze zdawały się nie robić wrażenia. Inaczej niż jego żona, nie wziął żadnego do ręki.

— Mieszka w ośrodku narciarskim, ale nie jakimś pretensjonalnym. W Jackson powiadają, że jak ktoś jedzie do Aspen, to oczekuje, że będą mu zapinać buty narciarskie — odezwała się Georgina.

— Niedobrze mi się robi na myśl, że mogłabym jechać na narty do Ameryki —

powiedziała Alexa.

— Dlaczego? — zapytała Hannah.

— Mają tam stację Disneya, z Myszka Miki w kombinezonie narciarskim? — zapytała Alexa.

— Alexa była w Ameryce tylko raz, jeszcze w szkole, ale uwielbia nienawidzić ją z daleka — zauważyła Georgina.

— Ja przez całe życie z daleka kochałem Amerykę — powiedział Obinze.

Alexa lekko zaskoczona obróciła się ku niemu, jakby nie spodziewała się, że przemówi.

W świetle żyrandola jej czerwone włosy nabrały dziwnego, nienaturalnego połysku.

— Odkąd tu jestem, zauważyłem, że bardzo wielu Anglików podziwia Amerykę, ale jednocześnie nią gardzi — powiedział Obinze.

— Święta prawda — rzekł Phillip i pokiwał do Obinze głową.

— Święta prawda. To niechęć rodzica, którego dziecko wie o wiele piękniejsze i bardziej interesujące życie.

— Ale Amerykanie nas, Brytyjczyków, uwielbiają, uwielbiają nasz akcent, naszą królową

i nasze piętrosy — powiedział Emenike.

Co miało oznaczać, że uważa siebie za Brytyjczyka.

— A co było największym objawieniem dla Emenike? — odezwała się Georgina z uśmiechem. — Różnica między amerykańskim i naszym *bye*.

— *Bye?* — powtórzyła Alexa.

— Tak. Mówi, że Brytyjczycy je znacznie bardziej przeciągają, a Amerykanie wymawiają krótko.

— To było prawdziwe objawienie. Wyjaśnia wszystkie różnice między obydwojema krajami — powiedział Emenike wiedząc, że wszyscy się roześmieją, i rzeczywiście. —

Zastanawiałem się też, jak inaczej traktujemy cudzoziemców. Amerykanie się uśmiechają i są bardzo przyjacielscy, ale jeśli nie masz na imię Cory albo Chad, nawet nie próbują wypowiedzieć tego poprawnie. Brytyjczycy są opryskliwi i zachowują się podejrzliwie, jeśli ktoś jest zbyt wylewny, ale imiona traktują jak coś naprawdę ważnego.

— Interesujące — powiedziała Hannah.

Odezwała się Georgina:

— Nuży mnie, że rozmawiamy o Ameryce jak o jakimś zaścianku, tym bardziej że kiedy u nich dzieje się coś ważnego, nasze gazety natychmiast piszą o tym na pierwszych stronach, ale kiedy u nas się coś dzieje, w Ameryce można o tym przeczytać na ostatnich, jeśli w ogóle. Ale najgorszy jest krzykliwy nacjonalizm, zgodzisz się ze mną, kochanie? — zwróciła się do Emenike.

— Całkowicie — powiedział Emenike. — Och, i poszliśmy na rodeo. Hugo doszedł do wniosku, że spodoba się nam odrobina kultury.

Rozległ się ogólny, chichotliwy śmiech.

— I widzieliśmy niesamowitą paradę małych dzieci w ciężkich makijażach, z wymachiwaniem flagami i mnóstwem „Boże, błogosław Ameryce”. Z przerażeniem myślałam, że to miejsce, w którym nie wiem, co by się stało, gdyby ktoś powiedział: „Nie podoba mi się Ameryka”.

— Mnie też Ameryka wydała się bardzo szowinistyczna, kiedy byłem tam na stypendium szkoleniowym — powiedział Mark.

— Mark jest chirurgiem dziecięcym — wyjaśniła Georgina Obinze.

— Odnosi się wrażenie, że ludzie... rzecz jasna postępowi, bo amerykańscy konserwatyści są z zupełnie innej planety, nawet dla takich torysów, czują, że mogą bezkarnie krytykować swój kraj, ale nie lubią, kiedy robi to ktoś inny — powiedział Mark.

— Gdzie byłeś? — zapytał go Emenike, jakby znał każdy najmniejszy zakątek Ameryki.

— W Filadelfii. W szpitalu specjalistycznym, który nazywa się Szpital Dzieci.

Niesamowite miejsce, i szkolenie też było niezłe. W Anglii potrzebowałbym dwóch lat, żeby zobaczyć tyle rzadkich przypadków, z jakimi tam miałem do czynienia w miesiąc.

— Ale nie zostałeś — powiedziała Alexa, niemal triumfująco.

— Nie miałem takiego zamiaru.

Twarz Marka prawie nigdy nic nie wyrażała.

— Skoro o tym mowa, właśnie zaangażowałam się we wspaniałą akcję charytatywną, która próbuje zapobiec zatrudnianiu tylu pracowników służby zdrowia z Afryki — powiedziała Alexa. — Na tym kontynencie praktycznie nie zostali żadni lekarze ani pielęgniarki. To prawdziwa tragedia! Afrykańscy lekarze powinni zostać w Afryce.

— Czemu nie mają praktykować tam, gdzie jest stały dopływ prądu i regularnie płacą? —

zapytał Mark, tym swoim tonem bez wyrazu. Obinze wyczuwał, że w ogóle nie lubi Alexy. —

Pochodzę z Grimsby, ale na pewno nie chciałbym pracować w tamtejszym szpitalu okręgowym.

— Ale to nie do końca to samo, prawda? Mówimy o jednych z najbiedniejszych ludzi na świecie. Lekarze powinni być odpowiedzialni jako Afrykańczycy — powiedziała Alexa. —

Życie nie jest sprawiedliwe, słowo daję. Skoro mieli przywilej zostać lekarzami, powinni czuć się odpowiedzialni i pomagać swoim.

— Rozumiem. Jak się domyślam, nikt z nas nie powinien czuć podobnej odpowiedzialności za ubogie miasta na północy

Anglii? — rzekł Mark.

Alexa poczerwieniała na twarzy. W zapadłej nagle, pełnej napięcia ciszy, w naelektryzowanym powietrzu, Georgina wstała.

— Wszyscy gotowi na moją pieczeń jagnięcą? — zapytała.

Zgodnie wychwalali mięso, choć Obinze wolałby, żeby jeszcze trochę posiedziało w piekarniku; starannie obkrawał swój kawałek, jedząc tylko boki poszarzałe od pieczenia, a zostawiając na talerzu kawałki wciąż różowe od krwi. Hannah prowadziła rozmowę spokojnym głosem, jakby próbowała poprawić atmosferę, poruszając tematy niebudzące niczyich sprzeciwów i zmieniając je, jak tylko wyczuwała jakiś punkt sporny. Rozmowa toczyła się harmonijnie, głosy się przeplatały, zgodne: co za potworność traktować w ten sposób chińskich zbieraczy małży, co za absurdalny pomysł, żeby pobierać chesne za studia, co za niedorzeczność, że zwolennicy polowania na lisy wtargnęli do parlamentu. Śmiali się, kiedy Obinze powiedział:

— Nie rozumiem, czemu polowanie na lisy jest w tym kraju takim problemem. Nie ma ważniejszych spraw?

— A cóż może być ważniejszego? — zapytał sucho Mark.

— Cóż, tylko w ten sposób potrafimy walczyć o nasz klasowy dobrobyt — powiedziała Alexa. — Ziemianie i arystokracja polują, a my, liberalna klasa średnia, się o to boczemy.

Chcemy im odebrać te ich głupie zabaweczki.

— To oczywiste — rzekł Phillip. — Co za potworność.

— Czytałeś, jak Blunkett powiedział, że nie wie, ilu jest w tym kraju imigrantów? —

zapytała Alexa, a Obinze natychmiast się spiął, czując w piersi ucisk.

— Imigranci oczywiście oznaczają muzułmanów — powiedział Mark.

— Gdyby naprawdę chciał się tego dowiedzieć, powinien pojechać na place budowy w tym kraju i policzyć ich — rzekł Mark.

— Interesujące, jak to wygląda w Ameryce — powiedziała Georgina. — Tam też narzekają na imigrację. Chociaż oczywiście w Ameryce traktują ją znacznie łagodniej niż w Europie.

— Cóż, owszem, ale to dlatego, że kraje w Europie opierały się na wykluczaniu, a nie jak w Ameryce, na włączaniu — powiedział Mark.

— Ale to też kwestia odmiennej psychologii, prawda? — zauważyła Hannah. —

Europejskie kraje są otoczone przez inne podobne, podczas gdy Ameryka ma Meksyk, który jest tak naprawdę krajem rozwijającym się, co sprawia, że inna jest psychologia imigracji i granic.

— Ale my nie mamy imigrantów z Danii. Mamy imigrantów z Europy Wschodniej, która jest naszym Meksykiem — powiedziała Alexa.

— Oczywiście z wyjątkiem rasy — odezwała się Georgina. — Europejczycy ze wschodu są biali. Meksykanie nie.

— A ty, Emenike, co sądzisz o rasie w Ameryce? — zapytała Alexa. — To rażąco rasistowski kraj, prawda?

— Nie trzeba w tym celu jechać do Ameryki, Alexo — powiedziała Georgina.

— Mnie się wydaje, że w Ameryce czarni i biali razem pracują, ale się razem nie bawią, natomiast tutaj razem się bawią, ale nie pracują — rzekł Emenike.

Inni w zamyśleniu pokiwali głowami, jakby powiedział coś ogromnie wnikliwego, Mark

jednak zauważył:

— Nie jestem pewny, czy do końca rozumiem.

— Według mnie w tym kraju klasowość jest jak powietrze. Każdy zna swoje miejsce; nawet ludzie, którzy się na nią wściekają, godzą się, że są, kim są — powiedział Obinze. — Biały chłopiec i czarna dziewczyna, którzy dorastają razem w robotniczym mieście, mogą być ze sobą i rasa będzie sprawą drugorzędną, natomiast w Ameryce, nawet jeśli biały chłopak

i czarna dziewczyna dorastają razem w tym samym sąsiedztwie, rasa liczy się przede wszystkim.

Alexa znowu spojrzała na niego zaskoczona.

— Odrobinę uproszczone, ale tak, mniej więcej o to mi chodziło — rzekł Emenike wolno, odchylając się na krześle, a Obinze wyczuł przyganę.

Powinien był siedzieć cicho, w końcu Emenike gra tu główną rolę.

— Ale w zasadzie nie spotykasz się tu z rasizmem, prawda, Emenike? — zapytała Alexa, a jej ton sugerował, że od razu wiedziała, iż odpowiedź będzie przecząca. — Oczywiście ludzie mają uprzedzenia, ale czyż nie mamy ich wszyscy?

— Cóż, nie — oświadczyła Georgina zdecydowanie. — Opowiedz im tę historię o taksówkarzu, kochanie.

— Och, tę — rzekł Emenike wstając, żeby podać półmisek serów, i mrucząc coś do Hannah, która w odpowiedzi się uśmiechnęła i dotknęła jego ramienia.

Ależ był podekscytowany życiem w świecie Georginy.

— Opowiedz, proszę.

I Emenike opowiedział historię o taksówkarzu, którego zatrzymał kiedyś wieczorem na Upper Street. Kiedy taksówka była daleko, miała zapalone światło, że jest wolna, ale kiedy się do niego zbliżyła, światełko zgasło, a Emenike uznał, że taksówkarz już nie jest w pracy. Taksówka go minęła, on obejrzał się za nią odruchowo i zobaczył, że światełko pali się znowu i nieco dalej zatrzymała się, żeby zabrać dwie białe kobiety.

Emenike opowiedział wcześniej tę samą historię Obinze, który był zdumiony, jak inaczej opowiedział ją dzisiaj. Nie wspomniał o wściekłości, jaką czuł stojąc na tamtej ulicy i patrząc za taksówką. Cały się trząsł, powiedział Obinze, ręce mu drżały jeszcze przez długi czas i trochę go przerażyły własne uczucia. Ale teraz, dopijając resztkę wina, mając przed sobą pływające w wodzie kwiaty, mówił tonem wolnym od gniewu, w którym pobrzmiwało tylko pełne wyższości

rozbawienie, a Georgina wtrącała: „Mieści się to wam w głowie?”.

Alexa, zarumieniona od czerwonego wina, z zaczerwienionymi oczami pod czerwonymi włosami zmieniała temat.

— Blunkett musi mieć dość rozumu i dopilnować, żeby ten kraj był schronieniem.

Ludzie, którzy przeżyli koszmarnie wojny, muszą mieć prawo tu przyjechać! — Zwróciła się do Obinze. — Zgodzisz się ze mną?

— Tak — powiedział i poczuł, jak niczym dreszcz przeszywa go poczucie wyobcowania.

Alexa, reszta gości, być może nawet Georgina, wszyscy rozumieli ucieczkę przed wojną, przed rodzajem biedy, która miażdży ludzką duszę, ale nie rozumieliby ucieczki przed przytłaczającym letargiem i brakiem wyboru. Nie rozumieliby, dlaczego ludzie tacy jak on, którzy dorastali nakarmieni i na pojeni, ale unurzani w niezadowoleniu, od urodzenia nastawieni na szukanie czegoś innego, na zawsze przekonani, że prawdziwe życie znajdą gdzie indziej, teraz posuwali się do rzeczy niebezpiecznych, nielegalnych, że uciekali, nie zagłodzeni, nie zgwałceni, nie ze spalonych wiosek, ale zwyczajnie głodni wyboru i pewności.

ROZDZIAŁ 30

Nicholas dał Obinze garnitur na ślub.

— To porządny, włoski garnitur — powiedział. — Na mnie za mały, więc na ciebie powinien pasować.

Spodnie były za duże i zmarszczyły się, kiedy Obinze zacisnął pasek, ale marynarka, też duża, zakrywała te nieładne fałdki w pasie. Zresztą to go nie martwiło. Tak bardzo skupiony był

na tym, żeby przeżyć ten dzień, wreszcie zacząć życie, że wsadziłby sobie pieluchę, gdyby to było konieczne. On i Iloba spotkali się z Cleotilde w pobliżu Urzędu Stanu Cywilnego. Stała pod drzewem z koleżankami, w białej opasce na włosach i z oczami mocno podkreślonymi czernią; wyglądała na starszą, bardziej sexy. Sukienka w kolorze kości słoniowej

trochę za bardzo opinała się jej na biodrach. On za nią zapłacił.

— Nie mam żadnej porządnej sukienki na wyjście — powiedziała przepaszająco, kiedy zadzwoniła, by mu powiedzieć, że nie ma nic, co byłoby przekonująco ślubne.

Uścisnęła go. Była zdenerwowana, a on starał się zapanować nad własnym zdenerwowaniem, wyobrażając sobie ich oboje już po wszystkim, jak za mniej niż godzinę będzie mógł pewniejszym krokiem chodzić po brytyjskich ulicach, jak będzie mógł ją pocałować.

— Masz obrączki? — zapytał ją Iloba.

— Tak — powiedziała Cleotilde.

Ona i Obinze kupili je w zeszłym tygodniu, dwie zwykłe obrączki do pary, w sklepie w bocznej ulicy, a ona była taka zachwycona, kiedy ze śmiechem zakładała i zdejmowała różne modele, że Obinze zastanawiał się, czy nie chciałaby, żeby ich ślub był prawdziwy.

— Zostało piętnaście minut — powiedział Iloba.

Wyzaczył się na organizatora. Robił zdjęcia trzymając swój cyfrowy aparat z daleka od twarzy.

— Stańcie bliżej! Dobra, jeszcze raz!

Jego radośnie dobry humor denerwował Obinze. Kiedy poprzedniego dnia jechali do Newcastle pociągiem, Obinze przez cały czas wyglądał oknem, nie mogąc nawet czytać, a Iloba mówił i mówił, aż jego głos zamienił się w odległy pomruk. Może chciał, żeby Obinze nie zamartwiał się zbytnio. Teraz z niewymuszoną, przyjacielską swobodą gawędził z koleżankami Cleotilde o nowym trenerze Chelsea, o *Big Brotherze*, jakby wszyscy spotkali się tutaj z normalnego, całkiem zwykłego powodu.

— Pora iść — powiedział Iloba.

Ruszyli w stronę urzędu. Popołudnie było jasne od słońca. Obinze otworzył drzwi i odsunął się, przepuszczając resztę przodem do sterylneho holu, gdzie przystanęli, żeby sprawdzić, któredy mają iść. Za drzwiami stało dwóch

policjantów, spoglądając na nich kamiennym wzrokiem. Obinze stłumił w sobie panikę. Nie było się czym przejmować, absolutnie niczym, mówił sobie, to zapewne normalne, że w urzędzie są policjanci; ale hol nagle jakby zmałał, powietrze zgęstniało, zapowiadając klęskę, i wyczuł, że coś jest nie tak, jeszcze zanim zauważył zbliżającego się mężczyznę w koszuli z podwiniętymi rękawami i policzkami tak czerwonymi, że wyglądał jak w jakiejś przerażającej charakteryzacji.

— Czy pan Obinze Maduewesi? — zapytał mężczyzna o czerwonych policzkach.

W ręce trzymał plik papierów i Obinze zauważył fotokopię strony ze swojego paszportu.

— Tak — powiedział Obinze cicho i to jedno słowo, to „tak”, było potwierdzeniem dla urzędnika imigracyjnego z czerwonymi policzkami, dla Iloby i Cleotilde, dla niego samego, że to

koniec.

— Pańska wiza wygasła i nie ma pan prawa przebywać na terenie Zjednoczonego Królestwa — powiedział mężczyzna z czerwonymi policzkami.

Policjant zatrzasnął kajdanki na przegubach Obinze. Obinze miał wrażenie, że przygląda się wszystkiemu z daleka, widzi siebie, jak wychodzi na zewnątrz do policyjnego radiowozu, opada na zbyt miękkie tylne siedzenie. Tyle razy w przeszłości umierał ze strachu, że tak właśnie się stanie, tyle razy ogarniała go zamazująca wszystko panika, że teraz odbierał wszystko jak głuche echo tego, co przewidział. Cleotilde rzuciła się na ziemię i zaczęła płakać. Nigdy nie była w kraju swojego ojca, ale w tej chwili przekonała go o swojej afrykańskości; jakże inaczej potrafiłaby rzucić się na ziemię z tak doskonale teatralnym gestem? Zastanawiał się, czy płacze ze względu na niego, na siebie, czy za tym, co mogłoby być między nimi. Nie musiała się martwić, ponieważ miała obywatelstwo europejskie; policjanci nawet na nią nie spojrzeli. To on czuł ciężar kajdanek przez całą drogę na komisariat, to on w milczeniu oddał swój zegarek, swój pasek

i swój portfel i patrzył, jak policjant bierze jego telefon i wyłącza go. Za duże spodnie Nicholasa spadały mu z bioder.

— Buty też. Proszę zdjąć buty — powiedział policjant.

Zdjął buty. Zaprowadzili go do celi. Była mała, miała brązowe ściany i metalowe kraty, tak grube, że nie był w stanie objąć ich dłonią. Przypominała mu klatkę dla szympanсів w zaniedbanym, zapomnianym zoo w Nsukka. Pod bardzo wysokim sufitem paliła się jedna żarówka. W tej małej celi była ogromna, odbijająca się echem pustka.

— Wiedział pan, że ma nieważną wizę?

— Tak — powiedział Obinze.

— Czy to miał być ślub na niby?

— Nie. Cleotilde i ja spotykaliśmy się od jakiegoś czasu.

— Mogę panu załatwić prawnika, ale nie ma wątpliwości, że zostanie pan deportowany

— powiedział obojętnie urzędnik imigracyjny.

Kiedy zjawił się prawnik, o obrzmiałej twarzy i podkrążonych oczach, Obinze przypomniały się wszystkie filmy, w których adwokat z urzędu jest rozkojarzony i zmęczony.

Prawnika miał teczkę, której nie otworzył, i usiadł naprzeciwko Obinze, nie mając nic ze sobą, żadnych dokumentów, żadnej kartki, żadnego pióra. Zachowywał się uprzejmie i ze współczuciem.

— Prokuratura ma silne dowody, ale możemy apelować, choć szczerze mówiąc, to tylko wszystko opóźni, a i tak zostanie pan usunięty ze Zjednoczonego Królestwa — powiedział

prawnika, który mówił te same słowa, tym samym tonem więcej razy, niż by sobie tego życzył czy mógł spamiętać.

— Chętnie wrócę do Nigerii — powiedział Obinze.

Resztki jego godności zsuwały się z niego jak papier do pakowania i bardzo chciałby je przytrzymać.

Prawnika był zaskoczony.

— W takim razie dobrze — powiedział i wstał pośpiesznie, jakby wdzięczny za ułatwienie mu pracy.

Obinze patrzył za nim, kiedy wychodził. Zaraz zaznaczy na formularzu, że ten klient zgadza się na usunięcie. „Usunięcie”. Słowo sprawiało, że Obinze czuł się jak przedmiot. Rzecz do usunięcia. Rzecz, która nie oddycha i nie myśli. Rzecz.

Nie znosił ciężaru kajdanek, śladów, które, jak sobie wyobrażał, zostawiają mu na

nadgarstkach, połysku złączonych kółek z metalu, które go unieruchamiały. W kajdankach prowadzili go przez hol lotniska w Manchesterze, w którego chłodzie i zgiełku mężczyźni, kobiety i dzieci, podróżujący i sprzątacze, ochroniarze, wszyscy na niego patrzyli i zastanawiali się, jakiego zła się dopuścił. Nie odrywał wzroku od śpieszącej przed nim wysokiej, białej kobiety, z rozwianymi włosami, garbem plecaka na ramionach. Nie zrozumiałaby jego historii, dlaczego szedł teraz przez lotnisko z metalem zatrzaśniętym na przegubach, ponieważ tacy jak ona podróżują bez lęku o wizę. Mogą się martwić o pieniądze, o to, gdzie się zatrzymają, o bezpieczeństwo, może nawet o wizę, ale nigdy z lękiem skręcającym wnętrzości.

Zaprowadzili go do pomieszczenia z piętrowymi łózkami upchniętymi żałośnie pod ścianami. Było w nim już trzech innych mężczyzn. Jeden, z Dżibuti, mówił niewiele, leżał i wpatrywał się w sufit, jakby odtwarzał w myślach podróż, która zaprowadziła go do aresztu na lotnisku w Manchesterze. Dwaj byli Nigeryjczykami. Młodszy siedział na łóżku i bez końca wyłamywał sobie palce. Starszy chodził po małej celi i nie przestawał mówić.

— Bracie, jak cię dopadli? — zapytał z natychmiastową zażyłością, która nie podobała się Obinze.

Miał w sobie coś, co przypominało Obinze Vincenta. Obinze wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział; nie musiał być uprzejmy wyłącznie dlatego, że dzielił z nim jedną celę.

— Może macie coś, co mógłbym poczytać? — poprosił Obinze urzędniczkę, kiedy przyszła po mężczyznę z Dżibuti, do którego ktoś przyszedł.

— Poczytać — powtórzyła z uniesionymi brwiami.

— Tak. Jakaś książkę, czasopismo, gazetę — powiedział Obinze.

— Chce pan poczytać — powiedziała z pogardliwym rozbawieniem na twarzy. —

Przykro mi. Ale mamy pokój telewizyjny i może pan sobie iść pooglądać telewizję po lunchu.

W pokoju telewizyjnym była grupka mężczyzn, głównie Nigeryjczyków, i wszyscy głośno rozmawiali. Inni siedzieli zgarbieni pod ciężarem własnych smutków, słuchając jak Nigeryjczycy dzielą się swoimi opowieściami, czasem ze śmiechem, czasem użalając się nad sobą.

— To są mój drugi raz. Najśpiętniej przyjechać na innym paszporcie — powiedział jeden z nich.

— Mie chycili w robocie, o.

— Znam jednego, co go deportowały, co by wrócił ja mu papiery. Tera on mi pomóc — powiedział inny.

Obinze zazdrościł im, że tacy byli, swobodnie zmieniali nazwiska i paszporty, planowali, wracali i znowu robili to samo, bo nie mieli nic do stracenia. Nie miał ich zdolności; był miękki, chłopiec, który jako dziecko jadł płatki na śniadanie i czytał książki, wychowywany przez matkę w czasach, kiedy mówienie prawdy nie było jeszcze luksusem. Wstydził się, że jest z nimi, między nimi. Oni nie mieli wstydu i nawet tego im zazdrościł.

W areszcie czuł się zraniony, obdarty ze skóry, pozbawiony zewnętrznej warstwy. Głos matki przez telefon brzmiał niemal obco; kobieta posługująca się nienagannym nigeryjskim

angielskim, która mówiła mu spokojnie, żeby był silny, że odbierze go w Lagos, a on przypomniał sobie, jak przed laty rząd generała Buhariego przestał rozdawać podstawowe dobra i matka nie wracała już do domu z darmowym mlekiem w puszkach, i zaczęła w domu mielić soję, żeby robić mleko. Powiedziała, że mleko sojowe jest pożywne i chociaż nie chciał rano pić grudkowatego płynu, przyglądał się, jak ona to robiła, rozsądnie, bez uskarżania się. Teraz było tak samo, powiedziała mu przez telefon, że przyjedzie po niego, jakby zawsze liczyła się z taką

możliwością, że syn trafi do aresztu gdzieś za granicą, gdzie będzie czekał na deportację.

Dużo myślał o Ifemelu, wyobrażał sobie, co robi, jak zmieniło się jej życie. Kiedyś mu powiedziała, jeszcze na studiach: „Wiesz, co najbardziej podziwiałam w tobie w liceum? Że nigdy nie wstydzisz się powiedzieć nie wiem. Zawsze byłeś pewny siebie i zawsze umiałeś przyznać, że czegoś nie wiesz”. Uznał to za niezwykle komplement i lubił ten swój wizerunek, mimo że wiedział, iż nie do końca jest prawdziwy. Zastanawiał się, co by sobie pomyślała wiedząc, gdzie jest teraz. Na pewno by mu współczuła, ale też w niewielkim stopniu czułaby się rozczarowana. O mało nie poprosił Iloby, żeby się z nią skontaktował. Znalazłby ją bez trudu; wiedział już, że mieszka w Baltimore. Ale nie zrobił tego. Kiedy Iloba przyszedł go odwiedzić, mówił o prawnikach. Obaj wiedzieli, że to bez sensu, ale Iloba i tak mówił o prawnikach.

Siedział naprzeciwko Obinze, głowę podpierając rękami, i mówił o prawnikach. Obinze zastanawiał się, czy niektórzy z nich nie są tylko wytworem wyobraźni Iloby.

— Znam jednego w Londynie, pochodzi z Ghany, reprezentował faceta bez dokumentów, facet prawie już siedział w samolocie do domu i ani się obejrzał, jak był wolny. Teraz pracuje w informatyce.

Czasem Iloba znajdował pocieszenie w stwierdzeniu tego, co oczywiste.

— Gdybyś tylko zdążył wziąć ślub, zanim przyszli — powiedział. — Wiesz, że gdyby przyszli sekundę po

ogłoszeniu was mężem i żoną, nie mogliby cię tknąć?

Obinze kiwnął głową. Wiedział, i Iloba wiedział, że on wie. W czasie ostatnich odwiedzin powiedział Ilobie, że następnego dnia przenoszą go do Dover. Iloba zaczął płakać.

— Zed, to się nie miało tak skończyć.

— Iloba, co za bzdury wygadujesz? Przestań płakać, przyjacielu — powiedział Obinze zadowolony, że znalazł się w pozycji, kiedy może udawać silniejszego.

Kiedy jednak przyszli Nicholas i Ojiugo, nie podobało mu się, że tak bardzo się wysilali, udawali, jakby trafił do szpitala, a oni wpadli go odwiedzić. Siedzieli naprzeciwko niego, oddzieleni zimnym, gołym stołem i mówili o prozaicznych sprawach. Ojiugo mówiła odrobinę za szybko, a Nicholas przez godzinę powiedział więcej, niż Obinze usłyszał od niego przez wiele tygodni: „Nne przyjęli do Dziecięcej Orkiestry Narodowej, Nna zdobył kolejną nagrodę”.

Przynieśli mu pieniądze, książki, torbę ubrań. Nicholas poszedł na zakupy i prawie wszystkie ubrania były nowe i w rozmiarze Obinze. Ojiugo co chwila pytała: „Dobrze cię traktują? Dobrze cię traktują?”, jakby to, czy dobrze go traktują, było ważniejsze od przykrej rzeczywistości, faktu, że jest w ośrodku dla zatrzymanych i ma być deportowany. Nikt nie zachowywał się normalnie.

Wszyscy byli oszołomieni jego porażką.

— Czekają na miejsce w samolocie do Lagos — powiedział Obinze. — Dopóki się jakieś nie znajdzie, będą mnie trzymali w Dover.

Obinze czytał o Dover w gazecie. Wcześniej było tam więzienie. Czuł się surrealistycznie, kiedy przejeżdżał przez sterowane elektronicznie bramy, a potem znalazł się za wysokimi murami, kolczastymi drutami. Cella była mniejsza i zimniejsza od celi w Manchesterze, a współwięzień, Nigeryjczyk, powiedział mu, że nie da się deportować. Miał twardą, chudą twarz.

— Jak będą chcieli mnie wprowadzić do samolotu, zdejmę koszulę i buty. Zażądam azylu

— powiedział Obinze. — Bez koszuli i butów nie mogą mnie wpuścić do samolotu.

Powtarzał to często, jak mantrę. Od czasu do czasu puszczał wiatry, bez słowa, czasem klękał na środku ich maleńkiej celi, wznosił ręce do nieba i modlił się.

— Panie mój, Ojczy, chwała Twojemu Imieniu! Dla Ciebie nic nie jest zbyt trudne!

Błogosławię Cię!

Dłonie miał pokryte głębokimi liniami. Obinze zastanawiał się, jakich okropności się

dopuszcili. Dusił się w tej celi, z której wypuszczali go tylko na ćwiczenia i posiłki, przypominające miskę gotowanych robaków. Nie mógł jeść; czuł, jak jego ciało wiotczeje, chudnie. Kiedy wczesnym rankiem prowadzili go do furgonetki, całą brodę porastała mu szczecina, jak dywanik z trawy. Jeszcze nawet nie świtało. Razem z nim były dwie kobiety i pięciu mężczyzn, wszyscy w kajdankach, w drodze do Nigerii. Na lotnisku Heathrow przeprowadzili ich przez kontrolę i odprawę do samolotu na oczach innych pasażerów. Posadzili ich z tyłu, najbliżej toalety. Przez cały lot Obinze się nie poruszył. Nie chciał jedzenia.

— Nie, dziękuję — powiedział do stewardesy.

Siedząca obok kobieta zapytała skwapliwie:

— Mogę dostać jego porcję?

Ona też była w Dover. Miała bardzo ciemne usta i zachowywała się z ożywieniem, bez cienia załamania. Był pewny, że znajdzie sobie nowy paszport z innym nazwiskiem i spróbuje znowu.

Kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania nad Lagos, stanęła nad nimi stewardesa.

— Nie wolno wam wyjść — powiedziała głośno. — Przyjdzie po was urzędnik imigracyjny.

Na jej twarzy malował się wyraźny niesmak, jakby wszyscy oni byli przestępcami przynoszącymi wstyd takim praworządnym Nigeryjczykom jak ona. Samolot się opróżnił.

Obinze patrzył przez okno na stary odrzutowiec, stojący w łagodnym, popołudniowym słońcu, aż podszedł do nich człowiek w mundurze. Miał wielkie brzuszysko; na pewno z trudem zapinał

guziki koszuli.

— Tak, tak. Przyszedłem się wami zająć! Witajcie w domu! — powiedział żartobliwie i Obinze od razu przypomniała się wrodzona nigeryjska wesołość, wieczna gotowość do żartowania. Brakowało mu tego.

— Za dużo się śmiejemy — powiedziała raz jego matka. — Może powinniśmy się mniej śmiać, a więcej skupić na rozwiązywaniu problemów.

Człowiek w mundurze zaprowadził ich do biura i rozdał formularze. Nazwisko. Wiek.

Kraj, z którego się przyjechało.

— Dobrze pana traktowali? — zapytał mężczyzna Obinze.

— Tak — powiedział Obinze.

— Ma pan coś dla chłopaków?

Obinze patrzył na niego przez chwilę, na jego otwartą twarz, proste widzenie świata; deportacje zdarzały się codziennie, a życie toczyło się dalej. Obinze wyjął z kieszeni banknot dziesięciofuntowy, z pieniędzy, które dał mu Nicholas. Mężczyzna wziął go z uśmiechem.

Na zewnątrz jakby odetchnął parą; kręciło mu się w głowie. Ogarnął go na nowo smutek, smutek czekających go dni, kiedy jego świat zbczy z kursu, a on sam będzie wszystko widział

jak przez mgłę. W odgrodzonym miejscu obok „Przylotów”, w pewnym oddaleniu od reszty wyczekujących ludzi stała jego matka.

CZEŚĆ 4

ROZDZIAŁ 31

Kiedy Ifemelu zerwała z Curtem, zwierzyła się Ginice:

— Chciałam poczuć coś, czego nie poczułam.

— Co ty wygadujesz? Zdradziłaś go! — Ginika pokręciła głową, jakby Ifemelu zwariowała. — Słowo daję, Ifem, czasem cię nie rozumiem.

To była prawda, zdradziła Curta z młodszym chłopakiem, który mieszkał w jej bloku w Charles Village i grał w zespole. Jednak kiedy była z Curtem, tęskniła, żeby wreszcie poczuć coś, czego nie czuła. Nie do końca wierzyła w siebie, będąc z Curtem — szczęśliwym, przystojnym Curtem, z jego umiejętnością kształtowania świata wedle własnych upodobań.

Kochała jego i radosne, łatwe życie, które jej ofiarował, a mimo to wciąż musiała zwalczać w sobie pragnienie jakichś trudności, chęć zmiążdżenia jego wesołości, choćby odrobinę.

— Uważam, że lubisz sama siebie niszczyć — powiedziała Ginika. — Dlatego w ten sposób odcięłaś się od Obinze. A teraz zdradziłaś Curta, bo w pewnym sensie jesteś przekonana, że nie zasługujesz na szczęście.

— Zaraz każesz mi zażywać tabletki na samozniszczenie — powiedziała Ifemelu. — To absurd.

— Więc czemu to zrobiłaś?

— To był błąd. Ludzie popełniają błędy. Ludzie robią głupstwa.

Tak naprawdę zrobiła to z ciekawości, ale tego Ginice nie wyznała, bo zabrzmiałoby to niepoważnie; Ginika by nie zrozumiała, Ginika wolała myśleć, że powód był ponury i poważny, wynikający z potrzeby sabotowania samej siebie. Ifemelu nigdy nie była pewna, czy on jej się podobał: Rob, w brudnych, podartych jeansach, ubłoconych butach, pogniecionej, flanelowej koszuli. Nie rozumiała stylu grunge, idei, żeby wyglądać jak obdartus tylko dlatego, że można sobie pozwolić, żeby tak nie wyglądać; tej udawanej obdartości. Przez to, że w ten sposób się ubierał, uważała, że jest powierzchowny, a mimo to wzbudzał jej ciekawość. Zastanawiała się, jak będzie wyglądał nago w łóżku obok niej. Za pierwszym razem seks był dobry, ona na nim, rozkołysana, jęcząca, szarpiąca za włosy porastające mu pierś, że

świadomością, że zachowuje się zbyt teatralnie. Jednak za drugim razem, kiedy przyszła do jego mieszkania, a on chwycił ją w objęcia, popadła w całkowite odrętwienie. On już dyszał ciężko, a ona wykręcała się z jego uścisku i chwyciła torbę, żeby uciec. W windzie ogarnęło ją przerażające poczucie, że szuka czegoś stałego, pewnego, a wszystko, czego się dotknie, rozpada się w nicłość. Poszła do Curta i powiedziała mu:

— To nic nie znaczyło. Stało się tylko raz i jest mi bardzo przykro.

— Przestań żartować — powiedział, ale ona wiedziała, widząc pełne niedowierzania przerażenie w jego ciemniejących błękitnych oczach, że wie, iż ona nie żartuje.

Wiele godzin krążyli obok siebie, puszczała muzykę, sprawdzali maile, Curt leżał na kanapie, nieruchomy i milczący, aż wreszcie ją zapytał:

— Kto to jest?

Powiedziała mu, że ma na imię Rob.

— Jest biały?

Zaskoczyło ją, że o to zapytał, tak od razu.

— Tak.

Po raz pierwszy spotkała Roba wiele miesięcy wcześniej, w windzie. Był w swoich niechlujnych ubraniach, miał nieumyte włosy, uśmiechnął się do niej i zagadnął:

— Widuję cię.

Później, ilekroć się spotkali, spoglądał na nią z leniwym zainteresowaniem, jakby oboje wiedzieli, że do czegoś między nimi dojdzie, i było tylko kwestią czasu kiedy.

— Kto to, kurwa, jest? — zapytał Curt.

Powiedziała mu, że mieszka piętro wyżej, że wcześniej mówili sobie tylko cześć, aż jednego wieczoru zobaczyła go, jak wychodzi ze sklepu monopolowego, i zapytał, czy nie wypiłaby z nim drinka, a ona zachowała się głupio i impulsywnie.

— Dałaś mu, czego chciał — powiedział Curt.

Rysy twarzy mu stwardniały. Dziwne, że powiedział to samo, co mawiała ciocia Uju, dla której seks był czymś, co kobieta dawała mężczyźnie na swoją zgubę.

Wiedziona nagłą beztroską poprawiła Curta:

— To raczej ja wzięłam to, czego chciałam. Jeśli mu coś dałam, to przez czysty przypadek.

— Słyszysz, co mówisz, czy ty, kurwa, słyszysz, co mówisz?

— głos Curta zachrypł. —

Jak mogłaś mi to zrobić? Byłem dla ciebie taki dobry.

Już patrzył na ich związek z perspektywy czasu przeszłego. Była zaskoczona, jak szybko romantyczna miłość może się zmienić, jak szybko ktoś kochany staje się obcy. Gdzie się podziała miłość? Może prawdziwa miłość istniała tylko w rodzinie, wynikała z więzów krwi, bo przecież miłość do dzieci nie umiera tak jak romantyczna miłość.

— Nie wybaczysz mi — powiedziała, na wpół pytająco.

— Suka.

Posłużył się słowem jak nożem; wyszło z jego ust ostre od obrzydzenia. Poczula się surrealistycznie, kiedy Curt tak lodowato powiedział „suka”, i do oczu napłynęły jej łzy, bo wiedziała, że to ona uczyniła z niego mężczyznę, który potrafił powiedzieć „suka” tak lodowato, a chciałyby, żeby był mężczyzną, który nigdy, bez względu na okoliczności nie powiedziałby

„suka” tak lodowato. Sama w swoim mieszkaniu płakała i płakała, skulona w salonie na dywanie tak rzadko używanym, że wciąż jeszcze pachniał sklepem. Jej związek z Curtem był tym, czego pragnęła, grzywiastą falą w jej życiu, a mimo to chwyciła siekiere i porąbała ją. Dlaczego to zniszczyła? Wyobraziła sobie, jak jej matka mówi, że to dzieło szatana. Żałowała, że nie wierzy w szatana, w istotę żyjącą poza nią, która zawładnęła jej umysłem i sprawiła, że zniszczyła coś, na czym jej zależało.

Całymi tygodniami dzwoniła do Curta, czekała przed jego domem, aż wyjdzie, w kółko powtarzała, że przeprasza, że bardzo pragnie wszystko naprawić. Któregoś dnia obudziła się wreszcie pogodzona, że Curt nie oddzwoni, nie otworzy drzwi, choćby nie wiadomo jak mocno pukała, i poszła do ich ulubionego baru w centrum. Barmanka, która ją знаła, uśmiechnęła się do niej łagodnie, ze współczuciem. Odwzajemniła uśmiech i zamówiła kolejne mojito myśląc, że może barmanka byłaby dla Curta bardziej odpowiednia, z satynowo gładkimi, brązowymi włosami, szczupłymi ramionami, w obcisłym czarnym ubraniu: kobieta, która umiała gładko, nieszkodliwie gawędzić. Byłaby też gładko, nieszkodliwie wierna; gdyby miała takiego mężczyznę jak Curt, nie interesowałaby ją spowodowana ciekawością kopulacja z obcym, który grał pozbawioną harmonii muzykę. Ifemelu wpatrywała się w swój kieliszek. Coś z nią było nie tak. Nie wiedziała co, ale na pewno miała jakiś problem. Jakiś głód, niepokój. Nie знаła siebie do końca. Wyczuwała coś odległego, poza swoim zasięgiem. Wstała i zostawiła okazały napiwek.

Jeszcze długo potem koniec z Curtem tak właśnie zapamiętała: siedzi w taksówce pędzącej Charles Street, troszkę pijana, odczuwając lekką ulgę, troszkę samotna, a taksówkarz z Pendżabu chwali się, że jego dzieci radzą sobie w szkole lepiej od dzieci amerykańskich.

Kilka lat później, w czasie kolacji na Manhattanie, dzień po wyborze Baracka Obamy na kandydata na prezydenta Partii Demokratycznej, w otoczeniu gości, wyłącznie zagorzałych zwolenników Obamy, o oczach zamglonych winem i zwycięstwem, odezwał się łysiejący, biały mężczyzna:

— Obama skończy z rasizmem w tym kraju.

Przytaknęła mu elegancka poetka z Haiti, o szerokich biodrach i z afro większym od Ifemelu, i powiedziała, że w Kalifornii przez trzy lata spotykała się z białym mężczyzną i rasizm nigdy nie był dla nich problemem.

— To kłamstwo — zwróciła się do niej Ifemelu.

— Słucham? — zapytała kobieta, jakby nie dosłyszała.

— To kłamstwo — powtórzyła Ifemelu.

Kobieta wybałuszyła oczy.

— Mówisz mi, czego doświadczyłam?

Chociaż wtedy już Ifemelu rozumiała, że ludzie tacy jak ta kobieta mówią to, co mówią, żeby inni nie czuli się skrępowani i żeby pokazać, jak daleko zaszliśmy; chociaż była już wtedy szczęśliwie zadomowiona w kręgu przyjaciół Blaine'a, z których jeden był nowym chłopakiem tej kobiety, i chociaż powinna się była nie odzywać, nie mogła się po wstrzymać. Nie potrafiła.

Po raz kolejny uległa słowom; pokonały jej gardło, wyrwały się z niego.

— Mówisz tak wyłącznie dlatego, że rasa nie była problemem, ponieważ tego nie chciałaś. Nikt tego nie chce. Ale to kłamstwo. Ja pochodzę z kraju, gdzie rasa nie jest problemem; nie uważałam się za czarną, a stałam się nią dopiero po przyjeździe do Ameryki.

Kiedy ktoś w Ameryce jest czarny i zakocha się w białym, rasa nie ma znaczenia, kiedy jesteście sami, bo jesteście tylko wy i wasza miłość. Ale wystarczy tylko wyjść i rasa natychmiast zaczyna być ważna. Ale o tym nie mówimy. Naszym białym partnerom nie mówimy nawet o drobiazgach, które nas wkurzają, i o rzeczach, które chcielibyśmy, żeby lepiej rozumieli, gdyż boimy się, iż powiedzą, że przesadzamy albo że jesteśmy przeczuleni. I nie chcemy, żeby powiedzieli: patrzcie, jak daleko zaszliśmy, czterdzieści lat temu nie moglibyśmy być parą, bo to było niezgodne z prawem, ple, ple, ple, bo wiecie, co sobie myślimy, kiedy oni tak mówią?

Dlaczego, kurwa, to w ogóle kiedyś było niezgodne z prawem? Ale nic takiego nie mówimy.

Pozwalamy, żeby to wszystko kumulowało się nam w głowie, a kiedy przychodzimy na takie miłe, liberalne kolacje jak ta, mówimy, że rasa się nie liczy, bo tak właśnie powinniśmy mówić, żeby nasi mili, liberalni przyjaciele nie czuli się skrępowani. To prawda. Mówię to z własnego doświadczenia.

Gospodyni, Francuzka, popatrzyła na swojego amerykańskiego męża, uśmiechając się lekko, zadowolona; najbardziej niezapomniane przyjęcia zdarzały się, kiedy goście mówili coś nieoczekiwanego, najlepiej obraźliwego.

Poetka pokręciła głową i zwróciła się do gospodyni:

— Chętnie wzięłabym trochę tego wspaniałego dipa, jeśli ci jakiś został — i popatrzyła na innych, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę słuchają Ifemelu. Ale słuchali, bez słowa, wpatrując się w Ifemelu, jakby zaraz miała im zdradzić sprośny sekret, który będzie podniecający i jednocześnie ich dotyczył. Ifemelu wypila za dużo białego wina, od czasu do czasu miała wrażenie, że pływa, i później wysłała do gospodyni i poetki maile z przeprosinami. Ale wszyscy na nią patrzyli, nawet Blaine, którego miny tym razem nie potrafiła odczytać. I zaczęła mówić o Curcie.

Rzecz nie w tym, że ona i Curt unikali kwestii rasowych. Rozmawiali o nich w ten powierzchowny sposób, który o niczym nie świadczył, nie dotykał niczego i ich dialog zawsze kończył się słowem „wariactwo”, jakby mowa była o jakimś dziwnym samorodku, obejrzanym i odłożonym na bok. Albo rozmawiali w formie żartów, które pozostawiały w niej lekkie, tępe poczucie niesmaku, do którego nigdy się Curtowi nie przyznała. I nie chodziło o to, że Curt udawał, iż w Ameryce nie ma znaczenia, czy ktoś jest biały, czy czarny; wiedział, że tak nie jest.

Ifemelu jednak nie była w stanie pojąć, jak mógł rozumieć jedno, ale kiedy indziej na coś podobnego był głuchy i ślepy, jak nad jednym bez trudu wykonywał skok wyobraźni, ale nad innym stawał się kaleką. Na przykład przed ślubem jego kuzynki Ashleigh zawiózł ją do małego spa niedaleko jego domu rodzinnego, żeby wyregulowała sobie brwi. Ifemelu weszła i uśmiechnęła się do Azjatki za ladą.

— Dzień dobry, chciałabym wyregulować brwi.

— Nie robimy kręconych.

— Nie robicie kręconych?

— Nie. Przykro mi.

Ifemelu spojrzała przeciągle na kobietę; nie warto było się kłócić. Skoro nie robili kręconych, to nie robili kręconych, obojętnie co to oznacza. Zadzwoiła do Curta i poprosiła, żeby po nią wrócił, bo salon nie robi kręconych. Zjawił się Curt, z niebieskimi oczami jeszcze bardziej niebieskimi niż zwykle i oznajmił, że natychmiast chce rozmawiać z szefową.

— Albo, kurwa, zróbcie brwi mojej dziewczynie, albo, kurwa, zamknę to pieprzone miejsce. Powinni wam zabrać licencję.

Kobieta natychmiast przeistoczyła się w uśmiechniętą, uprzejmą kokietkę.

— Najmocniej przepraszam, doszło do nieporozumienia — powiedziała.

Oczywiście, wyregulują brwi. Ifemelu nie chciała, ze strachu, że kobieta ją porani, zedrze jej skórę, uszczyplnie, ale Curt był taki wściekły, jego gniew wręcz buzował w zamkniętej przestrzeni spa, więc spięta usiadła i pozwoliła, żeby kobieta wywoskowała jej brwi.

Kiedy jechali z powrotem, Curt zapytał:

— Co to znaczy, że masz kręcone brwi? I czemu trudno się je woskuje?

— Może nigdy wcześniej nie robiła brwi czarnej kobiecie i dlatego uważa, że są inne, bo w końcu mamy inne włosy, ale teraz chyba już wie, że brwi mamy mniej więcej takie same.

Curt prychnął i wziął ją za rękę; dłoń miał ciepłą. Na przyjęciu ich palce cały czas były splecione. Młode kobiety w maleńkich sukieneczkach, z wciągniętymi oddechami i brzuchami podchodziły, żeby się z nim przywitać i poflirtować, pytając, czy je pamięta, chodziły z Ashleigh do klasy, mieszkały z Ashleigh w jednym pokoju w akademiku. Kiedy Curt mówił: „To jest Ifemelu, moja dziewczyna”, spoglądały na nią ze zdumieniem, zdumieniem, jakie niektóre próbowały ukryć, inne wręcz przeciwnie, a ich miny mówiły: „Czemu ona?”. Bawiło to Ifemelu.

Już wcześniej widziała takie miny — na twarzach białych kobiet, obcych na ulicy, którzy widzieli, jak trzymają się z

Curtem za ręce, i na ich twarzach natychmiast pojawiał się ten wyraz

— mina w obliczu wielkiego, plemiennego zagubienia. Nie chodziło tylko o to, że Curt był biały; chodziło o to, jak był biały, z rozwichrzonymi, złocistymi włosami, wysportowanym ciałem, słonecznym wdziękiem i unoszącym się wokół niego zapachem pieniędzy. Gdyby był gruby, starszy, biedny, ekscentryczny albo z dreadami, wtedy nie byłoby to takie dziwne, a strażnicy plemienni byłiby uspokojeni. Nie pomagało też, że chociaż była piękną, czarną dziewczyną, nie była czarną, z jaką ewentualnie, przy odrobinie wysiłku mogliby go sobie wyobrazić: nie miała jasnej skóry, nie była dwurasowa. Na tamtym przy jęciu Curt trzymał ją za rękę, często ją całował, przedstawiał wszystkim, a jej rozbawienie zaczynało przechodzić w znużenie.

Spojrzenia zaczęły kłuć ją w skórę. Czowała się zmęczona nawet tym, jak Curt ją chronił, zmęczona tym, że tej ochrony potrzebowała.

Curt nachylił się i szepnął:

— Widzisz tę tam, ze źle nałożonym samoopalaczem? Nawet nie zauważyła, że jej pieprzony chłopak nie spuszcza z ciebie oka, odkąd przyszliśmy.

Więc zauważył i rozumiał spojrzenia „Czemu ona?”. Zaskoczyło ją to. Czasem, na fali swojego buzującego uniesienia miał przebłysk intuicji, zauważał coś, a ona zastanawiała się, czy nie umykają jej jakieś jego inne pierwotne cechy. Jak na przykład kiedy powiedział do swojej matki, która przeglądała niedzielną gazetę i bąknęła coś, że ludzie wciąż narzekają, chociaż Ameryka nie zwraca już uwagi na kolor: „Daj spokój, matko. A gdyby przyszło tu dziesięć osób wyglądających jak Ifemelu? Zdajesz sobie sprawę, że twoi współbiednicy byłiby bardzo niezadowoleni?”.

— Być może — odparła jego matka niezobowiązująco i oskarżycielsko uniosła brew do Ifemelu, jakby doskonale wiedziała, czyją winą jest, że jej syn stał się żalonym bojownikiem rasowym. Ifemelu pozwoliła sobie na zwycięski uśmiezek.

Jednak czasem było inaczej. Kiedyś byli z wizytą u jego ciotki w Vermont, kobiety, która prowadziła organiczną farmę, chodziła boso i opowiadała, że dzięki temu odczuwa więź z ziemią. Czy Ifemelu zna to uczucie z Nigerii, zapytała i była zawiedziona słysząc, że matka zbiłaby Ifemelu, gdyby ta kiedyś wyszła z domu bez butów. Przez cały czas Claire opowiadała o swoim kenijskim safari, o wdzięku Mandeli, o swoim uwielbieniu dla Harry’ego Balafonte, a Ifemelu obawiała się, że zacznie mówić w afroamerykańskim angielskim albo suahili. Kiedy wyszli z jej pełnego zakamarków domu, Ifemelu powiedziała: „Na pewno jest interesującą kobietą, ale mogłaby się zachowywać naturalnie. Nie musi mnie na każdym kroku przekonywać, że lubi czarnych”.

A Curt odparł, że nie chodzi o rasę, po prostu jego ciotka była przeczulona na różnice, każdą różnicę.

— Zachowywałaby się tak samo, gdybym przyszedł z jasnowłosą Rosjanką —

powiedział.

Oczywiście jego ciotka nie zachowywałaby się tak samo przy jasnowłosej Rosjance.

Jasnowłosa Rosjanka była biała, a jego ciotka nie czułaby się w obowiązku przekonywać, że lubi ludzi, którzy wyglądają jak jasnowłose Rosjanki. Ale Ifemelu nie powiedziała tego Curtowi, bo chciałyby, żeby to było dla niego oczywiste.

Kiedy weszli do restauracji z lnianymi obrusami na stolikach, a właściciel spojrzał na nich i zapytał Curta: „Dla jednej osoby?”, Curt natychmiast pośpieszył z wyjaśnieniem, że „nie to” właściciel miał na myśli. A ona miała ochotę zapytać: „Jak mógł mieć na myśli coś innego?”.

Kiedyś w pensjonacie w Montrealu właścicielka z włosami w kolorze truskawki nie zwracała uwagi na Ifemelu, uparcie i z uśmiechem patrząc wyłącznie na Curta. Ifemelu chciała powiedzieć Curtowi, jak bardzo czuła się poniżona, tym bardziej że nie wiedziała, czy kobieta tak bardzo nie lubi czarnych, czy tak bardzo Curt się jej podobał. Ale nie zrobiła tego, bo powiedziała by jej, że przesadza albo jest zmęczona, albo jedno i drugie. Po prostu czasem zauważał, a czasem był ślepy. Wiedziała, że powinna zdradzić mu te myśli, że nie mówiąc mu o nich, rzuca na oboje cień. Mimo to wołała milczeć. Aż do dnia, kiedy posprzeczali się o jej czasopismo. W jeden z tych rzadkich poranków, który spędzili w jej mieszkaniu, w powietrzu gęstym od zapachu omletu, który smażyła, Curt wziął ze stosu gazet na stoliku „Essence”.

— To czasopismo jest rasowo skrzywione — powiedział.

— Słucham?

— Proszę cię. Zdjęcia tylko czarnych kobiet?

— Mówisz poważnie — stwierdziła.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak.

— Idziemy do księgarni.

— Co takiego?

— Muszę ci coś pokazać. Nie pytaj.

— OK — powiedział niepewny, co to za nowa przygoda, ale chętny, z tym swoim dzieciennym zapałem do udziału.

Zawiozła go do księgarni w Inner Harbor, wzięła z półki różne kobiece czasopisma i poszli do kawiarni.

— Chcesz latte? — zapytał.

— Poproszę.

Usiedli z papierowymi kubkami.

— Zaczniemy od okładek — powiedziała. Rozłożyła czasopisma na stoliku, niektóre jedne na drugich. — Popatrz, same białe kobiety. Ta tutaj to niby-Latynoska, ale wiemy o tym, bo mamy tu dwa hiszpańskie słowa, jednak wygląda dokładnie jak biała kobieta, żadnej różnicy w odcieniu skóry, włosach, rysach. A teraz obejrzymy strona po stronie, a ty powiesz mi, ile widzisz czarnych kobiet.

— Kotku, daj spokój — rzekł Curt rozbawiony i oparł się o krzesło, podnosząc do ust papierowy kubek.

— Zrób to dla mnie — powiedziała.

Wobec tego zaczął liczyć.

— Trzy czarne kobiety — stwierdził na koniec. — No, może cztery. Ta tutaj mogłaby być czarna.

— Więc w czasopismach, które łącznie liczą około dwa tysiące stron, są trzy czarne kobiety, z czego wszystkie dwurasowe, albo rasowo dwuznaczne, wobec czego równie dobrze mogłyby być Hinduskami albo Portorykankami czy coś tam. Żadna z nich nie jest ciemna. Żadna nie wygląda jak ja, wobec tego z tych czasopism nie dowiem się, jak mogłabym się malować.

Popatrz, w tym artykule jest napisane, żeby uszczypnąć się w policzki, bo wtedy się zaróżowią, ponieważ w założeniu wszystkie czytelniczki mają policzki, które różowią się od szczypania.

Opowiadają o różnych produktach do włosów dla każdego — to znaczy: dla blondynek, brunetek, rudych. Ja nie jestem

żadną z nich. A tutaj piszą o najlepszych odżywkach — do włosów prostych, falujących i kręconych. Nie skręconych. Widzisz, co według nich znaczy kręcone? Moje włosy nigdy tak nie wyglądają. Tutaj piszą, jak dobierać cień do koloru oczu —

niebieskich, zielonych, orzechowych. Ale moje oczy są czarne, więc nie wiem, jaki cień jest dla mnie odpowiedni. Tutaj piszą, że różowa szminka jest uniwersalna, ale uniwersalna dla białych, a ja wyglądałabym jak kukła, gdybym się pomalowała taką szminką. O, popatrz, tu mamy pewien postęp. Reklama podkładu. Jest siedem różnych odcieni do białej skóry i jeden czekoladowy, ale to już jakiś postęp. To teraz możemy porozmawiać o rasowym skrzywieniu. Rozumiesz, po co istnieje takie czasopismo jak „Essence”?

— Dobrze już, dobrze, kotku. Nie chciałem robić z tego aż takiej afery — powiedział.

Wieczorem Ifemelu napisała długiego maila do Wambui o księgarniach, czasopismach, o tym wszystkim, czego nie powiedziała Curtowi, niedopowiedzianych, niedokończonych rzeczach. To był długi mail, wnikliwy, pytający, odślaniający. Wambui odpowiedziała: „To takie szczere i prawdziwe. Więcej ludzi powinno to przeczytać. Zaczynij pisać bloga”.

Blogi były dla niej czymś nowym, nieznanym. Ale nie wystarczało jej, że podzieliła się wszystkim z Wambui; marzyła, by wysłuchali jej inni, i marzyła, by usłyszeć historie innych. Ilu ludzi wybrało milczenie? Ilu ludzi stało się w Ameryce czarnymi? Ilu czuło, jakby ich świat spowijała gaza? Kilka tygodni później, kiedy zapisała się do WordPress i narodził się jej blog, zerwała z Curtem. Po jakimś czasie zmieniła nazwę bloga, ale na początku zatytułowała go

„Działka rasowości albo ciekawe spostrzeżenia czarnej nie-Amerykanki na temat czarności w Ameryce”. Pierwszy wpis był poprawioną interpunkcyjnie wersją maila, którego napisała do Wambui. O Curcie pisała „Seksowny były białe”. Po kilku godzinach sprawdziła status swojego bloga. Przeczytało go dziewięć osób. Spanikowała i usunęła post. Następnego dnia znowu go umieściła, w zmodyfikowanej i poprawionej wersji,

i zakończyła słowami, które wciąż doskonale pamiętała. I teraz je zacytowała, przy stole francusko-amerykańskiego małżeństwa, podczas gdy haitańska poetka gapiała się na nią, ze złożonymi ramionami.

Najprostsze rozwiązanie problemu rasowego w Ameryce? Romantyczna miłość. Nie przyjaźń. Nie bezpieczna, płytka miłość, która zakłada, że oboje czują się skrępowani. Tylko głęboka, romantyczna miłość, taka, która wywraca nas na nice, sprawia, że oddychamy powietrzem tej drugiej osoby. A ponieważ prawdziwie głęboka, romantyczna miłość jest taka rzadka, i ponieważ amerykańskie społeczeństwo robi, co tylko może, by uczynić ją jeszcze rzadszą między amerykańskim czarnym i amerykańskim białym, problem rasowy w Ameryce nigdy nie zostanie rozwiązany.

— Och, cóż za wspaniała opowieść! — powiedziała gospodyni Francuzka z dłonią dramatycznie przyłożoną do piersi i rozglądając się wokół stołu, jakby oczekując odpowiedzi.

Ale wszyscy milczeli, niepewni, odwracając wzrok.

Publiczne podziękowanie Michelle Obamie

plus włosy jako metafora rasy

Biała dziewczyna i ja jesteśmy fankami Michelle Obamy. Któregoś dnia mówię do niej: zastanawiam się, czy Michelle Obama przedłużyła sobie włosy, dzisiaj ma ich jakby więcej, tylko je sobie zniszczy przez te wszystkie zabiegi na gorąco. A ona na to: myślisz, że to nie są jej prawdziwe włosy? Więc tylko ja to zauważyłam czy też mamy tu do czynienia z doskonałą metaforą rasy w Ameryce? Włosy. Oglądacie czasem w telewizji te programy o przemianach, kiedy czarna kobieta ma naturalne włosy (szorstkie, skrecone jak u barana) na brzydkich zdjęciach „przed”, a na ślicznych „po” ktoś rozpalonym kawałkiem żelaza je rozprostował?

Niektóre czarne kobiety, amerykańskie czarne i nieamerykańskie czarne raczej wyszłyby na ulicę nago, niż pokazały się publicznie ze swoimi naturalnymi włosami. Ponieważ, musicie zrozumieć, to jest nieprofesjonalne, niewyrafinowane czy co tam jeszcze, to cholernie

nienormalne. (Tylko proszę, żadnych komentarzy w stylu, że tak samo jest, kiedy biała kobieta farbuje sobie włosy).

Kiedy ktoś MA swoje naturalne murzyńskie włosy, ludzie uważają, że coś z nimi „zrobił”. A tak naprawdę ci, którzy mają afro albo dredy, niczego nie „zrobili” ze swoimi włosami. Zapytajcie Beyoncé, co sobie zrobiła. (Wszyscy uwielbiamy Bey, ale może chociaż raz by nam pokazała, jak wyglądają jej włosy, kiedy jej rosną na głowie?) Moje włosy są z natury skręcone. Splatam je, mam afro, warkoczyki. Nie, nie z powodów politycznych. Nie, nie jestem artystką, poetką czy piosenkarką. Ani też matką ziemią. Po prostu nie chcę używać środków do prostowania —

wystarczy mi innych czynników rakotwórczych. (A tak przy okazji, czy możemy zakazać peruk afro na Halloween? Afro to nie jest przebranie, na miłość boską). Wyobraźcie sobie, że Michelle Obama ma dość całego tego ogrzewania i postanawia wrócić do naturalnych włosów, i pojawia się w telewizji z gęstwiną wełnistych włosów albo ciasno skręconych loczków. (Nie wiadomo, jakie by miała. Często się zdarza, że czarna kobieta ma na głowie trzy różne rodzaje włosów.) Dałaby czadu, ale biedny Obama na pewno straciłby głosy niezależnych, a nawet niezdecydowanych demokratów.

Z OSTATNIEJ CHWILI: ZoraNeale22, która jest w okresie przejściowym, prosi, żebym opisała, co robię z włosami. Czyste masło shea jako odżywka bez spłukiwania sprawdza się dla większości naturalnych włosów. Ale nie dla mnie. Po wszystkim, co zawiera dużo masła shea,

moje włosy szarzeją i są przesuszone. A największym problemem jest dla mnie suszenie włosów.

Myję je raz na tydzień nawilżającym szamponem bez silikonu. Używam odżywki nawilżającej.

Nie wycieram włosów ręcznikiem. Zostawiam mokre, rozdzielam na pasma i nakładam kremowy środek bez zmywania (w tej chwili najbardziej mi odpowiada Qhemet Biologics, ale lubię też Oyin Handmade, Shea Moisture, Bask Beauty i Darcy's Botanicals). Potem zaplatam włosy w trzy, cztery grube warkocze i owijam satynowym szalem (satyna

jest dobra, bo zatrzymuje wilgoć; bawełna jest zła, bo wysysa wilgoć). Idę spać. Następnego dnia rano rozplątam warkocze i *voilà*, mam piękne, puszyste Afro! Najważniejsze, żeby nakładać preparat na mokre włosy.

I nigdy, przenigdy nie czeszę ich na sucho. Wyłącznie kiedy są mokre albo wilgotne, albo całkowicie pokryte kremowym nawilżaczem. To zaplatanie na mokro sprawdza się nawet naszym Mocno Lokatym Białym Przyjaciółkom, które mają dość środków do rozprostowywania z keratyniną. Czy jakieś amerykańskie czarne i nieamerykańskie czarne z naturalnymi włosami chcą się podzielić swoimi doświadczeniami?

ROZDZIAŁ 32

Przez wiele tygodni Ifemelu chodziła jak we śnie, starając się sobie przypomnieć osobę, którą była przed Curtem. Ich życie się jej przytrafiło, nie byłaby w stanie go sobie wyobrazić, nawet gdyby chciała, bez wątpienia więc mogła wrócić do tego, co było wcześniej. Ale to wcześniej było szare i zamazane — nie wiedziała już, kim wtedy była, co lubiła, czego nie lubiła, jakie miała pragnienia. Praca ją nudziła: robiła te same nudne rzeczy, pisała oświadczenia dla prasy, redagowała oświadczenia dla prasy, poprawiała oświadczenia dla prasy, poruszała się mechanicznie i z otepieniem. Może zawsze tak było, ale nie zauważała tego, bo oślepiła ją jasność Curta. Jej mieszkanie wyglądało jak dom kogoś obcego. W weekendy jeździła do Willow. Osiedle cioci Uju było zbiorowiskiem otynkowanych budynków w starannie zaplanowanej okolicy, z głazami na rogach, po której wieczorami spacerowali przyjaźni ludzie z ładnymi psami. Ciocia Uju zrobiła się radosna; latem nosiła cieniutki łańcuszek na kostce, złoty połysk nadziei. Wstąpiła do Afrykańskich Lekarzy dla Afryki, wyjeżdżając na dwutygodniowe medyczne misje wolontariuszy, i w czasie wyjazdu do Sudanu poznała Kweku, rozwiedzionego lekarza z Ghany.

— Traktuje mnie jak księżniczkę. Tak samo jak Curt traktował ciebie — powiedziała Ifemelu.

— Staram się o nim zapomnieć. Przestań o nim mówić!

— Przepraszam — rzekła ciocia Uju, ale wcale nie uważała, że ma za co.

Powiedziała Ifemelu, żeby za wszelką cenę próbowała ratować związek, bo już nigdy nie spotka mężczyzny, który by ją tak kochał jak Curt. Ifemelu powiedziała Dike'owi, że zerwała z Curtem.

— Był naprawdę super, kuzyna — powiedział Dike. — Poradzisz sobie?

— Tak, jasne.

Ale chyba wyczuwał, że jest inaczej, wiedział, że Ifemelu jest w stanie lekkiego rozchwiania; prawie co noc leżała w łóżku i płakała, obwiniając siebie za to, co zniszczyła, potem mówiła sobie, że nie ma o co płakać, i płakała dalej. Dike przyniósł jej do pokoju tacę, na której położył banana i puszkę orzeszków.

— Czas na przekąskę! — oznajmił z kpiącym uśmiechem; wciąż nie mógł pojąć, jak ktoś może jeść te dwie rzeczy naraz.

Kiedy Ifemelu jadła, on siedział na łóżku i opowiadał jej o szkole. Grał teraz w koszykówkę, stopnie miał lepsze i podobała mu się dziewczyna o imieniu Autumn.

— Naprawdę się tu zagnieźdzasz.

— Tak — powiedział z uśmiechem, który przypominał jej chłopca, jakim był na Brooklynie, otwartego, ufego.

— Pamiętasz Goku, tę postać z mojej japońskiej animy? — zapytał.

— Tak.

— Z tym afro wyglądasz trochę jak Goku — powiedział Dike ze śmiechem.

Do drzwi zapukał Kweku i dopiero kiedy usłyszał zaproszenie, wsunął głowę.

— Dike, jesteś gotowy? — zapytał.

— Tak, wujku. — Dike wstał. — Do roboty!

— Idziemy do świetlicy, może masz ochotę się przyłączyć? — zapytał Kweku niepewnie, prawie oficjalnie; on też wiedział,

że Ifemelu przeżywa rozstanie. Był drobny i nosił okulary, dżentelmen w ciele dobrego człowieka; Ifemelu go lubiła, ponieważ lubił Dike'a.

— Nie, dziękuję — powiedziała.

Kweku mieszkał w domu niedaleko, ale niektóre jego koszułe wisiły w garderobie cioci Uju, a Ifemelu widziała w jej łazience męski płyn do mycia twarzy, opakowania organicznego jogurtu w lodówce, którego ciocia Uju nie jada. Patrzył na ciocię Uju rozpromienionym wzrokiem, jak mężczyzna, który chce, by świat wiedział, jak mocno kocha. Przypominał Ifemelu Curta, przez co na nowo pogrążała się w tęsknym smutku.

Matka Ifemelu wyczuła coś w jej głosie przez telefon.

— Jesteś chora? Coś się stało?

— Nic mi nie jest. Dużo pracuję — odparła Ifemelu.

Ojciec także wypytywał, czemu zachowuje się inaczej i czy wszystko u niej w porządku.

Zapewniała go, że tak, że dużo czasu poświęca na pisanie bloga; już miała mu wytłumaczyć, na czym to polega, kiedy jej przerwał:

— Wiem, o co chodzi. W biurze przechodzimy intensywne szkolenie komputerowe.

— Przyjęli podanie twojego ojca. Może wziąć urlop w czasie wakacji — powiedziała matka. — Jak najszybciej wystąpimy o wizę.

Ifemelu od dawna marzyła i mówiła o ich przyjeździe. Teraz mogła sobie na to pozwolić, więc jej matka chciała przyjechać, ale Ifemelu wolałaby, żeby stało się to kiedy indziej. Chciała ich zobaczyć, ale na myśl o ich przyjeździe czuła się wyczerpana. Nie była pewna, czy zdoła być ich córką, osobą, którą pamiętali.

— Mamusiu, jestem teraz bardzo zajęta w pracy.

— Aj-aj. Będziemy ci przeszkadzać?

Wysłała więc im zaproszenia, wyciągi z banków, kopię jej zielonej karty.

W amerykańskiej ambasadzie było teraz trochę lepiej; personel nadal był chamski, powiedział jej tato, ale teraz już nie trzeba było walczyć i przepychać się w kolejce na zewnątrz. Dostali wizę na sześć miesięcy. Przyjechali na trzy tygodnie. Wydawali się obcy. Wyglądali tak samo, ale znikła ich godność, którą pamiętała, a jej miejsce zajęło prostackie, prowincjonalne podniecenie. Ojciec zachwycał się przemysłową wykładziną na korytarzach w jej bloku; matka hurtowo kupowała w Kmarcie torby ze sztucznej skóry, zabierała papierowe serwetki z restauracji w centrum handlowym, nawet plastikowe torby na zakupy. Oboje pozowali do zdjęć przed JC Penney, prosząc Ifemelu, żeby ujęła całą nazwę na froncie sklepu. Przyglądała się im ze złośliwym uśmiechem i miała wyrzuty sumienia; tak starannie chroniła swoje o nich wspomnienie, a kiedy ich w końcu zobaczyła, patrzyła na nich z drwiną.

— Nie rozumiem Amerykanów. Mówią „praca”, a ja rozumiem „prasa” — oświadczył

ojciec, literując oba słowa. — Uważam, że brytyjska wymowa jest lepsza.

Przed wyjazdem matka zapytała ją cicho:

— Masz przyjaciela?

Słowo „przyjaciel” wypowiedziała po angielsku; stonowane słowo, którego używali jej rodzice, ponieważ nie mogli skazać języka słowem „chłopak”, chociaż o to właśnie im chodziło; jakąś miłość, perspektywę małżeństwa.

— Nie — odparła Ifemelu. — Jestem bardzo zajęta w pracy.

— Praca jest dobra, Ifem. Ale musisz też mieć oczy otwarte. Pamiętaj, że kobieta jest jak kwiat. Nasz czas szybko przemija.

Wcześniej roześmiałyby się lekceważąco i powiedziała matce, że nie czuje się jak kwiat, ale teraz była zbyt zmęczona, było to dla niej zbyt dużym wysiłkiem. W dniu, w którym wyjechali do Nigerii, osunęła się na łóżko i płakała, nie mogąc się po wstrzymać. Co jest ze mną nie tak, myślała. Odczuwała

ulgę, że rodzice wyjechali i czuła się z tego powodu winna. Po pracy krążyła po centrum Baltimore — bez celu, bez żadnego zainteresowania. Czy to właśnie mieli na

myśli pisarze, pisząc o *ennui*? W leniwe, środowe popołudnie wręczyła swoją rezygnację. Nie zamierzała tego zrobić, ale nagle wydało się jej, że musi, więc napisała list na komputerze i zaniósła go do gabinetu kierownika.

— Robiłaś takie postępy. Czy możemy coś zrobić, żebyś zmieniła zdanie? — zapytał

zaskoczony kierownik.

— To z powodów osobistych, rodzinnych — odparła wymijająco. — Naprawdę jestem wdzięczna za możliwości, jakie mi daliście.

Więc o co chodzi?

Powiadają, że rasa to wymysł, że dwoje czarnych ludzi bardziej różni się od siebie genetycznie niż czarny człowiek od białego. A potem mówią, że czarni chorują na gorszą odmianę raka piersi i częściej mają mięśniaki macicy. Za to biali mają zwłóknienia cystowate i osteoporozę. Więc o co chodzi, panie doktorze? Czy rasa to wymysł, czy nie?

ROZDZIAŁ 33

Blog się rozwijał i wypadły mu mleczne zęby; na przemian ją to zdumiewało i cieszyło, czasem za tym nie nadążała. Liczba jego czytelników rosła, sięgała już tysiący na całym świecie, więc szybko przestała sprawdzać jego status, bo nie chciała wiedzieć, ilu nowych ludzi kliknęło, żeby go w danym dniu przeczytać; bała się tego. Ale też wprawiało ją to w euforię. Kiedy znalazła swój post zacytowany na innej stronie, zarumieniła się z zadowolenia, a mimo to nigdy sobie tego nie wyobrażała, nigdy nie żywiła żadnych określonych ambicji. Przychodziły maile od czytelników, którzy chcieli wspierać jej bloga. Wspierać. To słowo sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej odseparowana od swojego bloga, który stawał się oddzielnym tworem, jaki mógł

rozkwitać lub nie, czasem bez niej, czasem z jej udziałem. Założyła link do rachunku PayPal.

Pojawiły się wpłaty, większość niewielka, ale jedna tak ogromna, że kiedy ją ujrzała, wyrwał się jej dziwny odgłos, ni to westchnienie, ni to krzyk. Wpłaty zaczęły się pojawiać co miesiąc, anonimowe, jak regularna pensja i za każdym razem czuła się speszona, jakby znalazła na ulicy coś wartościowego i zatrzymała dla siebie. Zastanawiała się, czy wpłat dokonywał Curt, tak samo jak była ciekawa, czy śledzi jej bloga i co myślał o tym, że pisała o nim jak o Sexy Byłym Białym. Rozmyślała o tym bez specjalnych emocji; tęskniła za tym, co mogło być, ale nie tęskniła za nim.

Zbyt często sprawdzała swoją pocztę na blogu, jak dziecko, które skwapliwie rozpakowuje prezent, nie do końca przekonane, że chciało go dostać, i czytała zaproszenia na drinki, maile, w których nazywano ją rasistką albo podsuwano pomysły na kolejne posty.

Koleżanka blogerka, która robiła masło do włosów, zapytała, czy nie mogłaby się u niej reklamować i za symbolicznego dolara w prawym górnym rogu swojej strony zamieściła zdjęcie kobiety o bujnych włosach; po kliknięciu wchodziło się na stronę maseł do włosów. Inny czytelnik zaproponował więcej pieniędzy za migoczącą grafikę, która najpierw ukazywała modelkę o smukłej szyi w obcisłej sukience, a potem tę samą modelkę w rozłożystym, miękkim kapeluszu. Po kliknięciu wchodziło się do internetowego butiku. Wkrótce przyszły maile z propozycją reklamy szamponów Pantene i kosmetyków Covergirl. Następnie pojawił się mail od dyrektora nauczania wielokulturowego z liceum w Connecticut, tak oficjalny, że Ifemelu wyobrażała sobie, iż został napisany na ręcznie czerpanym papierze ze srebrną obwódką.

W mailu była prośba o wykład na temat różnorodności. Kolejny mail był od korporacji w Pensylwanii, mniej oficjalny, w którym miejscowy profesor uznał ją za prowokacyjną blogerkę rasową i pytał, czy nie poprowadziłyby dorocznych warsztatów o różnorodności. Redaktor z „Baltimore Living” napisał maila z informacją, że chcieliby o niej napisać w artykule „Dziesięć osób z przyszłością”; zrobili jej zdjęcie obok jej laptopa, z twarzą w cieniu i podpisem

„Bloggerka”. Ilość jej czytelników wzrosła trzykrotnie. Nadchodziły kolejne zaproszenia. Kiedy odbierała telefony, zakładała lepsze spodnie, używała stonowanej szminki i rozmawiała, siedząc wyprostowana przy biurku, ze skrzyżowanymi nogami, mówiąc głosem wyważonym i pewnym.

A mimo to zawsze sztywniała ze strachu, przekonana, iż osoba po drugiej stronie zorientuje się, że tylko udaje taką profesjonalistkę, negocjatorkę warunków, i zobaczy, że tak naprawdę jest bezrobotną osobą, który przez cały dzień paraduje w pomiętej koszuli nocnej i z okrzykiem

„oszustka!” rozłączy się. Ale nowe propozycje nadal się pojawiały. Pokrywali koszty hotelu i podróży, honoraria były różne. Kiedyś pod wpływem impulsu zażądała dwa razy więcej, niż proponowali jej tydzień temu, i była zszokowana, kiedy mężczyzna z Delaware powiedział:

„Tak, możemy się na to zgodzić”.

Większość ludzi, którzy przyszedli na jej pierwszy wykład o różnorodności w małej firmie w Ohio, nosiło adidas. Wszyscy byli biali. Jej prezentacja miała tytuł: „Jak rozmawiać o rasie z kolegami o innym kolorze skóry”. Z kim jednak ci tutaj mieli rozmawiać, skoro wszyscy byli biali? Może woźny był czarny.

— Nie jestem ekspertem, więc nie powołujcie się na mnie — zaczęła, a oni się roześmiali, ciepłym, dodającym odwagi śmiechem, więc pomyślała sobie, że pójdzie dobrze, że niepotrzebnie martwiła się, czy zdoła przemówić do sali pełnej obcych w środku Ohio.

(Przeczytała z lekkim niepokojem, że wciąż istnieją tutaj tak zwane „miasta przed zachodem słońca”, zamieszkałe przez samych białych, które wszyscy czarni musieli opuścić przed zachodem słońca). — Pierwszym krokiem do szczerzej rozmowy o rasizmie jest uświadomienie sobie, że rasizm rasizmowi nierówny — rzekła, a potem przeszła do swojego starannie zaplanowanego wykładu. Na końcu powiedziała „dziękuję”, zadowolona, że tak płynnie jej poszło, i zobaczyła, że otaczają ją kamienne twarze. Drętwe oklaski sprawiły jej

zawód. Później, już tylko w towarzystwie kierownika kadr, piła w sali konferencyjnej przesłodzoną, mrożoną herbatę i rozmawiała z nim o piłce nożnej, bo kierownik wiedział, że Nigeria nieźle gra. Miała wrażenie, jakby chciał rozmawiać o czymkolwiek, byle nie o jej wykładzie. Wieczorem dostała maila: „TWÓJ WYKŁAD TO BZDURY. JESTEŚ RASISTKĄ. POWINNAŚ SIĘ CIESZYĆ, ŻE WPUŚCILI CIĘ DO TEGO KRAJU”.

Mail, napisany wielkimi literami, był dla niej objawieniem. Warsztaty na temat różnorodności czy wykłady wielokulturowe nie miały na celu żadnych zmian, służyły jedynie temu, żeby ludzie poczuli się lepiej. Nie interesowało ich, co chciała im przekazać; chcieli tylko, żeby się u nich pojawiła. Nie czytała jej bloga, ale słyszeli, że jest „czołową blogerką” na temat rasy. Wobec tego, w następnych tygodniach, kiedy coraz częściej występowała w szkołach i firmach, zaczęła mówić to, co chcieli usłyszeć, a czego nigdy nie napisałaby w swoim blogu, ponieważ wiedziała, że ludzie, którzy czytają jej bloga, to nie ci sami, którzy chodzą na warsztaty o różnorodności. Na wykładach mówiła: „Ameryka zrobiła wielki postęp, z którego powinniśmy być bardzo dumni”. W blogu pisała: „Rasizm nigdy nie powinien się być zdarzyć, więc nie dam wam cukierka za to, że chcecie go zmniejszyć”. Wciąż pojawiały się nowe zaproszenia.

Zatrudniła stażystkę, amerykańską Haitankę, studentkę z włosami elegancko pofalowanymi, która świetnie poruszała się po internecie, wyszukując informacje, których Ifemelu potrzebowała, i usuwając niepożądane komentarze niemal natychmiast po ich pojawieniu się.

Ifemelu kupiła małe mieszkanie. Była zdumiona, kiedy w gazecie, w dziale nieruchomości, zobaczyła ceny i zorientowała się, że stać ją na wpłacenie zaliczki gotówką.

Kiedy podpisywała się własnym nazwiskiem w rubryce „właściciel”, ogarnęło ją przerażające uczucie, że nagle stała się dorosła, ale też niewielkie zdumienie, że stało się to możliwe dzięki blogowi. Jedną z sypialni przerobiła na gabinet i pisała w nim, często stojąc przy oknie, z którego rozciągał się widok na jej nową dzielnicę Roland Park, w której domy stały

ocienione rzędami drzew. Z zaskoczeniem odkrywała, które wpisy spotykały się z zainteresowaniem, a na które prawie nikt nie klikał. Post o próbach randkowania online „Co ma z tym wspólnego miłość?”

wciąż miał nowe komentarze, przyciągał je nawet jeszcze po wielu miesiącach.

Wciąż źle się czuję po zerwaniu z Sexy Białym Byłym, bez ochoty na podryw w barze, więc zapisałam się do portalu randkowego. Przejrzałam mnóstwo profili. A oto, w czym rzecz.

W kategorii, w której wybieramy interesującą nas grupę etniczną. Biali mężczyźni zaznaczają białe kobiety, co odważniejsi Azjatki i Latynoski. Latynosi zaznaczają białe i Latynoski; tylko czarni mężczyźni zaznaczają „wszystkie”, ale są i tacy, którzy w ogóle nie zaznaczają „czarne”.

Zaznaczają białe, Azjatki, Latynoski. Nie czułam miłości. Zresztą co ma miłość wspólnego z tym całym zaznaczaniem? Można wejść do sklepu, wpaść na kogoś i zakochać się, i ten ktoś wcale

nie musi należeć do rasy, którą się zaznaczyło. Więc kiedy sobie wszystko obejrzałam, zrezygnowałam z członkostwa, szczęśliwie jeszcze w okresie próbnym, więc dostałam zwrot kasy i od teraz będę na ślepo wchodzić do sklepu.

Komentarze nadesłali ludzie z podobnymi doświadczeniami i ludzie, którzy mówili, że się myli; dostała je od mężczyzn, którzy prosili, żeby zamieściła swoje zdjęcie, od czarnych kobiet, którym poszczęściło się w randkowaniu online, od ludzi rozgniewanych albo podekscytowanych.

Niektóre komentarze śmieszyły, ponieważ były kompletnie nie na temat. „Och, pieprz się”, napisał ktoś. „Czarnym wszystko przychodzi łatwo. W tym kraju nic ci się nie należy, chyba że jesteś czarny. Czarne kobiety mogą nawet ważyć więcej.” Jej powracający post, „Piątkowy miszmasz”, mieszanina różnych uwag i spostrzeżeń, cieszył się największym zainteresowaniem i dostawał najwięcej komentarzy. Czasami pisała jakiś post, oczekując ordynarnych odpowiedzi, z żołądkiem ściśniętym ze strachu i podniecenia, ale komentarze były nieciekawe. Teraz,

kiedy dostawała zaproszenia, żeby zabrać głos przy okrągłych stołach, na spotkaniach panelowych, w publicznym albo lokalnym radiu, zawsze występując tylko jako „Bloggerka”, czuła, że jej własny blog ją umniejsza. Zdarzało się, że leżała bezsennie w nocy i ze szpar wypełzał niepokój, a wielu czytelników bloga zamieniało się w jej umyśle w krytyczny, rozgniewany tłum, który na nią czyha, czeka na odpowiedni moment, żeby ją zaatakować, zdemaskować.

Otwarta groźba: do wszystkich zamkniętych w sobie czarnuchów To dotyczy wszystkich zamkniętych w sobie czarnuchów, pnących się po szczeblach drabiny społecznej amerykańskich i nieamerykańskich czarnych, którzy nie mówią o swoich życiowych doświadczeniach, wynikających wyłącznie z tego, że są czarni. Ponieważ chcą, żeby wszyscy byli zadowoleni. Opowiedzcie tu swoją historię. Otwórzcie się. To bezpieczna strefa.

ROZDZIAŁ 34

Blog sprowadził do jej życia Blaine’a. Na konwencji „Blogowania Brązowych”

w Waszyngtonie, pierwszego dnia, kiedy wszyscy się poznawali i witali, w hotelowym foyer pełnym ludzi mówiących nerwowo radosnymi głosami, w czasie rozmowy z blogerką makijażową, szczupłą meksykańską Amerykanką z neonowym cieniem na powiekach, podniosła wzrok i jednocześnie zamarła i zadygotała, bo zaledwie kilka kroków od niej, w małym kółku ludzi stał Blaine. Nie zmienił się, poza okularami w czarnych oprawkach. Dokładnie tak go zapamiętała z pociągu: wysokiego, o swobodnych ruchach. Bloggerka mówiła o firmach kosmetycznych, które zawsze przysyłają darmowe próbki Bellachicanie, o tym, czy to etyczne, a Ifemelu przytakiwała, ale tak naprawdę zdawała sobie sprawę wyłącznie z obecności Blaine’a, z tego, jak odłącza się od swoich rozmówców i podchodzi do niej.

— Cześć — powiedział, zerkając na jej tabliczkę z nazwiskiem. — Więc to ty jesteś Nieamerykańską Czarną? Uwielbiam twój blog.

— Dziękuję — powiedziała.

Nie pamiętał jej. Czemu jednak miało być inaczej? Tyle czasu minęło od ich spotkania w pociągu, a wtedy jeszcze żadne z nich nie miało pojęcia, co to znaczy „blog”. Byłby rozbawiony, gdyby wiedział, jak go idealizowała, jak stał się człowiekiem nie z krwi i kości, ale z kryształków doskonałości, amerykańskim mężczyzną, który nigdy nie będzie jej. Obrócił się, żeby przywitać się z blogerką piszącą o makijażu i na jego plakietce zobaczyła, że pisze bloga o „skrzyżowaniu kultury akademickiej i popularnej”.

Znowu zwrócił się do niej:

— Dalej lubisz odwiedzać centra handlowe w Connecticut? Bo ja wciąż hoduję własną bawełnę.

Przez chwilę nie mogła oddychać, a potem się roześmiała, przyprawiającym o zawrót głowy, porywającym śmiechem, ponieważ jej życie stało się uroczym filmem, w którym ludzie na nowo się odnajdują.

— Pamiętałeś!

— Obserwowałem cię z drugiego końca sali. Nie mogłem uwierzyć, kiedy cię zobaczyłem.

— O mój Boże, ile to lat? Dziesięć?

— Coś koło tego. Osiem?

— Nigdy nie oddzwoniłeś — powiedziała.

— Byłem w związku. Już wtedy się nam nie układało, ale przetrwaliśmy dłużej, niż powinniśmy.

Przerwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz, który potem tak dobrze znała, cnotliwie zmrużone oczy, które świadczyły o prawości właściciela.

Nastąpiła wymiana maili i telefonów między Baltimore i New Haven, żartobliwe komentarze na blogach, poważne flirtowanie w czasie nocnych rozmów przez telefon, aż pewnego zimowego dnia zjawił się przed jej drzwiami, z rękami w kieszeniach szarej kurtki i wyglądającymi jak magiczny pył płatkami śniegu na kołnierzu. Gotowała ryż kokosowy, w mieszkaniu pachniało przyprawami, na blacie stała butelka taniego merlota i głośno śpiewała Nina Simone z

CD. Piosenka *Nie zrozum mnie źle* przeprowadziła ich już kilka minut po jego przyjsciu od flirtujących znajomych do kochanków w jej łóżku. Później oparł się na łokciu i patrzył na nią. Jego szczupłe ciało miało w sobie coś płynnego, niemal zniewieściałego i wtedy

przypomniała sobie, jak mówił jej, że ćwiczy jogę. Może potrafił stanąć na głowie, przyjąc jakąś akrobatyczną pozycję. Kiedy mieszała ryż, teraz już zimny, z kokosowym sosem, powiedziała mu, że gotowanie ją nudzi i że kupiła te wszystkie przyprawy zaledwie dzień wcześniej i gotowała, bo miał przyjść z wizytą. Wyobrażała sobie ich oboje z imbirem na ustach, żółtym curry, który zlizuje z jej ciała, zmiażdżonymi pod nimi liśćmi laurowymi, ale zamiast tego zachowali się bardzo rozsądnie, najpierw całowali się w salonie, potem poszli do sypialni.

— Powinniśmy to zrobić bardziej nieprawdopodobnie — powiedziała.

Roześmiał się.

— Lubię gotować, więc jeszcze będziemy mieli okazję na nieprawdopodobne.

Ale wiedziała, że nie jest człowiekiem, który robi nieprawdopodobne rzeczy. Nie, kiedy tak wolno, z kliniczną koncentracją zakładał kondom. Później, kiedy dowiedziała się o listach, które pisał do Kongresu w sprawie Darfuru, o nastolatkach, których douczał w liceum w Dixwell, o schronisku, w którym pracował ochotniczo, zaczęła myśleć, że nie jest kimś, kto ma normalny kręgosłup, lecz twardą trzcinę dobroci.

Było tak, jakby dzięki ich spotkaniu w pociągu lata temu mogli pominąć kilka etapów, zignorować pewne niewiadome i od razu przejść do bliskiej zażyłości. Po jego pierwszej wizycie pojechała z nim do New Haven. Tamtej zimy zdarzały się tygodnie, zimne i słoneczne, kiedy New Haven wydawało się emanować światłem od wewnątrz, zmrożony śnieg oblepiał krzewy, a świat, w którym zdawali się być tylko ona i Blaine, przesycony był świąteczną atmosferą.

Chodzili na humus do restauracji z falafelami przy Howe Street i godzinami przesiadywali w ciemnym kącie, aż w końcu wyłaniali się z językami szczypiącymi od czosnku. Albo ona spotykała się z nim w bibliotece po jego zajęciach, gdzie siadali w kafejce, pili czekoladę, która była za gęsta, jedli croissanty z pełnego ziarna, które były zbyt ziarniste, ze stosikiem jego książek na stole. On gotował organiczne warzywa i ziarna, których nazw nie umiała wymówić —

bulgur, komosa — i w czasie gotowania natychmiast sprzątał, kropla sosu pomidorowego znikwała równie szybko, jak się pojawiła, rozlana woda natychmiast była wytarta. Przerazał ją opowieściami o chemikaliach używanych do spryskiwania zbóż, chemikaliach używanych do karmienia kurczaków, żeby szybciej rosły, i chemikaliach, dzięki którym owoce miały idealną skórkę. Dlaczego według niej ludzie umierali na raka? Dlatego zanim zjadła jabłko, szorowała je w zlewie, mimo że Blaine kupował wyłącznie organiczne owoce. Tłumaczył jej, które zboża zawierają białko, w których warzywach jest karoten, które owoce mają za dużo cukru. Znał się na wszystkim; przerazało ją to i była z tego dumna, ale też odrobinę ją to raziło. Drobne domowe sprawy dzielone z nim, w jego mieszkaniu na dwudziestym piętrze wieżowca obok kampusu nabierały powagi i znaczenia — sposób, w jaki przyglądał się, kiedy po wieczornym prysznicu nawilżała włosy masłem shea, gwizdzący odgłos zmywarki, kiedy się ją włączało —

i wyobrażała sobie dziecinne łóżeczko w sypialni, w nim dziecko, i Blaine'a, starannie miksującego organiczne owoce dla dziecka. Człowiek tak zdyscyplinowany byłby idealnym ojcem.

— Nie mogę jeść tempehu. Nie pojmuję, jak ci to może smakować — powiedziała mu.

— Nie smakuje.

— To dlaczego jesz?

— Bo to zdrowe.

Codziennie rano biegał, wieczorem czyścił zęby nitką. Był dla niej taki amerykański, używający nitki dentystycznej,

mechanicznie przesuwając ją między zębami, nieelegancko i skutecznie.

— Powinnaś codziennie czyścić zęby nitką — powiedział jej.

Więc zaczęła; zaczęła też robić inne rzeczy w ślad za nim — chodzić na siłownię, jeść więcej protein niż węglowodanów — i robiła to z pełnym wdzięczności oddaniem, ponieważ dzięki temu była lepsza. Był jak dobroczynny tonik; przy nim mogła tylko osiągnąć wyższy poziom dobroci.

Odwiedziła go najbliższa przyjaciółka, Araminta, i serdecznie uściskała Ifemelu, jakby znały się już wcześniej.

— Od zerwania z Paulą, Blaine nie spotykał się w zasadzie z nikim. A teraz jest z siostrą, i to na dodatek z czekoladową siostrą. Robimy postępy! — powiedziała Araminta.

— Mint, daj spokój — rzekł Blaine, ale uśmiechał się.

Fakt, że miał za przyjaciółkę architektkę, kobietę z długimi, prostymi włosami, która nosiła wysokie obcasy i obcisłe jeansy, mówił o Blainie coś, co się Ifemelu podobało.

— Blaine i ja dorastaliśmy razem. W liceum byliśmy jedynymi czarnymi dziećmi w klasie. Wszyscy chcieli, żebyśmy ze sobą chodzili, no bo wiesz, uważali, że dwójka czarnych dzieciaków powinna być ze sobą, ale on nie był w moim typie — powiedziała Araminta.

— Akurat — rzekł Blaine.

— Ifemelu, chcę ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że nie jesteś uczoną. Słyszałaś, jak rozmawiają jego znajomi? Nic nie jest tym, czym jest. Wszystko musi znaczyć coś innego. To idiotyczne. Kiedyś Marcia mówiła, że czarne kobiety są otyłe, bo ich ciała są elementem oporu przeciwko niewolnictwu. To prawda, pod warunkiem że burgery i napoje gazowane są też takim oporem.

— Każdy jest w stanie przejrzeć tę całą antyintelektualną pozę. Panna Drinki w Harvard Club — powiedział Blaine.

— Daj spokój. Porządne wykształcenie to nie to samo, co konieczność tłumaczenia całego cholernego świata! Nawet

Shan się z was nabija. Świetnie przedrzeźnia ciebie i Grace:

„formacja kanonu i topografia przestrzennej i historycznej świadomości”. — Araminta zwróciła się do Ifemelu: — Nie poznałaś jeszcze jego siostry Shan?

— Nie.

Później, kiedy Blaine poszedł do sypialni, Araminta powiedziała:

— Shan to bardzo ciekawa osoba. Nie traktuj jej zbyt serio, kiedy się poznacie.

— To znaczy?

— Jest wspaniała, bardzo uwodzicielska, ale jeśli cię urazi czy coś w tym stylu, nie bierz tego do siebie, ona po prostu taka jest. — A potem dodała, już ciszej: — Blaine to porządny facet, naprawdę porządny.

— Wiem.

Ifemelu wyczuła w słowach Araminty coś jakby ostrzeżenie albo prośbę.

Po miesiącu Blaine poprosił, żeby się do niego wprowadziła, ale minął rok, zanim to zrobiła, mimo że już wtedy większość czasu spędzała w New Haven, miała kartę Yale na siłownię jako partnerka profesora i swoje blogi pisała w jego mieszkaniu, przy biurku ustawionym dla niej pod oknem w sypialni. Z początku, zachwycona jego zainteresowaniem, pod wrażeniem jego inteligencji, pozwalała mu czytać swoje posty, zanim je zamieściła. Nie prosiła, żeby je redagował, ale z wolna zaczęła dokonywać zmian, dodawać coś albo usuwać pod wpływem jego sugestii. Potem zaczęło ją to denerwować. Jej posty brzmiały zbyt naukowo, były zbyt w jego stylu. Napisała post o dzielnicach w centrach miast — „Dlaczego najciemniejsze, najbardziej ponure części amerykańskich miast są pełne amerykańskich czarnych?” — a on

powiedział jej, żeby napisała o polityce rządu dotyczącej zmian dystryktów. Posłuchała go, ale po przeczytaniu wszystko usunęła.

— Nie chcę tłumaczyć. Chcę obserwować — powiedziała.

— Pamiętaj, że ludzie nie czytają cię dla rozrywki, czytają cię dla komentarzy kulturowych. To prawdziwa odpowiedzialność. Studenci w college'ach piszą prace o twoim blogu — powiedział. — Nie mówię, żebyś pisała naukowo albo nudno. Trzymaj się swojego stylu, ale dodaj głębie.

— To, co piszę, jest wystarczająco głębokie — odparła zirytowana, jednak z przeczcuciem, że ma rację.

— Lenisz się, Ifem.

Często używał słowa „lenić się” w odniesieniu do studentów, którzy nie oddawali na czas prac, czarnych celebrytów, którzy nie byli politycznie aktywni, idei, które nie zgadzały się z jego.

Czasem czuła się jak jego uczeń; kiedy zwiedzali muzeum, przystawał przed malarstwem abstrakcyjnym, które ją nudziło, a ona przechodziła do wyrazistych rzeźb albo malarstwa naturalistycznego i w jego sztywnym uśmiechu wyczuwała dezaprobatę, że jeszcze nie dość się od niego nauczyła. Kiedy puszczał coś ze swojej kompletnej kolekcji Johna Coltrane'a, obserwował ją, jak słuchała, czekając na wybuch, którego się spodziewał, a kiedy nie dawała się porwać, odwracał wzrok. Napisała w blogu o dwóch powieściach, które uwielbiała, Ann Petry i Gayl Jones, a Blaine stwierdził: „Nie przekraczają granic”. Mówił łagodnie, jakby nie chciał jej zrobić przykrości, ale swoje i tak musiał powiedzieć. Miał zdecydowane poglądy, tak dokładnie przemyślane i w pełni ukształtowane, że czasem był zdziwiony, iż ona również nie doszła do podobnych wniosków. Czuła się zawsze o jeden krok za tym, w co wierzył i co wiedział, i bardzo chciała mu dorównać, zafascynowana jego przekonaniem o własnej słuszności. Raz szli Elm Street, żeby zjeść kanapkę, i zobaczyli pulchną, czarną kobietę, nieodłączny element kampusu: zawsze stała niedaleko kawiarni, w wełnianej czapce wciśniętej na głowę i proponowała przechodniom plastikowe róże. „Ma pan jakieś drobne?”, mówiła. Podeszło do niej dwóch studentów i po chwili jeden dał jej cappuccino w wysokim, papierowym kubku. Kobieta była zachwycona; odchyliła głowę do tyłu i napiła się.

— Coś obrzydliwego — powiedział Blaine, kiedy przechodzili obok.

— Rzeczywiście — odparła Ifemelu, chociaż nie rozumiała, dlaczego tak się zdenerwował widokiem bezdomnej kobiety i cappuccino, które dostała.

Kilka tygodni wcześniej w sklepie spożywczym stała za nimi w kolejce biała kobieta.

— Ma pani takie piękne włosy, mogę ich dotknąć? — powiedziała, a Ifemelu się zgodziła.

Kobieta zanurzyła palce w jej afro. Ifemelu wyczuła napięcie Blaine'a, zauważyła, jak pulsują mu skronie.

— Jak mogłaś jej na to pozwolić? — zapytał później.

— A czemu nie? Skąd by wiedziała, jakie są w dotyku moje włosy? Prawdopodobnie nie zna żadnych czarnych.

— I dlatego masz być królikiem doświadczalnym? — zapytał Blaine.

Oczekiwał, że będzie czuła to samo, co on, ale ona nie wiedziała, jak ma się czuć. Istniały w nim rzeczy, których nie potrafiła zgłębić. W towarzystwie jego bliskich przyjaciół często czuła się zagubiona. Byli młodzieńczy, dobrze ubrani i szlachetni, w ich zdaniach pojawiała się mnóstwo „w pewnym sensie” i „sposób, w który”; co czwartek spotykali się w barze, czasem ktoś zapraszał na kolację, a Ifemelu przeważnie słuchała, odzywając się niewiele, i patrzyła na nich niepewna, czy mówią poważnie, kiedy tak się denerwują, że importowane warzywa dojrzewają w ciężarówkach. Chcieli położyć kres pracy dzieci w Afryce. Nie kupowali ubrań wyprodukowanych przez źle opłacanych robotników w Azji. Patrzyli na świat z niepraktyczną, oświeconą żarliwością, która ją poruszała, ale nie była dla niej przekonująca. W ich towarzystwie Blaine odwoływał się do obcych jej rzeczy i wydawał się odległy, jakby należał do nich, a kiedy wreszcie na nią spojrział, ciepłymi, pełnymi miłości oczami, odczuwała ulgę.

Powiedziała rodzicom o Blainie, że przeprowadza się z Baltimore do New Haven, do niego. Mogła skłamać, zmyślić, że ma jakąś pracę albo że zwyczajnie się przeprowadza.

— Ma na imię Blaine — powiedziała. — Jest Amerykaninem.

Dosłyszała symbolizm we własnych słowach, pokonujących tysiące mil do Nigerii, i wiedziała, że jej rodzice zrozumieją. Ona i Blaine nie rozmawiali o małżeństwie, ale pod stopami czuła pewny grunt. Chciała, żeby rodzice o nim wiedzieli, o jego dobroci. Właśnie tymi słowami najczęściej go określała: „jest dobry”.

— Amerykański Murzyn? — zapytał ojciec skonsternowany.

Ifemelu wybuchła śmiechem.

— Tatusiu, już się nie mówi „Murzyn”.

— Ale czemu Murzyn? Czyżby występował znaczący brak Nigeryjczyków?

Wciąż rozbawiona, zignorowała go i poprosiła, żeby dał do telefonu mamę. Ignorując go w ten sposób, nawet mówiąc mu, że wprowadza się do mężczyzny, którego nie jest żoną, zachowywała się w sposób, w jaki mogła sobie pozwolić wyłącznie dlatego, że mieszkała w Ameryce. Reguły się zmieniły, pojawiły się na nich rysy i pęknięcia spowodowane odległością i życiem na obczyźnie.

— Jest chrześcijaninem? — zapytała matka.

— Nie. Jest wyznawcą szatana.

— Na krew Jezusa! — wrzasnęła matka.

— Mamusiu, tak, jest chrześcijaninem.

— W takim razie żaden problem — powiedziała matka. — Kiedy przyjedzie się przedstawić? Możemy to tak zaplanować, żeby wszystko odbyło się w jednym czasie: pukanie do drzwi, zapłata za pannę młodą, przyniesienia wina... będzie mniej kosztować i nie będzie musiał

wyjeżdżać i przyjeżdżać. Ameryka jest tak daleko...

— Mamusiu, proszę, na razie jeszcze się nie śpieszymy.

Wciąż rozbawiona, Ifemelu rozłączyła się i postanowiła zmienić tytuł swojego bloga na

„Szczypta rasowości albo spostrzeżenia czarnej nie-Amerykanki na temat czarnych Amerykanów (dawniej znanych jako czarnuchy)”.

Poszukujemy kandydata na stanowisko:

główny arbiter narodowy w kwestii „Kto jest rasistą?”

W Ameryce rasizm istnieje, ale rasistów już nie ma. Rasiści należą do przeszłości. Rasiści to podli biali ludzie o wąskich wargach z filmów o czasach walki o prawa obywatelskie. Oto w czym rzecz: przejawy rasizmu się zmieniły, ale język pozostał ten sam. Skoro więc nikogo się nie zlinczowało, nie jest się rasistą. Ktoś, kto nie jest potworem krwiopijcą, nie może być rasistą.

Ktoś musi się zdobyć na odwagę i powiedzieć, że rasiści to żadne potwory. To są ludzie z kochającymi rodzinami, zwykli obywatele, którzy płacą podatki. Trzeba stworzyć stanowisko pracy dla kogoś, kto będzie decydował, kto jest rasistą, a kto nie. A może zwyczajnie nadeszła pora, żeby usunąć słowo „rasista” ze słownika. Znaleźć jakieś nowe określenie. Na przykład Syndrom Zaburzenia Rasowego. I ustalić różne kategorie jego natężenia: łagodny, średni i ostry.

ROZDZIAŁ 35

Którejś nocy Ifemelu obudziła się, żeby pójść do łazienki, i usłyszała, że Blaine rozmawia przez telefon w salonie, łagodnym, kojącym tonem.

— Przepraszam, obudziłem cię? Dzwoniła moja siostra, Shan — powiedział, kiedy wrócił

do łóżka. — Jest w Nowym Jorku, przyjechała z Francji. Właśnie mają wydać jej pierwszą książkę i jest trochę rozstrojona — przerwał. — Po raz kolejny. Shan często się to zdarza.

Pojedziesz ze mną do niej w ten weekend?

— Jasne. Przypomnij mi, czym ona się zajmuje?

— Czy się zajmuje Shan? Kiedyś pracowała w wielkim funduszu hedgingowym. Potem odeszła i podróżowała po całym świecie, trochę bawiła się w dziennikarstwo. Poznała jednego Haitańczyka i zamieszkała z nim w Paryżu. A potem on zachorował i umarł. To się stało bardzo szybko. Jakiś czas jeszcze tam została, ale nawet jak już postanowiła, że wraca do Stanów, zatrzymała mieszkanie w Paryżu. Ma teraz nowego faceta, Ovidio, są razem od jakiegoś roku. To jej pierwszy poważny związek od śmierci Jerry’ego. Całkiem porządny gość. W tym tygodniu ma jakieś zlecenie w Kaliforni, więc Shan jest sama. Uwielbia organizować spotkania, nazywa je salonami. Ma niesamowitą grupę przyjaciół, głównie artystów, muzyków i pisarzy; zbierają się u niej, żeby sobie porządnie porozmawiać. — Umilkł na chwilę. — To naprawdę wyjątkowa osoba.

Kiedy Shan weszła do pokoju, wyssała z niego całe powietrze. Nie oddychała głęboko; nie musiała: powietrze zwyczajnie płynęło do niej, przyciągane jej wrodzonym autorytetem, aż nic nie zostawało dla innych. Ifemelu wyobrażała sobie pozbawione powietrza dzieciństwo Blaine’a, który biega za Shan, pragnąc zrobić na niej wrażenie, przypomnieć jej o swoim istnieniu. Nawet teraz, już jako dorosły, wciąż był małym braciszkiem pełnym rozpaczliwej miłości, zabiegającym o uznanie, który boi się, że nigdy na nie nie zasłuży. Przyjechali do mieszkania Shan wczesnym popołudniem i Blaine przystanął, żeby pogawędzić z odźwiernym, jak wcześniej gawędził z taksówkarzem, który wiozł ich z Penn Station, w ten niewymuszony sposób, w jaki zaskarbiał sobie przyjaźń woźnych, sprzątaczek i kierowców autobusów.

Wiedział, jak dużo zarabiają, ile pracują godzin; wiedział, że nie mają ubezpieczenia zdrowotnego.

— Hej, Jorge, co słychać?

Blaine wymawiał jego imię po hiszpańsku: *Hor-he*.

— Obleci. A co u pana studentów w Yale? — zapytał odźwierny, zadowolony ze spotkania i zadowolony, że Blaine

wykłada w Yale.

— Jak zwykle doprowadzają mnie do szafu — powiedział Blaine. A potem wskazał na stojącą przy windzie tyłem do nich kobietę z matą do jogi. — O, jest Shan.

Była drobna i śliczna, z owalną twarzą, wysokimi kośćmi policzkowymi, wyniosłą miną.

— Cześć — powiedziała i uścisnęła Blaine'a, ani razu nie patrząc przy tym na Ifemelu. —

Tak się cieszę, że poszłam na zajęcia z pilatesu. Zapominają o nas, kiedy my zapominamy o nich.

Biegałeś dzisiaj?

— Tak.

— Właśnie znowu rozmawiałam z Davidem. Mówi, że wieczorem przyśle mi inne okładki. W końcu chyba zaczynają mnie słuchać.

Przewróciła oczami. Drzwi windy otworzyły się i Shan weszła pierwsza, wciąż rozmawiając z Blain'em, który był skrępowany, jakby czekał na okazję, kiedy będzie mógł dokonać prezentacji, a której Shan najwyraźniej nie miała ochoty mu dać.

— Dyrektorka marketingu dzwoniła do mnie rano. Zachowywała się z tą trudną do zniesienia uprzejmością, która jest gorsza od chamstwa, rozumiesz? I mówi mi, że księgarnie już są zachwycone okładką i ple, ple, ple. To idiotyczne — powiedziała Shan.

— To instynkt stadny korporacji wydawniczych. Wszyscy robią to samo, co inni — rzekł

Blaine.

Winda zatrzymała się na piętrze Shan, która dopiero wtedy zwróciła się do Ifemelu:

— Och, wybacz. Jestem taka zdenerwowana — powiedziała.
— Cieszę się, że mogę cię poznać. Blaine bez przerwy o tobie mówi. — Popatrzyła na Ifemelu, otwarcie taksującym

wzrokiem, w którym nie było śladu zażenowania tym, że jest taki otwarcie taksujący. — Jesteś bardzo ładna.

— To ty jesteś bardzo ładna — powiedziała Ifemelu, ku zaskoczeniu samej siebie, ponieważ zwykle by czegoś takiego nie powiedziała, ale Shan już przejęła nad nią kontrolę; komplement sprawił jej dziwną przyjemność. Shan jest wyjątkowa, powiedział Blaine i teraz Ifemelu zrozumiała, co miał na myśli. Shan roztaczała aurę osoby, która była w jakiś sposób wybrana. Bogowie ją nazaczyli. Kiedy robiła zwykle rzeczy, od razu stawały się enigmatyczne.

— Podoba ci się ten pokój? — Shan zapytała Ifemelu, zataczając ręką krąg, którym obejmowała efektowne umeblowanie: czerwony chodnik, niebieską kanapę, pomarańczową kanapę, zielony fotel.

— Domyślam się, że ma coś oznaczać, ale nie wiem co.

Shan roześmiała się krótko i przerywanie, jakby przedwcześnie ucinając dźwięki, jakby miały trwać dłużej, ale nie trwały, a ponieważ tylko się śmiała, Ifemelu dodała:

— Jest interesujący.

— Tak, in-te-re-su-ją-cy.

Shan stanęła przy stole i położyła na nim nogę, po czym nachyliła się, żeby złapać stopę.

Jej ciało składało się z pełnych wdzięku drobnych zaokrągleń, pośladków, piersi, łydek, a jej ruchy zdradzały przekonanie, że słusznie została wybrana; mogła rozciągać nogę wspartą na stole, kiedy jej się tylko podobało, nawet przyjmując w swoim mieszkaniu gości.

— Blaine pokazał mi „Szczyptę rasowości”. Wspaniały blog — powiedziała.

— Dziękuję — odparła Ifemelu.

— Mam przyjaciela Nigeryjczyka, który jest pisarzem. Znasz Kelechiego Garubę?

— Czytałam jego książki.

— Rozmawialiśmy kiedyś o twoim blogu i powiedział, że nieamerykańska czarna musi być Jamajką, ponieważ Afrykańczycy nie przejmują się rasą. Będzie w szoku, kiedy cię pozna!

Shan umilkła, żeby zmienić nogę i nachylić się, by złapać drugą stopę.

— Zawsze histeryzuje, że jego książki się nie sprzedają. Mówiłam mu, żeby pisał

okropne rzeczy o swoich ludziach, jeśli chce, żeby się sprzedawały. Musi mówić, że Afrykańczycy mogą mieć pretensje tylko do siebie za swoje afrykańskie problemy, a Europejczycy pomogli Afryce bardziej, niż jej zaszkodzili, i stanie się sławny, a ludzie będą mówić, że jest szczery!

Ifemelu się roześmiała.

— Interesujące zdjęcie — powiedziała pokazując fotografię na bocznym stoliku, na której Shan wysoko nad głową trzyma dwie butelki szampana, a wokół niej stoją obszarpane, uśmiechnięte, brązowe dzieci, chyba gdzieś w południowoamerykańskich slumsach, na tle połatanych, metalowych ścian jakiejś rudery. — Chodzi mi o to, że interesujące dosłownie.

— Ovidio nie chciał, żebym je pokazywała, ale ja się uparłam. Ma być ironiczne, to chyba jasne.

Ifemelu wyobraziła sobie, jak Shan się upiera jednym zdaniem, którego nie musi powtarzać i którym natychmiast miażdży Ovidia.

— Często jeździsz do domu do Nigerii? — zapytała Shan.

— Nie. Nie byłam w domu, odkąd przyjechałam do Stanów.

— Dlaczego?

— Najpierw nie miałam za co. Potem pracowałam i jakoś ciągle nie miałam czasu.

Shan stała teraz twarzą do niej, wymachując w tył rozłożonymi jak skrzydła ramionami.

— Nigeryjczycy mówią o nas *acata*, prawda? Co znaczy dzikie zwierzę?

— Nie wiem, czy to znaczy dzikie zwierzę, naprawdę w ogóle nie wiem, co to znaczy; ja tak nie mówię. — Ifemelu spostrzegła, że się jąka.

To była prawda, jednak pod bezpośrednim spojrzeniem Shan czuła się winna. Shan emanowała siłą, delikatną i niszczącą.

— Drinki! — wykrzyknęła Shan z dziecinnym zachwytem, biorąc od Blaine'a szklankę.

— Granat, woda gazowana i odrobina żurawiny — powiedział Blaine, wręczając Ifemelu drugą szklankę. — Kiedy organizujesz kolejny salon, Shan? Opowiadałem o nich Ifemelu.

Kiedy Blaine opowiadał Ifemelu o spotkaniach u Shan, nazywając je „salonami”, mówił

to z lekką kpina, ale teraz powiedział to ze szczerą francuską wymową: *sa-lon*.

— Och, chyba niedługo.

Shan wzruszyła ramionami, lekko i bezceremonialnie, napiła się ze swojej szklanki, a potem nachyliła się w skłonie, jak drzewo zgięte podmuchem wiatru.

Zadzwoiła komórka Shan.

— Gdzie ja dałam ten telefon? To na pewno David.

Telefon leżał na stole.

— Och, dzwoni Luc. Później do niego oddzwonię.

— Kim jest Luc? — zapytał Blaine, wracając z kuchni.

— Francuz, bogaty facet. Jest zabawny. Poznałam go na lotnisku, słowo daję. Mówię mu, że mam chłopaka, a on na to: „W takim razie będę cię wielbił z daleka i zyskiwał na czasie”.

Naprawdę powiedział „zyskiwał”. — Shan się napiła. — To miłe, że w Europie biali mężczyźni patrzą na nas jak na kobietę, nie na czarną kobietę. Na razie nie mam ochoty się z

nim spotykać, do licha, nie, ale chcę wiedzieć, że taka możliwość istnieje.

Blaine kiwał głową, zgadzał się. Gdyby ktokolwiek inny powiedział to, co Shan, natychmiast zacząłby analizować każde słowo, doszukiwać się niuansów, nie zgodziłby się z ich spektrum, uproszczeniem. Kiedyś oglądali razem doniesienie o rozwodzie celebryckiej pary i Ifemelu powiedziała mu, że nie rozumie bezpośrednio, pozbawionej niedomówień szczerości, której Amerykanie żądają od swoich związków.

— O co ci chodzi? — zapytał, a ona natychmiast wyczuła w jego głosie zapowiedź

sprzeciwu; on też wierzył w bezpośrednią, pozbawioną niedomówień szczerość.

— Ja to widzę inaczej, pewnie dlatego, że jestem z Trzeciego Świata — powiedziała. —

Dziecko Trzeciego Świata musi mieć świadomość wielu różnych składowych i rozumieć, że szczerość i prawda zależą od kontekstu. — Czowała się bardzo mądra, że tak sprytnie to wymyśliła, ale jeszcze zanim skończyła mówić, Blaine już kręcił głową.

— Takie wykorzystywanie Trzeciego Świata wynika z lenistwa — powiedział.

A teraz przytakiwał słowom Shan.

— Europejczycy nie są tacy konserwatywni i sztywni w kwestii związków jak Amerykanie. W Europie biały mężczyzna sobie myśli: „Mam ochotę na seksowną kobietę”.

W Ameryce biały mężczyzna myśli: „Nie dotknę czarnej kobiety, ale Halle Berry bym nie odmówił”.

— Zabawne — powiedział Blaine.

— Oczywiście, jest w tym kraju grupka białych mężczyzn, którzy spotykają się wyłącznie z czarnymi kobietami, ale to swojego rodzaju fetysz i dlatego to obrzydliwe — rzekła Shan i spojrzała wyzywająco na Ifemelu.

Ifemelu czuła niechęć, by sprzeciwić się Shan; dziwne, że tak bardzo jej zależało, żeby Shan ją lubiła.

— Prawdę mówiąc, mam inne doświadczenie. Biali mężczyźni interesowali się mną o wiele bardziej od Afroamerykanów.

— Naprawdę? — Shan milczała przez chwilę. — Chyba dlatego, że masz w sobie jakąś egzotykę, całą tę autentyczną afrykańskość.

Poczuła się dotknięta pogardą Shan, a potem pojawiła się dotkliwa pretensja do Blaine'a, że tak skwapliwie przytakiwał we wszystkim siostrze.

Znowu zadzwonił telefon Shan.

— Och, lepiej, żeby to był David!

Poszła z telefonem do sypialni.

— David to jej wydawca. Chcą, żeby jej okładka miała ten seksualny podtekst, z czarnym torsem, a ona się temu sprzeciwia.

— Coś takiego. — Ifemelu napiła się ze swojej szklanki i zaczęła przeglądać magazyn o sztuce, wciąż na niego zła.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

— Nic.

Wróciła Shan. Blaine spojrzał na nią.

— W porządku?

Kiwnęła głową.

— Zrezygnowali z tej okładki. Teraz nagle wszyscy są zgodni.

— To świetnie — powiedział Blaine.

— Może zgodziłabyś się przez kilka dni pisać gościnnie na moim blogu, zanim ukaże się twoja książka — powiedziała Ifemelu. — To byłoby niesamowite. Bardzo bym się cieszyła.

Shan uniosła brwi. Ifemelu nie wiedziała, co wyraża jej mina i przestraszyła się, że za bardzo się narzucała.

— Tak, chyba bym mogła — powiedziała Shan.

Obama wygra, tylko jeśli dalej będzie Cudownym Czarnuchem Jego pastor jest przerażający, bo to oznacza, że Obama nie jest jednak Cudownym Czarnuchem. Tak przy

okazji, pastor jest nieco melodramatyczny, ale byliście kiedyś w kościele amerykańskich czarnych starej daty? Czysty teatr. Ale ten facet ma zasadniczo rację: amerykańscy czarni (ci w jego wieku na pewno) znają inną Amerykę niż biali Amerykanie; oni znają bardziej okrutną, brzydszą Amerykę. Ale nie powinno się tego mówić, ponieważ w Ameryce wszystko jest piękne i wszyscy są równi. Więc teraz, kiedy pastor to powiedział, może Obama też tak myśli, a jeśli Obama tak myśli, to znaczy, że nie jest cudownym czarnuchem, a tylko cudowny czarnuch może wygrać amerykańskie wybory. A kim jest cudowny czarnuch? To czarny, który jest bezgranicznie mądry i dobry. Nigdy nie działa pod wpływem wielkiego cierpienia, nigdy nie wpada w gniew, nigdy nie grozi. Zawsze wybacza każde rasistowskie gówno. Uczy białych ludzi, jak przełamywać smutne, ale zrozumiałe uprzedzenia zakorzenione w ich sercach. Widzimy go w wielu filmach. A Obama gra jedną z głównych ról.

ROZDZIAŁ 36

To była niespodzianka, przyjęcie urodzinowe w Hamden dla Marcii, przyjaciółki Blaine'a.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Marcio! — powiedziała Ifemelu wraz z chórem innych przyjaciół, stojąc obok Blaine'a. Język trochę stawał jej kołkiem, entuzjazm był trochę wymuszony. Była z Blaine'em od ponad roku, ale wciąż jeszcze nie do końca odnalazła się wśród jego przyjaciół.

— Ty draniu! — wykrzyknęła Marcia do swojego męża, Benny'ego, roześmiana, ze łzami w oczach.

Marcia i Benny uczyli historii, pochodzili z Południa i nawet wyglądali podobnie, z drobnymi ciałami, skórą w kolorze miodu i długimi lokami sięgającymi szyi. Oboje nosili swoją miłość jak ciężkie perfumy, promieniejąc wzajemnym oddaniem, dotykając się nawzajem, powołując się jedno na drugie. Patrząc na nich, Ifemelu wyobrażała sobie takie życie dla siebie i Blaine'a, w małym domku przy cichej uliczce, z batikami wiszącymi na ścianach, afrykańskimi rzeźbami

połyskującymi w kątach, ich oboje istniejących w jednostajnym pomruku szczęścia.

Benny nalewał drinki. Marcia chodziła wokół, wciąż oszołomiona, przyglądając się tacom z dostarczonym jedzeniem, rozstawionym na jadalnym stole, a potem masie balonów podskakujących pod sufitem.

— Kiedy to wszystko przygotowałeś, kotku? Nie było mnie zaledwie godzinę!

Obejmowała każdego, wciąż ocierając łzy z oczu. Zanim objęła Ifemelu, przez jej twarz przemknęła zmarszczka zdenerwowania i Ifemelu domyśliła się, że Marcia zapomniała jak ma na imię.

— Tak się cieszę, że znowu cię widzę, dziękuję, że przyszłaś — powiedziała Marcia z dodatkową dozą szczerości, z dodatkowym naciskiem na „tak”, jakby chciała się zrehabilitować, że nie pamięta imienia Ifemelu.

— Chile! — powiedziała do Blaine’a, który uścisnął ją, uniósł lekko nad podłogę, przy czym oboje śmiali się serdecznie.

— Jesteś lżejsza niż na ostatnich urodzinach — powiedział Blaine.

— I z każdym dniem wygląda młodziej! — odezwała się Paula, była dziewczyna Blaine’a.

— Marcia, może butelkowałabyś swój sekret? — zapytała kobieta, której Ifemelu nie знаła, z rozjaśnionymi włosami przypominającymi platynowy hełm.

— Jej sekret to dobry seks — oznajmiła z powagą Grace, Amerykanka o koreańskich korzeniach, która wykładała nauki afroamerykańskie, drobna i smukła, niezmiennie w eleganckich, luźnych ubraniach, które sprawiały, że zdawała się płynąć na fali jedwabiu. —

Jestem z tego rzadkiego nurtu chrześcijańskich, lewicowych świrów — przedstawiła się Ifemelu przy pierwszym spotkaniu.

— Słyszałeś, Benny? — zapytała Marcia. — Naszym sekretem jest udany seks.

— To prawda! — powiedział Benny i puścił do niej oko. — Hej, ktoś widział dzisiaj rano oświadczenie Baracka Obamy?

— Tak, przez cały dzień puszczają je w wiadomościach — powiedziała Paula.

Była niską blondynką, z czystą, różowawą cerą osoby spędzającej dużo czasu na wolnym powietrzu i zdrowej. Ifemelu zastanawiała się, czy jeździ konno.

— Ja nie mam nawet telewizora — powiedziała Grace i westchnęła, udając, że sama

z siebie kpi. — Dopiero co go sprzedałam i kupiłam sobie komórkę.

— Jeszcze to puszczą — rzekł Benny.

— Bierzmy się za jedzenie.

To Stirling, ten bogaty, o którym Blaine mówił jej, że pochodzi ze starych bostońskich pieniędzy; on i jego ojciec byli studentami dziedzicznymi w Harvardzie. Stirling miał lewicujące poglądy i dobre zamiary, nieco skrzywione przez świadomość wielu przywilejów, jakie posiadał

z racji urodzenia. Nigdy nie pozwalał sobie na wyrażenie żadnej opinii. „Tak, wiem, co masz na myśli”, mawiał często.

Jedli i chwalili wino, smażonego kurczaka, sałaty, ciasta. Ifemelu nakładała sobie drobne kąski zadowolona, że przed wyjściem zjadła kilka orzechów; nie lubiła kuchni czarnoskórych z Południa.

— W tym roku nie jadłem jeszcze takiego dobrego chleba kukurydzianego — powiedział

Nathan, który siedział obok niej.

Był profesorem literatury, neurotykiem mrugającym zza swoich okularów. Blaine mówił, że jest jedynym człowiekiem w Yale, któremu ufa bez zastrzeżeń. Kilka miesięcy wcześniej Nathan powiedział jej głosem pełnym wyższości, że nie czyta żadnej literatury wydanej po 1930

roku.

— Od lat trzydziestych wszystko działo się — powiedział.

Później powtórzyła to Blaine'owi, a jej ton zdradzał zniecierpliwienie, kiedy dodała, że naukowcy nie są intelektualistami, nie są ciekawi świata, budują swoje sztywne namioty wyspecjalizowanej wiedzy i siedzą bezpiecznie w nich zamknięci.

— Och, Nathan ma swoje problemy — odparł Blaine. — Nie chodzi o to, że jest naukowcem.

Kiedy Blaine mówił o swoich przyjaciółach, przybierał obronny ton, którego wcześniej nie było, jakby wyczuwał, że Ifemelu nie czuje się wśród nich swobodnie. Gdy uczestniczyła z nim w wykładach, zawsze powtarzał, że mogło być lepiej albo że przez pierwsze dziesięć minut było nudno, jakby chciał wyprzedzić jej ewentualną krytykę. Ostatni wykład, na który poszli, wygłaszała jego była dziewczyna, Paula, w college'u w Middletown. Paula stała przed grupą, w ciemnozielonej sukience i botkach, mówiła płynnie i przekonująco, prowokując i uwodząc słuchaczy; młoda, śliczna specjalistka od polityki, która na pewno dostanie etat. Często zerknęła na Blaine'a, jak studentka na profesora, po jego minie oceniając swój występ. Kiedy mówiła, Blaine stale kiwał głową, a raz nawet westchnął głośno, jakby jej słowa były dla niego znajomym, wyjątkowym objawieniem. Paula i Blaine pozostali przyjaciółmi, odkąd zdradziła go z kobietą, też Paulą, teraz dla odróżnienia nazywaną Pee, i wciąż obracali się w tych samych kręgach.

— Nasz związek przechodził trudny okres — Blaine powiedział Ifemelu. — Mówiła, że tylko eksperymentuje z Pee, ale domyślałem się, że to coś więcej, i miałem rację, bo wciąż są razem.

Cała ta sytuacja była dla Ifemelu zbyt uładowana, zbyt grzeczna. Nawet przyjaźń, jaką okazywała jej Paula, wydawała się zbyt dokładnie wyszorowana.

— A może go porzucimy i pójdziemy gdzieś razem na drinka? — zapytała Paula Ifemelu wieczorem po wykładzie, z policzkami zarumienionymi z podniecenia i ulgi, że wszystko poszło dobrze.

— Jestem wykończona — powiedziała Ifemelu.

— A ja muszę się przygotować na jutrzejsze zajęcia — dodał Blaine. — Może załatwimy to w weekend, co ty na to? — powiedział Blaine i uściśnął Paulę na pożegnanie.

— Nie było najgorzej, prawda? — zapytał Ifemelu, kiedy wracali do New Haven.

— Byłam pewna, że dostaniesz orgazmu — odparła, a Blaine się roześmiał.

Kiedy słuchała wykładu Pauli, myślała, że Paula dobrze odbiera fale, na których nadaje Blaine inaczej niż ona, i myślała o tym znowu teraz, patrząc, jak Paula nabiera sobie trzecią porcję kapusty, siedząc obok swojej dziewczyny Pee i śmiejąc się z czegoś, co mówi Marcia.

Kobieta z włosami jak hełm jadła kapustę palcami.

— My ludzie nie powinniśmy się posługiwać sztucami — powiedziała.

Michael, który siedział obok Ifemelu, prychnął głośno.

— Może po prostu zamieszkaj w jaskini? — zaproponował i wszyscy się roześmiali, ale Ifemelu nie była przekonana, że to miał być żart.

Denerwowały go afektowane uwagi. Podobał się jej, z warkoczykami cornrows na głowie, i z zawsze ponurą miną, skrzywioną sentymentalnie.

— Michael to poczciwe zwierzę, ale tak bardzo chce być prawdziwy, że przepelnia go negacja — powiedział Blaine, kiedy poznała Michaela.

Jako dziewiętnastolatek Michael trafił do więzienia za kradzież samochodu i uwielbiał

powtarzać: „Niektórzy czarni doceniają wykształcenie, dopiero kiedy posiedzą w więzieniu”.

Miał stypendium fotograficzne i kiedy Ifemelu pierwszy raz obejrzała jego zdjęcia, czarno-białe, skąpane w cieniach, ich delikatność i wrażliwość ją zaskoczyła. Teraz jedno z nich wisiało w mieszkaniu Blaine'a, naprzeciwko jej biurka.

Z drugiego końca stołu odezwała się Paula:

— Mówiłam ci już, Ifemelu, że każę moim studentom czytać twojego bloga? Interesujące, jak zachowawczo myślą; chcę, żeby wyszli ze swojego bezpiecznego kokona. Bardzo mi się podobał ostatni wpis, „Przyjacielskie uwagi dla amerykańskich nieczarnych: Jak reagować, kiedy czarny Amerykanin mówi o czarności”.

— Zabawne! — powiedziała Marcia. — Bardzo bym to chciała przeczytać.

Paula wyjęła swój telefon, poszukała w nim i zaczęła czytać na głos.

Drogi amerykański nieczarny, kiedy amerykański czarny mówi ci o swoich doświadczeniach osoby czarnej, proszę, nie przytaczaj przykładów z własnego życia. Nie mów:

„To tak jak ja...”. Cierpiałeś. Każdy na świecie cierpiał. Ale nie cierpiałeś dlatego, że jesteś amerykańskim czarnym. Nie wyszukuj alternatywnych wyjaśnień tego, co się stało. Nie mów:

„Och, nie chodzi o rasę, to kwestia klasy. Och, nie chodzi o rasę, tylko o płeć. Och, nie chodzi o rasę, to ciasteczkowy potwór”. Musicie zrozumieć, że amerykańscy czarni nie CHCA, żeby chodziło o rasę. Woleliby, żeby to rasistowskie gównno nigdy się nie zdarzyło. Może więc, kiedy mówią, że coś wynika z powodów rasowych, jest tak rzeczywiście? Nie mówcie: „Jestem daltonistą”, bo jeżeli jesteście nim faktycznie, powinniście iść do lekarza i to znaczy, że kiedy pokazują w TV czarnego podejrzanego o popełnienie przestępstwa w waszej okolicy, widzicie tylko zamazaną czerwonawo-szaro-kremową postać. Nie mówcie: „Mamy dość mówienia o rasie” albo: „Jedyną rasą jest rasa ludzka”. Amerykańscy czarni też mają dość mówienia o rasie. Chcieliby, żeby nie było takiej potrzeby. Ale złe rzeczy się zdarzają. Nie róbcie wstępów w rodzaju: „Jeden z moich najlepszych przyjaciół jest czarny”, bo to niczego nie zmienia, nikogo to nie obchodzi, wasz najlepszy przyjaciel może być czarny, a wy dalej możecie zachowywać się jak rasiści, a poza tym to i tak zapewne nie jest prawdą, ten „najlepszy”, nie „przyjaciel”. Nie mówcie, że wasz dziadek był Meksykaninem, więc nie możecie być rasistami (kliknijcie,

proszę, tutaj, żeby przeczytać więcej w „Nie ma Zjednoczonej Ligii Prześladowanych”). Nie opowiadajcie o cierpieniach waszych irlandzkich pradziadków. Oczywiście zaznali wiele złego od Ameryki. Podobnie jak Włosi. I ludzie z Europy Wschodniej. Ale była hierarchia. Sto lat temu ludzie z białych grup etnicznych nienawidzili tego, że się ich nienawidzi, ale mogli to jakoś znieść, bo przynajmniej czarni stali jeszcze niżej od nich na drabinie społecznej. Nie

opowiadajcie, że wasz dziadek był chłopem pańszczyźnianym w Rosji, kiedy na świecie panowało niewolnictwo, ponieważ w tej chwili liczy się, że jesteście Amerykanami, a to znaczy, że jako Amerykanów dotyczy was wszystko, amerykańskie aktywa i amerykańskie długi, a Jim Crow jest jednym wielkim długiem. Nie mówcie, że to jest jak antysemityzm. Nie jest.

W nienawiści do Żydów jest też prawdopodobieństwo zazdrości — są tacy mądrzy, ci Żydzi, wszystko kontrolują, ci Żydzi — i nie da się ukryć, że w zawiści jest element, co prawda powściągliwego, ale jednak szacunku. W nienawiści do czarnych Amerykanów nie ma miejsca na zawiść — są tacy leniwi, ci czarni, są tacy nieinteligentni, ci czarni.

Nie mówcie: „Och, rasizm się skończył, niewolnictwo było dawno temu”. Mówimy o problemach z lat sześćdziesiątych, nie osiemdziesiątych. Kiedy spotkacie starszego amerykańskiego czarnego z Alabamy, zapewne pamięta, jak musiał schodzić z chodnika, kiedy mijał białego. Kiedyś kupiłam na eBayu sukienkę w sklepie Vintage, zrobioną w 1960 roku, w doskonałym stanie i często ją noszę. Kiedy nosiła ją pierwotna właścicielka, czarni Amerykanie nie mogli głosować, ponieważ byli czarni. (Może nawet ta pierwotna właścicielka była jedną z tych kobiet ze słynnych fotografii w sepii, która stała w tłumie przed szkołą i krzyczała „małpy” do czarnych dzieci, bo nie chciała, żeby chodziły do szkoły z jej białymi dziećmi. Gdzie teraz są te kobiety? Czy śpią spokojnie? Czy myślą o tym, jak kiedyś krzyczały

„małpy!”?). Wreszcie nie przybierajcie tonu: „Bądźmy uczciwi” i nie mówcie: „Ale czarni też są rasistami”.

Ponieważ oczywiście wszyscy mamy swoje uprzedzenia (nawet ja nie znoszę niektórych swoich krewnych, pazernych,

samolubnych ludzi), ale rasizm to władza jednej grupy, a w Ameryce tę władzę mają biali. Dlaczego? Cóż, białych nie traktuje się jak gówna w środowiskach wyższej klasy Afroamerykanów; białym banki nie odmawiają kredytów i hipotek tylko dlatego, że są biali, a czarni sędziowie nie dają wyższych wyroków białym przestępcom za to samo przestępstwo popełnione przez czarnego, a czarni policjanci nie zatrzymują białego tylko dlatego, że siedzi za kierownicą, czarne firmy nie postanawiają kogoś nie zatrudnić dlatego, że nosi białe nazwisko, czarni nauczyciele nie mówią białym dzieciom, że nie są dość bystre, żeby mogły zostać lekarzami, czarni politycy nie chwytają się różnych sztuczek, żeby zmniejszyć ilość białych głosów, manipulując granicami okręgów wyborczych, agencje reklamowe nie mówią, że nie wolno zatrudniać białych modelek do reklamowania eleganckich produktów, bo są uważane za „nieinspirujące”, albo „niemainstreamowe”.

Tak więc po tej całej liście, czego nie robić, co jednak można? Nie wiem. Może próbujecie zwyczajnie słuchać. Słuchajcie tego, co się do was mówi. I pamiętajcie, że nie chodzi o was.

Amerykańscy czarni nie obwiniają was. Mówią tylko, jak jest. A jeśli nie rozumiecie, pytajcie.

Jeśli krępujecie się pytać, mówcie o tym, ale pytajcie i tak. Można się domyśleć, kiedy pytanie jest zadane w dobrej wierze. Potem słuchajcie dalej. Czasami ludzie chcą, żeby ich wysłuchać.

Może wyniknie z tego przyjaźń, więź i zrozumienie.

— O tej sukience to było wspaniałe! — powiedziała Marcia.

— Żenująco zabawne — rzekł Nathan.

— Musisz zgarniać kokosy z tego bloga — powiedział Michael.

— Ale większość trafia do moich głodnych krewnych w Nigerii — odparła Ifemelu.

— Miło mieć — powiedział.

— Mieć co?

— Świadomość, skąd się pochodzi. Długą listę przodków i tak dalej.

— Cóż — powiedziała. — Owszem.

Spojrzał na nią w sposób, którą ją krępował, ponieważ nie była pewna, co kryje się w jego oczach, i zaraz odwróciła wzrok.

Blaine rozmawiał z koleżanką Marcii z włosami jak hełm.

— Musimy skończyć z tym mitem. Amerykańska historia nie ma w sobie nic żydowsko-chrześcijańskiego. Nikt nie lubił katolików i Żydów. To są wartości anglosaskie, nie żydowsko-chrześcijańskie, nawet Maryland szybko przestał być taki przyjazny dla katolików. —

Urwał gwałtownie, wyjął z kieszeni telefon i wstał. —
Wybaczcie mi, kochani — powiedział

i ciszej zwrócił się do Ifemelu: — To Shan. Zaraz wracam.

Wyszedł do kuchni, żeby odebrać.

Benny włączył telewizor i oglądali Baracka Obamę, szczupłego mężczyznę w czarnym płaszczu o rozmiar za dużym, niezbyt pewnego siebie. Kiedy mówił, z jego ust ulatywały obłoczki pary, jak dym. „Właśnie dlatego, w cieniu Starego Kapitolu, gdzie Lincoln swego czasu wezwał podzielone izby, żeby stanęły razem, gdzie wspólne nadzieje i wspólne marzenia wciąż są żywe, stoję dzisiaj przed wami, żeby ogłosić swoją kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.”

— Nie wierzę, że go do tego namówili. Facet ma potencjał, ale najpierw musi dojrzeć.

Musi nabrać siły. Bardzo zaszkodzi czarnym, bo nie ma żadnych szans i przez najbliższe pięćdziesiąt lat żaden czarny nie będzie się mógł w tym kraju ubiegać o urząd —
powiedziała Grace.

— A mnie się podoba! — powiedziała Marcia ze śmiechem.

— Świetny pomysł z tym budowaniem Ameryki, która daje większą nadzieję.

— Według mnie ma szansę — rzekł Benny.

— Och, nie może wygrać. Prędzej odstrzelą mu tyłek — powiedział Michael.

— To miłe widzieć polityka, który dostrzega niuanse — stwierdziła Paula.

— Tak — zgodziła się Pee. Miała za bardzo wytrenowane ramiona, chude, z potężnie wyrobionymi mięśniami, krótko obcięte włosy i wewnętrzny niepokój; była osobą, której miłość musiała dusić. — Jest taki mądry, tak ładnie mówi.

— Gadasz jak moja matka — odezwała się Paula tonem świadczącym o trwającej dalej jakiejś prywatnej wojnie, choć słowa dotyczyły czegoś innego. — Cóż takiego wyjątkowego w tym, że ładnie mówi?

— Hormony szaleją, Pauly? — zapytała Marcia.

— Żebyś wiedziała! — wykrzyknęła Pee. — Widziałaś, jak zjadła całego kurczaka?

Paula zignorowała Pee i jakby na złość sięgnęła po kolejny kawałek placka z dynią.

— A ty co sądzisz o Obamie, Ifemelu? — zapytała Marcia.

Ifemelu domyśliła się, że Benny albo Grace szepnęli Marcii jej imię i teraz Marcia bardzo chciała się pochwalić tą nową wiedzą.

— Podoba mi się Hillary Clinton — powiedziała Ifemelu. — O tym całym Obamie naprawdę nic nie wiem.

Do pokoju wszedł Blaine.

— Co mi umknęło?

— U Shan wszystko w porządku? — zapytała Ifemelu.

Blaine kiwnął potakująco głową.

— Nieważne, co ludzie myślą o Obamie. Chodzi o to, czy biali są gotowi na czarnego prezydenta — powiedział Nathan.

— Ja jestem. Ale nie wiem, czy naród jest — rzekła Pee.

— Słowo daję, rozmawiałaś z moją mamą? — zapytała ją Paula. — Powiedziała dokładnie to samo. Jeśli ty jesteś gotowa na czarnego prezydenta, to kto w tym

niezdecydowanym kraju nie jest? Ludzie tak mówią, kiedy nie potrafią powiedzieć, że nie są gotowi. A już nawet sam pomysł z byciem gotowym jest idiotyczny.

Ifemelu wykorzystała jej słowa kilka miesięcy później, w poście napisanym w ostatniej,

gorączkowej fazie kampanii prezydenckiej. „Już nawet pomysł z byciem gotowym jest idiotyczny”. „Czy ktoś rozumie, jakim absurdem jest pytanie, czy ktoś jest gotowy na czarnego prezydenta? Czy jesteście gotowi, żeby Myszka Miki została prezydentem? Albo Żaba Kermit?

A może Czerwononosy Rudolf?”.

— Moja rodzina słynie z nienagannego liberalizmu, zawsze zaznaczamy właściwe okienka — powiedziała Paula z ustami wykrzywionymi ironią, kręcąc nóżką swojego kieliszka.

— Ale moi rodzice zawsze bardzo szybko mówili znajomym, że Blaine pracuje w Yale. Jakby chcieli powiedzieć, że należy do tych dobrych.

— Jesteś dla nich zbyt surowa, Pauly — powiedział Blaine.

— Poważnie, tak uważasz? — zapytała. — Pamiętasz to koszarne Święto Dziękczynienia w domu moich rodziców?

— Bo chciałem maca i ser?

Paula się roześmiała.

— Nie, nie o to mi chodziło.

Ale nie powiedziała, o co jej chodziło, i wspomnienie pozostało spowite zasłoną ich wspólnej prywatności.

Kiedy znaleźli się z powrotem w mieszkaniu Blaine’a, Ifemelu powiedziała:

— Byłam zazdrosna.

To była zazdrość, ten niespokojny ucisk, niepokój w żołądku. Paula była prawdziwym ideowcem; Ifemelu wyobrażała sobie, jak bez trudu przyklaskuje anarchii, staje na czele protestu, daje odpór policyjnym pałkom i prześladowuje niewiernych. W porównaniu z Paulą ona sama w tym kontekście wypadła roszczeniowo.

— Nie masz o co być zazdrosna, Ifem — zapewnił ją Blaine.

— Kurczak, którego jesz, nie jest kurczakiem, którego ja jem, ale jest kurczakiem, który je Paula.

— Co takiego?

— Dla ciebie i Pauli pieczony kurczak jest w panierce. Dla mnie pieczony kurczak jest bez panierki. Właśnie myślałam, ile macie ze sobą wspólnego.

— Łączy nas pieczony kurczak? Dostrzegasz wymowność metafory, jaką w tym wypadku jest kurczak? — Blaine śmiał się łagodnym, pełnym uczucia śmiechem. — Twoja zazdrość jest urocza, ale nie ma szans, żeby coś jeszcze między nami było.

Wiedziała o tym. Blaine by jej nie zdradził. Był na to zbyt dobry. Wierność przychodziła mu bez trudu; nie oglądał się za ładnymi dziewczynami na ulicy, bo nawet mu to nie przyszło do głowy. Ale była zazdrosna o emocjonalne pozostałości wciąż jeszcze istniejące między nim i Paulą i o to, że według niej Paula była jak on, jak on dobra.

Czarny w podróży

Znajomy znajomego, fajny amerykański czarny z kupą forsy, pisze książkę *Czarny w podróży*. Jak pisze, nie każdy czarny, ale czarny rozpoznawalnie, ponieważ są różni czarni i bez obrazy, ale nie, chodzi mu nie o tych czarnych, którzy wyglądają jak Portorykanie, Brazylijczycy i tak dalej, tylko o tych, którzy są rozpoznawalnie czarni. Ponieważ świat traktuje ich inaczej. Oto co pisze: „Na pomysł książki wpadłem w Egipcie. Przyjeżdżam do Kairu i jakiś egipski Arab wyzywa mnie od czarnych barbarzyńców. Chwila moment, przecież podobno jesteśmy w Afryce! Zaczynam więc zastanawiać się, jak byłbym traktowany w innych częściach świata, do których bym podróżował. Sam jestem czarny, jak tylko może być czarny. Dzisiaj biali na Południu na mój widok pomyśleliby, że idzie wielki, czarny bykol. W przewodnikach piszą, czego może się spodziewać gej albo kobieta. Do diabła, powinni pisać to też dla rozpoznawalnie

czarnych. Niech czarny w podróży wie w czym rzecz. Nie chodzi o to, że go z miejsca zastrzelą, ale dobrze byłoby wiedzieć, gdzie będą się na niego gapić. W niemieckim Szwarewaldzie gapią się z nieskrywaną nienawiścią. W Tokio i Istambule wszyscy są chłodni i obojętni. W Szanghaju gapią się otwarcie, w Delhi paskudnie. Pomyślałem sobie: »Hej, czy nie siedzimy w tym razem?

No wiecie, kolorowi i w ogóle?«. Czytałem, że Brazylia to rasowa mekka, więc pojechałem do Rio i nikt się na mnie nie gapił w porządnych restauracjach i hotelach. Ludzie dziwnie się zachowują, kiedy na lotnisku ustawiam się w kolejce pierwszej klasy. Jakby to było zabawne, jakbym się pomylił, bo przecież nie można z takim wyglądem latać pierwszą klasą. Jadę do Meksyku i gapią się na mnie. Nie wrogo, ale jasno dają do zrozumienia, że się wyróżniam, może i się im podobam, ale i tak jestem King Kongiem”. W tym momencie mój profesor Hunk mówi:

„Ameryka Łacińska jako całość ma skomplikowany stosunek do czarnośći, na którą cień rzuca postawa »wszyscy jesteśmy *mestizo*«, jak sami siebie nazywają. W Meksyku nie jest tak źle jak w Gwatemali czy Peru, gdzie przywileje białych są bardziej widoczne, ale też w tych krajach populacja czarnych jest znacznie większa”. Z kolei inny znajomy mówi: „Rdzeni czarni na całym świecie są zawsze gorzej traktowani od nierdzennych białych. Moja przyjaciółka, która urodziła się i wychowywała we Francji, a której rodzice są z Togo, kiedy jedzie na zakupy do Paryża, udaje, że jest z Anglii, bo sprzedawczynie są miłsze dla czarnych, którzy nie mówią po francusku. Podobnie jak amerykańscy czarni są bardziej szanowani w afrykańskich krajach”.

Jakieś przemyślenia? Zamieszczajcie, proszę, swoje opowieści z podróży.

ROZDZIAŁ 37

Ifemelu miała wrażenie, jakby na chwilę odwróciła wzrok, a kiedy spojrzała ponownie, Dike był odmieniony: jej mały kuzynek zniknął, a w jego miejsce pojawił się chłopiec, który nie wyglądał jak chłopiec, miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był smukły i umięśniony, grał

w koszykówkę w Willow High School i chodził ze zwinną blondyneczką Page, która nosiła mikroskopijne spódniczki i conversy. Raz Ifemelu go spytała:

— Jak ci się układa z Page?

— Nie uprawiamy jeszcze seksu, jeśli o to pytasz — odparł Dike.

Wieczorami sześcioro, czasem siedmiu kolegów zniknęło w jego pokoju, wszyscy biali z wyjątkiem Min, wysokiego chińskiego chłopca, którego rodzice wykładali na uniwersytecie.

Grali w gry komputerowe, oglądali wideo na YouTube, naśmiewając się z siebie i poszturchując, wszyscy zamknięci w migotliwym kręgu bez troskiej młodości, którego centrum był Dike.

Wszyscy śmiali się z jego dowcipów, szukali u niego aprobaty i zgodnie, w delikatny, niepisany sposób zgadzali się, żeby podejmował wspólne decyzje: czy zamówić pizzę albo iść pograć w ping-ponga. Przy nich Dike się zmieniał; mówił i chodził inaczej, rozkołysanym krokiem, jakby cały czas grał, i co chwila wtrącał „spoko” i „ściema”.

— Czemu tak rozmawiasz z kolegami, Dike? — zapytała go Ifemelu.

— Joł, kuzyna, co się mnie czepiasz? — odpowiedział z przesadnie głupkowatą miną, a ona się roześmiała.

Ifemelu wyobrażała go sobie na studiach; będzie idealnym studenckim przewodnikiem, oprowadzającym grupkę przyszłych studentów i ich rodziców, pokazując im wszystkie wspaniałości kampusu, zawsze dorzucając coś, co mu się osobiście nie podoba, przez cały czas nieodparcie zabawny, bystry i pełen wigoru, dziewczyny natychmiast będą się w nim zakochiwać, chłopcy będą mu zazdrościć jego polotu, a rodzice będą marzyli, żeby ich dzieci były takie same.

Shan miała na sobie błyszczący, złocisty top, była bez stanika i jej piersi falowały przy każdym ruchu. Flirtowała z każdym, tu dotknęła ramienia, tam zbyt mocno uścisnęła, zbyt namiętnie pocałowała w policzek. Jej komplementy pełne były przesady,

przez co brzmiały nieszczercze, a mimo to znajomi uśmiechali się i promieniali. Nie miało znaczenia, co mówi; ważne było, że mówi to Shan. Kiedy pierwszy raz uczestniczyła w salonie Shan, Ifemelu była zdenerwowana. Niepotrzebnie, okazało się to zwykłym spotkaniem przyjaciół, ale mimo to była zdenerwowana. W desperacji wybierała odpowiedni strój, przymierzyła i odrzuciła dziewięć różnych zestawów, aż w końcu zdecydowała się na sukienkę w morskim kolorze, wyszczuplającą w talii.

— Hej! — Shan powitała Blaine’a i Ifemelu, kiedy się zjawili, i uścisnęła ich.

— Grace przyjdzie? — zapytała Blaine’a.

— Tak. Przyjedzie późniejszym pociągiem.

— Świetnie. Nie widziałam jej od wieków. — Shan zniżyła głos i zwróciła się do Ifemelu: — Słyszałam, że Grace kradnie badania swoich studentów.

— Co takiego?

— Grace. Słyszałam, że kradnie badania swoich studentów. Wiedziałaś o tym?

— Nie — powiedziała Ifemelu.

Dziwne. Shan opowiada jej takie rzeczy o przyjaciółce Blaine’a, a ona mimo to czuje się wyróżniona, że Shan tak prywatnie dzieli się z nią plotkami. Nagle jednak zawstydziała się, że nie ma dość siły, aby stanąć w obronie Grace, którą lubiła.

— Nie wydaje mi się, żeby było w tym choć trochę prawdy — powiedziała.

Ale uwaga Shan już była skupiona na czymś innym.

— Chcę, żebyś poznała najbardziej seksownego mężczyznę w Nowym Jorku, Omara —

powiedziała Shan, przedstawiając Ifemelu mężczyznę wysokiego jak koszykarz, z idealnie wymodelowaną linią włosów nad czołem i wokół uszu. Kiedy Ifemelu wyciągnęła do niego rękę, on skłonił się lekko, z dłonią przyłożoną do piersi i uśmiechnął się.

— Omar nie dotyka kobiet, z którymi nie jest spokrewniony
— powiedziała Shan. — Co jest bardzo sexy, nie uważasz? —
I wymownie przekrzywiła głowę, żeby spojrzeć na Omara.

— A to piękna i niezwykle oryginalna Maribelle i jej
dziewczyna Joan, która jest równie piękna. Okropnie się przy
nich czuję! — powiedziała Shan, a Maribelle i Joan
zachichotały, drobne białe kobietki w za dużych okularach.

Obie nosiły krótkie sukienki, jedna w czerwone grochy, druga
wykończoną koronką.

Sukienki miały lekko wyblakły, nie do końca dopasowany
wygląd rzeczy wyszukanych w sklepach Vintage. W pewnym
sensie były jak kostiumy. Maribelle i Joan należały do swoistej
grupy postępowych, wykształconych przedstawicielek klasy
średniej, które wolały, żeby ich sukienki były bardziej
interesujące niż ładne, kochały eklektyzm, kochały to, co
powinny były kochać. Ifemelu wyobraziła je sobie w podróży:
kolekcjonowały niezwykle rzeczy i wypełniały nimi swoje
domy; niewypolerowane dowody ich wypolerowanych
osobowości.

— A to Bill! — wykrzyknęła Shan, ściskając muskularnego
ciemnoskórego mężczyznę w fedorze. — Bill jest pisarzem,
ale w przeciwieństwie do nas nuża się w pieniądzu. — Shan
prawie gruchała. — Bill wpadł na pomysł niesamowitej
książki *Czarny w podróży*.

— Chętnie posłucham — rzekła Ashanti.

— A tak przy okazji, kochana Ashanti, masz cudowne włosy
— powiedziała Shan.

— Dziękuję! — odparła Ashanti.

Cała była w muszelkach; grzechotały na jej przegubach, były
wplecione w jej kręcone dredy, zwisały wokół szyi. Często
powtarzała „ojczysty kraj” i „religia joruba”, zerkając na
Ifemelu jakby w poszukiwaniu potwierdzenia, co było parodią
Afryki, którą Ifemelu czuła się skrepowana i miała do siebie
pretensje, że tak się czuje.

— Masz w końcu okładkę, która ci się podoba? — Ashanti
zapytała Shan.

— „Podoba” to za mocne słowo — powiedziała Shan. —
Wiecie wszyscy, że ta książka to wspomnienia, prawda? Jest w niej mnóstwo rzeczy o dorastaniu w mieście samych białych, o byciu jedynym czarnym dzieckiem w podstawówce, o śmierci mamy i tak dalej. Mój wydawca czyta rękopis i mówi:
„Rozumiem, że kwestia rasowa jest istotna, ale musimy się postarać, żeby książka wykraczała poza rasę, żeby nie była wyłącznie o rasie”. A ja sobie myślę, niby czemu mam wychodzić poza rasę? Rasę trzeba podawać w rozwodnionej formie, bo inaczej biali jej nie łykną.

— Zabawne — powiedział Blaine.

— Co chwila zaznacza dialogi i pisze na marginesach:
„Ludzie naprawdę tak mówią?”, a ja sobie myślę: hej, a ilu znasz czarnych? Czarnych, których uważasz za równych sobie, za przyjaciół. Nie chodzi mi o recepcjonistkę w biurze czy może jedno czarne małżeństwo, którzy mają dziecko w tej samej szkole co ty i którym mówisz „dzień dobry”. Chodzi mi o ludzi, których naprawdę znasz. Żadnych. Więc jak możesz mi mówić, że czarni tak nie mówią?

— To nie jego wina. Niezbyt często można spotkać czarnych z klasy średniej —

powiedział Bill. — Mnóstwo liberalnych białych szuka przyjaciół wśród czarnych. Ale równie

łatwo ich znaleźć jak dawcę nasienia, który jest wysokim blond osiemnastolatkiem z Harvardu.

Wszyscy się roześmiali.

— Opisałam jedną scenę ze studiów doktoranckich, o kobiecie z Gambii. Uwielbiała jeść czekoladę do pieczenia. Zawsze miała w torbie jej opakowanie. W każdym razie mieszkała w Londynie i zakochała się w białym facecie, który zostawił dla niej żonę. Byliśmy w barze i opowiadała nam o tym, mnie, jednej dziewczynie i takiemu Peterowi. Niski gość z Wisconsin.

I wiecie, co Peter jej powiedział?: „Jego żona musiała to bardziej przeżyć, bo jesteś czarna”.

Powiedział to tak, jakby rozumiało się samo przez się. Nie, że jego żona przeżywała, bo zostawił

ją dla innej, kropka, ale dlatego, że dla czarnej. Napisałam o tym w książce, a mój wydawca chce to zmienić, bo według niego to nie jest subtelne. Jakby życie zawsze miało być kurewsko subtelne. A potem napisałam o mojej mamie, rozczarowanej, bo czuła, że w pracy dosięgła sufitu, nie mogła wyżej awansować, bo była czarna, a mój wydawca mówi: „Może nieco więcej niuansów? Może twoja mama nie dogadywała się z kimś w pracy? A może już wtedy miała zdiagnozowanego raka?”. Według niego powinniśmy to skomplikować, żeby nie chodziło tylko o rasę. A ja mu na to, że właśnie chodziło o rasę. Była rozgoryczona, bo gdyby wszystko było tak samo, tylko ona nie byłaby czarna, zostałaby wiceprezesem. Aż do śmierci bardzo dużo o tym mówiła. Ale nagle przeżycia mojej mamy są pozbawione niuansów. „Niuans” oznacza, że musimy wszystkich zadowolić, żeby każdy mógł sobie myśleć o sobie jako o jednostce, i że każdy dochodzi do czegoś wyłącznie dzięki własnym osiągnięciom.

— Może powinnaś zrobić z tego powieść — zasugerowała Mirabelle.

— Kpisz sobie ze mnie? — zapytała Shan, lekko pijana, odrobinę teatralnie, siedząc na podłodze w pozycji jogi. — W tym kraju nie można napisać szczerzej powieści o rasie. Gdybyś napisała o tym, jaki naprawdę rasa ma wpływ na ludzi, byłoby to zbyt oczywiste. Czarni pisarze, którzy tworzą w tym kraju fikcję literacką, wszyscy trzej, nie te dziesięć tysięcy płodzących bzdurne powieści o gettach w jaskrawych okładkach, mają do wyboru dwie opcje: albo będą pisać wspaniale, albo pretensjonalnie. Jak nie udaje ci się ani jedno, ani drugie, nikt nie wie, co z tobą począć. Więc jeśli zamierzasz pisać o rasie, musisz się postarać, żeby to było na tyle liryczne i subtelne, by czytelnik, który nie umie czytać między wierszami, nawet się nie domyślił, że chodzi o rasę. No wiesz, proustowskie rozważania, rozmyte i niejasne, które sprawiają, że na końcu my też czujemy się rozmyci i niejaśni.

— Albo trzeba znaleźć białego pisarza. Biali pisarze potrafią pisać o rasie bez ogródek, jak aktywiści, bo ich gniew nie stanowi zagrożenia — powiedziała Grace.

— A co powiecie o tej nowej książce *Wspomnienia mnicha*?
— zapytała Maribelle.

— To tchórzliwa i nieszczerza książka. Czytałaś ją? — zapytała Shan.

— Recenzję — odparła Maribelle.

— W tym właśnie problem. Czytasz więcej o książkach niż samych książek.

Maribelle się zaczerwieniła. Ifemelu czuła, że te słowa przyjęła bez protestu wyłącznie dlatego, że wypowiedziała je Shan.

— W tym kraju mamy bardzo ideologiczne podejście do literatury. Jeśli postać nie jest znajoma, nie jest wiarygodna — powiedziała Shan. — Z literatury nie można się dowiedzieć, jak naprawdę wygląda dzisiaj życie w Ameryce. Czyta się amerykańską literaturę, żeby dowiedzieć się o dysfunkcyjnych białych, którzy robią rzeczy niepojęte dla normalnych białych.

Wszyscy się roześmiali. Shan była zachwycona, jak mała dziewczynka popisująca się śpiewem przed ważnymi znajomymi rodziców.

— Świat nie wygląda tak, jak w tym pokoju — powiedziała Grace.

— Ale może — odparł Blaine. — Udowadniamy, że świat może być taki, jak w tym pokoju. Może być w nim równe i bezpieczne miejsce dla każdego. Musimy tylko zburzyć mury przywilejów i prześladowań.

— Odezwał się mój cudowny mały braciszek — powiedziała Shan.

Kolejny wybuch śmiechu.

— Powinnaś napisać o tym w blogu, Ifemelu — rzekła Grace.

— A wiecie, dlaczego Ifemelu może pisać swojego bloga? — zapytała Shan. — Bo jest Afrykanką. Pisze jako osoba z

zewnątrz. Tak naprawdę nie czuje tego, o czym pisze. Wszystko dla niej jest urocze i ciekawe. Więc może o tym pisać, zdobywać uznanie, dostawać zaproszenia na wykłady. Gdyby była Afroamerykanką, nazwaliby ją pełną gniewu i buntu.

W pokoju zapanowała nagła cisza.

— Chyba masz rację — odezwała się Ifemelu, zniesmaczona Shan i samą sobą, że poddała się jej urokowi.

Było prawdą, że rasa nie stanowiła części jej historii; nie wgryzła się w jej duszę. Mimo to wolałaby, żeby Shan powiedziała jej to w cztery oczy zamiast tak jak teraz, radośnie, w obecności znajomych, pozwalając, by Ifemelu została z poczuciem gorczy i żalu.

— Wszystko to jest stosunkowo nowe. Na początku dziewiętnastego wieku bardzo wyraźnie definiowało się czarnych, panafrykanizm. Zimna wojna zmusiła ludzi, żeby dokonali wyboru: albo zostawało się internacjonalistą, co oczywiście dla Amerykanów było tożsame z komunizmem, albo decydowało się na przynależność do amerykańskiego kapitalizmu, co dotyczy afroamerykańskiej elity — powiedział Blaine, jakby stawał w obronie Ifemelu, ale uznała to za zbyt abstrakcyjne, słabe, powiedziane poniewczasie.

Shan zerknęła na Ifemelu i uśmiechnęła się uśmiechem sugerującym wielkie okrucieństwo. Kilka miesięcy później, kiedy Ifemelu pokłóciła się z Blaine'em, zastanawiała się, czy Shan nie podgrzewała jego złości, złości, której ona nigdy do końca nie rozumiała.

Czy Obama jest wszystkim, tylko nie czarnym?

Mnóstwo ludzi — w większości nieczarnych — twierdzi, że Obama nie jest czarny, jest dwurasowy, wielorasowy, czarno-biały, wszystko, tylko nie czarny. Ponieważ jego matka była biała. Ale rasa to nie biologia; rasa to socjologia. Rasa to nie genotyp; rasa to fenotyp. Rasa ma znaczenie przez rasizm. A rasizm jest absurdem, ponieważ chodzi w nim o to, jak ktoś wygląda.

Nie o krew, jaka w nas płynie. Chodzi o odcień skóry, kształt nosa, skręt włosów. Booker T.

Washington i Frederick Douglass mieli białych ojców. Wyobraźcie sobie, jak mówią, że nie są czarni.

Wyobraźcie sobie Obamę, ze skórą w kolorze pieczonego migdała, skreconymi włosami, mówiącego do człowieka przeprowadzającego spis ludności: jestem w zasadzie biały. Jasne, powie. Wielu amerykańskich czarnych ma wśród swoich przodków jakiegoś białego, ponieważ biali właściciele niewolników uwielbiali nocą uprawiać gwałty w kwaterach niewolników. Ale rzecz w tym, że masz ciemną skórę, i już. (Jeśli więc jesteś jasnowłosa, niebieskooką kobietą, która mówi „Mój ojciec był rdzennym Amerykaninem i też jestem dyskryminowana”, kiedy jakiś czarny skarży się na rasizm, zamilknij, proszę). W Ameryce nie ty decydujesz, do jakiej należysz rasy. Decydują za ciebie. Barack Obama, wyglądając jak wygląda, w latach pięćdziesiątych musiałby siedzieć z tyłu autobusu. Gdyby dzisiaj jakiś czarny popełnił przestępstwo, Barack Obama mógłby zostać zatrzymany i przesłuchany, bo pasuje do profilu. A jakiego? „Czarny”.

ROZDZIAŁ 38

Blaine nie lubił Boubacara, i może miało to znaczenie, a może nie, dla historii ich kłótni, ale Blaine nie lubił Boubacara, a ona zaczęła dzień od wizyty na jego zajęciach. Poznali z Blaine'em Boubacara na wydanej przez uczelnię kolacji na jego cześć. Był czarnoskórym profesorem z Senegalu, który właśnie przeniósł się do Stanów wykładać w Yale. Pławił się w swojej inteligencji i poczuciu własnej wartości. Siedział u szczytu stołu, pił czerwone wino i opowiadał oschle o francuskich prezydentach, których poznał, o francuskich uniwersytetach, które proponowały mu pracę.

— Przyjechałem do Ameryki, bo sam chciałem sobie wybrać pana — powiedział. —

Skoro muszę mieć jakiegoś, lepiej, żeby był amerykański niż francuski. Ale nigdy nie zjem ciasteczka ani nie pójde do McDonalda. Co za prymityw!

Ifemelu była nim oczarowana, rozśmieszał ją. Podobał się jej jego akcent, jego angielski z naleciałościami języka wolof i francuskiego.

— Uważam, że jest wspaniały — powiedziała później do Blaine’a.

— Interesujące, jak mówi zwykłe rzeczy i jest święcie przekonany, że są głębokie —

odparł Blaine.

— Ma trochę wybujałe ego, ale nie inaczej niż wszyscy przy tamtym stole — powiedziała Ifemelu. — Wszyscy powinniście je mieć, żeby was zatrudnili w Yale.

Blaine się nie zaśmiał, jak zrobiłby to w każdej innej sytuacji. Wyczuła w jego reakcji terytorialną niechęć, tak obcą jego naturze, że aż się zdziwiła. Przedrzeźniał Boubacara, z kiepskim francuskim akcentem. „Frankofońscy Afrykanie narzekają na kawę, anglofońscy Afrykanie narzekają na herbatę. W tym kraju nie można się napić prawdziwej *café au lait!*”.

Może miał żal, że tak łatwo tamtego dnia zbliżyła się do Boubacara, po deserze, jak do kogoś, kto mówi tym samym językiem, co ona. Żartowała z Boubacara, że frankofońscy Afrykanie mają mózgi wyprane przez Francuzów, są tacy wrażliwi, przeczuleni na europejskie zniewagi, a mimo to zakochani w europejskości. Boubacar się śmiał porozumiewawczo; nie śmiałby się tak samo z Amerykaninem, nie pozwoliłby sobie, gdyby takie rzeczy mówił

Amerykanin. Może Blaine’owi nie podobało się, że mają tyle wspólnego, coś pierwotnie afrykańskiego, do czego on nie miał dostępu. Ale jej uczucie do Boubacara było braterskie, pozbawione pożądania. Często spotykali się na herbacie w Atticus Bookstore i rozmawiali —

albo raczej ona słuchała, ponieważ mówił przeważnie on — o polityce Afryki Zachodniej, rodzinie, domu, i kiedy się rozstawali, zawsze czuła się wzmocniona, podbudowana.

Kiedy Boubacar powiedział jej o stypendium na wydziale współczesnych nauk humanistycznych w Princeton, zaczęła zastanawiać się nad swoją przeszłością. Ogarnął ją niepokój. Coraz większe wątpliwości dotyczące jej bloga.

— Musisz spróbować. To w sam raz dla ciebie — powiedział.

— Nie jestem naukowcem. Nawet nie mam magistra.

— W tej chwili stypendystą jest muzyk jazzowy, niesamowicie błyskotliwy, ale ma tylko maturę. Szukają ludzi, którzy robią coś nowego, przekraczają granice. Wystąp o to stypendium i powołaj się na mnie. Musimy szukać nowych miejsc. Tylko w ten sposób coś się może zmienić.

Czuła się ujęta, siedząc naprzeciwko niego w kawiarni, i czuła między nimi życzliwe powinowactwo czegoś, co ich łączyło.

Boubacar często ją zapraszał, żeby przyszła na jego zajęcia, seminarium ze współczesnych spraw afrykańskich.

— Może znajdziesz jakiś temat do swojego bloga — powiedział.

I tak w dniu, w którym zaczęła się historia jej kłótni z Blaine'em, poszła na zajęcia Boubacara. Usiadła z tyłu, przy oknie. Na zewnątrz z wyniosłych, starych drzew opadały liście, chodnikiem śpieszyli okutani szalami ludzie z papierowymi kubkami w dłoniach, kobiety, zwłaszcza Azjatki, śliczne w obcisłych spódniczkach i botkach na wysokich obcasach. Studenci Boubacara wszyscy mieli przed sobą otwarte laptopy, na ekranach jarzyły się strony mailowe, przeglądarki Google, zdjęcia celebrytów. Od czasu do czasu otwierali Worda i wpisywali kilka słów Boubacara. Na oparciach krzeseł wisały ich kurtki, a mowa ich ciał, zgarbionych, lekko zniecierpliwionych, komunikowała: „Znamy już odpowiedzi”. Po zajęciach pójdą do kawiarni w bibliotece i kupią kanapki z czou z Afryki Północnej albo curry z Indii, w drodze na inne zajęcia grupa studentów będzie im rozdawać kondomy i lizaki, a wieczorem pójdą na podwieczorek, na którym prezydent z Ameryki Łacińskiej albo jakiś noblista będzie odpowiadał na ich pytania, jakby były bardzo ważne.

— Twoi studenci wszyscy buszowali po internecie — powiedziała Boubacarowi, kiedy szli do jego gabinetu.

— Nie wątpię w swoją obecność, ci studenci. Wierzą, że powinni tu być, że sobie na to zasłużyli i za to płacą. *Au fond*, wszystkich nas kupili. To klucz do amerykańskiej wielkości, cała ta nieposkromiona pycha — powiedział Boubacar, w czarnym, filcowym berecie na głowie, z rękami w kieszeniach kurtki. — Dlatego nie rozumieją, że powinni być wdzięczni, że mają mnie przed sobą.

Weszli właśnie do gabinetu, kiedy do uchylonych drzwi ktoś zapukał.

— Proszę — powiedział Boubacar.

Wszedł Kavanagh. Ifemelu spotkała go kilka razy, adiunkta na wydziale historii, który jako dziecko mieszkał w Kongo. Miał kręcone włosy i wredny charakter; wydawało się, że o wiele bardziej nadaje się do relacjonowania niebezpiecznych wojen w odległych krajach niż wykładania historii magistrantom. Stał w drzwiach i oznajmił Boubacarowi, że idzie na urlop naukowy i następnego dnia wydział zamawia dla niego kanapki na pożegnalny lunch; mają być też eleganckie, z lucerną.

— Jak mi się będzie bardzo nudzić, może wpadnę — powiedział Boubacar.

— Też powinnaś przyjść — rzekł Kavanagh do Ifemelu. — Zapraszam.

— Przyjdę — odparła. — Darmowy lunch to zawsze dobra rzecz.

Kiedy wyszła z gabinetu Boubacara, dostała wiadomość od Blaine'a: „Słyszałaś o panu White z biblioteki?”.

W pierwszej chwili pomyślała, że pan White zmarł; nie zrobiło jej smutno i poczuła się winna. Pan White był ochroniarzem w bibliotece, który siedział przy wyjściu i sprawdzał

tylną okładkę każdej książki. Miał kaprawe oczy i skórę tak ciemną, że niemal granatową. Tak się przyzwyczaiła, że widzi go tylko, jak siedzi, samą głowę i tors, że gdy pierwszy raz

ujrzała go idącego, zrobiło się jej smutno: szedł przygarbiony, jakby przygniatały go nieustanne straty.

Blaine zaprzyjaźnił się z nim przed laty i czasem, kiedy miał przerwę, przystawał, żeby z nim porozmawiać. „To chodząca historia”, powiedział jej Blaine. Kilka raz spotkała pana White’a.

„Czy ona ma siostrę?”, pytał pan White Blaine’a, pokazując na nią. Albo mówił: „Jesteś zmęczony, stary. Ktoś ci się nie daje wyspać?” i robił to w sposób, który Ifemelu uważała za niewłaściwy. Kiedy podawała mu rękę, pan White ścisnął jej palce bardzo wymownie, a ona cofała dłoń i do końca rozmowy unikała jego wzroku. W jego uścisku było jakieś roszczenie, pożądlivość i za to zawsze czuła do pana White’a niechęć, ale nigdy nie powiedziała o tym

Blaine’owi, bo wstydziła się tej niechęci. W końcu pan White był tylko starym czarnym człowiekiem udreńczonym przez życie i żałowała, że nie może mu wybaczyć zbyt swobodnego zachowania.

— Śmieszne, ale nigdy nie słyszałam, jak mówisz po afroamerykańsku — powiedziała do Blaine’a, kiedy pierwszy raz słyszała, jak rozmawia z panem White’em. Jego składnia była inna, intonacja bardziej rytmiczna.

— Chyba za bardzo przywykłem do mojego głosu Biali na Ciebie Patrzę — odparł. —

A wiesz, że młodzi czarni już prawie w ogóle nie używają różnej mowy? Ci z klasy średniej nie znają afroamerykańskiego, a dzieciaki z gett mówią wyłącznie po afroamerykańsku i nie mają tej płynności, co moje pokolenie.

— Napiszę o tym w blogu.

— Wiedziałem, że to powiesz.

Odpisała Blaine’owi: „Nie, co się stało? Pan White dobrze się czuje? Skończyłeś już?”

Może kanapkę?”.

Blaine zadzwonił do niej i poprosił, żeby czekała na niego przy Whitney i już po kilku chwilach zobaczyła, jak idzie —

szybko poruszająca się, szczupła sylwetka w szarym swetrze.

— Cześć — powiedział i pocałował ją.

— Ładnie pachniesz — odparła, a on pocałował ją raz jeszcze.

— Przeżyłaś zajęcia u Boubacara? Chociaż nie było porządnych croissantów, ani *pain au chocolat*?

— Przestań. Co się stało panu White'owi?

Kiedy, trzymając się za rękę, szli na bajgla do baru z kanapkami, opowiedział jej, jak przyjaciel pana White'a, czarny, wczoraj wieczorem przyszedł do niego i stali obaj przed biblioteką. Pan White dawał mu kluczyki do samochodu, bo ten przyjaciel chciał pożyczyć jego samochód, a przyjaciel dał panu White'owi jakieś pieniądze, które pan White pożyczył mu wcześniej. Biała pracownica biblioteki to widziała i uznała, że dwaj czarni handlują narkotykami i zadzwoniła do kierowniczk. Kierowniczka zadzwoniła na policję. Policja przyjechała i zabrała pana White'a na przesłuchanie.

— O mój Boże — powiedziała Ifemelu. — I co? Wypuścili go?

— Tak, jest już przy swoim biurku. — Blaine umilkł. — Myślę, że takie rzeczy go nie dziwią.

— I na tym polega tragedia — powiedziała Ifemelu i zorientowała się, że powtarza słowa Blaine'a: czasem słyszała w swoim głosie echo jego słów.

Na tym polega tragedia Emmetta Tilla, powiedział jej kiedyś, rzecz nie w tym, że czarny chłopak został zamordowany, bo gwizdał na białą kobietę, ale że niektórzy czarni myśleli: „Ale dlaczego gwizdał?”.

— Chwilę z nim rozmawiałem. Po prostu zbagatelizował całą sprawę, powiedział, że to nic wielkiego, i wolał rozmawiać o swojej córce, o którą się naprawdę martwi. Mówi, że chce rzucić szkołę. Więc postanowiłem, że będę jej dawał korepetycje. Umówiłem się z nią w następny poniedziałek.

— Blaine, to już twoje siódme korepetycje — powiedziała. — Będziesz uczył całe getto w New Haven?

Wiał wiatr i Blaine mrużył oczy, obok nich Whitney Avenue pędziły samochody, a on obrócił się i spojrzął na nią.

— Żałuję, że nie mogę — powiedział cicho.

— Po prostu chciałabym, żebyśmy spędzali razem więcej czasu — rzekła i objęła go w pasie ramieniem.

— Zachowanie tej uczelni to kompletna bzdura. Głupi błąd, który nie miał rasistowskiego podtekstu? Czyżby? Zastanawiam się, czy nie zorganizować jutro protestu, zwołać ludzi, niech powiedzą, że to nie w porządku. Nie tutaj.

Wiedziała, że już postanowił, a nie tylko się zastanawiał. Usiadł przy stoliku obok drzwi, a ona poszła złożyć zamówienie, nawet go nie pytając, na co ma ochotę, bo tak do niego przywykła, do tego, co lubi. Kiedy wróciła z plastikową tacą — kanapka z tuńczykiem dla niej, wegetariański wrap dla niego i dwie porcje niesolonych frytek — siedział z telefonem przyciśniętym do ucha. Do wieczora zdążył zadzwonić, powysyłać maile i esemesy, wieść się rozeszła i jego telefon dzwonił, wygrywał melodyjki i pipał, sygnalizując odpowiedzi ludzi, którzy mówili, że idą z nim. Jeden student zadzwonił z pytaniem, co powinien napisać na plakatach; inny informował lokalne stacje telewizyjne.

Rano, przed wyjściem na zajęcia, Blaine powiedział do niej:

— Nie mam żadnych przerw między zajęciami, więc spotkamy się w bibliotece. Wyślij mi wiadomość, że już idziesz.

Nie rozmawiali o tym, on po prostu założył, że ona też tam będzie, więc powiedziała tylko: „OK”.

Ale nie poszła. I nie dlatego, że zapomniała. Blaine może by jej wybaczył, gdyby zwyczajnie zapomniała, gdyby się zaczytała albo była zbyt pochłonięta pisaniem bloga i protest zwyczajnie wypadłby jej z głowy. Ale ona nie zapomniała. Wolą iść na pożegnalny lunch Kavanagha, zamiast stać przed uniwersytecką biblioteką i trzymać jakiś plakat. Blaine nie będzie zbyt oburzony, pocieszała się. Nawet jeśli czuła się trochę niezręcznie, nie zdawała sobie z tego sprawy do czasu, kiedy siedziała w sali z Kavanagh i Boubacarem, i

innymi profesorami, popijając z butelki sok żurawinowy i słuchając, jak młoda kobieta opowiada o swojej zbliżającej się okresowej ocenie, a esemesy od Blaine'a dosłownie zalewały jej telefon. „Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało? Przyszło bardzo dużo ludzi, szukam cię. Shan zrobiła mi niespodziankę i przyjechała! Nic ci nie jest?” Wyszła wcześniej i wróciła prosto do mieszkania; leżąc w łóżku napisała do Blaine'a, że przeprasza, właśnie się obudziła z trochę przydługiej drzemki. „OK.

Wracam do domu”.

Wszedł i objął ją z siłą i ekscytacją, która razem z nim weszła do mieszkania.

— Brakowało mi ciebie. Naprawdę chciałem, żebyś tam była. Tak się ucieszyłem, kiedy przyszła Shan — powiedział, trochę zbyt przejęty, jakby to był jego osobisty triumf. — To było jak mini-Ameryka. Biali studenci, czarni, Azjaci, Latynosi. Córka pana White'a też była, fotografowała jego zdjęcia na plakatach, a ja czułem, że wreszcie może odzyskać trochę swojej godności.

— To cudownie — powiedziała.

— Pozdrowienia od Shan. Jest już w pociągu do domu.

Blaine dowiedział się bez trudu; może niechcący ktoś z obecnych na lunchu coś mu napomknął, ale ona nigdy się nie dowiedziała, jak było. Następnego dnia przyszedł i popatrzył na nią, oczy połyskiwały mu srebrzyście.

— Okłamałaś mnie.

Powiedział to z takim przerażeniem, że zaniemówiła, jakby nigdy wcześniej nie przypuszczał, że może go okłamać. Chciała powiedzieć: „Blaine, ludzie kłamią”. Ale powiedziała:

— Przepraszam.

— Dlaczego?

Patrzył na nią, jakby wyszarpała z niego jego niewinność i przez chwilę go nienawidziła, tego człowieka, który zjadał po niej ogryzki jabłek i nawet z tego czynił akt moralny.

— Nie wiem dlaczego, Blaine. Po prostu mi się nie chciało. Nie przypuszczałam, że aż tak ci będzie zależało.

— Nie chciało ci się?

— Przepraszam. Powinnam ci była powiedzieć o lunchu.

— Dlaczego lunch był nagle taki ważny? Przecież prawie nie znasz tego kolegi Boubacara! — powiedział z niedowierzaniem. — Wiesz co, nie wystarczy pisać bloga, trzeba jeszcze żyć zgodnie z tym, w co się wierzy. Ten blog to zwykła zabawa i nie traktujesz go poważnie, zupełnie jakbyś wybierała interesujące zajęcia wieczorowe, żeby zebrać punkty.

W jego głosie wyczuła subtelne oskarżenie, nie tylko o to, że jest leniwa, brak jej pasji i przekonania, ale także o jej afrykańskość; nie była wystarczająco wściekła, ponieważ była Afrykanką, a nie Afroamerykanką.

— Jesteś nie fair — powiedziała, ale on się od niej odwrócił, zimny i milczący.

— Czemu ze mną nie porozmawiasz? — zapytała. — Nie rozumiem, czemu to dla ciebie takie ważne.

— Jak możesz nie rozumieć? Chodzi o zasadę — powiedział i w tej chwili stał się dla niej obcy.

— Naprawdę mi przykro — powiedziała.

Poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Została spętana jego milczącą wściekłością. Jak jakaś zasada, abstrakcyjna rzecz, unosząca się w powietrzu, mogła tak bardzo ich poróżnić, odmienić Blaine'a? Wolałaby, żeby to było jakieś prymitywne uczucie, pasja, na przykład zazdrość albo zdrada.

Zadzwoiła do Araminty.

— Czuję się jak zagubiona żona, która dzwoni do szwagierki, żeby wyjaśniła, o co chodzi jej mężowi — powiedziała.

— Pamiętam, jak w liceum zbieraliśmy na coś pieniądze i na stole były jakieś ciastka i takie tam różne, i jak się brało ciastko, trzeba było wrzucić pieniądze do słoika; i wyobraź

sobie, że obudził się we mnie bunt i nie włożyłam tych pieniędzy, a Blaine się na mnie wściekł.

Pamiętam, jak sobie pomyślałam: hej, przecież to tylko ciastko. Ale myślę, że jemu chodziło o zasadę. Czasem potrafi być idiotycznie zasadniczy. Daj mu dzień, dwa, to mu przejdzie.

Ale minął dzień, potem drugi, a Blaine wciąż był zamknięty w swoim lodowatym milczeniu. Kiedy trzeciego dnia dalej nie odezwał się do niej słowem, spakowała małą torbę i wyszła. Nie mogła wrócić do Baltimore — jej mieszkanie było wynajęte, a meble w magazynie — dlatego pojechała do Willow.

Co wykładowcy uniwersyteccy rozumieją przez przywileje białych, albo jak beznadziejnie być biednym i białym, ale spróbujcie być biedni i niebiali. Więc ten facet powiedział do profesora Hunka: „Przywilej białego to nonsens. W jaki sposób jestem uprzywilejowany? Dorastałem w biednej, pieprzonej Wirginii. Jestem kmiotem z Appala chów. Moja rodzina żyje na zasiłku”. Tak. Ale przywilej zawsze jest względny. Teraz wyobraźcie sobie kogoś takiego jak on, równie biednego, z równie przetrwanym życiem, a potem zróbcie go czarnym. Gdyby obaj zostali zatrzymani za posiadanie narkotyków, jest bardziej prawdopodobne, że biały trafi na terapię, natomiast czarny raczej wyląduje w więzieniu.

Wszystko jest takie samo poza rasą. Sprawdźcie statystyki. Kmiot z Appalachów ma przetrwane, i to nie jest fajne, ale gdyby był czarny, miałby przetrwane do kwadratu. Powiedział też profesorowi Hunkowi: „Czemu zawsze musimy mówić o rasie? Nie możemy być zwyczajnie ludźmi?” A profesor Hunk odparł: „Dlatego właśnie istnieje przywilej, żebyś mógł tak mówić.

Tak naprawdę rasa jest dla ciebie nieistotna, bo nigdy nie stanowiła bariery. Czarni nie mają tego

wyboru. Czarny na ulicach Nowego Jorku nie chce myśleć o rasie, dopóki nie próbuje złapać taksówki, i nie chce myśleć o rasie, kiedy jedzie swoim mercedesem z dozwoloną prędkością, dopóki nie zatrzyma go glina”. Więc kmiot z

Appalachów nie ma przywileju klasy, ale ma cholerny przywilej rasy. Co wy na to? Zastanówcie się, drodzy czytelnicy, i podzielcie swoimi doświadczeniami. Zwłaszcza jeśli jesteście nieczarni.

PS Profesor Hunk właśnie zasugerował, żebym to zamieściła, test dla Białych Uprzywilejowanych, z prawami autorskimi pięknej kobiety o nazwisku Peggy McIntosh. Jeśli w większości odpowiecie nie, gratuluję, macie przywilej białych. Zapytacie, czemu to ma służyć.

Poważnie? Nie mam pojęcia. Chyba po prostu dobrze jest wiedzieć. Żebyście mogli od czasu do czasu poprawić sobie nastrój, na przykład kiedy jesteście przygnębieni. Oto test: Kiedy chcesz wstąpić do prestiżowego klubu towarzyskiego, zastanawiasz się, czy rasa ci to utrudni?

Kiedy idziesz sam na zakupy do eleganckiego sklepu, martwisz się, że ktoś będzie za tobą chodził i patrzył ci na ręce?

Kiedy włączasz jeden z wiodących kanałów TV albo otwierasz którąś z wiodących gazet, spodziewasz się zobaczyć albo przeczytać głównie o członkach innej rasy?

Czy martwisz się, że twoje dzieci nie będą miały książek i pomocy szkolnych o członkach swojej rasy?

Kiedy starasz się o kredyt, martwisz się, że z powodu twojej rasy możesz się okazać finansowo niepewny?

Jeśli klniesz albo ubierasz się niechlujnie, uważasz, że ludzie pomyślą, iż to dlatego, że Twoja rasa nie ma zasad moralnych, jest biedna albo niepiśmienna?

Jeśli dobrze sobie radzisz w jakiejś sytuacji, oczekujesz, iż powiedzą ci, że przynosisz zaszczyt swojej rasie? Albo nazwą cię „innym” od większości członków twojej rasy?

Jeśli krytykujesz rząd, martwisz się, że zostaniesz uznany za kulturalnego outsidera? Albo że ci powiedzą „wracaj do X”, gdzie X znajduje się poza Ameryką?

Jeśli jesteś źle obsłużony w eleganckim sklepie i prosisz o rozmowę z „przełożonym”, oczekujesz, że ten przełożony będzie członkiem innej rasy?

Jeśli zatrzymuje cię policjant z drogówki, zastanawiasz się, czy to ze względu na twoją rasę?

Jeśli zatrudnia cię Pozytywny Pracodawca, martwisz się, że współpracownicy pomyślą, iż jesteś niewykwalifikowany albo zatrudnili cię wyłącznie ze względu na twoją rasę?

Jeśli chcesz się przeprowadzić do dobrej okolicy, martwisz się, że zostaniesz źle przyjęty ze względu na twoją rasę?

Jeśli potrzebujesz porady prawnej albo medycznej, martwisz się, że twoja rasa może działać na twoją niekorzyść?

Kiedy używasz bielizny i plastrów w kolorze „nude”, z góry wiesz, że kolorystycznie nie będą pasować do twojej skóry?

ROZDZIAŁ 39

Ciocia Uju zaczęła uprawiać jogę. Stała na rękach i kolanach, z plecami wygiętymi w wysoki łuk, na jaskrawo niebieskiej macie rozłożonej na podłodze w piwnicy, a Ifemelu leżała na kanapie, jadła czekoladowy batonik i przyglądała się jej.

— Ile ich już zjadłaś? I od kiedy jadasz regularnie czekoladę? Myślałam, że ty i Blaine odżywiacie się wyłącznie organicznie, produktami fair trade.

— Kupiłam je na dworcu.

— Je? To znaczy ile?

— Dziesięć.

— Aj-aj! Dziesięć!

Ifemelu wzruszyła ramionami. Zjadła już wszystkie, ale tego nie powie cioci Uju.

Sprawiło jej przyjemność, kiedy kupowała batoniki w kiosku, tanie batoniki wypełnione cukrem i chemikaliami, i innymi genetycznie modyfikowanymi potwornościami.

— Och, więc ponieważ się kłócicie, zajadasz się czekoladą, której on nie lubi? —

zaśmiała się ciocia Uju.

Przyszedł Dike i popatrzył na matkę, z uniesionymi ramionami, w pozycji wojownika.

— Mamo, wyglądasz idiotycznie.

— Podobno niedawno któryś z twoich kolegów powiedział, że ta twoja matka jest seksowna. Właśnie dlatego.

Dike potrząsnął głową.

— Kuzyna, musisz coś zobaczyć na YouTube, jedno takie komiczne wideo.

Ifemelu wstała.

— Czy Dike mówił ci o aferze z komputerem w szkole? — zapytała ciocia Uju.

— Nie, a co się stało? — zapytała Ifemelu.

— W poniedziałek wezwał mnie dyrektor, żeby powiedzieć, że Dike włamał się do szkolnej sieci w sobotę. Chłopak, który był ze mną całą sobotę. Pojechaliśmy do Hartford odwiedzić Ozavise. Byliśmy tam przez cały dzień i chłopak nawet nie zbliżył się do komputera.

Kiedy zapytałam, czemu uważają, że to on, powiedzieli mi, że mają informacje. Wyobrażasz sobie? Obudzili się rano i postanowili oskarżyć mojego syna. Chłopak nawet nie zna się na komputerach. Myślałam, że jak wyjechaliśmy z tamtego buszu, mamy to już za sobą. Kweku chce, żebyśmy złożyli formalną skargę, ale według mnie to strata czasu. Powiedzieli, że już go nie podejrzewają.

— Nawet nie wiem, jak się włamywać — powiedział sucho Dike.

— Czemu zrobili coś tak okropnego? — zapytała Ifemelu.

— Bo najpierw zwała się winę na czarnego chłopaka — powiedział i roześmiał się.

Później opowiedział jej, jak jego koledzy mówią: „Hej, Dike, masz jakieś ziło?”, i jakie to zabawne. Powiedział jej o pastorze, białej kobiecie, która do białych dzieci mówi dzień dobry, a kiedy on podchodzi, wita go: „Cześć, brachu, jak leci?”.

— Mam wrażenie, że zamiast uszu wyrastają mi warzywa, jakieś wielkie brokuły —

powiedział ze śmiechem. — Więc oczywiście to ja musiałem się włamać do szkolnej sieci.

— Ci ludzie w twojej szkole to głupki — powiedziała Ifemelu.

— Zabawnie to mówisz, kuzyna, „głupki”. — Umilkł, a potem powtórzył: — Ci ludzie w twojej szkole to głupki.

Świetnie naśladował jej nigeryjski akcent. Opowiedziała mu o nigeryjskim pastorze, który

wygłaszał kazanie w kościele w Ameryce i powiedział „równno”, ale z powodu jego akcentu parafianie zrozumieli „gówno” i napisali do biskupa skargę. Dike się śmiał i śmiał bez końca.

Historyjka stała się jednym z ich stałych dowcipów.

— Hej, kuzyna. Chciałbym, żebyśmy dostali po gównno — mówił.

Przez dziewięć dni Blaine nie odbierał od niej telefonów. W końcu odebrał, głos miał

przytłumiony.

— Mogę przyjechać w weekend, ugotowalibyśmy ryż kokosowy? — zapytała.

Zanim się zgodził, wyczuła, że bierze oddech i zastanawiała się, czy zaskoczyło go, że miała odwagę zaproponować ryż kokosowy.

Przyglądała się, jak Blaine kroi cebulę. Patrzyła na jego długie palce i przypominała je sobie na swoim ciele, jak wodzi nimi po jej obojczykach, po ciemniejszej skórze wokół pępka.

Podniósł wzrok i zapytał, czy kroi cebulę odpowiednio grubo.

— Tak — powiedziała.

Pomyślała, że zawsze wie, jak grubo trzeba pokroić cebulę, i robi to precyzyjnie; i jak zawsze gotuje na parze ryż, chociaż tym razem ona to robiła. Rozbił o zlew orzech kokosa i najpierw wylał z niego płyn, a dopiero potem nożem zaczął

wybierać biały miąższ. Ręce jej się trzęsły, kiedy wrzucała ryż do wrzącej wody, i patrząc, jak wąskie ziarenka basmati zaczynają pęcznieć, zastanawiała się, czy to się uda, ich pojednawczy posiłek. Sprawdziła kurczaka na piecu. Kiedy podniosła pokrywkę, rozeszła się woń przypraw — imbiru, curry i liści laurowych

— i niepotrzebnie powiedziała, że wygląda dobrze.

— Nie przesadzam z przyprawami, jak ty masz w zwyczaju — powiedział.

Przez chwilę odczuwała gniew i chciała mu powiedzieć, że to z jego strony nie fair, iż tak długo nie potrafi jej wybaczyć, ale zamiast tego zapytała, czy nie trzeba dodać trochę wody.

Dalej tarł kokos i nic nie powiedział. Patrzyła, jak kokos zamienia się w białe wiórki; zrobiło się jej smutno na myśl, że już nigdy nie stanie się na powrót całym orzechem kokosowym, i przytuliła się do Blaine'a od tyłu, obejmując ramionami jego pierś i czując przez bluzę ciepło jego ciała, ale on wyswobodził się i powiedział, że musi skończyć, zanim ryż się rozgotuje.

Przeszła przez salon i przez okno popatrzyła na wieżę zegarową, wysoką i wyniosłą, imponującą na tle budynków kampusu Yale, i zobaczyła pierwsze płatki śniegu, wirujące w wieczornym powietrzu, jakby ktoś rozrzucał je z góry, i przypomniała sobie pierwszą zimę z Blaine'em, kiedy wszystko wydawało się lśniące i nieskończenie nowe.

Ameryka oczami nieamerykańskich czarnych:

Kilka słów wyjaśnienia, jak należy rozumieć pewne rzeczy 1. Z całej swojej plemienności Amerykanie najbardziej są oswojeni z rasą. Kiedy podczas rozmowy z Amerykaninem chcemy poruszyć interesującą nas kwestię rasową, a Amerykanin mówi: „Och, uproszczeniem jest mówić, że chodzi o rasę, rasizm jest o wiele bardziej skomplikowany”, daje nam znak, że powinniśmy się zamknąć. Bo oczywiście rasizm jest skomplikowany. Wielu abolicjonistów chciało dać niewolnikom wolność, ale nie chcieli, żeby czarni mieszkali w ich okolicy. W dzisiejszych czasach wielu ludzi nie ma nic

przeciwko czarnej niani albo czarnemu kierowcy limuzyny. Ale czarny szef to dla nich zdecydowanie za dużo.

Uproszczeniem jest mówić: „To skomplikowane”. Ale zamknijcie się mimo to, zwłaszcza jeśli chcecie, żeby ten Amerykanin dał wam pracę albo w czymś wam pomógł.

2. Różni ludzie różnie rozumieją dywersyfikację. Jeśli biały mówi, że okolica jest zróżnicowana, ma na myśli, że w dziewięciu procentach zamieszkała jest przez czarnych. (Jeśli ta liczba wzrasta do dziesięciu procent, biali się wyprowadzają). Jeśli czarny mówi, że okolica jest zróżnicowana, ma na myśli czterdzieści procent czarnych.

3. Czasem mówiąc „kultura” mają na myśli „rasę”. Kiedy mówią, że film zalicza się do głównego nurtu, chcą powiedzieć: „Białym się podoba” albo: „Biali go zrobili”. Kiedy mówią

„miejski”, mają na myśli czarnych i biednych, potencjalnie niebezpiecznych i ekscytujących.

„Rasowo naznaczony” oznacza, że czujemy się niezręcznie mówiąc „rasistowski”.

ROZDZIAŁ 40

Do końca ich związku już się nie kłócili, ale w okresie, gdy Blaine zachowywał się lodowato, a Ifemelu zamknęła się w sobie i objadała czekoladowymi batonami, jej uczucia do niego uległy zmianie. Wciąż go podziwiała, jego moralne zasady, życie według jasnych reguł, ale teraz był to podziw osoby, która nie była nią, obserwowała wszystko z daleka. Jej ciało też się zmieniło. W łóżku nie zwracała się ku niemu przepełniona czystym pożądaniem, jak było dawniej, a kiedy po nią sięgał, w pierwszym odruchu chciała się odsunąć. Często się całowali, ale ona zawsze mocno zaciskała usta; nie chciała czuć w sobie jego języka. Ich związek był

wyplukany z namiętności, ale pojawiła się nowa, niewyływająca z nich, która jednoczyła ich w bliskości, jakiej nigdy wcześniej nie znali, nieokreślona, niewypowiedziana, intuicyjna bliskość: Barack Obama. Bez

ponaglania, cienia wątpliwości i kompromisów zgadzali się co do Baracka Obamy.

Z początku, chociaż chciałyby, żeby Ameryka wybrała czarnego człowieka na swojego prezydenta, uważała to za niemożliwe i nie wyobrażała sobie Obamy w roli prezydenta Stanów Zjednoczonych; wydawał się jej zbyt delikatny, zbyt chudy, był człowiekiem, którego pokona byle powiew wiatru. Hillary Clinton była mocniejsza. Ifemelu lubiła oglądać Clinton w telewizji, w kwadratowych spodniach, z maską determinacji, skrywaną urodą, bo tylko w ten sposób mogła przekonać świat, że się nadaje. Ifemelu ją lubiła. Życzyła jej zwycięstwa, powodzenia, aż do dnia, w którym wzięła książkę Baracka Obamy *Odziedziczone marzenia*, którą Blaine właśnie skończył czytać i zostawił na półce, z pozaginаныmi kilkoma kartkami. Obejrzała zdjęcia na okładce, młodej Kenijki patrzącej tępo w obiektyw, obejmującej ramionami syna i młodego Amerykanina, zawadiackiego, z córką przytuloną do piersi. Ifemelu wspominała później chwilę, kiedy zdecydowała się przeczytać książkę. Żeby zobaczyć. Pewnie by jej nie przeczytała, gdyby Blaine ją jej polecił, ponieważ coraz częściej unikała książek, które jej polecał. Ale tej nie polecił, po prostu zostawił ją na półce, obok innych książek, które przeczytał, ale do których zamierzał wrócić. Przeczytanie *Odziedziczonych marzeń* zajęło jej półtora dnia. Czytała, siedząc na kanapie, z głośnika iPod'a Blaine'a płynęła muzyka Niny Simone. Ifemelu wciągnął i poruszył

człowiek, którego poznała na stronach książki, intrygujący i inteligentny, dobry człowiek, całkowicie, beznadziejnie, ujmująco ludzki. Przypomniało się jej określenie, którego używał

Obinze, mówiąc o ludziach, których lubił: *obi ocha* — „czyste serce”. Uwierzyła w Baracka Obamę. Kiedy Blaine wrócił do domu, usiadła przy stole jadalnym i patrząc, jak sieka w kuchni świeżą bazylię, odezwała się:

— Gdyby tylko człowiek, który napisał tę książkę, mógł zostać prezydentem Ameryki.

Nóż Blaine'a przestał się poruszać. Blaine popatrzył na nią, z błyskiem w oczach, jakby nie śmiał żywić nadziei, że ona

uwierzy w to samo, w co wierzył on, i poczuła, że budzi się między nimi wspólna namiętność. Siedzieli objęci na kanapie i oglądali w telewizji, jak Barack Obama wygrywa prawyborcy w Iowa. Pierwsza bitwa i od razu wygrana. Ich nadzieja promieniała, zamieniała się w możliwość. Obama naprawdę mógł wygrać. A potem jak na zawołanie zaczęli się martwić. Martwili się, że coś mu przeszkodzi, wykolei jego rozpedzony pociąg. Każdego ranka Ifemelu budziła się i sprawdzała, czy Obama wciąż żyje. Czy nie wybuchł

żaden skandal, nie wypłynęła żadna wykopana z przeszłości historia. Włączała komputer, wstrzymując oddech, z sercem walącym w piersi, a potem, już spokojna, że Obama wciąż żyje, czytała najnowsze doniesienia o nim, szybko i żarłocznie, szukając informacji i zapewnień, minimalizując okienko za okienkiem na ekranie. Czasem aż się skręcała, kiedy w chatroomach

czytała posty na temat Obamy, i wstawiała, i odchodziła od komputera, jakby to sam laptop był

wrogiem, i stawiała przy oknie, żeby nawet przed samą sobą ukryć łzy. „Jak mała może zostać prezydentem?” „Niech ktoś zrobi dobry uczynek i wsadzi temu gościowi kulkę”. „Niech wraca do afrykańskiej dżungli”. „Czarny facet nigdy nie zasiądzie w Białym Domu; stary, Biały Dom nie nazywa się tak bez powodu”. Próbowała sobie wyobrazić ludzi, którzy to pisali, podpisując się SuburbanMom231 albo NormanRockwellRocks, jak siedzą przy swoich biurkach, z kubkiem kawy obok, dziećmi, które zaraz wrócą ze szkoły, nieświadome i niewinne. Przy tych chatroomach jej blog wydawał się nieważny, jak komedia obyczajowa, łagodna satyra świata, o którym można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest łagodny. Nie pisała w nim o nikczemności, która zdawała się mnożyć każdego ranka, kiedy się logowała w pojawiających się coraz to nowszych chatroomach, coraz bardziej zjadliwych, bo wtedy musiałaby szerzyć głos ludzi, którzy nienawidzili nie człowieka, którym był Barack Obama, ale idei, że mógłby zostać prezydentem. Zamiast tego pisała o jego stanowisku politycznym, w powracającym poście zatytułowanym „Dlaczego Obama robi to lepiej”, często dodając linki do jego strony internetowej, i blogowała też o

Michelle Obamie. Zachwycała się niekonwencjonalnym poczuciem humoru Michelle, pewnością w ruchach jej ciała o długich kończynach; rozpaczła, kiedy Michelle Obama w wywiadach wypadła nieciekawie, płasko, oziębłe. Mimo to, w przesadnie wygiętych łukach brwi Michelle Obamy, w pasku noszonym wyżej, niż wymagała tego tradycja, dostrzegała przebłysk dawnej siebie. To właśnie przyciągało Ifemelu, ten brak pokory, obietnica szczerości.

— Jeśli wyszła za Obamę, nie może być taka zła — żartowała często z Blaine'em, a on odpowiadał:

— Prawda, cała prawda, tylko prawda.

Dostała maila z adresu princeton.edu i jeszcze zanim go przeczytała, ręce trzęsły się jej z podniecenia. Jako pierwsze zauważyła „z przyjemnością”. Przyznali jej stypendium badawcze.

Nieźle płacili, wymagali niewiele: miała mieszkać w Princeton, korzystać z biblioteki i pod koniec roku wygłosić publicznie wykład. Wydawało się to zbyt dobre, żeby było prawdziwe, było przepustką do amerykańskiego królestwa. Razem z Blaine'em pojechali do Princeton pociągiem, żeby poszukać mieszkania, i miasto ją zaskoczyło — swoją zielonością, spokojem i wdziękiem.

— Robiłem w Princeton licencjat — powiedział jej Blaine. — Było wtedy niemal bukoliczne. Pojechałem je zwiedzić i pomyślałem, że jest piękne, ale zwyczajnie nie wyobrażałem sobie, że mógłbym się tam przenieść.

Ifemelu rozumiała, co miał na myśli, nawet teraz, kiedy miasto się zmieniło, i według słów Blaine'a, kiedy mijali rzędy lśniących sklepów, stało się „kapitalistycznie, agresywnie konsumenckie”. Czuła podziw i zagubienie. Podobało się jej mieszkanie niedaleko Nassau Street; okno sypialni wychodziło na kępę drzew i przechadzała się po pustym pokoju, myśląc o swoim nowym początku, bez Blaine'a, lecz mimo to niepewna, czy o takim nowym początku marzy.

— Nie wprowadzę się tu do czasu wyborów — powiedziała.

Blaine kiwnął głową, jeszcze zanim skończyła mówić: oczywiście, że się nie wyprowadzi, dopóki nie ujrzą, jak Barack Obama odnosi swoje zwycięstwo. Blaine pracował ochotniczo przy kampanii Obamy, a ona zaabsorbowana słuchała jego opowieści o wszystkich drzwiach, do których pukał, i ludziach, których za nimi zastawał. Któregoś dnia wrócił

i opowiedział jej o starszej czarnej kobiecie, z twarzą pomarszczoną jak suszona śliwka, która stała oparta o swoje drzwi, jakby inaczej miała się przewrócić.

— Nie wierzę, że do tego dojdzie jeszcze nawet za życia mojego wnuczka — powiedziała mu.

Ifemelu napisała o tym w swoim blogu, opisując srebrzyste pasma we włosach kobiety, palce drżące od parkinsona, jakby sama była tam z Blaine'em. Wszyscy jego znajomi popierali Baracka Obamę, z wyjątkiem Michaela, który zawsze nosił przypięty na piersi znaczek Hillary Clinton, i kiedy się spotykali, Ifemelu nie czuła się już wykluczona. Nawet niesprecyzowany niepokój, jaki odczuwała w towarzystwie Pauli, częściowo gburowaty, częściowo niepewny, zniknął. Spotykali się w barach, w mieszkaniach, rozmawiali o szczegółach kampanii, wykpiwając głupotę wiadomości prasowych. Czy Latynosi zagłosują na czarnego? Czy on umie grać w kręgle? Czy jest patriotą?

— Czy to nie śmieszne, kiedy mówią „czarni chcą Obamy” i „kobiety chcą Hillary”, ale co z czarnymi kobietami? — powiedziała Paula.

— Kiedy mówią „kobiety”, automatycznie mają na myśli „białe kobiety”, to oczywiste —

stwierdziła Grace.

— Nie jestem w stanie pojąć, jak można mówić, że Obama korzysta na tym, że jest czarny — powiedziała Paula.

— To skomplikowane, ale tak jest, podobnie jak Clinton korzysta na tym, że jest białą kobietą — rzekł Nathan, nachylając się do przodu i, jeszcze szybciej niż zwykle,

mrugając oczami. — Gdyby Clinton była czarna, jej gwiazda nie świeciłaby tak jasno. Gdyby Obama był

biały, jego gwiazda mogłaby, albo i nie, świecić tak jasno, ponieważ niektórzy biali zostali prezydentami, chociaż nie powinni byli, ale to nie zmienia faktu, że Obama nie ma zbyt wiele doświadczenia; ludzi podnieca, że jest czarny kandydat, który ma spore szanse.

— Chociaż jeśli wygra, przestanie być czarny, tak jak Oprah przestała być czarna, stała się po prostu Oprah — powiedziała Grace. — Może iść tam, gdzie nienawidzą czarnych, i da sobie radę. Nie będzie już czarny, będzie Obamą.

— Jeśli chodzi o to, że Obama korzysta, chociaż sama idea korzyści jest problematyczna, ale jeśli chodzi o to, że korzysta, to nie dlatego, że jest czarny, ale dlatego, że jest innym rodzajem czarnego — powiedział Blaine. — Gdyby Obama nie miał białej matki i nie wychowywaliby go biali dziadkowie, i nie miałby za sobą historii kenijskiej, indonezyjskiej i hawajskiej, dzięki czemu jest po trosze każdym, gdyby był zwykłym czarnym gościem z Georgii, byłoby inaczej. Ameryka zrobiłaby prawdziwy postęp, gdyby zwykły czarny gość z Georgii został prezydentem, czarny gość, który na studiach miał średnią trzy.

— Zgadza się — powiedział Nathan.

A Ifemelu ze zdziwieniem zauważyła, jacy wszyscy są zgodni. Ich przyjaciele, tak samo jak ona i Blaine wierzyli. Naprawdę wierzyli.

W dniu, w którym Barack Obama został nominowany przez Partię Demokratyczną, Ifemelu i Baine kochali się po raz pierwszy od wielu tygodni, a Obama był tam z nimi, trzecia emocjonalna obecność. Ona i Blaine jechali całymi godzinami, żeby posłuchać Obamy na żywo, stali, trzymając się za ręce w gęstym tłumie, z uniesionymi plakatami z wypisanym dużymi literami słowem ZMIANA. Koło nich czarny mężczyzna z roześmianym synkiem na ramionach, z buzią pełną mlecznych ząbków, u góry z jednym brakującym. Ojciec patrzył w górę, a Ifemelu wiedziała, że był oszołomiony własną wiarą,

oszołomiony, że wierzy w rzeczy, o których myślał, że nigdy nie nastąpią. Kiedy tłum eksplodował aplauzem, klaszcząc i gwizdząc, mężczyzna nie mógł klaskać, bo trzymał nóżki swojego synka, więc tylko uśmiechał się i uśmiechał, z twarzą nagle odmłodniałą z radości. Ifemelu patrzyła na niego i na ludzi wokół, wszystkich

promieniujących dziwnym blaskiem, wszystkich połączonych jedną nicią niewzruszonych uczuć.

Wierzyli. Naprawdę wierzyli. Często doznawała słodkiego szoku, uświadamiając sobie, że było tak wielu ludzi na świecie, którzy w stosunku do Baracka Obamy czuli dokładnie to samo co ona i Blaine.

Były dni, kiedy ich wiara sięgała nieba. Były też inne, kiedy ogarniała ich rozpacz.

— Nie jest dobrze — mruzczał Blaine, kiedy przeskakiwali z kanału na kanał, z których każdy pokazywał kazanie wygłoszone przez pastora Baracka Obamy, a słowa duchownego:

„Boże, przeklnij Amerykę” pojawiały się w snach Ifemelu.

Pierwsza przeczytała w internecie, że Barack Obama wygłosi przemówienie na temat rasy, w odpowiedzi na słowa swojego pastora, i Blaine'owi, który właśnie miał zajęcia, wysłała esemes. Jego odpowiedź była prosta: „Tak!”. Później, kiedy oglądała wystąpienie, siedząc między Blaine'em i Grace na kanapie w salonie, Ifemelu zastanawiała się, co tak naprawdę Obama myśli i co będzie czuł, leżąc tej nocy w łóżku, kiedy wokół będzie cicho i pusto.

Wyobrażała go sobie, chłopca, który wiedział, że jego babka boi się czarnych, teraz mężczyznę, który opowiada światu swoją historię, żeby się odkupić. Ta myśl trochę ją smuciła. Kiedy Obama przemawiał, pełen współczucia, spokojnie i równo, za jego plecami powiewały amerykańskie flagi, Blaine poruszył się, westchnął i oparł o kanapę.

— To niemoralne, żeby tak przyrównywać czarny smutek i biały strach — odezwał się w końcu. — To po prostu

niemoralne.

— To przemówienie nie miało rozpocząć dialogu o rasizmie, ono miało go zakończyć.

Może wygrać, tylko jeśli nie będzie o tym mówił. Wszyscy to wiemy — powiedziała Grace. —

Ale najpierw musi zostać prezydentem. Facet robi to, co musi. Przynajmniej z pastorem sprawa jest zamknięta.

Ifemelu też miała pragmatyczne podejście do przemówienia, ale Blaine odebrał je osobiście. W jego wierze pojawiły się pęknięcia i przez kilka dni był przybity; kiedy wracał

z porannego biegania, nie był jak zwykle radosny, tylko chodził, ciężko stąpając. Dopiero Shan nieświadomie wyciągnęła go z przygnębienia.

— Muszę na kilka dni pojechać do Nowego Jorku, żeby pobyć z Shan — powiedział

Ifemelu. — Właśnie dzwonił do mnie Ovidio. Shan ma doła.

— Ma doła?

— Nerwowe załamanie. Nie lubię tego określenia, to taka gadka w stylu starych bab. Ale tak nazwał to Ovidio. Całymi dniami leży w łóżku. Nie je. Bez przerwy płacze.

Ifemelu poczuła przypływ irytacji; nawet to uważała za kolejną sztuczkę Shan, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Ma naprawdę ciężki okres — powiedział Blaine. — Książka się nie sprzedaje, i w ogóle.

— Rozumiem — odparła Ifemelu, lecz mimo to nie czuła żadnego współczucia, co ją przerażało.

Może dlatego, że w pewnym sensie obwiniła Shan o jej kłótnię z Blaine'em, o to, że nie wytłumaczyła mu, że przesadza.

— Nic jej nie będzie — powiedziała Ifemelu. — Jest silna.

Blaine spojrzał na nią zaskoczony.

— Shan to najbardziej krucha osoba na świecie. Nie jest silna, nigdy nie była. Ale jest wyjątkowa.

Kiedy Ifemelu widziała się z nią ostatnio, miesiąc temu, Shan powiedziała:

— Wiedziałam, że ty i Blaine się pogodzicie.

Rzekła to tonem kogoś, kto mówi o ukochanym bracie, który właśnie wrócił do zażywania psychodelicznych narkotów.

— Czy Obama nie jest wspaniały? — zapytała Ifemelu w nadziei, że przynajmniej o tym mogą porozmawiać z Shan bez złośliwych podtekstów.

— Och, nie śledzę tych wyborów — odparła lekceważąco Shan.

— Czytałaś jego książkę? — zapytała Ifemelu.

— Nie. — Shan wzruszyła ramionami. — Byłoby dobrze, gdyby ktoś przeczytał moją książkę.

Ifemelu połknęła cisnące się jej na usta słowa: „Tu nie chodzi o ciebie. Ten jeden raz nie chodzi o ciebie”.

— Powinnaś przeczytać *Odziedziczone marzenia*. Wszystkie inne książki to dokumenty agitacyjne — powiedziała Ifemelu.

— Ta książka jest prawdziwa.

Ale Shan nie była zainteresowana. Mówiła o panelu, w którym uczestniczyła tydzień wcześniej na festiwalu pisarzy.

— Zapytali mnie o ulubionych autorów. Oczywiście wiem, że spodziewali się, iż wymienię głównie czarnych pisarzy i na pewno nie powiem im, że Robert Hayden jest miłością mojego życia, którą jest. Więc nie wymieniłam nikogo czarnego czy choć trochę kolorowego, o politycznych inklinacjach ani żadnego żyjącego. Wymieniałam, z niefrasobliwą beczelnością, Turgieniewa, Trollope’a i Goethego, ale żeby nie zaciągać zbyt wielkiego długu wdzięczności u martwych białych mężczyzn, bo to byłoby niezbyt oryginalne, dodałam też Selmę Lagerlöf.

I nagle nie wiedzieli, o co mnie dalej pytać, bo właśnie wyrzuciłam im przez okno scenariusz.

— To ci się udało — powiedział Blaine.

W wigilię wyborów Ifemelu nie mogła spać. — Nie śpisz? — zapytał ją Blaine. — Nie.

Tulili się do siebie w ciemności, w milczeniu, oddychając miarowo, aż wreszcie znaleźli się w stanie pół snu, pół jawy. Rano poszli do liceum; Blaine chciał być jednym z pierwszych, którzy oddali głos. Ifemelu patrzyła na ludzi, którzy już tam byli, jak ustawieni w kolejce czekali na otwarcie lokalu wyborczego, i chciała, żeby głosowali na Obamę. Czuła się jak w żałobie, że ona nie może. Jej podanie o obywatelstwo zostało zatwierdzone, ale przysięgę miała złożyć dopiero za kilka tygodni. Cały ranek była niespokojna, co chwila sprawdzała najnowsze doniesienia, a kiedy Blaine wrócił z zajęć, poprosił ją, żeby wyłączyła komputer i telewizor, by mogli odpocząć, odetchnąć, zjeść ugotowane przez niego risotto. Jeszcze nie skończyli jeść, kiedy Ifemelu włączyła komputer na nowo. Tylko żeby sprawdzić, że Obama żyje i nic mu nie jest.

Blaine przygotował dla przyjaciół bezalkoholowe drinki. Pierwsza przyszła Araminta, prosto z pociągu, z dwoma telefonami, na obu sprawdzając wiadomości. Potem zjawiała się Grace, w swoich falujących jedwabiach, w złotym szaliku na szyi.

— O mój Boże, z tych nerwów nie mogę odдыchać!

Michael przyniósł butelkę prosecco.

— Szkoda, że moja mama nie dożyła tego dnia, obojętnie jaki będzie wynik —

powiedział.

Paula i Pee, i Nathan przyszli razem i już po chwili wszyscy siedzieli, na kanapie i krzesłach, nie odrywając oczu od telewizora, popijając herbatę i drinki Blaine'a, powtarzając w kółko to, co już powiedzieli wcześniej: „Jeśli wygra w Indianie i Pensylwanii, to po sprawie.

Floryda wygląda nieźle. Dane z Iowa są sprzeczne”.

— W Wirginii do wyborów poszło bardzo dużo czarnych,
więc jest dobrze —

powiedziała Ifemelu.

— W Wirginii raczej nie ma szans — zauważył Nathan.

— Nie potrzebuje Wirginii — powiedziała Grace, a potem
wykrzyknęła: — O mój Boże, Pensylwania!

Na ekranie telewizora pojawił się wykres i zdjęcie Baracka
Obamy. Wygrał

w Pensylwanii i Ohio.

— McCain nie ma już szans — powiedział Nathan.

Chwilę później Paula siedziała obok Ifemelu, kiedy na ekranie
pojawiło się zdjęcie Obamy, że wygrał w Wirginii.

— O mój Boże — powiedziała Paula.

Drżącą ręką sięgnęła do ust. Blaine siedział wyprostowany i
bez ruchu, wpatrzony w telewizor, a potem rozległ się głęboki
głos Keitha Olbermana, którego przez ostatnie miesiące
Ifemelu obsesyjnie oglądała na MSNBC, głos ociekający
liberalną wściekłością: „Wszystko wskazuje na to, że Barack
Obama zostanie następnym prezydentem Stanów
Zjednoczonych”.

Blaine płakał obejmując Aramintę, która też płakała, potem
objął Ifemelu, ściskając ją zbyt mocno; Pee obejmowała
Michaela, Grace Nathana, Paula Aramintę, Ifemelu Grace i
cały pokój zamienił się w jeden wielki ołtarz pełnej
niedowierzania radości.

Ifemelu dostała wiadomość od Dike'a: „Nie mogę w to
uwierzyć. Mój prezydent jest czarny tak jak ja”. Przeczytała
tekst kilka razy, z oczami pełnymi łez.

W telewizji Barack Obama, Michelle Obama i ich dwie córki
wchodzili na estradę.

Niesieni byli wiatrem, skąpani w migotliwym świetle,
zwycięscy i uśmiechnięci, młodzi i starzy, bogaci i biedni,
demokraci i republikanie, biali, czarni, Latynosi, Azjaci,
rdzenni Amerykanie, geje, hetero, kalecy i zdrowi Amerykanie

posłali światu wiadomość, że nigdy nie byliśmy tylko zbieraniną czerwonych stanów i niebieskich stanów. Byliśmy i zawsze będziemy Stanami Zjednoczonymi Ameryki”.

Głos Baracka Obamy wznosił się i opadał, jego twarz wyrażała powagę, a wokół niego kłębił się ogromny i olśniewający tłum pełen nadziei. Ifemelu patrzyła jak urzeczona. W tym miejscu, w tej chwili nie było dla niej nic piękniejszego od Ameryki.

Ameryka oczami nieamerykańskich czarnych:

Przemyślenia o wyjątkowym białym przyjacielu

Jednym z prawdziwych darów dla zasklepionego w sobie czarnego jest Biały Przyjaciel Który Kuma. Niestety, nie trafia się tak często, jak można by sobie życzyć, ale bywają szczęśliwcy, którzy mają białego przyjaciela, któremu nie trzeba tłumaczyć tego całego gówna.

Oczywiście, trzeba go wykorzystać. Przyjaciele tacy jak on nie tylko kumają, ale też są wyposażeni we wspaniałe detektory bzdur, więc doskonale rozumieją, że mogą powiedzieć to, czego tobie nie wolno. I tak, w przeważającej części Ameryki pokutuje ukryte w sercach wielu przekonanie, że biali wyrabiają sobie pozycję w pracy i w szkole, natomiast czarni ją dostają, bo są czarni. Ale w rzeczywistości od początków Ameryki biali dostawali pracę, bo byli biali. Wielu białych z takimi samymi kwalifikacjami, ale skórą Murzyna nie dostałoby pracy, którą mają. Ale nigdy nie mów tego publicznie. Niech to powie twój biały przyjaciel. Jeśli przez pomyłkę ty to powiesz, zarzucą ci dziwactwo zwane „rozgrywanie rasistowską kartą”. Nikt tak naprawdę nie wie, co to znaczy.

Kiedy mój ojciec chodził do szkoły w moim nieamerykańskim czarnym kraju, wielu amerykańskich czarnych nie mogło głosować ani chodzić do dobrych szkół. Powód? Kolor skóry. Problemem był tylko kolor skóry. Dzisiaj wielu Amerykanów twierdzi, że kolor skóry nie może być częścią rozwiązania. Inaczej nazywa się to dziwacznie „odwróconym rasizmem”.

Poproś, by twój biały przyjaciel zauważył, że po części amerykańscy czarni byli jakby niesprawiedliwie trzymani

latami w więzieniu, ale potem nagle zostali uwolnieni, ale nie dostali pieniędzy na autobus. I tak przy okazji ty i ten, kto cię w tym więzieniu zamknął, automatycznie staliście się sobie równi. Jeśli pojawia się kwestia, że „niewolnictwo było dawno temu”, niech twój biały przyjaciel powie, że wielu białych wciąż dziedziczy pieniądze, stare rodzinne pieniądze. Skoro więc dziedziczenie wciąż istnieje, czemu nie ma też istnieć dziedziczenie niewolnictwa? I niech twój biały przyjaciel powie, jakie to zabawne, że amerykańscy ankieterzy pytają białych i czarnych, czy rasizm się skończył. Biali na ogół odpowiadają, że się skończył, natomiast czarni generalnie twierdzą, że nie. Naprawdę zabawne. Jakież propozycje, co jeszcze wasz biały przyjaciel mógłby powiedzieć? Proszę, piszcie. Zdrowie tych wszystkich białych przyjaciół, którzy kumają.

ROZDZIAŁ 41

Aisha wyjęła z kieszeni telefon, a potem włożyła go z powrotem z rozpaczliwym westchnieniem.

— Nie wiem, czemu Chijioke nie zadzwonił, że przyjdzie — powiedziała.

Ifemelu nie odpowiedziała. Ona i Aisha były teraz w salonie same; Halima właśnie wyszła. Ifemelu była zmęczona, bolały ją plecy, salon zaczynał ją mdlić, ze swoim stęchłym powietrzem i gnijącym sufitem. Dlaczego te afrykańskie kobiety nie potrafią utrzymać swojego salonu w czystości, zadbać o wentylację? Jej fryzura była już prawie gotowa, tylko z przodu sterczał jeszcze mały kosmyk, jak króliczy ogon. Z niecierpliwością czekała, żeby już wyjść.

— Jak dostałaś papiery? — zapytała Aisha.

— Słucham?

— Jak dostałaś papiery?

Ifemelu była tak zaskoczona, że nic nie powiedziała. Takie pytanie to świętokradztwo.

Imigranci nie wypytywali się nawzajem, jak dostali papiery, nie wchodzili w te prywatne, skrywane miejsca; wystarczył podziw, że papiery zostały przyznane, legalny status zdobyty.

— Ja, jak przyjechałam, próbowałam ożenić się z Amerykaninem. Ale ciągle miał

problemy, bez pracy, i codziennie chciał pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy — powiedziała Aisha potrząsając głową. — Jak dostałaś swoje?

Nagle irytacja Ifemelu znikła, a w jej miejsce pojawiło się delikatne poczucie wspólnoty, ponieważ Aisha nie zadała by jej tego pytania, gdyby nie była Afrykanką, i tę nową więź postrzegala jako kolejny dowód, że powinna wracać.

— Dzięki pracy — powiedziała. — Firma, w której pracowałam, zasponsorowała mi zieloną kartę.

— Och — westchnęła Aisha, jakby nagle zrozumiała, że Ifemelu należy do grupy osób, którym zielona karta po prostu spadła z nieba. Tacy jak ona nie mogli oczywiście liczyć na pomoc pracodawcy.

— Chijioke wygrał swoje papiery na loterii — powiedziała.

Wolno, niemal z uwielbieniem rozczesala kosmyk włosów, który miała zapleść.

— Co ci się stało w rękę? — zapytała Ifemelu.

Aisha wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Pojawia się i potem samo znika.

— Moja ciotka jest lekarzem. Zrobię zdjęcie twojej ręki i zapytam, co o tym myśli —

powiedziała Ifemelu.

Aisha w milczeniu skończyła pleść warkoczyk.

— Mój tata umarł. Nie jechać.

— Słucham?

— W zeszłym roku. Mój tata umarł i ja nie pojechać. Przez papiery. Ale może, jak Chijioke się ze mną ożeni, kiedy moja mama umrze, ja móc pojechać. Teraz jest chora. Ale posyłam jej pieniądze.

Przez chwilę Ifemelu nie wiedziała, co powiedzieć.

Beznamiętny ton Aishy, jej pozbawiona wyrazu twarz tytko

potęgowały jej tragedię.

— Przykro mi, Aisho — powiedziała.

— Nie wiem, czemu Chijioke nie przyjsć. Żeby ty z nim pomówiła.

— Nie martw się, Aisho. Będzie dobrze.

I nagle, kiedy to powiedziała, Aisha zaczęła płakać. Oczy jej się zamglily, usta otworzyły i coś strasznego stało się z jej twarzą: rozplynęła się w rozpacz. Dalej skręcała włosy Ifemelu, tymi samymi, niezmiennymi ruchami, a tymczasem jej twarz, jakby nie należała do reszty ciała, wciąż była zmarszczona, z oczu plynęły jej łzy, pierś unosiła się i opadała.

— Gdzie pracuje Chijioke? — zapytała Ifemelu. — Pójdę tam i porozmawiam z nim.

Aisha patrzyła na nią, ze łzami wciąż plynącymi po policzkach.

— Jutro pójdę i porozmawiam z Chijioke — powtórzyła Ifemelu. — Tylko powiedz mi, gdzie pracuje i o której ma przerwę.

Co ona wyprawia? Powinna wstać i wyjść, nie dać się wciągać w marazm Aishy, ale nie potrafiła tego zrobić. Niedługo wróci do Nigerii, zobaczy rodziców, do Ameryki będzie mogła przyjechać, kiedy zechce, a tu była Aisha, mając nadzieję, ale tak naprawdę nie wierząc, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy swoją matkę. Porozmawia z tym całym Chijioke. Przynajmniej tyle może zrobić.

Strzepnęła z ubrania włosy i wręczyła Aishy cienki zwitek dolarów. Aisha rozłożyła go w dłoni, szybko przeliczając, a Ifemelu zastanawiała się, ile z tego trafi do Mariamy, a ile zostanie Aishy. Zaczekała, aż Aisha włoży pieniądze do kieszeni, i dopiero wtedy dała jej napiwek. Aisha wzięła pojedynczy dwudziestodolarowy banknot, z już suchymi oczami i twarzą znowu pozbawioną wyrazu.

— Dziękuję.

Pomieszczenie wypełniała niezręczna atmosfera, a Ifemelu, jakby chcąc ją rozwiać, jeszcze raz obejrzała swoje włosy w

lustrze, lekko przyklepując, odwracając głowę na boki.

— Jutro pójde do Chijioke i zadzwonię do ciebie —
powiedziała.

Jeszcze raz otrzepała się z resztek włosów, jakie mogły zostać,
i rozejrzała się, czy niczego nie zapomniała.

— Dziękuję.

Aisha zbliżyła się do Ifemelu, jakby ją chciała objąć, ale
powstrzymała się. Ifemelu łagodnie uścisnęła ją za ramiona i
obróciła się do drzwi.

W pociągu zastanawiała się, jak zdoła przekonać mężczyznę,
który najwyraźniej nie miał

ochoty się zenić, żeby to jednak zrobił. Bolała ją głowa i
włosy na skroniach, i chociaż Aisha nie skrzyła ich zbyt
mocno, wciąż czuła, jak ją ciągną, napinają szyję i nerwy.
Marzyła, żeby znaleźć się w domu, wziąć długi, chłodny
prysznic, owinać włosy satynowym czepkiem i położyć się na
kanapie z laptopem. Pociąg zatrzymał się właśnie na stacji
Princeton, kiedy zadzwonił jej telefon. Stała na peronie,
żeby wygrzebać go z torby i w pierwszej chwili nie
zrozumiała, o co chodzi cioci Uju, która jednocześnie mówiła i
szlochała. A mówiła o *nwuchagokwa*, *Dike anwuchagokwa*.
Dike prawie umarł.

— Przedawkował pigułki i poszedł do piwnicy, i leżał tam na
kanapie! — powiedziała ciocia Uju, a głos jej się załamywał z
niedowierzania. — Nigdy nie schodzę do piwnicy, kiedy
wracam. Tylko rano ćwiczę tam jogę. To Bóg mi
podpowiedział, żebym dzisiaj zesza rozmrozić mięso z
zamrażarki. To był Bóg! Zobaczyłam, jak leży cały spocony,
cały mokry od potu i nagle wpadłam w panikę. Pomyślałam,
że to oni dali mojemu synowi narkotyki.

Ifemelu się trzęsła. Pociąg przemknął obok niej, a ona zatkala
drugie ucho palcem, żeby lepiej słyszeć głos cioci Uju. Ciocia
Uju mówiła „oznaki zatrucia wątroby” i Ifemelu zakrzusła
się tymi słowami, „zatrucie wątroby”, z mętlikiem w głowie,
w nagle pociemniałym powietrzu.

— Ifem? — zapytała ciocia Uju. — Jesteś tam?

— Tak. — Słowo jakby powędrowało długim tunelem. — Co się stało? Co dokładnie się stało, ciociu? Co ty mówisz?

— Połknął całą butelkę tylenolu. Jest na intensywnej terapii i wyjdzie z tego. Bóg jeszcze

nie chciał, żeby umarł, to wszystko — powiedziała ciocia Uju. Przez telefon było słycać, jak głośno wyciera nos. — Wiesz, że wziął też środki przeciw mdłościom, żeby lekarstwo zostało mu w żołądku? Bóg jeszcze nie chciał, żeby umarł.

— Przyjeżdżam jutro — powiedziała Ifemelu.

Długo stała na peronie i zastanawiała się, co robiła w chwili, kiedy Dike połykał tabletki.

CZEŚĆ 5

ROZDZIAŁ 42

Obinze często sprawdzał swojego BlackBerry, zbyt często, nawet kiedy w nocy wstawał

do toalety, i chociaż sam się z siebie naigrawał, to i tak nie mógł przestać. Cztery dni, minęły cztery pełne dni, zanim odpowiedziała. Przez to nieco ochłonał. Nigdy nie była wstydliva i normalnie odpisałaby znacznie wcześniej.

Tłumaczył sobie, że może jest zajęta, chociaż doskonale wiedział, jak wygodnym i niewygodnym powodem było mówienie, że ktoś jest

„zajęty”. A może się zmieniła w kobietę, która czeka cztery pełne dni, aby nie wyglądało, że jest zbyt chętna, i ta myśl jeszcze bardziej ostudziła jego oczekiwania. Mail od niej był serdeczny, ale zbyt krótki, pisała w nim, że się cieszy, lecz zarazem denerwuje, porzucając swoje dotychczasowe życie i wracając do domu, ale poza tym żadnych szczegółów. Kiedy dokładnie wracała? I z czym tak trudno było się jej rozstać? Po raz kolejny sprawdził w Google tego czarnego Amerykanina, w nadziei, że znajdzie jakiś wpis na blogu o zerwaniu, ale blog zawierał

tylko linki do publikacji naukowych. Jedna dotyczyła wczesnej muzyki hip-hop — rzucił na nią okiem w nadziei, że będzie głupia, ale okazała się na tyle interesująca, że

przeczytał ją do końca i jego niesmak wzrósł jeszcze bardziej. Absurdalnie, czarny Amerykanin stał się rywalem.

Obinze sprawdził na Facebooku. Kosi była na Facebooku aktywna, umieszczała zdjęcia i utrzymywała kontakt z ludźmi, ale on jakiś czas temu zlikwidował swój profil. Z początku był zafascynowany Facebookiem, duchami dawnych przyjaciół, którzy nagle powracali do życia, z żonami, mężami, dziećmi, zdjęciami opatrzonymi komentarzami. Ale poczucie nierzeczywistości zaczęło go przerażać, ta zaplanowana manipulacja obrazami w celu wykreowania równoległego życia, zdjęciami, które ludzie wrzucali na Facebooka celowo, w tle umieszczając rzeczy, z których byli dumni. Teraz reaktywował swój profil, żeby znaleźć coś o Ifemelu, ale nie miała profilu na Facebooku. Może była rozczarowana Facebookiem tak samo jak on. Sprawilo mu to nieokreśloną bliżej przyjemność, jako kolejny dowód, że są do siebie tacy podobni. Jej czarny Amerykanin był na Facebooku, ale jego profil był widoczny tylko dla przyjaciół i przez jedną szaloną chwilę Obinze zastanawiał się, czy nie wysłać mu zaproszenia, żeby tylko zobaczyć, czy zamieścił jakieś zdjęcia Ifemelu. Chciał poczekać kilka dni z odpowiedzią do niej, ale jeszcze tej samej nocy usiadł w swoim gabinecie i napisał do niej długiego maila o śmierci swojej matki. „Dopóki nie umarła, nigdy nie przeszło mi przez myśl, że umrze. Czy to ma sens?” Odkrył, że smutek nie blednie z czasem; stawał się tylko nie przewidywalny. Czasem ból był tak gwałtowny, jak tamtego dnia, kiedy zadzwoniła gosposia matki i powiedziała, że matka leży na łóżku i nie oddycha; kiedy indziej zapominał, że umarła, i planował, że polecą na wschód, żeby ją odwiedzić. Krzywo patrzyła na jego nowe bogactwo, jakby nie rozumiała świata, w którym ktoś może tak szybko zarobić tak dużo. Kiedy w charakterze niespodzianki kupił jej nowy samochód, oznajmiła mu, że stary peugeot 505

w zupełności jej wystarcza, a jeździła nim, odkąd Obinze był w liceum. Kazał dostarczyć jej samochód do domu, małą hondę, której nie uznałaby za zbyt ostentacyjną, ale przy każdej wizycie widział, że auto stoi w garażu, pokryte przejrzystą warstwą kurzu. Doskonale pamiętał

swoją ostatnią rozmowę z matką przez telefon, trzy dni przed jej śmiercią, kiedy była coraz bardziej zniechęcona pracą i życiem w kampusie.

— Nikt nie publikuje w zagranicznej prasie — powiedziała.
— Nikt nie jeździ na konferencje. Zupełnie jakbyśmy brodzili w płytkim, błotnistym stawie.

Napisał o tym w mailu do Ifemelu, jak smucił się, że matkę smuci jej praca. Uważał, żeby nie zabrzmiało to zbyt niezręcznie, kiedy opisywał, jak Kościół w jego rodzinnym mieście

zażądał od niego wielu składek przed pogrzebem, jak pracownicy firmy cateringowej ukradli mięso w czasie pogrzebu, zawijając kawałki wołowiny w świeże liście bananowca i wyrzucając je za mur, gdzie czekali ich wspólnicy, i jak jego krewni się tym przejęli. Unie sione głosy, rzucone oskarżenia, a jedna ciotka powiedziała: „Muszą zwrócić wszystkie ukradzione dobra, co do jednego!”. Ukradzione dobra. Matkę by ubawiło, że mięso stało się ukradzionym dobrem, i nawet to, że jej pogrzeb zakończył się awanturą o skradzione mięso. Dlaczego, pisał do Ifemelu, w naszych pogrzebach tak szybko zaczyna chodzić o coś innego, a nie osobę, która zmarła?

Dlaczego wieśniacy czekają na śmierć, żeby dopiero po niej szukać zemsty za dawne krzywdy, te prawdziwe i wyimaginowane, i czemu tak wszystko rozgrzebują, żeby dostać swój kawałek?

Odpowiedź Ifemelu przyszła po godzinie, chaotyczna, rozpaczliwa. „Płacę, kiedy to piszę. Czy wiesz, jak często marzyłam, żeby była moją matką? Była jedyną dorosłą osobą

—
z wyjątkiem cioci Uju — która traktowała mnie jak kogoś, czyje zdanie się liczy. Miałaś wielkie szczęście, że cię wychowywała. Była tym wszystkim, czym ja zawsze chciałam być. Tak mi przykro, Suficie. Wyobrażam sobie, jak bardzo musiałeś cierpieć i zapewne jeszcze czasem cierpisz. Jestem w Massachusetts z ciocią Uju i Dikiem i przechodzę właśnie przez coś, co w pewnym sensie sprawia mi podobny ból, ale

tylko w pewnym sensie. Proszę, podaj mi swój numer, żebym mogła zadzwonić — jeśli nie masz nic przeciwko.”

Jej mail go uszczęśliwił. Czuł się szczęśliwy, patrząc na swoją matkę oczami Ifemelu.

Dodał mu też odwagi. Zastanawiał się, o jakim bólu mówiła, i miał nadzieję, że jest spowodowany zerwaniem z czarnym Amerykaninem, chociaż nie chciał, żeby jej związek z nim miał dla niej aż takie znaczenie, żeby po jego zerwaniu odczuwała niemalże żalobę. Próbował

sobie wyobrazić, jak bardzo się zmieniła, zamerykanizowała, zwłaszcza po związku z Amerykaninem. Przez ostatnie lata u wielu wracających z Ameryki zaobserwował maniackalny optymizm, potakujący, wiecznie uśmiechnięty, przesadnie entuzjastyczny optymizm, który go nudził, bo był jak kreskówka, pozbawiony treści i głębi. Miał nadzieję, że ona się taka nie stała.

Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Poprosiła o jego numer. Nie przeżyłaby tak wieści o jego matce, gdyby wciąż czegoś do niego nie czuła. Znowu do niej napisał, podając jej swoje numery, trzy komórkowe, numer telefonu do biura i domowego. Maila zakończył słowami: „Dziwnie się czuję; ilekroć w moim życiu działo się coś naprawdę ważnego, tylko ty jedna mnie rozumiałaś”.

Kręciło mu się w głowie, ale gdy kliknął „Wyślij”, zaczął tego żałować. Było tego zbyt wiele i zbyt szybko. Nie powinien był pisać aż tak wymownie. Dzień po dniu obsesyjnie sprawdzał blackberry i wreszcie dziesiątego dnia zrozumiał, że ona nie odpisze.

Ułożył kilka maili z przeprosinami, ale nie wysłał ich, bo krępowało go przeproszanie za coś, czego nie umiał nazwać. Nigdy świadomie nie podjął decyzji o pisaniu do niej długich, szczegółowych maili. Twierdzenie, że brakowało mu jej zawsze, ilekroć coś ważnego działo się w jego życiu, było napuszone, wiedział o tym, ale nie było też do końca fałszywe. Oczywiście zdarzały się długie okresy, kiedy nie myślał o niej świadomie, jak na początku swojego zauroczenia Kosi, kiedy rodziło mu się dziecko, dostawał pierwszy kontrakt, ale nigdy

o niej nie zapomniał. Zawsze tkwiła na obrzeżach jego umysłu. Nawet w czasie, gdy zamilkła, a on rozgoryczony nie rozumiał, co się stało.

Zaczął pisać do niej o swoim pobycie w Anglii, mając nadzieję, że odpisze, a potem po prostu ciesząc się, że pisze. Nigdy sam sobie nie opowiedział swojej historii, nie pozwolił sobie zastanowić się nad nią, ponieważ zbyt był oszołomiony deportacją, a potem nagłośnością swojego nowego życia w Lagos. Pisząc do niej, po części pisał też do samego siebie. Nie miał nic do stracenia. Nawet jeśli czytała jego maile z czarnym Amerykaninem i naśmiewali się z jego głupoty, nie przejmował się tym.

W końcu odpisała.

Sufit, wybacz mi moje milczenie. Dike próbował popełnić samobójstwo. Nie chciałam Ci wcześniej o tym mówić (nie wiem dlaczego). Teraz jest z nim już znacznie lepiej, ale to było bardzo traumatyczne i przeżyłam to bardziej, niż mi się wydawało (rozumiesz, „próbował”

znaczy, że mu się nie udało, ale całymi dniami płaczę na myśl, co mogło się stać, gdyby jednak mu się udało). Wybacz, że nie zadzwoniłam z kondolencjami po śmierci Twojej mamy. Chciałam i jestem wdzięczna, że przysłałeś mi swój numer telefonu, ale akurat tego dnia byłam z Dikie'em u psychiatry, a potem nie miałam na nic siły. Miałam wrażenie, że coś mnie przytłacza. Ciocia Uju mówi, że mam depresję. Wiesz, że w Ameryce wszystko tłumaczą chorobą, na którą trzeba brać lekarstwa. Ja niczego nie zażywam, tylko spędzam dużo czasu z Dikie'em, oglądamy okropne filmy o wampirach i statkach kosmicznych. Twoje maile o Anglii były cudowne i bardzo dobrze mi zrobiły; nie wiem, jak Ci za nie dziękować. Mam nadzieję, że uda mi się opowiedzieć Ci o moim życiu — obojętnie kiedy. Właśnie skończyłam stypendium w Princeton, przez wiele lat pisałam anonimowego bloga o rasie, który potem stał się źródłem mojego utrzymania i możesz sobie poczytać archiwa. Odłożyłam swój przyjazd do domu. Będę w kontakcie. Trzymaj się. Mam nadzieję, że Ty i Twoja rodzina macie się dobrze.

Dike próbował się zabić. Trudno to zrozumieć. Pamiętał Dike'a jako małego brzdąca, w białym pampersie, który biegał po domu w Dolphin Estate. Teraz był nastolatkiem, który próbował się zabić. Obinze w pierwszej chwili chciał jechać do Ifemelu, natychmiast. Chciał

kupić bilet, wsiąść w samolot do Ameryki i być przy niej, pocieszyć ją, pomóc Dike'owi, wszystko naprawić. A potem zaczął się śmiać z własnych absurdalnych pomysłów.

— Kochanie, jesteś nieobecny — powiedziała do niego Kosi.

— Przepraszam, *omalicha*.

— Przestań myśleć teraz o pracy.

— OK, przepraszam. Co mówiłaś?

Jechali samochodem, zaproszeni przez Jonathana i Isiome na dzień otwarty w szkole w Ikoyi, do której chodził ich syn. Należeli z Kosi do tego samego Kościoła, i to ona wszystko zorganizowała. Odwiedzali już drugą szkołę, bo musieli się zdecydować, gdzie posła Buchi.

Obinze spotkał się z nimi tylko raz, kiedy Kosi zaprosiła ich na kolację. Isioma wydała mu się interesująca; odezwała się kilka razy i mądrze, ale przeważnie milczała, kuląc się, udając, że nie jest tak inteligentna jak w rzeczywistości, żeby nie urazić ego Jonathana, dyrektora banku, którego zdjęcia wciąż pojawiały się w gazetach i który zdominował cały wieczór, opowiadając rozwlekłe o interesach, jakie robi z biurami nieruchomości w Szwajcarii, o radach, jakich udziela nigeryjskim gubernatorom, i różnych firmach, które uratował przed upadkiem.

Przedstawił Obinze i Kosi dyrektorce szkoły, niskiej, okrągłej Angielce, mówiąc:

— Obinze i Kosi są naszymi bliskimi przyjaciółmi. Myślę, że ich córka może do nas dołączyć w przyszłym roku.

— Wielu wysoko postawionych ekspatriantów przyprowadza do nas swoje dzieci —

powiedziała dyrektorka tonem podszytym dumą, a Obinze był ciekaw, czy zawsze mówi takie rzeczy.

Zapewne na tyle często, by wiedzieć, jak to się sprawdza, jak wielkie wrażenie robi na Nigeryjczykach.

Isioma zapytała, dlaczego ich syn wciąż nie ma więcej zajęć z matematyki i angielskiego.

— Nasze podejście jest bardziej konceptualne. Wolimy, żeby w pierwszym roku dzieci

poznawały swoje otoczenie — odparła dyrektorka.

— Ale jedno nie powinno wykluczać drugiego. Mogą chyba zacząć już uczyć się matematyki i angielskiego — powiedziała Isioma. I dodała z rozbawieniem, pod którym jednak nie próbowała ukryć powagi: — Moja siostrzenica chodzi do szkoły na kontynencie i w wieku sześciu lat potrafi przeliterować „onomatopeja”.

Dyrektorka uśmiechnęła się oschle; jej uśmiech zdawał się mówić, że jest dla niej stratą czasu omawianie metod nauczania w gorszych szkołach. Później siedzieli w wielkim holu i oglądali bożonarodzeniowe przedstawienie w wykonaniu dzieci — o nigeryjskiej rodzinie, która w dzień Bożego Narodzenia znalazła na swoim progu sierotę. W połowie sztuki nauczycielka włączyła wentylator i na scenę posypały się drobinki waty. Śnieg. W sztuce padał śnieg.

— Po co ten śnieg? Uczą dzieci, że prawdziwe Boże Narodzenie jest tylko wtedy, kiedy pada śnieg, jak za granicą? — zapytała Isioma.

— Aj-aj, co w tym złego? — odparł Jonathan. — To tylko przedstawienie.

— Tylko przedstawienie, ale wiem, o co chodzi Isiomie — powiedziała Kosi i zwróciła się do Obinze: — Kochanie?

— Ta mała dziewczynka, która grała anioła, była bardzo dobra — powiedział Obinze.

W samochodzie Kosi powiedziała do niego:

— Myślami jesteś daleko stąd.

Przeczytał całe archiwum „Szczypty rasowości albo jak nieamerykański czarny widzi amerykańskich czarnych (dawniej znanych jako czarnuchy)”. Posty go zaskoczyły, były takie amerykańskie i obce, pisane prześmiewczym językiem, z elementami slangu, mieszaniną górnolotnego i prostego języka, i nie potrafił sobie wyobrazić, jak to pisała. Skręcało go, kiedy czytał wzmianki o jej chłopakach — Sexy Były Biały, profesor Hunk. Kilka razy przeczytał

„Właśnie tego wieczora”, ponieważ był to najbardziej osobisty post, jaki napisała o czarnych Amerykanach, i szukał w nich wskazówek, subtelności, jakim był człowiekiem, jaki związek ich łączył.

Więc w NY profesora Hunka zatrzymała policja. Myśleli, że ma narkotyki. Amerykańscy czarni i amerykańscy biali jednakowo zażywają narkotyki (sprawdźcie sobie), ale powiedzcie tylko „prochy” i przekonajcie się, z czym się wam skojarzy. Profesor Hunk jest zły. Mówi, że jest profesorem uniwersytetu Ligii Bluszczowej i wie, o co chodzi, i zastanawia się, co by czuł, gdyby był jakimś biednym dzieciakiem z getta. Żał mi mojego kochania. Kiedy się poznaliśmy, powiedział mi, że w szkole chciał mieć same szóstki przez białą nauczycielkę, która radziła mu, żeby „skupił się na stypendium z koszykówki, czarni są utalentowani fizycznie, a biali intelektualnie, nie ma w tym niczego złego ani dobrego, po prostu taka jest różnica” (powiem tylko, że ta nauczycielka studiowała w Columbii). Więc przez cztery lata udawał jej, że nie miała racji. Nie rozumiem tego; chceć coś osiągnąć, żeby czegoś dowieść. Ale mnie też było wtedy przykro. Więc poszłam i zrobiłam mu herbatę. I poradziłam, żeby pooglądał sobie telewizję edukacyjną.

Ponieważ znał ją w czasach, kiedy jeszcze niewiele wiedziała o rzeczach, o których pisała w blogu, miał wrażenie, że coś utracił, jakby stała się osobą, której już nie zna.

===b1lqUzFUZwE4CD4JaFlhU2pebFlsCGpSM1JmBz5baV
w=

CZEŚĆ 6

ROZDZIAŁ 43

Przez kilka pierwszych dni Ifemelu spała na podłodze w pokoju Dike'a. „Nic się nie stało.

Nic się nie stało.” Powtarzała sobie te słowa często, a mimo to niekończące się, nawracające myśli o tym, co mogło się być stać, kotłowały się jej w głowie. Gdzieś głęboko otworzyła się rana, która już nigdy się nie zablizni. Wyobrażała sobie, jak Dike łyka pigułki. Tylenol, zwykły tylenol; w internecie przeczytała, że po przedawkowaniu można umrzeć. Co on sobie myślał?

Czy pomyślał o niej? Kiedy wrócił do domu ze szpitala, po płukaniu żołądka i badaniu wątroby, w jego twarzy, gestach, słowach szukała wskazówki, dowodu, że to się prawie stało. Wyglądał

tak samo, jak przedtem; nie miał podkrążonych oczu, nie był w ponurym nastroju. Przygotowała mu ryż jollof, tak jak lubił, posypany kawałeczkami czerwonej i zielonej papryki, i kiedy go jadł, podnosząc widelec do ust mówił: „To jest całkiem niezłe”, jak zawsze w przeszłości, a w niej nabrzmiewały łzy i pytania. Dlaczego? Dlaczego to zrobił? O czym myślał? Nie zapytała go, bo terapeutka powiedziała, że na razie lepiej go o nic nie pytać. Dni mijały. Nie odstępowała go i osaczała, ale bała się go zostawić. Z początku nie mogła spać, nie chciała zażyć małej niebieskiej tabletki, którą podsuwała jej ciocia Uju, i leżała w nocy myśląc i zastanawiając się, z umysłem skrepowanym myślami o tym, co mogło się stać, aż wreszcie zapadała w znużony sen. Czasem budziła się pełna pretensji do cioci Uju.

— Pamiętasz, jak Dike coś ci opowiadał i powiedział „my czarni”, a ty mu odpowiedziałaś „nie jesteś czarny”? — zapytała ciocię Uju cichym głosem, bo Dike wciąż jeszcze spał na górze.

Były w kuchni, skąpanej w miękkim świetle poranka, i ciocia Uju, ubrana do pracy, stała przy zlewie, jedząc jogurt z plastikowego kubeczka.

— Tak, pamiętam.

— Nie powinnaś była.

— Przecież wiesz, o co mi chodziło. Nie chciałam, żeby zaczął się zachowywać jak ci wszyscy ludzie i myślał, że wszystko, co go spotyka, to dlatego, że jest czarny.

— Powiedziałaś mu, że nie jest czarny, ale nie powiedziałaś, jaki jest.

— Co ty mówisz? — Ciocia Uju nacisnęła stopą pedał, koszyk na śmieci się wysunął

i wrzuciła do niego puste opakowanie po jogurcie. Przeszła na niepełny etat, żeby mogła więcej czasu spędzać z Dikiem i wozić go na wizyty do terapeuty.

— Nigdy mu nie powiedziałaś, że jest bezpieczny.

— Ifemelu, próbował się zabić, bo był w depresji — cicho i łagodnie powiedziała ciocia Uju. — To kliniczna choroba. Wielu nastolatków na nią cierpi.

— Ludzie tak po prostu budzą się i są w depresji?

— Tak.

— Ale nie Dike.

— Trzech z moich pacjentów miało próby samobójcze; wszyscy biali, nastoletni.

Jednemu się udało — powiedziała ciocia Uju pojednawczym i smutnym tonem, jakim mówiła zawsze, odkąd Dike wrócił ze szpitala.

— Ma depresję przez to, co przeżył, ciociu! — powiedziała Ifemelu podniesionym głosem, a zaraz potem zaczęła szlochać i przepraszać ciocię Uju, w poczuciu winy.

Dike nie połknąłby tych pigułek, gdyby bardziej uważała, była czujniejsza. Zbyt łatwo dawała się zwieść jego śmiechowi, nie zdołała odczytać emocjonalnego podtekstu żartów, które Dike opowiadał. Śmiał się, to prawda, przekonującym, beztroskim śmiechem, ale być może była

to tylko zasłona, a za nią dojrzywało ziarno traumy.

Teraz w przejmującej ciszy, jaka zapanowała po jego samobójczej próbie, zastanawiała się, co tym śmiechem maskowali. Powinna się była bardziej niepokoić.

Obserwowała go uważnie. Pilnowała. Nie chciała, żeby go odwiedzali koledzy, chociaż terapeutka powiedziała, że nie ma przeciwwskazań, jeśli on tego chce. Nawet Page, która kilka dni wcześniej, kiedy była sam na sam z Ifemelu, wybuchła płaczem.

— Nie mogę uwierzyć, że nie przyszedł z tym do mnie.

Była dzieckiem, jej intencje były dobre i nieskomplikowane, ale Ifemelu czuła do niej niechęć, że według niej Dike powinien był się jej zwierzyć. Kweku wrócił z misji medycznej w Nigerii i spędzał czas z Dikiem, oglądał z nim telewizję, przywracał spokój i poczucie normalności.

Mijały tygodnie. Ifemelu przestała wpadać w panikę, kiedy Dike zbyt długo siedział

w łazience. Za kilka dni miał urodziny i zapytała go, co chciałby dostać, czując, jak zbiera się jej na płacz, bo wyobraziła sobie jego urodziny nie jako dzień, w którym skończy siedemnaście lat, lecz dzień, w którym mógłby je skończyć.

— Może pojedziemy do Miami? — zapytał na wpół żartobliwie, ale ona zabrała go do Miami i spędzili dwa dni w hotelu, zamawiając hamburgery w pokrytym strzechą barze przy basenie i rozmawiając o wszystkim, tylko nie o próbie samobójczej.

— To jest życie — powiedział leżąc z twarzą wystawioną do słońca. — Ten twój blog był

super, kąpałaś się w kasie, i w ogóle. Teraz, kiedy go zamknęłaś, nie będziesz już mogła sobie na wszystko pozwolić!

— Wcale się nie kąpałam, może trochę pluskałam — odparła patrząc na niego, swojego przystojnego kuzyna, i na widok kępki mokrych skręconych włosków na jego piersi zrobiło się jej smutno, bo były oznaką jego nowej, kruchej dorosłości, a ona wolałaby, żeby dalej był

dzieckiem; gdyby nim został, może nie zażyłby tych wszystkich pigułek i nie położył się na kanapie w piwnicy przekonany, że już się nigdy nie obudzi.

— Kocham cię, Dike. Kochamy cię, wiesz o tym?

— Wiem — powiedział. — Kuzyna, powinnaś jechać.

— Dokąd?

— Do Nigerii, jak planowałaś. Nic mi nie będzie, obiecuję.

— Może do mnie przyjedziesz — powiedziała.

— No — powiedział po dłuższej chwili.

CZEŚĆ 7

ROZDZIAŁ 44

W pierwszej chwili poczuła, że Lagos ją atakuje; oślepiające słońce, pośpiech, żółte autobusy pełne stłoczonych rąk i nóg, spoceni uliczni sprzedawcy pędzący za samochodami, reklamy na olbrzymich billboardach (inne wymalowane na ścianach — HYDRAULIK

ZADZWOŃ 080 177 777) i sterty śmieci wyrastające przy drogach jak szyderstwo. Zbyt nachalna komercja. I powietrze duszne od przesady, rozmów pełnych nadgorliwych zapewnień.

Jednego ranka ciało mężczyzny leżące przy Awolovo Road. Inny poranek. Wyspę zalało i samochody zamieniły się w dyszące łodzie. Tutaj czuła, że wszystko może się zdarzyć, z twardego kamienia może wyrosnąć dojrzały pomidor. I dlatego wydawało się jej, że spada, i kręciło się jej od tego w głowie, miała wrażenie, jakby opadała w nową osobę, którą się stała, opadała w coś obco znajomego. Zawsze tak było, czy pod jej nieobecność wszystko aż tak się zmieniło? Kiedy wyjeżdżała, tylko bogaci mieli telefony komórkowe, wszystkie numery zaczynały się od 090, wszystkie dziewczyny chciały się umawiać z facetami 090. Teraz jej fryzjerka miała komórkę, sprzedawca bananów przy poczeriałym ruszcie miał komórkę.

Dorastała, znając wszystkie przystanki autobusowe przy bocznych uliczkach, rozumiała kod, jakim porozumiewali się

konduktorzy, i mowę ciała ulicznych sprzedawców. Teraz z trudem domyślała się tego, co niewypowiedziane. Kiedy właściciele sklepów stali się tacy chamscy? Czy budynki w Lagos zawsze pokrywała taka patyna zniszczenia? I kiedy stało się miastem ludzi gotowych w każdej chwili błagać, zachwyconych wszystkim, co darmowe?

— Amerykaana! — kpiła z niej często Ranyinudo. — Patrzysz na wszystko oczami Amerykanki. Ale problem w tym, że nawet nie jesteś prawdziwą Amerykaaną. Gdybyś chociaż miała amerykański akcent, może byśmy jakoś znosili twoje narzekania!

Ranyinudo przyjechała po nią na lotnisko i czekała przy wyjściu z hali przylotów w bufiastej sukience druhny, z różem na policzkach jaskrawym jak zadrapania, z zielonymi, satynowymi kwiatami przekrzywionymi na głowie. Ifemelu była zaskoczona, że Ranyinudo jest taka ładna, tak przykuwa wzrok. Znikły niezgrabne, długie i chude ręce i nogi, a pojawiła się duża, jędrna, krągła kobieta, zadowolona ze swojej wagi i wzrostu, i przez to imponująca, przyciągająca wszystkie spojrzenia.

— Ranyi! — wykrzyknęła Ifemelu. — Wiedziałam, że mój powrót to wielkie wydarzenie, ale musiałaś z tego powodu zakładać balową suknię?

— Idiotka. Wracam prosto z wesela. Nie chciałam ryzykować, że utknę w korku, jeśli najpierw pojedę się przebrać.

Objęły się, zamknęły w mocnym uścisku. Ranyinudo pachniała kwiatowymi perfumami, spalinami i potem; pachniała Nigerią.

— Wyglądasz oszałamiająco, Ranyi — powiedziała Ifemelu.

— To znaczy, pod tymi barwami wojennymi. Na zdjęciach tego w ogóle nie widać.

— Ifemescó, proszę, proszę, śliczna laska nawet po takim długim locie — odparła ze śmiechem, lekceważąc komplementy Ifemelu i wracając do starej roli dziewczyny, która nie była tą ładną.

Wyglądała inaczej, ale jej pełne entuzjazmu, trochę lekkomyślne zachowanie było takie samo jak zawsze. Nie zmienił się też ten wieczny gulgot w jej głosie, czający się tuż pod powierzchnią śmiech, w każdej chwili gotowy się uwolnić, wybuchnąć. Prowadziła szybko, ostro wchodziła w zakręty i co chwila zerknęła na telefon BlackBerry leżący na jej kolanach; ilekroć ruch się zatrzymywał, natychmiast go chwyciła i szybko pisała.

— Ranyi, powinnaś prowadzić i pisać esemesy, tylko jak jedziesz sama, żebyś zabiła tylko siebie — powiedziała Ifemelu.

— *Haba!* Ja nie piszę i nie prowadzę, *o*. Piszę, kiedy nie prowadzę — odpowiedziała. —

To wesele to było coś, najlepsze, na jakim byłam. Ciekawe, czy pamiętasz pannę młodą.

W liceum była bardzo dobrą koleżanką Funke. Ijeoma, bardzo żółta dziewczyna. Poszła do Holy Child, ale przychodziła z Funke na nasze lekcje, kiedy przygotowywaliśmy się do egzaminów WAEC. Zaprzyjaźniłyśmy się na studiach. Gdybyś ją teraz widziała, no, słowo daję, prawdziwa laska. Jej mąż ma konkretne pieniądze. Dostała od niego pierścionek zaręczynowy większy od Bramy do Abudży.

Ifemelu wyglądała przez okno, słuchając jednym uchem i myśląc, jakie nieładne jest Lagos, z dziurawymi drogami, domami wyrastającymi bez ładu i składu jak chwasty.

W mieszaninie swoich uczuć rozpoznawała tylko zagubienie.

— Limonka i brzoskwinia — powiedziała Ranyinudo.

— Co?

— Kolory wesela. Limonka i brzoskwinia. Sala była pięknie udekorowana i tort był tak samo piękny. Patrz, zrobiłam trochę zdjęć. To wrzucę na Facebooka.

Ranyinudo dała Ifemelu swojego Blackberry. Ifemelu już go jej nie oddała, żeby Ranyinudo mogła skupić się na jeździe.

— I poznałam kogoś, *o*. Zobaczył mnie, kiedy czekałam na zewnątrz na koniec mszy.

Było strasznie gorąco, makijaż mi spływał i wiem, że wyglądałam jak zombie, ale on i tak do mnie podszedł! To dobry znak. Myślę, że to poważny materiał na męża. Mówiłam ci, że moja matka naprawdę odmawiała nowenny, żebym zerwała z Ibrahimem, kiedy jeszcze z nim chodziłam? Ten przynajmniej nie przyprawi jej o atak serca. Ma na imię Ndudi. Superimię, *abi*?

Bardziej igbo już nie może być. A gdybyś widziała jego zegarek! Pracuje w biznesie naftowym.

Na wizytówce ma biura w Nigerii i za granicą.

— Czemu stałaś na zewnątrz w czasie mszy?

— Wszystkie drużyny musiały stać na zewnątrz, bo miałyśmy nieprzyzwoite sukienki. —

Ranyinudo przeturlała słowo „nieprzyzwoite” po języku i zaśmiała się. — To się ciągle zdarza, zwłaszcza w katolickich kościołach. Miałyśmy nawet narzutki, ale ksiądz powiedział, że są za bardzo koronkowe, więc stałyśmy na zewnątrz. Ale dzięki Bogu, bo inaczej nie poznałabym tego faceta!

Ifemelu popatrzyła na sukienkę Ranyinudo, z wąskimi ramiączkami, z plisowanym wykończeniem pod szyją, które nie odsłaniało nawet dekoltu. Czy zanim wyjechała, drużyny były wyrzucane z kościoła, bo miały sukienki na wąskich ramiączkach? Chyba nie, ale do końca nie miała pewności. Ranyinudo zaparkowała przy nowej ulicy w Lekki, gdzie przed wyjazdem Ifemelu był tylko pusty ugór, a teraz stały rzędem wielkie domy okolone wysokimi murami.

— Moje mieszkanie jest najmniejsze, więc nie przysługuje mi miejsce parkingowe w środku — powiedziała Ranyinudo. — Inni lokatorzy parkują w środku, i gdybyś słyszała rano te wrzaski, kiedy ktoś nie przestawił samochodu, a ktoś inny się w związku z tym spóźni do pracy!

Ifemelu wysiadła z auta i znalazła się w głośnym, nieharmonijnym szumie generatorów, zbyt wielu generatorów; dźwięku, który wwierał się jej w uszy i dudnił w głowie.

— Cały tydzień bez światła — powiedziała Ranyinudo, przekrzykując huk generatorów.

Odźwierny pośpieszył, żeby pomóc im przy walizkach.

— Witamy z powrotem, ciociu — powiedział do Ifemelu.

Nie powiedział zwyczajnie „witamy”, ale „witamy z powrotem”, jakby skądś wiedział, że wróciła na dobre. Podziękowała mu i w szarości wieczornego mroku, powietrzu ciężkim od

zapachów poczuła ból emocji niemal nie do zniesienia, której nie potrafiła nazwać. Nostalgii i melancholii, pięknego smutku za rzeczami, które nie były jej udziałem, i rzeczami, których nigdy nie pozna. Później, siedząc na kanapie w małym eleganckim saloniku Ranyinudo, z płaskim telewizorem powieszonym na przeciwległej ścianie, Ifemelu spojrzała na siebie z niedowierzaniem. Zrobiła to. Wróciła. Włączyła telewizor i poszukała nigeryjskich kanałów.

W NTA pierwsza dama, z głową owiązaną niebieskim szalem, zwracała się do zgromadzonych kobiet, a na dole ekranu pelzły słowa: „Pierwsza dama wspomaga kobiety moskitierami”.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz oglądałam tę głupią stację — powiedziała Ranyinudo.

— Kłamią w imieniu rządu, ale nawet nie potrafią tego robić porządnie.

— To jakie nigeryjskie kanały oglądasz?

— W zasadzie żadnych, *o*. Oglądam Style i E!. Czasem CNN i BBC. — Ranyinudo przebrała się w szorty i T-shirt. — Mam dziewczynę, która przychodzi sprzątać i gotować, ale ten gulasz zrobiłam sama na twój przyjazd, więc musisz zjeść, *o*. Czego się napijesz? Mam piwo jęczmienne i sok pomidorowy.

— Piwo jęczmienne! Chyba wypiję całe, jakie jest w Nigerii. Kupowałam je czasem w latynoskim supermarkecie w Baltimore, ale to nie to samo.

— Na ślubie jadłam całkiem niezły ryż ofada, więc nie jestem głodna — powiedziała Ranyinudo.

Kiedy jednak nałożyła Ifemelu porcję na talerz, sama zaczęła jeść ryż z duszonym kurczakiem prosto z plastikowej miski,

przycupnięta na oparciu kanapy. Plotkowały o znajomych: Priye planowała eventy i ostatnio dobrze się jej wiedzie, bo została przedstawiona żonie gubernatora. Tochi straciła pracę w banku po ostatnim kryzysie finansowym, ale wyszła za bogatego prawnika i ma dziecko.

— Tochi mówiła mi, ile ludzie mają na kontach — powiedziała Ranyinudo. — Pamiętasz tego faceta, Mekkusa Parare, który umierał z miłości do Giniki? Pamiętasz, jak zawsze miał

żółte, cuchnące plamy pod pachami? Teraz ma gigantyczne pieniądze, ale to brudne pieniądze.

No wiesz, ci wszyscy ludzie, którzy dopuszczają się oszustw w Londynie i Ameryce, a potem uciekają z pieniędzmi do Nigerii i budują wielkie domy w Victoria Garden City. Tochi mówiła mi, że nigdy nie przychodził do banku osobiście. Posyłał chłopaka z torbami Ghana Must Go, jednego dnia po dziesięć milionów, dwadzieścia następnego. Sama nigdy nie chciałam pracować w banku. Jak się nie dostaniesz do działu obsługującego klientów z dużymi dochodami, jesteś skończona. Cały czas zajmujesz się tylko beznadziejnymi spekulantami. Tochi miała szczęście i pracowała w dobrym dziale, tam poznała swojego męża. Chcesz jeszcze piwa?

Ranyinudo wstała. W sposobie jej poruszania się była luksusowa, kobieca powolność, przy każdym kroku jej pośladki unosiły się, falowały, opadały. Tak chodzą Nigeryjki. Chodem odrobinę przesadnym, jakby zdradzającym coś, co trzeba nieco stonować. Ifemelu wzięła od Ranyinudo schłodzoną butelkę piwa i zastanawiała się, czy tak wyglądałoby jej życie, gdyby nigdy nie wyjechała, czy byłaby jak Ranyinudo, pracowała w firmie reklamowej, miała mieszkanie z jedną sypialnią, na które nie było ją stać, należała do Kościoła Zielonoświątkowego i była w nim kościelną, spotykała się z żonatym dyrektorem, który kupował jej bilety do Londynu w klasie biznes. Ranyinudo pokazała jej jego zdjęcia w swoim telefonie. Na jednym był bez koszuli, z brzuszkiem mężczyzny w średnim wieku, rozwalony w łóżku Ranyinudo, z nieśmiałym uśmiechem mężczyzny, który właśnie zaspokoił się seksualnie. Na innym spoglądał w ujęciu

z bliska, z twarzą zarysowaną niewyraźnie i tajemniczo. W jego przyprószonych siwizną włosach było coś atrakcyjnego, nawet dystyngowanego.

— Tylko mnie się tak wydaje, czy rzeczywiście wygląda trochę jak żółw? — zapytała Ifemelu.

— Tylko tobie. Ale poważnie, Ifem, Don to dobry człowiek, o. Nie jak ci inni, beznadziejni faceci, których pełno w Lagos.

— Ranyi, mówiłaś, że to tylko przelotne. Ale dwa lata to nie jest coś przelotnego.

Martwię się o ciebie.

— Czuję coś do niego, nie przeczę, ale chcę wyjść za mąż, i on o tym wie. Kiedyś myślałam, żeby mieć z nim dziecko, ale patrz, co spotkało Uche Okafor, pamiętasz ją z Nsukka?

Miała dziecko z dyrektorem Hale Bank i facet kazał jej iść do diabła, że to nie on jest ojcem, i zostawił ją z dzieckiem. *Na wa.*

Ranyinudo patrzyła na zdjęcie w telefonie z lekkim, czułym uśmiechem. Wcześniej, kiedy jechały z lotniska, powiedziała, zwalniając, żeby wjechać, a potem wyjechać z wielkiej dziury w drodze.

— Naprawdę chciałabym, żeby Don zmienił ten samochód. Obiecuję mi już od trzech miesięcy. Muszę mieć jeepa. Wiesz, jakie drogi są okropne?

A Ifemelu poczuła coś między fascynacją i tęsknotą za życiem Ranyinudo. Życiem, w którym wystarczyło machnąć ręką i wszystko samo spadało z nieba, rzeczy, których się potrzebuje, tak właśnie powinny spadać, z nieba.

O północy Ranyinudo wyłączyła swój generator i otworzyła okna.

— Ten generator pracuje cały tydzień na okrągło, wyobrażasz sobie? Problemy z prądem mamy już od dłuższego czasu.

Zimno szybko ustąpiło. Ciepłe, wilgotne powietrze napłynęło do pokoju i już po chwili Ifemelu kapała się we własnym pocie. Za oczami pojawiło się jej bolesne pulsowanie, gdzieś obok bzyczał moskit i nagle ogarnęła ją wdzięczność, choć

podszyta poczuciem winy, że ma w torebce amerykański niebieski paszport. Dzięki niemu miała wybór. W każdej chwili mogła wyjechać; nie musiała tu zostawać.

— Co za okropna wilgoć — powiedziała. Leżała w łóżku Ranyinudo, która spała na materacu na podłodze. — Nie mogę oddychać.

— Nie mogę oddychać — przedrzeźniała ją Ranyinudo, ze śmiechem w głosie. — *Haba!*

Amerykaana!

ROZDZIAŁ 45

Ifemelu znalazła ogłoszenie w „Nigeria Jobs Online” — „redaktor w wiodącym miesięczniku dla kobiet”.

Przygotowała swoje CV, zmyśliła, że pracowała w czasopiśmie dla kobiet (zamkniętym z powodu bankructwa, w cudzysłowie) i kilka dni po tym, jak wysłała je kurierem, zadzwoniła redaktorka z „Zoe” w Lagos. W słuchawce rozległ się prawie dojrzały, przyjazny głos, jakby lekko niestosowny.

— Och, mów mi ciocia Onenu — powiedziała, kiedy Ifemelu zapytała, z kim rozmawia.

— Kiedy zaczynałam, mąż mnie nie popierał, bo uważał, że jak zacznę szukać reklamodawców, mężczyźni będą się za mną uganiać.

Ifemelu zorientowała się, że ciocia Onenu traktowała czasopismo jak swoje hobby. Nie było jej pasją. Nie było czymś, co ją pochłaniało. A kiedy poznała ciocię Onenu, tylko się umocniła w swoim przekonaniu: była kobietą, którą łatwo dawało się polubić, ale trudno było traktować serio.

Ifemelu razem z Ranyinudo poszła do domu cioci Onenu w Ikoyi. Siedziały na skórzanych kanapach zimnych w dotyku i rozmawiały przyciszonymi głosami do przyjścia cioci Onenu. Szczupła, uśmiechnięta, zadbana kobieta, w legginsach, w za dużym T-shircie, trochę zbyt młodzieńczym, z włosami opadającymi faliście na plecy.

— Moja nowa redaktorka przyjechała z Ameryki! — powiedziała, ściskając Ifemelu.

Cieężko było ocenić jej wiek, coś między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt pięć lat, ale od razu było widać, że nie urodziła się z taką jasną cerą, była zbyt woskowa, a kłykcie miała ciemne, jakby tam fałdy skóry skutecznie broniły się przed kremami wybielającymi.

— Zaprosiłam cię tutaj, żebyś mogła poznać cię osobiście, zanim zaczniesz pracę w poniedziałek — powiedziała ciocia Onenu.

— Dziękuję.

Ifemelu pomyślała, że taka wizyta w domu jest nieprofesjonalna i dziwna, ale pismo było niewielkie; poza tym to była Nigeria, gdzie granice się zacierały, praca mieszała z życiem, a do szefowych mówiło się mamuśka. Poza tym już sobie wyobrażała, jak przejmie prowadzenie

„Zoe”, zamienia je w pełnego życia, odpowiedniego towarzysza nigeryjskich kobiet, i które —

kto wie — pewnego dnia odkupuje od cioci Onenu. I nie zaprasza nowo zatrudnianych pracowników do domu.

— Jesteś śliczną dziewczyną — powiedziała ciocia Onenu, kiwając głową, jakby uroda była w tej pracy niezbędna, a ona martwiła się, że Ifemelu będzie nie daj Boże brzydka. —

Spodobałaś mi się już przez telefon. Jestem pewna, że dzięki tobie nasz nakład będzie niedługo większy od „Glass”. Jesteśmy dużo młodszy, ale już ich doganiamy!

Steward w bieli, ponury, starszy mężczyzna, pojawił się z pytaniem, czego się napiją.

— Ciociu Onenu, czytałam stare numery „Zoe” i „Glass” i mam już kilka pomysłów, co można by zmienić — powiedziała Ifemelu, kiedy steward wyszedł, żeby przynieść im sok pomarańczowy.

— Jesteś prawdziwą Amerykanką! Gotowa do pracy, żadnego tracenia czasu! Bardzo dobrze. Przede wszystkim, jak wypadamy w porównaniu z „Glass”?

Ifemelu doszła do wniosku, że oba czasopisma są banalne, ale „Glass” było lepiej wydawane, miało lepszą kolorystykę i było

lepiej rozprawdane; za każdym razem, kiedy samochód Ranyinudo zwalniał, jakiś sprzedawca przyciskał im numer „Glass” do szyby. Ale ponieważ zorientowała się, że ciocia Onenu miała obsesję na jego punkcie i traktowała to

osobiście, odparła:

— W zasadzie nie ma wielu różnic, ale uważam, że możemy się bardziej postarać. Trzeba ograniczyć ilość wywiadów i raz w miesiącu przedstawiać kobietę, która faktycznie osiągnęła coś sama. Przydałyby się autorskie felietony, można by też zapraszać do ich pisania różne osoby, pisać więcej o zdrowiu i finansach, zaistnieć bardziej online i skończyć z przedrukami z prasy zagranicznej. Większość czytelniczek nie może pójść na targ po brokuły, bo po prostu w Nigerii ich nie ma, dlaczego więc w tym miesiącu w „Zoe” jest przepis na zupę brokułową?

— Och, tak — powiedziała wolno ciocia Onenu. Była zaskoczona. A potem jakby trochę się otrząsnęła. — Doskonale. Porozmawiamy o tym w poniedziałek.

— Żeby tak rozmawiać z nową szefową, ha! — powiedziała Ranyinudo, kiedy siedziały z powrotem w jej samochodzie. — Gdybyś nie przyjechała z Ameryki, wylałaby cię z miejsca.

— Zastanawiam się, co łączy ją i redaktorkę „Glass”.

— Czytałam w jednym brukowcu, że się nienawidzą. Na pewno chodzi o mężczyznę, bo o cóż by innego? Kobiety, ech! Myślę, że ciocia Onenu założyła „Zoe”, żeby konkurować z „Glass”. Według mnie żadna z niej redaktorka, tylko zwyczajnie bogata kobieta, dzisiaj sobie założyła pismo, jutro je zamknie i otworzy na przykład spa.

— A ten jej dom, strasznie brzydki — powiedziała Ifemelu.

Dom był monstrualny, z dwoma aniołami z alabastru strzegącymi bramy i fontanną w kształcie kopuły, tryskającą przed domem.

— Brzydki *kwa*? O czym ty mówisz? Dom jest piękny!

— Nie dla mnie — powiedziała Ifemelu, chociaż kiedyś ona też uważała takie domy za piękne.

Ale oto teraz ją brzydziły, jako osobę, która z pełnym wyższości przekonaniem rozpoznawała kicz.

— Miała generator większy od mojego mieszkania i kompletnie cichy! — powiedziała Ranyinudo. — Zauważyłaś domek z generatorem przy bramie?

Owszem, Ifemelu zauważyła. I zdenerwowało ją to. Na to właśnie zwraca uwagę prawdziwy mieszkaniec Lagos: dom z generatorem, rozmiar generatora.

Na Kingsway Road wydało się jej, że widzi Obinze, przejeżdżającego obok w niskim, czarnym mercedesie i wyprostowała się, wyteżając wzrok i zerkając, ale kiedy ruch zwolnił

w korku, zobaczyła, że mężczyzna w niczym go nie przypomina. W następnych tygodniach często się jej wydawało, że dostrzega Obinze, ludzi, o których wiedziała, że nie są nim, ale mogliby być: wyprostowana postać w garniturze wchodząca do gabinetu cioci Onenu, mężczyzna na tylnym siedzeniu samochodu z przyciemnionymi szybami, z telefonem przy uchu, ktoś za nią w kolejce w supermarkecie. Nawet kiedy pierwszy raz poszła spotkać się z właścicielem mieszkania, wyobrażała sobie, że wejdzie do biura i zastanie w nim Obinze. Agent nieruchomości powiedział jej, że właściciel woli wynajmować mieszkania ekspatriantom.

— Ale rozluźnił się, kiedy mu powiedziałem, że pani przyjechała z Ameryki — dodał.

Właściciel był starszym człowiekiem w brązowym kaftanie i takich samych spodniach, miał pomarszczoną skórę i minę kogoś, kto wiele wycierpiał z rąk innych.

— Nie wynajmuję ludziom Igbo — powiedział cicho, zaskakując ją.

Czy teraz tak łatwo mówiło się podobne rzeczy? A może zawsze tak było, ale ona zwyczajnie o tym zapomniała?

— Takie mam zasady, odkąd człowiek Igbo zniszczył mi dom w Yaba. Ale pani wygląda na osobę odpowiedzialną.

— Tak, jestem odpowiedzialna — powiedziała i udała, że uśmiecha się kokieteryjnie.

Inne mieszkania, które się jej podobały, były za drogie. Nawet jeśli rury wystawały spod

zlewu, klozet był krzywy, a kafelki w łazience źle położone, to było najlepsze, na co ją było stać.

Podobał się jej przestronny salon, z wielkimi oknami, a wąskie schodki prowadzące na werandę urzekły ją, ale przede wszystkim mieszkanie było w Ikoyi. A ona chciała mieszkać w Ikoyi.

Kiedy dorastała, Ikoyi kojarzyło się z dystynkcją, dystynkcją dla niej niedostępną: ci, co mieszkali w Ikoyi, nie mieli pryszczycy i zatrudniali szoferów określanych jako „szoferzy dzieci”.

Kiedy pierwszego dnia poszła obejrzeć mieszkanie, stała na werandzie i patrzyła na dom obok, wielki, kolonialny dom, teraz pożółkły ze starości, parcelę zarośniętą chwastami, trawą i krzakami wyrastającymi jedne na drugich. Na dachu domu, którego część była zapadnięta, zauważyła jakiś ruch, turkusową plamę piór. To był paw. Agent powiedział jej, że za rządów generała Abachy mieszkał tam oficer armii, ale teraz dom zajął sąd. I wyobraziła sobie ludzi mieszkających tam piętnaście lat temu, kiedy ona, w małym mieszkanku, na zatłoczonym kontynencie marzyła o ich spokojnym życiu w dużym, pełnym przestrzeni otoczeniu.

Wypisała czek na czynsz za dwa lata. Dlatego ludzie przyjmowali łapówki i domagali się ich; jak ktoś mógł uczciwie zapłacić czynsz za dwa lata z góry? Planowała, że obsadzi werandę białymi liliami w glinianych donicach, salon pomaluje w pastelowych kolorach, ale najpierw musiała znaleźć elektryka, żeby zamontował klimatyzację, malarza, żeby przemalował tłuste ściany, i kogoś, kto położy nowe kafelki w kuchni i w łazience. Agent przyprowadził jej człowieka, który kładzie kafelki. Zajął mu to tydzień, a kiedy agent zadzwonił, że już skończył, z niecierpliwością poszła do mieszkania. W łazience patrzyła z niedowierzaniem. Kafelki były położone nierówno, w kątach zostały puste miejsca. Jeden kafelek miał paskudne pęknięcie przez środek. Wszystko wyglądało jak dzieło niecierpliwego dziecka.

— Co to ma być? Nie widzi pan, jakie to krzywe? Jeden kafelek jest pęknięty! Jest gorzej niż przedtem! Jak może się panu podobać taka fuszerka? — zapytała go.

Mężczyzna wzruszył ramionami; najwyraźniej uważał, że się czepia.

— Mnie się podoba, ciociu.

— I chce pan, żebym zapłaciła?

Uśmiezek.

— Ach, ciociu, przecież skończyłem.

Wtrącił się agent:

— Niech się pani nie martwi, *ma*, wymieni pęknięty kafelek.

Mężczyzna nie wydawał się zbyt chętny.

— Ale ja już skończyłem. Te kafelki łatwo pękają. Są kiepskiej jakości.

— Skończył pan? Zrobił pan byle jak i skończył? — Była coraz bardziej zła, mówiła coraz głośniejszym, ostrzejszym głosem. — Nie zapłacę tyle, na ile się umówiliśmy, bo nie zrobił pan tak, jak się umawialiśmy.

Kafelkarz patrzył na nią, mrużąc oczy.

— Chce pan mieć problemy, to niech pan wierzy, będzie je pan miał — powiedziała Ifemelu. — Najpierw zadzwonię do komisarza policji i zamkną pana w Alagbon Close! — Teraz już krzyczała. — Wie pan, kim jestem?! Nie wie pan, i dlatego zrobił pan wszystko byle jak!

Mężczyzna się przestraszył. Sama siebie zaskoczyła. Skąd się jej to wzięło, ta fałszywa brawura, te pogrożki, które tak łatwo jej przyszły? Pojawiło się nieprzyćmione upływem lat wspomnienie tamtego dnia, kiedy umarł Generał, a ciocia Uju groziła jego krewnym: „Nie, nie odchodźcie, zostańcie! — powiedziała do nich. — Zostańcie i poczekajcie, jak zadzwonię po swoich kolegów z koszar”.

— Ciociu, niech się pani nie denerwuje — powiedział agent.

— On to zrobi jeszcze raz.

Później Ranyinudo powiedziała jej:

— Już się nie zachowujesz jak Amerykaana!

A Ifemelu, wbrew sobie, poczuła zadowolenie.

— Chodzi o to, że w tym kraju nie ma już rzemieślników — powiedziała Ranyinudo. —

Ci z Ghany są lepsi. Mój szef buduje dom i do wykończenia zatrudnia wyłącznie robotników z Ghany. Nigeryjczycy wszystko partaczą. Nie przykładają się, nie robią jak należy. To okropne.

Ale Ifem, powinnaś zadzwonić do Obinze. On wszystko by ci załatwił. W końcu tym się zajmuje.

Na pewno ma mnóstwo znajomości. Powinnaś była do niego zadzwonić, jeszcze zanim zaczęłaś szukać mieszkania. Dałby ci zniżkę w jednym ze swoich budynków, może nawet wynająłby ci za darmo *sef*. Nie wiem, na co czekasz, dzwoń do niego.

Ifemelu pokręciła głową. Ranyinudo, dla której mężczyźni istnieli wyłącznie jako źródło wszystkiego. Ifemelu nie wyobrażała sobie, że mogłaby zadzwonić do Obinze tylko po to, żeby poprosić go o niższy czynsz w jednym z jego budynków. Mimo to wciąż nie wiedziała, czemu w ogóle do niego nie zadzwoniła. Wiele razy o tym myślała, często sięgała po telefon i wyszukiwała jego numer, a jednak nie zadzwoniła. Wciąż dostawała od niego maile, w których pisał, że ma nadzieję, iż u niej wszystko w porządku, a Dike miewa się lepiej; na kilka odpowiedziała, zawsze krótko, w sposób, który kazał mu wierzyć, że wciąż jest w Ameryce.

ROZDZIAŁ 46

Weekendy spędzała z rodzicami, w starym mieszkaniu, szczęśliwa, że może po prostu siedzieć i patrzeć na ściany, które były świadkami jej dzieciństwa; dopiero kiedy zaczęła jeść gulasz matki, z warstewką tłuszczu pływającą na purée z pomidorów, zorientowała się, jak bardzo za tym wszystkim tęskniła. Sąsiedzi wpadali, żeby ją przywitać, córkę, która wróciła z Ameryki. Wielu było nowych, nie znała ich wcześniej, ale do wszystkich odnosiła się z sentymentalną

serdecznością, ponieważ przypominali jej innych, których kiedyś znała. Mamę Bomboy, która pewnego razu, jeszcze w podstawówce, wytargała ją za ucho i powiedziała: „Nie pozdrawiasz starszych”; Ogę Tony’ego z góry, który palił na werandzie; handlarza z mieszkania obok, który z jakiegoś nieznanego jej powodu mówił do niej „mistrzyni”.

— Oni wszyscy przychodzą, żeby zobaczyć, czy coś im dasz — powiedziała jej matka szeptem, jakby sąsiedzi, którzy co prawda wszyscy już sobie poszli, mogli ją usłyszeć. —

Spodziewali się, że coś im przywiozę, kiedy byliśmy w Ameryce, więc poszłam na targ, kupiłam małe buteleczki perfum i powiedziałam, że to z Ameryki!

Rodzice lubili opowiadać o swojej wizycie w Baltimore, matka o wyprzedazach, ojciec, że nie rozumiał, co mówią w wiadomościach, bo używali zwrotów „atomówka” i „rozdawka”.

— To ostateczna infantylicyzacja i informalizacja Ameryki! Zwiastuje koniec amerykańskiego imperium; sami zabijają się od środka! — oznajmił.

Żeby im sprawić przyjemność, Ifemelu słuchała wszystkich tych spostrzeżeń i wspomnień i miała nadzieję, że żadne nie wspomni o Blainie; powiedziała im, że musiał opóźnić swój przyjazd ze względu na pracę.

Starym przyjaciółom nie musiała opowiadać takich kłamstw, ale i tak mówiła im, że to poważny związek i że Blaine wkrótce dojedzie do niej do Lagos. Była zdziwiona, że w czasie towarzyskich spotkań rozmowa tak szybko schodziła na małżeństwo. Koleżanki, które jeszcze nie miały mężów, przyjmowały zjadliwy ton, te po drugiej stronie barykady złośliwy. Ifemelu chciała rozmawiać o starych czasach, o nauczycielach, z których się nabijali, i chłopcach, którzy im się podobali, ale małżeństwo było niezmiennie ulubionym tematem — czyj mąż był podły, która rozpaczliwie szukała kandydata, wrzucając na Facebooka za dużo wystrojonych zdjęć, który facet okazał się po czterech latach rozczarowaniem i odszedł, żeby ożenić się z jakąś dziewczynką, którą mógł kontrolować. (Kiedy Ifemelu powiedziała

Ranyinudo, że w banku spotkała dawną koleżankę z klasy, Vivian, pierwsze, o co Ranyinudo zapytała, to: „Czy wyszła za mąż?”). Dlatego posługiwała się Blaine’em jak zbroją. Gdyby znały prawdę, zameżne koleżanki powiedziałyby: „Nie martw się, będzie tak, jak zechcesz, módl się tylko”, a te niezameżne uznałyby, że należy do rozczulającej się nad sobą partii singielek. Ich spotkania przebiegały w atmosferze napiętej nostalgii, niektóre odbywały się u Ranyinudo, inne u niej, czasem w restauracji, a ona w tych dorosłych kobietach próbowała odnaleźć jakieś pozostałości z dawnych czasów, które bezpowrotnie minęły.

Tochi stała się nie do rozpoznania, tak gruba, że nawet jej nos zmienił kształt, a podwójny podbródek zwisał pod jej twarzą jak kawał ciasta na chleb. Przyszła do Ifemelu z dzieckiem na jednej ręce, telefonem BlackBerry w drugiej, za nią szła gosposia z lnianą torbą pełną butelek i śliniaczków. „Madam Ameryka”, powitała ją Tochi i do końca wizyty bez przerwy z czegoś się tłumaczyła, jakby przyszła zdecydowana walczyć z amerykańskością Ifemelu.

— Kupuję tylko angielskie ubranka dla dziecka, bo amerykańskie po jednym praniu tracą kolor — powiedziała. — Mój mąż chciał, żebyśmy się przeprowadzili do Ameryki, ale się nie

zgodziłam, bo mają tam okropny system edukacyjny. Międzynarodowa organizacja oceniła go najgorzej wśród krajów rozwiniętych.

Tochi zawsze była spostrzegawcza i rozważna; to Tochi zawsze spokojnie i rozsądnie interweniowała, kiedy w liceum Ifemelu i Ranyinudo zaczynały się kłócić. W nowej Tochi, w jej potrzebie ciągłej obrony przed wyimaginowanymi zniewagami dostrzegała głębokie, osobiste nieszczęście. Więc przyklaskiwała jej, pomniejszając Amerykę, mówiąc tylko o tym, co jej też nie podobało się w Ameryce, z przesadnie nieamerykańskim akcentem, aż rozmowa zaczęła przypominać farsę. W końcu dziecko Tochi zwymiotowało żółtawym płynem, który służąca Tochi szybko sprzątnęła, a Tochi powiedziała:

— Powinnyśmy iść, dziecko chce spać.

Ifemelu z ulgą patrzyła, jak wychodzą. Ludzie się zmieniają, ale czasem zmieniają się za bardzo.

Priye nie zmieniła się aż tak bardzo, ale zrobiła się twarda, jej charakter był jak pokryty chromem. Przyszła do mieszkania Ranyinudo ze stertą gazet pełną zdjęć z wielkich wesel, które organizowała. Ifemelu wyobrażała sobie, co ludzie mówią o Priye. Świetnie sobie radzi, mówią zapewne, naprawdę świetnie sobie radzi.

— Mój telefon od ubiegłego tygodnia dzwoni bez przerwy! — powiedziała Priye triumfalnie, odsuwając rude, proste włosy, które spadły jej na oczy; za każdym razem, kiedy podnosiła rękę, żeby to zrobić, one i tak natychmiast spadały z powrotem, jakby tak właśnie miały się zachowywać. Ifemelu była zszokowana jaskrawym kolorem, na jaki były pomalowane paznokcie Priye. Zachowywała się bardzo pewnie, niemal złowrogo, jak ktoś, kto dostaje od ludzi zawsze to, czego chce. I cała błyszczała — błyszczały jej złote kolczyki, metalowe ćwieki na designerskiej torebce, połyskliwa brązowa szminka.

— Wesele wspaniale się udało, przyszło siedmiu gubernatorów, siedmiu! — powiedziała.

— I na pewno żaden nie znał pary młodej — zauważyła Ifemelu szyderczo.

Priye wzruszyła ramionami i machnęła ręką, aby pokazać, że to akurat nie ma najmniejszego znaczenia.

— Od kiedy liczba gubernatorów decyduje, czy wesele się udało? — zapytała Ifemelu.

— Pokazuje, że się ma znajomości. To prestiż. Wiesz, ilu w tym kraju jest wpływowych gubernatorów? Władza wykonawcza to nie byle co — powiedziała Priye.

— Ja bym chciała, żeby na moim weselu było tylu gubernatorów, ile się da, o. To świadczy o poziomie, prawdziwym poziomie — powiedziała Ranyinudo. Oglądała zdjęcia, wolno obracając strony. — Priye, słyszałaś, że Mosope wychodzi za mąż za dwa tygodnie?

— Tak. Przyszli do mnie, ale mieli niewystarczający budżet. Ta dziewczyna nigdy nie rozumiała podstawowej zasady życia w Lagos. Nie wychodzisz za mężczyznę, którego kochasz.

Wychodzisz za mężczyznę, który da ci najlepsze utrzymanie.

— Amen! — powiedziała Ranyinudo ze śmiechem. — Ale czasem mężczyzna może być jednym i drugim, *o*. Teraz jest sezon na śluby. Kiedy przyjdzie kolej na mnie, Panie Boże? —

Spojrzała w górę i uniosła ręce jak w modlitwie.

— Mówiłam Ranyinudo, że zorganizuję jej wesele po kosztach — powiedziała Priye do Ifemelu. — Tobie zresztą też, Ifem.

— Dzięki, ale myślę, że Blaine będzie wolał imprezę bez gubernatorów — odparła Ifemelu i wszystkie się roześmiały.

— Pewnie zorganizujemy coś małego na plaży.

Czasem wierzyła we własne kłamstwa. Teraz też widziała Blaine'a i siebie ubranych na biało na karaibskiej plaży, w otoczeniu kilkorga przyjaciół, biegnących do zbudowanego naprędce ołtarza z piasku i kwiatów, a wszystkiemu Shan będzie się przyglądać i modlić, żeby któreś z nich potknęło się i upadło.

ROZDZIAŁ 47

Onikan było starą częścią Lagos, wycinkiem przeszłości, świątynią wyblakłego splendoru kolonialnych czasów; Ifemelu pamiętała, jak tutejsze domy podupadały, niemalowane i zaniedbane, po ścianach pełzła wilgoć, zawiasy w bramach rdzewiały i rozpadały się. Ale teraz deweloperzy je odnawiali lub rozbierali, a na parterze nowo odrestaurowanego budynku ciężkie, szklane drzwi prowadziły do recepcji pomalowanej w kolorze pomarańczowej terakoty, gdzie rezydowała Esther, o miłej twarzy, a za nią widniał ogromny, srebrny napis: ZOE MAGAZINE.

Esther była pełna drobnych ambicji. Ifemelu wyobrażała ją sobie, jak grzebie w stertach używanych butów i ubrań na bocznych straganach targu w Tejuosho i niestrudzenie targuje się z handlarzami. Nosiła porządnie wyprasowane ubrania i zniszczone, ale starannie wypastowane szpilki, czytała książki

w rodzaju *Droga do dobrobytu*, do szoferów odnosiła się z wyższością, do redaktorów unizienie.

— Te pani kolczyki są bardzo piękne, *ma* — powiedziała do Ifemelu. — Gdyby kiedyś chciała je pani wyrzucić, proszę je dać mnie, a ja pomogę je pani wyrzucić.

I niestrudzenie zapraszała Ifemelu do swojego kościoła.

— Przyjdzie pani w niedzielę, *ma*? Mój pastor to potężny człowiek Boga. Bardzo wielu ludzi może zaświadczyć o cudach, jakie ich spotkały dzięki niemu.

— Myślisz, że powinnam pójść do twojego kościoła, Esther?

— Spodoba się pani, *ma*. To bardzo uduchowiony kościół.

Z początku to „*ma*” krępowało Ifemelu. Esther była co najmniej pięć lat starsza od niej, ale oczywiście status liczył się bardziej od wieku: Ifemelu była redaktorką, miała samochód z szoferem, unosił się nad nią duch Ameryki i nawet Esther oczekiwała, że będzie się zachowywała jak dama. Więc tak się zachowywała, prawiąc Esther komplementy i żartując z nią, ale zawsze w sposób, który był jednocześnie wesoły, ale także pełen wyższości, czasem też dawała Esther różne rzeczy, starą torebkę czy stary zegarek. Podobnie postępowała ze swoim szoferem, Ayo. Skarżyła się, że za szybko jeździ; groziła, że go zwolni, bo znowu się spóźnił, kazała powtarzać polecenia, aby mieć pewność, że zrozumiał wszystko jak należy. Mimo to zawsze słyszała wtedy w swoim głosie wysoki, nienaturalny ton, jakby sama nie była do końca przekonana, iż rzeczywiście jest tą panią, jaką ma być zgodnie z oczekiwaniami innych.

Ciocia Onenu lubiła powtarzać: „Większość moich pracowników kończyła studia za granicą, a ta kobieta z »Glass« zatrudnia hołotę, która nie zna się nawet na interpunkcji!”.

Ifemelu wyobrażała sobie, jak mówi to na przyjęciach — „większość moich pracowników” —

dając do zrozumienia, że jej czasopismo to wielki, kwitnący biznes, podczas gdy tak naprawdę pracowały w nim trzy redaktorki, cztery osoby w administracji, a tylko Ifemelu i

Doris, redaktorka, faktycznie miały zagraniczne studia. Doris, chuda, z głęboko osadzonymi oczami, wegetarianka, która oświadczyła, że nią została, jak tylko to było możliwe, mówiła z akcentem amerykańskiej nastolatki, przez co większość wypowiedzanych zdań brzmiała jak pytania, i tylko kiedy rozmawiała przez telefon z matką, jej angielski przybierał płaskie, stateczne, nigeryjskie brzmienie. Nosiła miedzianoblond skręcone w loczki włosy i ubierała się dziwnie — w białe skarpetki i męskie, dziurkowane buty, męskie koszule wepchnięte w spodnie za kolana — w jej mniemaniu oryginalnie, co wszyscy w biurze jej wybaczała, ponieważ wróciła z zagranicy. Nie malowała się, używała jedynie jaskrawoczerwonej szminki, która nadawała jej twarzy nieco szokujący wygląd, co zapewne było zamierzonym efektem, ale jej nietknięta niczym skóra miała kolor popiołu i przy pierwszym spotkaniu Ifemelu chciała jej doradzić jakiś dobry krem nawilżający.

— Chodziłaś do Wellson w Philly? Ja do Temple — powiedziała Doris, jakby od razu chciała ustalić, że obie należą do tego samego lepszego klubu. — Będiesz w jednym pokoju ze mną i z Zemaye. To asystentka i coś załatwia, do popołudnia, a może dłużej? Zawsze wraca, kiedy chce.

Ifemelu dosłyszała złośliwość. Nie była subtelna; Doris wcale nie miała zamiaru jej ukrywać.

— Pomyślałam, że w tym tygodniu mogłabyś się wdrażać. Zobaczyć, co robimy. A od przyszłego zaczęłabyś już wykonywać zlecenia — powiedziała Doris.

Samo biuro, wielkie pomieszczenie z czterema biurkami, z komputerem na każdym, wydawało się puste i niesprawdzone, jakby wszyscy byli w pracy dopiero pierwszy dzień.

Ifemelu nie bardzo wiedziała, jak inaczej mogłoby wyglądać, może z jakimiś rodzinnymi zdjęciami na biurkach, może z trochę większą ilością wyposażenia, dokumentami, papierami, zszywaczami, dowodami, że ktoś tu jednak przebywa.

— Miałam świetną pracę w Nowym Jorku, ale postanowiłam wrócić i zamieszkać tutaj —

powiedziała Doris. — No wiesz, rodzina nalegała, żebym się ustatkowała i takie tam, rozumiesz?

Jako jedyna córka. Kiedy przyjechałam, jedna ciotka na mnie popatrzyła i powiedziała: „Mogę ci załatwić pracę w dobrym banku, ale będziesz musiała ściąć te włosy *dada*“. — Kpiąco kręciła głową na boki i przedrzeźniała nigeryjski akcent. — Bóg mi świadkiem, w tym mieście jest mnóstwo banków, które po prostu chcą, żebyś wyglądała w miarę ładnie w przewidywalny sposób i dostaniesz pracę w obsłudze klienta. No, ale przyjąłam tę posadę, bo interesuje mnie wydawanie prasy. I to dobre miejsce, żeby poznawać ludzi, przez te wszystkie imprezy, na które chodzimy, wiesz? — Doris mówiła, jakby ona i Ifemelu miały podobne historie, podobnie patrzyły na świat.

Ifemelu trochę złościła ta arogancka pewność Doris, przekonanie, że ona oczywiście musi myśleć dokładnie tak samo.

Tuż przed lunchem do biura weszła kobieta w obcisłej, ołówkowej spódnicy i skórzanych, niebotycznych szpilkach, z gładkimi włosami, lekko zaczesanymi do tyłu. Nie była ładna, jej twarzy brakowało symetrii, ale nosiła się jak skończona piękność. Ponętna. Na jej widok to słowo od razu przyszło Ifemelu na myśl, przez jej kształtną smukłość, szczupłą talię i zaskakująco jędrne piersi.

— Cześć. Ty jesteś Ifemelu, tak? Witamy w „Zoe”. Jestem Zemaye.

Uścisnęła rękę Ifemelu, pilnując, żeby zachować neutralny wyraz twarzy.

— Cześć, Zemaye. Miło mi cię poznać. Masz śliczne imię — powiedziała Ifemelu.

— Dziękuję. — Przywykła to słyszeć. — Mam nadzieję, że nie przepadasz za zimnymi pomieszczeniami.

— Zimnymi pomieszczeniami?

— Tak. Doris uwielbia włączać klimatyzację i muszę w biurze zakładać sweter, ale teraz, kiedy pracujesz z nami, może

będziemy mogli ją przegłosować — rzekła Zemaye, rozsiadając się za swoim biurkiem.

— O czym ty mówisz? Od kiedy to musisz nosić sweter w pracy? — obruszyła się Doris.

Zemaye uniosła brwi i wyjęła z szuflady gruby szal.

— To ta wilgoć jest nie do wytrzymania — powiedziała Doris, zwracając się do Ifemelu przekonana, że ta się z nią zgodzi. — Po przyjeździe miałam wrażenie, że nie mogę oddychać.

Zemaye też zwróciła się do Ifemelu:

— Jestem dziewczyną z Delt, tam urodzoną i wychowaną. Więc nie spędzałam dzieciństwa w domu z klimatyzacją i nie musi mi być zimno, żebym mogła oddychać.

Powiedziała to beznamytnym tonem, jak zresztą wszystko, co mówiła, jednostajnie, bez wznoszącej i opadającej intonacji.

— Czy ja mówię, że ma być zimno? — powiedziała Doris. — Większość biur w Lagos ma klimatyzację.

— Ale nieustawioną na najniższą temperaturę — odezwała się Zemaye.

— Nigdy nic nie mówiłaś.

— Cały czas mówię, Doris.

— I dlatego nie możesz pracować?

— Jest zimno, koniec kropka — powiedziała Zemaye.

Ich wzajemna niechęć była jak czający się w pomieszczeniu, szykujący do skoku lampart.

— Nie lubię zimna — powiedziała Ifemelu. — Chyba bym zamarzła, gdyby klima była włączona na pełny regulator.

Doris zamrugła. Wyglądała nie na zdradzoną, ale zdumioną, że została zdradzona.

— OK, dobra, możemy ją w ciągu dnia włączać i wyłączać? Ciężko mi się oddycha bez klimy, a te okna są takie cholernie małe.

— OK — powiedziała Ifemelu.

Zemaye nie odpowiedziała; włączyła swój komputer, jakby to małe zwycięstwo nie zrobiło na niej wrażenia, i Ifemelu poczuła się głupio zawiedziona. W końcu zajęła stanowisko, odważnie stanęła po stronie Zemaye, która swoim zachowaniem nie dała jej niczego do zrozumienia. Ifemelu była ciekawa historii Zemaye. Zaintrygowała ją.

Później Doris i Zemaye oglądały rozłożone na biurku Doris zdjęcia korpulentnej kobiety w obcisłych, falbaniastych ubraniach, kiedy nagle Zemaye powiedziała:

— Przepraszam. Pogoniło mnie.

I pobiegła do drzwi, a widząc, jak giętko i sprężyste się porusza, Ifemelu zapragnęła schudnąć. Doris także odprowadziła ją wzrokiem.

— Nie uważasz, że to okropne, kiedy ludzie mówią „pogoniło mnie” albo „chcę się załatwić”, kiedy muszą iść do łazienki?

— zapytała Doris.

Ifemelu się roześmiała.

— Fakt!

— Według mnie „łazienka” to bardzo po amerykańsku. Ale jest przecież „toaleta”, „dla pań” i tak dalej.

— „Dla pań” nigdy mi się nie podobało. Wolę „toaleta”.

— To tak jak ja! — ucieszyła się Doris. — I nienawidzę, kiedy ludzie używają „do dzieła” jako czasownika. Do dzieła z tym!

— Wiesz, czego najbardziej nie znoszę? Kiedy zamiast „napiję się” ludzie mówią

„wezmę”. Wezmę wino. Nie, nie wezmę piwa.

— Boże, tak!

Śmiały się obie, kiedy Zemaye wróciła. Popatrzyła na Ifemelu z tą upiornie obojętną miną.

— Na pewno rozmawiacie o następnym spotkaniu „tam byłam” — powiedziała.

— Co to takiego? — zapytała Ifemelu.

— Doris bez przerwy o nich mówi, ale nie może mnie zaprosić, bo jest tylko dla tych, którzy byli za granicą.

Jeśli Zemaye kpiła, co było pewne, doskonale to ukrywała za beznamiętnym tonem.

— Och, proszę cię. „Tam byłam” już dawno wyszło z mody? Nie mamy roku 1960 —

powiedziała Doris. Po czym zwróciła się do Ifemelu: — Właśnie miałam ci o tym powiedzieć.

Nazywa się Nigerpolityczny Klub i należą do niego ludzie, którzy niedawno wrócili, niektórzy

z Anglii, ale większość z USA. Naprawdę nic takiego, po prostu opowiadamy o sobie i nawiązujemy kontakty. Na pewno część z tych ludzi znasz. Absolutnie powinnaś się wybrać.

— Owszem, bardzo chętnie.

Doris wstała i wzięła swoją torebkę.

— Muszę iść do domu cioci Onenu.

Po jej wyjściu zapadła cisza. Zemaye pisała na komputerze, Ifemelu przeglądała internet i zastanawiała się, o czym myśli Zemaye.

W końcu Zemaye się odezwała:

— Więc byłaś słynną blogerką w Ameryce. Kiedy ciocia Onenu nam powiedziała, nie wiedziałam, o co chodzi.

— To znaczy?

— Czemu o rasie?

— W Ameryce odkryłam rasę i to mnie zafascynowało.

— Hmm. — Zemaye mruknęła, jakby odkrycie rasy uznała za jakiś egzotyczny i pozbawiony umiaru fenomen. — Ciocia Onenu mówiła, że masz czarnego chłopaka i że ma niedługo przyjechać.

Ifemelu była zaskoczona. Ciocia Onenu pytała ją o życie prywatne, niby mimochodem, a jednak z naleganiem, więc opowiedziała jej o Blainie, chociaż uważała, że to żaden

interes jej szefowej, a teraz okazało się, że reszta pracowników już o wszystkim wie. Może była w tym zbyt amerykańska, w swojej obsesji na punkcie prywatności. Jakie to miało znaczenie, czy Zemaye wie o Blainie?

— Tak. Powinien przyjechać w przyszłym miesiącu.

— Dlaczego tam tylko czarni są przestępcami?

Ifemelu otworzyła usta i zamknęła je. Oto ona, słynna blogerka, której nagle zabrakło słów.

— Uwielbiam *Policjantów*. Dlatego mam telewizję satelitarną

— powiedziała Zemaye.

— I tam wszyscy przestępcy są czarni.

— To tak samo, jak mówić, że wszyscy Nigeryjczycy popełniają bankowe oszustwa —

odezwała się wreszcie Ifemelu.

Zabrzmiało to głupio, bez przekonania.

— Ale to prawda, wszyscy mamy go trochę we krwi! —

Zemaye uśmiechnęła się i po raz pierwszy w jej oczach pojawiło się prawdziwe rozbawienie. — Przepraszam, *o*. Nie chciałam przez to powiedzieć, że twój chłopak jest przestępcą. Nie o to mi chodziło.

ROZDZIAŁ 48

Ifemelu poprosiła Ranyinudo, żeby poszła z nią i Doris na spotkanie Klubu Nigerpolitycznego.

— Nie mam siły na was, tych wszystkich, co wrócili, błagam

— powiedziała Ranyinudo.

— Poza tym Ndudi w końcu wrócił z tego swojego podróżowania tu i tam i wychodzimy.

— Miło, że wolisz faceta od przyjaciółki, ty wiedzmo.

— Tak, *o*. Czy to ty się ze mną ożenisz? A tak przy okazji, powiedziałam Donowi, że umówiłam się z tobą, więc nie chodź nigdzie, gdzie mogłabyś go spotkać — powiedziała Ranyinudo ze śmiechem.

Wciąż jeszcze spotykała się z Donem, z zerwaniem czekając, aż Ndudi nabierze pewności, że to „na poważnie”, poza tym miała nadzieję, że Don zdąży jeszcze kupić jej nowy samochód.

Spotkanie Klubu Nigerpolitycznego: grupka ludzi popijających z plastikowych kubków szampana przy basenie w domu w Osborne Estate, wszyscy eleganccy, ociekający dobrymi manierami, każdy pielęgnujący jakieś wymyślone przez siebie dziwactwo — rude afro, T-shirt z wizerunkiem Thomasa Sankary, ogromne ręcznie robione kolczyki zwisające jak dzieło współczesnej sztuki. Głosy brzmiące z obcym akcentem. „W tym mieście nie można znaleźć pożądanego smoothie! O mój Boże, byłeś na tej konferencji? Ten kraj potrzebuje aktywnej grupy cywili.” Ifemelu niektórych znała. Gawędziła z Bisolą i Yagazie, z których obie nosiły naturalne włosy, uczesane w skręcone kosmyki okalające im twarze. Rozmawiały o miejscowych salonach fryzjerskich, w których fryzjerki nie radziły sobie z czesaniem naturalnych włosów, jakby miały do czynienia z jakimś obcym tworem, jakby same takich nie miały, zanim je pokonały chemikaliami.

— Te dziewczyny z salonu zawsze mówią: ciociu, nie chcesz sobie rozprostować włosów? Co za idiotyzm, że Afrykańczycy w Afryce nie szanują swoich naturalnych włosów — powiedziała Yagazie.

— Fakt — przyznała Ifemelu, odnajdując w głosach ich wszystkich słuszość.

Wszyscy ci, którzy wrócili, byli uświęceni, pokrywała ich dodatkowa, lśniąca powłoka.

Podeszła do nich Ikenna, prawniczka, która mieszkała poza Filadelfią, i którą Ifemelu poznała na konwencji Blogging While Brown. Fred też do nich dołączył. Tłusty, zadbany mężczyzna, przedstawił się Ifemelu już wcześniej.

— Do zeszłego roku mieszkałem w Bostonie — powiedział z fałszywą skromnością, ponieważ Boston oznaczał „Harvard” (w innym przypadku powiedziałby MIT albo Tufts czy coś), podobnie jak inna kobieta powiedziała: „Ja byłam w New

Haven” w ten wstydlivy sposób, który wcale nie miał być wstydlivy, dając do zrozumienia, że była w Yale. Przyłączyli się do nich inni, wszyscy zachowując się poufale, ponieważ tak łatwo się rozumieli. Szybko zaczęli się śmiać i wymieniać rzeczy w Ameryce, za którymi tęsknili.

— Odtłuszczonym mlekiem sojowym. Radiem NPR. Szybkim internetem — powiedziała Ifemelu.

— Porządną obsługą, porządną obsługą, jeszcze raz porządną obsługą — powiedziała Bisola. — Tutaj wszyscy zachowują się, jakby robili komuś przysługę, że go obsługują.

Eleganckie restauracje są jeszcze w porządku, może nie idealne, ale te zwykłe? Nie ma o czym mówić. Kiedyś poprosiłam kelnera, czy mogłabym dostać gotowanego jama, ale z innym sosem niż w karcie, a on tylko na mnie popatrzył i powiedział, że nie. Niesamowite.

— Ale obsługa w Ameryce potrafi być denerwująca. Bez przerwy ktoś nad tobą wisi i ci przeszkadza. „Wciąż jeszcze pani nad tym pracuje?” Od kiedy jedzenie stało się pracą? — powiedziała Yagazie.

— Mnie brakuje wegetariańskich miejsc — odezwała się Doris i zaczęła opowiadać o swojej nowej gosposi, która nie potrafi zrobić prostej kanapki, o tym, jak w restauracji na Victoria Island zamówiła wegetariańskie spring rolki, ugryzła i poczuła kurczaka, a kiedy wezwała kelnera, uśmiechnął się i powiedział: „Może dzisiaj dodali kurczaka”.

Wszyscy się roześmiali. Fred powiedział, że niedługo na pewno otworzą dobrą wegetariańską restaurację, bo teraz dużo się inwestuje w kraju i w końcu ktoś się zorientuje, że istnieje rynek wegetariański.

— Wegetariańska restauracja? Niemożliwe. W tym kraju jest tylko czterech wegetarian, wliczając Doris — powiedziała Bisola.

— Ty nie jesteś wegetarianką, prawda? — zapytał Fred Ifemelu.

Zwyczajnie ją zagadywał. Od czasu do czasu zauważała, że wciąż na nią patrzy.

— Nie — opowiedziała.

— Och, na Akin Adesola otworzyli właśnie tę nową restaurację — powiedziała Bisola.

Brunche są całkiem niezłe. Podają tam rzeczy, które możemy jeść. Może się wybierzemy w niedzielę.

„Podają rzeczy, które możemy jeść.” Ifemelu zaczynała odczuwać niepokój. Dobrze się tu czuła, ale chciałyby, żeby tak nie było. Wolałyby też, żeby nie była aż tak zainteresowana tą nową restauracją, nie wyobrażała sobie świeżej zielonej sałaty i warzyw ugotowanych na pół

twardo na parze. Uwielbiała jeść to wszystko, za czym tak tęskniła, kiedy jej nie było, ryż jollof, ugotowany z mnóstwem oliwy, smażone banany, gotowane jamy, ale tęskniła też za innymi rzeczami, do których przywykła w Ameryce, nawet komosą, specjalnością Blaine’a, którą przygotowywał z fetą i pomidorami. Miała nadzieję, że nie stanie się osobą spod znaku „podają rzeczy, które możemy jeść”, a jednak podejrzewała, że się jej nie udało.

Fred mówił o Nollywood, perorując nieco zbyt głośno.

— Nollywood to tak naprawdę publiczny teatr, i jeśli tak się go traktuje, wtedy jest bardziej do zniesienia. Przeznaczone jest do powszechnej konsumpcji, masowego odbioru, nie do indywidualnego przeżywania jak film.

Patrzył na nią, szukając w jej oczach potwierdzenia: tacy jak oni nie powinni oglądać Nollywood, a jeśli to robili, to wyłącznie w charakterze antropologicznej rozrywki.

— Ja lubię Nollywood — powiedziała Ifemelu, mimo że ona także uważała Nollywood bardziej za teatr niż film. Czuła potrzebę sprzeciwu, przekory. Jeśli się od tych ludzi odetnie, może w trochę mniejszym stopniu będzie osobą, którą być może się stała. — Nollywood bywa melodramatyczne, ale życie w Nigerii jest bardzo melodramatyczne.

— Naprawdę? — zdziwiła się kobieta z New Haven, zgniatając w rękę papierowy kubek, jakby ogromnie dziwne było, że ktoś na tym spotkaniu lubi Nollywood. — To obraża

moją inteligencję. Te produkcje są zwyczajnie złe. Ale co to mówi o nas?

— Ale w Hollywood też robią bardzo złe filmy. Mają tylko lepsze oświetlenie —

powiedziała Ifemelu.

Fred się roześmiał, trochę zbyt serdecznie, żeby pokazać, że jest po jej stronie.

— Nie chodzi tylko o technikę — powiedziała kobieta z New Haven. — Ten przemysł

jest zacofany. Jak pokazują kobietę? Filmy są bardziej mizoginistyczne niż samo społeczeństwo.

Po drugiej stronie basenu Ifemelu zauważyła mężczyznę, który przypominał jej Obinze.

Ale był zbyt wysoki jak na Obinze. Zastanawiała się, co by Obinze powiedział o takim spotkaniu jak to. W końcu został deportowany z Anglii, może więc nie uważa siebie za kogoś, kto wrócił

tak jak oni.

— Hej, wróć do nas — powiedział Fred, zbliżając się do niej, wkraczając w jej osobistą przestrzeń. — Myślisz o czymś innym.

Uśmiechnęła się słabo.

— Już nie.

Fred dużo wiedział. Zachowywał się z pewnością kogoś, kto znał się na praktycznych rzeczach. Prawdopodobnie zrobił MBA na Harvardzie i używał słów „zdolność” i „wartość”. Nie żył w świecie marzeń i fantazji, ale faktów i liczb.

— Jutro w MUSON jest koncert, lubisz muzykę klasyczną? — zapytał.

— Nie.

Nie podejrzewała, żeby on lubił.

— A chciałabyś ją polubić?

— Chcieć coś polubić to dość dziwaczny pomysł — powiedziała, teraz nagle nim zaintrygowana, troszkę zainteresowana.

Rozmawiali. Fred wspomniał o Straussie i Strawińskim, Vermeerze i van Eycku, niepotrzebnie się na coś powołując, cytując zbyt często, zbyt oczywisty w swojej wiedzy zza Atlantyku, zbyt chętny do pokazania, jak dużo wie o zachodnim świecie. Pomyliła się co do niego. Nie był typem MBA, który uważał, że świat to interes. Był impresario, dobrze wyuczonym i wyszkolonym człowiekiem, który mówił z porządnym akcentem amerykańskim i brytyjskim, który wiedział, co mówić obcokrajowcom, jak im sprawić przyjemność, i który bez problemu przyjąłby zagraniczne granty na wątpliwe projekty. Zastanawiała się, co ukrywa się pod tą wyćwiczoną powłoką.

— Więc pójdziesz na drinka? — zapytał.

— Jestem wykończona — odparła. — Chyba wrócę do domu. Ale zadzwoń do mnie.

ROZDZIAŁ 49

Motorówka unosiła się na spienionej wodzie, obok plaż z bieluteńkim piaskiem i drzew tryskających soczystą zielenią. Ifemelu się śmiała. Przerwała w połowie i popatrzyła na siebie, w pomarańczowej kamizelce ratunkowej, na statek w szarzejącej dali, na przyjaciół w okularach słonecznych. Jechali do domu na plaży przyjaciela Pryie, gdzie zrobią grilla i będą biegać bosy.

Pomyślała: „jestem w domu. Naprawdę jestem w domu.” Już nie pisała do Ranyinudo esemesów z pytaniami, co ma zrobić — „Czy mam kupić mięso w Shoprite, czy posłać Iyabo na targ?”;

„Gdzie mam kupić wieszaki?”. Teraz budził ją krzyk paw i wstawiała z łóżka, wiedząc, jaki ją czeka dzień, robiąc wszystko bez zastanowienia. Zapisła się na siłownię, ale poszła tylko dwa razy, bo po pracy wołała spotykać się z przyjaciółmi, i chociaż postanowiła sobie nie jeść, i tak zjadała kanapkę klubową i wypijała jednego lub dwa chapmany, typowe nigeryjskie drinki, a potem dochodziła do wniosku, że

odłoży wyjście na siłownię. Ubrania uciskały ją coraz bardziej. Gdzieś w zakamarkach umysłu chciała schudnąć, zanim znowu spotka się z Obinze. Nie zadzwoniła do niego; zaczeka z tym, aż na powrót stanie się dawną, smukłą sobą.

W pracy ogarniał ją coraz większy niepokój. Dusila się w „Zoe”. Zupełnie jakby w zimny dzień miała na sobie gryzący sweter: chciała go z siebie zedrzeć, ale bała się, co będzie, kiedy to zrobi. Często myślała o założeniu bloga, żeby pisać o tym, co dla niej ważne, budować go powoli, aż wreszcie przejść do wydawania własnego czasopisma. Ale było to zbyt niesprecyzowane, zbyt wiele rzeczy było dla niej obcych. Teraz, kiedy wróciła, ta praca dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Z początku lubiła pisać artykuły, przeprowadzać wywiady z kobietami z towarzystwa w ich domach, obserwować, jak żyją, uczyć się na nowo starych subtelności. Ale szybko zaczęło ją to nudzić i w czasie wywiadów słuchała tylko jednym uchem.

Za każdym razem kiedy wchodziła na teren ich wybetonowanych posiadłości, marzyła o piasku, w którym mogłaby zanurzyć palce stóp. Wpuszczała ją służąca albo dziecko, siadała w salonie pełnym marmurów i skóry, który przypominał jej czyste lotnisko w bogatym kraju. Potem pojawiała się madam, serdeczna i pogodna, proponowała jej drinka, czasem coś do jedzenia, po czym zasiadała na sofie, żeby porozmawiać. Wszystkie one, te madam, z którymi przeprowadzała wywiady, chwaliły się tym, co mają, gdzie były z mężem, dokąd pojechały ich dzieci, co robili, na koniec wszystkie te przechwałki, okraszając Bogiem. „Dziękujemy Bogu. To Bóg tego dokonał. Bóg jest wierny”. Po wyjściu Ifemelu myślała, że mogłaby wszystko napisać bez przeprowadzania wywiadu.

Równie dobrze mogła pisać o imprezach, wcale na nie nie chodząc. Jak często słyszało się to słowo w Lagos, jakże było popularne: impreza. Mogła się odbywać z powodu zmiany nazwy produktu, pokazu mody, promocji albumu. Ciocia Onenu nalegała, żeby chodziła na nie zawsze redaktorka z fotografem.

— Pamiętajcie, proszę, żeby wmieszać się w tłum — mówiła.
— Jeśli jeszcze nie zamieszczają u nas reklam, chcemy, żeby zaczęli to robić; jeśli już zamieszczają, chcemy, żeby robili to częściej!

„Wmieszać się w tłum” mówiła z emfazą, a Ifemelu zawsze odnosiła wrażenie, jakby ciocia Onenu obawiała się, że Ifemelu nie robiła tego jak należy. Może ciocia Onenu miała rację.

Na tych imprezach, w salach udekorowanych balonami, masą jedwabistych materiałów udrapowanych w kątach, z krzesłami pokrytymi gazą, i zbyt liczną obsługą, dziewczynami w za mocnych makijażach, Ifemelu nie znośła rozmawiać z gośćmi o „Zoe”. Większość czasu esemesowała z Ranyinudo, Pryie albo Zemaye, znudzona, niecierpliwie czekając na chwilę, kiedy będzie mogła wyjść, nie zachowując się niegrzecznie. Zawsze dwie albo trzy osoby wygłaszały jakieś mętne przemówienie, wszystkie rozwlekłe, jakby napisane przez tę samą, nieszczerą osobę. Zawsze witani byli bogaci i sławni — „Pragniemy powitać wśród nas byłego gubernatora...”. Otwierane były butelki wina, kartony z sokami, podawano pieczone pierożki i marynowanego grillowanego kurczaka. Raz na imprezie, na którą poszła z Zemaye, lunch z okazji wprowadzenia na rynek nowego napoju, wydawało się jej, że widzi przechodzącego obok Obinze. Obróciła się. To nie był on, ale równie dobrze mógł być. Wyobrażała go sobie na podobnych imprezach, w podobnych salach, z żoną u boku. Ranyinudo powiedziała jej, że jego żonę, kiedy jeszcze była studentką, okrzyknięto najpiękniejszą dziewczyną uniwersytetu w Lagos i Ifemelu wyobrażała sobie, że wygląda jak Bianca Onoh, ikona urody z jej lat młodości, z wysokimi kośćmi policzkowymi i oczami w kształcie migdałów. A kiedy Ranyinudo wspomniała, jak się nazywa — Kosisochukwu, co było rzadkim imieniem, Ifemelu wyobraziła sobie, jak matka Obinze prosi ją, żeby jej przetłumaczyła, co znaczy. Myśląc, jak matka Obinze i żona Obinze zastanawiają się, które tłumaczenie jest lepsze — Wola Boga albo Skoro Bóg Tak Chce — czuła się zdradzona. Teraz, kiedy matka Obinze już nie żyła, wspomnienie jej słów

„przetłumacz mi to” stawało się tym bardziej cenne.

Wychodząc z imprezy, Ifemelu zauważyła Dona.

— Ifemelu — powiedział.

Rozpoznała go dopiero po chwili. Ranyinudo przedstawiła ich kiedyś sobie, wiele miesięcy temu, kiedy w drodze do klubu Don wstąpił do mieszkania Ranyinudo, w stroju do tenisa, a Ifemelu natychmiast wyszła, żeby mogli zostać sami. W granatowym garniturze, ze lśniącoymi, szpakowatymi włosami prezentował się bardziej wytwornie.

— Dobry wieczór — powiedziała.

— Wyglądasz dobrze, bardzo dobrze — rzekł, taksując wzrokiem jej głęboko wyciętą sukienkę.

— Dziękuję.

— Nie pytasz o mnie — powiedział, jakby powinna mieć ku temu jakiś powód. Wręczył

jej swoją wizytówkę. — Zadzwoń do mnie, na pewno zadzwoń, ech. Porozmawiamy. Trzymaj się.

Nie był nią zainteresowany, nie konkretnie; był po prostu wielkim człowiekiem Lagos, a ona była ładna i sama; prawo ich wszechświata nakazywało mu spróbować ją poderwać, nawet jeśli spotykał się już z jej przyjaciółką; oczywiście też oczekiwał, że nie wspomni o tym tej przyjaciółce. Wsunęła jego wizytówkę do torebki, a po powrocie do domu podarła ją na strzępy i patrzyła, jak przez chwilę unoszą się w toalecie, zanim spuściła wodę. Była na niego dziwnie zła. Jego zachowanie mówiło coś o jej przyjaźni z Ranyinudo, co się jej nie podobało.

Zadzwoiła do Ranyinudo i już miała jej o wszystkim opowiedzieć, kiedy Ranyinudo się odezwała:

— Ifem, jestem taka przygnębiona.

Więc Ifemelu jej wysłuchała. Chodziło o Ndudiego.

— To taki dzieciuch — powiedziała Ranyinudo. — Wystarczy, że powiem coś, co mu się nie podoba, a on przestaje się

odzywać i zaczyna nucić. Poważnie, nucić, i to głośno. Czy dorosły człowiek może zachowywać się tak niedojrzale?

Był poniedziałek rano. Ifemelu czytała „Postbourgie”, to był jej ulubiony amerykański blog. Zemaye przeglądała stos lśniących fotografii. Doris wpatrywała się w swój komputer, w obu dłoniach ściskając kubek z napisem „I <3 FLORIDA”. Na biurku obok jej komputera stała

puszka z liściastą herbatą.

— Ifemelu, uważam, że ten artykuł jest zbyt kaśliwy?

— Co to znaczy „kaśliwy”? Wyjaśnijcie to, proszę, komuś, kto nie chodził do szkoły w Ameryce — powiedziała Zemaye.

Doris kompletnie ją zignorowała.

— Nie wydaje mi się, żeby ciocia Onenu chciała to zamieścić?

— Przekonaj ją, w końcu jesteś naczelną — powiedziała Ifemelu. — To pismo musi się wydawać.

Doris wzruszyła ramionami i wstała.

— Porozmawiamy o tym na zebraniu.

— Strasznie mi się chce spać — powiedziała Zemaye. — Powiem Esther, żeby zrobiła mi nescafé, zanim zasnę na zebraniu.

— Kawa rozpuszczalna jest okropna? — rzekła Doris. — Cieszę się, że nie przepadam za kawą, bo chyba bym umarła.

— Co jest nie tak z nescafé?

— Nawet nie powinna się nazywać kawą? — powiedziała Doris. — Jest gorsza niż zła.

Zemaye ziewnęła i przeciągnęła się.

— Ja tam ją lubię. Kawa to kawa.

Później, kiedy weszły do gabinetu cioci Onenu, z Doris na przedzie, w luźnej, niebieskiej sukience ogrodniczej i czarnych, zapinanych na pasek butach z kwadratowymi obcasami, Zemaye zapytała Ifemelu:

— Czemu Doris zawsze się tak beznadziejnie ubiera do pracy? Wygląda, jakby jej ubrania miały być jakimś żartem.

Usiadły przy owalnym stole konferencyjnym w wielkim gabinecie ciociu Onenu, która miała dłuższe i bardziej niestosowne włosy niż ostatnio, wysoko natapirowane z przodu, opadające falami na plecy. Napiała się z butelki dietetycznego sprite'a i powiedziała, że podobał

się jej felieton Doris *Małżeństwo z najlepszym przyjacielem*.

— Bardzo dobry i inspirujący — powiedziała.

— Och, ale ciociu Onenu, kobiety nie powinny wychodzić za najlepszego przyjaciela, bo wtedy nie ma między nimi seksualnej chemii — powiedziała Zemaye.

Ciocia Onenu popatrzyła na Zemaye tak, jak patrzy się na zwariowaną studentkę, której nie można traktować poważnie, po czym przerzuciła papiery i powiedziała, że nie podoba się jej artykuł Ifemelu o pani Funmi King.

— Dlaczego napisałaś: „nigdy nie patrzy na swojego stewarda, kiedy się do niego zwraca”? — zapytała ją ciocia Onenu.

— Bo nie patrzyła — odparła Ifemelu.

— Ale przez to wydaje się wredna — powiedziała ciocia Onenu.

— Według mnie to interesujący szczegół — rzekła Ifemelu.

— Zgadzam się z ciocią Onenu — powiedziała Doris. — Interesujący czy nie, ale nazbyt krytyczny?

— Kiedy przeprowadza się z kimś wywiad i o nim pisze, trzeba to robić krytycznie —

powiedziała Ifemelu. — Nie chodzi o tego, o kim się pisze. Chodzi o to, jak piszący go widzi.

Ciocia Onenu pokręciła głową. Doris swoją potrząsnęła.

— Czemu zawsze musimy być ostrożni? — zapytała Ifemelu.

Odezwała się Doris, udając, że żartuje:

— To nie jest twój amerykański blog, w którym wszystkich prowokowałaś, Ifemelu. To jest porządne czasopismo dla

kobiet?

— Otóż to! — powiedziała ciocia Onenu.

— Ale ciociu, nigdy nie przebijemy „Glass”, jeśli dalej będziemy tak robić — rzekła Ifemelu.

Ciocia Onenu wytrzeszczyła oczy.

— „Glass” robi dokładnie to samo co my — powiedziała szybko Doris.

Weszła Esther, żeby powiedzieć cioci Onenu, że przyszła jej córka.

Czarne, wysokie obcasy Esther drżały, kiedy przechodziła. Ifemelu bała się, że się złamią i Esther skręci sobie kostkę. Wcześniej tego samego dnia Esther zagadnęła Ifemelu:

— Ciociu, twoje włosy są jagajaga.

Zrobiła to ze smutną szczerością, mówiąc o czymś, co według Ifemelu było bardzo ładną fryzurą z poskręcanych włosów.

— Ech, już tu jest? — powiedziała ciocia Onenu. — Dziewczęta, proszę, dokończcie zebranie. Zabieram córkę, żeby kupić jej sukienkę, a po południu mam spotkanie z naszymi dystrybutorami.

Ifemelu była zmęczona i znudzona. Znowu myślała o założeniu bloga. Zawibrował jej telefon. Dzwoniła Ranyinudo i normalnie Ifemelu odczekałaby do końca zebrania i dopiero wtedy oddzwoniła. Ale dzisiaj powiedziała:

— Wybaczcie. Muszę odebrać, zagraniczna rozmowa.

I szybko wyszła. Ranyinudo skarżyła się na Dona.

— Powiedział, że nie jestem już taką słodką dziewczyną jak dawniej. Że się zmieniałam.

Tymczasem wiem, że kupił dla mnie jeepa i już go odprawił na lotnisku, ale nie chce mi go dać.

Ifemelu zastanowiło określenie „słodka dziewczyna”. Słodka dziewczyna oznaczało, że Don przerobił Ranyinudo wedle własnego uznania albo że Ranyinudo pozwalała mu w to wierzyć.

— A co z Ndudim?

Ranyinudo westchnęła głośno.

— Nie rozmawialiśmy od niedzieli. Najpierw zapomniał do mnie zadzwonić. Potem był

zbyt zajęty, więc mu powiedziałam, że tak nie może być. Teraz jest obrażony. Nawet nie umie zacząć rozmawiać jak dorosły ani przyznać, że zrobił źle.

Później, kiedy wróciła już do biura, weszła Esther z informacją, że niejaki pan Tolu chce się zobaczyć z Zemaye.

— To ten fotograf, z którym robiłaś artykuł o krawcach? — zapytała Doris.

— Tak. Spóźnił się. Od kilku dni nie odbiera ode mnie telefonów — rzekła Zemaye.

— Musisz się tym zająć i dopilnować, żeby dostała zdjęcia do jutra po południu? —

powiedziała Doris. Drukarnia musi dostać wszystko przed trzecią? Nie chcę więcej opóźnień w druku, tym bardziej że „Glass” drukują w Afryce Południowej?

— OK. — Zemaye poruszyła myszką. — Serwer jest dzisiaj strasznie wolny. Muszę to wysłać. Esther, powiedz mu, żeby poczekał.

— Tak, *ma*.

— Lepiej się czujesz, Esther? — zapytała Doris.

— Tak, *ma*. Dziękuję, *ma*. — Esther dygnęła. Tak jak to robią Joruba. Stała przy drzwiach, jakby czekała, aż ją odeślą, i przysłuchiwała się rozmowie. — Biorę lekarstwo na tyfus.

— Masz tyfus? — zapytała Ifemelu.

— Nie zauważyłaś, jak wyglądała w poniedziałek? Dałam jej pieniądze, żeby poszła do szpitala, nie do apteki? — powiedziała Doris.

Ifemelu żałowała, że ona nie zauważyła, iż Esther źle się czuje.

— Przepraszam, Esther — powiedziała Ifemelu.

— Dziękuję, *ma*.

— Esther, przykro mi, *o* — rzekła Zemaye. — Widziałam, że jest blada, ale myślałam, że pości. No wiecie, wciąż pości. Pości i pości, aż Bóg da jej męża.

Esther zachichotała.

— Pamiętam, jak miałam okropny tyfus w liceum — powiedziała Ifemelu. — Był

koszmarny i okazało się, że dali mi za słaby antybiotyk. Co zażywasz, Etsher?

— Lekarstwo, *ma*.

— Jaki antybiotyk ci dali?

— Nie wiem.

— Nie wiesz, jak się nazywa?

— Przyniosę je, *ma*.

Esther wróciła z przezroczystymi paczuszkami tabletek, na których stosowanie, ale nie nazwa było wypisane drobnym maczkiem, niebieskim atramentem. „Dwie brać rano i wieczorem. Jedna trzy razy dziennie.”

— Powinniśmy o tym napisać, Doris. Powinniśmy mieć dział o zdrowiu z przydatnymi, praktycznymi informacjami. Minister zdrowia powinien się od kogoś dowiedzieć, że zwykli Nigeryjczycy idą do lekarza, który daje im lekarstwa bez nazwy. To cię może zabić. Skąd będzie wiadomo, co już wzięłaś albo czego nie powinnaś brać, skoro już bierzesz coś innego?

— Aj-aj, ale jest mały problem, robią tak, żebyś nie kupowała lekarstw od kogoś innego

— powiedziała Zemaye. — A co z podrabianymi lekarstwami? Idź na targ i zobacz, co sprzedają.

— OK, uspokójmy się? Po co od razu wojować? Nie uprawiamy tutaj dziennikarstwa śledczego? — powiedziała Doris.

Ifemelu zaczęła sobie wyobrażać swojego nowego bloga, stronę w biało-niebieskich kolorach, a na czołówce zdjęcie Lagos z lotu ptaka. Nic typowego, żaden uliczny zator z żółtymi, zardzewiałymi autobusami ani żadne podmokłe slumsy z blaszanymi ruderami. Może wykorzysta opuszczony dom obok jej mieszkania. Sama robi zdjęcie, w tajemniczym wieczornym powietrzu, i może uda się jej uchwycić samca pawia w locie. Posty będą pisane przejrzystą, czytelną czcionką. Artykuł o opiece zdrowotnej, z historią Esther i zdjęciami lekarstw bez nazwy.

Kawałek o Klubie Nigerpolitycznym. Artykuł o modzie, o ubraniach, na które kobiety naprawdę mogą sobie pozwolić. Posty o ludziach, którzy pomagają innym, ale nic w stylu historyjek w „Zoe”, w których zawsze jest o bogatej kobiecie, która tuli sierotkę w domu dziecka, a w tle widać worki ryżu i puszki mleka w proszku.

— Ale Esther, musisz też skończyć z tym poszczeniem, *o* — powiedziała Zemaye. —

Wiecie, że Esther czasem oddaje całą pensję swojemu Kościołowi, oni to nazywają „sianiem ziarna”, a potem przychodzi do mnie i prosi o trzysta naira na transport.

— Ale, *ma*, to tylko mała pomoc. Robię, co trzeba — powiedziała Esther z uśmiechem.

— W zeszłym tygodniu pościła z chusteczką — mówiła dalej Zemaye. — Trzymała ją na biurku przez cały dzień. Powiedziała, że ktoś w jej Kościele dostał awans po tym, jak pościł

z chusteczką.

— O co chodziło z tą chusteczką na jej biurku? — zapytała Ifemelu.

— Ale ja wierzę, że cuda się zdarzają? Wiem, bo moją ciotkę wyleczyli w kościele z raka? — powiedziała Doris.

— Dzięki magicznej chusteczce, *abi*? — prychnęła Zemaye.

— Nie wierzysz mi, *ma*? Ale to prawda. — Esther była zachwycona, że tak sobie po koleżeńsku rozmawiają, i wcale nie miała ochoty wracać do swojego biurka.

— Więc chcesz awansować, Esther? Znaczący, chcesz moją posadę? — zapytała Zemaye.

— Nie, *ma!* Wszyscy awansujemy w imię Jezusa! — powiedziała Esther.

Roześmiały się.

— Czy Esther ci mówiła, jaką masz aurę, Ifemelu? — zapytała Zemaye, kierując się do drzwi. — Kiedy zaczęłam tu pracować, wciąż zapraszała mnie do swojego Kościoła, a potem powiedziała mi, że będzie specjalna msza za ludzi z aurą uwodzicieli. Takich jak ja.

— To zdecydowanie za bardzo naciągane? — powiedziała Doris ze złośliwym uśmiechem.

— Jaką mam aurę, Esther? — zapytała Ifemelu.

Esther potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i wyszła.

Ifemelu obróciła się do swojego komputera. Właśnie wymyśliła tytuł swojego bloga.

„Małe radości Lagos.”

— Ciekawe z kim Zemaye się spotyka? — powiedziała Doris.

— Mówiła mi, że nie ma chłopaka.

— Widziałaś jej samochód? Z pensji nie stać by ją było nawet na migacze. Nie ma bogatej rodziny ani nic z tych rzeczy. Pracuję z nią już prawie od roku i nie wiem, co tak naprawdę robi?

— Może wraca do domu, przebiera się i w nocy rabuje z użyciem broni — powiedziała Ifemelu.

— Wszystko jedno — rzekła Doris.

— Powinniśmy napisać artykuł o Kościołach — powiedziała Ifemelu. — Jak Kościół

Esther.

— To nie pasuje do „Zoe”?

— To głupota, że ciocia Onenu lubi mieć trzy artykuły o tych nudnych kobietach, które nic nie osiągnęły i nie mają nic do

powiedzenia. Albo młodszych, które nie mają za grosz talentu i nagle postanawiają, że są projektantkami mody.

— Wiesz, że płacą cioci Onenu, tak? — zapytała Doris.

— Płacą jej? — Ifemelu wybałuszyła oczy. — Nie, nie wiedziałam. I wiesz, że nie wiedziałam.

— Cóż, płacą. Większość z nich. Musisz zrozumieć, że w tym kraju dużo rzeczy działa na tej zasadzie?

Ifemelu wstała i zebrała swoje rzeczy.

— Nigdy nie wiem, co myślisz ani czy w ogóle myślisz.

— A ty jesteś straszną suką, co wszystkich osądza — wrzasnęła Doris, wytrzeszczając oczy.

Ifemelu zaniepokojona tą nagłą zmianą pomyślała, że może Doris pod swoim płaszczkiem staromodnej pretensjonalności należy do tych kobiet, które sprowokowane zmieniają się nie do poznania, zdzierają z siebie ubrania i toczą bójkę na ulicy.

— Siedzisz i wszystkich krytykujesz — mówiła Doris. — Za kogo ty się uważasz?

Czemu myślisz, że pismo ma być o tobie? Nie należy do ciebie. Ciocia Onenu powiedziała, jak ma wyglądać jej czasopismo, i albo się dostosujesz, albo może nie powinnaś tu pracować?

— A ty musisz sobie kupić krem nawilżający i przestać straszyć ludzi tą obrzydliwą, czerwoną szminką — powiedziała Ifemelu. — I zacznij żyć, zamiast myśleć, że jak się będziesz podlizywać cioci Onenu i pomagać jej w wydawaniu tego szmatławca, to do czegoś dojdiesz, bo tak nie będzie.

Wyszła z biura, czując się pospolicie, zawstydzona tym, co właśnie się stało. Może to był

znak, że powinna odejść i założyć swojego bloga.

Kiedy wychodziła, odezwała się do niej Esther, cichym, poważnym głosem:

— *Ma?* Według mnie ma pani aurę odstraszącą mężów. Jest pani za twarda, *ma*, nie znajdzie sobie pani męża. Ale mój

pastor może tę aurę zniszczyć.

ROZDZIAŁ 50

Dike chodził do terapeuty trzy razy w tygodniu. Ifemelu dzwoniła do niego co drugi dzień i czasem opowiadał jej o sesjach, a czasem nie, ale zawsze chciał wiedzieć wszystko o jej nowym życiu. Opowiadała mu o swoim mieszkaniu, o tym, że miała szofera, który woził ją do pracy, o spotkaniach z dawnymi przyjaciółmi, że w niedzielę uwielbia sama wybierać się samochodem na przejażdżki, bo wtedy ulice są puste, a Lagos staje się swoją łagodniejszą wersją, o tym, że ludzie wystrojeni w swoje kolorowe ubrania do kościoła wyglądają z daleka jak kwiaty na wietrze.

— Myślę, że Lagos by ci się spodobało — powiedziała, a on odparł ochoczo, zdumiewając ją:

— Mogę do ciebie przyjechać, kuzyna?

Ciocia Uju z początku miała wątpliwości.

— Lagos? Czy to bezpieczne? Wiesz, przez co przeszedł. Nie wiem, czy sobie poradzi.

— Ale sam chce przyjechać, ciociu.

— Sam o to poprosił? Od kiedy wie, co jest dla niego dobre? Czy to nie on chciał ze mnie uczynić bezdzietną matkę?

Ale ciocia Uju kupiła Dike'owi bilet i siedzieli teraz, ona i Dike, w jej samochodzie, pełznąc w ulicznym korku w Oshodi. Dike otwierając szeroko oczy, wyglądał przez okno.

— O mój Boże, kuzyna. Nigdy nie widziałem tylu czarnych w jednym miejscu! —

powiedział.

Zatrzymali się w restauracji z fast foodem i Dike zamówił hamburgera.

— To końskie mięso? Bo na pewno nie hamburger.

Odtąd jadł wyłącznie ryż jollof i smażone banany.

Jego przyjazd był dobrym początkiem: dzień wcześniej założyła swojego bloga, a tydzień wcześniej odeszła z pracy.

Ciocia Onenu nie była zdziwiona jej rezygnacją, nie próbowała też jej zatrzymać.

— Chodź, uściskaj mnie, moja kochana — powiedziała tylko, uśmiechając się bezsensownie, a duma Ifemelu zbladła.

Ale Ifemelu miała pełne optymizmu oczekiwania wobec „Małe radości Lagos”, z sennym zdjęciem opuszczonego kolonialnego domu na czołówce. W pierwszym poście zamieściła krótki wywiad z Priye, ze zdjęciami z zorganizowanych przez nią ślubów. Według Ifemelu wystrój był

przesadzony, ale post spotkał się z entuzjastycznym odzewem, zwłaszcza właśnie wystrój.

„Fantastycznie przystrojone, madam Priye, mam nadzieję, że moje wesele też Pani zorganizuje.

Wspaniała robota, tak trzymać.” Zemaye napisała pod pseudonimem post o mowie ciała i seksie,

„Czy patrząc na dwoje ludzi można się domyślić, czy to robią?”. On też doczekał się wielu komentarzy. Ale jak dotąd najwięcej dotyczyło postu Ifemelu o Klubie Nigerpolitycznym.

Lagos nigdy nie było, nigdy nie będzie i nigdy nie aspirowało, żeby być jak Nowy Jork czy jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. Lagos zawsze i bezdyskusyjnie było sobą, ale trudno się o tym przekonać na spotkaniu Klubu Nigerpolitycznego, grupy młodych ludzi, którzy wrócili z zagranicy i którzy spotykają się co tydzień, aby rozpaczać, że Lagos nie jest jak Nowy Jork, chociaż nigdy ani trochę nie było do niego podobne. Pełne zbliżenie: jestem jedną z nich.

Większość z nas wróciła, żeby w Nigerii zarobić pieniądze, założyć firmę, nawiązać rządowe kontakty i dostać rządowe kontrakty. Inni wrócili z kieszeniami pełnymi marzeń, spragnieni zmieniania kraju, ale przez większość czasu narzekamy na Nigerię, i chociaż te narzekania są

przeważnie uzasadnione, wyobrażam sobie, jak ktoś z zewnątrz mówi: wracajcie, skąd przyjechaliście! Jeśli wasza gospośnia nie umie zrobić idealnej kanapki panino, to nie

dlatego, że jest głupia. Nie umie dlatego, że Nigeria nie jest narodem ludzi jedzących kanapki, a jej ostatni *oga* nie jadał po południu chleba. Musi się więc nauczyć i poćwiczyć. Nigeria nie jest też narodem alergików, ludzi, którzy wybrzydzą, dla których jedzenie polega na odróżnianiu i niełączeniu. Jest narodem ludzi, którzy jedzą wołowinę, kurczaka, krowią skórę i podroby, i suszone ryby w jednej misce zupy, i to się nazywa różnorodność, więc weźcie się w garść i zrozumcie, że takie tutaj jest życie, różnorodne.

Pierwszy komentarz brzmiał: „Gówniany post. Kogo to obchodzi?”. W drugim ktoś inny napisał: „Dzięki Bogu, że ktoś wreszcie o tym mówi. *Na wa* dla arogancji Nigeryjczyków, którzy wracają. Moja kuzynka wróciła po sześciu latach w Ameryce i raz poszła ze mną do przedszkola w Unilag, gdzie odprowadzam siostrzenicę, i niedaleko wejścia zobaczyła grupkę studentów czekających w kolejce do autobusu i powiedziała: »Rany! Ludzie tu naprawdę stoją w kolejce!«”.

Jeden z pierwszych komentatorów napisał: „Dlaczego Nigeryjczycy po zagranicznych szkołach mogą sobie wybierać, gdzie odbywają młodzieżową służbę? Nigeryjczycy po nigeryjskich szkołach są wysyłani na chybił trafił, dlaczego więc Nigeryjczycy, którzy uczyli się za granicą, mają być traktowani inaczej?”. Ten komentarz sprowokował więcej uwag niż pierwszy. Szóstego dnia blog miał już sześć tysięcy odwiedzających.

Ifemelu kontrolowała posty, usuwając wszystkie obraźliwe, zachwycona żywym odzewem, w poczuciu, że działa na pierwszej linii czegoś autentycznego. Napisała długi post o kosztownym stylu życia niektórych młodych kobiet w Lagos i następnego dnia po jego umieszczeniu zadzwoniła do niej rozwścieczona Ranyinudo, dysząc ciężko do słuchawki.

— Ifem, jak możesz robić coś takiego? Każdy, kto mnie zna, domyśli się, że to o mnie!

— To nieprawda, Ranyi. Przecież to jest tutaj na porządku dziennym.

— Co ty wygadujesz? Nie ma wątpliwości, że to o mnie!
Tylko posłuchaj!

Ranyinudo zrobiła krótką przerwę, a potem zaczęła czytać na głos: W Lagos jest mnóstwo młodych kobiet z Bogactwem Niewiadomego Pochodzenia.

Prowadzą życie, na które ich nie stać. Podróżują do Europy wyłącznie klasą biznes, ale mają pracę, z której nie mogłyby sobie opłacić nawet zwykłego biletu. Jedną z nich jest moja przyjaciółka, śliczna, błyskotliwa kobieta, która pracuje w agencji reklamowej. Mieszka na Wyspie i spotyka się z wielkim bankierem. Martwię się, że skończy jak wiele kobiet w Lagos, których życie określają mężczyźni, jacy nigdy nie będą naprawdę ich, upośledzone przez kulturę zależności, z desperacją w oczach i z designerskimi torebkami przewieszonymi przez rękę.

— Ranyi, słowo daję, nikt się nie domyśli, że mowa o tobie. Jak dotąd wszystkie komentarze są od osób, które się z tym identyfikują. Bardzo dużo kobiet zatraciło się w takich związkach. Tak naprawdę myślałam o cioci Uju i Generale. Ich związek ją zniszczył. Przez Generała stała się kimś innym, nie mogła nic dla siebie zrobić, a kiedy Generał umarł, straciła samą siebie.

— A kim ty jesteś, żeby osądzać? W czym się od nas różniłaś, kiedy byłaś z tym swoim bogatym białym Amerykaninem? Dostałabyś swoje amerykańskie obywatelstwo, gdyby nie on? Niby jak dostałaś pracę w Ameryce? Skończ z tymi bzdurami. Przestań myśleć, że jesteś kimś lepszym!

Ranyinudo rozłączyła się. Ifemelu długo wpatrywała się w milczący telefon, wstrząśnięta.

Potem zdjęła swój post i pojechała do mieszkania Ranyinudo.

— Ranyi, przepraszam. Proszę, nie gniewaj się — powiedziała.

Ranyinudo spojrzała na nią przeciągle.

— Masz rację — powiedziała Ifemelu. — Łatwo jest osądzać. Ale to nie było nic

osobistego i nie miałam nic złego na myśli. Proszę, *biko*. Już nigdy nie naruszę w ten sposób twojej prywatności.

Ranyinudo potrząsnęła głową.

— Ifemelinamma, jesteś po prostu emocjonalnie sfrustrowana. Idź i odszukaj Obinze, proszę cię.

Ifemelu się roześmiała. To było ostatecznie, co spodziewała się usłyszeć.

— Najpierw muszę schudnąć — powiedziała.

— Po prostu się boisz.

Zanim Ifemelu wyszła, siedząc na kanapie i pijąc piwo, obejrzały najnowszy program o celebrytach na E!

Dike zgodził się zostać moderatorem komentarzy do bloga, więc Ifemelu mogła sobie odpocząć.

— O mój Boże, kuzyna, ludzie traktują to okropnie osobiście!
— powiedział.

Czasem czytając jakiś komentarz, śmiał się. Kiedy indziej pytał, co znaczą zwroty, których nie znał. „Co to jest »błysk w oku«?” Gdy po raz pierwszy od jego przyjazdu wyłączyli prąd, brzęczące, buczące, pipające dźwięki, jakie zaczął wydawać jej UPS, wprawiły go w przerażenie.

— Rany boskie, to alarm pożarowy? — zapytał.

— Nie, to takie urządzenie, dzięki któremu mój telewizor nie padnie przez te wszystkie wariackie przerwy w dostawie prądu.

— To jest wariackie — powiedział Dike, ale już kilka dni później sam chodził na tył

mieszkania, żeby włączyć generator, kiedy brakowało prądu.

Ranyinudo przedstawiła mu dziewczyny, swoje kuzynki, mniej więcej w jego wieku, w obcisłych jeansach, opinających szczupłe uda, i z piersiami uwydatnionymi przez T-shirty.

— Dike, musisz się z jedną ożenić, *o* — powiedziała Ranyinudo. — Musimy mieć ładne dzieci w rodzinie.

— Ranyi! — obruszyły się jej kuzynki, zawstydzone, ukrywając swoją nieśmiałość.

Dike im się podobał. Łatwo go było lubić, był uroczy, dowcipny, z ledwo skrywaną wrażliwością. Na Facebooku umieścił swoje zdjęcie, które Ifemelu mu zrobiła, kiedy stał na werandzie z kuzynkami Ranyinudo, i podpisał je: „Póki co lwy mnie jeszcze nie pożarły”.

— Szkoda, że nie znam igbo — powiedział po wieczorze spędzonym u jej rodziców.

— Ale wszystko doskonale rozumiesz — odparła.

— Chciałbym umieć mówić.

— Możesz się przecież nauczyć — powiedziała nagle zdesperowana, niepewna, na ile jest to dla niego ważne, znowu sobie przypominając, jak leżał na kanapie w piwnicy, skąpany we własnym pocie. Nie wiedziała, czy może jeszcze coś dodać.

— No, chyba tak — powiedział i wzruszył ramionami, jakby już było za późno.

Kilka dni później zapytał ją:

— Jaki naprawdę był mój ojciec?

— Kochał cię.

— Lubiłaś go?

Nie chciała go okłamywać.

— Nie wiem. Był ważną osobą w wojskowym rządzie, a to zmienia człowieka, tak samo jak jego stosunek do innych. Martwiłam się o twoją mamę, bo uważałam, że zasługiwała na coś lepszego. Ale ona go kochała, naprawdę kochała, a on kochał cię. Z taką czułością nosił cię na rękach.

— Nie chce mi się wierzyć, że mama przez tyle lat ukrywała przede mną, że była jego kochanką.

— Chciała cię chronić — powiedziała Ifemelu.

— Możemy pojechać zobaczyć dom w Dolphin Estate?

— Tak.

Zawiozła go do Dolphin Estate i była zaskoczona widząc, jak bardzo osiedle podupadło.

Z budynków obłaziła farba, ulice były dziurawe i wszystko wokół jakby poddało się swojemu zaniedbaniu.

— Wtedy było tu o wiele ładniej — powiedziała mu.

Przez chwilę stał i patrzył na dom, aż zainteresował się nimi stróż.

— Tak? Jakiś problem?

Wsiedli do samochodu.

— Mogę prowadzić, kuzyna? — zapytał Dike.

— Jesteś pewny?

Kiwnął głową. Wysiadła zza kierownicy i obeszła samochód. Wiózł ich do domu, wahając się lekko przed wjazdem na Osborne Road, a potem włączając się do ruchu już dużo pewniej. Wiedziała, że jest to dla niego ważne, chociaż nie potrafiła tego nazwać. Wieczorem, kiedy wyłączyli prąd, jej generator nie dał się uruchomić i podejrzewała, że szoferowi sprzedali ropę z domieszką nafty. Dike skarżył się na upał, na moskity, które go kąsały. Otworzyła okna i kazała mu zdjąć koszulę; leżeli obok siebie na łóżku i rozmawiali, w zasadzie o niczym —

wyciągnęła rękę i położyła mu ją na czole, i trzymała ją tam tak długo, aż usłyszała, jak oddycha miarowo przez sen.

Rano niebo było zasnuwane stalowoszarymi chmurami, a w powietrzu czuć było nadciągający deszcz. Gdzieś niedaleko stadko ptaków ze skrzekiem zerwało się do lotu. Zaczęło padać, z nieba chlusnęło morze wody, obraz w telewizorze zrobił się ziarnisty, linie telefoniczne się zatkały, drogi zalała woda, na ulicach potworzyły się korki.

— W sumie mi się tu podoba — wyznał jej.

Chciała powiedzieć: „Możesz ze mną zamieszkać. Są tu dobre prywatne szkoły, do których mógłbyś pójść”, ale nie zrobiła tego.

Zawiozła go na lotnisko i czekała, patrząc, jak przechodzi przez odprawę, macha do niej i znika za rogiem. Wróciła do domu i jej kroki brzmiały pusto, kiedy przechodziła z sypialni do salonu, na werandę i z powrotem.

— Nie mogę pojąć, że taki świetny chłopak jak Dike mógł chcieć się zabić —

powiedziała później Ranyinudo. — Chłopak, który mieszka w Ameryce i ma wszystko. Jak to możliwe? To takie zagraniczne zachowanie.

— Zagraniczne zachowanie? O czym ty, kurwa, mówisz? Zagraniczne zachowanie?

Czytałaś *Świat się rozpada*? — zapytała Ifemelu, żałując, że powiedziała Ranyinudo o Dike'u.

Nigdy wcześniej nie była taka zła na Ranyinudo, chociaż wiedziała, że przyjaciółka nie miała nic złego na myśli i powiedziała tylko to, co powiedziałoby wielu Nigeryjczyków; dlatego właśnie po swoim powrocie nikomu nie wspomniała o próbie samobójczej Dike'a.

ROZDZIAŁ 51

Była przerażona, kiedy po raz pierwszy poszła do banku i musiała przejść obok uzbrojonego strażnika i podejść do piszczących drzwi, przed którymi stała zamknięta jak w pozbawionej powietrza trumnie, aż światełko zmieniło się na zielone. Czy w bankach zawsze była taka zastrzona ochrona? Zanim wyjechała z Ameryki, wysłała trochę pieniędzy do Nigerii i Bank of America zażądał, żeby porozmawiała z trzema różnymi osobami, z których każda przestrzegła ją, że Nigeria jest krajem wysokiego ryzyka; jeśli coś stanie się z jej pieniędzmi, oni nie będą ponosili żadnej odpowiedzialności. Czy rozumie? Kobieta, z którą rozmawiała na końcu, kazała jej wszystko powtórzyć. „Przepraszam, ale nie usłyszałam. Muszę mieć pewność, że rozumie pani, iż Nigeria jest krajem wysokiego ryzyka.”

— Rozumiem! — powiedziała.

Czytali jej jedno ostrzeżenie za drugim, aż zaczęła się bać o swoje pieniądze, wędrujące po łączach do Nigerii, i

przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy przysłała do banku i zobaczyła jaskrawe girlandy zabezpieczeń przy wejściu. Ale pieniądze znalazły się bezpiecznie na jej rachunku. A teraz, kiedy weszła do banku, zobaczyła Obinze w sektorze obsługi klienta. Stał

plecami do niej i poznała, po wzroście i kształcie głowy, że to on. Zatrzymała się i, czując mdłości ze strachu, modliła się, żeby nie odwrócił się, dopóki ona się nie uspokoi. Wreszcie się odwrócił, ale to nie był Obinze. Gardło miała ściśnięte. W głowie kłębiło się jej od duchów.

Wróciła do samochodu, włączyła klimatyzację i postanowiła do niego zadzwonić, żeby uwolnić się od duchów. Jego telefon dzwonił i dzwonił. Był teraz ważnym człowiekiem, to oczywiste, że nie odbierze, widząc nieznany numer. Wysłała mu wiadomość: „Sufit, to ja”. Jej telefon zadzwonił niemal natychmiast.

— Halo? Ifem?

Głos, którego od tak dawna nie słyszała, brzmiał tak samo i jednocześnie inaczej.

— Sufit! Jak się masz?

— Wróciłaś.

— Tak.

Ręce się jej trzęsły. Powinna była najpierw wysłać maila. Powinna być rozgadana, zapytać o żonę i dzieci, powiedzieć mu, że tak naprawdę przyjechała już jakiś czas temu.

— Tak — powiedział Obinze, przeciągając słowo. — Jak się masz? Gdzie jesteś? Kiedy mogę cię zobaczyć?

— Może teraz?

Powiedziała to pchana tą swoją nieostrożnością, która często się u niej pojawiała w chwilach zdenerwowania, ale może najlepiej zobaczyć się z nim od razu i mieć to za sobą.

Żałowała, że nie wystroiła się bardziej, mogła założyć swoją ulubioną sukienkę w fasonie, który ją wyszczuplał, ale w tej spódnicy do kolan też nie wyglądała najgorzej, a w wysokich obcasach zawsze czuła się pewna siebie; jej afro na szczęście nie skreśliło się za bardzo pod wpływem wilgoci.

Obinze chwilę milczał — może się wahał? — i pożałowała swojej wyrywczości.

— W zasadzie śpieszę się na spotkanie — dodała szybko. — Ale chciałam powiedzieć, że możemy się spotkać niedługo...

— Ifem, gdzie jesteś?

Powiedziała mu, że wybiera się do Jazzhole po książkę i będzie tam za kilka minut. Pół

godziny później stała przed księgarnią, kiedy podjechał czarny range rover i Obinze wysiadł

z tylnego siedzenia.

Nastąpiła chwila, pęknięcie w błękitnym niebie, inercja bezruchu, kiedy żadne z nich nie wiedziało, co robić, on idąc ku niej, a ona stojąc tam z wyteżonym wzrokiem, ale już sekundę później był przy niej i objęli się. Klepnęła go w plecy, raz, potem drugi, żeby to był kumplowski uścisk, platoniczny i bezpiecznie kumplowski uścisk, ale on przyciągnął ją lekko do siebie i przytrzymał odrobinę zbyt długo, jakby mówił, że nie ma w tym nic kumplowskiego.

— Obinze Maduewesi! Kupa czasu! No proszę, nic się nie zmieniłeś!

Była zdenerwowana i ten jej nagle piskliwy głos ją rozzłościł. Patrzył na nią, otwarcie i bez skrepowania, a ona nie wytrzymała jego wzroku. Palce jej drżały niezależnie od jej woli, co już było wystarczająco okropne; nie mogła odwzajemnić jego spojrzenia, stali tak oboje w gorącym słońcu, w spalinach na Awolowo Road.

— Ciszę się, że cię widzę, Ifem — powiedział.

Był spokojny. Zapomniała już, jaki zawsze był spokojny. Wciąż w jego zachowaniu rozpoznawała tamtego nastoletniego chłopaka: tego, który nigdy się za bardzo nie wysiłał, o którym marzyły wszystkie dziewczyny, którego wszyscy chłopcy chcieli naśladować.

— Jesteś łysy — powiedziała.

Roześmiał się i dotknął swojej głowy.

— Tak. W zasadzie z wyboru.

Ze szczupłego chłopaka na studiach zrobił się bardziej postawnym, masywnym mężczyzną i może dlatego wydał się jej niższy, niż go zapamiętała. W swoich wysokich obcasach była od niego wyższa. Nie zapomniała, po prostu przypomniawszy sobie na nowo, jaki był

powściągliwy w zachowaniu, w ubraniu — proste, ciemne jeansy, skórzane mokasy —

w sposobie, w jaki wchodził do księgarni bez potrzeby natychmiastowego jej zdominowania.

— Usiądźmy — powiedział.

W księgarni panował chłodny półmrok, była nastrojowa i eklektyczna, z książkami, płytami i czasopismami rozłożonymi na niskich półkach. Stojący przy wejściu mężczyzna ze słuchawkami na głowie skinął im na powitanie, kiedy wchodzili. Usiedli naprzeciwko siebie w małej kawiarence na tyłach i zamówili sok owocowy. Obinze położył swoje dwa telefony na stoliku; często się zapalały i dzwoniły w trybie wyciszonym, a on zerkał na nie, po czym odwracał wzrok. Musiał ćwiczyć, domyśliła się tego, patrząc na jego szeroką klatkę piersiową, na której opinały się bliźniacze kieszonki dopasowanej koszuli.

— Wróciłaś już jakiś czas temu — powiedział.

Znowu na nią patrzył, a ona przypomniała sobie, jak często miała wrażenie, że potrafi czytać jej w myślach, wiedział rzeczy, których ona sama nie była świadoma.

— Tak — odpowiedziała.

— Po co przyszłaś?

— Słucham?

— Chciałaś kupić książkę.

— W zasadzie chciałam się tutaj spotkać z tobą. Pomyślałam, że jeśli spotkanie z tobą okaże się czymś, co chciałabym zapamiętać, to chciałam, żeby to było wspomnienie z Jazzhole.

— Żeby to było wspomnienie z Jazzhole — powtórzył i uśmiechnął się, jakby tylko ona mogła się w ten sposób wyrazić. — Wciąż jesteś szczerą, Ifem. Dzięki Bogu.

— Już mi się wydaje, że będę to chciała zapamiętać.

Jej zdenerwowanie ustępowało; szybko przeszli przez wymagane chwile skrępowania.

— Musisz gdzieś teraz być? — zapytał. — Czy możesz chwilę zostać?

— Tak.

Wyłączył swoje oba telefony. Rzadko się zdarzało, żeby w mieście takim jak Lagos mężczyzna taki jak on poświęcał

komuś swoją całkowitą uwagę.

— Co u Dike'a? I cioci Uju?

— Wszystko w porządku. Dike ma się już dobrze. Właśnie u mnie był. Dopiero co wyjechał.

Kelnerka przyniosła im wysokie kubki z sokiem z mango i pomarańczy.

— Co cię najbardziej zaskoczyło po powrocie? — zapytał.

— W zasadzie wszystko. Nawet się zastanawiałam, czy coś jest ze mną nie tak.

— Och, to normalne — powiedział, a ona przypomniała sobie, jak zawsze szybko dodawał jej otuchy, żeby poczuła się lepiej.

— Ja wyjechałem na dużo krócej, ale kiedy wróciłem, byłem bardzo zdziwiony. Wciąż myślałem, że wszystko powinno było na mnie poczekać, ale nie czekało.

— Zapomniałam, że Lagos jest takie drogie. Nie do wiary, ile wydają bogaci Nigeryjczycy.

— Większość z nich to złodzieje i żebracy.

Roześmiała się.

— Złodzieje i żebracy.

— Naprawdę. I nie tylko wydają dużo, oni chcą dużo wydawać. Niedawno spotkałem faceta, który opowiadał mi, jak ze dwadzieścia lat temu założył firmę sprzedającą anteny satelitarne. Wtedy to wciąż jeszcze była nowość w tym kraju, więc sprowadzał coś, czego większość nie znała. Ułożył biznesplan, ustalił dobrą cenę, która dawała mu dobry zysk. Je go kolega, już wtedy biznesmen, który chciał zainwestować w jego firmę, popatrzył na cenę i powiedział, że trzeba ją podwoić. Bo inaczej, twierdził, bogaty Nigeryjczyk tego nie kupi. Więc podwoili i udało się.

— Wariactwo — powiedziała. — Może zawsze tak było, ale my o tym nie wiedzieliśmy, bo nie mogliśmy. Zupełnie jakbyśmy teraz patrzyli na dorosłą Nigerię, o której wtedy nie mieliśmy pojęcia.

— Tak.

Zauważyła, że spodobało mu się, gdy powiedziała „my”, i cieszyła się, że to „my”

przyszło jej tak łatwo.

— To takie transakcyjne miasto — powiedział. — Przygębajająco transakcyjne. Nawet związki, one też są transakcyjne.

— Niektóre związki.

— Tak, niektóre — zgodził się.

Mówili sobie coś, czego żadne jeszcze nie potrafiło wyartykułować. Ponieważ znowu poczuła, jak w koniuszkach jej palców zbiera się zdenerwowanie, postanowiła przejść w żartobliwy ton.

— Zapomniałam też, jak bombastycznie wszyscy mówimy. Poczułam, że naprawdę jestem w domu, kiedy zaczęłam być bombastyczna!

Obinze się roześmiał. Lubiała ten jego cichy śmiech.

— Kiedy wróciłem, byłem zszokowany, że wszyscy moi koledzy są tacy grubi, mają wielkie piwne brzuszyska. Pomyślałem: Co się dzieje? A potem zrozumiałem, że teraz wszyscy należeli do klasy średniej, którą stworzyła nasza demokracja. Mieli pracę i stać ich było, żeby pić dużo więcej piwa i dużo więcej jeść, a jak wiesz, jedzenie u nas to kurczak i frytki, więc się zrobili grubi.

Ifemelu ścisnęło w żołądku.

— Cóż, jak się przyjrzyysz dokładnie, to zobaczysz, że to dotyczy nie tylko twoich znajomych.

— Och, nie, Ifem, ty nie jesteś gruba. Podchodzisz do tego bardzo po amerykańsku. To, co dla Amerykanów jest grube, jest po prostu normalne. Musiałabyś zobaczyć moich kumpli, żeby zrozumieć, o czym mówię. Pamiętasz Uche Okoye? Nawet Okwudibę? Teraz nie są nawet w stanie zapiąć koszuli.

— Obinze przerwał. — Przybrałaś trochę na wadze, ale pasuje ci to. *I maka*.

Zawstydzila się, ale było to przyjemne uczucie, słysząc jak mówi, że jest piękna.

— Zawsze ze mnie żartowałeś, że nie mam tyłka — powiedziała.

— Teraz to cofam. W drzwiach nie bez powodu cię przepuściłem.

Zaśmiali się, ale po chwili przestali, tylko milczeli, uśmiechając się do siebie nawzajem, zdziwieni bliskością, jaka była między nimi. Przypomniała sobie, jak naga wstała z materaca na podłodze w Nsukka, a on spojrzał na nią i powiedział: „Już miałem powiedzieć potrząśnij tym, ale przecież nie ma czym trząść”, a ona żartobliwie kopnęła go w goleń. Wspomnienie było tak wyraźne i wywołało w niej taką tęsknotę, że poczuła się poruszona.

— Ale skoro mowa o zaskoczeniach, Sufit — powiedziała. — Na przykład ty. Ważny człowiek w swoim range roverze. Pieniądze musiały naprawdę wszystko zmienić.

— Tak, chyba zmieniły.

— Och, dajże spokój! Jak?

— Ludzie traktują cię inaczej. I to nie tylko obcy. Znajomi też. Nawet moja kuzynka Nneoma. Nagle wszyscy ci się podlizują, bo myślą, że tego oczekujesz, całej tej przesadnej uprzejmości, tych wszystkich pochwał, nawet przesadnego szacunku, na który się wcale nie zasłużyło, i wszystko to jest takie udawane i przejaskrawione, jak źle namalowany obraz, ale z czasem zaczyna się w to trochę wierzyć i czasem człowiek inaczej na siebie patrzy. Kiedyś byłem na weselu w swoim rodzinnym mieście i kiedy wszedłem, wodzirej zaczął wyśpiewywać głupkowate pochwały, a ja zorientowałem się, że inaczej chodzę. Nie chciałem iść inaczej, ale szedłem.

— To znaczy jak? Kołyszącym się krokiem? — zakpiła. — Pokaż mi jak!

— Najpierw musiałabyś zaśpiewać coś pochwalnego. — Napił się soku. — Nigeryjczycy potrafią być tacy służalczy. Jesteśmy pewni siebie, ale służalczy. Łatwo przychodzi nam nieszczerłość.

— Jesteśmy pewni siebie, ale brakuje nam godności.

— Tak. — Popatrzył na nią z błyskiem zrozumienia w oczach.

— A kiedy wciąż wszyscy ci się tak podlizują, zaczynasz popadać w paranoję. Już nie wiesz, co jest szczere i prawdziwe.

A potem ludzie zaczynają się wobec ciebie zachowywać paranoidalnie, ale inaczej. Krewni wciąż mi powtarzają: uważaj, co jesz. Nawet tutaj w Lagos znajomi mi mówią, żebym uważał, co jem.

Nie jadaj w domu kobiety, bo dosypie ci czegoś do jedzenia.

— I tak robisz?

— Robię co?

— Uważasz, co jesz?

— Na pewno nie u ciebie.

Chwila ciszy. Otwarcie z nią flirtował, a ona nie wiedziała, co powiedzieć.

— Ale nie — zaczął mówić dalej. — Wolę myśleć, że jeśli mam ochotę coś u kogoś zjeść, nie będzie to ktoś, kto dosypałby mi coś do jedzenia.

— Bardzo to wszystko rozpaczliwe.

— Jedno, czego się nauczyłem, to że wszyscy w tym kraju mają mentalność nieustannego braku. Nawet jak coś nie jest rzadkie, to i tak jest. I to sprawia, że ludzie są gotowi na wszystko.

Nawet ci bogaci.

— To znaczy tacy jak ty — zażartowała.

Milczał. Często milczał, zanim coś powiedział. Uważała, że to wyjątkowe; zupełnie jakby tak poważał słuchacza, że szukał najbardziej odpowiednich słów na to, co chciał powiedzieć.

— Wolę myśleć, że ja taki nie jestem. Czasem mam wrażenie, jakby te wszystkie pieniądze, które mam, nie należały do mnie, jakbym je dla kogoś chwilowo przechowywał.

Kiedy kupiłem nieruchomości w Dubaju — moją pierwszą poza Nigerią — byłem prawie przerażony, a kiedy

powiedziałem Okwudibie, co czuję, odparł, że zwariowałem i że nie powinienem się zachowywać, jakby życie było jedną z tych powieści, które czytam. Tak bardzo był pod wrażeniem tego, co posiadam, a ja po prostu czułem, że moje życie składa się z warstw udawania, i zacząłem tęsknić za przeszłością. Myślałem o czasach, kiedy z Okwudibą mieszkaliśmy w naszym pierwszym małym mieszkanku w Surulere i jak podgrzewaliśmy żelazko na piecu, kiedy wyłączyli nam prąd. I jak sąsiad z dołu wrzeszczał: „Chwała Panu!”, kiedy włączali, i jak nawet dla mnie było coś pięknego w tym, że znowu jest światło, gdy nie ma się nad tym kontroli, bo nie ma się generatora. Ale to tylko takie romantyczne, bo oczywiście nie chciałbym wrócić do tamtego życia.

Odwróciła wzrok przestraszona, że ogrom emocji, jaki ją przytłoczył, kiedy mówił, znajdzie odbicie na jej twarzy.

— Oczywiście, że nie. Podoba ci się twoje życie — powiedziała.

— Żyję moim życiem.

— Och, ależ jesteśmy tajemniczy.

— A ty, słynna blogerka o kwestiach rasowych, stypendystka Princeton, zmieniłaś się? —

zapytał z uśmiechem, nachylając się ku niej z łokciami opartymi o stół.

— Kiedy opiekowałam się dzieckiem, któregoś dnia usłyszałam, jak mówię do dzieciaka:

„Ale z ciebie artysta!”. Czy może być coś bardziej amerykańskiego?

Obinze się śmiał.

— I wtedy pomyślałam: tak, chyba jednak trochę się zmieniłam — powiedziała.

— Nie masz amerykańskiego akcentu.

— Postarałam się o to.

— Byłem zaskoczony, kiedy czytałem archiwum twojego bloga. Tak jakbyś nie ty to pisała.

— Naprawdę nie wydaje mi się, żebym tak bardzo się zmieniła.

— O, zmieniałaś się — powiedział to z przekonaniem, które natychmiast się jej nie spodobało.

— Jak?

— Nie wiem. Jesteś bardziej świadoma siebie. Może z większą rezerwą.

— Mówisz jak rozczarowany wujek.

— Nie. — Znowu kolejna chwila milczenia, ale tym razem jakby chciał coś zachować dla siebie. — Byłem dumny z twojego bloga. Pomyślałem: pojechała, zobaczyła, zdobyła. Znowu się zawstydziała.

— Niczego nie zdobywałam.

— Zmieniła się też twoja estetyka.

— To znaczy?

— Sama peklowałaś sobie mięso w Ameryce?

— Słucham?

— Czytałem artykuł o tej nowej modzie wśród amerykańskich klas uprzywilejowanych.

Ludzie chcą pić mleko prosto od krowy, i tak dalej. Pomyślałem, że może też jej uległaś, skoro masz we włosach ten kwiat.

Parsknęła śmiechem.

— Ale poważnie, powiedz mi, jak się zmieniłaś.

Ton miał żartobliwy, lecz poczuła się trochę spięta, słysząc pytanie; zbyt blisko było do tego, co było w niej wrażliwe, bezbronne. Mimo to odpowiedziała swobodnie:

— Chyba zmienił mi się gust. Nie do wiary, ile rzeczy mi się teraz nie podoba, uważam że są brzydkie. Nie mogę patrzeć na większość domów w tym mieście. Jestem teraz osobą, której podobają się odsłonięte drewniane krokwie. — Przewróciła oczami i uśmiechnęła się z żartu z samej siebie, uśmiechem,

który wydał się jej nagrodą, którą chciała na okrągło zdobywać. —

To trochę snobistyczne — dodała.

— Snobistyczne, ale nie trochę — powiedział. — Miałem takie wrażenie, jeśli chodzi o książki. W głębi duszy uważałem, że miałaś lepszy gust.

— Problem w tym, że ja się z tym nie kryję.

Roześmiał się.

— Och, to wszyscy wiemy.

— Mówisz, że uważałeś. Co się zmieniło?

— Dorosłem.

— Ojej — powiedziała.

Milczał; lekko sardonicznie uniesiona brew mówiła jej, że ona też musiała dorosnąć.

— Co teraz czytasz? — zapytała. — Na pewno przeczytałeś każdą amerykańską powieść, jaka została wydana.

— Czytam teraz dużo więcej literatury faktu, książki historyczne, biografie. O wszystkim, nie tylko Ameryce.

— Co, odkochałeś się?

— Zrozumiałem, że mogę kupić Amerykę, i straciła dla mnie swój urok. Kiedy miałem fioła na punkcie Ameryki, odmówili mi wizy, ale z nowym kontem w banku dostałem ją bez problemu. Kilka razy tam byłem. Szukałem nieruchomości w Miami.

Poczuła się dotknięta; był w Ameryce, a ona o tym nie wiedziała.

— I co teraz myślisz o kraju swoich marzeń?

— Pamiętam, jak pierwszy raz pojechałaś na Manhattan i napisałaś mi, że jest cudowny, ale to żaden raj. Myślałem o tym, kiedy pierwszy raz jechałem taksówką przez Manhattan.

Ona też pamięta, jak mu o tym pisała, krótko przed tym, kiedy wybudowała między nimi zbyt wiele murów.

— W Ameryce najlepsze jest to, że tam człowiek ma przestrzeń. To mi się podoba.

Podoba mi się, że człowiek kupuje ten ich sen, który jest kłamstwem, ale i tak go kupuje, i tylko to się liczy.

Popatrzył na swoją szklankę, niezainteresowany jej filozofowaniem, a ona zastanawiała się, czy dojrzała w jego oczach niechęć, czy on też przypomniał sobie, jak kompletnie go od siebie odsunęła. Kiedy ją zapytał: „Czy wciąż przyjaźnisz się z dawnymi przyjaciółmi?”, pomyślała, że w ten sposób pyta ją, kogo jeszcze odepchnęła przez te wszystkie lata.

Zastanawiała się, czy powinna zacząć o tym mówić, czy raczej poczekać, aż sam to zrobi.

Powinna zacząć, była mu to winna, ale niewypowiedziany strach ją powstrzymał, strach, że zniszczy coś kruchego.

— Z Ranyinudo tak. I z Pryie. Reszta to teraz ludzie, z którymi przyjaźniłam się dawniej.

Coś tak jak ty i Emenike. Czytałam twoje maile. Nie zdziwiłam się, że Emenike zachował się w ten sposób. Zawsze miał w sobie coś takiego.

Potrząsnął głową i dokończył swój sok; już wcześniej wyjął słomkę i pił prosto ze szklanki.

— Kiedyś byliśmy w Londynie i on wyśmiewał się z gościa, z którym pracował, Nigeryjczyka, że nie potrafi wymówić F-e-a-t-h-e-r-s-t-o-n-e-h-a-u-g-h. Wymawiał to fonetycznie, jak tamten facet, co oczywiście było niepoprawnie, ale nie wymówił tego tak jak się powinno. Ja też nie wiedziałem, jak się to wymawia, i przez kilka okropnych chwil udawał, że obaj naśmiewamy się z tamtego faceta. Ale oczywiście było inaczej. On wyśmiewał się też ze mnie. Pamiętam, że wtedy sobie uświadomiłem, iż tak naprawdę nigdy nie był moim przyjacielem.

— To dupek — powiedziała.

— Duppek. Bardzo amerykańskie słowo.

— Naprawdę?

Uniósł na wpeł brew, jakby nie było potrzeby stwierdzać oczywistego.

— Po mojej deportacji Emenike nie odzywał się do mnie przez całe lata. Aż tu nagle, w zeszłym roku ktoś musiał mu powiedzieć, że wszedłem do gry, i zaczął do mnie wydzwaniać.

— Obinze powiedział „do gry” z nieskrywaną kpina. — Wciąż pytał, czy nie moglibyśmy razem zrobić jakichś interesów, tego rodzaju bzdury. W końcu jednego dnia mu powiedziałem, że wolałem, kiedy traktował mnie protekcyjnie, i od tego czasu nie dzwoni.

— A co z Kayode?

— Kontaktujemy się. Ma dziecko z Amerykanką.

Obinze spojrział na zegarek i wziął jeden z telefonów.

— Bardzo nie chcę iść, ale muszę.

— Tak, ja też. — Chciała przedłużyć tę chwilę, kiedy siedzieli pośród zapachu książek, a ona odkrywała Obinze na nowo.

Zanim wsiedli do swoich samochodów, objęli się mrużąc.

— Jak dobrze cię znowu zobaczyć.

Wyobrażała sobie, że ich szoferzy przyglądają im się z ciekawości.

— Zadzwoń do ciebie jutro — powiedział, ale jeszcze nie zdążyła dobrze wsiąść do swojego samochodu, kiedy jej telefon zasygnalizował, że ma od niego nową wiadomość. „Masz jutro czas na lunch?” Miała. Była sobota i powinna go była zapytać, czy nie będzie spędzał czasu z żoną i dzieckiem, i powinna zacząć rozmowę o tym, co tak naprawdę robili, ale łączyła ich wspólna historia, byli ze sobą związani mocno jak węzłem, i to wcale nie musiało znaczyć, że coś robią, ani że konieczna jest na ten temat rozmowa, więc kiedy zadzwonił, otworzyła drzwi, a on wszedł i podziwiał kwiaty na werandzie, białe lilie, które wyrastały z doniczek jak łabędzie.

— Cały ranek czytałem twojego bloga. W zasadzie tylko przeglądałem — powiedział.

Mimo to było jej miło.

— I jakie wrażenia?

— Podobał mi się post o Klubie Nigerpolitycznym. Ale może jest troszkę za bardzo pewny siebie.

— Nie bardzo wiem, jak to rozumieć.

— Dosłownie — odparł i znowu na wpół uniósł brew, nowe dziwactwo, którego nie pamiętała z dawnych czasów. — Ale to fantastyczny blog. Odważny i inteligentny. I bardzo mi się podoba układ strony.

Znowu to samo, dodawał jej otuchy.

Pokazała na dom obok.

— Poznajesz?

— Ach! Tak.

— Pomyślałam, że idealnie pasuje do bloga. Taki piękny dom, tak wspaniale zrujnowany.

I te pawie na dachu.

— Wygląda trochę jak dwór. Zawsze mnie fascynowały te stare domy i historie, jakie kryją. — Szarpnął metalową barierkę werandy, jakby sprawdzał, na ile jest wytrzymała, na ile bezpieczna, i spodobało się jej to. — Ktoś go niedługo kupi, zburzy i postawi na jego miejscu lśniący apartamentowiec z za drogimi mieszkaniami.

— Ktoś taki jak ty.

— Kiedy zacząłem działać w nieruchomościach, zastanawiałem się, czy nie odnawiać starych domów, zamiast je burzyć, ale to nie miałyby sensu. Nigeryjczycy nie kupują domów, bo są stare. Na przykład starego młyna, co ma dwieście lat, w rodzaju tych, za którymi przepadają Europejczycy. Tutaj to się w ogóle nie sprawdza. Co jest oczywiście zrozumiałe, bo należymy do Trzeciego Świata, a ludzie z Trzeciego Świata patrzą do przodu, my lubimy, żeby rzeczy były nowe, bo to, co najlepsze, wciąż jeszcze mamy

przed sobą, podczas kiedy dla Zachodu najlepsze należy do przeszłości, więc muszą ze swojej przeszłości uczynić fetysz.

— Tylko mi się wydaje, czy nagle zacząłeś wygłaszać miniwykłady? — zapytała.

— Miło jest dla odmiany porozmawiać z kimś inteligentnym.

Odwróciła wzrok zastanawiając się, czy miał na myśli swoją żonę, co jej się nie spodobało.

— Twój blog ma już tylu czytelników — powiedział.

— Mam w związku z nim wielkie plany. Chciałabym jeździć po Nigerii i zamieszczać posty z każdego stanu, ze zdjęciami i historiami ludzi, ale nie mogę się śpieszyć, najpierw muszę sobie wyrobić renome, zarobić jakieś pieniądze na reklamach.

— Potrzebni ci są inwestorzy.

— Nie chcę twoich pieniędzy — powiedziała, nieco zbyt ostro, ze wzrokiem nieruchomo wbitym w dach opuszczonego domu.

Zirytowała ją uwaga o kimś inteligentnym, bo musiała dotyczyć jego żony, i chciała go zapytać, czemu tak jej powiedział. Po pierwsze, dlaczego ożenił się z kobietą, która nie jest inteligentna, a po drugie, po co w ogóle jej mówi, że jego żona nie jest inteligentna?

— Popatrz na pawia, Ifem — powiedział łagodnie, jakby wyczuwając jej irytację.

Patrzyli, jak paw wyłania się z cienia pod drzewem, a potem smętnie wlatuje na ulubione miejsce na dachu, żeby z góry obserwować swoje upadłe królestwo.

— Ile ich jest? — zapytał Obinze.

— Jeden samiec i dwie samice. Miałam nadzieję, że zobaczę taniec godowy samca, ale nigdy mi się nie udało. Rano budzą mnie swoimi krzykami. Słyszałeś je kiedyś? Zupełnie jak dziecko, które nie chce czegoś zrobić.

Paw poruszał swoją smukłą szyją raz w jedną, raz w drugą stronę, a potem zupełnie jakby ją usłyszał, zaskrzeczał; dźwięki dobywały mu się z szeroko otwartego dzioba.

— Miałaś rację — powiedział Obinze, podchodząc do niej bliżej. — Rzeczywiście brzmi trochę jak dziecko. Ten dom przypomina mi posiadłość, którą kupiłem w Enugu. Stary dom.

Zbudowany jeszcze przed wojną; kupiłem go do rozbiórki, ale potem postanowiłem zatrzymać.

Jest bardzo piękny i spokojny, z wielkimi werandami i starymi drzewami z tyłu. Wnętrze całkowicie przebudowuję, więc w środku będzie bardzo nowoczesnie, ale na zewnątrz zachowałem stary wygląd. Nie śmiej się, ale kiedy go zobaczyłem, przyszła mi na myśl poezja.

To „nie śmiej się” powiedział bardzo chłopięco, co sprawiło, że uśmiechnęła się do niego, dając mu częściowo do zrozumienia, że spodobał się jej pomysł domu, który przypominał mu o poezji.

— Wyobrażam sobie, że któregoś dnia ucieknę od tego wszystkiego i tam zamieszkać —
powiedział.

— Słowo daję, bogaci robią się bardzo ekscentryczni.

— A może wszyscy tacy jesteśmy, tylko nie ma my pieniędzy, żeby to pokazać? Bardzo chciałbym ci ten dom pokazać.

Mruknęła coś, jakby się zgadzając.

Telefon Obinze zaczął dzwonić, nieprzerwanie głucho bucząc w jego kieszeni. W końcu Obinze go wyjął i popatrzył na wyświetlacz.

— Przepraszam — powiedział. — Muszę odebrać.

Skinęła głową i weszła do środka, zastanawiając się, czy dzwoni jego żona.

Z salonu słyszała strzępki jego słów, wypowiedanych raz głośniej, za chwilę ciszej, a potem znowu głośno, w igbo. Wreszcie wszedł, z zaciśniętą szczęką.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— To chłopiec z mojego rodzinnego miasta. Płacę za jego szkołę, a teraz doszedł do wniosku, że dostaje za mało, i rano

przysłał mi esemes, że potrzebna mu nowa komórka i czy mógłbym mu ją wysłać do piątku. Piętnastoletni chłopiec. Co za bezczelność. Więc powiedziałem mu do słuchu i zagroziłem, że przestanę płacić, aby trochę oprzytomniał.

— To twój krewny?

— Nie.

Czekała na więcej.

— Ifem, robię to, co powinni robić bogaci ludzie. Płacę za szkołę setki studentów z mojej wioski i wioski mojej mamy.

— Mówił ze skrepowaną obojętnością, jakby to było coś nieważnego. Stał przy półkach na książki. — Bardzo piękny pokój.

— Dziękuję.

— Przywiozłaś z powrotem wszystkie swoje książki?

— Większość.

— Ach. Derek Walcott.

— Uwielbiam go. Wreszcie przekonałam się trochę do poezji.

— Widzę też Grahama Greena.

— Zaczęłam go czytać dzięki twojej matce. Uwielbiam *Sedno sprawy*.

— Próbowałem je czytać po jej śmierci. Chciałem, żeby mi się podobało. Pomyślałem, że gdyby tylko tak się stało... — Dotknął książki, nie kończąc zdania.

Jego smutek ją poruszył.

— To prawdziwa literatura; ludzie będą ją czytali tak samo za dwieście lat —

powiedziała.

— Mówisz zupełnie jak moja matka.

Wszystko było znajome i jednocześnie obce. Przez szparę w zasłonach do salonu wpadał

łuk słonecznego blasku. Stali obok biblioteczki i opowiadała mu, jak pierwszy raz przeczytała w końcu *Sedno sprawy*, a on

słuchał, jak to on, w skupieniu, jakby spijał jej słowa. Stali obok biblioteczki i ze śmiechem wspominali jego matkę, która tak często próbowała namówić go do przeczytania tej książki. A potem stali obok biblioteczki i całowali się. Najpierw delikatnie, dotykając się tylko wargami, a potem ich języki się dotknęły i Ifemelu bezwładnie do niego przywarła. On pierwszy się odsunął.

— Nie mam kondomów — powiedziała bezwstydnie, celowo bezwstydnie.

— Nie wiedziałem, że aby zjeść lunch, będziemy potrzebowali kondomów.

Uderzyła go żartobliwie. Całe jej ciało przepełniało milion wątpliwości. Nie chciała patrzeć mu w oczy.

— Mam dziewczynę, która mi sprząta i gotuje, więc w zamrażarce jest mnóstwo gulaszu, a w lodówce mam ryż jollof. Możemy zjeść lunch tutaj. Napijesz się czegoś?

Obróciła się w stronę kuchni.

— Co się stało w Ameryce? — zapytał. — Dlaczego tak nagle przestałaś się odzywać?

Ifemelu nie przestała iść do kuchni.

— Dlaczego przestałaś się odzywać? — powtórzył cicho. — Proszę, powiedz mi, co się stało.

Zanim usiadła przy swoim małym stole w jadalni i opowiedziała mu o trenerze tenisa, o podłych oczach z Ardmore w Pensylwanii, naląła im obojgu soku z mango z kartonu. Opisała mu ze szczegółami jego biuro, bo wciąż wyraźnie je widziała, opowiedziała o stosach sportowych czasopism, o zapachu wilgoci, ale kiedy doszła do momentu, kiedy mężczyzna zabrał

ją do swojego pokoju, powiedziała tylko:

— Rozebrałam się i zrobiłam, o co prosił. Nie chciało mi się wierzyć, że zrobiłam się wilgotna. Nienawidziłam go. Nienawidziłam siebie. Naprawdę siebie nienawidziłam. Czułam się, jakbym... sama nie wiem... zdradziła siebie. — Umilkła. — I ciebie.

Długo nic nie mówił, siedział ze spuszczonej oczami, jakby wszystko sobie przyswajał.

— W zasadzie o tym nie myślę — dodała. — Pamiętam to, ale nie rozpamiętuję, nie pozwalam sobie na to. Dziwnie się czuję, że teraz o tym mówię. Przecież to głupie, że z tego powodu zrezygnowałam ze wszystkiego, co mieliśmy, ale właśnie dlatego, w miarę jak upływał

czas, zwyczajnie nie wiedziałam, jak to naprawić.

Obinze wciąż milczał. Patrzyła na oprawioną karykaturę Dike'a wiszącą na ścianie, z komicznie szpiczastymi uszami, i zastanawiała się, co Obinze sobie myśli.

Wreszcie się odezwał:

— Nie wyobrażam sobie, jak okropnie musiałaś się czuć, jaka musiałaś być samotna.

Powinnaś była mi powiedzieć. Wielka szkoda, że tego nie zrobiłaś.

Jego słowa brzmiały dla niej jak muzyka i czuła swój nierówny oddech, kiedy łączywie chwytala powietrze. Nie rozpłacz się, to kompletny idiotyzm płakać po tak długim czasie, ale jej oczy wypełniły się łzami, pierś ciążyła jej jak kamień, w gardle ją kłuło. Łzy ją szczypały. Nie wydała dźwięku. Obinze wziął jej rękę w swoje obie dłonie i narastało między nimi milczenie, dawne milczenie, które oboje znali. Tkwiła w jego wnętrzu i czuła się bezpiecznie.

ROZDZIAŁ 52

— Zagrajmy w ping-ponga. Należę do małego prywatnego klubu na Victoria Island —

powiedział.

— Od lat nie grałam.

Pamiętała, jak zawsze chciała go pokonać, mimo że był mistrzem szkoły. Pamiętała też, jak się z niej nabijał, kiedy grali.

— Więcej taktyki, mniej siły. Nieważne, co mówią, nie wystarczy pasja, żeby wygrać.

Teraz powiedział coś podobnego:

— Wymówkami się nie wygrywa. Potrzebna jest strategia.

Przyjechał do niej sam, bez kierowcy. Wsiadł do samochodu i kiedy włączył silnik, rozległa się też muzyka. *Yori Yori Bracketa*.

— Och. Uwielbiam tę piosenkę — powiedziała.

Zwiększył głośność i śpiewali razem; piosenka była żywiołowa, rytmicznie radosna, pozbawiona sztuczności, przepełniająca powietrze lekkością.

— Aj-aj! Dopiero przyjechałaś, a już tak świetnie ją znasz? — zapytał.

— Zaraz po przyjeździe zaczęłam słuchać najnowszej muzyki. Jest taka wspaniała.

— Owszem. Teraz w klubach grają nigeryjską muzykę.

Zapamięta tę chwilę, kiedy siedziała obok Obinze w jego range roverze tkwiącym w korku i słuchała *Yori Yori. Your love dey make my heart do yori yori. Nobody can love you the way I do* — *Gdy mnie kochasz, moje serce śpiewa yori yori. Nikt nie kocha cię tak jak ja*. Obok nich stała lśniąca honda, najnowszy model, a przed nimi zabytkowy datsun, który miał chyba ze sto lat.

Zagrali w ping-ponga kilka razy i zawsze wygrywał Obinze, przez cały czas drażniąc się z nią żartobliwie, potem zjedli lunch w małej restauracyjce, w której poza nimi była tylko kobieta czytająca przy barze gazetę. Kierownik, okrągły człowieczek, który niemal rozsadzał sobą swoją czarną marynarkę, podchodził do nich co chwila.

— Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, *sah*. Dobrze znowu pana widzieć, *sah*.

Jak tam w pracy, *sah*?

Ifemelu nachyliła się ku Obinze.

— Nie udławisz się w końcu? — zapytała.

— Nie podchodziłby tak często, gdyby nie uważał, że jestem zaniedbywany. Jesteś uzależniona od tego telefonu.

— Przepraszam. Sprawdzam tylko swojego bloga. — Była rozluźniona i szczęśliwa. —

Wiesz co, powinienes dla mnie coś napisać.

— Ja?

— Tak. Dam ci zlecenie. Może coś o niebezpieczeństwach bycia młodym, przystojnym i bogatym?

— Bardzo chętnie napiszę o czymś, co dotyczy mnie osobiście.

— Może o bezpieczeństwie? Chcę coś o tym napisać. Może miałaś jakąś przygodę na Trzecim Moście Lądowym? Słyszałam, że jacyś ludzie późno wyszli z klubu, wracali na ląd i na moście złapali gumę, ale jechali dalej, bo na tym moście jest bardzo niebezpiecznie i lepiej się na nim nie zatrzymywać.

— Ifem. Mieszkam w Lekki i nie chodzę do klubów. Już nie.

— OK. — Znowu spojrzała na telefon. — Chcę jak najczęściej pisać o czymś nowym, interesującym.

— Jesteś rozkojarzona.

— Znasz Tunde Razaqą?

— Kto go nie zna? Czemu?

— Chcę z nim przeprowadzić wywiad. Myślę o cotygodniowych artykułach „Lagos oczami mieszkańców” i chcę zacząć od najbardziej interesujących ludzi.

— A co w nim takiego interesującego? Że jest playboyem z Lagos, który wydaje pieniądze swojego ojca, podobno zarobione na monopolu na import ropy, który dostali dzięki kontaktom z prezydentem?

— Ale jest też producentem muzyki i o ile wiem, mistrzem szachowym. Moja koleżanka Zemaye go zna i właśnie jej napisał, że udzieli mi wywiadu, pod warunkiem że pozwolę się zaprosić na kolację.

— Pewnie widział gdzieś twoje zdjęcie. — Obinze wstał i tak gwałtownie odsunął

krzesło, że aż się zdumiała. — Ten facet to pies.

— Bądź miły — powiedziała rozbawiona; ucieszyła ją jego zazdrość.

Kiedy odwoził ją do domu, znowu puścił *Yori Yori*, a ona kołysała się i wykonywała taneczne ruchy samymi rękami, co go bardzo bawiło.

— Wydawało mi się, że twój drink był bezalkoholowy — powiedział. — Chciałbym ci puścić jeszcze jedną piosenkę. Kiedy jej słucham, myślę o tobie.

Zaczęła się piosenka Obiwona *Obi Mu O*, a ona siedziała nieruchomo i w milczeniu, kiedy jej słowa wypełniały wnętrze samochodu: *This is the feeling that I've never felt... and I'm not gonna let it die — To właśnie czuję... i nie pozwolę temu uczuciu umrzeć*. Kiedy kobieta i mężczyzna śpiewali w igbo, Obinze śpiewał razem z nimi, odrywając wzrok od drogi, żeby popatrzeć na nią, i było to tak, jakby to oni toczyli tę rozmowę, on mówił jej, że jest piękna, ona mówiła jemu, że jest piękny, oboje nazywali siebie nawzajem prawdziwymi przyjaciółmi.

Nwanyi oma, nwoke oma, omalicha nwa, ezigbo oyi m o.

Kiedy wysiadła, nachylił się, żeby ją pocałować w policzek, zbliżając się do niej z wahaniem, bojąc objąć, jakby ze strachu, że ulegnie swojemu uczuciu.

— Zobaczmy się jutro? — zapytał, a ona się zgodziła.

Poszli do brazylijskiej restauracji przy lagunie, gdzie kelner przynosił coraz to nowe szpikulce z nabitym mięsem i owocami morza, aż Ifemelu powiedziała mu, że zaraz zwiymiotuje.

Następnego dnia zapytał, czy zje z nim kolację, i zabrał ją do włoskiej restauracji, gdzie jedzenie było zbyt drogie i wcale jej nie smakowało, a widok kelnerów w muszkach, smętnych i ruszających się niemrawo, przepełnił ją smutkiem.

W drodze powrotnej przejeżdżali przez Obalende, gdzie wzdłuż zatłoczonej, ruchliwej ulicy stały stoliki i stragany, a w lampkach sprzedawców migotały pomarańczowe płomyki.

— Zatrzymajmy się i kupmy smażone banany! — powiedziała Ifemelu.

Nieco dalej, przy piwiarni Obinze znalazł wolne miejsce i zaparkował. Swobodnie i życzliwie przywitał się z mężczyznami, którzy siedzieli na ławkach i pili, a oni go w odpowiedzi pozdrowili.

— Szefie! Możesz iść! Twoje auto jest bezpieczne!

Sprzedawczyni smażonych bananów próbowała namówić Ifemelu, żeby kupiła też smażone słodkie ziemniaki.

— Nie, poproszę tylko banany.

— A może akarę, ciociu? Właśnie robię. Bardzo świeże.

— OK — powiedziała Ifemelu. — Daj cztery.

— Czemu kupujesz akary, skoro nie masz na nie ochoty? — zapytał rozbawiony Obinze.

— Bo to prawdziwy biznes. Sprzedaje to, co robi. Nie sprzedaje swojego miejsca ani źródła swojej ropy, ani kogoś, kto mieli fasolę. Sprzedaje to, co faktycznie robi.

W samochodzie otworzyła tłustą torebkę foliową z bananami i wsunęła mały, idealnie usmażony żółty plasterek do ust.

— To o wiele lepsze od tego czegoś utopionego w maśle, co w restauracji ledwo mogłam zjeść. I wiadomo, że się nie zatrujemy, bo smażenie zabija robaki — dodała.

Patrzył na nią z uśmiechem i podejrzewała, że mówi za dużo. To również zapadnie jej w pamięć, wieczór w Obalende, rozświetlony setką światełek, dobiegające z niedaleka podniesione głosy pijanych mężczyzn i rozkołysane biodra wielkiej madam, przechodzącej właśnie obok.

Zapytał, czy może ją zabrać na lunch, a ona zaproponowała nowe, swobodne miejsce, o którym słyszała, gdzie zamówiła

kanapkę z kurczakiem, a potem narzekała na palącego w kącie mężczyznę.

— Jakie to amerykańskie, skarżyć się na dym — powiedział Obinze, a ona nie wiedziała, czy miała to być przygana.

— Podajecie do kanapki frytki? — zapytała kelnera.

— Tak, proszę pani.

— Macie prawdziwe ziemniaki?

— Słucham?

— Czy importujecie mrożone frytki, czy sami kroicie ziemniaki i smażyście?

Kelner wydawał się dotknięty.

— Importujemy mrożone.

— Te mrożone smakują obrzydliwie — powiedziała Ifemelu, kiedy kelner odszedł.

— Nie mógł uwierzyć, że naprawdę pytasz o świeże ziemniaki

— odparł Obinze sucho.

— Dla niego świeże ziemniaki to przeżytek. Nie zapominaj, że to nasz nowy świat klasy średniej.

Pierwszy cykl prosperity jeszcze się nie zakończył, więc nie możemy wrócić do początków, do picia mleka prosto od krowy.

Za każdym razem, kiedy ją odwoził, całował ją w policzek. Oboje nachylali się ku sobie, a potem odsuwali, żeby mogła powiedzieć „cześć” i wysiąść. Piątego dnia, kiedy odwiózł ją do domu, zapytała go:

— Masz w kieszeni prezerwatywy?

Przez chwilę nic nie mówił.

— Nie, nie mam w kieszeni prezerwatyw.

— Cóż, ja kilka dni temu kupiłam opakowanie.

— Ifem, czemu to mówisz?

— Masz żonę i dziecko, a oboje jesteśmy na siebie napaleni. Kogo próbujemy oszukać tymi randkami? Równie dobrze

możemy to w końcu załatwić.

— Chowasz się za sarkazmem — powiedział.

— Och, aleś ty górnolotny.

Była zła. Zobaczyła go zaledwie tydzień temu, a już była zła, wściekła, że ją odwozi i wraca do innego życia, prawdziwego, a ona nie umiała sobie wyobrazić jego szczegółów, nie wiedziała, w jakim sypia łóżku, z jakiego jada talerza. Odkąd zaczęła spoglądać w przeszłość, wyobrażała sobie, że jest z nim, ale wszystko było niewyraźne i zamazane. Teraz, kiedy widziała go naprawdę, ze srebrną obrączką na palcu, bała się, że się do niego przyzwyczai i utonie.

A może już utonęła i jej strach brał się z tego, że o tym wiedziała.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie, kiedy wróciłaś? — zapytał.

— Nie wiem. Chciałam się najpierw zadomowić.

— Miałem nadzieję ci w tym pomóc.

Nie odpowiedziała.

— Wciąż jesteś z Blaine'em?

— A co cię to obchodzi, żonaty mężczyzno? — powiedziała z ironią, może zbyt kwaśno; chciała zachować spokój, rezerwę, kontrolę.

— Mogę wejść na chwilę? Żeby porozmawiać?

— Nie, muszę czegoś poszukać do bloga.

— Ifem, proszę.

Westchnęła.

— OK.

W mieszkaniu on usiadł na kanapie, ona w fotelu, możliwie jak najdalej od niego. Nagle ogarnęło ją gorzkie jak żółć przerażenie, że cokolwiek ma jej do powiedzenia, ona nie chce tego słyszeć, wobec tego odezwała się głupio:

— Zemaye planuje napisać kpiący poradnik dla mężczyzn, którzy chcą się dopuścić zdrady. Nie mogła się dodzwonić do

swojego chłopaka, a kiedy w końcu się odezwał, powiedział, że telefon mu się utopił. Odpowiedziała, że to najstarsza na świecie wymówka. Mnie się wydała zabawna. Pierwszy raz to usłyszałam. Więc numer jeden w poradniku będzie: nigdy nie mów, że telefon ci się utopił.

— Dla mnie to nie jest zdrada — powiedział cicho.

— Czy twoja żona wie, że tu jesteś? — Drażniła się z nim. — Ciekawe, ilu mężczyzn, którzy zdradzają, mówi, że to nie jest zdrada. Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek mówią, że zdradzają.

Wstał, ruchy miał zdecydowane i w pierwszej chwili myślała, że chce do niej podejść lub idzie do toalety, ale on skierował się do drzwi, otworzył je i wyszedł. Wpatrywała się w nie.

Długo siedziała nieruchomo, a kiedy wstała i zaczęła krążyć, nie mogła się skupić, w kółko się zastanawiała, czy do niego zadzwonić, co zrobić. Postanowiła, że nie zadzwoni; była zła na jego zachowanie, milczenie, pretensje. Kiedy kilka minut później rozległ się dzwonek, jakaś część jej nie chciała mu otworzyć.

Wpuściła go. Usiedli obok siebie na kanapie.

— Przepraszam — powiedział. — Odkąd wróciłaś, nie jestem sobą i nie podobało mi się, kiedy mówiłaś, że to, co nas łączy, jest takie pospolite. Bo nie jest. I chyba o tym wiesz. Myślę, że tak powiedziałaś, bo chciałaś mnie zranić, ale przede wszystkim dlatego, że jesteś zagubiona.

Wiem, że musi ci być trudno, kiedy się tak często widzimy, tyle ze sobą rozmawiamy, a mimo to tak siebie unikamy.

— Mówisz szyfrem — powiedziała.

Był zdenerwowany, miał zaciśniętą szczękę, a ona bardzo pragnęła go pocałować. Prawdą jest, że był inteligentny i pewny siebie, ale miał też w sobie niewinność, jego pewność pozbawiona była ego, staromodna i nie na miejscu, co ją ujmowało.

— Nic nie mówiłem, bo czasem czuję się taki szczęśliwy, że jestem z tobą, i boję się to zepsuć — powiedział. — I ponieważ zanim coś powiem, chcę mieć coś do powiedzenia.

— Kiedy o tobie myślę, dotykam się — powiedziała.

Patrzył na nią, lekko zdezorientowany.

— Nie jesteśmy wolnymi ludźmi, którzy się do siebie zalecają, Suficie — rzekła. — Nie możemy udawać, że na siebie nie działamy, i może o tym powinniśmy porozmawiać.

— Wiesz, że nie chodzi o seks — powiedział. — Nigdy nie chodziło.

— Wiem — odparła i wzięła go za rękę.

Istniało między nimi nieważkie, czyste pożądanie. Nachyliła się i pocałowała go, a on z początku starał się jej nie ulec, ale już po chwili zrywał z niej bluzkę, odsuwał miseczki stanika, żeby sięgnąć do jej piersi. Doskonale pamiętała, jak zdecydowanie ją dotykał, a mimo to w ich połączeniu się było coś nowego; ich ciała pamiętały i nie pamiętały jednocześnie. Dotknęła blizny na jego piersi, przypominając ją sobie na nowo. Zawsze uważała, że „kochanie się” jest ckliwym, przesłodzonym wyrażeniem; „uprawianie seksu” brzmi prawdziwiej, a „pieprzenie się”

podniecająco, ale kiedy po wszystkim leżała obok niego i uśmiechali się oboje, czasem śmiali na głos, ona z ciałem przepełnionym spokojem, pomyślała, że „kochanie się” jest jak najbardziej właściwe. Czowała życie nawet w paznokciach; w tych wszystkich częściach ciała, które do tej pory miała odrętwiałe. Chciała mu powiedzieć: „Nie było tygodnia, żebym o tobie nie myślała”. Ale czy to była prawda? Oczywiście były całe tygodnie, kiedy życie pochłaniało ją całkowicie, ale czuła, że to była prawda.

Podniosła się.

— Z innymi mężczyznami zawsze widziałam sufit — powiedziała.

Uśmiechnął się przeciągle, nieśpiesznie.

— Wiesz, co od bardzo dawna czułem? Że czekam, aż będę szczęśliwy.

Wstał, żeby pójść do łazienki. Tak bardzo ją pociągał, taki niski, ale silny i sprężysty.

W jego niskim wzroście odnajdywała solidność: zniesie wszystko, niełatwo da się złamać.

Wrócił, a ona powiedziała, że jest głodna, więc znalazł w jej lodówce pomarańcze i obrał je; jedli siedząc obok siebie, a potem położyli się spleceni w uścisku, nadzy, w poczuciu pełnego spełnienia, aż wreszcie usnęła i nie wiedziała, kiedy wyszedł. Gdy się obudziła, był ciemny, deszczowy ranek. Dzwonił jej telefon. To był Obinze.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Zamroczona. Nie wiem, co się wczoraj stało. Uwiodłeś mnie?

— Tak się cieszę, że twoje drzwi się zatrzaskują. Inaczej musiałbym cię obudzić, żebyś je za mną zamknęła.

— Więc jednak mnie uwiodłeś.

Roześmiał się.

— Mogę przyjść?

Podobało się, jak powiedział: „Mogę przyjść?”.

— Tak. Leje jak z cebra.

— Naprawdę? Tutaj nie pada. Jestem w Lekki.

Bardzo ją to podnieciło, że tu, gdzie ona jest, pada, a tam, gdzie jest on, zaledwie kilka minut drogi od niej, nie, i czekała na niego, z niecierpliwością, szczęśliwa, że za chwilę razem będą oglądać deszcz.

ROZDZIAŁ 53

I tak nastaly jej podniecające, przepelnione banałami dni: czuła, że naprawdę żyje, jej serce biło szybciej, kiedy on zjawiał się u jej drzwi, a każdy poranek przypominał

rozpakowywanie prezentu. Śmiała się, krzyżowała nogi albo lekko kołysała biodrami bardziej świadoma siebie. Jej koszula nocna pachniała jego wodą kolońską, stłumionym zapachem cytrusów i drewna, ponieważ nie prała jej tak długo, jak to tylko możliwe, zwlekała z wytarciem smugi kremu do rąk, którą zostawił na jej umywalce, a kiedy kończyli się kochać, nie poprawiała jego poduszki, żeby jak najdłużej zachowała

wgłębienie w miejscu, gdzie trzymał głowę, jakby chciała zatrzymać jego esencję do ich następnego spotkania. Często stali na werandzie i obserwowali pawie na dachu opuszczonego domu, od czasu do czasu biorąc się za ręce, a ona myślała o następnym razie, i jeszcze następnym, kiedy znowu to zrobią. To była miłość, ta chęć, aby nadeszło jutro. Czy czuła się podobnie jako nastolatka? Wszystkie te emocje wydawały się absurdalne. Odbijało jej, kiedy nie odpowiedział na jej esemesa natychmiast. Umysł miała zamroczony zazdrością o jego przeszłość. „Jesteś wielką miłością mojego życia”, powiedział jej, a ona mu wierzyła, ale i tak była zazdrosna o te wszystkie kobiety, które kochał, nawet jeśli tylko przelotnie, te kobiety, które zajmowały przestrzeń w jego myślach. Była zazdrosna nawet o kobiety, którym się podobał, wyobrażając sobie, jak tutaj w Lagos musiał zwracać uwagę, taki przystojny i bogaty. Kiedy przedstawiła go Zemaye, gibkiej Zemaye w obcisłej spódnicy i butach na koturnie, musiała walczyć z niepokojem, ponieważ w uważnych, pełnych uznania oczach Zemaye zobaczyła oczy tych wszystkich głodnych kobiet z Lagos. Tę zazdrość wzbudzała tylko jej wyobraźnia, on nie robił nic, żeby ją prowokować; jego oddanie było nieustanne i oczywiste.

Nie mogła wyjść z podziwu, z jaką uwagą i skupieniem potrafił słuchać. Pamiętał wszystko, o czym mu mówiła. Nigdy wcześniej tego nie doświadczyła, nigdy nie była tak naprawdę słuchana, prawdziwie słyszana, więc tym bardziej stał się jej drogi; za każdym razem, kiedy się z nią zegnał na koniec rozmowy przez telefon, wpadała w bezdenną panikę. To był czysty absurd. Ich nastoletnia miłość była mniej melodramatyczna. A może okoliczności były inne, teraz wisało nad nim jego małżeństwo, o którym nigdy nie wspominał. Czasem mówił: „W sobotę mogę przyjść dopiero po południu” albo: „Dzisiaj muszę wyjść wcześniej”, i zawsze wiedziała, że chodzi o jego żonę, ale dalej o tym nie rozmawiali. On nie próbował, ona tego nie chciała albo tak sobie mówiła. Była zdumiona, że wychodził z nią tak otwarcie, zabierał na lunch i kolacje, do prywatnego klubu, w którym kelner zwracał się do niej „madam”, być może zakładając, że jest jego żoną; że wychodził od niej po północy i nigdy nie brał prysznic, kiedy się kochali, że wracał do

domu z jej zapachem na skórze. Za wszelką cenę starał się, aby ich związek zachował

jak najwięcej godności; udawał, że niczego nie ukrywa, choć oczywiście było odwrotnie. Raz, kiedy leżeli spleceni na łóżku w niezdecydowanym świetle późnego wieczora, odezwał się tajemniczo:

— Mogę dzisiaj zostać na noc. Chciałbym zostać.

Ona szybko odpowiedziała, że nie, i nic poza tym. Nie chciała się przyzwyczaić, że budzi się obok niego, nie pozwalała sobie na domysły, dlaczego może zostać akurat dzisiaj. I tak jego małżeństwo wisiało nad nimi, niewypowiedziane, nietknięte, aż do jednego wieczora, kiedy nie miała ochoty jeść poza domem.

— Masz spaghetti i cebulę — powiedział z zapalem. — Ugotuję ci.

— Pod warunkiem, że nie rozboli mnie brzuch.

Roześmiał się.

— Brakuje mi gotowania. W domu nie mogę.

I w tej samej chwili ciemny duch jego żony pojawił się w kuchni. Był namacalny i groźny jak nigdy, kiedy Obinze mówił: „W sobotę mogę przyjść dopiero po południu” albo: „Dzisiaj muszę wyjść wcześniej”. Odwróciła się od niego i otworzyła laptop, żeby sprawdzić bloga. Czowała, jak płonie w niej ogień. On też to wyczuł, nagłą wagę swoich słów, bo podszedł i stanął za nią.

— Kosi nigdy nie chciała, żebym gotował. Ma bardzo konserwatywne podejście do obowiązków żony i uważała, że skoro chcę gotować, coś jej zarzucam, chociaż dla mnie to głupota. Więc przestałem, dla świętego spokoju. Robię omlety, ale oboje udajemy, że moja zupa onugbu nie jest lepsza od jej. W moim małżeństwie jest mnóstwo udawania, Ifem. — Umilkł na chwilę. — Ożeniłem się z nią, kiedy czułem się niepewnie. W moim życiu było dużo zamieszania.

— Obinze, proszę cię, ugotuj spaghetti — powiedziała nie odwracając się.

— Czuję się bardzo odpowiedzialny za Kosi i nic ponadto. I chcę, żebyś o tym wiedziała.

Łagodnie obrócił ją ku sobie, trzymając za ramiona; wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale oczekiwał, że mu w tym pomoże, i to wzbudziło w niej dodatkową niechęć.

Ogarnięta pragnieniem zniszczenia czegoś, dźgania i palenia obróciła się do laptopa.

— Jutro jem kolację z Tunde Razaqiem — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo chcę.

— Dopiero co mówiłaś, że tego nie zrobisz.

— Co się dzieje, kiedy wracasz do domu i kładziesz się do łóżka z żoną? Co się dzieje?

— zapytała i czuła, że chce jej się płakać.

Coś między nimi pękło i zepsuło się.

— Chyba powinieneś sobie pójść — rzekła.

— Nie.

— Obinze, proszę, idź sobie.

Odmówił, i potem była mu wdzięczna, że nie wyszedł. Kiedy ugotował spaghetti, grzebała widelcem w talerzu, z zaschniętym gardłem, nie czując już apetytu.

— Nigdy cię o nic nie poproszę. Jestem dorosłą kobietą i znałam twoją sytuację, gdy się w to angażowałam — powiedziała.

— Proszę, nie mów tak. To mnie przeraża. Czuję się zbędny.

— Nie chodzi o ciebie.

— Wiem. Wiem, że tylko w ten sposób możesz zachować trochę godności.

Popatrzyła na niego i nawet jego rozsądek zaczął ją denerwować.

— Kocham cię, Ifem. Oboje się kochamy — powiedział.

Miał w oczach łzy. Ona też zaczęła płakać, beznadziejnie, i objęli się. Później leżeli razem w łóżku — panowała taka cisza i bezruch, że burczenie w jego żołądku zabrzmiało bardzo głośno.

— To ty czy ja? — zapytał żartobliwie.

— Jasne, że ty.

— Pamiętasz, jak się kochaliśmy pierwszy raz? Stałaś na mnie. Uwielbiałem, kiedy to robiłaś.

— Teraz nie mogłabym na tobie stanąć. Jestem za gruba. Umarłbyś.

— Przestań.

W końcu wstał i wciągnął spodnie, powoli i niechętnie.

— Jutro nie mogę przyjść, Ifem. Muszę zabrać córkę...

Przerwała mu w pół słowa:

— Nie ma sprawy.

— W piątek jadę do Abudży — powiedział.

— Tak, mówiłeś.

Starła się zwalczyć narastające poczucie porzucenia; ogarnie ją z chwilą, kiedy on wyjdzie i rozlegnie się trzask zamka.

— Pojedź ze mną — powiedział.

— Co?

— Pojedź ze mną do Abudży. Mam tylko dwa spotkania i moglibyśmy tam spędzić weekend. Zmiana otoczenia dobrze nam zrobi, będziemy mogli porozmawiać. Poza tym nigdy nie byłaś w Abudży. Jeśli chcesz, możemy wziąć dwa oddzielne pokoje. Zgódź się. Proszę.

— Dobrze — powiedziała.

Wcześniej sobie na to nie pozwalała, ale kiedy wyszedł, obejrzała zdjęcia Kosi na Facebooku. Jej uroda była uderzająca, te kości policzkowe, skóra bez skazy, doskonałe kobiece kształty. Kiedy zobaczyła jedno zdjęcie zrobione w niekorzystnym ujęciu, przyglądała mu się przez chwilę, odnajdując w tym drobną, złośliwą przyjemność.

Była w salonie fryzjerskim, kiedy dostała od niego wiadomość: „Przepraszam cię, Ifem, ale chyba powinienem pojechać sam do Abudży. Muszę sobie wszystko przemyśleć. Kocham Cię”. Patrzyła na wiadomość i palce jej drżały, kiedy mu odpisywała: „Pieprzony tchórz”. Potem obróciła się do fryzjerki.

— Chcesz mi układać włosy tą szczotką? To chyba jakiś żart. Czy wy w ogóle myślicie?

Fryzjerka była zaskoczona.

— Ciociu, przepraszam, o, ale przecież zawsze używam tej szczotki do twoich włosów.

Kiedy Ifemelu przyjechała do domu, range rover Obinze stał zaparkowany przed jej mieszkaniem. Obinze poszedł za nią na górę.

— Ifem, proszę. Chcę, żebyś zrozumiała. Wydaje mi się, że to wszystko między nami dzieje się trochę za szybko, i potrzebuję trochę czasu, żeby spojrzeć na to z perspektywy.

— Trochę za szybko — powtórzyła. — Jakie to mało oryginalne. Zupełnie nie w twoim stylu.

— Jesteś kobietą, którą kocham. Nic tego nie jest w stanie zmienić. Ale czuję się odpowiedzialny za to, co muszę zrobić.

Odskoczyła od niego, odepchnięta szorstkością głosu, mętnymi słowami bez znaczenia.

Co miało znaczyć „odpowiedzialny za to, co muszę zrobić”? Że chce się z nią dalej spotykać, ale nie może się rozwieść? A może że musi przestać się z nią spotykać? Zawsze jasno mówił, czego chce, a teraz nagle kryje się za nic nieznaczącymi słowami.

— Co ty mówisz? — zapytała go. — Co próbujesz mi powiedzieć?

Kiedy milczał, powiedziała:

— Idź do diabła.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Przez okno patrzyła, jak jego range rover odjeżdża i znika za zakrętem drogi.

ROZDZIAŁ 54

Abudża była rozległa, widok ciągnął się aż po horyzont, drogi były szerokie, panował

porządek; przyjezdnych z Lagos zaskakiwała przestrzeń. W powietrzu unosił się zapach władzy; tutaj wszyscy mierzyli się nawzajem wzrokiem, zastanawiali, ile „kogoś” było w kimś. Miasto pachniało pieniędzmi, łatwymi pieniędzmi, które bez trudu przechodziły z rąk do rąk. I ociekało seksem. Przyjaciel Obinze, Chidi, mówił, że w Abudży nie ugania się za kobietami, bo boi się wejść w paradę jakiemuś ministrowi czy senatorowi. Tutaj każda atrakcyjna kobieta stawała się natychmiast podejrzana. Abudża była bardziej konserwatywna od Lagos, mówił Chidi, ponieważ więcej w niej było muzułmanów, na przyjęciach kobiety nie nosiły wyzywających ubrań, a mimo to seks sprzedawało się tutaj i kupowało o wiele łatwiej. Właśnie w Abudży Obinze o mało nie zdradził Kosi, i to nie z jedną z pięknych dziewcząt w kolorowych szklach kontaktowych i z włosami opadającymi niekończącą się falą, które niestrudzenie zaczepiały go w barze, ale z kobietą w średnim wieku, w kaftanie, która siedziała obok niego w hotelowym barze i zagadnęła go:

— Wyglądasz na znudzonego.

Wyraźnie marzyła się jej lekkomyślność, może była dręczoną, sfrustrowaną żoną, która wyrwała się na tę jedną noc.

Na chwilę ogarnęła go żądza, szaleńcza, czysta żądza, ale pomyślał, o ile bardziej będzie później znudzony, jak bardzo będzie pragnął pozbyć się jej z pokoju, i uznał, że gra nie jest warta świeczki.

Zapewne wylądowała w końcu z jednym z wielu mężczyzn w Abudży, którzy wiedli beztroskie, łatwe życie w hotelach i domach, gdzie urządzano przyjęcia, zabiegając i nadskakując ludziom z koneksjami, żeby dostać jakiś kontrakt albo żeby ktoś im za kontrakt zapłacił.

W czasie ostatniej podróży Obinze do Abudży jeden z takich mężczyzn, którego prawie nie znał, przez chwilę przyglądał się dwóm młodym kobietom na drugim końcu baru, po czym zwrócił się mimochodem do Obinze:

— Nie masz prezerwatywy na zbyciu?

Obinze oniemiał.

Teraz siedział przy nakrytym białym obrusem stole w Protea Asokoro i czekał na Edusco, biznesmena, który chciał kupić od niego ziemię. Wyobrażał sobie, że ma obok siebie Ifemelu, i zastanawiał się, co by pomyślała o Abudży. Zapewne nie przypadłaby jej do gustu, ze swoją bezduszością, a może wręcz przeciwnie. Trudno było przewidzieć, jak Ifemelu zareaguje.

Kiedyś, przy kolacji w restauracji na Wyspie Wiktorii, z krążącymi wokół poważnymi kelnerami, nagle się zamyśliła, ze wzrokiem utkwionym w ścianie za jego plecami, i zmartwił się, że stało się coś złego.

— O czym myślisz? — zapytał.

— Myślę o tym, że w Lagos wszystkie obrazy wiszą krzywo, nigdy prosto — odparła.

Roześmiał się i pomyślał, że z żadną kobietą nigdy nie czuł się tak jak z nią: wesoły, pełen życia, nieznudzony. Później, kiedy wyszli z restauracji, patrzył, jak zrećcznie omija kałuże wody w dziurach na ulicy, i zapragnął naprawić wszystkie drogi w Lagos, dla niej.

W głowie miał mętlik: w jednej chwili żywił przekonanie, że słusznie zdecydował, przyjeżdżając do Abudży bez niej, bo musiał sobie wszystko przemyśleć, a już w następnej sobie to wyrzucał. Mógł ją tym odepchnąć. Wiele razy do niej dzwonił, wysyłał esemesy z pytaniem, czy mogliby porozmawiać, ale go ignorowała — może to dobrze, bo i tak nie wiedział, co jej powiedzieć.

Zjawił się Edusco. Od wejścia do restauracji dolatywał jego dudniący głos, kiedy rozmawiał przez telefon. Obinze nie znał go zbyt dobrze — tylko raz zrobili wspólnie interes, przedstawieni sobie przez wspólnego znajomego — ale

podziwiał takich jak on, którzy nie znali żadnych wielkich ludzi i nie mieli koneksji, a dorobili się pieniędzy w sposób niezaprzeczący prostej logice kapitalizmu. Edusco skończył tylko szkołę podstawową, potem zaczął terminować u handlarzy; zaczynał od jednego straganu w Onitsha, a teraz był właścicielem drugiej co do wielkości firmy transportowej w kraju. Wszedł do restauracji zdecydowanym krokiem, taszcząc przed sobą wielki brzuch, głośno i bez skrępowania posługując się swoim okropnym angielskim; nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby w sobie zważyć.

Później, kiedy rozmawiali o cenie za ziemię, Edusco powiedział:

— Posłuchaj, bracie. Za tę cenę tego nie sprzedasz, nikt nie kupi. *Ife esika kita*. Recesja dopadła każdego.

— Brachu, podnieś trochę cenę, mówimy o ziemi w Maitama, nie twojej wiosce — odparł

Obinze.

— Brzuch masz pełny. Czego jeszcze chcesz? Widzisz, to właśnie problem z wami, ludźmi Igbo. Nie jesteście jak brat z bratem. Dlatego lubię ludzi Joruba, oni się o siebie nawzajem troszczą. Wiesz, że kiedyś poszedłem do urzędu skarbowego niedaleko mojego domu i był tam taki jeden, z Igbo. Zobaczyłem jego nazwisko i zagadałem do niego w igbo, a on nawet nie odpowiedział! Człowiek z Hausa będzie rozmawiał w hausa ze swoim pobratymcem Hausa.

Joruba spotka gdzieś innego Joruba i będzie z nim rozmawiał w joruba. Ale Igbo do drugiego Igbo mówi tylko po angielsku. Dziwi mnie, że ty mówisz do mnie w igbo.

— Racja — zgodził się Obinze. — To smutne, ale jesteśmy ludźmi pokonanymi.

Przeegraliśmy wojnę o Biafrę i nauczyliśmy się wstydić.

— To zwykle samolubstwo! — powiedział Edusco, niezainteresowany intelektualnymi wywodami Obinze. — Joruba pomoże swojemu bratu, ale wy Igbo? *I ga-asikwa*. Zobacz, ile chcesz mi policzyć.

— OK, Edusco, a może oddam ci tę ziemię za darmo?
Poczekaj, przyniosę tylko akt własności i zaraz ci go dam.

Edusco się roześmiał. Lubił go, Obinze to czuł; wyobrażał sobie, jak Edusco opowiada o nim na spotkaniach innych Igbo, którzy doszli do wszystkiego sami; ludzi, którzy ciężko pracowali, byli aroganccy, żonglowali wielkimi firmami i wspomagali ogromne rodziny. *Obinze ma ife*, mówił pewnie Edusco. „Obinze nie jest jak ci beznadziejni mali chłopcy z wielkimi pieniędzmi. On nie jest głupi.”

Obinze popatrzył na swoją prawie pustą butelkę guldera. Dziwne, jak bez Ifemelu wszystko straciło dla niego swój urok; nawet jego ulubione piwo smakowało inaczej. Powinien był ją przywieźć ze sobą do Abudży. Głupi był twierdząc, że musi sobie wszystko przemyśleć, bo tak naprawdę uciekał przed prawdą, którą znał. Nazwała go tchórzem, i faktycznie tchórzostwem był jego strach przed zamieszanym, zniszczeniem tego, czego nawet nie chciał: życia z Kosi, tej drugiej skóry, w której nigdy nie czuł się dobrze.

— OK, Edusco — powiedział, nagle znużony. — Nie zjem tej ziemi, jeśli jej nie sprzedam.

Edusco był zaskoczony.

— To znaczy, że zgadzasz się na moją cenę?

— Tak — powiedział Obinze.

Po wyjściu Edusco, Obinze raz za razem dzwonił do Ifemelu, ale nie odbierała. Może wyciszyła telefon i jadła coś przy swoim stole, ubrana w różowy T-shirt, który tak często nosiła, z małą dziurką na szyi i napisem z przodu HEARTBREAKER CAFÉ; jej sutki, kiedy twardniały, zaznaczały napis jak apostrofy. Na myśl o jej różowym T-shircie poczuł podniecenie. A może czytała w łóżku, przykryta spódnicą, tylko w czarnych męskich slipach; śmieszyła ją dziewczynska bielizna. Kiedyś podniósł z podłogi te jej slipy, gdzie je rzucił, zsunąwszy z niej wcześniej, i popatrzył na mleczny ślad w kroczu, a ona się roześmiała.

— Ach, masz ochotę powąchać? — powiedziała. — Nigdy nie rozumiałam, o co chodzi z tym wąchaniem bielizny.

A może siedzi przy laptopie i pracuje nad blogiem. Albo jest z Ranyinudo. Albo rozmawia przez telefon z Dikie'em. A może siedzi z jakimś mężczyzną w salonie i opowiada mu o Grahamie Greenie. Na myśl, że może być z kimś innym, ogarnął go niepokój. Oczywiście, nie była z nikim, nie tak od razu. Mimo to miała w sobie ten nieprzewidywalny upór; mogła to zrobić, żeby go zranić. Kiedy po pierwszym razie powiedziała mu: „Z innymi mężczyznami zawsze widziałam sufit”, zastanawiał się, ilu ich było. Chciał ją zapytać, ale nie zrobił tego, bo bał się, że powie mu prawdę, i bał się, że odtąd zawsze już go to będzie dręczyć. Oczywiście wiedziała, że on ją kocha, ale zastanawiał się, czy ma świadomość, jak bardzo ta miłość go pochłania, jak każdy jego dzień jest nią przesiąknięty, jaką ma władzę nawet nad jego snem.

„Kimberly uwielbia swojego męża, a jej mąż uwielbia siebie. Powinna go zostawić, ale nigdy tego nie robi”, powiedziała kiedyś, opowiadając mu o kobiecie, u której pracowała w Ameryce, kobiecie z *obi ocha*. Powiedziała to lekko, bez żadnych podtekstów, a mimo to coś w jej słowach usłyszał.

Kiedy mu opowiadała o swoim życiu w Ameryce, słuchał z uwagą graniczącą z rozpaczą.

Pragnął być częścią wszystkiego, co robiła, znać każde jej uczucie. Raz mu powiedziała: „W tych międzykulturowych związkach ciągle trzeba się z czegoś tłumaczyć. Z moimi eks ciągle się z czegoś tłumaczyliśmy. Czasem się zastanawiałam, czy w ogóle mielibyśmy ze sobą o czym rozmawiać, gdybyśmy pochodzili z tego samego miejsca”, a on się ucieszył, gdy to usłyszał, bo nadawało jego związkowi z nią głębi, pozbawionej złudnego powiewu nowości. Mieli wspólne pochodzenie, a mimo to wciąż znajdowali tematy do rozmowy.

Raz rozmawiali o amerykańskiej polityce.

— Lubię Amerykę — powiedziała. — To naprawdę jedyne miejsce, gdzie mogłam się oderwać od wszystkiego tutaj. Ale któregoś dnia rozmawialiśmy z przyjaciółmi Blaine'a o dzieciach i zrozumiałam, że gdybym kiedyś miała dzieci, nie chciałabym, żeby ich dzieciństwo było amerykańskie. Nie chcę, żeby mówiły „cześć” do dorosłych. Chcę, żeby mówiły

„dzień dobry” i „dobry wieczór.” Nie chcę, żeby bąkały „w porządku”, kiedy ktoś ich pyta „Jak się masz?”. Ani żeby pokazywały pięć palców, kiedy ktoś pyta, ile mają lat. Chcę, żeby mówiły

„Dobrze, dziękuję” i „Mam pięć lat”. Nie chcę dziecka, które domaga się pochwał, oczekuje, że za każdy najmniejszy wysiłek dostanie gwiazdkę, i pyskuje do rośty, bo ma prawo siebie wyrazić. Czy to takie konserwatywne? Przyjaciele Blaine’a powiedzieli, że tak, a dla nich określenie „konserwatywne” jest najgorszą możliwą obrażą.

Śmiał się i żałował, że nie był wtedy z tymi „przyjaciółmi”, i chciał, żeby to wymaginowane dziecko było jego, to dobrze wychowane, konserwatywne dziecko.

— Dziecko skończy osiemnaście lat i pofarbuje sobie włosy na fioletowo — powiedział.

— Tak, ale wtedy wykopię je z domu — odparła.

Na lotnisku w Abudży, kiedy wracał do Lagos, pomyślał, żeby przejść do terminalu międzynarodowego i kupić bilet do jakiegoś nieprawdopodobnego miejsca, na przykład Malabo.

Zaraz jednak poczuł przelotny niesmak do samego siebie, bo oczywiście nigdy by tego nie zrobił; robi dokładnie to, czego się od niego oczekuje. Kiedy wsiadał do samolotu, zadzwoniła Kosi.

— Lot nie jest opóźniony? Pamiętasz, że dzisiaj zapraszamy Nigela z okazji jego urodzin?

— Oczywiście, że pamiętam.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Warknął na nią.

— Przepraszam — powiedział. — Chyba boli mnie głowa.

— Kochanie, *ndo*. Wiem, że jesteś zmęczony. Do zobaczenia wkrótce.

Rozłączył się i przypomniał sobie, jak ich córeczka, śliska, z kręconymi włoskami, przyszła na świat w Woodlands Hospital w Houston. Kosi obróciła się do niego, kiedy on wciążył

zdejmował lateksowe rękawiczki, i odezwała się, jakby go przeprasząc:

— Kochanie, następnym razem będziemy mieli syna.

Cały się w sobie skurczył. Wtedy zrozumiał, że ona w ogóle go nie zna. Ani trochę. Nie wiedziała, że płęć ich dziecka jest mu obojętna. I poczuł lekką pogardę, że chciałyby chłopca, ponieważ powinni chcieć chłopca, i że potrafiła świeżo po urodzeniu ich pierwszego dziecka wypowiedzieć te słowa: „Następnym razem będziemy mieli syna”. Może powinien był z nią więcej rozmawiać — o dziecku, którego oczekiwali, i o wszystkim innym, ponieważ chociaż wymieniali miłe dźwięki, byli dobrymi przyjaciółmi, potrafili razem milczeć bez skrępowania, nigdy tak naprawdę nie rozmawiali. Ale on nigdy nie próbował, wiedział, że pytania na temat życia, jakie zadawał, były zupełnie inne od tych, które zadawała ona.

Wiedział o tym od początku, wyczuł to podczas ich pierwszej rozmowy, kiedy znajomy przedstawił ich sobie na czyimś ślubie. Ona ubrana była w satynową suknię drużny w kolorze fuksji, wyciętą głęboko i odsłaniającą dekolt, od którego nie mógł oderwać wzroku, a ktoś właśnie wygłaszał mowę, opisując w niej pannę młodą jako „kobietę pełną cnót” i Kosi przytakiwała skwapliwie, po czym szepnęła do niego: „To naprawdę kobieta pełna cnót”. Był

zdziwiony, że słowo „cnót” wypowiedziała bez cienia ironii, jak piszą w kiepskich artykułach z dodatków dla kobiet w niedzielnych wydaniach gazet. „Żona ministra to bezpretensjonalna kobieta pełna cnót.” Mimo to pragnął Kosi, zabiegał o nią z pełną determinacją. Nigdy nie widział kobiety z tak idealnie ukształtowanymi kośćmi policzkowymi, które sprawiały, że jej twarz była taka pełna życia, tak architektoniczna, unosząca się w uśmiechu. Właśnie stał się bogaty i zdezorientowany: w jednym tygodniu nie miał grosza przy duszy i mieszkał kątem u swojej kuzynki, a już w następnym miał miliony nair na koncie. Kosi stała się probierzem realności. Skoro mógł z nią być, tak niezwykle piękną, a mimo to tak zwyczajną, przewidywalną, domową i oddaną, może więc też zaczął wierzyć, że życie, które teraz ma, jest jego. Kosi wprowadziła się do niego z mieszkania,

które dzieliła z koleżanką, i na jego toaletce ustawiła swoje flakoniki z perfumami o cytrusowych zapachach, które zaczęły mu się kojarzyć z domem, i siedziała obok niego w jego bmw, jakby to był zawsze jego samochód, od niechcienia proponowała wyjazdy za granicę, jakby zawsze mógł tak sobie podróżować, a kiedy brali wspólnie prysznic, szorowała go szorstką gąbką, nawet między palcami u stóp, aż czuł się jak nowo narodzony. Aż jego nowe życie zaczęło należeć do niego. Nie dzieliła z nim jego zainteresowań — umiała czytać, ale nie czytała, była zadowolona ze świata, ale raczej nie była go ciekawa — lecz był jej wdzięczny, miał szczęście, że był z nią. A potem mu powiedziała, że jej krewni pytają o jego zamiary. „Oni tylko pytają”, powiedziała, kładąc nacisk na „oni”, tym samym wykluczając siebie z żądań o ślub. Wiedział, że w ten sposób nim manipuluje, i nie podobało mu się to. Mimo to ożenił się z nią. I tak mieszkali już razem, nie był nieszczęśliwy i wyobrażał sobie, że ona z czasem się zmieni. Ale ona po czterech latach wciąż była taka sama, zmieniła się tylko fizycznie, zaokrągliła, co czyniło ją jeszcze piękniejszą, bardziej świeżą; z pełniejszymi biodrami i piersiami była jak dobrze nawadniana roślina.

Bawiło Obinze, że Nigel postanowił przeprowadzić się do Nigerii, zamiast zwyczajnie przyjeżdżać od czasu do czasu, kiedy Obinze musiał przedstawić swojego Białego Dyrektora.

Pieniądze zarabiał dobre, spokojnie mógł w Essex wieść życie, o jakim wcześniej nawet nie marzył, ale on chciał zamieszkać w Lagos, przynajmniej na jakiś czas. Wobec tego Obinze zaczął

z radością czekać na chwilę, kiedy Nigelowi znudzi się zupa z papryki, zacznie mieć dość nocnych klubów i upijania się w barakach na Kuramo Beach. Ale Nigel wytrwale mieszkał

w swoim mieszkaniu w Ikoyi, z gosposią i psem. Nie mówił już: „Lagos ma w sobie tyle smakowitego uroku” i bardziej narzekał na ruch uliczny, a w końcu przestał mieszać z błotem swoją ostatnią przyjaciółkę, dziewczynę z Benue, o pięknej twarzy i pokrętej naturze, która zostawiła go dla bogatego biznesmena z Libanu.

— Gość jest kompletnie łysy — powiedział Nigel.

— Twój problem, przyjacielu, polega na tym, że zbyt łatwo i zbyt mocno się zakochujesz.

Wszyscy wiedzieli, że ta dziewczyna udaje, szuka tylko czegoś większego — odparł Obinze.

— Nie mów w ten sposób „większego”, stary! — obruszył się Nigel.

Teraz poznał Ulrike, szczupłą kobietę o kanciastej twarzy i ciele młodego mężczyzny, która pracowała w ambasadzie, i najwyraźniej postanowiła, że z nadąsaną miną przetrwa oddelegowanie do Nigerii. Przy kolacji, zanim zaczęła jeść, wytarła swoje sztucze serwetką.

— U siebie w kraju tego nie robisz, prawda? — zapytał chłodno Obinze.

Nigel spojrzał na niego zaskoczony.

— Owszem, robię — odparła Ulrike, patrząc mu prosto w oczy.

Kosi pod stołem poklepała go uspokajająco po udzie, co go rozzłościło. Nigel też go zirytował, kiedy zaczął mówić o domach czynszowych, które Obinze planował wybudować, jaki interesujący mają projekt, dzieło młodego architekta. Kiepska próba przzerwania rozmowy Obinze z Ulrike.

— Fantastyczny układ w środku, przypomina mi zdjęcia eleganckich loftów w Nowym Jorku — powiedział Nigel.

— Nigelu, nie wykorzystam tego projektu. Otwarta kuchnia w Nigerii się nie sprawdzi, a naszymi klientami są Nigeryjczycy, bo te mieszkania będą na sprzedaż, nie pod wynajem.

Otwarte kuchnie są dla ekspatriantów, a oni nie kupują tutaj nieruchomości.

Wiele razy tłumaczył Nigelowi, że nigeryjskie gotowanie to nie zabiegi kosmetyczne, z tym całym ucieraniem.

Nigeryjczycy gotują tłusto i ostro; wolą pokazywać gotowy produkt, a nie proces jego powstawania.

— Koniec rozmów o pracy! — powiedziała Kosi wesoło. — Ulrike, jadłaś już nigeryjskie jedzenie?

Obinze wstał gwałtownie i wyszedł do łazienki. Zadzwoił do Ifemelu i poczuł

narastający gniew, kiedy wciąż nie odbierała. Obwinił ją. Obwinił ją, że przez nią stał się człowiekiem, który nie mógł do końca kontrolować swoich uczuć.

Do łazienki wszedł Nigel.

— Stary, co się dzieje?

Miał czerwone policzki, jak zawsze, kiedy pił. Obinze stał przy umywalce z telefonem w ręce i czuł, jak znowu ogarnia go znużenie. Chciał powiedzieć Nigelowi, który był

prawdopodobnie jedynym przyjacielem, któremu mógł w pełni ufać, ale Nigel lubił Kosi.

— To prawdziwa kobieta, stary — powiedział mu raz i Obinze dostrzegł w jego oczach delikatne, smutne pragnienie czegoś, co było dla niego nieosiągalne. Nigel by go wysłuchał, ale by nie zrozumiał.

— Wybacz, że byłem niegrzeczny dla Ulrike — powiedział Obinze. — Jestem po prostu zmęczony. Chyba dopadła mnie malaria.

Wieczorem Kosi przysunęła się do niego zachęcająco.

Gładziła jego pierś i sięgnęła w dół, żeby wziąć do ręki jego penisa, ale nie było w tym pożądania, lecz wotywnie oddanie.

Kilka miesięcy wcześniej powiedziała, że chciałyby, żeby na poważnie zaczęli „starać się o naszego syna”. Nie powiedziała „starać się o nasze drugie dziecko”, powiedziała: „starać się o naszego syna”, i było to coś, czego nauczyła się w swoim Kościele. „Słowa wypowiedziane mają moc. Domagaj się swojego cudu”. Pamiętał, jak po raz pierwszy starała się zająć w ciąży, zaczęła mówić z obrażonym przekonaniem: „Wszystkie moje przyjaciółki, które mają nudne życie, zaszły w ciążę”.

Kiedy urodziła się Buchi, Obinze zgodził się wziąć udział w dziękczynnej mszy w Kościele Kosi, w zatłoczonej sali pełnej

kosztownie ubranych ludzi, którzy byli przyjaciółmi Kosi, byli tacy jak ona. A on patrzył na nich jak na morze barbarzyńców, klaszczących, kołyszących się zwykłych barbarzyńców, uległych i przytakujących pastorowi w markowym garniturze.

— Co się dzieje, kochanie? — zapytała Kosi, kiedy wciąż był miękki w jej ręce. —

Dobrze się czujesz?

— Jestem tylko zmęczony.

Jej włosy podtrzymywała czarna siateczka, twarz miała posmarowaną kremem o zapachu mięty, który zawsze lubił. Odwrócił się od niej. Odwracał się tak od dnia, kiedy po raz pierwszy pocałował Ifemelu. Nie powinien porównywać, ale nie potrafił. Ifemelu była wymagająca. „Nie, nie dochodź jeszcze, zabiję cię, jeśli dojdiesz”, mówiła, albo: „Nie, kochanie, nie ruszaj się”, a potem wbijała mu paznokcie w pierś i zaczynała poruszać się własnym rytmem; kiedy w końcu wyginała plecy w łuk i wy dawała krótki, głośny okrzyk, czuł się spełniony, że ją zadowolił. Ona tego oczekiwała, przeciwnie niż Kosi. Kosi zawsze przyjmowała jego dotyk z uległością i Obinze wyobrażał sobie, jak jej pastor mówi, że żona powinna uprawiać z mężem seks, nawet jeśli nie ma ochoty, bo inaczej mąż poszuka zaspokojenia u Jezabel.

— Mam nadzieję, że nie będziesz chory — powiedziała.

— Nic mi nie jest.

Normalnie by ją objął, delikatnie masował po plecach, czekając, aż zaśnie. Ale teraz nie potrafił się na to zdobyć. W ciągu ostatnich tygodni tyle razy zaczynał jej mówić o Ifemelu, ale się powstrzymywał. Co miał powiedzieć? Brzmiałoby to jak kwestia z głupiego filmu. „Kocham inną kobietę. Jest ktoś inny. Odchodzę od ciebie.” Wydawało mu się dziwne, że poza filmem i książką ktoś mógłby brać podobne słowa na poważnie. Kosi objęła go ramionami. Odsunął się i burknął coś, że boli go żołądek, i poszedł do ubikacji. Kosi ustawiła w nim nowe potpourri, mieszankę suszonych liści i nasion w fioletowej misce, na obudowie zbiornika na wodę. O mało się nie udusił od zbyt mocnej woni

lawendy. Wyrzucił potpourri do klozetu i natychmiast tego pożałował. Kosi zrobiła to w dobrej wierze. W końcu skąd mogła wiedzieć, że zbyt mocny zapach lawendy mu się nie spodoba.

Kiedy pierwszy raz spotkał się z Ifemelu w Jazzhole, wrócił do domu i powiedział o tym Kosi.

— Ifemelu jest w mieście. Byłem z nią na drinku.

— Och, twoja dziewczyna ze studiów — powiedziała Kosi obojętnie, ale on nie do końca uwierzył w tę jej obojętność.

Czemu jej o tym powiedział? Może już wtedy wyczuwał potęgę swoich uczuć i chciał ją przygotować, mówić jej stopniowo. Ale czy możliwe, że nie zauważyła, jak się zmienił? Nie widziała tego w jego twarzy? Nie zauważyła, jak często zamykał się w swoim gabinecie, jak

często wychodził i nie wracał do późna? Samolubnie liczył na to, że poczuje się odrzucona, że ją tym sprowokuje. Ale ona zawsze tylko przytakiwała, gładko i z pokorą, kiedy mówił jej, że był

w klubie. Albo u Okwudiby. Raz jej powiedział, że załatwia trudny interes z nowymi arabskimi właścicielami w Megatel — „interes” powiedział swobodnie, jakby już o nim wiedziała — a ona tylko mruknęła coś niewyraźnie. Ale on nie miał nic wspólnego z Megatel.

Następnego ranka obudził się niewypoczęty, z umysłem pogrążonym w wielkim smutku.

Kosi już wstała i siedziała przy swojej toalecie z mnóstwem kremów i balsamów ustawionych z taką starannością, że czasem miał ochotę podłożyć ręce pod stolik i wywrócić go, tylko żeby zobaczyć, jak daleko flakoniki polecą.

— Już od jakiegoś czasu nie robiłeś mi jajek, Zed — powiedziała podchodząc, żeby go pocałować, kiedy zauważyła, że nie śpi.

Wobec tego przygotował jej jajka, pobawił się z Buchi w salonie na dole, a kiedy zasnęła, czytał gazety, cały czas

pograżony w smutku. Ifemelu dalej nie odbierała jego telefonów. Poszedł

na górę do sypialni. Kosi sprzątała garderobę. Na podłodze leżał stos butów, najeżony obcasami.

Stanął w drzwiach i odezwał się cicho:

— Nie jestem szczęśliwy, Kosi. Kocham inną. Chcę się rozwieść. Zrobię wszystko, żeby tobie i Buchi niczego nie brakowało.

— Słucham? — Odwróciła się od lustra i popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

— Nie jestem szczęśliwy. — Nie tak chciał jej to powiedzieć, ale też nie zaplanował

sobie, jak to robi. — Kocham inną. Zrobię wszystko...

Uniosła rękę, otwartą dłoń w jego stronę, dając znak, żeby zamilkł. Nic nie mów, mówiła jej dłoń. Nic nie mów.

Rozdrażniło go, że nie chce wiedzieć więcej. Dłoń miała bladą, niemal przezroczystą i widział zielonkawę, krzyżującą się żyłki. Opuściła rękę, a potem wolno osunęła się na kolana. Łatwo jej to przychodziło, osuwanie się na kolana, bo często to robiła, modląc się w pokoju telewizyjnym na górze, razem z gosposią i nianią, i każdym, kto akurat z nimi mieszkał.

— Buchi, cii — mówiła między słowami modlitwy, ale Buchi dalej gaworzyła po swojemu, a na końcu wykrzykiwała swoim cienkim, piskliwym głosem:

— Amen!

Kiedy Buchi mówiła swoje „amen” z takim zachwytem i entuzjazmem, Obinze bał się, że wyrośnie na kobietę, która tym „amen” będzie uciszać każde pytanie, jakie chciałaby zadać światu. A teraz Kosi osuwała się przed nim na kolana, a on nie chciał zrozumieć, co robi.

— Obinze, to jest rodzina — powiedziała. — Mamy dziecko. Potrzebuję cię. Ja cię potrzebuję. Musimy utrzymać tę rodzinę razem.

Kłęczała i błagała go, żeby jej nie zostawiał, a on wołałby, żeby się wściekła.

— Kosi. Kocham inną kobietę. Nie chcę cię ranić, ale...

— Tu nie chodzi o inną kobietę, Obinze — powiedziała Kosi wstając z kolan. Jej głos stał

się ostry, oczy stwardniały. — Tu chodzi o to, żeby ta rodzina była razem! Przysięgałeś przed Bogiem. Ja przysięgałam przed Bogiem. Jestem dobrą żoną. Jesteśmy małżeństwem. Myślisz, że możesz sobie ot tak zniszczyć tę rodzinę, bo do miasta przyjechała twoja dawna dziewczyna?

Wiesz, co to znaczy być odpowiedzialnym ojcem? Jesteś odpowiedzialny za to dziecko na dole!

Dzisiaj chcesz zniszczyć jej życie, zniszczyć ją aż do śmierci! I wszystko tylko dlatego, że twoja dawna dziewczyna wróciła z Ameryki? Bo uprawiasz z nią seksualne akrobacje, które przypominają ci dawne studenckie czasy?

Obinze się cofnął. A więc wiedziała. Wyszedł i zamknął się w swoim gabinecie.

Nienawidził Kosi, że wiedziała, ale przez cały ten czas udawała, że nic nie wie, i za to, że go tym upokorzyła. Utrzymywał w sekrecie coś, co wcale nie było sekretem. Przytłaczało go wielowarstwowe poczucie winy, nie tylko z powodu, że chciał odejść od Kosi, ale winy za to, że w ogóle się z nią ożenił. Mógł się z nią nie żenić, doskonale wiedząc, że nie powinien, a teraz, kiedy mieli dziecko, chciał od niej odejść. Ona za wszelką cenę chciała zachować ich małżeństwo i przynajmniej tyle był jej winien, powinien przy niej zostać. Ogarnęła go panika na myśl, że dalej będzie jej mężem; bez Ifemelu przyszłość jawiła mu się jak niemająca końca, pozbawiona radości nuda. Potem powiedział sobie, że jest głupi i dramatyzuje. Musiał myśleć o swojej córce. A mimo to siedział dalej na swoim krześle i obrócił się, żeby popatrzeć na książkę na półce, i już czuł, że ucieka.

Ponieważ zamykał się w swoim gabinecie, w nim spał na kanapie; ponieważ nic więcej sobie nie powiedzieli, uznał, że Kosi nie będzie chciała iść następnego dnia na chrzciny dziecka jego przyjaciela Ahmeda. Jednak rano Kosi

przygotowała na ich łóżku w sypialni swoją długą, niebieską, koronkową sukienkę, jego niebieski, senegalski kaftan, a pośrodku aksamitną, błękitną sukienkę z falbankami dla Buchi. Nigdy wcześniej tego nie robiła, nigdy nie przygotowywała dla nich wszystkich strojów w jednym kolorze. Na dole zobaczył, że na stole przygotowała dla niego naleśniki, grube, takie jak lubił. Buchi rozlała odrobinę napoju mlecznego ovaltine.

— Wydzwania do mnie Hezekiah — powiedziała Kosi w zadumie o jego kuzynie z Awka, który dzwonił tylko wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy. — Przysłał wiadomość, że nie może się do ciebie dodzwonić. Nie wiem, dlaczego udaje, że nie wie, czemu ignorujesz jego telefony.

Dziwne, że wytyka Hezekiahowi udawanie, podczas kiedy sama siedzi w nim po uszy; nakładała mu na talerz kawałki świeżo pokrojonego ananasa, jakby wczorajszego dnia nic się nie stało.

— Ale powinienes coś dla niego zrobić, choćby niewielkiego, bo inaczej nigdy się od ciebie nie odczepi — powiedziała.

„Zrobić coś” było równoznaczne z daniem pieniędzy i Obinze znenawidził nagle ludzi Igbo za tę ich skłonność do posługiwania się eufemizmami, kiedy chodziło im o pieniądze, za niemówienie wprost, za niesprecyzowane gesty. Znajdź mu coś. Zrób coś dla niego. Rozjuszało go to. Było tchórzostwem, zwłaszcza że w innych sytuacjach byli aż do bólu bezpośredni.

„Pieprzony tchórz”, tak go nazwała Ifemelu. I rzeczywiście, tchórzostwem było nawet to, że pisał

do niej esemesy i wydzwaniał, wiedząc, że nie odpowie; mógł pójść do niej, zapukać do jej drzwi, nawet gdyby miała mu powiedzieć, żeby się wynosił. Tchórzostwem też było, że nie powiedział Kosi raz jeszcze o rozwodzie i tak łatwo pogodził się z tym, że nie przyjęła tego do wiadomości. Kosi wzięła z jego talerza kawałek ananasa i zjadła go. Była niewzruszona, zdeterminowana, spokojna.

— Weź tatusia za rękę — powiedziała do Buchi, kiedy po południu wchodzili do udekorowanego domu Ahmeda. Chciała, żeby na powrót zapanowała normalność.

Siłą woli pragnęła sprawić, aby ich małżeństwo było dobre. Niosła prezent dla dziecka Ahmeda, zawinięty w srebrny papier. W samochodzie powiedziała mu, co to jest, ale on już zdążył zapomnieć. Na ogromnym zielonym i zadbanym terenie pod baldachimami były ustawione stoły z poczęstunkiem, za domem na pewno był basen. Wokół biegało dwóch klaunów. Dzieci tańczyły i wydzierały się.

— Wynajęli ten sam zespół co my na urodziny Buchi — szepnęła Kosi.

Chciała uczcić urodziny Buchi wielkim przyjęciem i Obinze przeżył ten dzień jakby

zawieszony w powietrznej bańce, która oddzielała go od otoczenia. Kiedy mistrz ceremonii powiedział „świeżo upieczony ojciec”, ze zdziwieniem zorientował się, że mężczyzna mówi o nim, że rzeczywiście był świeżo upieczonym ojcem. Ojcem.

Żona Ahmeda uścisnęła go, uszczypnęła Buchi w policzek, wokół kłębili się ludzie, powietrze gęste było od śmiechów. Podziwiali nowo narodzone dziecko, śpiące w objęciach babci w okularach. Obinze uświadomił sobie, że jeszcze kilka lat temu chodzili na śluby, teraz na chrzciny, a niedługo zaczną uczestniczyć w pogrzebach. Umrą. Wszyscy umrą po przebrnięciu przez życie, w którym nie byli ani szczęśliwi, ani nieszczęśliwi. Próbował otrząsnąć się z ponurego przygnębienia, które go ogarniało. Kosi razem z Buchi podeszła do grupki kobiet i dzieci zgromadzonych przy wejściu do salonu; odbywała się tam jakaś zabawa w kółku, w środku którego stał czerwonousty klaun. Obinze patrzył na swoją córeczkę — jej niepewny krok, niebieską opaskę z jedwabnymi kwiatkami na gęstych włoskach, sposób, w jaki pytająco spoglądała na Kosi z miną, która przypominała mu jego matkę. Nie mógł znieść myśli, że Buchi mogłaby dorastać, żywiąc do niego żal, że on nie da jej tego, co powinien. Jednak nie chodziło o to, czy zostawi Kosi, lecz o to, jak często będzie się widywał z Buchi. Wielu ludzi dorastało bez ojców. On też, lecz zawsze towarzyszył mu pocieszający duch ojca, wyidealizowany, zamrożony w radosnych wspomnieniach z dzieciństwa. Od powrotu Ifemelu

nieustannie poszukiwał opowieści o mężczyznach, którzy odeszli od swoich rodzin, pragnąc, by te opowieści miały szczęśliwe zakończenie, żeby dzieci były szczęśliwsze z rozwiedzionymi rodzicami niż rodzicami tkwiącymi w małżeństwie, lecz nieszczęśliwymi. Ale w większości tych opowieści dzieci miały żal, były rozgoryczone rozwodem, bo wołały, żeby rodzice, chociaż nieszczęśliwi, jednak zostali razem. Kiedyś w klubie podniósł się na duchu słuchając, jak młody człowiek opowiadał o rozwodzie swoich rodziców, o uldze, jaką odczuł, bo tak byli przygnieceni swoim brakiem szczęścia.

— Przez ich małżeństwo nasze życie pozbawione było wszelkich błogosławieństw, a najgorsze ze wszystkiego było to, że nigdy się nie kłócili.

— Dobrze! — powiedział ze swojego końca baru, a wszyscy spojrzeli na niego dziwnie.

Wciąż patrzył, jak Kosi i Buchi rozmawiają z klaunem, kiedy podszedł do niego Okwudiba.

— Zed!

Objęli się, pokleпали po plecach.

— Jak było w Chinach? — zapytał Obinze.

— Ci Chińczycy, słowo daję. Bardzo przebiegli ludzie. Wiesz, że wcześniej ci idioci, którzy pracowali przy moim projekcie podpisali same bzdury z Chińczykami. Chcieliśmy przejrzeć te umowy, ale ci Chińczycy, na spotkanie przyszło ich chyba z pięćdziesięciu, przynieśli dokumenty i tylko mówili: „Podpisz tutaj, podpisz tutaj!”. Wykończą człowieka negocjacjami, aż dostaną swoje pieniądze i jeszcze zabiorą ci portfel. — Okwudiba się roześmiał.

— Chodźmy na górę. Podobno Ahmed trzyma tam butelki Dom Perignon.

Na górze, w pokoju, który wyglądał jak jadalnia, ciężkie, bordowe zasłony były zaciągnięte, broniąc dostęp światłu dnia, a ze środka sufitu zwisał świecący jasno kunsztowny, kryształowy żyrandol, wyglądający jak weselny tort. Wokół wielkiego, dębowego stołu siedzieli mężczyźni, a na stole były

butelki z winem i wódką, półmiski ryżu, mięs i sałat. Ahmed wchodził

i wychodził, wydając polecenia kelnerce, przysłuchując się rozmowom, tu i tam wtrącając jedno, dwa zdania.

— Przynależność plemienna dla bogatych nie ma znaczenia. Ale im niżej się stoi, tym bardziej ple mię jest ważne — mówił właśnie, kiedy Obinze i Okwudiba weszli.

Obinze lubił sardoniczną naturę Ahmeda. Wynajmował strategiczne dachy w Logos,

kiedy pojawiały się firmy telefoniczne, a teraz podnajmował dachy na ich bazowe stacje i zarabiał, jak to cierpko określał, jedyne czyste, łatwe pieniądze w kraju.

Obinze przywitał się z mężczyznami, z których większość znał, i poprosił kelnerkę, młodą kobietę, która postawiła przed nim kieliszek na wino, o coca-colę. Po alkoholu popadłby w jeszcze większe przygnębienie. Słuchał toczących się wokół niego rozmów, żartów, przytyków, w kółko tych samych opowieści. A potem zaczęli, jak się tego spodziewał, krytykować rząd — że kradnie pieniądze, nie wywiązuje się z umów, pozwala, żeby niszczała infrastruktura.

— Naprawdę trudno być uczciwym urzędnikiem w tym kraju. Wszystko jest tak zorganizowane, żeby człowiek musiał kraść. A najgorsze, że ludzie chcą, abyś kradł. Krewni chcą, abyś kradł, przyjaciele chcą, abyś kradł — powiedział Olu. Był chudy i zgarbiony, z niewymuszoną chępliwością człowieka, który odziedziczył swoje bogactwo i nosił znane nazwisko. Kiedyś zaproponowano mu podobno stanowisko ministerialne, a on, jak wieść niosła, miał odpowiedzieć: „Nie mógłbym mieszkać w Abudży. Nie przeżyłbym bez swoich łodzi”. Olu rozwiódł się ze swoją żoną, Morenike, koleżanką Kosi ze studiów. Często wiercił jej dziurę w brzuchu, żeby schudła, chociaż miała tylko lekką nadwagę, żeby zadbała o siebie, jeśli chce mu się dalej podobać. W czasie rozwodu odkryła w domowym komputerze plik z pornograficznymi zdjęciami, a na wszystkich były otyłe kobiety, z fałdami tłuszczu na ramionach i brzuchu, i doszła do wniosku, a Kosi się z nią zgodziła, że Olu ma duchowy problem.

— Dlaczego wszystko musi być od razu duchowym problemem? Człowiek ma po prostu fetysz — powiedział Obinze do Kosi.

Teraz czasem patrzył na Olu z pełnym ciekawości rozbawieniem; z ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

— Problem nie w tym, że urzędnicy państwowi kradną, ale w tym, że kradną za dużo —

powiedział Okwudiba. — Na przykład ci wszyscy gubernatorzy. Wyjeżdżają ze swoich stanów, siedzą w Lagos, a u siebie wykupują całą ziemię i nie tykają jej, zanim nie odejdą z urzędu.

Dlatego nikogo w dzisiejszych czasach nie stać na kupno ziemi.

— To prawda! Speculanci ziemscy zawyżają ceny. A ci spekulanci wszyscy są w rządzie.

W tym kraju mamy poważny problem — powiedział Ahmed.

— Ale tak jest nie tylko w Nigerii. Wszędzie na świecie są spekulanci ziemscy —

odezwał się Eze.

Eze był najbogatszym człowiekiem w pokoju, właścicielem szybów naftowych i jak wielu bogatych Nigeryjczyków nie trapiły go żadne lęki i niepokoje, był w pełni szczęśliwym człowiekiem. Kolekcjonował sztukę i wszystkim o tym mówił. Przypominał w tym Obinze przyjaciółkę jego matki, ciotkę Chinelo, profesor literatury, która wróciła z krótkiego pobytu w Harvardzie i, siedząc wieczorem przy stole, podczas kolacji, powiedziała:

— Problem w tym, że mamy w tym kraju bardzo zafowaną burżuazję. Mają pieniądze, ale nie są światowi. Byłoby dobrze, gdyby zaczęli wreszcie znać się na winach.

— W dzisiejszym świecie można być biednym na wiele sposobów, ale najwyraźniej jest tylko jeden jedyny sposób, żeby być bogatym — odparła jego matka łagodnie.

Po wyjściu ciotki Chinelo matka się odezwała:

— Istna głupota. Po co mają znać się na winach?

Obinze był zaskoczony — „byłoby dobrze, gdyby zaczęli wreszcie znać się na winach”

— i w jakimś sensie poczuł się rozczarowany ciocią Chinelo, bo zawsze ją lubił. Wyobrażał

sobie, że wszyscy mówili Eze mniej więcej to samo — musisz kolekcjonować sztukę, musisz zacząć się na niej znać — wobec czego Eze zajął się sztuką z zapalem, jaki towarzyszy każdemu

nowemu hobby. Ilekroć się spotykali i Eze zaczynał pleść bez sensu o swojej kolekcji, Obinze zawsze kusiło, żeby mu poradzić, aby rozdał swoje zbiory i stał się człowiekiem wolnym.

— Dla takich jak ty, Eze, ceny ziemi to nie problem — powiedział Okwudiba.

Eze się roześmiał, dumny jak paw. Zdjął swój czerwony blezer i przewiesił go przez oparcie krzesła. Pragnął być stylowy, więc balansował na krawędzi dandyzmu; zawsze ubierał się w barwy podstawowe, a klamry jego pasków były wielkie i odstające jak sterczące zęby.

Z drugiego końca stołu odezwał się Mekkus:

— A wiecie, że mój szofer zdał egzamin WAEC, ale kazałem mu ostatnio napisać list, a on w ogóle nie umie pisać! Nie wie, jak się pisze „chłopiec” i „kot”! Cudownie!

— Jak już jesteśmy przy szoferach, jeden mój kolega powiedział, że jego szofer jest ekonomicznym homoseksualistą, zadaje się z facetami, którzy mu płacą, chociaż w domu ma żonę i dzieci — powiedział Ahmed.

— Ekonomiczny homoseksualista! — ktoś powtórzył do wtóru powszechnemu wybuchowi śmiechu.

Najbardziej ubawiony był Charlie Bombay. Miał szorstką, pooraną bliznami twarz i był

człowiekiem, który nawet w grupie głośnych mężczyzn zawsze był sobą, jadł pieprzne mięso, pił

piwo i oglądał Arsenal.

— Zed! Jesteś dzisiaj wyjątkowo cichy — powiedział Okwudiba, już przy piątym kieliszku szampana. — *Aru adikwa?*

Obinze wzruszył ramionami.

— Nic mi nie jest. Chyba tylko jestem zmęczony.

— Ale Zed zawsze jest cichy — powiedział Mekkus. — To dżentelmen. Czy dlatego, że musi tu z nami siedzieć? On czyta poezję i Szekspira. Stuprocentowy Anglik. — Mekkus śmiał się głośno, choć to co powiedział nie było żartem.

W czasie studiów świetnie znał się na elektronice, naprawiał odtwarzacze CD, które wydawały się bezpowrotnie zepsute, i to on miał pierwszy komputer, jaki Obinze zobaczył

w swoim życiu. Skończył studia i wyjechał do Ameryki, a potem szybko wrócił, bardzo tajemniczy i bardzo bogaty, według niektórych dzięki gigantycznemu oszustwu z kartami kredytowymi. W domu miał wszędzie monitoring; jego ochroniarze byli uzbrojeni w broń automatyczną. A teraz, na najmniejszą wzmiankę o Ameryce natychmiast reagował.

— Wiecie, że po tym, co zrobiłem, już nigdy nie mogę wjechać do Ameryki? — mówił, jakby chciał uprzedzić wszystkie złośliwe szeptki, które podążały w ślad za nim.

— Tak. Zed to prawdziwy dżentelmen — powiedział Ahmed. — Wyobraźcie sobie, że Sike mnie pytał, czy nie znam kogoś takiego jak Zed, bo chciałby go przedstawić swojej siostrze?

A ja mu na to: aj-aj, nie szukasz dla swojej siostry kogoś takiego jak ja, tylko kogoś jak Zed, *o!*

— Nie. Zed jest cichy, bo jest dżentelmenem — rzekł Charlie Bombay, wolno, z silnym akcentem igbo, który sprawiał, że wypowiedane przez niego słowa miały dodatkową sylabę.

Wypił już pół butelki koniaku, którą ustawił strategicznie przed sobą, żeby mu jej nikt nie zabrał.

— I nie chce, żeby ktoś się dowiedział, ile ma pieniędzy.

Roześmiali się. Obinze zawsze uważał, że Charlie Bombay bije swoją żonę. Nie miał na to żadnych dowodów; nic nie wiedział o jego osobistym życiu, nigdy nawet nie widział jego żony. Mimo to, za każdym razem, kiedy spotykał go, wyobrażał sobie, że leje swoją żonę grubym skórzanym pasem. Charlie Bombay na pewno nie cofał się przed przemocą, ten butny, potężny człowiek, który opłacił kampanię wyborczą gubernatora w swoim stanie i teraz miał monopol na niemal każdy biznes, jaki tam istniał.

— Nie zwracajcie uwagi na Zeda, wydaje mu się, że nie wiemy, iż połowa ziemi w Lekki należy do niego — powiedział Eze.

Obinze zgodnie z oczekiwaniami zaśmiał się krótko. Wyjął telefon i szybko wysłał do Ifemelu esemes: „Proszę, porozmawiaj ze mną”.

— Nie znamy się. Jestem Dapo — zagadnął go siedzący po drugiej stronie Okwudiby mężczyzna i nachylił się ku Obinze z wyciągniętą ręką. Uścisnął mu dłoń z takim entuzjazmem, jakby Obinze nagle się na tym świecie pojawił. Obinze odwzajemnił uścisk bez specjalnego przekonania. Charlie Bombay wspomniał o jego bogactwie i nagle Dapo bardzo się nim zainteresował.

— Też działasz w ropie? — zapytał Dapo.

— Nie — odparł Obinze krótko.

Wcześniej słyszał strzępki rozmowy, jaką prowadził Dapo, o pracy doradcy w przemyśle naftowym, o dzieciach w Londynie. Dapo należał prawdopodobnie do tych ludzi, którzy urządzali swoje żony w Anglii, a sami wracali do Nigerii, by zarabiać pieniądze.

— Mówiłem właśnie, że Nigeryjczycy, którzy narzekają na firmy naftowe, nie rozumieją, że bez nich ta gospodarka się załamie — powiedział Dapo.

— Chyba nie bardzo wiesz, o co chodzi, skoro według ciebie firmy naftowe robią nam przysługę — odparł Obinze. Okwudiba posłał mu zdziwione spojrzenie; chłód, z jakim się

odezwał, nie leżał w jego charakterze. — Rząd nigeryjski w zasadzie finansuje przemysł

naftowy, płacąc gotówką, ale wielkie firmy i tak chcą się wycofać z zakładów na lądzie. Wolą wszystko oddać Chińczykom, a sami zostawią sobie tylko szyby wiertnicze na morzu. To jak gospodarka równoległa; pracują na morzu, inwestują w najwyższej klasy sprzęt, pompują ropę z głębokości tysiąca kilometrów. Żadnej lokalnej załogi. Pracowników sprowadzają z Houston i Szkocji. Nie, nie robią nam żadnej przysługi.

— Tak! — powiedział Mekkus. — To wszystko zwykła hołota. Wszyscy ci podwodni hydraulicy, nurkowie, ludzie, którzy wiedzą, jak naprawiać podwodne maszyny do konserwacji.

Zwykła hołota, co do jednego. Trzeba ich widzieć w poczekalni British Airways. Przez cały miesiąc siedzą na szybie bez kropli alkoholu, a jak dojeżdżają do lotniska, są pijani jak świnie i robią z siebie głupców w samolocie. Moja kuzynka latała kiedyś jako stewardesa i mówiła mi, że linie lotnicze kazały w końcu tym ludziom podpisywać zobowiązanie, że nie będą pić, albo nie wsiądą do samolotu.

— Ale Zed nie lata British Airways, więc skąd ma wiedzieć — powiedział Ahmed.

Kiedyś śmiał się z Obinze, gdy ten powiedział, że nie polecą British Airways; przecież wszyscy duzi chłopcy nimi latają.

— Kiedy byłem zwykłym człowiekiem i leciałem klasą ekonomiczną, traktowali mnie jak najgorsze gówno — powiedział Obinze.

Wszyscy się zaśmiali. Obinze miał nadzieję, że jego telefon zacznie wibrować, i nie mógł

usiedzieć na miejscu. Wstał.

— Muszę iść do toalety.

— Jest na końcu — powiedział Mekkus.

Okwudiba wyszedł razem z nim.

— Idę do domu — powiedział do niego Obinze. — Poszukam Kosi i Buchi.

— Zed, *o gini*? Co się dzieje? Rzeczywiście to tylko zmęczenie?

Stali przy krętych schodach, ograniczonych ozdobną balustradą.

— Wiesz, że Ifemelu wróciła — rzekł Obinze i zrobiło mu się ciepło, kiedy wymówił jej imię.

— Wiem — odparł Okwudiba tonem zdradzającym, że wie dużo więcej.

— Mówię poważnie. Chcę się z nią ożenić.

— Aj-aj, przeszedłeś na islam i nic nam nie powiedziałeś?

— Okwu, ja nie żartuję. Nigdy nie powinienem był się żenić z Kosi. Od początku o tym wiedziałem.

Obinze wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze, jakby chciał się oczyścić z alkoholu.

— Posłuchaj, Zed, wielu z nas ożeniło się z kobietami, których tak naprawdę nie kochaliśmy. Ożeniliśmy się z kobietami, które akurat były pod ręką, kiedy byliśmy gotowi do ożenku. Więc daj sobie spokój. Możesz się z nią widywać, ale po co od razu zachowywać się jak biali. Gdyby twoja żona miała dziecko z innym albo gdybyś ją bił, wtedy miałbyś powód do rozwodu. Ale takiego powodu nie ma, a ty chcesz odejść do innej kobiety? *Haba*. My się tak nie zachowujemy, błagam cię.

Kosi i Buchi stały u podnóża schodów. Buchi płakała.

— Przewróciła się — powiedziała Kosi. — Powiedziała, że tatuś musi ją wziąć na ręce.

Obinze zaczął schodzić po schodach.

— Buch-Buch! Co się stało?

Jeszcze zanim do niej doszedł, ona już wyciągnęła do niego wyczekująco rączki.

ROZDZIAŁ 55

Któregoś dnia Ifemelu zobaczyła, jak samiec pawia tańczy, z piórami rozłożonymi w gigantyczne halo. Samica stała obok, dziobiąc coś na ziemi, a po chwili odeszła, obojętna na ogromny, strojny ogon samca. Samiec nagle się zachwiał, jakby przygnieciony ciężarem swoich piór, a może z powodu odrzucenia. Ifemelu zrobiła mu zdjęcie do swojego bloga. Zastanawiała się, co by pomyślał Obinze; pamiętała, jak ją zapytał, czy widziała kiedyś tańczącego samca.

Wspomnienia o nim często ją nawiedzały; w środku spotkania w agencji reklamowej potrafiła sobie przypomnieć, jak Obinze cążkami wyrywał jej wrośnięte włoski z brody, ona z twarzą zwróconą ku górze na poduszce, on nachylony tuż nad nią, skupiony; każde wspomnienie oślepiało ją swoją jaskrawością. Każde wywoływało poczucie nieodwracalnej straty, ogromny spadający na nią ciężar, przed którym chciałyby się uchylić, skulić, żeby ją minął, a ona mogła wyjść z tego nietknięta. Miłość była jak żałoba. To właśnie mieli na myśli pisarze, gdy zajmowali się cierpieniem. Często sobie myślała, że ten pomysł cierpienia z miłości to głupota, ale teraz to rozumiała. Starannie unikała ulicy na Wyspie Wiktorii, gdzie mieścił się jego klub, przestała robić zakupy w Palms i wyobrażała sobie, że on też unika tej części Ikoyi, w której ona mieszkała, trzyma się z daleka od Jazzhole. Nigdzie się na niego nie natknęła.

Z początku bez końca puszczała *Yori Yori* i *Obi Mu O*, ale w końcu przestała, bo piosenki jak pieśni żałobne przypominały jej, że to koniec. Bolało ją niezdecydowanie jego telefonów i wiadomości tekstowych, nieudolne starania. Kochał ją, wiedziała o tym, ale brakowało mu siły; osłabiało go poczucie obowiązku. Kiedy zamieściła post, napisany po wizycie w biurze Ranyinudo, o siłach rządowych rozwalających stragany handlarzy, anonimowy komentator napisał: „To jest jak poezja”. I wiedziała, że to on. Po prostu wiedziała.

Ranek. Ciężarówka — rządowa ciężarówka — zatrzymuje się obok wysokiego biurowca, przy straganach i wysypują się z niej mężczyźni, mężczyźni, którzy biją, niszczą, równają z ziemią, miażdżą. Niszczą stragany, zamieniają je w rozrzucone po ziemi połamane kawałki drewna. Robią, co do nich należy, przystrojeni w „zniszczenie” jak w nienaganne garnitury. Sami

kupują jedzenie na takich straganach i jeżeli wszystkie im podobne znikną z całego Lagos, gdzie będą chodzili na lunch, skoro na nic innego ich nie stać? Ale rozwalają, miażdżą, biją. Jeden z nich uderza kobietę, ponieważ nie chwyta swojego garnka, swojego jedzenia i nie ucieka. Stoi tam i próbuje z nimi rozmawiać. Później, z twarzą czerwoną od uderzenia, patrzy, jak jej ciastka lądują w kurzu. Jej oczy zwracają się ku ponuremu niebu. Jeszcze nie wie, co zrobi, ale coś zrobi na pewno, przegrupuje się i pozbiera, i pójdzie gdzie indziej, żeby dalej sprzedawać swoją fasolę, ryż i spaghetti rozgotowane niemal na miazgę, swoją coca-cole, słodczyce i ciastka.

Wieczór. Na zewnątrz biurowca blednie światło dnia i czekają autobusy pracownicze.

Podchodzą do nich kobiety w płaskich klapkach i opowiadają sobie nieśpiesznie o tym, co będzie dalej. Buty na obcasach mają w torbach. Z jednej, niezapiętej obcas sterczy jak tępy sztylet.

Mężczyźni szybciej podchodzą do autobusów. Idą pod drzewami, które ledwie kilka godzin wcześniej dawały schronienie ulicznym sprzedawcom i ich straganom. Na tych straganach kierowcy i posłańcy kupowali sobie lunch. Ale teraz stragany znikły. Zostały zmiecione, nic nie zostało, nawet strzępek opakowania po herbatnikach, nawet butelka, w której kiedyś była woda, nic, co by wskazywało, że kiedyś tam były.

Ranyinudo wciąż jej powtarzała, żeby częściej wychodziła, umawiała się na randki.

— Obinze zawsze miał trochę wygórowane pojęcie o sobie — rzekła, i chociaż Ifemelu wiedziała, że przyjaciółka chce jej tylko pomóc, za każdym razem była zaskoczona, że inni wcale nie mieli go za taki ideał jak ona.

Pisała posty do swojego bloga, zastanawiając się, co by o nich powiedział. Pisała o pokazie mody, na który poszła, o modelce, która wirowała w swojej spódnicy, rozsnuwając zielenie i błękity, przypominając wielkiego, dumnego motyla. Pisała o kobiecie na rogu ulicy na Wyspie Wiktorii, która

radośnie powiedziała: „Dobra ciocia!”, kiedy Ifemelu zatrzymała się, żeby kupić jabłka i pomarańcze. Pisała o widokach z okna swojej sypialni: białej czapli skulonej na murze obok, wyczerpanej upałem; o dozorczy, pomagającym przekupce umieścić jej tacę na głowie, a robił to tak wdzięcznie, że stała i patrzyła jeszcze długo po odejściu przekupki. Pisała o spikerach w radiu, mówiących z udawanym, śmiesznym akcentem. Pisała o nigeryjskich kobietach i ich skłonności do udzielania rad, poważnych i świętoszkowatych. Pisała o podmokłych dzielnicach blaszanych bud, z dachami jak zmiażdżone kapelusze i młodych kobietach, które w nich mieszkały, modnych i sprytnych, w obcisłych jeansach, z nieustanną nadzieją na życie: marzyły o otwarciu salonów fryzjerskich, o pójściu na studia. Wierzyły, że ich kolej nadejdzie. „Tylko krok dzieli nas od tego życia w slumsach, nas wiodących klimatyzowane życie klasy średniej”, napisała i zastanawiała się, czy Obinze przyznałby jej rację. Ból wywołany jego nieobecnością nie malał z czasem; zdawał się tylko z każdym dniem zapadać w nią głębiej, przywołując coraz wyraźniejsze wspomnienia. Mimo to czuła spokój: była w domu, pisała swojego bloga, odkrywała na nowo Lagos. W końcu żyła naprawdę.

Wracała do przeszłości. Zadzwoiła do Blaine’a, żeby się przywitać, powiedzieć mu, że zawsze uważała, iż jest dla niej za dobry, za czysty, a on zeszywniał przy słuchawce, jakby miał

żal, że dzwoni, ale w końcu powiedział:

— Cieszę się, że się odezwałaś.

Zadzwoiła do Curta i jej głos najwyraźniej sprawił mu przyjemność, a ona wyobraziła sobie, że są razem, w związku wolnym od głębi i bólu.

— Czy to ty przysyłałeś mi te grube pieniądze, które dostawałam za swojego bloga? —

zapytała.

— Nie — odparł, a ona nie była pewna, czy ma mu wierzyć.

— Dalej blogujesz?

— Tak.

— O rasie?

— Nie, po prostu o życiu. Tutaj rasa się nie sprawdza. Mam wrażenie, że wysiadłam z samolotu w Lagos i przestałam być czarna.

— Jasne.

Zapomniała już, jak bardzo był amerykański.

— Z nikim nie jest już tak jak z tobą — powiedział.

Ucieszyło ją, że to powiedział. Zadzwoił do niej późno w nocy nigeryjskiego czasu i rozmawiali o tym, co kiedyś robili razem. Wspomnienia stały się czyste i piękne. Napomknął, że może odwiedziłby ją w Lagos, a ona mruknęła coś, niby się zgadzając.

Kiedyś wieczorem, wychodząc z Ranyinudo i Zemaye do Terra Kulture na sztukę, wpadła na Freda. Później usiedli wszyscy w restauracji i pili smoothie.

— Miły gość — szepnęła Ranyinudo do Ifemelu.

Z początku Fred jak zwykle mówił o muzyce i sztuce, za wszelką cenę starając się zrobić wrażenie.

— Chciałabym się przekonać, jaki jesteś, kiedy nie udajesz — powiedziała Ifemelu.

Roześmiał się.

— Dowiesz się, jeśli się ze mną umówisz.

Zapadła cisza, a Ranyinudo i Zemaye patrzyły na Ifemelu wyczekująco, co ją rozbawiło.

— Umówię się z tobą — powiedziała.

Zabrał ją do nocnego klubu, a kiedy powiedziała, że nudzi ją zbyt głośna muzyka, dym i na wpół nagie obce ciała zbyt blisko niej, z zażenowaniem przyznał, że on też nie lubi nocnych klubów, ale myślał, że jej się podobają. Oglądali razem filmy w jej mieszkaniu, potem w jego domu w Oniru,

gdzie na ścianach były wymalowane łuki. Była zdziwiona, że lubią te same filmy.

Jego kucharz, elegancki człowiek z Cotonou, przygotowywał orzechowy gulasz, który uwielbiała. Fred grał dla niej na gitarze, głos miał chropawy, i opowiadał jej, że marzy, by zostać piosenkarzem w grupie folkowej. Był atrakcyjny w sposób, który z czasem coraz bardziej przypadła do gustu. Lubiła go. Często poprawiał sobie okulary, lekko popychając je palcem w górę; uważała, że to urocze. Kiedy leżeli nadszy na jej łóżku, zadowoleni i rozgrzani, żałowała, że nie jest inaczej. Gdyby tylko mogła poczuć to, co chciała czuć.

I nagle, w senne niedzielne popołudnie, siedem miesięcy od kiedy widzieli się po raz ostatni, Obinze zjawił się u drzwi jej mieszkania. Patrzyła na niego.

— Ifem — powiedział.

Jego widok, z ogoloną gładko głową, piękną łagodnością malującą się na jego twarzy, kompletnie ją zaskoczył. Oczy miał uważne i skupione, wi działa, jak pierś unosi mu się i opada w ciężkim oddechu. Trzymał w ręce długą kartkę zapisaną jego charakterem pisma.

— Napisałem to dla ciebie. Tutaj jest wszystko, co chciałbym wiedzieć, gdybym był tobą.

O czym myślałem. Napisałem wszystko.

Wyciągnął kartkę, wciąż ciężko oddychając, a ona stała, nie sięgając po nią.

— Wiem, że możemy się pogodzić z tym, czym nie możemy dla siebie być, i nawet uczynić z tego życiową tragedię. Albo możemy działać. Ja chcę. Chcę, żeby to się stało. Kosi jest dobrą kobietą i moje małżeństwo dawało mi powierzchowne zadowolenie, ale nigdy nie powinienem był się z nią żenić. Zawsze wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Chcę wychowywać Buchi. Chcę ją widywać codziennie. Ale przez te wszystkie miesiące udawałem i któregoś dnia będzie na tyle duża, że się tego domyśli. Dzisiaj wyprowadziłem się z domu. Na razie zamieszkam w moim mieszkaniu w Parkview i mam nadzieję,

że uda mi się codziennie spotykać z Buchi. Wiem, że trwało to zbyt długo, wiem, że ty żyjesz swoim życiem i zrozumieniem, jeśli nie jesteś pewna i potrzebujesz czasu.

Umilkł, przestąpił z nogi na nogę.

— Ifem, latam za tobą. I będę za tobą latał, aż któregoś dnia dasz mi szansę.

Patrzyła na niego bardzo długo. Mówił dokładnie to, co chciała usłyszeć, a mimo to dalej na niego patrzyła.

— Sufit — powiedziała w końcu. — Wejdz.

PODZIĘKOWANIA

Wyrażam najgłębszą wdzięczność mojej rodzinie, która czytała szkice, opowiadała mi historie, mówiła *jisie ike* dokładnie wtedy, kiedy tego potrzebowałam, szanowała moją potrzebę czasu i przestrzeni i nigdy nie traciła tej dziwnej i pięknej wiary zrodzonej z miłości: Jamesowi i Grace Adichie, Ivara Esege, Ijeomie Maduka, Uche Sonny-Eduputa, Chuksowi Adichie, Obi Maduka, Sonny'emu Eduputa, Tinuke Adichie, Kene Adichie, Okey Adichie, Nneka Adichie Okeke, Oke Ikemelu i Uju Egonu.

Troje wspaniałych ludzi poświęciło tej książce tyle swojego czasu i mądrości: Ike Anya, *oyi di ka nwanne*, Louis Edozien i Chinakueze Onyemelukwe.

Za ich inteligencję i wyjątkową szczodrość przy czytaniu manuskryptu, czasem więcej niż raz, i możliwość spojrzenia na moje postaci ich oczami, mówienie mi, co jest dobre, a co się nie nadaje, wdzięczna jestem następującym drogim przyjaciołom: Aslakowi Sira Myhre, Binyavanga Wainaininie, Chiomie Okolie, Dave'owi Eggersowi, Muhtarowi Bakare, Rachel Silver, Ifeacho Nwokolo, Kym Nwosu, Columowi McCannowi, Funmi Iyanda, Martino wi Kenyon (ukochany pedant), Adzie Echetebe, Thandie Newton, Simi Dosekun, Jasonowi Cowleyowi, Chinazo Anyi, Simonowi Watsonowi i Dwayne'owi Bettsowi.

Dziękuję również mojemu wydawcy, Robin Deser z Knopf; Nicholasowi Pearsonowi, Minnie Fry i Michelle Kane z Fourth Estate; pracownikom Wylie Agency, zwłaszcza

Charlesowi Buchanowi, Jackie Ko i Emmie Paterson; Sarze Chalfant, przyjaciółce i agentce, za nieustanne poczucie bezpieczeństwa; i Radcliffe Institute for Advanced Study na Harvardzie za mały gabinecik pełen światła.